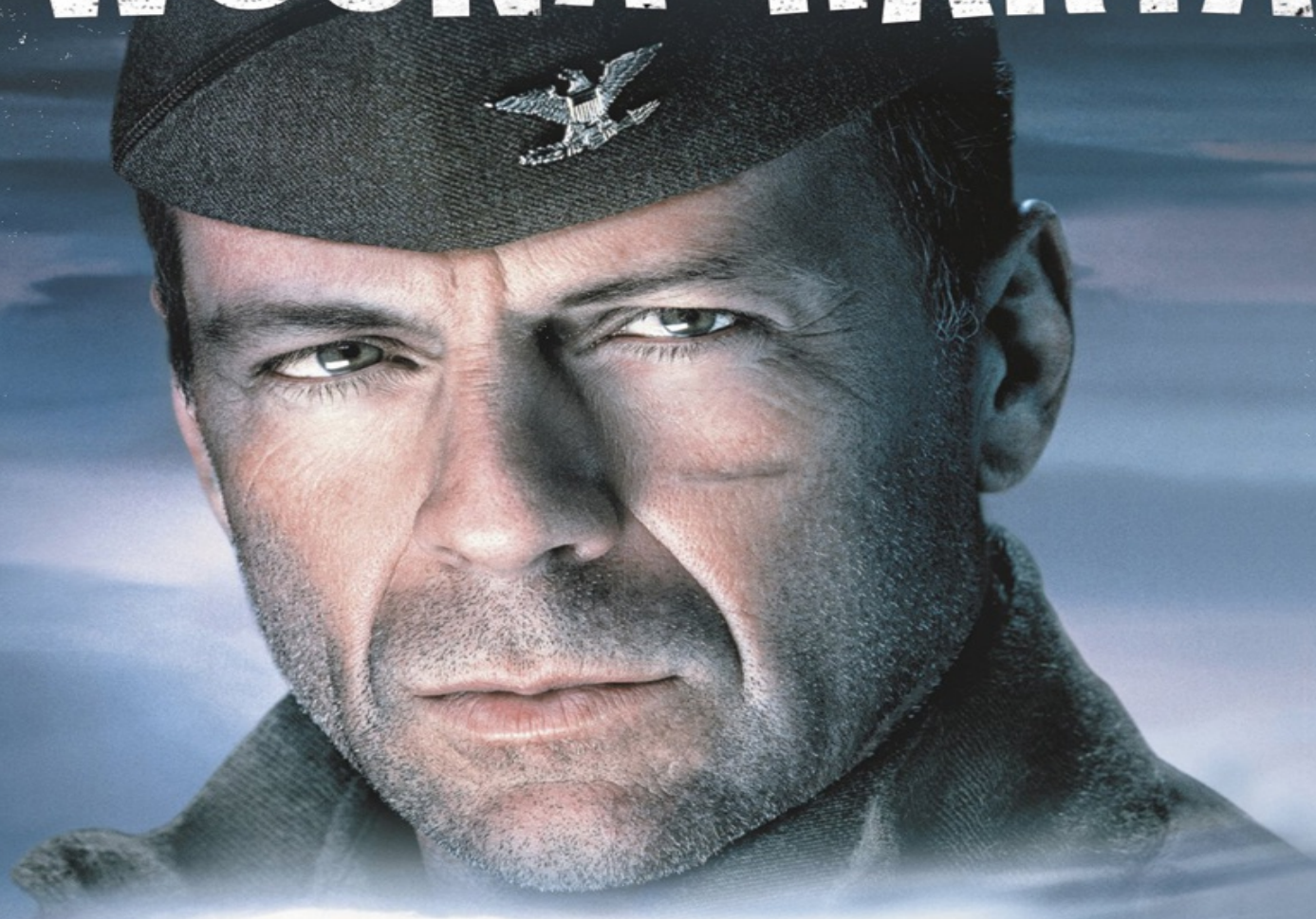


Sfilmowany bestseller autora *W słusznej sprawie*

WOJNA HARTA



JOHN

KATZENBACH


AMBER

WOJNA HARTA

**JOHN
KATZENBACH**

Przekład
MICHAŁ PRZECZEK



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Syrena Entertainment Group

Tytuł oryginału
Hart's War

HART'S WAR © 1999 by John Katzenbach
Published by arrangement with John Hawkins & Associates, Inc., New York

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5722-8

Warszawa 2015. Wydanie III

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Prolog - Nocne niebo](#)

[1 - Powracający sen nawigatora](#)

[2 - Piłka koło płotu](#)

[3 - Abort](#)

[4 - Wystarczające dowody](#)

[5 - Groźby](#)

[6 - Pierwsza rozprawa](#)

[7 - Mysia ruletka](#)

[8 - Miejsce, w którym popełniono morderstwo](#)

[9 - Sprawy wyglądały inaczej, niż się wydawało](#)

[10 - Drewno na opał](#)

[11 - Ósma zero zero](#)

[12 - Pierwsze kłamstwo](#)

[13 - Ostatni świadek oskarżenia](#)

[14 - Drugie kłamstwo](#)

[15 - Oficer i człowiek honoru](#)

[16 - Zaskakujący rozkaz](#)

[17 - Noc rozrachunków](#)

[18 - Koniec tunelu](#)

[19 - Ucieczka](#)

[20 - Opatrunek polowy](#)

[21 - Osiemdziesiąt cztery](#)

[Epilog - Kościół w pobliżu jeziora Michigan](#)

[Od autora](#)

Nickowi, Justine, Cotty, Phoebe, Hugh i Avery

Prolog: Nocne niebo

Teraz był starym człowiekiem i lubił ryzykować.

W oddali naliczył trzy oddzielne słupy wody, niczym mosty pomiędzy gładką, błękitną powierzchnią wody na skraju nurtu zatokowego a szaroczarным kłębowiskiem chmur zwiastujących burzę, która późnym popołudniem nieubłaganie nadciągała z zachodu. Wodne słupy tworzyły wąskie stożki wypełnione ciemnością, wirowały z taką samą siłą, jaka kryła się w ich lądowych kuzynach – tornadach. Nie miały jednak tej przerażającej gwałtowności, charakterystycznej dla burz na lądzie. Tworzyły się z narastającego upału, wiatru i wody, aż w końcu zmieniały w łuk łączący chmury i ocean. Staremu człowiekowi wydawały się majestatyczne, gdy ciężko poruszały się wśród fal. Widoczne z odległości wielu kilometrów, łatwo pozwalały uniknąć spotkania z nimi – i tak właśnie zrobiły wszystkie łodzie znajdujące się na skraju potężnej rzeki, płynącej na północ z głębi ciepłego Morza Karaibskiego. Starzec został na morzu sam – jego łódź podnosiła się i opadała zgodnie z ruchem fal, silnik milczał, a założone wcześniej dwie przynęty tkwiły bez ruchu na atramentowej powierzchni wody.

Przyglądał się trzem spiralom i oceniał, że słupy wodne znajdują się w odległości jakichś dziesięciu kilometrów, ale huragan szalejący wewnątrz każdego z nich z prędkością większą niż trzysta sześćdziesiąt kilometrów na godzinę może szybko pokonać ten dystans. Miał wrażenie, że słupy wody stopniowo nabierają szybkości, jakby stały się lżejsze i poruszały się bardziej zwinnie. Wydawały się tańczyć ze sobą, przesuając się w jego kierunku niczym mężczyźni popisujący się na parkiecie, zabiegający o względy atrakcyjnej dziewczyny. Jeden zatrzymywał się i czekał, podczas gdy dwa pozostałe kręciły się w powolnym rytmie, po czym nagle przybliżał się, drugi zaś usuwał na bok. Przypominało to menueta tańczonego przez dworzan w renesansowym pałacu. Potrząsnął głową – nie, to nie tak. Znowu wpatrzył się w ciemne leje wody. Może to raczej kadryl tańczony w wiejskiej stodole przy wibrującym dźwięku skrzypiec? Pod tchnieniem kapryśnego poddmuchu

bryzy chorągiewka na jednym z wysięgników gwałtownie załopotą, a potem odleciała z wiatrem, jakby przestraszyła się nadciągającego wichru.

Stary człowiek głęboko wciągnął haust gorącego powietrza.

To mniej niż dziesięć kilometrów – pomyślał. Raczej pięć.

Wodne leje, jeżeli tylko zechcą, mogą pokonać ten dystans w parę minut. Nawet przy możliwościach dwustukonnego silnika zamocowanego na rufie, zdolnego przenieść rybaka po falach z prędkością trzydziestu pięciu węzłów, na ucieczkę było już za późno – stary o tym wiedział. Jak burza będzie chciała, to go dopadnie.

Ten taniec na wodzie miał pewną elegancję i styl. Odbywał się energicznie i entuzjastycznie. Wyteżył słuch i przez chwilę wyobrażał sobie, że wiatr niesie muzykę. Słyszał głos rogów, dudnienie bębnów, ostre dźwięki szarpanych strun, szybki, zdecydowany refren gitary. Spojrzał w ciemniejące niebo, na płynące w jego kierunku burzowe chmury przecinające błękitny nieboskłon nad Florydą. Muzyka big bandu – pomyślał. Właśnie tak. Jimmy Dorsey i Glenn Miller. Muzyka jego młodości. Buchająca jazzowym podnieceniem i potęgą, zatracająca się w dźwięku trąbki.

Powietrze przeszło uderzenie pioruna – stary widział, jak zygzak błyskawicy spływa do oceanu. Wiatr nasilał się, szeptał ostrzegawczo, szarpał chorągiewkami i linami umocowanymi do klamer. Starzec jeszcze raz popatrzył na wodne słupy; niecałe cztery kilometry – ocenił.

Zwiewaj, a będziesz żył. Zostaniesz – zginiesz.

Uśmiechnął się do siebie. Mój czas jeszcze nie nadszedł.

Szybkim ruchem przekręcił kluczyk w stacyjce na desce rozdzielczej i zapalił potężny silnik Johnsona. – Motor warknął, jakby niecierpliwie czekał na komendę, robiąc mu wyrzuty, że powierzył swoje życie kaprysom elektronicznego rozrusznika i spalinowego napędu. Mężczyzna położył łódź na boku i wykonał półkolisty skręt, aby pozostawić burzę za plecami. Gęste kropelki deszczu zostawiały ślady na znoszonej, niebieskiej koszuli džinsowej – stary poczuł na ustach świeży smak deszczówki. Szybko przeszedł na rufę i wciągnął obie przynęty. Zatrzymał się na moment, przyglądał się wodnym lejom. Były już tylko o trzy i pół kilometra, wielkie

i przerażające, patrzyły na niego z góry, jak gdyby zaskoczone lekkomyślnością ludzkiej drobiną. Zrodzone przez przyrodę giganty zatrzymały się porażone bezczelnością człowieka, niepewne, co robić, zaszokowane jego wyzwaniem. Ocean zmieniał barwę – głęboki błękit przechodził w intensywną, ciemną szarość, jakby starał się złączyć z nadchodzącym sztormem.

Żeglarz roześmiał się, słysząc następny grom, który niczym huk z armaty znacznie bliżej rozerwał powietrze.

– Nie złapiesz mnie – krzyknął pod wiatr. – Jeszcze nie tym razem.

Szeroko otworzył przepustnicę. Płaska łódź pomknęła przez coraz wyższe fale, silnik zawył szyderczym śmiechem, dziób uniósł się do góry, później opadł i pruł ocean w kierunku jasnego nieba i ostatnich promieni słońca zachodzącego po długim, letnim dniu.

Zgodnie ze swoim zwyczajem pozostawał na wodzie długo po zachodzie słońca. Sztorm błąkał się w oddali, być może sprawiając kłopoty wielkim kontenerowcom, regularnie przemierzającym szlak w górę i w dół Cieśniny Florydzkiej. Powietrze stało się bardziej przejrzyste, na wolnym od chmur ciemnym niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy. Nadal było gorąco, nawet na morzu; powietrze trzymało starego w oślizłym, wilgotnym uścisku. Już nie łowił ryb – zrezygnował wiele godzin temu. Usiadł na przenośnej lodówce na rufie z opróżnioną do połowy butelką zimnego piwa w ręce. Uświadomił sobie, że jego ostatni dzień nadejdzie wtedy, gdy silnik przestanie pracować albo on nie dość szybko przekręci kluczyk zapłonu, a podobna do dzisiejszej burza udzieli mu ostatniej lekcji. Na tę myśl poczuł wewnętrzny dreszcz. Uznał, że życie miał luksusowe, pełne sukcesów i szczęśliwych wydarzeń, a wszystko to zawdzięczał najbardziej zaskakującym przypadkom.

Życie jest łatwe, kiedy człowiek powinien umrzeć – pomyślał.

Ale przecież jeszcze żyje.

Odwrócił się, popatrzył na północ. Widział poświatę nad leżącym dziewięćdziesiąt kilometrów dalej Miami. Otaczała go wilgotna ciemność. Atmosfera Florydy przesycona była jakąś rozwiązłością, wywołaną, jak podejrzewał,

wszechobecnym upałem i wilgotnością. Czasem, kiedy spoglądał w niebo, zaczynał tęsknić za przejrzystymi nocami w rodzinnym stanie Vermont. Tamtejsza ciemność zawsze wydawała mu się napięta, rozciągnięta na niebie do granic wytrzymałości.

Przebywał na wodzie po to, żeby spojrzeć na nieboskłon nad głową, niezakłócony światłem i miejskim zgiełkiem. Potężna Gwiazda Północna, konstelacje znane mu równie dobrze jak oddech śpiącej obok żony. Szukał je wzrokiem, ciesząc się ich stałością.

Orion i Kasjopeja, Baran i łowczyni Diana, bohaterski Herkules i skrzydlaty koń Pegaz. Najłatwiejsze ze wszystkich dwie Niedźwiedzice, Wielka i Mała, które po raz pierwszy rozpoznał jako dziecko, ponad siedemdziesiąt lat temu.

Wciągnął w płuca parne powietrze. Odezwał się głośno, z głębokim, południowym akcentem. Nie mówił tak na co dzień. Ten sposób mówienia charakteryzował kogoś, kogo znał dawno temu; krótko, lecz dobrze.

– Znajdź nam drogę do domu, Tommy, zgoda? – zapytał.

Te słowa brzmiały melodyjnie, niemalże śpiewnie. Upłynęło z górą pięćdziesiąt lat, a on ciągle miał w uszach beztroskie, wesołe tony, które kiedyś słyszał przez interkom bombowca. Głos potrafił przebić się nawet przez ogłuszający huk silników i wybuchy pocisków niemieckich dział przeciwlotniczych.

Odpowiedział, tak jak robił to dziesiątki razy:

– Nie martw się. Potrafię znaleźć bazę z zamkniętymi oczami.

Potrząsnął głową. Ostatnim razem nie udało się. Wtedy wszystkie jego umiejętności, odczytywanie sygnałów radiowych, obliczenia i oznaczanie gwiazd za pomocą oktantu, nie zdały się na nic. Znowu usłyszał ten głos: „Znajdź nam drogę do domu, Tommy, zgoda?”

Przepraszam – odpowiedział duchom. Zamiast drogi do domu znalazłem śmierć.

Pociągnął łyk piwa i przyłożył chłodne szkło butelki do czoła. Wolną ręką sięgnął do kieszeni koszuli, gdzie schował stronę „New York Timesa” z tego dnia. Palce znieruchomiały na papierze. Nie musiał czytać tego jeszcze raz. Zapamiętał tytuł: „W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat zmarł sławny pedagog. Wywierał wpływ na demokratycznych prezydentów”.

Teraz ja będę ostatnim, który wie, co naprawdę się wydarzyło – pomyślał.

Odetchnął głęboko. Przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył z najstarszym wnukiem, kiedy ten miał zaledwie jedenaście lat i przyszedł do niego z fotografią w ręce, jednym z kilku zdjęć, jakie stary człowiek zachował z czasów młodości. Był wtedy niewiele starszy od wnuczka. Siedział obok żelaznego pieca, pogrążony w lekturze. Na przeciągniętym pod sufitem sznurku wisiały szorstkie, wełniane ubrania. Na stole stała niezapalona świeca. Chudy, prawie jak suchotnik, miał krótko przystrzyżone włosy. Na zdjęciu widać było jego rozjaśnioną lekkim uśmiechem twarz, jakby czytał coś zabawnego. Wnuczek zapytał:

– Kiedy to zostało zrobione, dziadku?

– Podczas wojny. Jak byłem żołnierzem.

– Co robiłeś?

– Byłem nawigatorem na bombowcu. Przynajmniej przez jakiś czas. Potem byłem tylko jeńcem, czekającym na koniec wojny.

– Byłeś żołnierzem; zabiłeś kogoś, dziadku?

– Pomagałem zrzucić bomby. A one zapewne zabijały ludzi.

– Ale nie jesteś pewny?

– To prawda. Nie jestem.

Rzecz jasna, kłamał.

Czy zabiłeś kogoś, dziadku? – pomyślał.

Potem przyszła uczciwa odpowiedź: Tak. Zabiłem człowieka. I to nie za pomocą bomby zrzuconej z powietrza. Ale to długa historia.

Pomacał schowany w kieszeni nekrolog i poklepał materiał koszuli.

Teraz mogę powiedzieć – pomyślał.

Jeszcze raz spojrzął w niebo i westchnął głęboko. Potem zajął się wypatrywaniem wąskiej zatoczki prowadzącej do Whale Harbor. Znał na pamięć wszystkie boje nawigacyjne, wszystkie światła, jakimi upstrzony był brzeg Florydy. Znał miejscowe prądy i codzienne przyływy, czuł, jak łódź ślizga się po wodzie, wiedział, kiedy nawet odrobinę zbacza z kursu. Sterując w ciemności posuwał się wolno, ale nieprzerwanie, ze spokojną pewnością człowieka, który późną nocą krąży po

własnym domu.

1. Powracający sen nawigatora

Obudził się, gdy zawalił się tunel wychodzący pod barakiem sto dziewięć. Za chwilę miał nadejść świt, od północy padał silny deszcz. Miał ten sam co zawsze sen, opowiadający o wydarzeniach sprzed dwóch lat. To, co przeżywał, było bliskie rzeczywistości, choć nie odzwierciedlało jej do końca.

We śnie nie widział konwoju.

We śnie nie proponował wykonania zwrotu i zaatakowania.

We śnie samolot nie został zestrzelony.

Wreszcie, we śnie nikt nie zginął.

Raymund Thomas Hart, wychudzony młody człowiek o niezbyt ujmującej powierzchowności, trzeci w rodzinie – po ojcu i dziadku – leżał w ciemnościach, zwinięty na pryczy. Czuł wilgoć potu zbierającego się na szyi, mimo że nocne wiosenne powietrze chłodziły ostatnie poddmuchy zimy. Chwilę wcześniej, gdy drewniane pale podpierające strop, wbite dwa i pół metra pod powierzchnią ziemi, pękły pod ciężarem namokłego gruntu, a w powietrzu rozległy się gwizdki i krzyki strażników, wsłuchiwał się w ciężki oddech i pochrapywanie śpiących mężczyzn. Poza nim w pomieszczeniu było jeszcze siedmiu ludzi, a Hart potrafił rozpoznać każdego po odgłosach wydawanych w nocy. Jeden często mówił przez sen do swej od dawna martwej załogi, inny skamlał, a czasem płakał. Trzeci cierpiał na astmę; kiedy robiło się wilgotno, sapał przez całą noc. Tommy Hart poczuł dreszcz i podciągnął pod brodę cienki szary koc.

Przeżywał dobrze znane szczegóły snu tak, jak gdyby to był film wyświetlany w otaczającej go ciemności. Lecieli w całkowitej ciszy – nie słyszeli silników ani wiatru, po prostu przemykali przez powietrze, jak przez przezroczystą, słodką ciecz. W jakimś momencie usłyszał przez interkom głęboki głos kapitana, rozciągającego słowa z teksańskim akcentem: „Noo, piekielna bando, tu nie ma już nic, do czego warto by postrzelać. Tommy, znajdź nam drogę do domu, zgoda?”

Hart we śnie przeglądał mapy i wykresy, obserwował oktant, odmierzał odległość

cyrklem, odczytywał wskazania wiatromierza i wyznaczał drogę powrotną, przypominającą czerwoną smugę poprowadzoną przez powierzchnię błękitnego Morza Śródziemnego. Droga do domu, do bezpiecznego schronienia.

Tommy Hart poczuł następny dreszcz.

Wytrzeszczał oczy w ciemności, ale widział tylko światło słoneczne, odbijające się w przewalających się niżej, białogrzywych falach. Przez moment chciał, aby jakimś cudem rzeczywistość stała się snem, żeby tak po prostu sytuacja uległa odwróceniu. Nie wydawało się to zupełnie nierozsądnym pragnieniem. Pomyślał, że proście trzeba nadać przewidziany przez procedurę bieg. Wypełnić w trzech egzemplarzach niezbędne kwestionariusze, przepłynąć przez morze wojskowej biurokracji. Zasalutować i uzyskać parafę oficera dowodzącego: „Sir, chodzi o zamianę snu na rzeczywistość i rzeczywistości na sen”.

Zamiast tego, po komendzie kapitana, wczołgał się do pleksiglasowego nosa B-25. Chciał ostatni raz rozejrzeć się dookoła, przekonać się, czy potrafi rozpoznać linię brzegową Sycylii i upewnić się, jaką zajmują pozycję. Lecieli nisko, niespełna sześćdziesiąt metrów nad powierzchnią morza, poniżej zakresu niemieckich radarów, z prędkością przekraczającą czterysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Powinno to być szaleńcze, radosne przeżycie – sześciu młodych ludzi w szybkim samochodzie na krętej wiejskiej drodze, zostawiających za sobą znaki zakazu niczym strzępki gumy z opon, odrywające się podczas przyspieszania. Nic z tego. Była to jazda ryzykowna, przypominająca ostrożne ślizganie się na łyżwach po zamrzniętym stawie, kiedy człowiek nie ma pewności, jaka jest grubość trzeszczącego przy każdym kroku lodu.

Wcisnął się w głąb stożkowatego wybrzuszenia obok celownika bombowego, tam, gdzie znajdowały się dwa pięćdziiesięciokalibrowe karabiny maszynowe. Przez chwilę miał wrażenie, że leci sam, oderwany od reszty świata, zawieszony nad wibrującym błękitem fal. Wpatrywał się w horyzont, szukał jakiegoś znajomego obiektu, czegoś, co mogłoby posłużyć za punkt odniesienia na wykresie i pomóc wyznaczyć drogę do bazy. W ich przypadku nawigacja opierała się przede wszystkim na obliczeniach.

Jednak zamiast jakiegoś grzbietu górskiego na krańcach pola widzenia dostrzegł ustawione w linię statki handlowe oraz dwa niszczyciele pływające zygzakiem tam i z powrotem niczym czujne owczarki, pilnujące powierzonej im trzody.

Hart zawahał się i szybko obliczył w pamięci. Lecieli ponad cztery godziny, dochodzili do wyznaczonych im granic. Załoga była zmęczona, chciała jak najszybciej znaleźć się w bazie. Niszczyciele tworzyły znakomitą obronę, również przed trzema bombowcami lecącymi obok siebie w promieniach południowego słońca. Wtedy pomyślał: odwróć się bez słowa, rząd statków zniknie z pola widzenia w kilka sekund, nikt się nie dowie.

Ale postąpił inaczej – zrobił to, czego go nauczono. Słuchał własnego głosu, jakby należał do kogoś innego.

– Kapitanie, cele na sterburcie. Odległość jakieś dziesięć kilometrów.

Po chwili usłyszał odpowiedź:

– No, żebyś skisł. Tommy, nie jesteś zbyt miły. Przypomnij mi, abym cię zabrał do zachodniego Teksasu na polowanie. Masz dobre oczy. Przy takim wzroku jak twój, chłopcze, nie umknie nam żaden królik w promieniu wielu kilometrów. Zrobimy sobie świeżą potrawkę. Nic na świecie nie ma lepszego smaku, chłopcy...

Dalszych słów kapitana Tommy Hart nie dosłyszał, ponieważ zaczął się pospiesznie wycofywać wąskim tunelem na środek pokładu, zwalniając miejsce dla bombardiera. Zauważył, że „Lovely Lydia” wykonuje powoli zwrot na prawo, wiedział, że ten ruch powtórzą „Randy Duck” lecący po lewej i „Green Eyes” na sterburcie. Wrócił na małe stalowe krzeselko za siedzeniami obu pilotów i ponownie zagłębił się w wykresach. Pomyślał, że ten moment jest najgorszy. Wolałby sam pełnić obowiązki bombardiera, ale to oni kierowali lotem, zyskując dodatkowego członka załogi w czasie lotu bojowego. Gdyby się podniósł, mógłby pomiędzy dwoma pilotami obserwować, co się dzieje z przodu. Wiedział jednak, że na to zdecyduje się dopiero w ostatniej sekundzie. Niektórzy lotnicy lubią, jak cel się przybliża. Hart zawsze miał wrażenie, że jest to patrzenie śmierci w oczy.

– Bombardier. Gotowy? – Głos kapitana pobrzmiwał wyższymi tonami, lecz nadal nie wyczuwało się w nim pośpiechu. – Ugryziemy ich tylko raz, więc zrobmy

to dobrze. Dowódca roześmiał się, budząc echo w interkomie. Kapitan był człowiekiem lubianym, potrafił się zdobyć na cięty dowcip nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Jego teksański, rozwlekły sposób mówienia, nigdy nie zmałowany niepokojem, pomagał załodze pokonać strach. Nie było w tym głosie cienia irytacji, nawet kiedy wokół samolotu rozrywały się pociski, a niewielkie kawałki śmiertelnie, rozgrzanego do czerwoności metalu bębniły o stalowy kadłub mitchella niczym walący w ścianę natrętny, wściekły, prostacki sąsiad. Tommy wiedział, że tego, mniej widocznego, strachu nigdy nie uda się pokonać.

Zamknął oczy w ciemności, usiłując odegnać wspomnienia. Bez powodzenia – to się nigdy nie udaje.

Głos kapitana rozległ się ponownie:

– Dobra, chłopaki, jedziemy. Jak to powiadają nasi kumple, angielscy marynarze? Tally ho! A może ktoś ma pojęcie, co oni przez to rozumieją, do cholery?

Dwa czternastocylindrowe silniki Wright Cyclone zawyły, gdy kapitan przesunął dźwignię obrotów daleko poza czerwoną linię. Maksymalna prędkość mitchella miała wynosić niewiele ponad pięćset kilometrów na godzinę, ale Tommy wiedział, że dawno przekroczyli ten pułap. Starali się zejść od strony słońca, nisko nad horyzontem. Ciemny kształt maszyny jest doskonale widoczny w celownikach wszystkich dział konwoju – pomyślał Hart.

Otwarto luk przedziału bombowego. „Lovely Lydia” lekko zadrżała i odbiła w górę, podrzucona nagłym podmuchem ognia otwartego przez czekające na nich działa. Kłęby czarnego dymu wypełniły powietrze, zbuntowane silniki głośno protestowały. Drugi pilot wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa, samolot rwał w kierunku wydłużonej linii statków. Tommy podniósł się z siedzenia i wyjrzał przez okno kokpitu, zaciskając dłonie na stalowej barierce. W mgnieniu oka wychwycił zarys jednego z niemieckich niszczycieli, ciągnącego za sobą jak ogon długą białą smugę; okręt kręcił się na wodzie jak baletnica w piruecie, ze wszystkich łuf unosił się dym.

„Lovely Lydia” oberwała raz, potem drugi, schodząc ukośnie w dół. Tommy Hart poczuł suchość w gardle. Wpatrywał się w statki, desperacko usiłujące zejść z toru

lejących bomb. Z głębi ciała wydobywał mu się jakiś głos, w połowie krzyk, w połowie jęk.

– Zrzućcie bomby! – zawołał, lecz jego głos zagłuszył szum silników i huk rozrywających się dookoła pocisków. Samolot dźwigał sześć dwustukilogramowych bomb, a technika bombardowania konwoju przypominała strzelanie z wiatrówki do szeregu metalowych kaczek na lokalnym jarmarku – z tą różnicą, że kaczki nie odpowiadają ogniem. Bombardier zignoruje nigdy niepisujący się dobrze celownik Nordena, każdorazowo określi cel na oko, zrzuci bombę, szarpiąc samolotem i wybierze następny obiekt. Wydarzenia biegły szybko i budziły strach – szybkość i przerażenie mieszały się ze sobą.

Jeżeli zrobi się to dobrze, bomby odbiją się od powierzchni wody i uderzą w cel z boku, niczym tocząca się kula na kręgle. Bombardier miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, świeżą cerę i był wiejskim chłopcem z Pensylwanii, który wyrastał, polując na jelenie w gęstych lasach rodzinnego stanu. Dobrze wykonywał swoją pracę – idealnie chłodny, opanowany, nie przejmował się, że każdy ułamek sekundy przybliży do śmierci ich samych oraz tych, których usiłują osiągnąć.

– Jedna poszła! – W interkomie rozległ się głos chłopaka z dziobu samolotu; jego słowa dobiegały jak gdyby z daleka, z odległego pola. – Poszły dwie! Trzy! „Lovely Lydia” drżała od dziobu po ogon, rozrywana uderzeniami pędzących w jej kierunku pocisków, wstrząsana spadającymi bombami, własną szybkością i wiatrem szarpiącym skrzydła. – Poszły wszystkie! Zabieraj nas stąd, kapitanie!

Silniki znowu zawyły, kiedy kapitan przesunął drążek do tyłu, podrywając maszynę do góry. – Tylna wieżyczka! Co widzicie?

– Jezusie, Mario, Józefie, kapitanie! Jeden trafiony! Nie, trzy! Nie, do diabła, pięć trafień! Jezu Chryste! Mój Boże, mój Boże! Dorwali „Ducka”! Och, nie, mają też „Green Eyes”!

– Trzymajcie się, chłopaki! – odparł kapitan. – Wrócimy do domu na kolację. Tommy, sprawdzaj! Powiedzcie mi, co widać z tyłu!

„Lovely Lydia” miała na dachu małe wybrzuszenie z pleksiglasową osłoną, służące nawigatorowi do obserwacji, chociaż Tommy wołał wsuwać się do części

dziobowej. Po metalowym schodku wspiął się do kabinki; szybko spojrzał za siebie i dostrzegł spiralę czarnego dymu unoszącą się z kilku statków konwoju oraz czerwony błysk eksplozji na tankowcu przewożącym ropę. Ale radość z odniesionego sukcesu szybko znikła. Zauważył coś, co przeraziło go bardziej niż dotychczasowe wydarzenia: szybkość, hałas silników czy ściana ognia, przez którą się przebili. Nie miał wątpliwości – z lewego silnika strzelały czerwonopomarańczowe płomienie, ognisty język lizał powierzchnię skrzydła.

– Lewa burta! Lewa burta! Ogień – krzyknął do interkomu.

Kapitan odpowiedział nonszalancko:

– Tak, wiem, podpaliśmy ich, cholernie dobra robota, bombardierze...

– Nie, do diabła, kapitanie, to my się palimy!

Płomienie strzelały z pokrywy silnika, wiatr unosił czarny dym. Zginęliśmy – pomyślał Tommy. Za sekundę, dwie, a może pięć czy dziesięć ogień dojdzie do przewodu paliwowego, przedostanie się do zbiornika i samolot eksploduje.

Wtedy przestał się bać. To było przedziwne uczucie – patrzeć, jak coś takiego dzieje się tuż koło ciebie i rozumieć zapowiedź zbliżającej się śmierci. Poczul lekką irytację na myśl, że nic nie jest w stanie na to poradzić, a potem się poddał. Odniósł też dziwne wrażenie jakiejś odległej samotności i zaczął się martwić o matkę, brata przebywającego gdzieś na Pacyfiku oraz siostrę i jej najlepszą przyjaciółkę, mieszkającą o jedną przecznicę za ich domem w Manchesterze. Kochał ich z bolesną intensywnością. Wiedział, że będą bardzo zranieni i będą cierpieć dłużej niż on w krótkim, ostatecznym wybuchu. Tę gonitwę myśli przerwał głos kapitana:

– Trzymać się mocno, chłopaki, spróbujemy sięść na wodzie!

„Lovely Lydia” zaczęła ostro pikować w dół, szukając jedynej szansy ratunku: zanurzenia w falach i być może ugaszenia ognia, zanim maszyna eksploduje.

Hartowi wydawało się, że otaczający go świat krzyczy – nie słowami ani dźwiękami o ziemskiej naturze, tylko trzaskiem piekielnego kręgu szalejących płomieni. Zawsze powtarzał sobie, że gdyby wpadli do morza, wciśnie się za stalowe rusztowanie siedzenia drugiego pilota, ale nie miał czasu tam dotrzeć. Uchwycił się desperacko rury biegnącej pod sufitem i pędził w głąb błękitnego Morza

Śródziemnego z prędkością prawie pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W tej przerażającej chwili patrzył na świat niczym nonszalancki podróżny z Manhattanu, trzymający się uchwytu w pociągu metra i cierpliwie czekający na swój przystanek.

Leżący w łóżku Tommy zadrżał jeszcze raz.

Przypominał sobie szczegóły: krzyżącego sierżanta w wieżyczce. Kołysząc się, ruszył w jego kierunku, ponieważ zdawał sobie sprawę, że uwięziony na krzeselku strzelec nie może otworzyć zatrzaśniętego pod wpływem impetu zaworu bezpieczeństwa i wzywa pomocy. W tej samej sekundzie kapitan zawołał:

– Tommy, idź stąd! Wynoś się, ja pomogę strzelcowi!

Nie słyszał głosów pozostałych lotników. Polecenie kapitana było ostatnim dźwiękiem z samolotu „Lovely Lydia”. Ze zdziwieniem obserwował, jak otwiera się boczny luk, a jego kamizelka ratunkowa wypełnia się powietrzem, jak unosi się na wodzie niczym dziecinna korkowa zabawka. Odpłynął od samolotu i odwrócił się, czekając na ewakuację następnych lotników, ale nikt się nie pokazał.

– Wyłaźcie! Wyłaźcie! Wyjdźcie, proszę! – wołał.

Dryfował na powierzchni. Czekał.

Po kilku sekundach „Lovely Lydia” nagle szarpnęła do przodu, nosem opadła w dół i bezgłośnie zniknęła pod powierzchnią wody. Tommy pozostał na morzu sam.

Zawsze go niepokoiło to zdarzenie. Kapitan, drugi pilot, bombardier i dwaj strzelcy wydawali się znacznie szybsi i bardziej zdecydowani od niego. Byli młodzi, wysportowani, zgrani i doświadczeni. Byli szybcy i sprawni, dobrze strzelali z karabinu maszynowego i do kosza na boisku, szybko obiegali bazy przy grze w baseball. Uważał ich za prawdziwych wojowników na pokładzie „Lovely Lydii”, natomiast siebie traktował jak głupiego, ślęczącego nad książkami studenta, chudego i niezdarnego, choć umiającego dobrze liczyć i znającego prawo grawitacji, który dorastając, obserwował gwiazdy na niebie rodzinnego stanu Vermont i dzięki temu, raczej z przypadku niż patriotycznego powołania, został nawigatorem i w większym lub mniejszym zakresie odpowiadał za lot. Uważał się za ledwie za element wyposażenia, zwyczajny dodatek, a ich za prawdziwych lotników, prawdziwych

ludzi wojny.

Nie mógł pojąć, dlaczego on żyje, podczas gdy zginęli ludzie, na pozór tyle od niego silniejsi.

Unosił się samotnie na falach prawie przez dwadzieścia cztery godziny – słona woda mieszała się ze łzami; był na granicy delirium – pływał zdesperowany, aż wreszcie wyłowiała go włoska łódź rybacka. Szorstcy mężczyźni odnosili się do niego z nieoczekiwaną delikatnością. Owinęli go w koc, poczęstowali szklanką czerwonego wina. Tommy do tej pory pamiętał, jak ten trunek palił w gardle. Kiedy dobili do brzegu, posłusznie przekazali go Niemcom.

Tak wyglądały wydarzenia w rzeczywistości. Jednak prawdziwy obraz wyparował z pamięci Harta, ustąpił miejsca znacznie bardziej optymistycznej wersji, w której wszyscy przeżyli i zgromadzili się pod skrzydłem maszyny, opowiadali dowcipy o arabskich kupcach, krążących wokół ich zakurzonej bazy w Afryce Północnej i przechwalali się, co zrobią ze swym życiem po powrocie do Stanów Zjednoczonych. Kiedy jeszcze wszyscy żyli, Tommy myślał, że załoga „Lovely Lydii” to najlepsi przyjaciele, jakich będzie miał kiedykolwiek. Tylko czasami uważał, że po skończonej wojnie, nigdy się już nie spotkają. Nie brał pod uwagę tego, że nie zobaczą się, ponieważ wszyscy zginą, a tylko on pozostanie przy życiu.

Leżał na łóżku i myślał: oni zawsze pozostaną ze mną.

Któryś z jeńców poruszył się; drewniane deski zatrzeszczały, zagłuszyły słowa człowieka mówiącego przez sen – jego głos zmienił się w dziewczęcy jęk.

Ja przeżyłem, oni zginęli.

Hart często przeklinał swój doskonały wzrok, ponieważ dostrzegł tamten konwój. Gdyby urodził się ślepy, a nie obdarzony wyjątkowo bystrymi oczami, pomyślał całkiem bez sensu, wszyscy żyliby dotychczas. Zdawał sobie sprawę, że takie myśli nie prowadzą do niczego dobrego. Jeżeli przeżyje wojnę – przysiągł sobie – przejedzie całe Stany aż do zachodniego Teksasu, a tam zanurzy się głęboko w zarośla tego dzikiego, pełnego wyschniętych strumieni kraju, weźmie karabin i zacznie zabijać króliki. Zastrzeli każdego królika, jakiego zauważy w promieniu wielu kilometrów, aż wyczerpany upadnie na ziemię, skończy mu się amunicja, a

lufa karabinu rozgrzeje się do czerwoności. Zabije tyle królików, żeby wystarczyło kapitanowi na całą wieczność.

Wiedział, że nie zdoła ponownie zasnąć.

Położył się i słuchał deszczu bębniącego o blaszany dach jak kule wystrzeliwane z karabinu. W ten szum wmieszał się odgłos dalekiego wybuchu. Chwilę później rozległy się ostre gwizdki i nerwowe okrzyki rozwścieczonych niemieckich strażników obozowych. Zsunął stopy z pryczy i zaczął naciągać buty, kiedy usłyszał walenie do drzwi baraku i wrzask: Raus! Raus! Schnell! Na dziedzińcu będzie zimno, więc Hart sięgnął po starą, skórzaną kurtkę lotniczą. Otaczający go mężczyźni pospiesznie się ubierali, wkładali wełnianą bieliznę i popękane, znoszone buty lotnicze. Przez brudne okna baraku przenikały pierwsze promienie świtu. Tommy stracił z oczu obraz „Lovely Lydii” i jej załogi. Zniknął w jakimś dalekim zakamarku jego pamięci. Szybko dołączył do tłumu mężczyzn, wychodzących w wilgotny chłód wczesnego poranku w Stalagu Luft 13.

Porucznik Tommy Hart dreptał w jasnobrązowym błocie obozowego placu. Po kilku minutach od ogłoszenia apelu, ilekroć mijał ich strażnik, rozlegał się pomruk. Ludzie zaczęli narzekać i hałasować.

Niemcy zazwyczaj ignorowali ich. Czasem tylko Hundführer z ujadającym owczarkiem u boku odwracał się do grupy jeńców, jak gdyby miał zamiar spuścić psa, wtedy lotnicy cichli na kilka minut. Jakiś czas temu zatrzymał się przy nich pułkownik Luftwaffe Edward von Reiter, komendant obozu, gdy zaczepił go starszy oficer amerykański, pułkownik Lewis MacNamara, żeby wyrzucić z siebie potok skarg. Von Reiter słuchał przez trzydzieści sekund, potem ruchem ręki wskazał mu miejsce na czele ustawionych w czworoboki jeńców i szybko ruszył w stronę baraku sto dziewięć.

Więźniowie przestępowali z nogi na nogę, mamrotali, a wokół wstawał nowy dzień. Sami nadali sobie nazwę Kriegies jako skrót od niemieckiego Kriegsgefangene, czyli w wolnym tłumaczeniu „jeniec wojenny”. Wyczekiwanie na stojąco było nudne i wyczerpujące. Dobrze to znali, lecz wciąż nienawidzili.

W obozie przebywało prawie dziesięć tysięcy jeńców alianckich, podzielonych na dwa podobozы – północny i południowy. Lotnicy amerykańscy – sami oficerowie – znajdowali się w podobozie południowym, a Brytyjczycy i pozostali alianci trafili do części północnej, oddalonej o pół kilometra. Przejście z jednego podobozu do drugiego, niby nic nadzwyczajnego, nastroczało jednak pewne trudności. Trzeba było mieć uzasadnione powody i maszerować pod eskortą uzbrojonego strażnika. Naturalnie, dobrym powodem mogło się okazać szybkie przekazanie kilku papierosów jednemu ze szperaczy, jak Kriegies nazywali wartowników włóczących się po obozie, uzbrojonych tylko w przypominające szpadę metalowe pręty, które wbijali w ziemię. Wartowników z psami nazywano tak, jak należało, ponieważ wszyscy bali się tych bestii. Obozów nie otoczono murem, a jedynie płotem wysokim na siedem metrów. Po obydwu stronach metalowej siatki ciągnęły się dwa szeregi zasieków z drutu kolczastego. Co pięćdziesiąt metrów przy płocie wznosiła się przysadzista, drewniana wieża. Przez dwadzieścia cztery godziny na wieżach siedzieli niemający poczucia humoru, nieprzekupni strzelcy z zawieszonymi na szyjach pistoletami maszynowymi Schmeisser.

Po wewnętrznej stronie w odległości trzech metrów od ogrodzenia Niemcy rozciągnęli cienki drut umocowany na drewnianych palikach. To była granica – każdego przekraczającego tę linię uznawano za uciekiniera i mógł zostać zastrzelony. Tak przynajmniej niemiecki komendant informował wszystkich jeńców, przybywających do Stalagu Luft 13. W praktyce strażnicy pozwalali jeńcom, ubranym w białe kitle z czerwonym krzyżem, wbiegać tam za piłką, jeśli potoczyła się poza wyznaczoną granicę. Czasem jednak przeganiali ich dla rozrywki i strzelali w powietrze nad ich głowami lub w pylistą ziemię pod nogami. Przeskakiwanie wyznaczonej linii stało się ulubionym zajęciem Kriegies.

Majowe słońce szybko się podnosiło i ogrzewało twarze mężczyzn zgromadzonych na placu apelowym. Tommy Hart przypuszczał, że stoją w szeregach od prawie czterech godzin; obok nich, w kierunku zawałonego tunelu, raz po raz przechodziły grupy niemieckich oficerów i żołnierzy. Oficerowie szli z marsowymi minami, żołnierze nieśli łopaty i oskardy.

– To przez to cholerne drewno – odezwał się ktoś z szeregu. – Wilgotnieje, butwieje, nie nadaje się na podpórkę.

Tommy Hart odwrócił głowę. Powiedział to żyłasty facet z zachodniej Wirginii, drugi pilot bombowca B-17. Jego ojciec od młodych lat pracował w kopalni węgla. Domyślał się, że ten oficer, w którego głosie pobrzmiewała nuta obrzydzenia, odgrywał czołową rolę w planowaniu ucieczki. Ludzie znający się na ziemi – farmerzy, górnicy, kopacze, a nawet zestrzelony nad Francją dyrektor domu pogrzebowego z sąsiedniego baraku – przystąpili do tej działalności już w kilka godzin po przyjeździe do Stalagu Luft 13.

W przeciwieństwie do kolegów, Hart nie próbował uciekać z obozu, nie miał nawet szczególnej ochoty próbować. Nie w tym rzecz, że nie chciał odzyskać wolności, lecz żeby uciec, musiałby wejść do tunelu.

A tego nie był w stanie zrobić.

Podjeżdżał, że strach przed znalezieniem się w zamkniętej przestrzeni pochodzi z czasów, gdy przypadkowo został zatrzaśnięty w schowku w piwnicy jako cztero- czy pięcioletnie dziecko. Spędził w ciemności kilka przerażających godzin, zgrzany i zapłakany, słysząc nawołującą go z daleka matkę, ale niezdolny wydobyć z siebie głosu. Prawdopodobnie nie określiliby strachu, jaki towarzyszył mu od tamtej pory mianem klaustrofobii, choć o to właśnie chodziło. Wstąpił do lotnictwa częściowo dlatego, że nawet w niewielkim wnętrzu bombowca czuł się jak na otwartej przestrzeni. Myśl, że mógłby zostać zamknięty w czołgu lub łodzi podwodnej przerażała go bardziej niż nieprzyjacielskie pociski.

Po dostaniu się do dziwnie niepewnego świata więziennego, jakim okazał się Stalag Luft 13, Tommy Hart wiedział jedno: jeżeli stąd wyjdzie, to tylko przez główną bramę. Nigdy dobrowolnie nie zgodzi się wpełznąć do tunelu.

W tej sytuacji wydawał się zadowolony – choć lepiej byłoby powiedzieć pogodzony – z perspektywy doczekania końca wojny mimo obowiązujących w obozie rygorów. Czasem proponował kolegom pomoc. Na przykład obserwował jednego z wartowników w ramach systemu wczesnego ostrzegania, wprowadzonego przez obozowych oficerów bezpieczeństwa. Kiedy jakiś Niemiec zaczynał krążyć po

obozie, natychmiast ruszali za nim niespuszczający go z oka obserwatorzy, przekazujący obiekt jeden drugiemu i posługujący się rozbudowanym systemem sygnalizacyjnym. Szperacze dobrze wiedzieli, że są obserwowani i z uporem starali się pozbyć towarzystwa, nieustannie zmieniając trasę obchodu.

– Hej! Fritz Numer Jeden! Jak długo chcecie nas tu trzymać?

W głosie mówiącego człowieka pobrzmiwała nuta autorytetu. Pochodził z Nowego Jorku i był pilotem myśliwskim w randze kapitana. Emocje skierował do chodzącego samotnie Niemca, ubranego w szary kombinezon i naciągniętą na oczy miękką czapkę polową – standardowy uniform szperacza. Trzech wartowników nosiło imię Fritz, a jeńcy zawsze zwracali się do nich po imieniu, dodając numer, co niesłychanie Niemców drażniło.

Strażnik odwrócił się, popatrzył na kapitana stojącego w pierwszym szeregu, po czym podszedł do niego. Niemcy ustawiali ludzi w czworoboki, po pięciu jeńców w każdym, żeby ułatwić sobie liczenie.

– Jeżeli pan nie kopał, kapitanie, to nie będzie pan musiał tu stać – powiedział doskonałą angielszczyzną.

– Do diabła, Fritz Numer Jeden – odrzekł oficer. – My niczego nie kopaliśmy. To prawdopodobnie zapadła się jakaś część waszej parszywej instalacji kanalizacyjnej. Powinniście pozwolić, aby nasi ludzie pokazali wam, jak to trzeba zrobić.

Niemiec potrząsnął głową.

– Nie, Kapitän, to był tunel. Ucieczka to wariactwo. Tym razem kosztowała życie dwóch ludzi.

Ta wiadomość uciszyła lotników.

– Dwóch ludzi? Jak to się stało? – zapytał kapitan.

Szperacz wzruszył ramionami.

– Kopali i zawałiła się ziemia. Znaleźli się w pułapce. Pogrzebani. To strata. Wielki idiotyzm.

Podniósł nieco głos i wpatrywał się w stojących w szyku przeciwników.

– To jest głupota. Dummkopf. – Schylił się i podniósł garść błotnistej gruntu, ściskając go długimi, prawie kobiecymi palcami. – Ta ziemia. Dobra do sadzenia

roślin. Do hodowania żywności. To jest dobre. Dobre do waszych zabaw. Tamta ziemia też jest dobra... – Gestem wskazał obozowe boisko sportowe. – Ale nie dość mocna dla waszych tuneli. – Ponownie odwrócił się do kapitana. – Nie będzie pan już latał, Kapitän, chyba że dopiero za rok. Jeżeli pan dożyje.

Oficer z Nowego Jorku spojrział na Niemca twardym wzrokiem i odpowiedział:

– No cóż, przekonamy się, jak będzie, prawda?

Strażnik zasalutował leniwie i ruszył dalej, zatrzymując się przy końcu szeregów. Tam dokonał szybkiej transakcji wymiennej z innym oficerem. Tommy Hart zauważył, jak Fritz Numer Jeden chwyta kilka papierosów, podanych mu przez Amerykanina. Był to suchy, niski, uśmiechnięty kapitan bombowca, Vincent Bedford z Greenville w stanie Missisipi. Także czołowy negocjator i kupiec w obozie, więc otrzymał przydomek Trader Vic, taki sam, jakim obdarzono słynnego restauratora.

Bedford mówił z niewyraźnym, przeciągłym akcentem południowca. Znakomicie grał w pokera i dobrze w baseball, przez pewien czas występował w zespołach ligowych niższych kategorii. Przed wojną sprzedawał samochody, co wydawało się odpowiednim dla niego zajęciem. Jednak w Stalagu Luft 13 szczególnie wyróżnił się jako handlowiec, zamieniając papierosy, czekoladę i puszki prawdziwej kawy, przysyłane w paczkach Czerwonego Krzyża lub ze Stanów Zjednoczonych, na odzież i inne towary. Brał też dodatkowe ubrania i zamieniał je na artykuły spożywcze. Vincent Bedford imiał się każdego handlu i rzadko się zdarzało, aby nie wyszedł na swoje, a kiedy taki niecodzienny przypadek się przydarzył, wyrównywał straty hazardem. Gra w pokera mogła uzupełnić jego zasoby równie skutecznie jak paczka przysłana z domu. Chyba prowadził też innego rodzaju działalność, ponieważ zawsze miał najnowsze wiadomości, a informacje wojenne docierały do niego szybciej niż do kogokolwiek innego. Tommy Hart przypuszczał, że Bedford jakimś cudem załatwił sobie radio, ale nie wiedział tego na pewno. Wiedział natomiast, że kapitan jest lokatorem baraku sto jeden i warto go odwiedzać. W obozie, gdzie mieszkańcy mieli niewiele, on zgromadził prawdziwą fortunę: zapasy kawy, jedzenia, wełnianych skarpet, długich kałesonów i tego wszystkiego, co życie w

zamknięciu czyniło bardziej znośne.

W tych rzadkich chwilach, kiedy Trader Vic nie zajmował się handlem, snuł idylliczne opowieści o wspaniałościach małego miasteczka, z którego się wywodził. Zawsze mówił o nim miękkim akcentem z głębokiego Południa, powoli, z uczuciem. Lotnicy nieraz grozili mu, że po wojnie wszyscy przeniosą się do Greenville tylko po to, żeby się wreszcie zamknął, ponieważ rozmowa o domu, nawet w formie najpiękniejszej elegii, nasilała uczucie nostalgii. Jeńcy żyli na granicy rozpacz, rozmyślanie zaś o Stanach nie przynosiło niczego dobrego, chociaż i tak wszyscy o tym myśleli.

Bedford obserwował oddalającego się szperacza, potem odwrócił się i szepnął coś następnemu w szeregu. Wystarczyło kilka sekund, aby najnowsza wiadomość rozeszła się najpierw wśród ludzi z jego szeregu, a później po całym obozie.

W śmiertelnej pułapce znaleźli się Wilson i O'Hara. Obaj byli znanymi szczurami tunelowymi. Tommy Hart słabo znał O'Harę, choć mieszkał w tym samym co on baraku, ale w innym pokoju i był dla niego tylko jedną z dwustu postaci słoczonych w tym miejscu. Według pogłosek powtarzanych szeptem przez jeńców, obaj oficerowie zeszli do tunelu późno w nocy i usiłowali ustawić podpórki z belek, gdy miękka ziemia osunęła się i zostali żywcem pogrzebani.

Zgodnie z wiadomościami uzyskanymi przez Bedforda, Niemcy postanowili zostawić ciała tam, gdzie zasypała je ziemia.

Początkowe szepty szybko ustąpiły miejsca gniewnym głosom. Zgromadzeni na placu jeńcy wyrównali szeregi, ramiona cofnęli do tyłu. Bez żadnej komendy stanęli na baczność.

Tommy Hart postąpił tak samo, ale przedtem zerknął tam, gdzie stał Trader Vic. Zobaczył coś uderzającego, choć ulotnego i trudnego do określenia.

Zanim zdążył zrozumieć, co go zaniepokoiło, kapitan z Nowego Jorku zawołał:

– Zabójcy! Cholerni mordercy! Dzikusy!

Okrzyk podjęli jeńcy z innych grup, na placu rozległy się okrzyki oburzenia.

Starszy oficer amerykański wystąpił przed szereg i patrzył na jeńców wzrokiem nawołującym do dyscypliny, chociaż jego wściekłość była doskonale widoczna w

zimnym spojrzeniu i zawadiacko wysuniętej szczęce. Pułkownik Lewis MacNamara należał do wojskowych ze starej szkoły, w mundurze spędził ponad dwadzieścia lat i rzadko musiał podnosić głos. Przywykł do posłuszeństwa, okazywanego mu przez innych. Był to człowiek sztywny, najwyraźniej traktujący swoje uwięzienie jako kolejną pozycję na długiej liście zadań wojskowych. Przyjął pozycję „spocznij”, z nogami w lekkim rozkroku i ramionami mocno splecionymi za plecami. W tym momencie dwaj niemieccy wartownicy zarepetowali karabiny. Zapewne był to gest obliczony na wystraszenie jeńców, ale w postawie żołnierzy było tyle determinacji, że ustawieni na placu mężczyźni stopniowo ucichli.

Tak naprawdę nikt nie przypuszczał, żeby strażnicy otworzyli ogień do stojących w zbitej masie lotników, ale też nikt nie był całkiem pewny, że tego nie zrobią.

Przez błotnisty majdan energicznie kroczył w wypolerowanych, wysokich butach komendant obozu w towarzystwie dwóch adiutantów. Na ten widok rozległy się gwizdy i kocia muzyka. Von Reiter zignorował hałasy. Nie odezwał się słowem do starszego oficera amerykańskiego, tylko zwrócił do jeńców:

– Teraz przeprowadzimy odliczanie. Później zostaniecie zwolnieni. – Po krótkiej przerwie dodał: – Odliczanie wykaże brak dwóch ludzi! Idiotyzm!

Lotnicy stali w milczeniu na baczność.

– To trzeci tunel w ciągu ostatniego roku! – ciągnął von Reiter. – A pierwszy, który kosztował ludzkie życie! – W głośnym krzyku wyczuwało się frustrację. – Dalsze próby ucieczki nie będą tolerowane!

Przerwał i spojrzał na jeńców. Uniósł do góry kościsty palec niczym zaszuszonego nauczyciela, wygrażający niesfornym uczniakom.

– W moim obozie nigdy nie doszło do skutecznej ucieczki! I nigdy do niej nie dojdzie! – Znowu przerwał, obrzucając wzrokiem stojących przed nim lotników. – Otrzymałście ostrzeżenie – zakończył.

Po chwili ciszy wystąpił pułkownik MacNamara. Głos miał równie władczy jak von Reiter. Stał wyprostowany, we wzorowej żołnierskiej postawie. Postrzępiony, zszargany mundur jeszcze bardziej podkreślał to zachowanie.

– Chciałbym skorzystać z okazji i przypomnieć Herr Oberstowi, że wynikającym

z przysięgi obowiązkiem każdego oficera jest starać się uciec z nieprzyjacielskiej niewoli.

Von Reiter wyciągnął rękę, jak gdyby chciał zamknąć usta Amerykaninowi.

– Ten obowiązek dotyczy również lotników Luftwaffe wziętych do niewoli przez naszą stronę – dorzucił głośno MacNamara. – I jeśli lotnik z Luftwaffe zginie podczas próby ucieczki, zostaje pochowany przez swoich kolegów z pełnymi honorami wojskowymi!

Von Reiter zmarszczył brwi – chciał odpowiedzieć, lecz się rozmyślił. Leciutko skinął głową. Obaj oficerowie patrzyli na siebie twardym wzrokiem, jakby o coś walczyli. Była to próba siły woli.

Komendant gestem przywołał starszego oficera amerykańskiego i odwrócił się tyłem do zgromadzonych jeńców. Obaj pułkownicy pomaszrowali noga w nogę ku głównej bramie, przez którą przechodziło się do obozowych biur. Przy każdej grupie więźniów natychmiast pojawili się szperacze; lotnicy rozpoczęli dobrze znane, żmudne odliczanie. W trakcie tego zajęcia usłyszeli głuchy odgłos podziemnej eksplozji – to niemieccy saperzy detonowali ładunki wybuchowe w zawalonym tunelu, zasypując go żółtą, piaszczystą glebą, pod którą zginęło dwóch jeńców. Tommy Hart pomyślał, że jest coś niewłaściwego i nieuczciwego w sytuacji, kiedy człowiek zaciąga się, żeby latać w czystym, przejrzystym powietrzu, nie bacząc na niebezpieczeństwa, a potem umiera samotnie z braku powietrza, uwięziony ponad dwa metry pod ziemią. Jednak nie powiedział tego głośno.

Wejście do tunelu zaczynającego się w baraku sto dziewięć zostało ukryte pod zlewem w umywalni. Tunel najpierw schodził prosto w dół, następnie skręcał w prawo, w kierunku drutów. W obozie znajdowało się czterdzieści baraków, a sto dziewięć stał najbliżej ogrodzenia. Żeby dostać się pod osłonę ciemnych, wysokich jodeł na skraju gęstego bawarskiego lasu, kopacze musieli przebić się przez prawie sto metrów piaszczystej ziemi. Zawalony tunel miał niespełna jedną trzecią potrzebnej długości. Z trzech tuneli, budowanych w ciągu minionego roku, ten został doprowadzony najdalej i budził największe nadzieje.

Podobnie jak każdy jeniec w obozie, Tommy Hart przekroczył koło południa wytyczoną linię graniczną, by popatrzeć na pozostałości tunelu. Próbował wyobrazić sobie, jak czuli się uwięzieni pod powierzchnią ziemi ludzie. Ładunki odpalone przez saperów poruszyły grunt, mieszały trawę z brunatną, błotnistą glebą i utworzyły kratery w miejscach, gdzie wybuchy spowodowały zawalenie się tunelu. Wartownicy zalewali otwór w baraku sto dziewięć płynnym cementem.

Tommy westchnął na głos. Nieopodal stali dwaj piloci z B-17, mimo dość ciepłego dnia ubrani w ciężkie kożuchy. Oni również obserwowali zniszczony tunel.

– To nie wydaje się tak daleko – powiedział jeden z nich, wzdychając.

– Blisko – mruknął jego towarzysz.

– Faktycznie, blisko – ciągnął pierwszy. – Do lasu, pomiędzy drzewa, potem znaleźć drogę do miasta i jesteś na swoim. Wystarczy dostać się na dworzec i do linii kolejowej na południe. Wskoczyć do jakiegoś pociągu towarowego, jadącego do Szwajcarii i w drogę. Cholera. To naprawdę blisko.

– Wcale nie blisko – zaprotestował Tommy. – No i bardzo łatwo to wypatrzeć z północnej wieży.

Dwaj oficerowie zawahali się i przytaknęli, jakby zdali sobie sprawę, że zawodzą ich oczy. Wojna potrafi skracać i wydłużać dystans, zależnie od zagrożenia związanego z pokonywaniem określonej przestrzeni. Tommy pomyślał, że trudno ocenić różne rzeczy we właściwych proporcjach, szczególnie wtedy, gdy człowiek ryzykuje własnym życiem.

– Mimo to chciałbym mieć choćby małą szansę – powiedział jeden z pilotów. Był chyba trochę starszy od Tommy'ego Harta i znacznie mocniej zbudowany. Nie ogolił się, a czapkę nasunął na oczy. – Tylko jedną szansę. Gdybym zdołał przedostać się na drugą stronę, gdzie nie ma drutów, to, do cholery, nic na świecie by mnie nie powstrzymało...

– Chyba że kilka milionów szkopów – wtrącił jego kolega. – Poza tym nie umiesz po niemiecku; no i dokąd byś poszedł?

– Do Szwajcarii. To piękny kraj. Tylko krowy, góry i śmieszne małe domki...

– Górskie szałas – poprawił drugi. – Oni nazywają je szałasami.

– Faktycznie. Pożyłbym sobie miło przez kilka tygodni i przytył, jedząc czekoladę. Doskonałe, wielkie tabliczki czekolady z tłustego mleka, które podawałaby mi ładna, wiejska dziewczucha z warkoczykami, a jej mamusi i tatusia nie byłoby w pobliżu. Potem chyba wróciłbym do Stanów, gdzie moja dziewczyna może powitałaby mnie tak, jak wita się bohaterów; możecie mi wierzyć.

Drugi pilot trącił kolegę w ramię. Skórzana kurtka stłumiła odgłos uderzenia.

– Marzyciel z ciebie – zauważył i zwrócił się do Tommy’ego: – Długo siedzisz w tej dziurze?

– Od listopada czterdziestego drugiego.

Piloci aż gwizdnęli.

– No, no! Weteran. Wychodziłeś stąd?

– Ani razu – odrzekł Tommy. – Nawet na minutę czy sekundę.

– Człowieku – ciągnął jeden z pilotów. – Ja tu jestem ledwie pięć tygodni i już dostaję kręćka. To tak, kapujesz, jakby mnie swędziało na samym środku pleców. Tam, gdzie człowiek nie może się podrapać.

– Lepiej się do tego przyzwyczaić – przekonywał Tommy. – Ludzie usiłują stąd szybko zwać. To szybka śmierć.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – odparł pilot.

Hart przytaknął ruchem głowy. Do tego nie można się przyzwyczaić – pomyślał. Zamknął oczy, przygryzł dolną wargę, ciężko oddychał.

– Niekiedy – powiedział miękko – trzeba poszukać wolności tutaj... – Poklepał się po czole.

Jeden z pilotów przytaknął, drugi odwrócił się w kierunku głównego obozu.

– Hej, spójrzcie, co się dzieje – powiedział.

Tommy szybko się obrócił i dostrzegł kilku ludzi idących w zwartym szyku przez rozległe boisko. Najwidoczniej dobrze się urządzili w Stalagu Luft 13 – mieli krawaty, wyprasowane koszule i bluzy, ostre kanty na nogawkach spodni. Galowe mundury w obozie jenieckim.

Każdy z nich niósł instrument muzyczny. Majowe słońce ostrym blaskiem odbiło się od mosiężnego puzonu. Perkusista zawiesił na pasie bębenek, a kiedy orkiestra

zbliżyła się do jeńców, spod pałeczek wydobył się potoczysty, metaliczny dźwięk.

Lider grupy szedł z przodu. Patrzył prosto przed siebie, na las widoczny za drutami. Trzymał dwa instrumenty – klarnet w prawej ręce i błyszczącą, wypolerowaną na złotobrazowy kolor trąbkę w lewej. Muzycy maszerowali szybko noga w nogę. Szef od czasu do czasu podawał ton, zagłuszając nieustające dudnienie bębena.

Wystarczyło kilka sekund, by dziwna grupka przyciągnęła uwagę pozostałych jeńców. Ludzie zaczęli wybiegać z baraków, tłoczyli się, usiłowali zobaczyć, co się dzieje. Przed barakami położonymi na uboczu oficerowie uprawiający małe ogródki porzucali narzędzia i ruszali za maszerującym oddziałkiem. Przerwano mecz baseballu, rozgrywany na boisku sportowym. Zawodnicy porzucili na placu rękawice, kije i piłki i przyłączyli się do tłumu idącego za muzykami.

Lider zespołu był niski, lekko łysiejący i chudy jak zapaśnik wagi koguciej. Nie zwracał uwagi na setki lotników za plecami; dalej maszerował ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Nieustannie powtarzał komendę, wyznaczającą rytm kroków: „Prawa, prawa, prawa...”. Jego ludzie zrobili ostry zwrot w lewo, jakiego nie powstydziliby się zespół musztrowany w West Point i doszli do wyznaczonej linii granicznej. Na komendę szefa: „Oddział... stój!”, muzycy zatrzymali się o krok przed rozciągniętym drutem, uderzając miarowo stopami w ziemię.

Na najbliższej wieży niemieccy strzelcy obrócili w ich kierunku pistolety maszynowe. Wydawali się jednocześnie zaciekawieni i zdecydowani. Pod niezgrabnymi stalowym hełmami, ledwie widoczne były ich oczy, kiedy lustrowali plac znad luf broni.

Tommy Hart obserwował tę scenę, gdy nagle usłyszał głos jednego z pilotów B-17, który wyszeptał z cichą rozpaczą: – To dla O’Hary. – Tego małego Irlandczyka, który ostatniej nocy zginął w tunelu. On był z Nowego Orleanu, tak samo jak ten szef orkiestry. Razem wstąpili do wojska, razem grali. O’Hara chyba grał na klarnecie...

Lider odwrócił się do swoich ludzi i zawołał:

– Jeniecki Zespół Jazzowy Stalagu Luft 13... baczność!

Muzycy przyjęli postawę.

– Zająć miejsca!

Orkiestra sprawnie ustawiła się w półkole, twarzami do drutów kolczastych i poruszonej ziemi, oznaczającej miejsce w tunelu, gdzie zginęli obaj kopacze. Muzycy podnieśli instrumenty, czekali na sygnał dyrygenta. Saksofony, puzony, rożki francuskie i kornety zastygły w oczekiwaniu. Pałeczki perkusisty znieruchomiały na skórzanej powierzchni werbla. Gitarzysta przygotował instrument, trzymając kostkę w prawej ręce.

Lider zlustrował wzrokiem podwładnych, czy są gotowi, po czym wykonał nagły zwrot, stając plecami do orkiestry. Postąpił do przodu, do samej granicy i skierował klarnet w kierunku rozciągniętego drutu. Wyprostował się, zasalutował i znowu wykonał w tył zwrot. Wydawało się, że wstrząsnął nim nagły dreszcz, kiedy wracał na miejsce przed muzykami. Tommy Hart zauważył, jak drżą mu wargi, gdy powoli podnosił instrument do ust. Widział łzy spływające po policzkach saksofonisty i jednego z puzonistów. Wszyscy się zawahali, plac zalegała cisza. Lider skinął głową, oblizał wargi, jakby chciał je uspokoić, podniósł lewą dłoń i zaczął podawać rytm.

– Zaczynamy! *Chattanooga choo-choo*. Zagrajcie ostro! Naprawdę ostro! Raz, dwa, trzy i cztery...

Muzyka zabrzmiała z całą mocą, eksplodowała niczym spadająca rakietą. Wystrzeliła w niebo, uniosła się ponad zwojami drutu kolczastego i wieżą strażniczą, jak ptak pofrunęła w błękit nieba i rozplynęła się w oddali, za linią drzew obiecujących ułudę wolności.

Muzycy grali zdecydowanie, z nieposkromioną intensywnością. Wystarczyło kilka sekund, aby ich czoła pokryły się kropelkami potu. Instrumenty poruszały się w rytmie muzyki. Co chwilę któryś z nich wychodził na środek półkola, grał solo, synkopował, odrywając się od żałosnego zawodzenia saksofonu i energicznego wtóru gitary. Robili to bez jakiegokolwiek znaku czy komendy dyrygenta, reagując raczej na dźwięk melodii, którą sami tworzyli, na napięcie wywołane dawnymi przyzwyczajeniami. Wyglądało to tak, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka z nieba

poklepywała ich delikatnie po ramieniu. *Chattanooga choo-choo* toczyła się niczym rzeka, płynnie przechodząc w *That Old Black Magic*, a następnie w *Boogie Woogie Bugle Boy of Company B*. Wówczas wystąpił lider zespołu z solówką na trąbce, zagraną przy akompaniamencie pozostałych instrumentów. Muzyka płynęła nadal, niepowstrzymana, nieokiełznana, nieprzerwana, śpiewna, pełna mocy. Nuty łączyły się ze sobą, mieszały jak zaprzyjaźnieni sąsiedzi.

Gęsty tłum jeńców stał nieruchomo, w ciszy i zasłuchaniu.

Orkiestra grała bez przerwy prawie pół godziny, aż muzykom poczerwieniały twarze niczym biegaczom po wysiłku, z trudem łapiącym oddech. Dyrygentowi pot ściekał z czoła; oderwał od trąbki lewą rękę i kiedy zespół przeszedł do ostatnich dźwięków *Waiting for a Train*, podniósł ją do góry i gwałtownie opuścił. Orkiestra przerwała, jak nożem uciął.

Nie było aplauzu. Z tłumu jeńców nie wydobył się żaden głos.

Lider przyjrzał się muzykom i powoli pokiwał głową. Po twarzy spływały mu krople potu i łez, błyszczały na policzkach, ale usta krzywiły się w półuśmiechu, częściowo oddającym zadowolenie z tego, co zrobili, a częściowo z powodu, dla którego się tu znaleźli. Tommy Hart nie usłyszał komendy, chociaż muzycy szybko przyjęli postawę, trzymając instrumenty przy piersi, jak broń. Prowadzący orkiestrę oddał swoją trąbkę puzoniście, wykonał w tył zwrot, szybkim krokiem podszedł do wyznaczającego granicę drutu i uniósł w górę klarnet. Wpatrując się w las i szeroki świat za ogrodzeniem, przyłożył instrument do ust i wydobył z niego wibrujący, niski dźwięk. Tommy Hart nie wiedział, czy artysta improwizuje czy nie, ale uważnie słuchał tańczących w powietrzu czystych dźwięków klarnetu. Ta muzyka przypominała mu głosy ptaków, które widywał jesienią na pofałdowanych polach rodzinnego Vermontu, tuż przed odlotem na południe. Kiedy ktoś lub coś je spłoszyło, ptaki podrywały się w górę, zawisały na chwilę w powietrzu, i niespodziewanie odlatywały do słońca. To samo działo się z nutami wydobywającymi się z klarnetu. Unosiły się, nabierały kształtu, zastygały w powietrzu, po czym nikły w oddali.

Ostatni akord zabrzmiał wyjątkowo wysoko i samotnie.

Lider przerwał, powoli odjął instrument od ust. Przez moment trzymał klarnet przy piersi, następnie wykonał w tył zwrot i wydał głośną komendę:

– Jeniecki Zespół Jazzowy Stalagu Luft 13... baczność!

Muzycy wyprostowali się posłusznie, jak dobrze dopasowane części maszyny.

– Dwójkami... w tył zwrot! Perkusista, zaczynaj... Naprzód marsz!

Orkiestra jazzowa zaczęła się oddalać od linii drutów. Poprzednio jej członkowie maszerowali szybko, teraz szli w tempie pogrzebowym. Przy każdym kroku stawiali prawe nogi jakby z wahaniem, zanim dotknęli nimi ziemi. Werbel perkusisty warczał wolno, żałośnie.

Zwarty tłum słuchaczy rozdzielił się, otwierając drogę maszerującej wolnym krokiem orkiestrze. Jeńcy zaczęli wracać do swoich zwykłych zajęć, których celem było zabicie czasu – najbliższej minuty, godziny, całego dnia.

Tommy Hart rozejrzał się dookoła. Dwaj Niemcy na wieży strażniczej ciągle mierzyli z karabinu maszynowego do tłumu więźniów. Uśmiechali się. Według Tommy'ego, ci żołnierze nie zdawali sobie sprawy, że ustawieni tuż pod ich lufami Amerykanie przez kilka minut byli znowu wolnymi ludźmi.

Ponieważ do popołudniowego apelu z odliczaniem było jeszcze trochę czasu, Tommy wrócił do sypialni po książkę. Wszystkie baraki w stalagu zbudowano częściowo z prefabrykowanych płyt drewnianych, a częściowo z lekkiej sklejki; w zimie było w nich wietrznie i zimno, a w lecie panował duszący upał. Podczas deszczu siedzący wewnątrz ludzie czuli odór stęchlizny i potu. Każdy barak miał czternaście pokoi, po osiem łóżek w jednym. Jeńcy zorientowali się, że przesunięcie zaledwie o kilka centymetrów przepierzenia z dykty daje trochę miejsca pomiędzy ścianami, gdzie można ukryć sprzęt potrzebny do ucieczki, poczynając od mundurów przerobionych na zwyczajne ubrania aż po kilofy i siekiery używane do kopania tuneli.

W barakach znajdowały się małe łazienki z umywalkami, natomiast prysznice ulokowano w budynku położonym pomiędzy obozem północnym a południowym. Jeńcy, żeby się do nich dostać, musieli iść pod eskortą. Nie używano więc ich zbyt

często. Na każdy barak przypadała też jedna toaleta, czynna tylko w nocy, po zgaszeniu świateł. W dzień jeńcy chodzili do ubikacji na zewnątrz. Nazywano je Abortami i mieściły kilku ludzi naraz. Tam znajdowano odrobinę prywatności, gdyż drewniane siedzenia oddzielały od siebie przegródki. Niemcy dostarczali do dezynfekcji dość dużo wapna, więc ustępy rozsiewały w całej okolicy ostry zapach. Na dwa baraki przypadał jeden Abort i był ulokowany pomiędzy nimi.

Jeńcy gotowali sobie sami – w barakach zainstalowano prymitywne kuchnie z piecykami. Niemcy dostarczali więźniom bardzo ograniczone racje żywnościowe, przede wszystkim ziemniaki, czerwoną kapustę o paskudnym smaku, rzepę i wojenny chleb, czyli Kriegesbrot – twarde, ciemne pieczywo, którym odżywiał się cały naród. Jeńcy okazali się pomysłowymi kucharzami, zdolnymi wyczarować zróżnicowany smak z tych nielicznych, prostych produktów, odpowiednio je mieszając i dopasowując do siebie. Podstawą pożywienia były paczki, przysyłane przez rodziny oficerów i Czerwony Krzyż. Chodzili bez przerwy głodni, ale rzadko głodowali naprawdę, chociaż dla wielu z nich różnica między jednym a drugim stanem wydawała się niezbyt wyraźna.

Stalag Luft 13 był swoistym, odrębnym światem.

Codziennie odbywały się zajęcia lekcyjne ze sztuki i filozofii, niemal każdego wieczoru organizowano koncerty muzyczne w baraku sto dwanaście, który ochrzczono mianem „Luftclub”, powstał też zespół teatralny. Ostatnio wystawiano sztukę „The Man Who Came to Dinner” („Człowiek, który przyszedł na obiad”), zyskując bardzo pochlebne recenzje w obozowej gazecie. Odbywały się zawody sportowe, między innymi wieloszczelowe rozgrywki softballu pomiędzy najlepszym zespołem z obozu południowego a reprezentacją Brytyjczyków z obozu północnego. Ci ostatni niezupełnie rozumieli subtelności baseballu, ale dwóch pilotów z ich obozu przed wojną grało w narodowej drużynie krykieta i szybko opanowało technikę silnego rzucania piłki. Istniała też biblioteka, dysponująca eklektyczną mieszanką literatury kryminalnej i klasyki.

Tommy Hart miał własny zbiór książek.

Kiedy zbombardowano Pearl Harbor, studiował na trzecim roku prawa na

Harvardzie. Podczas gdy część jego kolegów odraczała wstąpienie do armii do zakończenia roku akademickiego lub uzyskania dyplomu, Tommy bez słowa stanął w długiej kolejce oczekujących przed komisją poborową w pobliżu Faneuil Hill w centrum Bostonu. Przy wypełnianiu dokumentów pod wpływem chwilowego kaprysu wybrał lotnictwo, a w kilka tygodni później, w styczniowej, śnieżnej zamieci szedł z walizką przez dziedziniec uniwersytecki w kierunku linii metra T, aby dojechać do dworca Południowego, a stamtąd pociągiem do Dothan w Alabamie, gdzie miał przejść szkolenie lotnicze.

Niedługo po dostaniu się do niewoli wypełnił kwestionariusz dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który miał powiadomić rodzinę, że Tommy żyje. Wiele rubryk pozostawił pustych, ponieważ nie miał zaufania do Niemców, którzy mieli dalej przekazać dokumenty. Na końcu znajdowała się rubryka, gdzie należało wpisać KONIECZNE PRZEDMIOTY SZCZEGÓLNE. W tej linijce napisał dla zabawy *Zasady prawa powszechnego* Edmunda, wydanie trzecie, University of Chicago Press, 1938. Ku swemu zdziwieniu, kiedy dotarł do Stalagu Luft 13, ta książka już na niego czekała. Przysłała ją organizacja YMCA. Pierwszą noc w obozie Tommy Hart spędził z grubym tomem precedensów prawnych przyciśniętym do piersi, niczym małe dziecko tulące ulubionego misia. Wtedy po raz pierwszy od chwili pożaru „Lovely Lydii” ośmielił się pomyśleć, że może uda mu się przeżyć.

Miał już *Zasady* Edmunda, więc szybko zamówił *Elementy procedury kryminalnej* Burke'a i pozycje dotyczące szkód, testamentów oraz procesu cywilnego. Zdobył również książki z historii prawa, a także używany, ale wartościowy egzemplarz pracy o życiu i poglądach Olivera Wendella Holmesa. Poprosił też o biografię i wybór prac Clarence'a Darrowa. Szczególnie interesowały go sławne mowy tego ostatniego do ławy przysięgłych.

Podczas gdy inni jeńcy zajmowali się rysowaniem lub wkuwaniem na pamięć scenariuszy, Tommy Hart kontynuował studia. Dokładnie przerobił wszystkie przedmioty z ostatniego roku. Pisał referaty na niby, prezentował argumenty i dokumenty, analizował pozycje obu stron ze wszystkich możliwych punktów

widzenia w każdym procesie, na jaki się natknął, przedstawiał roszczenia wspierające stanowisko to jednej, to drugiej strony we wszystkich sprawach, jakie był w stanie sobie wyobrazić.

Kiedy inni planowali ucieczki i marzyli o wolności, Tommy Hart studiował prawo.

Raz w tygodniu, w piątek rano, przekupywał któregoś z Fritzów kilkoma papierosami i przedostawał się w jego towarzystwie do obozu brytyjskiego, gdzie witali go podpułkownik Phillip Pryce i porucznik Hugh Renaday. Pryce przekroczył już wiek średni i był jednym z najstarszych jeńców w obu obozach. Chudy, z siwymi włosami, zapadniętą klatką piersiową, ostrym głosem i skórą, która jak gdyby zwisała mu z ramion. Do tego zaczerwieniony nos i nieustanny katar robiły wrażenie, że niezależnie od pogody ciągle toczy walkę z przeziębieniem albo wirusową infekcją, grożącą zapaleniem płuc.

Przed wojną Pryce był wybitnym adwokatem w Londynie, pracował w starej, szacownej kancelarii prawniczej. Jego kolega z obozowej sypialni, Hugh Renaday, dwa razy młodszy od Pryce'a, a może tylko o rok starszy od Tommy'ego pielęgnował duże, krzaczaste wąsy. Do niewoli trafili razem, kiedy ich bombowiec Blenheim został zestrzelony nad Holandią. Pryce często podkreślał wysokim, arystokratycznym tonem, że trafienie do Stalagu Luft 13 jest fatalną pomyłką. Według niego, było to miejsce dla młodszych oficerów. Podczas owego pamiętnego lotu znalazł się na pokładzie samolotu jedynie dlatego, że czuł narastającą frustrację z powodu wysyłania co noc podwładnych w niebezpieczną misję, w której mogli stracić życie i pewnego razu, łamiąc przepisy, sam zajął miejsce chorego strzelca w wieżycze blenheima.

– To nie był dobry wybór – mrucał Pryce.

Renaday, mężczyzna mocno zbudowany i krzepki niczym pień drzewa nawet wówczas, gdy obozowa dieta pozbawiła go wielu kilogramów wagi, kontratakował:

– No, ale kto chciałby umierać we własnym łóżku?

– Wszyscy tego chcemy, drogi chłopcze. Młodemu ludziom potrzeba po prostu perspektywy, jaką przynosi wiek.

Renaday był szorstkim w obyciu Kanadyjczykiem. Przed wojną pracował jako policyjny inspektor śledczy w sprawach kryminalnych w prowincji Manitoba. W tydzień po zapisaniu się do lotnictwa otrzymał wiadomość, że przyjęto go również do policji konnej. Musiał dokonać wyboru pomiędzy karierą, o której zawsze marzył, a pozostaniem w korpusie lotniczym; z żalem zrezygnował z policji. Rozmowę z Pryce'em zawsze kończył stwierdzeniem: „Tak powiedziałby stary człowiek”.

Piątki cała trójka poświęcała na dyskusję o kwestiach prawnych. Renaday reprezentował styl bycia policjanta – mówił prosto z mostu, trzymał się faktów, starał się znaleźć najsłabszy punkt w każdej sprawie czy argumentacji. Pryce stanowił przeciwieństwo Kanadyjczyka, był mistrzem niuansu. Lubił wygłaszać monologi na temat arystokratycznego charakteru konfliktu oraz różnic między faktami a prawem. Tommy najczęściej służył obu mężczyznom za pomost – wyznaczał własny kurs pomiędzy intelektualnymi zapędami starszego a surowym pragmatyzmem młodszego. Uważał to za część swoich studiów.

Miał nadzieję, że afery z tunelem nie przeszkodzi mu w uczestniczeniu w cotygodniowych sesjach. Czasem, po wykryciu schowanego radioodbiornika czy innej kontrabandy Niemcy za karę zamykali bramy obozu, a jeńcy musieli siedzieć w barakach. Pewnego razu odwołano mecz piłkarski między drużynami Północy a Południa – ku wściekłości Brytyjczyków i uldze z góry skazanych na porażkę Amerykanów, znacznie bardziej zainteresowanych ogrywaniem tych pierwszych w koszykówkę czy baseball.

Tym razem trzej rozmówcy obrali sobie za temat porwanie syna Lindhbergha. Tommy miał wystąpić w roli obrońcy stolarza, Renaday reprezentował państwo, Pryce zaś został arbitrem. Hart miał wrażenie, że jest nieprzygotowany, czuł się ograniczony nie tylko faktami, ale i samą pozycją. Znacznie lepiej czuł się w ubiegłym miesiącu, kiedy rozważali sprawę o morderstwo Wright – Mills. Był też znacznie pewniejszy w środku zimy, gdy zajęli się analizą prawnych aspektów masowych zabójstw Kuby Rozpruwacza w wiktoriańskiej Anglii. Ku jego ogromnej radości, brytyjscy koledzy podczas tej debaty stale byli w defensywie.

Tommy Hart zdjął z półki nad pryczą *Procedury kryminalne* Burke'a i wyszedł z baraku. Na początku pobytu w Stalagu Luft 13 zaprojektował i zrobił dla siebie krzesło z pozostałości po drewnianych skrzynkach, w których przychodziły do obozu paczki z Czerwonego Krzyża. Był to mebel w stylu Adirondack, bardzo podziwiany w obozie jenieckim, więc natychmiast skopiowany i powielony w licznych egzemplarzach. Krzesło to wymagało tylko kilku gwoździ przy montażu i było całkiem wygodne. Tommy czasem myślał, że jest to jego jedyny wkład w obozowe życie.

Wyniósł krzesło na powietrze, przesycone południowym słońcem, i otworzył książkę. Ledwie zdołał przeczytać jeden akapit, zbliżył się do niego jakiś człowiek. Podniósł oczy i w tym samym momencie usłyszał znajomą wymowę z Missisipi.

– Hej, Hart, jak ci się wiedzie w tak pięknym dniu?

– Nie sędzę, żebym mógł go nazwać pięknym, Vic. Dzień jak każdy inny, to wszystko.

– Cóż, dla nas to może tylko jeszcze jeden dzień. Ale dla kilku porządnych chłopaków jest to dzień ostatni.

– To fakt...

Tommy osłonił dłonią oczy przed ostrym słońcem, aby dobrze widzieć Vincenta Bedforda.

– Wiesz, Hart, niektórzy ludzie czują taką potrzebę. Jest ona nie do powstrzymania. Tak bardzo ich dręczy, że usiłują się stąd wyrwać. W rezultacie jedna prycza w moim pokoju jest wolna, a ktoś pisze długi, bolesny list do jakichś biedaków, w domu. A inni patrzą na druty kolczaste i wyobrażają sobie, że najlepszym sposobem na przetrwanie tego wszystkiego jest spokojne czekanie. Cierpliwość. Są jednak tacy, którzy widzą to inaczej.

– A co ty widzisz, Vic, kiedy patrzysz na te druty? – zapytał Hart.

Południowiec uśmiechnął się.

– Coś, co widzę zawsze, gdziekolwiek jestem.

– Cóż to takiego?

– Słuchaj, prawniku, ja dostrzegam okazję.

Tommy zawahał się, zanim odpowiedział:

– A jaka to okazja sprowadza cię do mnie?

Vincent Bedford przyklęknął, jego oczy znalazły się na poziomie twarzy Tommy'ego. Przyniósł ze sobą dwa kartony amerykańskich papierosów. Podsunął je Hartowi.

– Słuchaj, ty wiesz, o co mi chodzi. Chcę dokonać transakcji. Jak zawsze. Ty masz coś, czego potrzebuję. Ja mam mnóstwo rzeczy, których ty potrzebujesz. Po prostu staramy się ułatwić sobie życie. To okazja dwustronna, dająca satysfakcję wszystkim zainteresowanym.

Hart potrząsnął głową.

– Już ci mówiłem, nie sprzedam.

Bedford uśmiechnął się, udając zaskoczenie.

– Wszystko ma swoją cenę, Hart. Wiesz o tym. I ja też wiem. Do diabła, przecież dużo na ten temat napisano na każdej stronie tych twoich prawniczych książek, prawda? Dlaczego wy wszyscy uważacie, że tak ważne jest wiedzieć, która godzina. Dlaczego? W tym miejscu czas nie ma specjalnego znaczenia. Każdy dzień jest taki sam. Jedzenie. Spanie. Apel. Dzień po dniu, bez żadnych zmian. A więc powiedz mi, Hart, dlaczego tak cholernie potrzebujesz tego zegarka?

Tommy spojrział na lewy nadgarstek z zegarkiem marki Longines. Stalowa koperta odbiła promień słońca. Zegarek był znakomity, miał wskazówkę sekundową i mechanizm z kamieniami. Pokazywał dokładny czas, wydawał się nieczuły na wstrząsy i trudy wojenne. A co najistotniejsze, na odwrocie były wyryte słowa: „Będę czekać – L”. Wystarczyło, aby Tommy wsłuchał się w ciche tykanie, a przypominał sobie o młodej kobiecie, która wręczyła mu ten upominek podczas pobytu w domu na ostatniej przepustce przed odjazdem. Naturalnie, Bedford nic o tym nie wiedział.

– Nie chodzi o czas, jaki odmierza – odparł. – Liczy się czas, jaki zapowiada.

Vic roześmiał się na głos.

– Człowieku, co to ma znaczyć? Przypuśćmy, że załatwię sprawę tak, abyś mógł odwiedzać tych swoich kumpli Angoli, kiedy tylko będziesz chciał. Mogę to zrobić.

A może załatwić ci dodatkową paczkę co tydzień? To także może się zdarzyć. Czego potrzebujesz, Hart? Żarcia? Ciepłych ubrań? A może książek albo radia? Dostarczę ci je, i to dobre. Dowiesz się prawdy, bez polegania na krążących po obozie plotkach i pogłoskach. Musisz tylko podać swoją cenę.

– On nie jest na sprzedaż.

– Cholera. – Zirytowany Bedford podniósł się z klęczek. – Nie masz pojęcia, co można dostać za taki zegarek.

– Żałuję – odparł szorstko Tommy.

Po chwili złości Bedford zastąpił rozdrażnienie jeszcze jednym uśmiechem.

– Jeszcze przyjdzie twój czas, prawniku. Skończy się tak, że dostaniesz mniej, niż ci dzisiaj zaproponowałem. Trzeba wyczuć najlepszą chwilę. Nie należy handlować, jeżeli nie jest się w potrzebie. Zawsze trzeba wychodzić na swoje.

– Nie będzie interesu. Nie dziś. Jutro też nie. Do zobaczenia, Vic.

Bedford wzruszył ramionami. Już miał coś dorzucić, kiedy nagle obaj usłyszeli przenikliwy gwizd. Wezwanie na popołudniowy apel. Przy barakach pojawili się szperacze, krzyżąc: Raus! Raus! Z budynków zaczęli wychodzić jeńcy, powoli kierując się na plac apelowy.

Tommy Hart wbiegł do baraku sto jeden, odstawił książkę na półkę i dołączył do mężczyzn, podążających w popołudniowym słońcu na plac.

Jak zawsze, ustawili się w pięciu rzędach.

Strażnicy liczyli, chodząc wzdłuż szeregów, żeby się upewnić, czy nikogo nie brakuje. Była to żmudna procedura, której Niemcy oddawali się z pełnym poświęceniem. Tommy nigdy nie potrafił zrozumieć, jak ich nie nudzi bezmyślne powtarzanie dwa razy dziennie tego ćwiczenia z elementarnej arytmetyki. Co prawda, w duchu rozumiał, że w dniu śmierci dwóch ludzi w tunelu wartownik, który pomylił się w rachunku, najprawdopodobniej wyląduje w pociągu jadącym na front wschodni. Nic dziwnego, że strażnicy byli ostrożni i jeszcze bardziej skrupulatni, niż wymagała tego ich natura.

Odliczanie dobiegło końca. Strażnicy ustawili się na czele poszczególnych

czworoboków i złożyli meldunki pełniącemu dyżur podoficerowi. Ten z kolei składał raport komendantowi. Von Reiter nie brał udziału we wszystkich apelach, musiał jednak wydać rozkaz, aby jeńcy rozeszli się. Amerykanie uważali to dodatkowe oczekiwanie za rzecz nieznośnie irytującą – Unteroffizier właśnie zniknął za frontową bramą, idąc do gabinetu von Reitera.

Tego dnia popołudnie wydawało się nieskończenie długie.

Tommy spojrzął na ustawionych na placu kolegów. Zauważył, że Vincent Bedford stoi niedaleko niego. Unteroffizier wrócił i wdał się w rozmowę z pułkownikiem MacNamarą. Tommy zdołał zauważyć wyraz z troską na twarzy amerykańskiego pułkownika. MacNamara wykonał szybki zwrot i ruszył w towarzystwie Niemca przez główną bramę. Wszedł do biura komendanta.

Wyszedł stamtąd po dziesięciu minutach. Szybkim krokiem podszedł do stojących w szeregach lotników. Zawahał się przez chwilę, po czym oznajmił głośno, tak jak się mówi na placu apelowym:

– Przyjeżdża nowy więzień!

Zrobił przerwę, jak gdyby chciał jeszcze coś dorzucić.

Ale uwaga jeńców szybko skupiła się na samotnym amerykańskim lotniku, schludnym, ubranym w krótki kożuszek i miękki hełm pilota myśliwskiego. Eskortowało go dwóch wartowników z karabinami. Szedł szybko przed siebie, wzbijając niewielkie obłoczki kurzu skórzanymi, lotniczymi butami. Stanął przed MacNamarą na baczność i oddał wzorowy salut, niczym na paradzie.

Jeńcy w milczeniu przyglądali się tej scenie.

Tommy Hart usłyszał tylko jeden głos z rozwlekłym akcentem z Południa, ze stanu Missisipi, a każde słowo pobrzmiwało zaskoczeniem.

– Niech mnie szlag... – powiedział głośno Vincent Bedford. – To przeklęty czarnuch!

2. Piłka koło płotu

Przybycie porucznika Lincolna Scotta do Stalagu Luft 13 wyraźnie ożywiło jeńców. Przez prawie tydzień był on głównym tematem rozmów, usuwając w cień takie sprawy, jak wojna i wolność.

Niewielu z nich miało pojęcie, że w Stanach Zjednoczonych w bazie U.S. Army Air Force w Tuskegee w stanie Alabama szkoli się czarnoskórych pilotów. Jeszcze mniej orientowało się, że zaczęli oni walczyć w Europie w końcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Jeńcy, którzy późno trafili do obozu, przeważnie piloci i członkowie załóg bombowców B-17, opowiadali o błyszczących metalicznie myśliwcach P-51, nurkujących obok samolotów bombowych w pogoni za niemieckimi messerschmittami. Wspominali też, że trzysta trzydzieste drugie skrzydło myśliwskie miało charakterystyczne, czerwono-czarne szewrony wymalowane na sterach na ogonie. Ludzie latający na tych bombowcach mieli już za sobą pierwsze doświadczenia związane z akceptacją pilotów z trzysta trzydziestego drugiego skrzydła. W powtarzających się ciągle dyskusjach podkreślali, że dla nich nie jest istotne, kim są ani jaki kolor skóry mają ci piloci, dopóki ich myśliwce odpędzają atakujące maszyny typu Messerschmitt 109, ponieważ oberwanie z dwóch działek o kalibrze dwudziestu milimetrów i śmierć w płonącym B-17 to naprawdę przerażające przeżycie. W obozie nie było jednak zbyt wielu lotników z bombowców B-17, a wśród jeńców krążyły różne opinie na temat, czy czarny człowiek ma wystarczającą inteligencję, sprawność fizyczną i serce, aby latać na samolotach bojowych.

Scott wydawał się nie zauważać, że jego przybycie sprowokowało głośnie, czasem zażarte kłótnie. Wieczorem tego dnia, kiedy przyjechał do obozu, przydzielono mu miejsce w baraku sto jeden – otrzymał pryczę, którą poprzednio zajmował zmarły w tunelu klarncista. Przywitał się z lokatorami pokoju, wsunął pod łóżko swoje skromne manatki, położył się i resztę wieczoru spędził w milczeniu.

Nie opowiadał żadnych wojennych historii.

Nie udzielał też z własnej inicjatywy informacji na swój temat. Nikt nie wiedział, w jakich okolicznościach został zestrzelony, skąd pochodzi, z jakiego miasta i środowiska, co robił w życiu. Przez pierwsze dni jego pobytu w obozie kilku więźniów starało się nawiązać rozmowę, ale Scott uprzejmie, choć zdecydowanie odrzucał te zaproszenia. Jadł to, co otrzymał w paczce z Czerwonego Krzyża, nie proponował nikomu dzielenia się jej zawartością i nie prosił nikogo, aby się z nim podzielił. W samotności korzystał z tego, co mu przypadało. Nie włączał się w obozowe dyskusje, nie zapisywał się na wykłady, kursy i inne zajęcia. Drugiego dnia pobytu w Stalagu Luft 13 wypożyczył z biblioteki zniszczony egzemplarz książki Gibbona *Zmierzch cesarstwa rzymskiego*, otrzymał też Biblię z organizacji YMCA. W milczeniu czytał obie książki, siadując na słońcu pod ścianą baraku albo na pryczy, pochylony w kierunku okna, żeby wykorzystać słabe światło przenikające do środka przez zabrudzone szyby i drewniane okiennice.

Jeńcy uważali go za postać tajemniczą. Byli zaskoczeni pełnym rezerwy zachowaniem. Niektórzy brali tę powściągliwość za arogancję, prowokującą ich do skrytych złościwości. Innych po prostu drażnił wybór samotności. Wszyscy, których uważano za odludków, w tym także Tommy Hart, potrzebowali kogoś, żeby na nim polegać i mieć pewność, że nie są sami w tym zamkniętym światku Stalagu Luft 13. Pobyt w obozie doprowadzał do najbardziej dziwacznych stanów psychicznych. Jeńcy nie byli kryminalistami, ale siedzieli w więzieniu. Gdyby nie wspierali się wzajemnie i nie przypominali sobie raz po raz, że ich prawdziwe życie wygląda inaczej, mogliby się załamać.

Natomiast Lincoln Scott najwidoczniej był niewrażliwy na tego rodzaju bodźce. Pod koniec pierwszego tygodnia w stalagu, jeżeli nie siedział z nosem w historii Gibbona czy Biblii, spędzał całe dnie na spacerach dookoła obozu. Okrążenie za okrążeniem, całymi godzinami. Szedł szybko po zapyłonej ścieżce, o kilkadziesiąt centymetrów od drutu wyznaczającego granicę, z oczami utkwionymi w ziemię. Czasem – ale rzadko – przystawał i patrzył na widoczne w oddali sosny.

Tommy'emu Hartowi przypominał psa na łańcuchu, krążącego po ściśle wyznaczonym obszarze.

Tommy w pierwszych dniach też starał się nawiązać rozmowę z porucznikiem Scottem, ale nie odniósł większego sukcesu. Pewnego popołudnia, na krótko przed rozpoczęciem odliczania, podszedł do niego. Czarnoskóry oficer spacerował dookoła obozu.

– Cześć, jak się masz? – zaczął. – Nazywam się Tommy Hart.

– Dzień dobry – odparł Scott. Nie wyciągnął ręki na powitanie, nie przedstawił się.

– Urządziłeś się, jak należy?

– Mogło być gorzej – mruknął Scott, wzruszając ramionami.

– Kiedy przyjeżdżają tu nowi ludzie, to jest jak dostarczenie do domu codziennej gazety, tylko z kilkudniowym opóźnieniem. Masz najnowsze informacje i nawet, jeśli są trochę przeterminowane, to i tak są znacznie lepsze od tego, czym tu żyjemy, to znaczy od plotek i oficjalnych wiadomości słuchanych przez nielegalne radio. Co się naprawdę dzieje? Jak z wojną? Czy słyhać coś o inwazji?

– Wygrywamy – odpowiedział Scott. – O inwazji nic nie wiem. Mnóstwo ludzi siedzi w Anglii. Czekają tak samo jak wy.

– No, nie tak jak my – wtrącił z uśmiechem Tommy, wskazując ręką obsługę karabinu maszynowego na wieży strażniczej.

– Faktycznie, nie tak samo – powiedział porucznik; nie przerwał marszu, nie podniósł głowy.

– Ty musisz coś wiedzieć.

– Nic nie wiem.

– Wobec tego ja pójde obok ciebie, a ty powiesz mi wszystko, czego nie wiesz – zaproponował Tommy.

Ta propozycja przywołała na twarz czarnego jeńca bardzo dyskretny uśmieszek. Parsknął cichutko, jakby powstrzymywał śmiech. Lecz ten ślad uśmiechu zniknął w ułamku sekundy.

– Doprawdy, wolę spacerować samotnie – odrzekł szybko Scott. – Ale dziękuję za propozycję.

Poszedł dalej, a Tommy Hart stał i patrzył za nim.

Następnego dnia wypadał piątek. Po porannym apelu Tommy wrócił do pokoju. Z małego drewnianego pudełka schowanego pod łóżkiem wydobył kilka paczek papierosów Lucky Strike, które otrzymał w ostatniej paczce z Czerwonego Krzyża. Zabrał też metalowy pojemnik z napisem „Earl Grey Tea” oraz trochę nadgryzioną tabliczkę czekolady. W kieszeni kurtki schował niedużą puszkę skondensowanego mleka. Następnie wyciągnął kilka kartek brązowego papieru, na których robił notatki związłym, porządnym pismem. Umieścił je między zniszczonymi kartkami podręcznika na temat dowodów wynikających z analiz medycyny sądowej.

Wyszedł z baraku i wypatrywał kogoś z Fritzów. Był ciepły poranek, szarożółty pył na placu błyszczał w promieniach słońca.

Zauważył Vincenta Bedforda. Szedł gdzieś samotnie z wyrazem determinacji na twarzy. Zatrzymał się i szybko podszedł do Harta. Sądząc po jego minie, teraz miał na coś nadzieję.

– Dosłodzę moją propozycję, Hart – powiedział. – Trudny z ciebie orzech do zgryzienia. Co chcesz za ten zegarek?

– Nie możesz mi tego dać. On ma wartość sentymentalną.

Spryciarz z Missisipi zachnął się.

– Sentymenty? Dziewczyna tam, w kraju? A skąd wiesz, że wrócisz w jednym kawałku? Co pozwala ci uważać, że ona będzie na ciebie czekała?

– Nie mam pojęcia. Może nadzieja, może zaufanie – odrzekł Tommy, uśmiechając się lekko.

– Takie rzeczy nie mają wielkiej wartości w naszym świecie, jankesie. Liczy się to, co jest teraz. Co trzymasz w garści. Co możesz wykorzystać natychmiast. Może nie być żadnego jutra ani dla ciebie, ani dla mnie, albo dla żadnego z nas.

– Jesteś cynikiem, Vic.

Południowiec uśmiechnął się.

– No, być może, być może. Nikt mnie jeszcze tak nie nazwał. Ale nie będę zaprzeczał.

Powoli szli między barakami aż do granicy boiska, gdzie rozpoczynał się mecz softballu. Poza polem do gry zauważyli samotną sylwetkę Lincolna Scotta,

maszerującego po obwodzie obozowego terytorium.

– Sukinsyn – mruknął Bedford. – Muszę dzisiaj coś zrobić z tą sytuacją.

– Z jaką sytuacją? – zapytał Tommy.

– No, z tym czarnuchem – odparł Bedford, przyglądając się Tommy’emu, jakby zaskoczony jego głupotą, że nie wie rzeczy najbardziej oczywistych. – Ten chłoptaş ma łóźko w moim pokoju, a to nie jest w porządku.

– Co w tym złęgo?

Bedford nie odpowiedział wprost.

– Chyba będę musiał pójsć do MacNamary, żeby przeniósł czarnucha gdzie indziej. Ten chłoptaş powinien mieszkać gdzieś sam, odseparowany od wszystkich.

Tommy potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że on dość skutecznie obywa się bez twojej pomocy – wtrącił.

Trader Vic wzruszył ramionami.

– To nie jest w porządku. Zresztą, co taki jankes jak ty może wiedzieć o czarnuchach? Nic. Absolutnie nic. – Bedford przeciągle wymawiał każdą spółgłoskę, jakby chciał nadać słowom większe znaczenie. – Mogę się założyć, Hart, że wcześniej prawie nigdy nie spotykałeś czarnuchów, a już na pewno nie musiałeś z nimi żyć, tak jak my na Południu...

Tommy Hart nie odezwał się, bo w słowach Bedforda było trochę prawdy.

– A to, co my o nich wiemy, nie jest dobre – ciągnął Trader Vic. – Oni kłamią. Łżą i oszukują cały czas. To złodzieje, co do jednego. Wielu z nich to gwałciciele i przestępcy. Nie mówię, że wszyscy, ale znaczna część. Nie twierdżę, że nie mogą być dobrymi żołnierzami. Owszem, jest taka możliwość, ponieważ oni widzą sprawy inaczej niż biali. Zapewne można ich nauczyć zabijania i mogą być w tym dobrzy, podobnie jak w rąbaniu drewna i naprawianiu maszyn. Nie wyobrażam sobie jednak, by mogli pilotować mustanga. Hart, oni nie są tacy jak ty czy ja. Do diabła, możesz to zauważyć choćby po chodzeniu tego chłopaka wzdłuż linii granicznej. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby ten stary MacNamara zastanowił się, zanim wynikną tu jakieś kłopoty, bo ja znam czarnuchów: oni zawsze sprawiają problemy, gdziekolwiek się znajdują. Możesz mi wierzyć.

– Jakie problemy, Vic? Do cholery, wszyscy siedzimy w tym gnoju, bez różnicy. Bedford roześmiał się cicho i energicznie pokiwał głową.

– To prawda, Hart, utknęliśmy tutaj, chociaż zobaczy się, co będzie dalej, nie? A co do tego drugiego, to oczywiście jest różnica. Nie, mój panie. Nie jesteśmy wcale tacy sami.

Vincent Bedford wskazał na drut.

– Drut jest ten sam. Ale każdy widzi go inaczej. Ty widzisz go tak, ja inaczej, stary jeszcze inaczej. Pewnie nawet nasz chłopiec, który tam spaceruje, zobaczy go na swój sposób. Na tym polega cud życia, Hart. Myślę, że nawet taki wyrafinowany, nadmiernie wyuczony jankes jak ty jest w stanie to pojąć. Na tym świecie nie ma identycznej rzeczy dla dwóch ludzi. I nigdy nie będzie. Chyba że po śmierci.

Tommy pomyślał, że tylko ta ostatnia uwaga była najbliższa prawdy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Vic klepnął go w ramię.

– Cholera, Hart, pewnie myślisz, że mam uprzedzenia rasowe, ale to nie tak. Nie wymachuję narodowym sztandarem, nie żuję tytoniu, nie jeżdżę nocą na koniu w białym kapturze z Ku-Klux-Klanem. O, nie. Zawsze dobrze się odnosiłem do każdego czarnucha. Traktowałem ich jak ludzi. Taką mam naturę. Ale dobrze znam czarnych, wiem, że prowokują kłopoty i tu również nie będzie inaczej.

Przyjrzał się Tommy'emu.

– Możesz mi wierzyć – ciągnął, śmiejąc się. – Problemy się pojawiają. Przewiduję to. Najlepiej trzymać ich z daleka.

Tommy milczał.

Bedford podniósł głos:

– Słuchaj, Hart, wiesz, mogę się założyć o forszę, że mój pradziadek pewnie strzelał do któregoś z twoich przodków raz czy drugi w czasie tamtej wielkiej wojny o niepodległość, tylko że to nie było tak, jak piszą w tych waszych durnych jankesowskich podręcznikach, kapujesz? Masz szczęście, że Bedfordowie nigdy nie byli zbyt dobrymi strzelcami.

– Rodzina Hartów ma w tradycji doskonałe uniki – odrzekł z uśmiechem Tommy. Bedford wybuchnął śmiechem.

– A, to cenna umiejętność, Tommy. Pozwala rodzinnemu drzewu rosnać przez kolejne wieki.

Szykował się do odejścia.

– No, pójdę pogadać z pułkownikiem. Jeżeli zmienisz zdanie, dojdiesz do rozumu i będziesz chciał pohandlować, to mój interes jest otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, włącznie z niedzielami, ponieważ teraz Pan Bóg zajęty jest czym innym i nie przygląda się zbyt często tutaj trzódce.

Kilku jeńców na boisku zaczęło krzyczeć i wymachiwać do Bedforda. Jeden z nich rzucił do góry kij i piłkę.

– No cóż – powiedział człowiek z Missisipi. – Chyba będę musiał odłożyć rozmowę z wielkim szefem do popołudnia, bo ci chłopcy szukają kogoś, kto im pokaże, jak naprawdę należy grać w ten nasz cudowny baseball. Do zobaczenia, Hart. Popracuj nad zmianą stanowiska...

Tommy przyglądał się, jak Trader Vic idzie w kierunku boiska.

Usłyszał głos jakiegoś Amerykanina, krzyczącego łamaną niemczyzną: Keindrinkwasser! Po chwili usłyszał identyczny okrzyk z pobliskiego baraku. To niemieckie określenie znaczyło „Woda nie do picia” i zostało umieszczone przez szkopów na stalowych beczkach używanych do wywożenia nieczystości. Stało się również ostrzeżeniem dla jeńców pozostających w barakach, że w ich kierunku podąża szperacz. W ten sposób dawano jeńcom przygotowującym ucieczki czas na ukrycie śladów działalności, niezależnie od tego, czy chodziło o kopanie, czy podrabianie dokumentów. Szperaczom nie sprawiało przyjemności, że kojarzono ich z odchodami.

Tommy ruszył w kierunku tych głosów. Miał nadzieję spotkać Fritza Numer Jeden, myszkującego po obozie, bo tego najłatwiej było przekupić. Przestał się zastanawiać nad tym, co usłyszał od Bedforda.

Kilkoma papierosami Tommy przekonał Fritza Numer Jeden, aby zechciał mu towarzyszyć do północnego obozu. Wyszli przez bramę na otwartą przestrzeń, dzielącą oba obozy. Po jednej stronie znajdowały się koszary straży, a dalej biuro

komendanta. Z tyłu mieścił się zbudowany z cegieł i betonu barak z prysznicami z zimną wodą. Przed nim stali dwaj wartownicy z zarzuconymi na ramię karabinami – palili papierosy.

Tommy usłyszał dobiegającą spod pryszniców piosenkę. Brytyjczycy uwielbiali chóralne śpiewy. Wykonywane przez nich utwory były zawsze bardzo sprośne, i nieprawdopodobnie obelżywe.

Słuchając, zwolnił kroku. Śpiewali *Koty na dachu*, a Hart natychmiast rozpoznał jej refren:

O, koty na dachu, koty na dachówkach...

Koty z syfilisem i koty z hemoroidami...

Fritz Numer Jeden również zwolnił tempo marszu.

– Czy Brytyjczycy znają jakieś normalne piosenki? – zapytał cicho.

– Nie wydaje mi się – odparł Tommy.

Głosy w umywalni zaintonowały piosenkę noszącą tytuł *Pieprzyć to wszystko*.

– Nie sądzę, aby komendantowi podobało się to brytyjskie śpiewanie – powiedział cicho Fritz Numer Jeden. – Zabronił żonie i córkom przychodzić do swojego gabinetu, kiedy pod prysznicem są brytyjscy oficerowie.

– Wojna to prawdziwe piekło – wtrącił Tommy.

Fritz Numer Jeden zasłonił usta, jak gdyby chciał powstrzymać kaszel, ale w rzeczywistości tłumił śmiech.

– Wszyscy musimy wykonywać swoją powinność – powiedział, ukrywając chichot. – Niezależnie od tego, co o tym myślimy.

Mijali budynek o barwie szarej niczym popiół. Był to karczer – barak karny – z kilkunastoma pustymi betonowymi celami bez okien.

– Teraz nikogo tam nie ma – zauważył Fritz Numer Jeden.

Podeszli do bramy brytyjskiego obozu.

– Trzy godziny, poruczniku Hart. Wystarczy?

– Trzy godziny. Spotkamy się przed obozem.

Szperacz gestem nakazał strażnikowi otworzyć bramę. Za furtką czekał porucznik

Hugh Renaday. Tommy ruszył w stronę przyjaciela.

– Jak się czuje podpułkownik? – zapytał, kiedy szybkim krokiem szli do brytyjskiego obozu.

– Phillip? No cóż, fizycznie wydaje się w gorszym stanie niż kiedykolwiek. Chyba nie potrafi otrząsnąć się z tego przeziębienia czy innego cholerstwa, jakie mu dolega. Przez kilka ostatnich nocy miał taki paskudny, mokry kaszel. – Ale rano to wszystko się kończy i nie pozwala mi zaprowadzić się do lekarza. Uparty skubaniec. Jeżeli tu umrze, to z własnej winy.

Renaday miał szorstki, kanadyjski akcent. Wypowiedane przez niego słowa brzmiały niczym powiew wiatru w tej przestronnej krainie prerii, którą nazywał swoim domem, ale na skutek długoletniej służby w RAF w jego języku słyszało się już wpływy brytyjskiej angielszczyzny. Poruszał się długim, niecierpliwym krokiem, jakby uważał ten marsz za niemiłą dolegliwość, jakby dla niego liczyło się to, skąd człowiek przybywa i dokąd ma dojść, a odległość dzieląca te punkty stanowiła wyłącznie powód do irytacji. Był to mężczyzna o szerokich barach i mocnej budowie, z dobrze widocznymi muskułami nawet po utracie wielu kilogramów podczas pobytu w obozie. Nosił włosy dłuższe niż większość jeńców, jak gdyby usiłował zachęcić wszy i muchy do zainteresowania się nim. Ale insekty nie były aż tak głupie.

– Tak czy owak – ciągnął Renaday, kiedy skręcili za róg i mijali dwóch brytyjskich oficerów, pracowicie grabiących ziemię w małym ogródku – bardzo się cieszy, że dziś jest piątek, a ty przychodzisz z wizytą. Nie sposób wyrazić, jak niecierpliwie czeka na te spotkania. To tak, jakby wysiłek umysłowy przełamywał fatalne samopoczucie fizyczne. – Potrzęsnał głową i dodał: – Inni lubią mówić o domu, natomiast Phillip woli analizować te prawnicze przypadki. Mam wrażenie, że przypomina mu, kim był dawniej i kim przypuszczalnie ponownie się stanie, gdy się zestarzeje. On powinien siadać przy ciepłym kominku i wygłaszać wykłady dla grupki uczniów na temat subtelności jakiegoś tajemniczego poglądu prawnego, ubrany w jedwabne pantofle i bonżurkę z zielonego sztruksu, z filizanką najlepszej

herbaty w dłoni. Ilekroć patrzę na tego starego skurczybyka, nie mam pojęcia, o czym myślał, kiedy włożył na pokład tego przeklętego blenheima.

Tommy Hart uśmiechnął się:

- Pewnie myślał o tym samym, co my wszyscy.
- Czyli o czym, mój uczony amerykański przyjacielu?
- Że wbrew uzasadnionym obawom, nie przydarzy się nam nic złego.

Renaday wybuchnął zdrowym, dźwięcznym śmiechem, aż niektórzy pracujący w ogródku oficerowie podnieśli głowy, poświęcając przechodzącym chwilę uwagi przed ponownym skupieniem się na troskliwie wygrabionych rabatkach żółtobrązowej ziemi.

– Oto gorzka prawda Pana Boga, jankesie. – Renaday pokiwał głową i wskazał ręką:

- Phillip jest tam.

Podpułkownik Phillip Pryce siedział na schodkach baraku z książką w ręce. Mimo ciepłego dnia miał na ramionach szorstki oliwkowy koc, a na głowie czapkę zsuniętą na ciemę. Okulary opuścił na czubek nosa. Wyglądał jak karykatura nauczyciela. Ogryzał koniec ołówka. Kiedy ich spostrzegł, zaczął machać rękami jak dziecko obserwujące defiladę.

- Och, Thomas, Thomas, jak zawsze, miło cię widzieć. Czy jesteś przygotowany?
- Zawsze gotowy, Wysoki Sądzie – odpowiedział Hart.

– Nadal nie mogę ci darować, że zapędziłeś Hugh i mnie w kozi róg sprawą nieuchwytnego Kuby Rozpruwacza i jego nieszczęsnych zbrodni – ciągnął Pryce. – Ale dziś jesteśmy gotowi do walki z jedną z twoich bardziej sensacyjnych spraw. Sądzę, że tym razem przypada nasza kolej, jak się to mówi, na wzięcie kijów.

– Wzięcie kija – poprawił go Renaday, gdy Hart i Pryce witali się, podając sobie ręce. Tommy miał wrażenie, że uścisk dłoni podpułkownika był nieco słabszy niż zazwyczaj. – Mówi się „wziąć kij”, a nie „kije”, Phillipie. Sędzia wydaje komendę „Podnieść kije!” i tak dalej. Od tego zaczyna się gra.

– Hugh, baseball to niezrozumiała dyscyplina. Podobnie jak wasz idiotyczny, chociaż ukochany hokej. Trzeba pędzić na złamanie karku po lodzie w

przejmującym zimnie, usiłując wepchnąć bezbronny gumowy krążek do siatki i w tym samym czasie nie pozwolić się zatłuc kijami przeciwników.

– Chodzi o zręczność i piękno, Phillipie. A także o siłę i wytrzymałość.

– No tak, to brytyjskie zalety.

Mężczyźni roześmiali się.

– Usiądźmy na powietrzu – powiedział Pryce cichym, serdecznym głosem, pełnym refleksji i entuzjazmu. – Słońce jest bardzo przyjemne. Poza tym my, Anglicy, nie oglądamy go zbyt często, a zatem nawet tutaj, wśród wojennych okropności, powinniśmy skorzystać z okresowej szczodrobliwości matki natury, czyż nie?

Znowu się uśmiechnęli.

– Podarunki od byłych kolonii, Phillipie – powiedział Tommy. – Oto część naszej obfitości, taki skromny rewanż za to, że w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku udało się wam wysłać za morze najbardziej niezdarnych generałów, aby nasz Nowy Świat mógł się popisać własną błyskotliwością.

– Zignoruję tę bezzasadną, dziecinną i błędną interpretację słabszego skądinąd momentu we wspinających dziejach naszego wielkiego imperium. Co takiego nam przyniosłeś?

– Amerykańskie papierosy, choć jest ich o pół tuzina mniej, bo musiałem przekupić Fritza Numer Jeden...

– Mam wrażenie, że jego ceny jakoś dziwnie szybko rosną – mruknął Pryce. – O, amerykański tytoń? Idę o zakład, że to najlepsza wirginia. Znakomicie.

– Trochę czekolady ...

– Cudownie. Od słynnego Hersheya z Pensylwanii...

– I to... – Tommy wręczył starszemu oficerowi blaszaną puszkę herbaty Earl Grey. Żeby ją zdobyć, musiał pohandlować z pewnym pilotem myśliwskim, który palił dwie paczki papierosów dziennie, ale kiedy zobaczył szeroki uśmiech na twarzy podpułkownika uznał, że nie była to zbyt wysoka cena. Pryce wpadł w prawdziwy zachwyty.

– Alleluja! Chwała na wysokościach! A my jesteśmy skazani na stałe używanie

starej, zrujnowanej puszki kiepsko podrobionej herbaty Darjeeling. Hugh, przyjechały skarby z kolonii! Bogactwa przechodzące wszelkie wyobrażenia. Produkty właściwie przyrządzone! Słodycze dla zabicia apetytu, filiżanka prawdziwej, porządnej herbaty, a na koniec spokojnie wypalony papieros! Thomas, jesteśmy twoimi dłużnikami!

– To wszystko z paczek – odparł Tommy. – Nasze są znacznie lepsze niż wasze.

– Niestety, to fakt. Nie chodzi o to, że my, jeńcy, nie doceniamy poświęceń ponoszonych przez naszych rodaków dla ich poszkodowanych przez wojnę bliźnich, ale...

– Te cholerne amerykańskie paczki są dużo lepsze – przerwał Hugh Renaday. – Paczki brytyjskie są po prostu nieapetyczne. Cztery puszki suszonych rybek i podrobiony dżem. Do tego coś, co nazywają kawą, choć to nie jest kawa. Okropność. Paczki kanadyjskie nie są aż takie złe, lecz za mało w nich tego, czego oczekuje Phillip.

– Za dużo mięsnych puszek, za mało herbaty – stwierdził Pryce z udawanym smutkiem. – Konserwowe mięso, które wygląda, jakby zostało wykrojone z grzbietu starej chabety Hugh.

– Pewnie właśnie stamtąd pochodzi.

Roześmiali się znowu; Hugh Renaday zaniósł czekoladę i puszkę z herbatą do baraku, aby zaparzyć ją dla całej trójki. W tym czasie Pryce zapalił papierosa, rozparł się wygodnie i zamknął oczy, powoli wypuszczając dym nosem.

– Jak się czujesz, Phillipie? – zapytał Tommy Hart.

– Fatalnie, jak zawsze, drogi chłopcze – odrzekł podpułkownik, otwierając oczy. – Czerpię niejaką satysfakcję ze stabilności mego stanu fizycznego. Zawsze jest okropny. – Otworzył oczy szerzej i pochylił się do przodu. – Ale przynajmniej to wciąż nie najgorzej pracuje – powiedział, klepiąc się po czole. – Przygotowałeś obronę dla tego oskarżonego stolarza?

– Owszem, przygotowałem – odparł Tommy.

Pryce uśmiechnął się.

– Masz jakieś pomysły? Nowe idee?

– Wnoszę o zmianę miejsca rozprawy. Robię to z impetem, hałaśliwie. Później planuję rzucenie się fircykowatych ekspertów czy naukowców od drewna, na człowieka Hugh, tego tak zwanego sądowego specjalisty od tarcicy. Podejrzewam, że w ogóle nie istnieje taka specjalizacja i powinienem znaleźć kilku typków z Harvardu czy Yale, którzy złożą stosowne zeznania. Dlatego, że dla nas zabójczą sprawą jest świadectwo dotyczące tej drabiny. Jestem w stanie wyjaśnić kwestię certyfikatów złota, a także inne sprawy. Ale ten gość zeznaje, że drabina mogła być zrobiona jedynie z drewna w garażu Hauptmanna i bardzo wiele elementów tej sprawy opiera się na tym zeznaniu.

Pryce powoli skinął głową.

– Mów dalej. W twoich słowach jest dużo racji.

– Widzisz, ta drewniana drabina zmusza mnie do powołania Hauptmanna, aby zeznawał we własnej obronie. A kiedy znajdzie się już w tym kojcu przed kamerami, dziennikarzami, w środku całego cyrku...

– To koszarne, przyznaję...

– Poza tym on mówi z takim akcentem... wszyscy go znienawidzą, wystarczy, że otworzy usta. Ludzie prawdopodobnie nie znosili go, ponieważ był oskarżony. To oczywiste. Ale gdy dojdzie ten obcy akcent...

– Ta sprawa w dużym stopniu opiera się na tej nienawiści, czyż nie, Thomas?

– Owszem. To imigrant. Surowy tępak. Takiego faceta można natychmiast znienawidzić. Jeśli się go postawi przed ławą przysięgłych, to tak, jakby się ich zachęcało do skazania go.

– Irytujący typek. I zarazem trudny klient.

– Tak. Lecz ja muszę znaleźć sposób, żeby jego słabość zmienić w siłę.

– To nie jest takie łatwe.

– Ale to rzecz najwyższej wagi.

– No, jesteś przebiegły. A co z tym zeznaniem słynnego lotnika? On twierdzi, że rozpoznaje głos Hauptmanna jako ten, który słyszał w nocy na ciemnym cmentarzu.

– To twierdzenie jest absurdalne, Phillipie. Po tylu latach jest w stanie rozpoznać kilka słów tego człowieka... Sądzę, że podczas przesłuchania zgotowałbym

pułkownikowi Lindberghowi niespodziankę.

– Niespodziankę? Jak to?

– Rozmieściłbym kilku mężczyzn z obcym akcentem w różnych miejscach sali sądowej. Później kazałbym szybko wstawać jednemu po drugim i mówić: „Zostaw pieniądze i odejź!”, czyli to, co zdaniem Lindbergha powiedział Hauptmann. Oskarżyciel sprzeciwi się, rzecz jasna, sędzia uzna to za obrazę...

Pryce uśmiechał się szeroko.

– Trochę teatru, co? Zagranie pod ten tłum koszmarnych reporterów. Uwypuklenie kłamstwa. Doskonale sobie to wyobrażam. Sala pełna ludzi, wszystkie oczy wpatrują się w Thomasa Harta, kiedy on robi nagły zwrot i prezentuje tych facetów, a potem zwraca się do sławnego lotnika i pyta: „Czy jest pan pewny, że to nie był ten człowiek? A może ten? A może ten?” Sędzia uderza młotkiem w stół, goście z prasy pędzą do telefonów. Organizujesz własny cyrk, aby przeciwdziałać cyrkowi stworzonemu przeciwko tobie, zgadza się?

– Właśnie tak.

– No, Thomas, masz zadatki na doskonałego prawnika. Możesz nawet zostać adwokatem diabła, jeżeli wszyscy tu pomrzemy i trafimy do piekła. Ale musisz zachować ostrożność. Dla wielu ludzi spośród publiczności, sędziów przysięgłych, a także dla sędziego Lindbergh był świętym. Bohaterem. Rycerzem bez skazy. Trzeba być bardzo ostrożnym, gdy chce się udowodnić, że człowiek o tak doskonałej opinii jest kłamcą. Miej to na uwadze! A oto Hugh z herbatą. Właśnie mówiliśmy o doskonałości.

Podpułkownik sięgnął po naczynie z parującym napojem i podsunął je sobie pod nos, wdychając aromat.

– Gdybyśmy jeszcze do tego mieli... – powiedział powoli.

Tommy wyciągnął z kieszeni puszkę skondensowanego mleka i jednocześnie dokończył:

– ...trochę świeżego mleka.

Phillip Pryce parsknął śmiechem.

– Synku, daleko zajdziesz w życiu.

Nalał do fajansowego białego kubka sporą porcję i pociągnął zdrowy łyk, rozkoszując się smakiem. Następnie spojrzał na Renadaya.

– A teraz, kiedy ten jankes przekupił mnie jak należy, Hugh, mam nadzieję, że ty również się przygotowałeś?

Renaday nalał sobie trochę mleka i gorliwie przytaknął.

– Naturalnie, Phillipie. Mimo że znalazłem się na znacznie gorszej pozycji przez nieobyčajne przekupstwo dokonane przez naszego przyjaciela ze Stanów. Posiadane przeze mnie dowody nie pozostawiają wątpliwości. Pieniądze z okupu zostały znalezione w domu Hauptmanna, gdzie je ukryto. Mogę też udowodnić, że drabinę zrobiono z desek z garażu tego ostatniego. On nie ma wiarygodnego alibi...

– Ale również nie przyznał się – wtrącił szybko Tommy Hart. – Chociaż przesłuchiwałeś go w bardzo ostry sposób całymi godzinami.

– To przyznanie się, a raczej jego brak – dorzucił Pryce – jest najbardziej kłopotliwą kwestią, prawda, Hugh? Jest też rzeczą zadziwiającą, że nie udało się go zdobyć. Można by oczekiwać, że człowiek ugnie się po przesłuchaniu przez policję stanową. Albo chociaż będzie pełen skrupułów, skoro odebrał życie biednemu dziecku. Człowiek wyobraża sobie, że wewnętrzne i zewnętrzne naciski okażą się niemal nie do przewyciężenia, zwłaszcza w przypadku osoby nieokrzęsanej, o niewielkim wykształceniu. Spodziewa się, że w swoim czasie dojdzie do przyznania się oskarżonego, co byłoby odpowiedzią na liczne pytania i uwolniłoby nas od wielu dręczących wątpliwości. Tymczasem ten tępy robociarz konsekwentnie mówi o swojej niewinności...

Kanadyjczyk przytaknął.

– Zadziwia mnie, że nie potrafili go złamać. Ja bym to zrobił z pewnością, choćby uciekając się do tego, co wy nazywacie trzecim stopniem. Gotów jestem przyznać, że przyznanie się do winy byłoby pomocne, może nawet istotne, ale...

Tu Renaday przerwał, uśmiechając się do Harta.

– Ale mnie to nie jest potrzebne. Ten człowiek przychodzi do sądu z piętnem winy na czole. Ma tę winę w sobie... – Hugh wypchnął brzuch i nacisnął go kciukiem. Cała trójka wybuchnęła śmiechem. – Ja tu nie mam wiele do roboty, chyba że pomóc

katowi zaciągnąć stryczek.

– W rzeczywistości, Hugh, w New Jersey preferują krzesło elektryczne – dorzucił cicho Tommy.

– No to już powinni je zacząć rozgrzewać i przygotować do użycia – odparł kanadyjski porucznik. Odłamał kawałek czekolady i wpakował ją sobie do ust, zanim oddał resztę Pryce'owi.

– Chyba nie będzie łatwo znaleźć ochotników do tej roboty – skomentował Pryce.
– Nawet podczas toczącej się wojny.

Śmiech podpułkownika zamienił się w atak kaszlu, który ustąpił po wypiciu łyka herbaty. Na jego pomarszczonej twarzy znowu zagościł szeroki uśmiech.

Argumentacja była jak należy – pomyślał Tommy, kiedy z Fritzem Numer Jeden wracał do obozu. Kilka punktów zarobił, kilka stracił, walczył zdecydowanie o każdą kwestię proceduralną; w większości przypadków przegrywał, ale nie bez oporu. Generalnie rzecz biorąc, był zadowolony. Phillip Pryce zdecydował się odłożyć wydanie wyroku i dopuścić do dalszej dyskusji w przyszłym tygodniu, na co Hugh Renaday zareagował teatralnym oburzeniem i żartobliwie gorzkimi zarzutami, że nieprzystojne przekupstwo Tommy'ego spowodowało zakłócenie dobrego zazwyczaj wzroku ich wspólnego przyjaciela. Ale tych skarg żaden z nich nie brał poważnie.

Przez pewien czas szli obok siebie. Tommy zwrócił uwagę na dziwne milczenie szperacza. Zazwyczaj Fritz Numer Jeden chętnie popisывał się swymi uzdolnieniami lingwistycznymi, a prywatnie dawał nawet do zrozumienia, że po wojnie dobrze je wykorzysta, także w aspekcie finansowym. Nie wiadomo tylko, czy wartownik myślał o zakończeniu wojny po zwycięstwie Niemców, czy też po ich porażce. Tommy uważał, że bardzo trudno określić, na ile fanatyczni są przeciętni Niemcy. Gestapowiec, który czasem przyjeżdżał do obozu – najczęściej w związku z nieudanymi próbami ucieczki – nie ukrywał swoich przekonań. Natomiast żołnierz takiemu jak Fritz Numer Jeden czy choćby komendant trudniej było rozgryźć.

Odwrócił się do Niemca. Fritz Numer Jeden był wzrostu Harta i tak samo chudy.

Różnili się za to karnacją. Skóra Fritza wyglądała zdrowo i nie przypominała bladożółtego ciasta, tak jak skóra wszystkich jeńców po spędzeniu kilku tygodni w Stalagu Luft 13.

- Co się dzieje, Fritz? Kot odgryzł ci język?
- Kot? Co masz na myśli? – zapytał zaskoczony wartownik.
- To znaczy: dlaczego jesteś taki milczący?
- Kot ma twój język. To bardzo ładne. Zapamiętam sobie – odrzekł Niemiec.
- No więc? W czym rzecz?

Strażnik zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

– Chodzi o Rosjan. Oni przygotowują miejsce pod kolejny obóz dla nowych jeńców alianckich. My wykorzystujemy Rosjan jako siłę roboczą. Mieszkają w namiotach jakieś półtora kilometra stąd. Za tym lasem.

- No i co?

Fritz Numer Jeden ściszył głos i rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

– Poruczniku, my ich zaorzemy na śmierć. Nie otrzymują puszek z wołowiną ani papierosów w paczkach z Czerwonego Krzyża. Tylko pracują, bardzo ciężko. Umierają dziesiątkami, setkami. Obawiam się, że jeżeli Armia Czerwona dowie się kiedyś, jak potraktowaliśmy tych jeńców, jej zemsta będzie okrutna.

- Boisz się, że kiedy Rosjanie tu przyjdą...
- Nie okażą nam miłosierdzia.

Tommy przytaknął ruchem głowy i pomyślał w duchu: i dobrze wam to zrobi.

Zanim zdążył coś powiedzieć, Fritz Numer Jeden wyciągnął rękę i zatrzymał go. Znajdowali się kilkadziesiąt metrów od bramy południowego obozu, ale strażnik najwidoczniej nie chciał tam jeszcze dojść. Tommy spojrzał w lewo i domyślił się, o co mu chodzi: w ich kierunku maszerowała długa kolumna mężczyzn. Ludzie ci mieli przejść tuż przed bramą amerykańskiego obozu. Patrzył na nich z uczuciem zaciekawienia i desperacji. Pomyślał, że oni niczym się nie różnią, też mają swoje życie, domy, rodziny, nadzieje. Ale to żywe trupy.

Eskortujący kolumnę niemieccy żołnierze, ubrani w mundury polowe, wycelowali

pistolety maszynowe w posuwające się do przodu szeregi jeńców. Od czasu do czasu pokrzykiwali: Schnell! Schnell!, ponaglając idących, ale Rosjanie maszerowali powoli, z trudem. Byli skrajnie wyczerpani. Tommy zauważył, że w ich zarośniętych twarzach i zapadniętych, przerażonych oczach kryje się cierpienie i ból. Mieli pochylone głowy i wydawało się, że każdy kolejny krok wymaga zmobilizowania resztki sił. Co jakiś czas przyglądał się uważnie jakiemuś jeńcowi, patrzącemu na niemieckich strażników i mamroczącemu coś w swoim języku – w tym głosie słychać było wściekłość i bunt zmieszane z rezygnacją. Był świadkiem bardzo dziwnej sprzeczności: jeńców w podartej odzieży, traktowanych wyjątkowo brutalnie, nieludzko, nic nie było w stanie złamać, nawet brak jakichkolwiek perspektyw. Rosjanie minęli go, maszerowali dalej, a każdy krok, każda sekunda zbliżały ich do nieuniknionej śmierci.

Tommy poczuł ucisk w gardle – nie mógł wydobyć z siebie głosu.

W tej samej chwili dostrzegł coś bardzo charakterystycznego.

W amerykańskim obozie, tuż za drutami, uczestniczący w meczu softballu Vincent Bedford zajmował stanowisko gracza odbierającego piłkę. Tak jak inni gracze i wszyscy jeńcy widział, maszerujących z trudem Rosjan. Większość Amerykanów stała nieruchomo, zafascynowana tym pochodem szkieletów.

Ale nie Bedford. Ten ryknął, rzucił kij na ziemię, zaczął machać ramionami i krzycząc głośno, pobiegł do najbliższego baraku. Z hukiem zatrzęsął za sobą ciężkie, drewniane drzwi.

Przez chwilę Hart stał dezorientowany, nie zrozumiał słów wykrzykiwanych przez Bedforda. Po chwili wszystko stało się jasne – południowiec wybiegł równie szybko, jak zniknął. Dźwigał naręczne bochenków ciemnego niemieckiego chleba i krzyczał do innych oficerów Kriegesbrot! Kriegesbrot! Potem, nie troszcząc się o to, czy jego przesłanie zostało zrozumiane, ruszył sprintem w kierunku bramy obozu. Tommy zauważył, że niemieccy wartownicy wymierzili w niego karabiny.

Feldfelbel w miękkiej polowej czapce wyskoczył z grupy strażników pilnujących bramy naprzeciw biegnącemu Amerykaninowi i zaczął wymachiwać rękami. – Nein! Nein! Ist verboten! – wołał. W biegu starał się wydobyć z kabury mauzera. Zastąpił

drogę Bedfordowi w chwili, gdy ten znalazł się przy bramie.

Kolumna Rosjan zwolniła jeszcze bardziej – ludzie odwracali głowy w stronę, z której dobiegały krzyki. Ledwie poruszali nogami, mimo nieustannych pokrzykiwań strażników: Schnell! Schnell!

Feldfelbel patrzył na Bedforda wzrokiem pełnym wściekłości, jakby w tej chwili Amerykanin i Niemiec nie byli już jeńcem i strażnikiem, tylko śmiertelnymi wrogami. Podoficer zdołał w końcu wydostać pistolet i budzącym przerażenie ruchem przystawił go do piersi człowieka z Missisipi. – Ist verboten! – powtórzył ochryple.

Tommy dostrzegł szaleństwo we wzroku Bedforda.

– Verboten? – zapytał Trader Vic wysokim, przeciągłym głosem, przechodzącym w szyderczy ton. – Wiesz co, koleś? Ja cię chrzanię.

Szybko wyminął Niemca, nie zwracając uwagi na wyciągniętą broń. Zwinnym, miękким ruchem cofnął ramię niczym gracz przygotowujący się do wbicia sunącej po ziemi piłki do dołka i przerzucił bochenek nad ogrodzeniem z drutu kolczastego. Chleb zawirował w powietrzu, wzniósł się wysoko, wykonał w locie łuk i wylądował dokładnie pośrodku rosyjskiej kolumny.

Wszyscy jeńcy odwrócili głowy w kierunku amerykańskiego obozu, nie odrywając nóg od ziemi. Błagalnie podnieśli ręce, ich głębokie głosy zakłóciły ciszę majowego popołudnia. – Brot! Brot! – wykrzykiwali.

Feldfelbel odbezpieczył pistolet – Tommy usłyszał metaliczny szczęk mimo głośnych, błagalnych okrzyków Rosjan. Pozostali strażnicy także załadowali karabiny. Nie ruszali się jednak z miejsca, żaden nie wykonał najmniejszego gestu.

Bedford odwrócił się do podoficera.

– Uspokój się, chłopie. Jutro możecie ich wszystkich zabić. Ale przynajmniej dzisiaj niech się najedzą.

Roześmiał się i drugi bochenek poszybował nad płotem, za nim kolejny. Feldfelbel patrzył na Bedforda twardym wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy powinien strzelić, później manifestacyjnie wzruszył ramionami i powoli wsunął pistolet do kabury.

W tym czasie z baraków wybiegli inni jeńcy, obładowani czarnym niemieckim chlebem. Ustawili się wzdłuż parkanu i niebawem grad bochenków spadł na rosyjskich więźniów, którzy złamali szeregi i zebrali wszystkie kawałki. Tommy widział, jak Bedford wyrzuca ostatni bochenek i z szerokim uśmiechem krzyżuje ręce na piersiach.

Niemcy nie przeszkadzali.

Po chwili Hart zauważył, że jeden chleb nie doleciał do celu. Krótkie ramię – tym baseballowym terminem określa się zbyt słaby rzut. Bochenek upadł na ziemię kilka kroków od kolumny. W tym samym momencie zauważył go stojący na skraju mały, przypominający królika Rosjanin. Zawahał się, bo żaden jeńiec nie wyskoczył z szyku po cenną zdobycz. Tommy wyobrażał sobie, co się dzieje w głowie tego człowieka, który kalkuluje, ocenia własne szanse. Chleb oznacza życie. Opuszczenie szeregu może oznaczać śmierć. Niebezpieczeństwo. Ryzyko. Ale nagroda była bardzo cenna. Hart chciał zawołać do rosyjskiego żołnierza: „Nie! To nie jest tego warte!”, lecz nie pamiętał, jak to brzmi po rosyjsku. Niet!

Więzień wyskoczył jednak z kolumny, schylił się i wyciągnął ręce po upragniony bochenek.

Nie powiodło mu się.

Rozległ się pojedynczy, głośny strzał z pistoletu maszynowego, uciszając krzyczących jeńców. Rosyjski żołnierz skoczył do przodu i upadł na ziemię metr od pożądanej zdobyczy. Zadrżał, wyginając plecy w agonii; na piachu rozlewała się plama ciemnej krwi. Po chwili zastygł w bezruchu.

Kolumną rosyjską wstrząsnął dreszcz. Nikt nie krzychał z przerażenia – jeńcy po prostu ucichli. Z ich milczenia emanowała nienawiść i furia.

Niemiecki strażnik, który strzelił, podszedł wolnym krokiem do zabitego i potracił zwłoki butem. Zarepetował na nowo karabin i energicznym gestem wezwał dwóch ludzi z kolumny; jeńcy wystąpili i pochyłili się, żeby podnieść zwłoki. Powoli zrobili znak krzyża na piersiach, a jeden z nich, z oczami wbitymi w wartownika, wyciągnął rękę po bochenek, który kosztował życie człowieka. Na twarzy Rosjanina widać było napięcie, zachowywał się jak zapędzone w pułapkę zwierzę – rosomak albo

borsuk – gotowe bronić się zębami i pazurami. Następnie obaj więźniowie unieśli ciało wysoko, niczym krwawe trofeum. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się twardym wzrokiem w Niemca mordercę, po czym wrócili do szeregu. Tommy Hart obawiał się, że Niemcy mogą otworzyć ogień do rosyjskiej kolumny i szybko rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś osłony.

– Raus! – zakomenderował żołnierz nerwowo. Rosjanie z ociąganiem uformowali szczyk i powoli ruszyli przed siebie.

W głębi szeregów pojedynczy, anonimowy głos zaintonował powolną, smutną pieśń. Dziwne, obce słowa śpiewane głębokim, dźwięcznym głosem szybowały w powietrzu nad głowami więźniów, zagłuszając odgłos stóp szurających po ziemi. Żaden z Niemców nie starał się przerwać tego śpiewu. Tommy Hart nie rozumiał słów, ale znaczenie tej pieśni było oczywiste. W końcu melodia ucichła w oddali, a kolumna znikła wśród dalekich drzew.

– Słuchaj, Fritz – zapytał szeptem, chociaż i tak znał odpowiedź. – Co on śpiewał? Strażnik potrząsnął głową.

– To była pieśń dziękczynna, a także pieśń wolności – odrzekł cicho Niemiec.

Później wskazał ręką w kierunku bramy, za którą nadal stał Vincent Bedford. On także obserwował znikających w oddali Rosjan. Już się nie uśmiechał – podniósł dłoń do daszka czapki. Oddawał zmarłemu salut.

– Nie sądziłem, że nasz przyjaciel Trader Vic jest człowiekiem takiej odwagi – mruknął Fritz Numer Jeden, dając znać wartownikowi, aby otworzył bramę. – To głupota ryzykować życie dla jakiegoś Rosjanina, który i tak umrze, nie dziś, to jutro. W każdym razie niebawem. Ale to było bardzo odważne.

Tommy przytaknął. W pełni zgadzał się z tym, co usłyszał. A przy tym ze zdziwieniem dowiedział się, że Fritz Numer Jeden zna obozowe przezwisko Vincenta Bedforda.

Brama obozu południowego zatrzasnęła się za nimi. Tommy dostrzegł Lincolna Scotta. Czarnoskóry lotnik stał na uboczu, tuż przy wyznaczonej granicy, patrząc w dal, tam, gdzie Rosjanie zniknęli wśród drzew. Lincoln Scott jak zawsze był sam.

Tommy wśliznął się na pryczę na krótko przed wyłączeniem przez Niemców światła na noc. Rozłożył na kolanach książkę na temat procedury w procesie cywilnym, ale suchy tekst nie chciał mu wchodzić do głowy. Zbiór przypadków wydawał się nudny, nie pobudzał wyobraźni. Podporucznik myślał o sali sądowej w Flemington i procesie, który się tam rozegrał. Przypomniał sobie, co Phillip Pryce mówił o nienawiści – że jest ona podskórnym nurtem prowadzonej sprawy – i doszedł do wniosku, że można ten gniew odwrócić. Przecież bardzo dobry adwokat potrafi ująć w karby wewnętrzne bodźce, działające na jego klienta i wykorzystać je dla sprawy.

W puszcze obok łóżka trzymał ogryzki ołówków. Przekręcił się i sięgnął po jeden z nich, wziął też arkusz papieru. Zapisał ostatnią myśl i postanowił jeszcze raz przeanalizować sprawę stolarza. Uśmiechnął się, bo był to akt prawniczej desperacji, ponieważ konsekwentnie przytaczane przez Hugh Renadaya fakty uderzały w niego niczym falanga greckich hoplitów. Musiał jednak przyznać, że Phillip Pryce jest człowiekiem subtelnym, a intrygujące rozumowanie potrafi oderwać jego uwagę od faktów. Pomyślał, że to będzie wielki przełom. Zastanawiał się, jaką reputację zdobędzie adwokat, który doprowadzi do uniewinnienia Bruna Richarda Hauptmanna. Nawet jeśli jest to tylko fikcyjne powtórzenie rozprawy.

Spojrzał na zegarek. Niemcy wykazywali dziwną niezborność przy gaszeniu światła. W przypadku ludzi, którzy zawsze postępowali w sposób możliwy do przewidzenia, było to niezwykle i trudne do wytłumaczenia. Tommy przypuszczał, że nie wyłączą prądu jeszcze przez jakieś pół godziny.

Zsunął zegarek z nadgarstka i odczytał inskrypcję na kopercie, wodząc po niej palcem. Zamknął oczy – przestały docierać do niego obozowe odgłosy i zapachy. Wrócił do Vermontu. W takich razach miał skłonność do fantazjowania, że znowu jest w domu, gdy on i Lydia pocałowali się pierwszy raz. Wtedy też pierwszy raz poczuł pod dłonią miękką krągłość jej piersi. Wiedział już, że będzie ją kochał niezależnie od wszystkiego, co się może z nim wydarzyć. Odpędzał jednak te wspomnienia, wolał marzyć o sprawach bardziej zwyczajnych, o dniach swojego dojrzewania. Pamiętał, jak wyciągnął tęczowego pstrąga, którego złowił na suchą

przynętę w niewielkim zakolu rzeki Mettawee, gdzie nurt wody wyłobił niewielką zatoczkę pełną wielkich ryb. Chyba tylko on, Tommy, o tym wiedział. Przypomniał sobie pewien dzień na początku września – pomagał wówczas matce, pakującej jego rzeczy przed wyjazdem do akademii. Pieczołowicie składała koszule, a potem delikatnie układała je w dużej skórzanej walizce. Był wówczas bardzo podniecony i nie wiedzieć czemu musiał walczyć z napływającymi łzami.

Mocno zacisnął powieki. Pomyślał, że takie zwyczajne dni mają szczególny charakter, a dni specjalne są czymś spektakularnym. To są wydarzenia, które należy utrwać w pamięci.

Odetchnął głęboko i powoli otworzył oczy. Westchnął ciężko. Zrozumiał, że trzeba się znaleźć w takim miejscu, aby wszystko zrozumieć.

Sięgnął po podręcznik i siłą woli starał się na nim skoncentrować uwagę, besztając się w duchu ostrymi słowami. Czuł się jak pasterz zaganiający rozbrykane stado.

Skupił się na prawie precedensowym, rozstrzygającym w sporze pomiędzy firmą papierniczą a jej pracownikami, sądzonym kilkanaście lat wcześniej. Wtedy usłyszał gniewny krzyk w innej sypialni w baraku.

Podniósł się raptownie. Odwrócił głowę niczym pies, wyczuwający dziwny zapach w powietrzu. Spojrzał w tę stronę, skąd dochodził hałas. Usłyszał drugi, potem trzeci krzyk, a wreszcie huk mebli uderzających o cienkie ściany.

Zeskoczył z łóżka z innymi. Usłyszał czyjś głos: „Co się dzieje, do cholery?” Po chwili ruszył w kierunku korytarza, biegnącego przez całą długość baraku sto jeden, a stamtąd do miejsca, z którego dochodziły odgłosy walki. Ledwie miał czas pomyśleć, że to bardzo niezwykle wydarzenie. Przez cały czas pobytu w Stalagu Luft 13 ani razu nie widział, żeby jeńcy się bili. Nawet nie słyszał o czymś takim. Nie dochodziło do tego po przegranej partii pokera, podczas ataku na drugą bazę w baseballu, kłótni na ubitym boisku do koszykówki, czy z powodu teatralnej interpretacji *Kupca weneckiego*.

Jeńcy nie bili się między sobą. Szybko przechodzili do porządku dziennego nad obozowymi kłopotami – nie dlatego, że byli żołnierzami, przyzwyczajonymi do

dyscypliny, ale dobrze rozumieli konsekwencje wspólnego przebywania w niewoli. Ludzie o różnych charakterach, prowadzących do starć, zawsze potrafili w jakiś sposób zażegnać te kontrowersje lub schodzili sobie z drogi. Amerykanie wściekali się na otaczające ich ogrodzenie, Niemców i własnego pecha, przez którego trafili do obozu, chociaż większość z nich zdawała sobie sprawę, że zostali zestrzeleni przez przypadek, a to jest największa przykrość, jaką można sobie wyobrazić.

Tommy biegł do pokoju, skąd dochodziły odgłosy kłótni. Nie mógł zrozumieć, o co toczy się walka. Korytarz zapełniał się ciekawskimi, ale udało mu się znaleźć w gronie tych, którzy pierwsi doszli do sypialni Tradera Vica.

Stał się świadkiem niecodziennej sceny.

Przewrócona prycza leżała na innym łóżku. W róg pokoju rzucono drewnianą szafkę, wypchaną kartonami papierosów i konserwami. Na podłodze wały się ubrania przemieszane z książkami.

Lincoln Scott stał samotnie pod ścianą. Ciężko oddychał, miał zaciśnięte pięści.

Pozostali lokatorzy pokoju ustawili się przed Vincentem Bedfordem.

Jeniec z Missisipi miał rozbity nos. Sączyła się z niego strużka krwi, spływająca do kącika ust i dalej, na podbródek. Czerwony na twarzy, z dzikim wzrokiem przepychał się z czterema mężczyznami, którzy trzymali go za ramiona.

– Już jesteś martwy, czarnuchu! – wykrzykiwał. – Słyszysz mnie, chłopcze? Nie żyjesz!

Scott nie odzywał się, tylko patrzył na Bedforda.

– Oni dopilnują, żebyś zdechł, chłopcze! – wrzeszczał Vic.

Tommy Hart poczuł, jak ktoś go odpycha i w tej samej chwili usłyszał głos któregoś z jeńców: „Baczność!” Dostrzegł dobrze znaną sylwetkę pułkownika MacNamary. Towarzyszyli mu major Clark, jego pomocnik i drugi co do starszeństwa oficer w obozie. Wszyscy przyjęli przepisową postawę i oddali honory. Dwaj przybyli oficerowie wyszli na środek pokoju i zlustrowali ślady niedawnej walki. Twarz MacNamary poczerwieniała gwałtownie, ale spokojnym głosem zwrócił się do porucznika mieszkającego w tym samym pokoju co Trader Vic.

– Poruczniku, co tu zaszło?

– Walka, sir – odpowiedział zapytany, występując naprzód.

– Walka? Proszę dalej.

– Kapitan Bedford i porucznik Scott, sir. Poszło o jakieś przedmioty, które, jak twierdzi kapitan Bedford, zniknęły z jego prywatnego schowka.

– Rozumiem. Dalej.

– Doszło do wymiany ciosów.

MacNamara skinął głową. Widać było, że z trudem powstrzymuje gniew.

– Dziękuję, poruczniku. Bedford, co ma pan do powiedzenia?

Trader Vic wystąpił z ramionami odgiętymi do tyłu. Wyglądał nieszczerze.

– Zginęły przedmioty osobistego znaczenia, sir. Zostały skradzione.

– Jakie przedmioty?

– Radio, sir. Karton fajek. Trzy tabliczki czekolady.

– Czy jest pan pewny, że ich nie ma?

– Tak jest! Przez cały czas prowadzę bardzo dokładną ewidencję mojego stanu posiadania, sir.

– Nie wątpię, że pan to robi – powiedział cicho MacNamara. – I uważa pan, że to porucznik Scott dopuścił się rabunku?

– Tak jest.

– Oskarżył go pan o to?

– Tak jest.

– Czy widział pan, jak zabierał te rzeczy?

– Nie, sir – odpowiedział Bedford z lekkim wahaniem. – Wróciłem do sypialni. Zostałem tylko jego. Jak zwykle, przeliczyłem wszystko...

MacNamara przerwał mu gestem dłoni i zwrócił się do Scotta.

– Poruczniku, czy zabrał pan cokolwiek z szafki Bedforda?

Głos Scotta brzmiał chrapliwie i szorstko – Tommy miał wrażenie, że jego właściciel stara się ukryć emocje. Patrzył prosto przed siebie na przeciwległą ścianę. Ramiona ściągnął do tyłu.

– Nie, sir.

MacNamara zmrużył oczy i spojrzał twardo na czarnoskórego oficera.

– Nie?

– Nie, sir!

– Utrzymuje pan, że niczego pan nie zabrał kapitanowi Bedfordowi?

Po usłyszeniu tego samego pytania po raz trzeci, porucznik Scott odwrócił się lekko, a jego wzrok spotkał się ze wzrokiem MacNamary.

– Tak, sir.

– A zatem uważa pan, że kapitan Bedford myli się w swoich oskarżeniach?

Scott zawahał się, namyślając się nad odpowiedzią.

– Nie podejmuję się oceny postępowania kapitana Bedforda, sir. Stwierdzam tylko, że nie zabrałem żadnych przedmiotów, jakie należą do niego zgodnie z prawem.

Pułkownik skrzywił się na te słowa. Wycelował palec w pierś czarnego pilota.

– Scott, zamelduje się pan w moim pokoju jutro rano po apelu. Bedford, zamelduje się pan... – zaczął i zawahał się na ułamek sekundy, po czym zakończył twardym głosem: – Nie, Bedford, z panem spotkam się najpierw. Zaraz po rannym odliczaniu. Scott, pan poczeka na zewnątrz, a kiedy skończę z nim, porozmawiam z panem. Do zobaczenia. Do tego czasu macie tu posprzątać. Za pięć minut wszystko ma błyszczeć. I żadnych rozróbek dziś wieczorem. Absolutnie żadnych! Zrozumiano?

Bedford i Scott odpowiedzieli niemal jednocześnie.

– Tak jest, sir!

MacNamara już chciał wyjść, ale zmienił zamiar. Nagle odwrócił się do porucznika, którego zagadnął na początku.

– Poruczniku – powiedział ostrym tonem, stawiając oficera na baczność. – Proszę zabrać swój koc i wszystko, co potrzebne na noc. Dzisiaj zajmie pan łóżko majora Clarka. Później zwrócił się do swojego zastępcy.

– Clark, sądzę, że dziś takie rozwiązanie będzie rozsądne...

– Oczywiście, sir. – Major nie pozwolił mu dokończyć. Zasalutował energicznie.

– To żaden problem. Wezmę swój pled.

Spojrzał na młodego porucznika.

– Za mną – zakomenderował różnym tonem, po czym odwrócił się do Harta i reszty jeńców, kłębiących się w korytarzu:

– Koniec przedstawienia! – oznajmił głośno. – Wracać do łóżek. Natychmiast!

Więźniowie, wśród nich Tommy, szybko wykonali polecenie, znikając w głębi baraku niczym karaluchy, na które padł snop światła. Tommy leżał na pryczy, słuchając odgłosu kroków na drewnianej podłodze głównego korytarza. Potem zapadła dławiąca cisza oraz ciemność – Niemcy wyłączyli oświetlenie. Wszystkie baraki pogrzyły się w nocnym mroku. Ciemności rozjaśniał tylko samotny reflektor, błędzący nad drutami i dachami baraków. Jedynym odgłosem stało się dobiegające z daleka, znajome echo nocnych nalotów bombowych na fabryki w pobliskim mieście, przypominające zapadającym w sen jeńcom, że to, co naprawdę jest znaczące i ważne, rozgrywa się gdzie indziej.

Następnego dnia w obozie od rana huczało od plotek. Opowiadano, że obaj zamieszani w bójkę trafią do karceru i zostanie powołany sąd oficerski do zbadania sprawy rzekomej kradzieży. Ktoś dowiedział się podobno z dobrze poinformowanego źródła, że Lincoln Scott zostanie przeniesiony do jednoosobowego pokoju. Gdzie indziej słyszano, jakoby Bedford organizował sobie poparcie ze strony jeńców wywodzących się z Południa i że dni Lincolna Scotta są policzone niezależnie od tego, co postanowi MacNamara.

Jak to zwykle dzieje się w podobnych sytuacjach, żadna z tych pogłosek nie okazała się prawdziwa.

Pułkownik MacNamara spotkał się w cztery oczy z każdym uczestnikiem nocnego wydarzenia. Scott otrzymał polecenie przeniesienia się do innego baraku, gdy zwolni się łóżko. MacNamara nie miał ochoty wydawać nikomu rozkazu, aby ustąpił miejsca czarnoskóremu pilotowi. Bedfordowi powiedział, że dopóki nie ma przekonujących dowodów, że coś zostało skradzione, jego oskarżenia nie mają podstaw. Rozkazał mu również zostawić Scotta w spokoju do czasu załatwienia przeprowadzki. Obu zainteresowanym polecił tak się zachowywać, żeby bez problemów dotrzeć do tego momentu. Podkreślił z naciskiem, że są oficerami armii

toczącej wojnę i przez cały czas obowiązuje ich dyscyplina. Oczekiwał też, że zachowają się jak dżentelmeni i sprawa nie będzie miała dalszego ciągu. Ta ostatnia sugestia została przedstawiona z całą mocą autorytetu pułkownika. Po usłyszeniu tego jeńcy generalnie zgodzili się, że zwaśnieni oficerowie znaleźli się na samym szczycie czarnej listy pułkownika, a to było znacznie gorsze od dzielącej ich nienawiści.

Przez następne dni w obozie utrzymywała się napięta sytuacja.

Trader Vic pozornie zajmował się swoimi interesami, Lincoln Scott ponownie zaczął czytać i samotnie wędrować po obwodzie obozu. Tommy Hart podejrzewał jednak, że w duszy obydwu działo się znacznie więcej. To wszystko wydawało mu się bardzo dziwne, nawet intrygujące. Życie w obozie jenieckim zawierało w sobie pewną kruchość; wszelkie pęknięcia na troskliwie tworzonym wizerunku cywilizowanych stosunków stawały się dla wszystkich ogromnie niebezpieczne. Przygniatająca rutyna życia w zamknięciu, stres wywołany śmiertelnym zagrożeniem podczas zestrzelenia w powietrzu, strach, że zapomniano lub, co gorsza, zignorowano ich, nie opuszczał jeńców ani na moment. Nieustannie walczyli z uczuciem izolacji i rozpacz, które, jak wszyscy wiedzieli, były równie groźnymi przeciwnikami jak Niemcy.

Było piękne popołudnie; słońce złociło nudne, szare barwy, połyskiwało na drutach. Tommy Hart z prawniczą książką pod pachą wyszedł z ubikacji i zaczął się rozglądać za nasłonecznionym miejscem, gdzie mógłby usiąść i poczytać. Na boisku trwał zażarty mecz softballu. Powstał przy tym potężny zgiełk, jaki zazwyczaj towarzyszy grze w baseball, na to nakładał się głuchy dźwięk uderzenia piłki o kij lub o rękawicę zawodnika. Za boiskiem Tommy dostrzegł Lincolna Scotta, maszerującego wzdłuż wyznaczonej granicy.

Czarnoskóry jeniec znajdował się może dziesięć metrów za prawym graczem z pola. Szedł powoli, z pochyloną głową, sprawiał wrażenie człowieka udręczonego. Hartowi przypominał Rosjan mijających obóz i znikających w lesie.

Tommy zawahał się, po czym zdecydował podjąć kolejną próbę nawiązania rozmowy z czarnym pilotem. Prawdopodobnie od czasu awantury w baraku jeńcy

ograniczali się do wymieniania z nim tylko kilku zdawkowych słów. Miał wątpliwości, czy Scott zdoła wytrzymać mieszaninę narzuconej sobie izolacji i ostracyzmu i nie popaść w obłąd.

Po podjęciu tego postanowienia, Tommy ruszył przez środek obozu, nie zastanawiając się, co powie Lincolnowi; uznał tylko, że ktoś powinien otworzyć do niego usta. Człowiekiem grającym po prawej stronie pola był Vincent Bedford, który właśnie odwrócił się i spojrzał na mijającego go pilota.

Tommy usłyszał daleki odgłos uderzonej piłki, a następnie głośne gwizdy i okrzyki. Odwrócił się i zauważył biały ślad piłki, lecącej zgrabną parabolą na tle błękitnego bawarskiego nieba.

W tym momencie Vincent Bedford odwrócił się i przebiegł kilka kroków. Jednak piłka była zbyt szybka nawet dla takiego mistrza jak on – wylądowała z głośnym plaśnięciem na ziemi, wzbijając obłoczek kurzu i potoczyła się za wyznaczoną granicę, pod druty ogrodzenia.

Bedford zatrzymał się w miejscu, tak samo jak Tommy. Za ich plecami zawodnik odbijający, autor ostatniego strzału, obiegał bazy, głośno krzycząc, reszta graczy wołała coś do Bedforda.

Hart zauważył, że Trader Vic uśmiecha się szeroko.

– Hej, czarnuchu! – zawołał.

Scott zatrzymał się. Powoli uniósł głowę i odwrócił się do Bedforda. Oczy mu się zwęziły, lecz nie powiedział ani słowa.

– No, może nam trochę pomożesz, chłopcze? – Bedford wskazywał piłkę leżącą pod drucianym ogrodzeniem.

Scott odwrócił się i spojrzał na nią.

– Dalej, chłopcze, dawaj tę cholerną piłkę! – wrzeszczał Bedford.

Scott skinął głową i ruszył w tamtą stronę.

W tej chwili Tommy zdał sobie sprawę, co zaraz nastąpi. Czarnoskóry lotnik już miał przekroczyć drut wyznaczający granicę śmierci i wyciągnąć piłkę, ale nie włożył przedtem białego kitla z czerwonym krzyżem, który Niemcy przewidzieli właśnie na tego rodzaju okazje. Scott nie wiedział, że obsługa karabinu

maszynowego na najbliższej wieży zwróciła broń w jego kierunku.

– Stój! – wrzasnął Tommy. – Nie rób tego!

Noga porucznika zawisała w powietrzu, tuż nad cienkim drutem. Odwrócił się do Harta.

Tommy pobiegł w jego stronę, wymachując rękami.

– Nie, nie! Nie rób tego! – krzyczał.

Mijając Bedforda, zwolnił kroku. Usłyszał przyciszone słowa Tradera Vica:

– Hart, ty cholerny, jankeski durniu...

Scott stał jak przymurowany, czekając na Tommy'ego.

– O co chodzi? – zapytał pośepnie z lekkim niepokojem.

– Musisz włożyć ten pieprzony chałat, jeśli chcesz przejść przez granicę i nie zostać zastrzelony – powiedział Tommy zdyszczanym głosem. Wskazał ręką na boisko. Jeden z jeńców już biegł do nich, trzymając powiewający kitel. – Jeżeli nie masz na sobie czerwonego krzyża, Niemcy mogą strzelać bez ostrzeżenia. Taka reguła. Nikt ci nie powiedział?

Scott lekko poruszył głową.

– Nie – odparł, spoglądając na Bedforda. – Nikt mi o tym nie mówił.

W tej chwili jeniec z białym płaszczem dobiegł do linii granicznej.

– Musi pan to włożyć, poruczniku – powiedział. – Chyba że woli pan popełnić samobójstwo.

Lincoln Scott wciąż wpatrywał się w stojącego o kilka kroków Bedforda, który ściągnął rękawicę i zaczął ją masować wolno i metodycznie.

– No co – zawołał – podasz nam tę piłkę, chłopcze, czy nie? Tracimy czas.

Tommy odwrócił się do niego.

– Do cholery, Bedford, o co ci chodzi? Zastrzeliliby go, zanim by zrobił jeden krok.

Południowiec w milczeniu wzruszył ramionami. Wciąż się śmiał.

– To byłoby morderstwo, Vic, świetnie o tym wiesz! – krzyknął Tommy.

Bedford pokręcił głową.

– Co ty gadasz, Tommy? Poprosiłem tylko chłopaka, żeby podał piłkę, bo stał

bliżej. Jasna sprawa, myślałem, że poczeka na ten biały płaszcz. Każdy dureń wie, że trzeba go mieć na sobie, jeśli chce się przejść przez ten drut. Może nieprawda?

Lincoln Scott odwrócił się powoli, spojrzął na wieżę, skąd strażnicy pilnie obserwowali zbiegowisko jeńców. Wyciągnął w ich kierunku biały kitel z czerwonym krzyżem i trzymał go przez moment w górze, żeby go zobaczyli.

Potem rzucił go na ziemię.

– Hej, nie rób tego – ostrzegł go jeden z jeńców.

Ale Scott już przekroczył linię śmierci. Cały czas patrzył na strzelców na wieży, którzy zrobili krok w tył, kuląc się za karabinem maszynowym. Jeden z żołnierzy odbezpieczył broń, a nad ucichłym nagle terenem obozu rozległ się ostry, metaliczny trzask. Drugi ujął taśmę z nabojami, gotów wsunąć ją do urządzenia.

Nie spuszczał Niemców z oka, Scott podszedł do ogrodzenia, pochylił się i podniósł piłkę. Powoli wrócił na drugą stronę. Sztywno przekroczył rozciągnięty drut, obdarzył strażników na wieży ostatnim, pogardliwym spojrzeniem i odwrócił się do Vincenta Bedforda.

Ten wciąż się uśmiechał, ale coraz słabiej i bardziej fałszywie. Przełożył rękawicę do lewej dłoni i uderzał w nią palcami.

– Dzięki, chłopcze – powiedział. – A teraz rzuć tę pigułę tutaj, żebyśmy mogli wrócić do gry.

Scott popatrzył na Bedforda, a później na piłkę. Powoli podniósł oczy, spojrzął na środek pola i jeszcze dalej, gdzie znajdowali się gracz chwytający piłkę, jeńiec pełniący rolę sędziego i następny uderzający. Uniósł piłkę prawą ręką, szybko minął Tommy'ego, lekko podskoczył i ostrym, zdecydowanym ruchem wyrzucił piłkę.

Po tym strzale piłka pędziła po linii prostej niczym pocisk z działka samolotu. Na polu wewnętrznym odbiła się od ziemi i wpadła w rękę zaskoczonego chwytacza. Nawet Bedford otworzył usta, widząc jak szybki i daleki był to rzut.

– Do diabła, chłopcze – powiedział z zaskoczeniem. – Masz niezłą rękę.

– Owszem, mam – odrzekł Scott, odwrócił się i w milczeniu podjął samotny marsz wzdłuż linii, za którą czaiła się śmierć.

3. Abort

Ranek trzeciego dnia po wydarzeniu przy drutach Tommy Hart budził się powoli ze snu, kiedy wysokie, ostre dźwięki gwizdków gwałtownie przywróciły go do rzeczywistości. Ten hałas ciągle kojarzył mu się z dziwnym snem, w którym jego dziewczyna Lydia i zmarły kapitan z zachodniego Teksasu siedzieli na frontowym ganku białego, krytego z zewnątrz deseczkami, domku rodziców Tommy'ego w Manchester; siedzieli obok siebie w bujanych fotelach i dawali mu znaki, żeby się do nich przyłączył.

Usłyszał mamrotanie jednego z jeńców mieszkających w tym samym pokoju:

– Chryste, o co chodzi tym razem? Następny tunel?

Odpowiedzią był odgłos bosych stóp opadających na drewnianą podłogę i inny głos.

– Może to nalot.

Włączył się trzeci mężczyzna:

– Niemożliwe. Nie słyszać syren. To musi być jeszcze jeden tunel, diabli nadali! Nie miałem pojęcia, że kopią kolejny tunel.

Tommy naciągnął spodnie i wtrącił się do rozmowy:

– Skąd mamy to wiedzieć. My nigdy nic nie wiemy. O tym wiedzą tylko królowie tuneli i planujący ucieczki. Czy pada deszcz?

Ktoś otworzył okiennice.

– Mżawka. Jasna cholera! Zimno i mokro. – Później odwrócił się i dorzucił śpiwnym tonem: – Nie mogą się spodziewać, że będziemy latać w takiej zupie!

Odpowiedzieli mu mieszaniną śmiechu, pojękiwań i kociej muzyki.

Z pryczy nad sobą Tommy usłyszał głos pilota:

– Może ktoś chciał przedrzeć się przez druty. Może o to chodzi.

Jakiś jeniec odpowiedział mu z sarkazmem:

– Wy wszyscy, chłopcy z myśliwców, myślicie tylko o jednym: że ktoś zwiewa na własną rękę.

– Po prostu rozumiemy w sposób niezależny – odpalił pilot myśliwca, żartobliwie machając sąsiadowi ręką. Kilku innych roześmiało się.

– Mimo to konieczna jest zgoda komisji ucieczek – wtrącił się Tommy, wzruszając ramionami. – A po ostatniej klapie w tunelu wątpię, czy oni pozwolą jeszcze komuś popełnić samobójstwo. Nawet szalonemu dżokejowi z mustanga.

Ten komentarz spotkał się z akceptującym pochrząkiwaniem.

Z zewnątrz nadal słyhać było gwizdki i głuchy tupot obutych stóp – to jeńcy ustawiali się w szyku. Mieszkańcy baraku sto jeden zaczęli naciągać wełniane swetry i skórzane kurtki lotnicze, wiszące na sznurach przeciągniętych pomiędzy łózkami. Ponaglali ich krzykiem strażnicy. Tommy mocno zasznurował buty, złapał wyblakłą czapkę i szybko włączył się w tłum zeskakujących z łóżek jeńców. Wybiegając z baraku, popatrzył na przygnębiająco szare niebo. Poczł na twarzy kropelki drobnego deszczu i przenikliwy, mglisty chłód, przenikający przez ochronne warstwy bielizny, swetra i kurtki. Natychmiast postawił kołnierz, skulił ramiona i ruszył na plac apelowy.

Po chwili zobaczył coś, co niemal zatrzymało go w miejscu.

Dwa tuziny niemieckich żołnierzy w długich zimowych szynelach i stalowych, połyskujących wilgocią hełmach otaczało ubikację mieszczącą się między barakami sto jeden i sto dwa. Uważnie, twardym wzrokiem spoglądali na alianckich lotników, trzymając w pogotowiu karabiny. Odnosiło się wrażenie, że czekają tylko na komendę.

Do Abortu prowadziło jedno wejście, przy końcu drewnianego budyneczku. Komendant obozu von Reiter, w narzuconym na ramiona szarym płaszczu z lamówkami z czerwonej satyny, bardziej pasującym na wieczór w operze, stał koło drzwi ustępu. Jak zwykle, trzymał w dłoni jeździecki pejcz, którym miarowo uderzał po wypolerowanych cholewach wysokich czarnych butów. Kilka kroków od niego stał wyprostowany jak trzcina Fritz Numer Jeden. Von Reiter nie zwracał uwagi na strażnika – patrzył na pospiesznie mijających go jeńców. Gdyby nie nerwowe wymachiwanie biczem, pułkownik wyglądałby jak drzewo na skraju odległego lasu, stojące prosto niezależnie od pory dnia i pogody. Oczy komendanta przesuwwały się

po szeregach ustawiających się w szyku więźniach, jakby sam chciał ich policzyć albo rozpoznać twarze tych, którzy go mijali.

Jeńcy ustawili się grupami i stanęli na baczność, zwróceniem tyłem do ubikacji i otaczającego ją oddziału. Kilku usiłowało zobaczyć, co się dzieje za ich plecami, ale przeszkodziła im w tym komenda: „Naprzód patrz!”. Wszyscy byli podenerwowani – nikt nie lubi mieć za plecami uzbrojonych ludzi. Tommy słuchał uważnie, lecz nie mógł się domyślić, co dzieje się wewnątrz Abortu. Potrząsnął leciutko głową i powiedział półgłosem:

– To znakomite miejsce do wykopania tunelu. Kto to wymyślił?

Ktoś z tyłu odpowiedział:

– Ci geniusze co zwykle, tak sędzę. Sytuacja normalna...

– Wszystko spieprzone... – dorzuciło jak na komendę kilka innych głosów.

Włączył się jeszcze jeden jeniec:

– No, ale jakim cudem szkopy to wykryły? Ludzie, to najlepsze i najgorsze miejsce do kopania. Jeśli człowiek wytrzyma ten smród...

– No właśnie, jeżeli...

– Niektórzy faceci gotowi są czołgać się w gównie, byle tylko stąd się wydostać – stwierdził Tommy.

– Ale nie ja – usłyszał odpowiedź. Ktoś inny równie szybko sprzeciwił się temu.

– Człowieku, gdybym mógł stąd wyjść, przelazłbym przez coś znacznie gorszego. Do diabła, zrobiłbym to nawet za przepustkę na dwadzieścia cztery godziny. Tylko za jeden dzień, Chryste Panie, nawet za pół dnia po drugiej stronie tego pieprzonego drutu.

– Zwariowałeś – odpowiedział pierwszy głos.

– Możliwe, ale siedzenie w tym bagnie nie wpływa najlepiej na mój stan psychiczny.

Rozległ się pomruk oznaczający zgodę.

– Tam idzie nasz stary – szepnął jeden z lotników. – A także Clarkie. Wyglądają, jakby mieli ogień w oczach.

Tommy dostrzegł starszego oficera amerykańskiego, którzy przeszedł przed

frontem szyku i skierował się do Abortu. MacNamara maszerował z energią i precyzją instruktora musztry z West Point. Major Clark, którego nogi wydawały się dwa razy krótsze od kończyn przełożonego, starał się dotrzymać mu kroku. Gdyby nie powaga na twarzach obydwu oficerów, sytuacja wydawałaby się komiczna.

– Może oni rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi – mruknął ten sam głos. – Przynajmniej mam taką nadzieję. Już przemokły mi nogi. Ledwie czuję palce.

Ale odpowiedzi długo nie było. Jeńcy stali na baczność przez następne pół godziny, marznąc i od czasu do czasu dla rozgrzewki przestępując z nogi na nogę. Na szczęście przestało siąpić, nawet niebo pojaśniało od wschodzącego słońca, oświetlającego szeroki, szary szmat ziemi.

Po upływie godziny jeńcy dostrzegli pułkownika MacNamarę i majora Clarka, jak w towarzystwie von Reitera przechodzą przez główną bramę obozu do biura komendanta. Więźniowie wciąż jeszcze nie zostali policzeni – Tommy uznał to za rzecz zaskakującą. Nie wiedział, co się dzieje i był coraz bardziej ciekawy. Wszystko, co nie zgadzało się z rutyną obozowego życia, stawało się na swój sposób pożądaną nowością. Dlatego, że było nietypowe i przypominało jeńcom o całkowitej izolacji. Hart podświadomie liczył na wykrycie przez Niemców nowego tunelu. Podobały mu się przejawy buntu, nawet jeżeli sam nie czuł się na siłach brać w nim udział. Imponowała mu postawa Bedforda, który rzucał chleb Rosjanom. Odczuwał zdziwienie i zadowolenie, gdy obserwował lekkomyślne postępowanie Lincolna Scotta przy podnoszeniu piłki. Cieszyło go wszystko, co mu uświadamiało, że jest nie tylko jeńcem wojennym, ale i prawdziwym człowiekiem. Takie sytuacje zdarzały się jednak bardzo rzadko.

Po długim oczekiwaniu przed szeregiem więźniów pojawił się Fritz Numer Jeden i wydał głośną komendę:

– Spocznij. Poranne odliczanie opóźni się jeszcze trochę. Wolno palić. Nie rozchodzić się.

– Hej, Fritz, może dasz się nam odlać! Niektórym chłopakom już bardzo się chce – zawołał kapitan z Nowego Jorku.

Strażnik zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie wolno. Jeszcze nie. Verboten – oznajmił.

Jeńcy zaczęli szemrać, ale napięcie opadło. Rozszedł się zapach dymu tytoniowego. Tommy zwrócił uwagę, że Fritz Numer Jeden, który wedle wszelkich reguł powinien teraz wycygnąć papierosa od kogoś z więźniów, nie rusza się z miejsca i bacznie obserwuje jeńców. Wreszcie wypatrzył tego, którego szukał i ruszył w stronę grupy mieszkańców baraku sto jeden.

Zbliżył się do Lincolna Scotta.

– Poruczniku Scott – odezwał się beznamiętnym, przyciszonym głosem – proszę udać się ze mną do biura komendanta.

Tommy widział, jak czarnoskóry pilot zawahał się na ułamek sekundy, po czym wystąpił z szeregu.

– Jak pan sobie życzy – powiedział.

Szybkim krokiem ruszyli przez plac apelowy do bramy obozu, którą dwaj wartownicy otworzyli przed nimi natychmiast, a potem równie szybko zamknęli.

– Co to jest, do cholery?

– Czego szkopy od niego chcą?

– Hej, czy ktoś wie, co tu się dzieje?

Tommy stał w milczeniu. Głosy kolegów podsycaly jego zaciekawienie. Uważał, że to wszystko jest bardzo dziwne. Niezwykłe, ponieważ odbiega od normalnego stanu rzeczy. Nic podobnego dotychczas się nie wydarzyło.

Jeńcy utyskiwali przez następną godzinę. O tej porze poranne światło rozjaśniło już odrobinę ołowiane niebo, a ponury dzień przyniósł trochę ciepła. Nie jest to wiele – myślał Tommy. Ludzie byli głodni, zziębnięci i przemoczeni, a wielu chciało skorzystać z toalety.

Chwilę później przy bramie pojawił się znowu Fritz Numer Jeden. Wartownicy otworzyli mu przejście, a on truchtem ruszył do jeńców z baraku sto jeden. Miał lekko zaczerwienioną twarz, ale w wyglądzie szperacza nie było nic, co by pomagało zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Poruczniku Hart, czy zechce pan zaraz udać się ze mną do biura komendanta? – zapytał zdyszczanym głosem.

– Tommy, wykupuj, co tu jest grane, dobra? – powiedział ktoś za plecami Harta.

– Poruczniku Hart, proszę się pospieszyć – błagał Fritz Numer Jeden. – Nie chcę, aby pan pułkownik von Reiter musiał czekać.

Tommy zbliżył się do szperacza.

– O co chodzi, Fritz? – zapytał cicho.

– Proszę się pospieszyć. Herr Oberst panu wyjaśni.

Strażnik ruszył szybkim krokiem ku bramie.

Furtka zaskrzypiała przy otwieraniu i zamykaniu. – Tommy rozejrzał się szybko. Odniósł wrażenie, że przekracza wrota, o istnieniu których nie miał pojęcia. Przez moment zastanawiał się, czy tego samego uczucia doświadczali ludzie, którym udało się wydobyć z zestrzelonych samolotów, koziółkując w zimnym, przejrzystym powietrzu, w ułamku sekundy oderwani od wszystkiego, co uważali za bezpieczne i dobrze znane, ogarnięci paniką i jednym, jedynym pragnieniem – aby żyć dalej. Uznał, że pewnie tak. Wziął głęboki oddech i szybko wspiał się po drewnianych schodkach do biura komendanta; odgłos obutych nóg, uderzających o podłogę brzmiał jak seria z karabinu.

Na ścianie nad biurkiem komendanta wisiał kolorowy portret Adolfa Hitlera. Malarz przedstawił Führera patrzącego w dal radosnym wzrokiem, jakby dostrzegał na horyzoncie wspaniałą przyszłość Rzeszy, jej wielkie powodzenie. Tommy Hart pomyślał, że dziś już bardzo nieliczni Niemcy widzą rzeczy w taki sposób. Powtarzające się naloty B-17 za dnia i lancasterów w nocy uczyniły tę przyszłość mniej różową. Na prawo od portretu wodza wisiało mniejsze zdjęcie, przedstawiające grupę oficerów stojących obok osmalonego, powyginanego wraku rosyjskiego myśliwca marki Tupolew. W samym środku znajdował się uśmiechnięty von Reiter.

Kiedy Tommy stanął na środku niewielkiego pokoju, nie dostrzegł uśmiechu na twarzy komendanta. Von Reiter siedział za dębowym biurkiem; po prawej stronie miał telefon, na bibularzu leżały jakieś papiery, a obok nieodłączny pejcz. Na lewo od niego stali pułkownik MacNamara i major Clark. Ani śladu porucznika Scotta.

Komendant przyjrzał się Tommy'emu i wypił łyk parującej kawy zbożowej z delikatnej, porcelanowej filiżanki.

– Dzień dobry, poruczniku – powiedział.

Tommy stuknął obcasami i zasalutował. Zerknął na amerykańskich oficerów, stojących na uboczu w pozycji „spocznij”. Oni także mieli marsowe miny.

– Herr Oberst – odparł przybyły.

– Pańscy przełożeni chcą zadać panu kilka pytań, poruczniku – oświadczył von Reiter. Jego angielszczyzna była doskonała, ani na jotę nie ustępował Fritzowi Numer Jeden, chociaż ten ostatni mógłby zapewne uchodzić za Amerykanina dzięki znajomości slangu, jaką nabył, wałęsając się po obozie alianckim. Tommy nie sądził, aby arystokratyczny von Reiter odczuwał chęć nauczenia się tekstu piosenki *Koty na dachu*. Wykonał zwrot i stanął twarzą do amerykańskich oficerów.

– Poruczniku Hart – zaczął powoli MacNamara. – Czy dobrze zna pan kapitana Vincenta Bedforda?

– Vica? – odrzekł Tommy. – Mieszkamy w tym samym baraku. Kilkakrotnie handlowałem z nim. On zawsze wychodził na tym lepiej. Kilka razy rozmawialiśmy o domu, on skarżył się na pogodę albo na jedzenie...

– Czy to pański przyjaciel, poruczniku? – wtrącił nagle Clark.

– Taki sam jak wszyscy inni w obozie – odrzekł ostrym tonem Hart. Major skinął głową.

– A w jaki sposób określiliby pan swoje stosunki z porucznikiem Scottem? – pytał dalej MacNamara.

– Nie utrzymuję z nim żadnych stosunków, sir. Tak samo jak cała reszta. Podjąłem próbę nawiązania przyjaznej rozmowy i to wszystko.

Po chwili MacNamara zadał następne pytanie:

– Czy był pan świadkiem sprzeczki tych dwóch ludzi w ich sypialni?

– Nie, sir. Przybiegłem tam, kiedy ich już rozdzielono, na chwilę przed przyjściem pana pułkownika i majora Clarka.

– Ale słyszał pan rzucane groźby?

– Tak jest.

Pułkownik przytaknął ruchem głowy.

– Poinformowano mnie, że później miał miejsce incydent przy drutach...

– Nie określiłbym tego mianem incydentu, sir. Raczej chodziło o niezrozumienie reguł, co mogło mieć fatalne skutki.

– Powiedziano mi, że to pan do nich nie dopuścił przez głośnie ostrzeżenie.

– Być może. Wszystko odbywało się tak szybko.

– Czy uważa pan, że ten incydent przyczynił się do wzrostu napięcia pomiędzy tymi dwoma oficerami?

Tommy zamilkł na chwilę. Nie miał pojęcia, do czego zmierzają przesłuchujący i postanowił udzielać lakonicznych odpowiedzi. Zarówno dwaj Amerykanie, jak i niemiecki komendant uważnie słuchali każdego słowa. Postanowił zachować wszelką ostrożność.

– Sir, o co tu chodzi?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, poruczniku.

– Między nimi pojawiło się napięcie, sir. Myślę, że na podłożu rasowym, chociaż kapitan Bedford zaprzeczył temu w rozmowie ze mną. Nie potrafię powiedzieć, czy to napięcie powiększyło się czy nie.

– Oni się nawzajem nienawidzą, zgadza się?

– Nie powiedziałbym tego.

– Kapitan Bedford nie znosi czarnej rasy i nie uczynił nic, aby ukryć to przed porucznikiem Scottem, prawda?

– Kapitan Bedford dużo mówi, sir. Na każdy temat.

– Czy zgodziłby się pan z opinią, że porucznik Scott odczuwał zagrożenie ze strony kapitana Bedforda? – zapytał powoli pułkownik MacNamara.

– Zapewne trudno byłoby mu tego nie odczuwać. Ale...

W tym momencie wtrącił się major Clark:

– Ten Murzyn przebywa tu od niespełna dwóch tygodni, a już doszło do zwady, w której oskarża on innego oficera, na dodatek starszego stopniem. Prawdopodobnie mamy do czynienia z uzasadnionym podejrzeniem o kradzież, no i ten rzekomy incydent przy drutach... – tu przerwał niespodziewanie i zapytał: – Hart, pochodzi

pan z Vermontu, zgadza się? O ile się orientuję, w Vermoncie nie ma problemów z Murzynami, prawda?

– Tak jest, sir. Pochodzę z Manchesteru w stanie Vermont. O ile wiem, nie mamy tam takich problemów. Ale w tej chwili nie przebywamy w Manchesterze w stanie Vermont.

– To jest oczywiste, poruczniku – rzucił Clark gniewnie.

Odezwał się milcząco dotychczas von Reiter:

– Myślę, że porucznik byłby właściwym człowiekiem do zrealizowania pańskich zamiarów, pułkowniku; przynajmniej sądząc po ostrożności, z jaką odpowiada na pytania. Poruczniku, pan jest prawnikiem, nie wojskowym, zgadza się?

– Kiedy wstępowałem do wojska, studiowałem na ostatnim roku prawa w Harvardzie. To było zaraz po Pearl Harbor.

– Ach tak – von Reiter uśmiechnął się niewesoło. – Harvard. Instytucja naukowa o ugruntowanej sławie. Ja studiowałem na uniwersytecie w Heidelbergu. Chciałem zostać lekarzem, ale powołała mnie ojczyzna.

Pułkownik MacNamara odkaszlnął.

– Czy zna pan dokonania bojowe kapitana Bedforda, poruczniku? – zapytał.

– Nie, sir.

– Odznaczenia: Distinguished Flying Cross z liśćmi dębowymi, Purpurowe Serce, Srebrna Gwiazda za działania nad Niemcami. Wykonał przepisowe dwadzieścia pięć lotów i dobrowolnie zgłosił się do drugiej tury. Odbył trzydzieści dwa rajdy, zanim został zestrzelony...

– To lotnik z wysokimi odznaczeniami, poruczniku. Bohater wojenny – wtrącił von Reiter. Na wstążce zawieszanej na szyi nosił błyszczący, Żelazny Krzyż, a kiedy mówił, obracał go w palcach. – Takiego przeciwnika uszanuje każdy walczący w przestworzach.

– Tak jest – odparł Tommy. – Nie rozumiem jednak...

Pułkownik MacNamara odetchnął głęboko, a później powiedział ponurym, gniewnym głosem:

– Kapitan Vincent Bedford z Korpusu Powietrznego Armii Stanów

Zjednoczonych został zamordowany ubiegłej nocy po zgaszeniu światła na terenie Stalagu Luft 13.

Hartowi opadła szczeka.

– Zamordowany? W jaki sposób...

– Został zamordowany przez porucznika Lincolna Scotta – odparł szybko MacNamara.

– Nie wierzę...

– Istnieją liczne dowody – przerwał ostro major Clark. – Wystarczające, żeby postawić go dziś przed sądem wojennym.

– Ale...

– Nie zrobimy tego, rzecz jasna. To znaczy zrobimy niebawem, ale nie dziś. Mamy zamiar powołać sąd, który rozpozna sprawę wytoczoną porucznikowi Scottowi. Niemcy – w tym miejscu MacNamara gestem wskazał komendanta von Reitera – wyrazili na to zgodę. Co więcej, uszanują wyrok tego sądu. Jakikolwiek on będzie.

Von Reiter skinął głową.

– Domagam się jedynie przyznania mi prawa wyznaczenia oficera, który będzie obserwował szczegóły tego procesu, a później przedstawi raport moim przełożonym w Berlinie. Jeżeli wyniknie konieczność powołania plutonu egzekucyjnego, ludzi dostarczy nasza strona. Wy, Amerykanie, będziecie obecni przy ewentualnej egzekucji, jednakże...

– Co takiego? Pan żartuje, pułkowniku – wybuchnął Tommy.

Doskonale wiedział, że nikt tu nie żartuje. Wziął głęboki oddech. Kręciło mu się w głowie, rozpaczliwie starał się zapanować nad sobą.

– Czego oczekuje pan ode mnie, sir? – zapytał podniesionym głosem, zwracając się do MacNamary.

– Chcielibyśmy, aby reprezentował pan oskarżonego, poruczniku.

– Ja, sir? Ale ja nie jestem...

– Ma pan wiedzę prawniczą. Pańska prycza jest zavalona książkami, wśród których z pewnością znajdzie się coś na temat wymiaru sprawiedliwości w wojsku.

Zadanie będzie stosunkowo proste. Musi się pan jedynie upewnić, że przy wymierzaniu sprawiedliwości przestrzegane będą konstytucyjne prawa porucznika Scotta jako obywatela i żołnierza.

– Ależ sir...

Major Clark przerwał mu ostrym tonem.

– Słuchajcie, Hart. Ta sprawa jest oczywista. Mamy dowody. Mamy motyw, a także sposobność. Mówimy o dobrze udokumentowanej nienawiści. W dodatku wcale nie zależy nam na rozruchach, kiedy reszta ludzi z obozu dowie się, że parszywy czar... – major nie dokończył, zrobił krótką pauzę i przeformułował ostatnie zdanie: – kiedy jeńcy dowiedzą się, że porucznik Scott zabił popularnego, dobrze znanego, szanowanego, wielokrotnie odznaczonego oficera. I to zabił go w sposób brutalny i okrutny. Nie będzie to lincz, poruczniku. Nie dojdzie do czegoś takiego, jak długo my sprawujemy komendę. Niemcy także chcą uniknąć samosądu. A zatem proces. Pan odegra w nim znaczącą rolę. Poruczniku, to jest rozkaz wydany przeze mnie, przez pułkownika MacNamare, jak również przez Herr Obersta von Reitera.

Tommy głęboko wciągnął powietrze.

– Tak jest. Rozumiem – odpowiedział.

– Dobrze – kiwnął głową Clark. – Ja wezmę na siebie rolę oskarżyciela. Sądzę, że za tydzień lub dziesięć dni będziemy mogli wyznaczyć trybunał. Najlepiej załatwić się z tym szybko, panie komendancie.

– Owszem, powinniśmy pracować pilnie – zgodził się von Reiter. – Zbytni pośpiech mógłby okazać się nie na miejscu, a poważna zwłoka wywołałaby liczne problemy. Posuwajmy się zatem w rozsądnym tempie.

– Dziś po południu przedstawię panu nazwiska oficerów wybranych do trybunału wojskowego – zadeklarował MacNamara.

– Znakomicie.

– Uważam, że mamy szansę zakończyć tę sprawę przed końcem miesiąca, a najpóźniej na początku czerwca – ciągnął amerykański pułkownik.

– To również brzmi rozsądnie. Wezwałem już człowieka, którego mianuję

oficerem łącznikowym między waszym zespołem a Luftwaffe. Kapitan Visser jest w drodze, będzie tu najdalej za godzinę...

– Przepraszam, panie pułkowniku – wtrącił Tommy.

MacNamara spojrzał na niego:

– O co chodzi, poruczniku?

– Sir, rozumiem dążenie do jak najszybszego załatwienia tej sprawy – powiedział Hart z wahaniem – mam jednak kilka próśb. Jeżeli otrzymam zgodę...

– W czym rzecz, Hart? – wtrącił się Clark.

– Muszę dokładnie wiedzieć, jakie „dowody” pan posiada. Jak również znać nazwiska świadków. Proszę nie doszukiwać się w tym braku szacunku, ale muszę też osobiście zobaczyć miejsce zbrodni. Być może będę potrzebował kogoś do pomocy przy opracowywaniu linii obrony. Nawet, jeżeli sprawa jest zupełnie oczywista.

– Kogoś do pomocy? A to po co?

– Kogoś, z kim będę mógł podzielić się tym ciężarem. Takie rozwiązanie jest tradycyjnie stosowane we wszystkich sprawach zagrożonych karą śmierci, sir.

Clark zmarszczył brwi:

– Może tam, w Stanach. Nie mam pewności, czy tu jest to niezbędne, uwzględnivszy warunki panujące w Stalagu Luft 13. Kogo pan ma na myśli, poruczniku?

Tommy głęboko odetchnął.

– Porucznika Hugh Renadaya z RAF. On przebywa w obozie północnym.

Clark natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie uważam angażowania Brytyjczyka za dobry pomysł. To nasze brudy i najlepiej prac je we własnym gronie. To nie wchodzi w grę...

Oberst von Reiter pozwolił sobie na dyskretny uśmiech.

– Herr Major – zaczął – jestem zdania, że porucznik Hart postępuje rozsądnie, domagając się pomocy przy realizacji tego trudnego i delikatnego zadania, jakie mu wyznaczono. Dzięki temu łatwo będzie uniknąć zarzutu o popełnienie błędów proceduralnych. Jego prośba o przydzielenie pomocnika nie jest bezzasadna, prawda? Porucznik Renaday... czy on ma jakieś doświadczenie w tego rodzaju

sprawach?

– Tak jest, sir – zapewnił Tommy.

Von Reiter skinął głową i ciągnął:

– A więc to może być doskonały kandydat. Poza tym, pułkownik MacNamara, takie rozwiązanie pozwoliłoby uchronić jeszcze jednego z pańskich oficerów przed zaangażowaniem w ten nieszczęsny incydent i jego nieunikniony rezultat.

Tommy uznał to oświadczenie za bardzo interesujące, ale zachował milczenie.

Pułkownik zmrużył oczy i przez chwilę zastanawiał się nad słowami komendanta.

– Ma pan słuszność, Herr Oberst. To brzmi rozsądnie. Zaangażowanie Brytyjczyka zamiast jeszcze jednego Amerykanina... – powiedział w końcu.

– To jest Kanadyjczyk, sir.

– Kanadyjczyk? To jeszcze lepiej. A zatem zgoda, poruczniku.

– Sir, muszę zobaczyć miejsce przestępstwa...

– Tak, naturalnie. Jak tylko usuną ciało...

– Zwłoki nie zostały jeszcze zabrane? – Hart był zaskoczony.

– Nie. Niemcy wyznaczą ekipę, jak tylko komendant wyda rozkaz.

– Wobec tego chcę obejrzeć ciało. Natychmiast. Zanim coś zostanie zmienione.

Czy miejsce zbrodni zostało zabezpieczone?

Von Reiter przytaknął – na jego wargach wciąż widniał dyskretny uśmiezek.

– Nic się tam nie działo od momentu znalezienia zwłok kapitana Bedforda, poruczniku. Mogę pana o tym zapewnić. Nie odwiedził tego pomieszczenia nikt poza mną i dwoma pańskimi przełożonymi. No i być może był tam również oskarżony.

Niemiec ciągle się uśmiechał.

– Muszę dodać, że postawił pan identyczne żądania jak kapitan Visser, z którym rozmawiałem dziś rano.

– A co z dowodami, majorze Clark? – zapytał Tommy.

Major patrzył na Harta z obrzydzeniem.

– Skompletuję je i udostępnię panu przy najbliższej sposobności – warknął.

– Dziękuję, sir. Mam jeszcze jedną prośbę.

– Jeszcze jedną? Hart, pańskie zadanie jest zupełnie proste. Ma pan z honorem bronić praw oskarżonego. Nic więcej.

– Oczywiście, sir. Żeby jednak to zrobić, muszę porozmawiać z porucznikiem Scottem. Gdzie on się znajduje?

Von Reiter wciąż się uśmiechał. Najwidoczniej czerpał zadowolenie z niewygodnej sytuacji, w jakiej znaleźli się dwaj amerykańscy oficerowie.

– Został odprowadzony do karceru, poruczniku. Może go pan odwiedzić po obejrzeniu miejsca zbrodni.

– Sir, proszę, aby był przy tym porucznik Renaday.

– Jak pan sobie życzy.

Na biurku przed von Reiterem znajdowało się urządzenie podobne do interkomu, w kształcie pudełka. Komendant nacisnął guzik. W sąsiednim pokoju rozległ się brzęczyk. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Fritz Numer Jeden.

– Kapralu, pójdziecie z porucznikiem Hartem do północnego obozu, gdzie odszukacie porucznika Hugh Renadaya. Następnie odprowadzicie obu jeńców do Abortu, w którym znaleźliście zwłoki kapitana Bedforda i udzielicie im wszelkiej pomocy, o jaką poproszą. Kiedy zakończą oględziny ciała i miejsca, zaprowadzicie porucznika Harta na widzenie z więźniem.

Fritz Numer Jeden zasalutował słuźbiście.

– Jawohl, Herr Oberst! – wyskandował po niemiecku.

Tommy odwrócił się do amerykańskich oficerów, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, MacNamara uniósł rękę do daszka czapki.

– Może pan odejść, poruczniku – powiedział powoli.

Kiedy Tommy Hart w towarzystwie Fritza Numer Jeden dotarli do brytyjskiego obozu, Phillip Pryce i Hugh Renaday znajdowali się w swojej sypialni. Pryce kołysał się na topornym, drewnianym krześle z twardym oparciem, opierając stopy na czarnym, brzuchatym piecu, ustawionym w kącie pokoju. W jednej ręce trzymał ołówkę, w drugiej broszurę z krzyżówkami. Renaday siedział obok z książką Agathy Christie *The ABC Murders* – kieszonkowym wydaniem firmy Penguin, z

pozaginanymi kartkami. Po wejściu Tommy'ego, obaj podnieśli głowy i uśmiechnęli się.

– Thomas! – wykrzyknął Pryce. – Tak nieoczekiwanie! Ale zawsze miło cię widzieć, nawet gdy zjawiasz się bez zapowiedzi. Chodź, chodź! Hugh, szybko do spiżarki, podejmijmy naszego gościa jak należy! Czy mamy jeszcze czekoladę?

– Cześć. Phillipie, witaj Hugh – przywitał się szybko Tommy. – Prawdę mówiąc, nie jest to wizyta o charakterze towarzyskim.

Pryce z hałasem postawił nogi na podłodze.

– Nie towarzyskim? To wielce intrygujące. Wyraz strapienia na twojej twarzy mówi mi, że chodzi o coś istotnego.

– Co jest, Tommy? – zapytał, wstając Hugh Renaday. – Wyglądasz, jakby coś się stało. Hej, Fritz! Weź kilka papierosów i poczekaj na zewnątrz, zgoda?

– Nie mogę wyjść, panie Renaday – odpowiedział strażnik.

Kanadyjczyk podszedł do Harta, podniósł się też Phillip Pryce.

– Czy masz jakieś problemy w domu? Z rodziną, a może ze słynną Lydią, o której tak dużo słyszeliśmy. Z pewnością nie...

– Nie, nie. Nie chodzi o dom. – Tommy energicznie kręcił głową.

– No to w czym rzecz, chłopcze?

Tommy rozejrzał się. W pokoju nie było nikogo oprócz nich – uznał to za bardzo szczęśliwą okoliczność. Nie spodziewał się długiego utrzymania w tajemnicy wiadomości o zabójstwie, ale sądził, że rozsądniej będzie ukrywać je, jak długo się da.

– W obozie amerykańskim miał miejsce pewien incydent – powiedział. – Otrzymałem rozkaz od naszego pułkownika, żeby pomóc przy czymś, co z braku lepszego określenia nazwę śledztwem.

– Co to za incydent, Tommy? – zapytał Pryce.

– Śmierć, Phillipie.

– Matko święta, to wygląda na poważny problem – wtrącił Hugh Renaday. – Jak możemy ci pomóc, Tommy?

Hart uśmiechnął się do potężnego Kanadyjczyka.

– No cóż, Hugh, prawdę mówiąc, pozwolono mi wciągnąć cię na listę. Masz mi pomagać od zaraz. Będziesz kimś w rodzaju adiutanta.

Renaday milczał – wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego ja? – zapytał po chwili.

Tommy uśmiechnął się.

– Ponieważ bezczynność to diabelski wynalazek, Hugh. A ty już za długo tkwisz w lenistwie.

– Ładnie powiedziane, ale to żadna odpowiedź – parsknął Renaday.

– Inaczej mówiąc, mój szorstki rodaku z Kanady, Tommy niedługo poinformuje cię jak należy – wtrącił Pryce.

– Dzięki, Phillipie. Właśnie o to chodzi.

– A może jest coś, czym ja mógłbym się zająć? – zapytał Pryce. – Słowo „wielki” stanowczo nie wystarczy do opisanego mojego entuzjazmu.

Tommy uśmiechnął się.

– Owszem, ale będziemy musieli porozmawiać o tym później.

– To strasznie tajemnicze, Tommy. Cicho, sza i te rzeczy. Ale z pewnością pobudziłeś moją zazwyczaj niewielką ciekawość. Nie wiem tylko, czy moje stare serce wytrzyma długie oczekiwanie.

– Musisz być cierpliwy, Phillipie. Sprawa dopiero się rozkręca. Otrzymałem zgodę na wzięcie do pomocy Hugh. To tylko podejrzenie, lecz mam wrażenie, że nie zgodziliby się na wciągnięcie w to jeszcze jednej osoby, a zwłaszcza wysokiego oficera brytyjskiego, który przed wojną był sławnym adwokatem. Hugh wprowadzi cię we wszystko, czego się dowiemy, a później możemy porozmawiać.

Starszy mężczyzna skinął głową.

– Wolałbym uczestniczyć w tym bezpośrednio, cokolwiek to jest – powiedział. – Nawet nie znając szczegółów, rozumiem, o co ci chodzi. Ta śmierć musi być czymś ważnym, prawda? Czy może ma znaczenie polityczne?

Tommy potwierdził.

Fritz Numer Jeden podniósł się.

– Poruczniku Hart, proszę. Pan Renaday jest gotowy. Pójdziemy teraz do Abortu.

Kanadyjczyk i Brytyjczyk wyglądali na zaskoczonych.

– Do Abortu? – zapytał Pryce.

Tommy uściśnął mu dłoń.

– Phillipie – powiedział cicho – już okazałeś mi więcej przyjaźni, niż kiedykolwiek mógłbym oczekiwać. W najbliższych dniach będę potrzebował całej twojej wiedzy, mistrzostwa i umiejętności. Jednak Hugh musi dostarczyć mi szczegółów. Bardzo mi przykro, że każę ci czekać, ale nie widzę innego wyjścia. Przynajmniej w tym momencie.

Pryce uśmiechnął się.

– Ależ ja to rozumiem, drogi chłopcze. Ta wojskowa głupota. Będę tu czekał jak wzorowy żołnierz, którym zresztą jestem. To podniecające, prawda? Coś zupełnie innego. To zachwycające. Hugh, bierz płaszcz i wracaj z całą masą wiadomości. Czekam na ciebie, grzejąc się przy kominku i fantazjując, co też to może być.

– Dzięki, Phillipie – powiedział Tommy i szepnął mu do ucha – Chodzi o Lincolna Scotta, czarnoskórego pilota. Czy pamiętasz chłopców ze Scottsboro?

Pryce głęboko odetchnął – zimne powietrze wywołało atak kaszlu. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To ta cholerna wilgoć. Przypominam sobie tę niesławną historię. Idźcie szybko – zakończył.

Renaday wbił potężne ramiona w rękawy płaszcza, chwycił ołówek i cienki brulion papieru rysunkowego – rzecz bardzo cenną w obozie.

– Wszystko gotowe, Tommy. Chodźmy – powiedział.

Obaj lotnicy, ponaglani przez Fritza Numer Jeden, maszerowali do amerykańskiego obozu. Tommy Hart przekazał Renadayowi wszystko, czego dowiedział się w gabinecie komendanta, powiedział mu też o walce i incydencie przy ogrodzeniu. Renaday słuchał pilnie, od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, ale głównie zapamiętywał szczegóły.

Kiedy otwarto przed nimi bramę obozu południowego, Kanadyjczyk wyszeptał:

– Tommy, upłynęło sześć lat, odkąd po raz ostatni byłem na prawdziwym miejscu

zbrodni. Poza tym u nas, w Manitobie, morderstwem było porznięcie się nożami w barze pijanych kowbojów. Zazwyczaj nie mieliśmy wiele do roboty, ponieważ winowajca siedział na miejscu obłany krwią, piwem i szkocką.

– Nie ma sprawy, Hugh – odrzekł cicho Tommy. – Ja nigdy nie widziałem miejsca zbrodni.

Prawdopodobnie poranne odliczanie już się odbyło, kiedy Hart był w biurze komendanta. Jeńcom polecono rozejść się, ale oficerowie wciąż czekali na placu apelowym, paląc papierosy, ponieważ mieli świadomość, że dzieje się coś niezwykłego. Niemieccy strażnicy w dalszym ciągu otaczali Abort ciasnym pierścieniem. Niemcy obserwowali jeńców, a jeńcy Niemców.

Lotnicy rozstąpili się ostrożnie, kiedy do latryny podeszli Tommy, Hugh i Fritz Numer Jeden. Wartownicy przepuścili ich. Przy drzwiach Tommy zawahał się.

– Fritz – zapytał – czy to ty znalazłeś kapitana?

Szperacz przytaknął:

– Dzisiaj po piątej rano.

– I co potem zrobiłeś?

– Natychmiast poleciłem dwóm żołnierzom z psami, patrolującym granice obozu, przyjść do Abortu i dopilnować, żeby nikt tam nie wchodził. Następnie poszedłem do komendanta.

– Jak odnalazłeś zwłoki?

– Usłyszałem hałas. Byłem wtedy obok baraku sto trzy. Nie przyszedłem zbyt szybko, poruczniku. Nie byłem pewny, co usłyszałem.

– Jakiego rodzaju był to hałas?

– Krzyk. A potem cisza.

– Dlaczego wszedłeś do latryny?

– Miałem wrażenie, że krzyk dobiegał stamtąd.

Tommy skinął głową.

– Hugh? – zachęcił Kanadyjczyka.

– Czy widział pan jeszcze kogoś? – zapytał Renaday.

– Nie. Usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi i to wszystko.

Renaday chciał zadać następne pytanie, lecz się powstrzymał. Pomyślał chwilę, a wreszcie powiedział:

– Po znalezieniu ciała Abort był przez jakiś czas niepilnowany. Ile to trwało, zanim wrócił pan z dwoma żołnierzami?

Szperacz wpatrzył się w szare niebo, obliczając czas.

– Z pewnością kilka minut, poruczniku. Nie chciałem używać gwizdka i podnosić alarmu przed powiadomieniem komendanta. Ci dwaj z psami znajdowali się przy drutach, tuż obok baraku sto szesnaście. Potrzebowałem sekund, a może minuty, aby im wytłumaczyć, że sprawa jest pilna. Wszystko razem mogło się przeciągnąć do dziesięciu minut.

– Czy jest pan pewien, że w pobliżu nie było nikogo, kiedy pan odkrył zwłoki?

– Nie widziałem nikogo, panie Renaday. Zauważyłem ciało, a kiedy upewniłem się, że kapitan Bedford nie żyje, zapaliłem latarkę i szybko sprawdziłem pomieszczenie. Ale było jeszcze ciemno. W latrynie jest wiele zacienionych miejsc, gdzie może ukryć się człowiek. Dlatego nie mogę mieć całkowitej pewności.

– Dziękuję, Fritz. I jeszcze jedno...

Strażnik podszedł bliżej.

– Proszę, aby zdobył pan dla nas aparat fotograficzny. Trzydziestopięciomilimetrowy, z załadowanym filmem, lampę błyskową i przynajmniej sześć żarówek. I to zaraz.

– To niemożliwe, panie poruczniku... Nie mam pojęcia...

Renaday szybko przysunął twarz do twarzy chudego szperacza.

– Jestem pewien, że wie pan, kto ma coś takiego. Więc proszę to zdobyć i przynieść tu zaraz, nie wspominając nikomu, co pan robi. Czy to jasne? A może woli pan, żebyśmy poszli do biura komendanta i poprosili o aparat?

Fritz Numer Jeden wyglądał na przestraszonego – znalazł się w pułapce – z jednej strony poczucie obowiązku, z drugiej chęć zachowania się jak należy. W końcu zgodził się.

– Jeden ze strażników na wieży jest fotografem amatorem...

– Ma pan dziesięć minut. Będziemy w środku.

Fritz zasalutował, zrobił w tył zwrot i szybko odszedł.

– To było sprytne, Hugh – skomentował Tommy Hart.

– Pomyślałem, że zdjęcia mogą się nam przydać. – Hugh chwycił Tommy’ego za ramię. – Słuchaj, na czym właściwie polega twoje zadanie?

– Nie wiem dokładnie. Mogę ci tylko powiedzieć, że o to, co się stało w Aborcie, ma zostać oskarżony Lincoln Scott. Major utrzymuje, że dysponują wystarczającymi dowodami, aby go skazać. Chyba powinniśmy udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy.

Podeszli do latryny.

– Gotowy? – zapytał Tommy.

– Naprzód, lekka brygado – odrzekł Hugh. – Nie ich rzeczą wiedzieć, dlaczego...

– Ich sprawą jest wykonać rozkaz i zginąć – dokończył refren Tommy. Pomyślał, że to może nie najlepszy wiersz na taką okazję, lecz nie powiedział tego na głos.

Abort był wąskim budynkiem z jednymi drzwiami przy końcu. Podłogę zbitą z drewnianych desek położono półtora metra nad ziemią, więc do środka wchodziło się po niewysokich schodkach. Przestrzeń pomiędzy ziemią a podłogą potrzebna była do umieszczenia ogromnych, zielonych, metalowych pojemników, w których gromadzono nieczystości. Wewnątrz znajdowało się sześć kabin, każda z drzwiami i oddzielona od następnej przepierzeniem, aby ludziom korzystającym z tego urządzenia zapewnić prywatność. Siedzenia zrobiono z twardego drewna; były gruntownie wypolerowane od częstego używania i nieustannego szorowania. Wentylację zapewniały zasłonięte żaluzjami okna umieszczone tuż pod linią dachu. Dwa razy dziennie specjalne ekipy wywoziły beczki z nieczystościami na przeznaczony do ich składowania teren w rogu obozu. Tam je palono. To, co nie chciało się palić, wylewano do przygotowanych rowów i posypywano wapnem. Był to jedyny środek, którego Niemcy nie oszczędzili jeńcom.

Ktoś nieprzyzwyczajony, wchodząc po raz pierwszy do Abortu, mógłby zrazić się fetorem, ale jeńcy przywykli do tego, a każdy z nich po kilku dniach pobytu w Stalagu Luft 13 przekonywał się, że jest to jedno z nielicznych w obozie miejsc,

gdzie można się swobodnie dostać i znaleźć kilka minut względnej samotności. Lotników najbardziej irytował brak papieru toaletowego. Niemcy go nie dostarczali, a Czerwony Krzyż wysyłał paczki rzadko, i to raczej z żywnością. Więźniowie zużywali więc wszelkie skrawki papieru.

Tommy i Hugh zatrzymali się przy drzwiach. Uderzył ich dobrze znany smród. W latrynie nie zainstalowano światła – panował tam mrok, rozpraszany tylko wątłym światłem sączącym się przez wysoko umieszczone okienka.

Renaday zanucił coś pod nosem i poszedł dalej.

– Tommy – odezwał się – pomyśl przez chwilę. Wtedy była piąta rano, zgadza się? Tak mówił Fritz.

– Rzeczywiście – powiedział cicho Hart. – Co u diabła Vic tutaj robił? O tej porze czynne są jeszcze toalety w barakach. Szkopy zamykają kanalizację później. A tutaj musiało być ciemno jak w grobie. Może tylko światło reflektora, oświetlające latrynę co minutę, może półtorej. Niczego nie było widać.

– Z tego wynika, że nikt by tu nie przyszedł bez ważnego powodu...

– A wyjście do ubikacji nie jest takim powodem.

Obaj skinęli głowami.

– Czego szukamy, Hugh?

Kanadyjczyk westchnął.

– W szkole policyjnej uczą, że miejsce przestępstwa może powiedzieć wszystko, co się wydarzyło, jeżeli człowiek dokładnie mu się przygląda. No więc sprawdźmy, co uda się nam ustalić.

Poszli dalej. Tommy uważnie rozglądał się na wszystkie strony, usiłując zrozumieć, co się tu wydarzyło, choć nie miał pewności, czego w gruncie rzeczy szuka. Wyprzedził Renadaya i poszedł przodem. Przy ostatniej kabinie zatrzymał się i wskazał palcem na podłogę.

– Popatrz tutaj, Hugh – powiedział cicho. – To wygląda jak odcisk buta, a przynajmniej jego część.

Renaday przyklęknął. Na drewnianej podłodze latryny był wyraźny zarys czubka buta, skierowanego w stronę ostatniej kabiny. Kanadyjczyk dotknął płamy.

– To krew – powiedział. Powoli podniósł głowę, patrząc na drzwi kabiny.

– Przypuszczam, że to jest tam. – Wciągnął szybko powietrze. – Sprawdź najpierw drzwi, może coś na nich jest.

– Na przykład co?

– Na przykład odcisk zakrwawionego palca.

– Nie. Niczego takiego nie widzę.

Hugh wyciągnął brulion i ołówek, zaczął pospiesznie szkicować wnętrze Abortu. Zaznaczył też kształt i położenie odcisku buta.

Tommy otworzył powoli drzwi kabiny – przypominał dziecko, które rankiem zagląda do sypialni rodziców.

– Jezu – wyszeptał.

Vincent Bedford siedział na sedesie półnagi z opuszczonymi do kostek spodniami. Górną częścią ciała opierał się o ścianę, głowę miał lekko przechyloną w prawo i szeroko otwarte oczy. Klatkę piersiową i koszulę pokrywały brunatne smugi krwi. Poderżnięto mu gardło. Po lewej stronie szyi luźno zwisała rozcięta skóra.

Prawie odcięto mu jeden palec, głębokie cięcie biegło też przez prawy policzek.

– Biedny Vic – powiedział cicho Tommy.

Obaj lotnicy patrzyli na zwłoki. Widzieli mnóstwo śmiertelnych wypadków, znacznie bardziej przerażających, więc nie robiło się im słabo na widok tego, co zastali w Aborcie. Szokujące było tylko otoczenie. Widywali ludzi zabijanych kulami, rozrywającymi pociskami i szrapnelami, wypatroszonych, pozbawionych głów i płonących żywcem w czasie bitwy. Widywali wnętrzności i inne krwawe szczątki strzelców pokładowych, których dosłownie wypłukiwano z wieżyczek bombowców, gdzie zginęli. Ale wszystko to wydarzyło się podczas walki, kiedy można się było spodziewać najbardziej brutalnej śmierci. W Aborcie rzecz wyglądała inaczej: tutaj zginął człowiek, który powinien żyć. Umrzeć gwałtowną śmiercią w toalecie, to było szokujące i przerażające.

– Rany boskie – rzekł Hugh.

Tommy zauważył, że klapka nad kieszenią w bluzie Bedforda jest z jednej strony uniesiona. Prawdopodobnie tam Trader Vic trzymał papierosy. Pochylił się i lekko

dotknął materiału. Kieszeń okazała się pusta.

We dwóch kontynuowali oględziny zwłok. Tommy wciąż sobie przypominał, że powinien oceniać, mierzyć, odczytywać scenę, którą zastał, w taki sposób, jakby była to strona z podręcznika – a więc podchodzić do sytuacji ostrożnie i krytycznie. Myślał o wszystkich sprawach kryminalnych, o których czytał; wiedział, że drobny szczegół często doprowadzał do rozstrzygających wniosków. Wina i niewinność wiszą nieraz na najcieńszym włosie. Okulary, które wypadły z kurtki Leopolda. A może był to Loeb? Nie pamiętał dokładnie. Wpatrywał się w martwe ciało Vincenta Bedforda i czuł, że nie jest właściwym człowiekiem w tym miejscu. Starał się przypomnieć sobie ostatnią rozmowę z lotnikiem z Missisipi, ale i tego nie potrafił. Zdał sobie sprawę, że ciało na sedesie szybko upodabnia się do wielu innych martwych ciał. Coś po prostu odeszło, przeniosło się w strefę nocnych koszmarów, dołączyło do rzeszy innych zmarłych i okaleczonych, nawiedzających w snach tych, którzy przeżyli. Wczoraj był kapitanem Vincentem Bedfordem. Wielokrotnie odznaczonym dowódcą bombowca i zapalonym handlarzem, znanym w całym obozie. Dziś to tylko zwłoki, które nie należą już do świata Tommy'ego Harta.

Głośno odetchnął. Przeszukiwał miejsce zbrodni. W pewnym momencie zauważył, że coś się tu nie zgadza.

– Hugh – szepnął – chyba mam problem.

Renaday szybko podniósł głowę znad szkicownika.

– Ja też – odparł. – Najwyraźniej...

Nie dokończył zdania. Obaj usłyszeli hałas przed latryną, podniesione, ostre i zdecydowane głosy Niemców. Tommy chwycił Kanadyjczyka za ramię.

– Ani słowa – rzekł. – Dopiero później, kiedy będziemy mogli porozmawiać.

– Racja. Masz to załatwione – odparł Renaday.

Wyszli z latryny na chłodne, mgliste powietrze z charakterystycznym zapachem wilgoci. Fritz Numer Jeden stał przy drzwiach wyciągnięty jak struna w postawie na baczność. W ręce trzymał aparat fotograficzny z lampą błyskową.

Pół metra od niego stał niemiecki oficer. Był średniego wzrostu i budowy ciała, chyba nieco starszy od Tommy'ego. Być może zbliżał się do trzydziestki, ale trudno

to było stwierdzić z całą pewnością, ponieważ w czasie wojny ludzie starzeją się w różnym tempie. Miał kruczoczarne, gęste, krótko przystrzyżone włosy, z przedwczesną siwizną na skroniach, a na sobie równie czarny jak włosy skórzany, długi płaszcz, zarzucony na idealnie odprasowany, choć nie najlepiej dopasowany mundur Luftwaffe. Jasna karnacja uwydatniła nierówną, czerwoną szramę na lewym policzku, tuż pod okiem. Tommy'ego zaskoczyła nieduża, dobrze utrzymana bródka. Wiedział o brodach zapuszczanych przez oficerów niemieckiej marynarki wojennej, ale nigdy nie widział takiej ozdoby u lotnika, nawet tak małej jak w tym przypadku. Niemiec miał spojrzenie ostre jak sztylet.

Powoli odwrócił się do jeńców – wtedy Tommy dostrzegł, że nie ma lewej ręki. Po chwili zapytał:

– Porucznik Hart? Porucznik Renaday?

Stanęli na baczność. Oficer odwzajemnił powitanie, salutując.

– Jestem kapitan Heinrich Visser – przedstawił się. Po angielsku mówił płynnie, z lekkim akcentem, tylko nieco seplenił. Spojrzał ostro na Renadaya.

– Czy pan latał na myśliwcu Spitfire, poruczniku? – zapytał niespodziewanie.

Hugh pokręcił głową.

– Na blenheimie. Jako drugi pilot.

– To dobrze – mruknął Visser.

– A jaka to różnica? – zapytał Renaday.

Niemiec uśmiechnął się okrutnie, a szrama na jego twarzy zmieniła barwę. Prawą ręką wskazał na brakujące lewe ramię.

– Zabrał mi je spitfire – powiedział. – Zdołał mnie zająć od tyłu, kiedy zestrzeliłem samolot na jego skrzydle.

Kapitan mówił głosem równym i opanowanym.

– Proszę mi wybaczyć – dodał, starannie odmierzając każde słowo. – Wszyscy jesteśmy ofiarami własnego pecha?

Tommy pomyślał, że to filozoficzne pytanie lepiej zabrzmiałoby przy kolacji zakrapianej dobrym winem czy likierem niż podczas rozmowy przed latryną, w której znajdowały się zwłoki zamordowanego człowieka. Ale nie powiedział tego

głośno. Zapytał tylko:

– Kapitanie, o ile się orientuję, ma pan być kimś w rodzaju oficera łącznikowego. Jakie dokładnie obowiązki są z tym związane?

Kapitan Visser przesunął nogami po błotnistej ziemi. Nie nosił wysokich butów, takich jak komendant i jego pomocnicy. Miał wygodniejsze, dokładnie wypolerowane czarne trzewiki.

– Mam uczestniczyć przy analizie wszystkich aspektów sprawy, a następnie zdać raport moim przełożonym. Jesteśmy zobowiązani mocą Konwencji Genewskiej do odpowiedzialności za dobro wszystkich alianckich jeńców wojennych, którzy znajdują się w naszych rękach. W tej chwili mam jedynie dopilnować, aby zabrano zwłoki z tego miejsca. Może później będziemy mieli sposobność – jak wy to określacie? – porównania naszych ustaleń.

Kapitan Visser wskazał na Fritza Numer Jeden.

– Czy ten żołnierz miał dostarczyć wam aparat fotograficzny?

Hugh wystąpił do przodu.

– Podczas dochodzenia w sprawie o morderstwo zwyczajowo robi się zdjęcia zwłok na miejscu zbrodni. Z tego powodu zażądaliśmy, aby Fritz zdobył dla nas aparat.

Visser przytaknął.

– Owszem, to prawda... – uśmiechał się. Według pierwszych wrażeń Tommy’ego kapitan był człowiekiem niebezpiecznym. Chociaż głos miał łagodny i sympatyczny, to spojrzenie zaprzeczało temu. – Ale tylko w rutynowej sytuacji. A nasza sytuacja, niestety, nie jest rutynowa. Fotografie mogłyby zostać przemycone poza obóz i wykorzystane do celów propagandowych. Nie mogę na to pozwolić.

Wyciągnął rękę po aparat.

Tommy’emu wydawało się, że Fritz Numer Jeden za chwilę wyskoczy ze skóry. Zbladł, wypiął pierś, wyprostował plecy. Hart nie był pewien, czy w obecności Hauptmanna odważył się choćby oddychać. Natychmiast oddał aparat Visserowi.

– Nie pomyślałem o tym, panie kapitanie – zaczął. – Polecono mi pomagać oficerom...

Visser zbył to tłumaczenie krótkim ruchem ręki.

– Naturalnie, kapralu. Nie musicie rozważać tego ze strony bezpieczeństwa, tak jak ja.

Znowu zwrócił się do jeńców:

– Właśnie po to tu jestem.

Zakaszła sucho, dyskretnie. Przywołał jednego z uzbrojonych żołnierzy otaczających latrynę i wręczył mu aparat.

– Dopilnujcie, żeby został zwrócony właścicielowi – powiedział.

Strażnik zasalutował, zarzucił na ramię rzemień i wrócił na swoje miejsce.

Visser wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę papierosów, z zadziwiającą zręcznością wyciągnął jednego ze środka, wsunął pudełko do kieszeni, wydobyl stalową zapalniczkę i zapalił ją.

Zaciągnął się mocno, po czym spojrzał na Harta i unosząc lekko brwi zapytał:

– Czy panowie zakończyli oględziny?

Tommy przytaknął.

– Doskonale. Wobec tego kapral odprowadzi panów do... – w tym miejscu Niemiec zawahał się, a po chwili dokończył z uśmiechem – do waszych zajęć. Ja zakończę sprawę na miejscu.

Tommy zastanowił się błyskawicznie i szepnął do Kanadyjczyka:

– Hugh, zostań tutaj. Jak najdokładniej obserwuj Hauptmanna. I dowiedz się, co zrobi z ciałem Bedforda.

Przeniósł wzrok na Niemca.

– Sądzę, że zasadnicze znaczenie ma przeprowadzenie lekarskiego badania zwłok kapitana Bedforda. Dzięki temu bylibyśmy przynajmniej pewni, jak wygląda medyczny aspekt tej sprawy.

– Bardzo słusznie – wtrącił szeptem Hugh. – Bez fotografii, bez doktora. Wszystko do dupy.

Kapitan Visser wzruszył ramionami, nie zwracając uwagi na ostre słowa Kanadyjczyka, które musiał przecież słyszeć.

– Nie uważam, aby to było konieczne, z uwagi na trudną sytuację, w jakiej się

znajdujemy. Sam jednak troskliwie zbadam zwłoki i jeżeli uznam, że pańska sugestia jest uzasadniona, pošlę po niemieckiego lekarza.

– Amerykański doktor byłby lepszy. Tylko nie ma go skąd wziąć.

– Lekarze są kiepskimi bombardierami.

– Proszę powiedzieć, kapitanie, czy ma pan doświadczenie w śledztwach? Czy jest pan policjantem? Jak się to u was nazywa? Kriminalpolizei? – Tommy zasypywał Niemca pytaniami.

Visser ponownie odkaszlnął. W dalszym ciągu uśmiechał się chytrze.

– Do następnego spotkania, poruczniku. Może wówczas będziemy mogli szerzej porozmawiać na ten temat. A teraz proszę mi wybaczyć, mam dużo do zrobienia i niewiele czasu – powiedział.

– Doskonale, Herr Hauptmann – odparł szybko Tommy. – Poleciałem jednak porucznikowi Renadayowi pozostać na miejscu i osobiście obserwować, jak pan będzie usuwał ciało kapitana Bedforda.

Visser przewiercił Harta oczami, choć nie przestawał się uśmiechać. Po chwilowym wahaniu zgodził się:

– Jak pan sobie życzy, poruczniku.

Minął Amerykanina i po schodkach wszedł do latryny. Renaday pospieszył za nim. Kiedy niemiecki oficer zniknął im z oczu, Fritz Numer Jeden energicznym machaniem przywołał Tommy'ego. We dwóch poszli przez teren obozu. Jeńcy na placu apelowym zrobili im przejście. Idąc za niemieckim kapralem, Tommy słyszał szum rozmów – więźniowie zadawali pytania i spekulowali. W tych głosach słyhać było pierwsze objawy złości.

Przed drzwiami celi numer sześć w karczerze stał samotny strażnik z pistoletem maszynowym Schmeisser. Był to młody człowiek – Tommy ocenił, że ma nie więcej niż osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Choć stał na baczność, wydawał się zdenerwowany czy wręcz przerażony, ponieważ postawiono go tak blisko więźniów. Tommy pomyślał, że nie jest to zjawisko wyjątkowe. Młodszy i krótko przebywający w Stalagu Luft 13, a więc mniej doświadczony, strażnicy byli tak przejęci

propagandą na temat Terrorflieger, to znaczy lotników-terrorystów – jak nieustannie mówiono o nich w nazistowskim radiu – z wojsk alianckich, że w końcu uwierzyli, że wszyscy jeńcy to krwiożercze bestie oraz kanibale. Naturalnie, prowadzona przez aliantów wojna powietrzna opierała się na koncepcji wywoływania przerażenia. Trwające dniami i nocami naloty, podczas których zrzucano bomby zapalające na gęsto zaludnione dzielnice miast, trudno byłoby uznać za coś innego. Tommy domyślił się również, że to niemiła myśl o wejściu w bliski kontakt z czarnoskórym Terrorfliegerem była powodem, dla którego nastoletni żołnierz trzymał palec tuż koło języka spustowego schmeissera.

Młody wartownik odsunął rygiel w drzwiach i bez słowa stanął z boku, a Tommy wszedł do celi.

Ściany i podłogę zrobiono z szarego, ciężkiego betonu, na suficie wisiła pojedyncza, nieosłonięta żarówka, w kącie pomieszczenia o wymiarach dwa na trzy metry wybito okno. Panowała tu wilgoć i chłód – wydawało się, że w celi jest o kilka dobrych stopni zimniej niż na zewnątrz, nawet w taki ponury, deszczowy dzień.

Lincoln Scott siedział w rogu z kolanami pod brodą, mając przed oczami jedyny mebel – brudny kubeł na nieczystości. Kiedy Tommy wszedł do celi, podniósł się szybko; nie przyjął jednak postawy na bacność, tylko stał sztywny, wyprostowany.

– Dzień dobry, poruczniku – powitał go Hart niemal oficjalnym tonem. – Któregoś dnia usiłowałem się panu przedstawić...

– Wiem, kim pan jest. Co się dzieje, do cholery? – zapytał ostro Scott. Miał gołe stopy – był ubrany tylko w spodnie i bluzę. Tommy nie znalazł śladu lotniczego kożuszka ani butów. A przecież sam zaczął odczuwać chłód.

Zawahał się.

– Czy nie powiedziano panu...

– Nikt mi nic nie powiedział! – przerwał mu Scott. – Wyciągnięto mnie rano z szeregu i pognano do biura komendanta. Major Clark i pułkownik MacNamara zażądali, abym oddał kurtkę i buty. Potem przez pół godziny wypytywali mnie, czy bardzo nienawidzę tego białego skurwiela Bedforda. Później zadali mi kilka pytań na temat ostatniej nocy. Następne, co pamiętam, to eskortowanie mnie przez kilku

szwabów do tego zachwycającego miejsca. Pan jest pierwszym Amerykaninem, jakiego zobaczyłem od czasu porannego spotkania z pułkownikiem i majorem. A więc, poruczniku Hart, niech mi pan powie, o co tu, do diabła, chodzi.

W głosie Scotta słychać było powstrzymaną furię i zmieszanie. Tommy był zaskoczony.

– Chcę mieć jasność – powiedział powoli. – Czy major nie poinformował pana...

– Mówiłem panu, Hart. Nikt mi nic nie powiedział! Co ja tu robię, do cholery?

Pod strażą...

– Ostatniej nocy zamordowano Vincenta Bedforda.

Scott otworzył usta i wybałuszył oczy, ale trwało to tylko sekundę. Po chwili zmrużył powieki i wbił wzrok w Tommy'ego.

– Zamordowany? Tutaj?

– Major Clark powiadomił mnie, że zostanie pan oskarżony o dokonanie tej zbrodni.

– Ja?

– Tak.

Scott oparł się o betonową ścianę, jak pod naporem niespodziewanego, silnego wiatru. Głęboko odetchnął, odzyskał równowagę i znowu stał prosty jak drut.

– Mnie przydzielono panu do pomocy w przygotowaniu obrony – powiedział Tommy i po chwili wahania dorzucił – Muszę też pana ostrzec, że ich zdaniem chodzi o przestępstwo zagrożone karą śmierci.

Lincoln Scott powoli kiwał głową. Odciągnął do tyłu ramiona i patrzył na Tommy'ego. Potem zaczął mówić powoli, z namysłem, głosem lekko podniesionym, z pasją wykraczającą poza betonowe ściany celi karceru, szybującą obok wartownika z pistoletem maszynowym i dalej, nad rzędami baraków, drutami ogrodzenia, nad lasem, ponad całą Europą – ku wolności.

– Panie Hart... – Jego słowa odbijały się echem w niedużej celi. – Może pan uwierzyć w to, co powiem: nie zabiłem Vincenta Bedforda. Być może chciałem, ale tego nie zrobiłem.

Znowu odetchnął głęboko.

– Jestem niewinny – powiedział.

4. Wystarczające dowody

Tommy był pod wrażeniem siły kryjącej się w zaprzeczeniu Scotta. Pewnie wyglądał na zaskoczonego, ponieważ czarnoskóry lotnik natychmiast wybuchnął.

– O co chodzi, Hart?

Tommy pokręcił głową.

– O nic.

– To kłamstwo – warknął Scott. – A czego się pan spodziewał, poruczniku? Że zabiłem tego pieprzonego rasistę?

– Nie...

– A więc czego?

Tommy odetchnął powoli, porządkując myśli.

– Nie wiedziałem, co pan powie, poruczniku Scott. W gruncie rzeczy nie zastanawiałem się jeszcze nad pańską winą czy też niewinnością. Myślałem tylko o tym, że ma pan zostać oskarżony o tę zbrodnię.

Scott głośno wypuścił powietrze z płuc i kilkoma krokami przemierzył maleńką celę, drżąc z zimna.

– Czy oni mogą to zrobić? – zapytał nagle.

– Zrobić co?

– Oskarżyć mnie o przestępstwo. Tutaj... – zatoczył koło ręką, jakby chciał objąć cały teren obozu jenieckiego.

– Myślę, że tak. Formalnie rzecz biorąc, nadal pozostajemy pod komendą naszych oficerów i należymy do sił zbrojnych, wobec czego podlegamy dyscyplinie wojskowej. Prawdopodobnie będzie pan twierdził, że podczas wojny rządzą tu specjalne przepisy, z czego wynika...

Scott potrząsnął głową.

– To wszystko bez sensu – powiedział. – Chyba że chodzi o czarnego. Wtedy sprawa staje się najzupełniej oczywista. Do diabła! Co ja takiego im zrobiłem? Jakże mogą mieć dowody?

– Tego nie wiem. Major Clark mówił tylko o wystarczających przesłankach, na podstawie których można pana skazać.

– Bzdury! – burknął Scott. – Jakie to mogą być dowody, jeżeli ja nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tego białego sukinsyna. A w ogóle, jak to się stało?

Tommy powstrzymał się od odpowiedzi.

– Może lepiej porozmawiajmy najpierw o panu – powiedział, cedząc słowa. – Niech mi pan opowie, co pan robił zeszłej nocy.

Scott oparł się o betonową ścianę karceru i przez jakiś czas zbierał myśli, wpatrując się w maleńkie okienko. Potem powoli odwrócił się do Tommy'ego i wzruszył ramionami.

– Nie ma dużo do opowiadania – zaczął. – Pochodziłem trochę po przedwieczornym odliczaniu. Kolację zjadłem w samotności. Potem czytałem w łóżku, dopóki szkopy nie zgasiły światła. Wtedy przewróciłem się na drugi bok i poszedłem spać. Obudziłem się raz, w środku nocy. Musiałem się załatwić, więc wstałem, zapaliłem świeczkę i poszedłem do toalety. Zrobiłem, co trzeba, wróciłem do sypialni, znowu się położyłem i spałem aż do chwili, kiedy Niemcy zaczęli gwizdać i wrzeszczeć. Potem znalazłem się tutaj. Tak jak już mówiłem.

Tommy starał się zapamiętać każde słowo. Szkoda, że nie zabrał ze sobą notatnika i ołówka – przeklinał własne zapominalstwo. Przyrzekł sobie nie popełnić już takiego błędu.

– Czy ktoś widział pana, kiedy pan się obudził?

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– No, czy ktoś inny był w toalecie?

– Nie.

– Co pan tam robił tak późno?

– Już powiedziałem...

– Nikt nie zrywa się w środku nocy, jeżeli nie czuje się źle albo jeżeli nie może spać z obawy przed koszmarem. W każdym razie nie tutaj, nie teraz. Tak można postępować we własnym domu, ale nie tu. A zatem, o co chodziło?

Scott uśmiechnął się przelotnie, choć wyraz twarzy wcale nie wskazywał, żeby

mu było wesoło.

– Nie chodzi o złe sny – odparł. – Chyba że uzna pan za zły sen moje położenie. To raczej kwestia przystosowania się.

– Jak mam to rozumieć?

– Widzi pan, Hart – zaczął powoli Scott, z każdą chwilą mówiąc coraz dobitniej i wyraźniej – nam nie wolno przebywać na zewnątrz po zapadnięciu ciemności. Verboten, zgadza się? Szwaby mogą wtedy zrobić z nas tarcze strzelnicze. Mimo to chłopaki ciągle to robią. Wymykają się, chowają się przed szperaczami i reflektorami, wchodzą do innych baraków. Kopacze tuneli i ludzie z komisji ucieczkowej wolą działać w nocy. Odbywają się tajne, szeptane spotkania oraz sekretna praca. Nikt nie powinien wiedzieć, kim oni są i gdzie pracują. No, ja sam jestem kimś w rodzaju wysoko wyspecjalizowanego szczura tunelowego.

– Nie rozumiem.

– Jasne, że nie. Nie spodziewam się tego po panu – rzucił Scott, ledwie panując nad rozdrażnieniem. Po chwili wrócił do przerwanej myśli. – Mówił powoli, jakby wyjaśniał coś opornemu dzieciakowi. – Biali chłopcy nie lubią korzystać z tej samej toalety co czarnoskóry. Naturalnie, nie dotyczy to wszystkich, ale dużej części. A ci, którzy tego nie lubią, przeżywają to bardzo osobiście. Na przykład kapitan Vincent Bedford. On szczególnie brał to sobie do serca.

– Co mówił?

– Powiedział, żebym sobie poszukał innego miejsca. Rzecz prosta, nie ma innego miejsca, ale ten szczegół najwyraźniej go nie interesował.

– Co pan odpowiedział?

Lincoln Scott roześmiał się szorstko.

– W ogóle nie odpowiedziałem. Jeśli nie liczyć tego, że kazałem mu się odpieprzyć.

Odetchnął głęboko, patrząc na Tommy'ego.

– Być może dziwi to pana, Hart. Czy był pan kiedyś na Południu? Tam wszystko jest posegregowane. Są toalety dla białych i toalety dla kolorowych. A tutaj, jeżeli w nocy człowiek spróbuje skorzystać z Abortu, ryzykuje, że oberwie od jakiegoś

lubiącego strzelaninę Niemca. No więc co ja mam zrobić? Poczekać, aż wszyscy zasną, zwłaszcza ten pieprzony kmiot, a kiedy nie słyhać żadnych odgłosów na korytarzu, podnieść się. Jak najciszej. Takie sikanie w tajemnicy, można powiedzieć. A przynajmniej w taki sposób, aby zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Sikać tak, aby uniknąć wszystkich Vincentów Bedfordów w obozie. To dlatego wstałem w środku nocy i wymknąłem się z pokoju.

– Teraz rozumiem – powiedział Tommy.

Scott odwrócił się do niego ze złością. Zmrużył oczy, w każdym jego słowie brzmiał gniew.

– Nic pan nie rozumie! – syknął. – Czy pan w ogóle ma pojęcie, kim jestem? Nie, nie ma pan pojęcia, co przeszedłem, zanim się tutaj dostałem! Jest pan kompletnym ignorantem, Hart, tak jak wszyscy pozostali! I nie wyobrażam sobie, aby wykazał pan prawdziwą wolę nauczania się czegoś.

Tommy cofnął się o krok. Czuł wzbierającą w nim wściekłość, choć innego rodzaju. Odpowiedział Scottowi równie zapalczywie i twardo.

– Może i nic nie rozumiem. Jednak teraz jestem jedyną barierą pomiędzy panem a plutonem egzekucyjnym. Może wykaże pan choć tyle sprytu, żeby to sobie wbić do głowy

Scott odwrócił głowę, pilnie obserwując betonową ścianę. Oparł czoło o wilgotną powierzchnię, potem oparł na niej rękę, jakby chciał przez to odzyskać równowagę, jak gdyby nie stał na twardym gruncie, tylko na cieniutkiej linie.

– Nie potrzebuję żadnej pomocy – powiedział cicho.

W pierwszym odruchu pod wpływem nieokreślonego, wewnętrznego gniewu Tommy chciał powiedzieć czarnoskóremu lotnikowi, że bardzo mu to dogadza i wyjść. Z prawdziwą radością wróciłby do swoich książek, przyjaciół i rutyny codziennego, obozowego życia, jaką sam sobie wypracował, kiedy kolejne minuty stopniowo zamieniały się w godziny, a te wypełniały dzień. Oczekiwał, aż ktoś inny położy kres jego uwięzieniu. Takie rozwiązanie dawało szansę przeżycia, podczas gdy tyle innych wydarzeń niosło ze sobą śmierć. Niekiedy miał wrażenie, że jakimś cudem udało mu się rozbić pulę w tej dziwacznej partii pokera ze śmiercią; ale gdy

zgarnął swoją skromną wygraną, nie miał ochoty grać dalej. Nie miał nawet chęci spojrzeć na karty, jakie otrzymał. Doszedł do bardzo dziwnego i niespodziewanego momentu życiowego – znalazł się w świecie, w którym zagrożenie i niebezpieczeństwo towarzyszy niemal każdemu działaniu, nawet najmniej skomplikowanemu i przypadkowemu. Natomiast jeśli nie robił nic, pozostawał w całkowitym bezruchu, nie rzucał się w oczy na tym skrawku ziemi nazywanym Stalagiem Luft 13, mógł przeżyć. To przypominało gwizdanie nad grobem. Już otwierał usta, aby powiedzieć to wszystko Scottowi, ale się powstrzymał.

Wziął głęboki oddech, zatrzymując powietrze w płucach.

Przyszło mu do głowy, że znajduje się w wyjątkowo oryginalnej sytuacji: oto dwóch ludzi stoi obok siebie, oddycha tym samym powietrzem, a jeden z nich może w każdym momencie smakować przyszłość i wolność, ten drugi zaś nie doświadcza niczego poza goryczą, nienawiścią i strachem, który jest tchórzliwym bratem nienawiści.

Nie kazał więc Scottowi odwalić się, tylko powiedział równie spokojnie, jak to wcześniej zrobił czarnoskóry lotnik:

– Myli się pan.

– A to jakim sposobem? – zapytał Scott, nie poruszając się.

– Ponieważ każdy w tym obozie potrzebuje takiej lub innej pomocy, a pan w tej chwili potrzebuje wsparcia znacznie bardziej niż inni.

Scott słuchał w milczeniu.

– Nie musi mnie pan lubić – ciągnął Tommy. – Nie musi mnie pan nawet szanować. Może mnie pan nienawidzić. Ale w tej chwili potrzebuje mnie pan. Jeżeli pan to zrozumie, łatwiej nam będzie dogadać się ze sobą.

Przez dłuższą chwilę Scott zastanawiał się, z głową opartą o ścianę. W końcu powiedział wyraźnie:

– Panie Hart, zimno mi. Bardzo mi zimno. Tu można zamarznąć, a jedyne, co ja mogę zrobić, to starać się nie szczekać zębami. Może więc na początek pomoże mi pan zdobyć jakieś ciepłe ubranie.

Tommy przytaknął.

- Czy ma pan zapasową odzież poza tym, co zabrano panu dziś rano?
- Nie. Mam tylko to, w co byłem ubrany, kiedy mnie zestrzelono.
- Żadnych zapasowych skarpet czy swetrów z domu?

Lincoln Scott roześmiał się ostro, jakby pytanie brzmiało komicznie.

- Nie.
- Więc muszę coś panu zorganizować.
- Będę zobowiązany.
- Jaki nosi pan rozmiar butów?
- Dwanaście. Chciałbym jednak odzyskać swoje buty lotnicze.
- Postaram się. Także kurtkę. Jadł pan coś?
- Szkopy dały mi kawałek zatechłego chleba i kubek wody dziś rano.
- Dobrze. A więc jedzenie też. I koce.
- Czy zdoła mnie pan stąd wyrwać, panie Hart?
- Spróbuję, ale nie mogę obiecać.

Czarnoskóry jeniec odwrócił się i spojrzał Tommy'emu w oczy. Hart pomyślał, że takim samym wzrokiem, spod przymkniętych powiek, Lincoln Scott śledził niemieckie myśliwce przez celownik karabinów maszynowych w mustangu.

– Niech pan dotrzyma słowa, Hart – poprosił Scott. – To pana nie zaboli. Niech pan pokaże, na co pana stać.

– Mogę obiecać, że zrobię wszystko, co możliwe. Zaraz pójde porozmawiać z MacNamarą. Oni niepokoją się...

– O co się niepokoją?

Tommy zawahał się przez moment, potem wzruszył ramionami.

– Wspominali o rozruchach i linczu, poruczniku. Boją się, że przyjaciele Vincenta Bedforda mogą chcieć pomścić jego śmierć, zanim starszym oficerom uda się powołać sąd, przeprowadzić rozprawę i wydać wyrok.

Scott kiwał głową z krzywym uśmiechem.

– Innymi słowy, woleliby sami mnie zlinczować, tylko w wybranym przez siebie momencie i w taki sposób, żeby zachować pozory formalności.

– Tak to wygląda. Moim zadaniem jest nie dopuścić do zrealizowania tych

planów.

- Nie przysporzy to panu popularności – skomentował Scott.
- Zostawmy to na razie. Lepiej skoncentrować się na sprawie.
- Czym oni dysponują?
- Muszę się dopiero dowiedzieć.

Scott oddychał ciężko, niczym sprinter na mecie.

– Niech pan zrobi, co się da, panie Hart – powiedział powoli. – Nie chcę tutaj umierać. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Jeżeli pan mnie zapyta, czy pańskie działania mogą coś zmienić, to powiem, że moim zdaniem oni już postanowili, wydali werdykt. Cóż to za głupie słowo, Hart. Strasznie głupie słowo. Czy pan wie, że wywodzi się ono z łaciny i znaczy „mówić prawdę”. Co za brednia! Cholerne kłamstwo.

Tommy nie odpowiadał. Scott spojrzął na swoje ręce. Odwrócił dłonie, jakby je egzaminował albo sprawdzał, jaką mają barwę.

– Nigdy nie było inaczej, Hart, czy pan to rozumie? Nigdy! – powiedział podniesionym głosem. – Nigdy, do diabła! Czarny jest winien, niezależnie od wszystkiego. Zawsze tak było. I może zawsze tak będzie.

Dotknął brązowej wełnianej bluzy.

– Myśleliśmy, że może dzięki temu to się zmieni. Dzięki temu mundurowi. Każdy z nas tak sądził. Ludzie umierają, Hart. Umierają z trudem, w strasznych warunkach, a ich ostatnia myśl dotyczy domu i wszystkiego, co w nim pozostawiają. Co to za błaga.

– Zrobię wszystko, co będę mógł – powtórzył Tommy i zamilkł. Zrozumiał, że cokolwiek by dodał, zabrzmiałoby patetycznie.

– Jestem panu wdzięczny za pomoc, jakakolwiek ona będzie – powiedział Scott zrezygnowanym głosem, jakby nie wierzył w tę pomoc, a jeśli nawet ją otrzyma, to nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

Zamilkli na chwilę, potem czarnoskóry lotnik dodał z goryczą:

– Wie pan, co w tym wszystkim jest najbardziej komiczne? Zestrzelili mnie pierwszego kwietnia. Pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego

czwartego roku. W prima aprilis. Dorwałem jednego z tych faszystowskich skurwieli, mój skrzydłowy rozwalił drugiego, ale zabrakło nam amunicji. Wtedy oni dopadli nas. Dwaj ich ludzie zostali zestrzeleni i nie udało się im wyskoczyć. Dwa potwierdzone zestrzelenia. Myślałem, że wystrychnęliśmy ich na dudka. Myliłem się. Wychodzi na to, że to oni mnie wykiwali. Może jednak udało się im mnie zabić.

Tommy chciał zadać jakieś pytanie, powiedzieć cokolwiek dla podtrzymania rozmowy, ale z korytarza dobiegły czyjeś kroki i głosy. Obaj odwrócili się, gdy ktoś otwierał drzwi.

Do celi weszło czterech mężczyzn. Stanęli pod ścianą. Pułkownik MacNamara i major Clark z przodu, za nimi kapitan Visser i kapral z notatnikiem do stenografowania. Amerykańscy oficerowie zaszalutowali, po czym Clark wystąpił krok naprzód.

– Poruczniku Scott – powiedział pospiesznie – ciąży na mnie niemiły obowiązek poinformowania pana, że został pan formalnie oskarżony o zamordowanie z premedytacją kapitana Vincenta Bedforda z Korpusu Powietrznego Armii Stanów Zjednoczonych dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku...

Visser po cichu tłumaczył jego słowa stenografującemu kapralowi.

– ...Jak pan z pewnością dowiedział się już od swojego obrońcy, jest to przestępstwo zagrożone karą śmierci. Jeżeli zostanie pan uznany za winnego, sąd może skazać pana na pozostanie w izolacji do czasu, kiedy będą mogły panem zająć się władze wojskowe Stanów Zjednoczonych, może również zalecić natychmiastową egzekucję, którą przeprowadzą ci, którzy nas ujęli. Wstępne posiedzenie sądu zostało wyznaczone za dwa dni. Wówczas będzie pan mógł wygłosić oświadczenie.

Clark zaszalutował i cofnął się o krok.

– Ja nic nie zrobiłem! – wybuchnął Scott.

Tommy stanął na baczność i oznajmił donośnym głosem:

– Sir, porucznik Scott zdecydowanie zaprzecza, jakoby miał jakikolwiek związek z zabójstwem kapitana Bedforda! Jednoznacznie zeznał, że jest niewinny! Domaga się również zwrotu należących do niego przedmiotów i niezwłocznego powrotu do

społeczności obozowej.

– Wykluczone – odrzekł Clark.

Tommy zwrócił się do pułkownika MacNamary.

– Sir! Jakim sposobem porucznik Scott ma się przygotować do obrony przed nieprawdziwymi zarzutami w celi karceru? To nieuczciwe. Porucznik Scott pozostaje niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy, sir. W kraju, nawet przy tak poważnych zarzutach, zostałby jedynie zobowiązany do nieopuszczania koszar w trakcie procesu. Nie proszę o nic więcej.

Clark odwrócił się do MacNamary, który rozważał to żądanie.

– Pułkowniku, nie może pan... Kto wie, jakie kłopoty nam grożą? Uważam, że będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli porucznik Scott pozostanie tutaj, gdzie jest bezpieczny.

– Dopóki pan nie powoła plutonu egzekucyjnego, majorze – mruknął Scott.

MacNamara spojrział na Lincolna i Tommy'ego. Gestem ręki nakazał ciszę.

– Dość – powiedział. – Poruczniku Hart, w zasadzie ma pan słuszność. Powinniśmy przestrzegać wszystkich reguł wojskowych. Jednak znajdujemy się w sytuacji szczególnej.

– Gównu, a nie szczególnej – skomentował Scott, patrząc na przełożonego. – To typowa sprawiedliwość dla czarnuchów.

– Uwaga na język, kiedy mówicie do starszego stopniem! – krzyknął Clark. Patrzyli na siebie twardym wzrokiem.

Tommy zrobił krok do przodu.

– Sir! Dokąd on mógłby uciec? Co może zrobić? Przecież my wszyscy jesteśmy więźniami.

MacNamara milczał, najwidoczniej rozważał inne rozwiązania. Poczzerwieniał, wysunął dolną szczękę, jak gdyby starał się dokonać wyboru między uzasadnionym żądaniem Harta a ukaraniem czarnego lotnika za niesubordynację. Po chwili odetchnął i powiedział cichym, opanowanym głosem:

– Zgoda, poruczniku Hart. Porucznik Scott zostanie zwolniony i oddany pod pańską kuratelę jutro, po porannym sprawdzeniu obecności. Spędzi pan jedną noc w

karcerze, Scott. Ja wygłoszę oświadczenie do wszystkich jeńców, będziemy także musieli zwolnić dla niego pokój. Pozostanie w nim sam. Nie życzę sobie, aby Scott miał jakiegokolwiek kontakty z innymi jeńcami. W tym okresie więzień zostanie zobowiązany do przebywania wyłącznie w swoim pomieszczeniu, chyba że w pańskim towarzystwie będzie uczestniczył w prawnie uzasadnionych czynnościach. Czy mogę na to dostać pańskie słowo?

– Naturalnie – odpowiedział Tommy, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że taki układ odpowiada mniej więcej temu, czego chciał Vincent Bedford, zanim zginął.

– Scott, pan również musi dać słowo – syknął MacNamara. – Oczywiście jako oficer i dżentelmen.

Czarnoskóry porucznik w dalszym ciągu patrzył na pułkownika i majora.

– Oczywiście... – odrzekł. – Jako oficer i dżentelmen. Daję panu słowo.

– Doskonale, wobec tego...

– Sir – przerwał mu Tommy. – Co z osobistymi rzeczami porucznika Scotta? Czy zostaną mu zwrócone?

Major Clark pokręcił głową.

– Nie zostaną. Proszę mu wyszukać jakieś ubranie, poruczniku, ponieważ następnym razem zobaczy pan jego buty i kurtkę dopiero na procesie.

– A to dlaczego, sir?

– Bo obie te rzeczy są pokryte krwią Vincenta Bedforda – powiedział szyderczo major Clark.

Ani Lincoln Scott, ani Tommy Hart nie zareagowali na to oświadczenie. Ołówek niemieckiego stenografa przestał szeleścić po papierze – kapral właśnie skończył zapisywać tekst rozmowy, którą tłumaczył mu Heinrich Visser.

Późnym popołudniem niebo pociemniało, a kiedy Tommy wyszedł z budynku więzienia, padał lekki, zimny deszcz. Ciężkie chmury wskazywały, że nie należy spodziewać się zmiany pogody. Skulił ramiona, podniósł kołnierz kurtki i pospiesznie ruszył do bramy amerykańskiego obozu. Zauważył, że czeka tam na niego Hugh Renaday, oparty o ścianę baraku sto jednaście. Kanadyjczyk był

nałogowym palaczem – Tommy widział, jak zapala następnego papierosa od niedopałka poprzedniego. Teraz stał wpatrzony w niebo.

– U nas wiosna zawsze się spóźnia, tak samo jak tu – powiedział cicho. – Kiedy człowiek myśli, że wreszcie się ociepli i nadejdzie lato, zaczyna padać śnieg, deszcz albo coś w tym guście.

– Tak samo jest w Vermoncie – odparł Tommy. – Tam nikt nie mówi o wiośnie. Nazywamy ją porą błotnistą. Jest to czas pomiędzy zimą a latem. Jest ślisko, paskudnie; ot, taki denerwujący okres przejściowy.

– Czyli mniej więcej to, co mamy tutaj – skwitował Hugh.

– Mniej więcej – przyznał Tommy. Obaj uśmiechnęli się.

– Czego dowiedziałeś się od naszego klienta?

– Zaprzecza, jakoby miał cokolwiek wspólnego z morderstwem. Jednak...

– Tommy, „jednak” to koszmarnie słowo – przerwał Hugh. – Coś mi mówi, że nie spodoba mi się to, co od ciebie usłyszę.

– Kiedy MacNamara i Clark przyszli do celi poinformować o przygotowywaniu formalnego oskarżenia, Clark powiedział, że na butach i kurtce Scotta znajduje się krew Vincenta Bedforda. Prawdopodobnie to miał na myśli, kiedy mówił wcześniej, że dysponują dostatecznymi dowodami, aby go skazać.

Renaday odetchnął powoli.

– No to mamy problem – stwierdził. – Krew na butach i ten krwawy odcisk buta w Aborcie. Jasna cholera...

– Jest jeszcze gorzej – dorzucił cichym głosem Tommy.

– Jeszcze gorzej? – prychnął Hugh, otwierając szeroko oczy.

– Owszem. Lincoln Scott miał zwyczaj w środku nocy wstawać z łóżka i wychodzić do ubikacji. Wymykał się z sypialni do latryny, aby nie razić uczuć tych białych oficerów, którym nie podobał się pomysł dzielenia toalety z czarnoskórym. Tak samo zachował się wczoraj w nocy, a do tego zapalił świeczkę, aby łatwiej znaleźć drogę.

Hugh oparł się o ścianę baraku.

– A problem polega na tym... – nie dokończył zdania.

– ...że ktoś go zapewne widział – kontynuował Tommy. – Czyli w pewnej chwili w nocy Scott opuścił sypialnię, a w obozie znajduje się świadek, który złoży zeznanie w tej sprawie. Clark będzie przekonywał, że to wówczas nadarzyła się okazja do zamordowania Bedforda.

– To mogło być najbardziej niebezpieczne sikanie w jego życiu.

– To samo mnie przyszło do głowy.

– Czy wyjaśniłeś sytuację Scottowi?

– Nie. Nie uznałbym naszej pierwszej rozmowy za szczególnie udaną.

– Nie? – Hugh spojrział na przyjaciela pytająco.

– Nie. Porucznik Scott, jakby to powiedzieć, nie uważa, żeby miał wielkie szanse przed obliczem sprawiedliwości.

– A co on...

– Sądzi, że decyzja już zapadła. I może mieć słuszość.

– Chyba jest w tym wiele racji – mruknął Renaday.

Tommy wzruszył ramionami.

– Zobaczymy. A co ty ustaliłeś? Chodzi zwłaszcza o Vissera. On zdaje się...

– Jest trochę inny od pozostałych oficerów Luftwaffe?

– Właśnie tak.

– Też odniosłem takie wrażenie, Tommy. Zwłaszcza gdy obserwowałem go przy pracy w Aborcie. Powiedziałbym, że ten facet niejedną raz był na miejscu zbrodni. Kręcił się tam jak jakiś cholerny archeolog. Nie przeoczył jednego centymetra kwadratowego. Nie odezwał się słowem. Jakby nie dostrzegał, że jestem tam, z wyjątkiem jednego przypadku, wtedy mnie zaskoczył.

– I co wtedy powiedział?

– Wskazał na odcisk buta na podłodze, przyglądał mu się przez dobrą minutę, jak gdyby gapił się w tekst, który musi zapamiętać, potem podniósł głowę, spojrział na mnie i rzekł: „Poruczniku, proponuję, aby wziął pan kawałek papieru i skopiował to możliwie najdokładniej”. Oczywiście poszedłem za tą wskazówką. Zrobiłem nawet kilka rysunków, jak również szkice przedstawiające położenie ciała i wnętrze Abortu. Szybko narysowałem zwłoki Bedforda, zaznaczając rany. Usiłowałem

uchwycić jak najwięcej szczegółów. Skończył mi się papier, więc Visser polecił jednemu ze strażników przynieść mi nowy brulion z biura komendanta. Może mi się przydać w przyszłości.

– Ciekawe – wtrącił Tommy. – To tak, jakby chciał ci pomóc.

– Tak to wyglądało, choć ja w to nie mogę uwierzyć.

Tommy oparł się plecami o ścianę baraku. Wąski okap dachu osłaniał im twarze przed mżawką.

– Czy w Aborcie zauważyłeś to samo, co ja? – zapytał Hart.

– Myślę, że tak.

– Vic nie został zabity w latrynie. Nie wiem, gdzie zginął, ale nie tam. Ktoś, jedna lub kilka osób, zaniósł do ubikacji jego zwłoki. Ale zginął gdzie indziej.

– Pomyślałem to samo – rzucił szybko Hugh i uśmiechnął się. – Masz bystre oczy, Tommy. Zauważyłem też, że krew poplamiała bluzę Tradera Vica, ale nie jego odsłonięte uda. Nie było jej też na sedesie ani na podłodze, tam gdzie siedział. A więc, gdzie się podziała? Kiedy facetowi podrzynają gardło, wokół powinno być pełno krwi. Przypatrzyłem się też ranie na szyi. Zaraz po tym, jak zrobił to Visser. On, jak naukowiec, wytarł krew i palcami zmierzył rozcięcie na gardle Vica. Przecięta tętnica szyjna, to fakt. Ale rozcięcie nie miało więcej niż pięć centymetrów. Może nawet mniej. Visser nie powiedział słowa, tylko odwrócił się do mnie, trzymając kciuk i palec wskazujący w takiej odległości – Renaday pokazał to dłonią. – A jeszcze ten prawie oderżnięty palec Vica i rany cięte na rękach...

– To wygląda, jak gdyby bronił się przed kimś, kto atakował go nożem.

– Dokładnie, Tommy. Rany odniesione przy obronie.

Hart przytaknął.

– Miejsce zbrodni, które nie jest miejscem zbrodni. Szkop, który robi wrażenie, jakby pomagał nie tej stronie, co trzeba. Wygląda na to, że mamy tu kilka pytań.

– Rzeczywiście. Pytania to dobra rzecz, ale odpowiedzi są znacznie lepsze. Widziałeś MacNamarę i Clarka. Czy sądzisz, że wystarczy po prostu podważyć ich twierdzenia?

– Nie.

– Ja również tak nie myślę. – Hugh zapalił kolejnego papierosa; najpierw spojrzał na dym wydobywający się z ust, a potem na żarzący się ognik. – Zanim nas zestrzelili, Phillip często powtarzał, że to fajki nas zabiją, prędzej czy później. Może i tak. Ale ja mam wrażenie, że na aktualnej liście śmiertelnych zagrożeń one zajmują mniej więcej piąte, szóste miejsce. Są daleko za Niemcami, a może i śmiertelną chorobą. Czy ja wiem, co jeszcze? Teraz mógłbym dorzucić do tego spisu kilka innych pozycji. Na przykład nas samych.

Tommy skinął głową, sięgnął do kieszeni i wydobyl paczkę papierosów.

– Powiedz o wszystkim Phillipowi – rzucił. – Nie pomiń żadnych szczegółów.

Hugh uśmiechnął się.

– Ustawilby mnie pod ścianą i własnoręcznie rozstrzelał. Biedaczek pewnie chodzi tam i z powrotem po naszym pokoju, jest niecierpliwy niczym dziecko czekające na Boże Narodzenie. – Renaday dokończył papierosa i rzucił niedopałek na ziemię. – No, lepiej pójdę, zanim on zemdleje z niezaspokojonej ciekawości. Co będzie jutro?

– Jutro poznasz porucznika Lincolna Scotta. Weź ze sobą słynne policyjne oko, zgoda?

– No pewnie. Chociaż wolałbym mieć do czynienia z drwalem, w dodatku pijanym.

Kiedy Tommy wszedł do sypialni, w której mieszkał Trader Vic, powitały go niesympatyczne spojrzenia i głęboka cisza. Sześciu jeńców pakowało swoje skromne manatki, przygotowując się do przeprowadzki. Koce, cienkie, szorstkie niemieckie prześcieradła, zapasowe ubrania, jakie udało im się zgromadzić, przybory kuchenne i zapasy żywnościowe z Czerwonego Krzyża. Wszystko układano w stosy na podłodze. Lotnicy ściągali też z łóżek wypchane sianem materace i zwijali je w rulon.

Tommy podszedł do pryczy Lincolna Scotta. Na zrobionym z trzech skrzynek po paczkach stoliku leżały Biblia i *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona. W górnej skrzynce znalazł zapasy żywności – konserwy mięsne i jarzynowe, skondensowane

mleko, kawę, cukier i papierosy. Scott miał także mały, metalowy otwieracz do puszek oraz patelnię własnego pomysłu, zrobioną z żelaznej pokrywy od niemieckiej beczki na nieczystości, ze stalową, płaską rączką, wetkniętą w niedużą szparę na powierzchni pokrywki. Scott owinał ją kawałkiem starej, podartej tkaniny, żeby poręczniej było ją trzymać. Tommy podziwiał konstrukcję patelni. Lincoln Scott wykazał typową dla jeńców pomysłowość. Wola zrobienia czegoś z niczego była jedną z charakterystycznych cech wszystkich więźniów.

Stał przez moment obok pryczy Scotta, oglądając jego mizerny dobytek. Uderzyło go, jak wielkie ograniczenia napotykają jeńcy. Ubrania tyle co na grzbiecie, trochę jedzenia, kilka podniszczonych książek. Wszyscy byli biedakami.

Po chwili odwrócił się. Dwaj mężczyźni przeszukiwali drewnianą szafkę po przeciwnej stronie pokoju. Wyglądała niezwykle. Najwidoczniej zrobił ją stolarz, który poświęcił mnóstwo czasu na precyzyjne dopasowanie części i wypolerowanie powierzchni papierem ściernym, aż stała się błyszcząca i gładka. Nazwisko, stopień i numer Vincenta Bedforda wycięto w miękkim drewnie ozdobnym pismem. Jeńcy pospiesznie oddzielali jedzenie od odzieży. Tommy ze zdziwieniem zauważył, że jeden z nich wyciąga z kupy ciuchów trzydziestopięćmilimetrowy aparat fotograficzny marki Leica.

– Czy to rzeczy Vica? – zapytał. Było to głupie pytanie, a odpowiedź oczywista.

Po kilku sekundach ciszy jeden z mężczyzn odpowiedział:

– A niby czyje?

Tommy podszedł do nich wolnym krokiem. Jeden zwijał granatowy sweter z grubej, gęsto tkanej wełny. Hart pomyślał, że pochodzi on z wyposażenia niemieckich marynarzy. Podobny sweter widział poprzednio tylko raz, na ciele martwego Niemca z załogi U-Bootu, którego zwłoki morze wyrzuciło na brzeg w Afryce Północnej, niedaleko amerykańskiej bazy. Trupa znaleźli Arabowie i przytargali go do Amerykanów w nadziei, że uda się im coś zarobić. W końcu pobili się o ten sweter. Był bardzo ciepły, a naturalne olejki zawarte w wełnie zapobiegały wchłanianiu wilgoci. W Stalagu Luft 13, w środku ostrej, bawarskiej zimy byłby dla trzęsących się z zimna jeńców rzeczą bardzo cenną.

Tommy przyglądał się zgromadzonym bogactwom. Omal nie gwizdnął z podziwu nad trofeami Vica. Naliczył dwadzieścia kartonów papierosów. W obozie, gdzie tytoń uważano za wartościowy środek płatniczy, także w handlu wymiennym, Bedford stawał się wielokrotnym milionerem.

– Tam musi być radio – powiedział Hart w pewnej chwili. – I to chyba dobre. Gdzie ono jest?

Jeden z jeńców skinął bez słowa głową.

– Gdzie jest to radio? – powtórzył pytanie Tommy.

– Nie twój zasrany interes, Hart – warknął mężczyzna przeglądający ubrania. – Jest schowane.

– Co się stanie z rzeczami Vica? – nalegał Tommy.

– Co ci do tego, poruczniku? – wtrącił się drugi. – Dlaczego cię to interesuje, Hart? Czy masz za mało roboty z obroną tego czarnucha mordercy?

Tommy nie odpowiadał.

– Dupek. Powinniśmy jutro zastrzelić skurwiela – wybuchnął inny.

– On twierdzi, że tego nie zrobił – powiedział Tommy. Jego oświadczenie przyjęto gwizdami i gniewnymi pomrukami.

Lotnik klęczący przy szafce gestem ręki uciszył pozostałych jeńców.

– Oczywiście. Jasna sprawa. On tak mówi. A czego się spodziewałeś? Chłopiec nie miał żadnych przyjaciół, a Vincent był wszędzie popularny. Oni nienawidzili się nawzajem jak wszyscy diabli, od pierwszej chwili, a po tej bijatyce chłopak pewnie sobie umyślił, że lepiej dorwać Vica, zanim Vic dopadnie jego. To przypomina cholerną walkę psów, poruczniku. Wiesz, czego uczą pilotów myśliwskich? Dla nich istnieje tylko jedna, elementarna, niezłomna reguła: strzelaj pierwszy!

W pokoju rozległ się pomruk aprobaty.

Lotnik przyglądał się Tommy'emu, mówiąc dalej ze złością równym, urągliwym głosem.

– Hart, czy widziałeś kiedy pierścień Lufberry'ego?

– Co takiego?

– Pierścień Lufberry'ego. To coś, o czym uczą pierwszego dnia szkolenia

myśliwskiego. Pewnie w Luftwaffe uczył się tego samego pierwszego dnia na tych swoich messerschmittach 109.

– Ja zawsze służyłem na bombowcach.

– A więc – ciągnął z goryczą pilot – nazwa ta pochodzi od nazwiska Raoula Lufberry’ego, asa z czasów pierwszej wojny światowej. W zasadzie chodzi o następującą sytuację: dwa myśliwce zaczynają lecieć jeden za drugim po okręgu coraz bardziej zaciskającego się koła. To tak, jakby mała goniła łasicę dookoła morwy. Tylko pytanie, kto kogo goni? Może to cholerna łasica goni małą. Tak czy owak, człowiek wchodzi w ten pierścień Lufberry’ego, a pilot, który szybciej wykona zwrot, wyprzedzi przeciwnika, sam nie da się wypchnąć i nie straci przytomności, zwycięża. Ten drugi ginie. Bardzo proste. I parszywe. Na tym polega pierścień Lufberry’ego, i to właśnie robili Vincent i ten czarnuch. Jest tylko jeden problem: wygrał nie ten, który powinien.

Pilot zamilkł i odwrócił głowę.

– Co się stanie z rzeczami Vica? – nalegał Tommy.

Ten sam jeniec wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Żarcie? Pułkownik MacNamara pozwolił nam rozdzielić je między siebie. Dla całego baraku sto jeden. Może zorganizujemy skromną ucztę na cześć Vica. To byłby niezły sposób oddania mu hołdu, co? Przynajmniej przez jedną noc nikt w całym baraku nie będzie głodny. Papierosy trafią do komisji uciezkowej, a jej członkowie, kimkolwiek są, wykorzystają je na łapówki dla Fritzów i jeszcze jednego strażnika. To samo z aparatem fotograficznym, radiem i większością ubrań. Wszystko to oddamy MacNamarze i Clarkowi.

– Czy to jest wszystko?

– To? Do diabła, nie. Vic ma kilka tajnych schowków na terenie obozu. Jest tego dwa albo trzy razy więcej, niż widzisz tutaj. Hart, trzeba ci wiedzieć, że Vic nie był ani trochę sknerą. Chętnie dzielił się wszystkim, co miał. Rozumiesz, o czym mówię? Chłopcy z tej sali lepiej jedli, nie trzęśli się tak z zimna, zawsze mieli do cholery papierosów. On dbał o nas, trzeba przyznać. Vic chciał, abyśmy przetrwali tę wojnę żywi i w jednym kawałku, a czarnuch, któremu masz pomagać, wszystko to

nam odebrał.

Pilot wstał, odwrócił się szybko i spojrzał na Tommy'ego.

– MacNamara i Clark przyszli tu osobiście i kazali się nam spakować, bo mamy się przeprowadzić. Czarnuch ma tu siedzieć sam, nie widywać nikogo, może poza tobą. No i dobrze, Hart. Coś mi się nie wydaje, żeby ten czarny skurwysyn dotrwał do swojego pieprzonego procesu. Vic był jednym z nas. Może nawet najlepszym z nas. A w każdym razie był człowiekiem, który zna swoich przyjaciół i szanuje ich.

Przerwał i zmrużył oczy.

– Powiedz mi, Hart, czy ty wiesz, kim są twoi przyjaciele?

Było już prawie ciemno, kiedy Tommy Hart zdołał wrócić do zimnej celi Scotta. Namówił jednego z opornych współlokatorów na oddanie oliwkowego swetra z golfem, który otrzymał z domu. Zdobył też parę wojskowych butów numer trzynaście ze skromnych zapasów, kontrolowanych przez jeńców zajmujących się rozdzielaniem paczek Czerwonego Krzyża. Ubrania te były przeznaczone dla nowych jeńców, dostarczanych do obozu w mundurach podartych podczas wydostawania się z uszkodzonych samolotów. Zabrał także dwa cienkie koce z pryczy Scotta, puszkę z mięsem, konserwowe brzoskwinie i pół bochenka prawie spleśniałego Kriegesbrotu. Strażnik przed drzwiami celi nie był pewien, czy może przepuścić go z tym dobytkiem, ale Tommy przekupił go paczką papierosów i dostał się do środka.

W celi było ponuro i chłodno. Naga żarówka na górze świeciła mdłym, słabym światłem – wydawało się, że przegrywa z ciemnością nadchodzącej nocy.

Tak jak poprzednio, Scott siedział skulony w kącie celi. Na widok Tommy'ego, podniósł się zeszywniały.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział Hart, dając mu przyniesione rzeczy.

– Jezu – Scott chwycił je łąpczywie. Naciągnął sweter i buty, narzucił na ramiona koc i prawie w tej samej chwili sięgnął po puszkę brzoskwiń. Otworzył pokrywkę i jednym łykiem połknął jej słodką, lepłą zawartość. Potem zajął się konserwą mięsną.

– Nie spiesz się, jedz powoli – doradził mu cicho Tommy. – Bardziej się nasycisz.

Scott zastygł w bezruchu z niedoniesionym do ust kawałkiem mięsa. Doszło do niego to, co przed chwilą usłyszał – skinął głową.

– Faktycznie. Cholera, Hart, ależ ja jestem głodny.

– Wszyscy są głodni przez cały czas, poruczniku. Wiesz o tym. Pytanie tylko, do jakiego stopnia. Jeżeli siedzisz w domu i mówisz „umieram z głodu”, to znaczy, że ostatni raz jadłeś może sześć godzin temu i jesteś gotowy znów usiąść do stołu. Na przykład do duszonej wołowiny z warzywami gotowanymi na parze, młodymi ziemniakami i mnóstwem sosu. Albo smażonym stekiem z frytkami. I sosem. Tutaj powiedzenie „umieram z głodu” ma sens bardziej dosłowny, zgadza się? A gdybyś był jednym z tych biednych Rosjan, którzy przechodzili obok obozu, byłoby jeszcze bliższe rzeczywistości. Wtedy nie chodziłoby tylko o wyrażenie złożone z kilku słów, zdawkowe powiedzonko. Z pewnością nie.

Scott ponownie zwolnił, przeżuując ostatni kęs skrupulatnie, z namysłem.

– Masz rację, Hart. Jesteś także filozofem.

– To Stalag Luft 13 eksponuje kontemplacyjne pierwiastki mojej natury.

– Dlatego, że jedyną rzeczą, jakiej mamy tu pod dostatkiem, jest czas.

– To prawda.

– Może tylko ze mną sprawa przedstawia się inaczej – dodał Scott i uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Pieczone kurczaki – powiedział cicho. Roześmiał się na głos, krótko i ostro. – Pieczone kurczaki z zieleniną i tłuczonymi ziemniakami. To typowy jadłospis czarnych na niedzielny obiad po kościele, kiedy ksiądz przychodzi z wizytą. Musi być przygotowany jak należy, z odrobiną czosnku dodaną do kartofli i pieprzem do mięsa, dla zaostrenia smaku. Do tego chleb kukurydziany i zimne piwo albo świeża lemoniada do popicia...

– No i sos – uzupełnił Tommy, zamykając na moment oczy. – Mnóstwo, gęstego, ciemnego sosu...

– O tak. Mnóstwo sosu. Bardzo gęstego, który ledwo można nalać z sosjerki...

– Jeśli wsadzisz tam łyżkę, będzie stała prosto.

Scott znowu się roześmiał. Tommy poczęstował go papierosem.

– To rzekomo zabija apetyt – powiedział Lincoln, zaciągając się dymem. – Zastanawiam się, czy to prawda. – Przyglądał się pustym puszkom. – Czy myślisz, że dadzą mi pieczony drób na ostatni obiad? – zapytał. – Jest taka tradycja, prawda? Skazany ma prawo do ostatniej prośby, zanim stanie przed plutonem egzekucyjnym.

– Do tego jeszcze daleka droga – przerwał mu ostro Tommy. – Jeszcze do tego nie doszliśmy.

Scott smutno kiwał głową.

– Hart, w każdym razie dziękuję za jedzenie i ubranie. Postaram ci się odwdzięczyć.

Tommy głęboko odetchnął.

– Poruczniku Scott, jeżeli to nie ty zabiłeś Vincenta Bedforda, kto to zrobił i dlaczego?

Scott odwrócił się. Wydmuchnął dym pod sufit i patrzył, jak kłębi się w powietrzu, a potem rozplywa w gęstniejących ciemnościach.

– Nie mam zielonego pojęcia – odrzekł zdecydowanym tonem. Otulił się szczelniej kocem zarzuconym na ramiona i powoli osunął na podłogę w kącie swej celi, jak gdyby zanurzał się w stojącej, ciemnej wodzie.

Przed wejściem do karceru czekał Fritz Numer Jeden, żeby odprowadzić Tommy'ego do amerykańskiego obozu. Palił i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Kiedy Tommy wyszedł, Fritz wyrzucił wypalonego do połowy papierosa. Hart uznał to za rzecz dziwną, ponieważ strażnik był nałogowym palaczem, podobnie jak Hugh, i zazwyczaj wypalał, ile mógł i niechętnie gasił maleńki niedopałek.

– Już późno, poruczniku – powiedział. – Niedługo zgaszą światło. Musi pan wracać na kwaterę.

– No to chodźmy – odrzekł Tommy.

Obaj maszerowali powoli w kierunku bramy pod czujnym wzrokiem dwóch żołnierzy obsługujących karabin maszynowy na najbliższej wieży i Hundführera z psem, który przygotowywał się do patrolowania obozu. Pies szczeknął na

Tommy'ego, zanim jego pan uspokoił go, szarpiąc za błyszczący, metalowy łańcuch na szyi.

Furtka skrzypnęła za nimi – Tommy i Fritz szli dalej w kierunku baraku sto jeden. Tommy pomyślał, że później będzie musiał zadać niemieckiemu strażnikowi jeszcze kilka pytań. Teraz jednak był zdziwiony szybkim marszem Fritza.

– Pospieszmy się – powtarzał.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał Amerykanin.

– Nie ma pośpiechu – odrzekł wartownik, po czym dodał, sam sobie zaprzeczając:

– Musi pan wrócić do sypialni.

Doszli do alejki między barakami. Była to najkrótsza droga do baraku sto jeden. W tym momencie Fritz Numer Jeden chwycił go za ramię i pociągnął w stronę baraku sto trzy.

– Musimy iść tędy – nalegał.

Tommy stanął, wskazując ręką kierunek.

– To jest nasza droga – powiedział.

Fritz znowu pociągnął go za ramię.

– Tędy też dojdziemy szybko – opierał się.

Ze zdziwieniem popatrzył na strażnika, a potem w głąb ciemnej ścieżki. Reflektory zostały już włączone, a jeden z nich oświetlił dach najbliższego baraku. W poruszającym się snopie światła Tommy dostrzegł krople drobnego deszczu i tumany mgły. Zorientował się, co znajduje się przy końcu tej alejki, tuż za dwoma barakami – chodzi o Abort, w którym znaleziono zwłoki Bedforda.

– Nie – uparł się Tommy. – Pójdziemy tą drogą.

Mocno pociągnął Fritza Numer Jeden za ramię i ruszył pogrążoną w ciemności alejką. Szperacz wahał się przez chwilę, potem poszedł za nim.

– Poruczniku Hart, proszę – odezwał się cicho. – Kazano mi poprowadzić pana dłuższą drogą.

– Kto kazał? – zapytał Amerykanin, nie przerywając marszu. Szli od jednej ciemnej plamy do drugiej; drogę oświetlało im jedynie słabe światło sączące się z wnętrza baraków, w których jeszcze nie wyłączono elektryczności, i od czasu do

czasu promień przeszukującego teren reflektora.

Fritz Numer Jeden nie odpowiedział – zresztą nie musiał tego robić. Tommy Hart zdecydowanym krokiem obszedł narożnik i zauważył trzech mężczyzn stojących koło Abortu. Byli to kapitan Heinrich Visser, pułkownik MacNamara i major Clark.

Wszyscy odwrócili się w stronę nadchodzącego jeńca. MacNamara i Clark patrzyli na niego złym wzrokiem, Visser lekko się uśmiechał.

– Nie ma pan prawa tu przebywać – wybuchnął Clark.

Tommy stanął na baczność i zasalutował sztywno.

– Sir! Jeżeli to ma coś wspólnego z aktualną sprawą...

– W tył zwrot, poruczniku! – rozkazał Clark.

W tym czasie trzech niemieccy żołnierze wytaszczyli z latryny jakiś ciężki tłumok, długi, owinięty w brezentową płachtę. Tommy zdał sobie sprawę, że jest to ciało Bedforda, zakryte przed ciekawskimi oczami. Żołnierze z trudem zeszli po schodkach i położyli pakunek na ziemi. Stanęli na baczność przed kapitanem Visserem, który cicho wydał rozkaz po niemiecku, a oni znowu podnieśli swoje brzemie i skręcili za róg. W drzwiach Abortu stanął inny niemiecki żołnierz. Miał na sobie rzeźnicki fartuch, w ręce trzymał namydloną, ociekającą wodą szczotkę. Visser warknął, rozkazując mu coś po niemiecku; żołnierz zasalutował i wrócił do latryny.

Clark postąpił krok naprzód i odezwał się do Tommy'ego podniesionym, rozgniewanym głosem:

– Powtarzam: poruczniku, ma pan stąd odejść!

Tommy powtórnie zasalutował i nagle skręcił w kierunku baraku sto jeden. Zauważył kilka interesujących rzeczy – między innymi ciekawiło go, dlaczego potrzeba było aż dwunastu godzin, żeby usunąć zwłoki zamordowanego? Jeszcze dziwniejsze wydawało się, że to Niemcy czyścili Abort. To z zasady robili jeńcy.

Przed wejściem do baraku zatrzymał się, ciężko oddychając. Zrozumiał, że jeżeli w latrynie znajdowały się jeszcze jakieś dowody, to teraz nic po nich nie zostało. Przez moment zastanawiał się, czy Clark i MacNamara dostrzegli to, co on i Hugh Renaday: że Trader Vic został zabity w jakimś innym miejscu. Nie wiedział, czy potrafią odczytywać ślady z takiego miejsca przestępstwa, jakie on badał dziś rano.

Jedno było pewne: umiał to robić Heinrich Visser.

Pomyślał, że nie jest pewne, czy Niemiec podzielił się swoimi obserwacjami z oficerami amerykańskimi.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien czuć się zmęczony po tak wyczerpującym dniu, ale przeżycia i dręczące go wątpliwości nie dawały mu zasnąć. Leżał wyprostowany na pryczy długo po zgaszeniu świateł, gdy wszyscy lokatorzy jego pokoju dawno już spali. Słyszał, jak chrapią i posapują; wiele razy zamykał powieki, ale wówczas powracał widok ciała Vincenta Bedforda, wciśniętego do kabiny w latrynie albo Lincolna Scotta skulonego w kącie celi. Dziwne, lecz te męczące obrazy z minionego dnia, które nie pozwalały mu zasnąć, działały na niego odświeżająco, niemalże rozweselająco. Były jakieś inne, niepowtarzalne. Wywoływały podniecenie, przyspieszały rytm serca i gonitwę myśli. Kiedy zasypiał, towarzyszyła mu przyjemna świadomość, że rano zapewne spotka się z Phillipem Pryce'em.

Coś go obudziło, lecz nie było to światło poranka.

Czyjaś silna ręka zatykała mu usta.

Budząc się, Tommy wpadł w przerażenie. Szarpnął się, ale ta sama ręka przycisnęła go do pryczy. Chciał się poderwać, lecz zrezygnował, słysząc szepczący mu do ucha głos:

– Nie ruszaj się, Hart. Nie ruszaj w ogóle...

Głos był miękki i jakiś śliski. Tommy miał wrażenie, że przenika do jego uszu przez tętniącą w żyłach krew i przyspieszone bicie serca.

Bez ruchu leżał na łóżku. Obca ręka nadal zakrywała mu usta.

– Posłuchaj mnie, jankesie – usłyszał kolejny szept. – Nie patrz w górę, nie odwracaj się, tylko słuchaj, a nic złego ci się nie stanie. Możesz tak zrobić? Kiwnij tylko głową.

Tommy zrobił, jak mu kazano.

– Dobrze – ciągnął nieznajomy głos. Tommy zdał sobie sprawę, że jego właściciel klęczy przy łóżku, tuż za głową, ukryty w ciemności. Nawet przebijający się

niekiedy do wnętrza promień światła błędzącego reflektora nie pozwolił mu zorientować się, kim jest tak silnie trzymający go człowiek. Zauważył, że intruz zasłania mu usta lewą ręką. Zastanawiał się, co ma w drugiej – może broń.

Nagle dobiegł go inny szept z drugiej strony. Zdziwił się i pewnie lekko poruszył, bo ucisk stał się jeszcze mocniejszy.

– Zapytaj go. Zadaj mu pytanie – ponaglał drugi głos.

Człowiek klęczący przy łóżku chrząknął cicho.

– Powiedz mi, Hart, czy jesteś dobrym żołnierzem? Potrafisz wykonywać rozkazy?

Tommy przytaknął.

– To dobrze – odpowiedział mu podobny do syku szept. – Byłem tego pewien. Bo widzisz, my tylko tego oczekujemy od ciebie. Nie żądamy niczego więcej. Po prostu wykonuj rozkazy. Czy pamiętasz, jakie rozkazy otrzymałeś?

Kolejny ruch głową.

– Hart, twoje rozkazy mówią, że masz pomóc, aby sprawiedliwości stało się zadość. Nic więcej. A ty to zrobisz, prawda, Hart? Dopilnujesz, żeby stała się sprawiedliwość?

Tommy chciał coś powiedzieć, ale uniemożliwiła mu to dłoń zatykająca usta.

– Wystarczy, jeżeli kiwniesz głową, poruczniku.

Tak zrobił.

– My się tylko upewniamy, czy tak będzie, Hart. Ponieważ nikt nie chce, aby sprawiedliwość została oszukana. Zdobędziesz absolutną pewność, że sprawiedliwość zostanie wymierzona, tak?

Tommy nie poruszał się.

– Wiem, że tak – ciągnął świszczący głos. – Wszyscy to wiemy. Każdy człowiek w tym obozie...

Tommy wyczuł, że mężczyzna znajdujący się po jego lewej ręce przesuwa się w kierunku drzwi.

– Nie odwracaj się, nic nie mów, nie zapalaj świeczki. Po prostu leż, Hart. I pamiętaj, masz tylko jedno zadanie: wykonywać rozkazy... – Na zakończenie

przycisnął twarz Tommy'ego aż do bólu i rozpląnął się w ciemności. Tommy słyszał, jak skrzypią otwierane, a następnie zamykane drzwi. Chwytał oddech jak ryba nagle wyciągnięta z morza, leżał sztywno na łóżku, tak jak mu polecono. Powoli zaczęły do niego docierać odgłosy śpiących współlokatorów. Upłynęło trochę czasu, zanim tłukące się gwałtownie w piersiach serce zwolniło rytm.

5. Groźby

Kiedy jeńcy wysypywali się z baraków na poranny apel, Tommy trzymał gębę na kłódkę. Niebo lekko pojaśniało, zmieniając barwę z ciężkiej, metalicznej szarości na brudnosrebrną, niosącą nadzieję, że się przejaśni. Nie było tak zimno jak poprzedniego dnia, chociaż w powietrzu utrzymywała się niemiła wilgoć. Wokół niego ludzie jak zawsze narzekali, skarżyli się i miotali przekleństwa, ustawiając się w grupy liczące po pięć szeregów. Zaczynało się znużone liczenie. Szperacze chodzili tam i z powrotem wzdłuż rzędów, liczyli po niemiecku i zaczynali od początku, kiedy się pomylili lub wypadli z rytmu, gdy jakiś jeńiec przerwał im pytaniem. Tommy uważnie nasłuchiwał, starając się rozpoznać w dolatujących do niego strzępach rozmów głosy dwóch ludzi, którzy w nocy złożyli mu wizytę.

Stał w pozycji „spocznij”, udawał całkowicie rozluźnionego, a nawet znużonego, skoro przeżył już setki podobnych poranków, ale odczuwał oburzenie na myśl o niezwykle zamieszaniu i zdenerwowaniu, które mógłby określić mianem strachu, gdyby był człowiekiem nieco starszym i bardziej światowym. Ten strach różnił się jednak od obaw, do jakich on i jego koledzy byli przyzwyczajeni, pojawiających się wtedy, gdy lotnicy dostawali się w ogień artylerii przeciwlotniczej i widzieli dookoła pociski świetlne. Tommy miał ochotę odwrócić się i spojrzeć w oczy otaczającym go jeńcom. Przyszło mu do głowy, że dwaj ludzie, których głosy słyszał w nocy w pokoju, teraz mogą go obserwować. Dyskretnie rozglądał się na prawo i lewo, usiłował wypatrzeć i rozpoznać osobników, według których jego rzeczą jest po prostu wykonywać rozkazy. Jak co dzień, otaczali go ludzie, którzy latali na wszelkiego typu samolotach bojowych. Na mitchellach i liberatorach, fortach i thunderboltach, mustangach, warhawkach i lightningach.

Ktoś go obserwuje, lecz on nie wiedział kto.

Kocia muzyka i narzekania tego dnia były takie same jak zawsze. Nierówne szeregi jeńców także nie odbiegały od obozowej normy – z tą różnicą, że ubył dwóch ludzi. Jeden był martwy, drugi siedział w więzieniu, oskarżony o

morderstwo.

Tommy odetchnął powoli i zmusił się do pozostania w bezruchu. Czuł coraz szybciej bijące serce, prawie tak samo jak w nocy, kiedy obudził się z obcą dłonią na ustach. Kręciło mu się lekko w głowie, paliła go skóra na plecach, jak gdyby dwaj tajemniczy ludzie przepalali go wzrokiem.

Zimne poranne powietrze miało smak gładkiego kamyka wyciągniętego z dna strumienia w Vermoncie, w którym pływały pstrągi. W upalny dzień Tommy kładł sobie taki kamień pod język. Na chwilę zamknął oczy, wyobraził sobie bystrą, ciemną wodę, pokrytą białą pianą, spadającą z małych wodospadów na Batten Kill lub White River, wodę spływającą z Green Mountains, kiedy topniały śniegi i pędzącą w kierunku większych zlewisk Connecticut albo Hudson. Ten obraz wpływał na niego uspokajająco.

Usłyszał głos szperacza, liczącego jeńców półgłosem.

Otworzył oczy i zauważył, że odliczanie dobiega końca. Z budynku biurowego wyszedł Oberst von Reiter w towarzystwie Hauptmanna Heinricha Vissera i obaj skierowali się do bramy prowadzącej na plac obozowy, mijając kordon salutujących im strażników. Von Reiter, jak zawsze, był ubrany ze sztywną elegancją; każdy kant na jego nienagannie dopasowanym mundurze był ostry jak brzytwa. Tommy wyobraził sobie, że kiedy pułkownik maszeruje, kanty te wydają taki sam świst jak szabla rozcinająca powietrze. Visser wyglądał trochę nieporządnie, jego mundur robił wrażenie wymiętego, jakby właściciel ostatniej nocy nie zdejmował go do snu. Pusty rękaw płaszczka miał przypięty, ale kiedy kapitan przyspieszył, starając się dotrzymać kroku wyższemu komendantowi, załopotał na wietrze.

Tommy patrzył na Vissera – zbliżając się do jeńców badawczo obserwował ludzi prężących się w postawie na baczność. Odniósł wrażenie, że kapitan patrzy na nich ze złością, którą usiłuje skrzętnie, choć bez powodzenia, ukryć. Tommy pomyślał, że von Reiter, przy całej swej wojskowej postawie i pruskiej aparycji wygląda niczym karykatura oficera z propagandowego plakatu i jest nikim więcej jak uhonorowanym klawiszem więziennym. Co innego Visser – to jest prawdziwy wróg.

Na powitanie przybyłych z szeregu wystąpili pułkownik MacNamara i major

Clark. Zasalutowali i zaczęli rozmawiać z Niemcami przyciszonymi głosami. Następnie MacNamara odwrócił się do zebranych oficerów.

– Panowie! – zawołał. Szemranie wśród jeńców natychmiast się uciszyło. Ludzie wyciągali szyje, aby lepiej słyszeć dowodzącego. – Wszyscy już wiecie o podłym zabójstwie jednego z nas. Nadszedł czas, by położyć kres plotkom, pogaduszkom i sporom, związanym z tym nieszczęsnym zdarzeniem!

MacNamara przerwał i spojrzał na Tommy’ego Harta.

– Kapitan Bedford zostanie pochowany z honorami wojskowymi na cmentarzyku za barakiem sto dziewiętnaście w południe. W niedługim czasie oskarżony o zamordowanie Bedforda porucznik Lincoln Scott będzie zwolniony z karceru i oddany pod opiekę swego obrońcy, porucznika Thomasa Harta z baraku sto jeden. Porucznik Scott jest zobowiązany do przebywania w swojej kwaterze przez cały czas, skąd może wyjść tylko na oficjalne przesłuchania związane z przygotowaniem jego obrony.

MacNamara przeniósł wzrok na stojących w szyku lotników.

– Nikomu nie wolno grozić porucznikowi Scottowi! Nikt nie ma prawa z nim rozmawiać, chyba że w grę wchodziłoby podzielenie się istotną informacją! On pozostaje w areszcie i ma być stosownie traktowany! Czy wyrażam się jasno?

Milczenie było oznaką akceptacji.

– W porządku – ciągnął MacNamara. – Porucznik Scott stanie przed sądem wojskowym na wstępnym posiedzeniu w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Proces związany z postawionymi mu zarzutami odbędzie się w przyszłym tygodniu.

Po chwili wahania pułkownik dodał:

– Dopóki trybunał nie ogłosi wyroku, porucznik Scott ma być traktowany uprzejmie, z szacunkiem, ma go również otaczać całkowite milczenie! Niezależnie od waszych uczuć i już zgromadzonych dowodów, należy uważać go za niewinnego, chyba że sąd wojskowy orzeknie inaczej! Każde wykroczenie przeciwko temu rozkazowi zostanie surowo ukarane!

Pułkownik wyprostował się, ściągnął ramiona do tyłu; stał w rozkroku, z rękami

splecionymi za plecami. Siła jego autorytetu podziałała na jeńców. Nawet w najdalszych szeregach nie rozległ się żaden szmer.

Tommy westchnął. Pomyślał, że starszemu oficerowi amerykańskiemu trudno byłoby wygłosić przemówienie w sposób bardziej skażony uprzedzeniami. Nawet słowo „niewinny” powiedział tonem wskazującym, że myśli coś diametralnie innego. Chciał wystąpić z szeregu i powiedzieć coś w obronie Lincolna Scotta, ale ugryzł się w język, bo przecież nikt nie udzielił mu wsparcia, a w ten sposób może nawet zaszkodzić sprawie. Wolał zachować milczenie.

MacNamara odczekał chwilę, a potem odwrócił się do niemieckich oficerów. Zasalutowali – von Reiter swoim zwyczajem podniósł pejcz do daszka czapki, a następnie uderzył nim głośno po cholewie wypolerowanego buta.

Major Clark podszedł do jeńców jak bokser wagi średniej, rzucający się na zwisającego na linach osłabionego przeciwnika. Popatrzył na nich i ryknął:

– Rozejść się!

Jeńcy bez słowa rozproszyli się po terenie obozu.

Nigdzie nie można było znaleźć Fritza Numer Jeden, co Tommy’ego bardzo zdziwiło. Na szczęście inny strażnik wiedział o rozkazie, na mocy którego Hart mógł przechodzić do brytyjskiej części obozu. Kiedy Amerykanin dodatkowo poparł swą prośbę kilkoma papierosami, aby skłonić go do oderwania się od szperania po terenie i grzebania w błocie koło baraku sto dwadzieścia jeden, co Niemiec uważał za wyjątkowo pilne, zgodził się odprowadzić Harta do obozu północnego.

Hugh Renaday czekał na niego przy ogrodzeniu z drutu kolczastego. Przechadzał się energicznym krokiem po niewielkiej przestrzeni i łapczywie zaciągał papierosem. Kiedy zauważył Tommy’ego, zatrzymał się i pomachał do niego.

– Mecenasio, z niecierpliwością czekamy, żeby zabrać się do dzieła. Chodź, Phillip jest podekscytowany niczym rozparzony pies. Ma parę pomysłów...

Hugh nagle przerwał i przyjrzał się Amerykaninowi.

– Tommy, wyglądasz okropnie. Co się stało?

– Czy to jest aż tak widoczne? – zapytał Hart.

– Jesteś blady i zmordowany, przyjacielu. Nie mogłeś spać?

Tommy zdobył się na uśmiech.

– Raczej ktoś inny nie pozwolił mi spać. Chodźmy, opowiem wszystko tobie i Phillipowi za jednym zamachem.

Hugh zamilkł, skinął głową i poszli dalej. Tommy uśmiechnął się w duchu na myśl o tej zalecie Kanadyjczyka, którą właśnie miał okazję dostrzec. Tylko niewielu ludzi z pobudzoną ciekawością potrafi natychmiast narzucić sobie spokój i przystąpić do analizy szczegółów. Jest to atrybut graniczący z małomównością, ulokowany niedaleko pojęcia refleksyjności. Tommy zastanawiał się, czy Hugh równie cicho i sprawnie radził sobie z obserwacjami oraz emocjami w kokpicie bombowca. Przypuszczał, że tak.

Phillip Pryce siedział w pokoju, pochylony niczym pilny mnich-kopista nad topornym drewnianym stołem i zapisywał coś ogryzkiem ołówka trzymanym w długich, arystokratycznych palcach. Kiedy weszli do pokoju, podniósł głowę i odkaszlnął silnie. Na brzegu stołu leżał palący się papieros, a spadający z niego popiół walał się po drewnianej podłodze. Anglik uśmiechnął się, rozejrzał dookoła, szukając papierosa, wziął go do ręki i machnął nim w powietrzu niczym dyrygent w filharmonii, prowadzący crescendo symfonii.

– Mam dużo pomysłów, chłopcy, doprawdy dużo... – oznajmił, spojrzał na Tommy'ego i dorzucił: – No, widzę, że przez niewiele godzin sporo się wydarzyło. Mecenasiu, jakie nowe wiadomości pan nam przynosi?

– Phillipie, w środku nocy złożyli mi wizytę ludzie, którzy, jak sędzę, należą do obozowej służby czujności, a może do lokalnej organizacji Ku-Klux-Klanu.

– Czy ci grozili? – zapytał Renaday.

– Nie. Raczej napominali... – Tommy pokrótce opowiedział im, jak się obudził z czyjąś dłonią na ustach. Przekonał się przy okazji, że wystarczyło opowiedzieć przyjaciom, co się stało, aby pozbyć się części nieprzyjemnych wspomnień. Zrozumiał przy tym, że dobre samopoczucie jest wrażeniem fałszywym, podobnie jak wcześniejszy strach. Najlepiej więc zatrzymać się w pół drogi, gdzieś pomiędzy skrajnymi pozycjami: strachem a poczuciem bezpieczeństwa. – Powiedzieli mi:

„Wykonuj jedynie rozkazy...”.

– Sukinsyny, tchórze – wybuchnął Hugh. – Trzeba by iść z tym prosto do pułkownika i...

Phillip Pryce uniósł rękę, uciszając kolegę.

– Hugh, mój chłopcze, po pierwsze nie będziemy przeciwnikom dostarczać żadnych informacji, nawet wiadomości o groźbach i próbach nacisku. To by nas osłabiło, a ich wzmocniło. Zgadza się? – powiedział, sięgając po następnego papierosa. Zapalił go, wydmuchnął dym i patrzył, jak zawisa w powietrzu.

– Tommy, proszę, opowiedz mi wszystko, co widziałeś i robiłeś po odejściu Hugh. Jeżeli to możliwe, postaraj się odtworzyć każdą rozmowę, słowo w słowo. Wysł pamięć...

Tommy opowiadał bez pośpiechu, starał się nie pominąć niczego, co mu się wbiło w pamięć, pracowicie odtwarzał wszystko, co robił poprzedniego wieczoru. Hugh oparł się o ścianę ze skrzyżowanymi na piersiach rękami – był skoncentrowany, jakby chciał zapamiętać każde słowo Tommy’ego. Pryce wpatrzył się w sufit, odchylony kołysał się na krześle, które przy każdym ruchu delikatnie trzeszczało.

Hart skończył i spojrzał na Anglika. Pryce przestał się bujać i pochylił do przodu. W mdłym świetle sączącym się przez brudne okno jego postać wydawała się ciemna, pełna cieni – przypominał człowieka, który podniósł się z łóżka po ciężkiej chorobie. Po chwili to wrażenie minęło, Pryce odzyskał normalny, niemalże akademicki wygląd, który dodatkowo podkreślał krzywym uśmiechem.

– Powiedziałeś, że nocni goście nazywali cię jankesem?

– Owszem.

– To intrygujące. Bardzo interesujący dobór słów. Czy w ich słowach wychwyciłeś jeszcze inne elementy typowe dla południowców? Na przykład przeciągły, świszczący sposób wymowy albo jakieś charakterystyczne skróty w rodzaju y’all czy ain’t, które wspierałyby teorię o miejscu ich pochodzenia?

– Jeden powiedział y’all – przyznał Tommy. – Ale mówili szeptem. Szept niekiedy zaciera akcent i modulację.

– Tak – zgodził się Pryce. – Lecz to nie dotyczy słowa jankes, prawda? Jest

oczywiste, w jaką stronę ono prowadzi, mam rację?

– Owszem. Nie użyłby go żaden człowiek z Północy, Zachodu czy Środkowego Zachodu.

– To słowo pozwala przyjąć pewne założenia, prowadzi wręcz do określonego wniosku. Powoduje, że zaczyna się myśleć w ukierunkowany sposób, prawda?

Tommy uśmiechnął się do przyjaciela.

– Rzeczywiście, Phillipie. Tak właśnie jest. A co to za skojarzenie, twoim zdaniem?

Pryce kichnął głośno i uśmiechnął się.

– No cóż – zaczął, powoli wymawiając poszczególne słowa. – Moje doświadczenia są w dużym stopniu podobne do przeżyć Hugh. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto chodzi o pijanego drwala, który dopuścił się brutalnego czynu. Zazwyczaj to, co się rzuca w oczy, odpowiada prawdzie...

Tu zrobił małą przerwę. Po twarzy nadal błąkał mu się uśmiech – Phillip uniósł brwi i wykrzywił lekko usta.

– ...Ale zawsze pozostaje jeszcze ta setna możliwość. A ja nie dowierzam słowom i językowi, który prowadzi człowieka do oczywistych wniosków. Powinny one wynikać z potwierdzonych faktów.

Pryce podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, jakby własne przemyślenia nie pozwalały mu spokojnie siedzieć. Otworzył małą kasetkę, zrobioną ze skrzynki po paczkach i wyciągnął herbatę oraz kubki.

– Phillipie – odezwał się Tommy, po raz pierwszy trochę odprężony tego dnia – ty przebiegły lisie. Do czegoś zmierzasz. Co to takiego?

– Nie, nie. Jeszcze nie – odparł Anglik, chichocząc. – Chyba nie powinienem spekulować, dopóki nie dowiem się więcej. Tommy, mój drogi chłopcze, dorzuć więcej chrustu do pieca, napijemy się herbaty. Przygotowałem trochę notatek, powinny ci pomóc przy przyszłych problemach proceduralnych. Zaproponowałem też pewną linię prowadzenia przesłuchań... – Pryce zawahał się, spoważniał i dorzucił: – Najbliższe godziny będą miały przełomowe znaczenie, tak przypuszczam. Im więcej się wydarzy, tym więcej będziemy wiedzieć o sprawie.

Obserwuj bardzo pilnie swojego klienta, kiedy go zwolnią. Hugh, ty zaufaj swojemu instynktowi. Sądzę, że byłoby rozsądnie, gdybyśmy wszyscy trzej potrafili wyrobić sobie wewnętrzne przekonanie co do prawdziwości twierdzenia porucznika Scotta, który zaprzecza oskarżeniu.

Tommy i Hugh w milczeniu skinęli głowami. Pryce wziął głęboki oddech.

– Wiara to nie jest zwyczajna podstawa dla obrońcy, Tommy. Nie musisz wierzyć swojemu klientowi, aby go bronić. Można by powiedzieć, że lepiej nie mieć wyrobionej opinii. Emocje związane z zaufaniem i uczciwością jedynie zakłócają prawnicze manewry. Jednak naszej sytuacji nie można zaliczyć do zwyczajnych kategorii. Żeby bronić porucznika Scotta, musisz być bezwzględnie przeświadczony o jego niewinności, niezależnie od tego, jak bardzo trudne to zadanie. Naturalnie, z tą wiarą wiąże się większa odpowiedzialność. Jego życie naprawdę znajdzie się w twoich rękach.

Tommy przytaknął.

– Odkryję prawdę, kiedy się z nim spotkam – powiedział tonem pełnym głębokiego przekonania, który wywołał uśmiech na twarzy Phillipa. Pryce przypominał nauczyciela lekko rozbawionego nadgorliwością uczniaka, ze śmiertelną powagą traktującego swoje obowiązki.

– Sądzę, że mamy jeszcze kawał drogi do ujawnienia prawdy, Tommy. Byłoby jednak rzeczą rozsądną zacząć jej szukać. Łatwiej natknąć się na kłamstwa niż na prawdę, ale może uda się nam coś wygrzebać.

– Wygrzebiemy – odparł Tommy.

– No tak, to typowo amerykańska, optymistyczna postawa. Dzięki Ci, Panie Boże.

Pryce zakasłał i roześmiał się, po czym zwrócił się do młodszych kolegów:

– Tommy, Hugh, jest jeszcze jedna rzecz. Chyba o kluczowym znaczeniu.

– Co to takiego?

– Znajdźcie miejsce, w którym zamordowano Tradera Vica. Ta lokalizacja wiele nam powie.

– Nie jestem pewien, jak to zrobić.

– Znajdziesz je, jeżeli będziesz robił wszystko, co musi zrobić przyzwoity

adwokat, aby zrozumieć, o co chodzi w jego sprawie.

– To znaczy co?

– Trzeba postawić się na miejscu wszystkich zainteresowanych. Zrozumieć, co czują, jak myślą. Chodzi o zamordowanego, oskarżonego, a także o ludzi osądzających Scotta. Przecież może istnieć wiele względów ukrytych za działaniami dochodzeniowymi, a także za wydanym wyrokiem. Wobec tego zanim do tego dojdzie, jest sprawą wagi zasadniczej w pełni zrozumieć, jakie siły tak skrupulatnie działają za tym parawanem.

Tommy zgodził się z tym.

Pryce wziął do ręki imbryk, potrząsnął nim, aby się przekonać, czy jest w nim woda, a potem postawił na starym żeliwnym piecu.

– Słynny drwal Hugh może sobie siedzieć na podłodze z nie nabitym rewolwerem na kolanach i śmierdzie gorzałą. Kto mu jednak dał broń? Kto mu nalewał do szklanki? I kto zaczął go wyzywać, co doprowadziło do walki? I jeszcze ważniejsze pytanie, kto w gruncie rzeczy może stracić lub zyskać na śmierci tego biedaczyny leżącego na podłodze w knajpie?

Pryce uśmiechnął się do Renadaya i Harta.

– Wszystkie siły, Tommy. Trzeba ujawnić wszystkie siły – powiedział i po chwili przerwy dorzucił: – Mój Boże, nie miałem tak dobrej zabawy od czasu, gdy wziął nas na cel ten messerschmitt. Herbata gotowa, Hugh!

Przez chwilę na twarzy starszego mężczyzny igrał uśmiezek.

– Rzecz jasna, młody Scott prawdopodobnie nie uzna tego wszystkiego za tak intrygujące jak ja – skomentował.

– Pewnie nie – potwierdził Tommy. – W dalszym ciągu uważam, że oni chcą go zabić.

– Na tym polega problem z tą parszywą wojną – mruknął Hugh Renaday, nalewając herbatę do poszczerbionych, fajansowych kubków. – Zawsze znajdzie się jakiś parszywy sukinsyn, który stara się zabić człowieka. Komu dolać troszkę mleka?

Strażnik stojący przed celą porucznika Lincolna Scotta bez słowa wpuścił do środka dwóch lotników. Dochodziło południe, chociaż we wnętrzu celi nic na to nie wskazywało – było tam ciemno jak o zmierzchu. Tommy zakładał, że rozkaz dotyczący rzekomego uwolnienia Scotta zostanie szybko wprowadzony w życie, jednak bardziej interesujące wydało mu się przesłuchanie go, gdy czarnoskóry lotnik jeszcze znajduje się w stanie niepewności, wywołanym izolacją i surowymi warunkami w karczerze. Podzielił się tą myślą z Hugh, który zgodził się z tym i powiedział:

– Pozwól, że ja podejmę próbę. Może zastosuję mało wyrefinowaną, ale solidną technikę prowincjonalnego policjanta.

Tommy wyraził zgodę.

Kiedy weszli, lotnik z Tuskegee robił pompki w kącie celi. Ćwiczył z zapalem, opuszczał i unosił ciało z regularnością metronomu. Odliczał na głos, a słowa odbijały się echem w niewielkim, wilgotnym pomieszczeniu. Po wejściu Renadaya i Harta, podniósł głowę, ale nie przerwał swojego zajęcia, aż do stu pompek. Wtedy dopiero podniósł się i popatrzył na Hugh, który odpowiedział równie twardym spojrzeniem.

– Kto to jest? – zapytał Scott.

– To porucznik Hugh Renaday, mój przyjaciel, który ma ci pomagać – odrzekł Hart.

Scott wyciągnął rękę na powitanie i przytrzymał dłoń Renadaya. Stali w milczeniu, złączeni uściskiem przez sekundę czy dwie, a czarnoskóry pilot nadal wnikliwie studiował twarz Kanadyjczyka. Hugh robił to samo.

Po chwili Scott zapytał:

– Policjant, zgadza się? Był pan policjantem przed wojną.

Hugh przytaknął.

Scott nagle puścił jego dłoń.

– Dobra, panie policjancie. Niech pan pyta.

– Dlaczego pan uważa, że chcę zadawać pytania, poruczniku Scott? – uśmiechnął się Renaday.

– A po co by pan tu przychodził?

– No cóż, Tommy najwyraźniej potrzebuje pomocy. A jeżeli on potrzebuje wsparcia, to i pan także. Poza tym tu chodzi o zbrodnię, a z tym wiąże się gromadzenie dowodów, szukanie świadków, postępowanie zgodne z procedurą. Czy nie uważa pan, że były policjant może się w tym okazać pomocny? Nawet tutaj, w Stalagu Luft 13?

– Tak mi się wydaje.

– No to w porządku – podsumował Hugh. – Cieszę się, że mamy jasność w tej sprawie od samego początku. Jest jeszcze kilka innych rzeczy, które może pan wyjaśnić, poruczniku. Czy można zaryzykować twierdzenie, że ofiara, to znaczy kapitan Bedford, nienawidziła pana?

– Owszem. Dokładnie rzecz ujmując, Renaday, on nienawidził tego, kim jestem i co sobą reprezentuję. Nie znał mnie jako takiego. Po prostu nie znosił mojego wizerunku.

Hugh przytaknął ze zrozumieniem.

– To bardzo interesujące rozróżnienie. On nienawidził myśli, że czarnoskóry może zostać pilotem myśliwskim, bo właśnie to chciał pan powiedzieć?

– Tak, chociaż sprawa miała zapewne głębsze podłoże. On nie mógł się pogodzić z tym, że czarnoskóry może wykazywać aspiracje, a nawet przodować w dziedzinie z zasady zarezerwowanej dla białych. Nie akceptował postępu, nie godził się, żeby czarny coś osiągnął. Nie znosił myśli, że możemy być równi.

– A zatem tego popołudnia, gdy usiłował nakłonić pana do przekroczenia linii śmierci, działał nie tyle przeciwko panu osobiście, ile przeciw temu, co pan sobą przedstawia?

– Tak. Sądzę, że tak – odparł Scott po krótkim wahaniu.

Hugh uśmiechnął się:

– Wobec tego, gdyby te szkopy z karabinem maszynowym przecięły pana serią na dwie części, to właściwie zginąłby nie tyle pan, co ideał?

Scott milczał. Hugh uśmiechał się krzywo.

– Niech mi pan powie, poruczniku, czy umieranie za jakieś ideały jest mniej

bolesne? Czy pańska krew będzie miała inny kolor, kiedy będzie pan umierał za ideały?

Scott wciąż nie odpowiadał.

– Niech mi będzie wolno zapytać, poruczniku, czy pan rewanżował mu się podobną nienawiścią? Czy nienawdził pan nie tyle kapitana Bedforda, ile jego zacofanie i przesady, które on ucieleśniał?

Scott zmrugał oczy i po chwili odpowiedział ostrożnie:

– Nienawdziłem tego, co on sobą reprezentował.

– I zrobiłby pan wszystko, aby przełamać te obrzydliwe poglądy, zgadza się?

– Nie. Tak.

– A więc tak czy nie?

– Owszem, zrobiłbym wszystko.

– Nawet oddałby pan za to życie?

– Tak, gdybym uznał, że robię to dla sprawy.

– Ma pan na myśli sprawę równości?

– Tak.

– Rozumiem... Czy byłby pan gotów zabić z tego powodu?

– Tak. Nie. To nie jest aż takie proste, panie Renaday, wie pan o tym.

– Poruczniku, proszę mówić do mnie Hugh.

– Dobrze, Hugh. To nie jest takie proste.

– Naprawdę? A to dlaczego nie?

– Czy rozmawiamy o mojej sprawie, czy w sensie ogólnym?

– A czy jest jakaś różnica, poruczniku Scott?

– To jest różnica, Hugh.

– Na czym ona polega?

– Na tym, że nienawdziłem Bedforda i chciałem zniszczyć rasistowskie idee, jakie on reprezentował, lecz tego nie zrobiłem.

Hugh oparł się o ścianę.

– Rozumiem. Bedford był uosobieniem wszystkiego, co chcesz zniszczyć. Ale nie skorzystałeś z okazji?

– Rzeczywiście. Nie zabiłem tego rasistowskiego skurwiela!
– Jednak chciałeś go zabić?
– Owszem, ale tego nie zrobiłem!
– No tak. Jednak z pewnością fakt, że on nie żyje, jest dla ciebie wygodny, prawda?
– Zgadza się!
– Dopisało ci szczęście, co?
– Tak!
– Ale ty tego nie zrobiłeś?
– Tak! Nie! Niech to wszyscy diabli! Może i chciałem go zabić, ale tego nie zrobiłem! Ile razy mam to powtarzać?

– Podejrzewam, że jeszcze wiele razy. A jest to rozróżnienie, które przysporzy Tommy’emu niejakich trudności, kiedy będzie przytaczał argumenty przed sądem. Oni są z zasady niewrażliwi na tego rodzaju subtelności, poruczniku – oświadczył Hugh z sarkazmem.

Lincoln Scott aż zeszywniał z wściekłości, mięśnie na szyi nabrzmiały mu niczym pręty odlewane w jakiejś piekielnie gorącej hucie. Miał dziki wzrok, wysunął do przodu szczękę. Wydawało się, że gniew wydostaje się z jego organizmu niczym pot, kroplący się na czole. Hugh Renaday stał o krok od niego, oparty o ścianę. Wyglądał na rozluźnionego, zrelaksowanego. Od czasu do czasu podkreślał jakąś wypowiedź gestem ręki, przewracał oczami patrząc przed siebie, jakby kpił z zaprzeczeń czarnoskórego lotnika.

– Ale to prawda! Czy to takie trudne, przekonać o prawdzie? – wykrzyknął oskarżony; jego głos niósł się echem po celi.

– A tak naprawdę, jakie znacznie ma prawda? – odpowiedział cicho Hugh.

To pytanie momentalnie uciszyło Scotta. Zgiął się w pół z otwartymi ustami, jakby odpowiedź uwięzła mu w krtani, niczym pasażerowie w godzinie szczytu w wąskim przejściu do metra. Spojrzał na Tommy’ego, jak gdyby spodziewał się od niego pomocy, lecz nadal nic nie mówił. Tommy też stał bez słowa. Przyszło mu do głowy, że wszyscy przechodzą badania w tym małym pomieszczeniu – mierzą ich

wagę, wzrost, badają wzrok, ciśnienie krwi i tętno. Ale najważniejsze jest to, czy znajdują się po dobrej czy złej stronie gwałtownej, niewytłumaczalnej śmierci.

Ciszę przerwał gorliwy Hugh Renaday.

– A zatem – powiedział niczym matematyk, który doznał do końca długiego równania – miałeś motyw. Wiele motywów. Aż za wiele motywów, zgadza się, poruczniku? Jak już wiemy, miałeś również okazję, a przy tym dość beztrzesko przyznałeś tym, którzy być może są zdecydowani wystąpić przeciwko tobie, że owej feralnej nocy wychodziłeś z pokoju. Brakuje tylko narzędzia zbrodni. Mam wrażenie, że strona przeciwna zajmuje się tą sprawą, podczas gdy my tu sobie rozmawiamy.

Renaday obserwował Scotta spod oka. Po chwili zapytał z irytującą wprost naiwnością:

– Czy sądzisz, poruczniku Scott, że to było rozsądne? To jak przyznanie się do zabójstwa. W gruncie rzeczy nikt cię nie będzie winił. Jasne, przyjaciele Bedforda będą oburzeni, lecz sukces możemy odnieść, dowodząc, że zostałeś sprowokowany. Sprowokowany. Tak, Tommy, naprawdę uważam, że powinniśmy pójść tą drogą. Porucznik Scott musi szczerze opowiedzieć, co się stało... poza wszystkim to była uczciwa walka, prawda, poruczniku? Tylko ty i on. W Aborcie. Po ciemku. Równie dobrze ty mógłbyś tam leżeć...

– Ja nie zabiłem kapitana Bedforda!

– Możemy zwrócić uwagę na brak premedytacji, Tommy. Między nimi była zła krew, to ona doprowadziła do walki. Typowe zjawisko. Armia nieustannie ma z tym do czynienia. A zatem zabójstwo nieumyślne... zapewne kilkanaście lat ciężkich robót, to wszystko.

– Ty mnie nie słuchasz! Nikogo nie zabiłem!

– Naturalnie, nie licząc Niemców...

– Tak!

– To znaczy wrogów?

– Tak.

– A czy Bedford nie był równie wielkim wrogiem?

- Owszem, tylko że...
- Rozumiem. Zabić Niemca to jest w porządku, ale tego drugiego... fatalnie?
- Zgadza się.
- To nie ma najmniejszego sensu, poruczniku!
- Ja go nie zabiłem!
- A ja myślę, że zabiłeś!

Scott już otwierał usta, żeby odpowiedzieć i nagle zrezygnował. Patrzył na Hugh Renadaya. Oddychał ciężko, jak pływak walczący z falami oceanu i prądami, aby dotrzeć do bezpiecznego brzegu. Chyba w duchu rozważał jakąś decyzję. Odezwał się głosem zimnym, ostrym, pozbawionym emocji – głosem człowieka, którego nauczono walczyć i zabijać.

– Gdybym postanowił zabić Vincenta Bedforda, nie robiłbym tego w tajemnicy, tylko na oczach wszystkich w obozie. No i zrobiłbym to w taki sposób...

Zbliżył się do Kanadyjczyka i wystrzelił w powietrze prawym sierpowym; pięść zatrzymała się tuż przed nosem Renadaya. Cios był potężny i szybki jak błyskawica, wyprowadzony dokładnie i brutalnie. Zwinięta w kułak dłoń czarnoskórego lotnika zawisła o włos od brody Hugh'a.

– Użyłbym tego – powtórzył Scott – i nie robiłbym z tego żadnego cholernego sekretu.

Renaday przyglądał się przez chwilę jego pięści, po czym spojrzał prosto w rozżarzone gniewem oczy czarnego pilota.

– Jesteś bardzo szybki – powiedział spokojnie. – Czy trenowałeś boks?

– Mam Złote Rękawice. Jestem mistrzem wagi ciężkiej na Południowym Zachodzie. Walczyłem przez trzy lata. Nikt mnie nigdy na ringu nie pokonał. Znokautowałem więcej ludzi jednym ciosem, niż byłbym w stanie policzyć.

W tym momencie Scott odwrócił się do Tommy'ego.

– Skończyłem z boksem, ponieważ to kolidowało z moimi studiami – oznajmił sztywno.

– Co studiowałeś? – zapytał Hugh.

– Po uzyskaniu z wyróżnieniem dyplomu niższego stopnia na Uniwersytecie

Northwestern zrobiłem doktorat z psychologii pedagogicznej na Uniwersytecie Chicago – odparł Scott. – Mam też dyplom z niepowiązanej z tym dziedziny, inżynierii lotniczej, którą studiowałem, ponieważ chciałem zostać lotnikiem.

Opuścił rękę, cofnął się krok i odwrócił się plecami do dwóch białych, potem zrobił kolejny zwrot i spojrzał im w oczy.

– No i nie zabiłem nikogo z wyjątkiem Niemców. Tak, jak kazał mi mój kraj.

Tommy i Hugh wyszli z celi Lincolna Scotta i skierowali się do obozu południowego. Tommy oddychał ciężko; ciasna cela zawsze wywoływała w nim uczucie niepokoju, przypominała o obawach. Ten karcer przypominał mu o uczuciu klaustrofobii. Nie była to jaskinia, zamknięty schowek ani tunel, lecz miejsce o ponurych, mrocznych cechach wszystkich tych pomieszczeń, a to Harta denerwowało, budziło w nim na nowo strach znany z dzieciństwa.

W amerykańskiej sekcji obozu panowała dziwna cisza. Na boisku grało mniej jeńców niż zwykle, niewielu sfrustrowanych mężczyzn maszerowało po obwodzie obozu. Pogoda poprawiła się, na zachmurzonym, bawarskim niebie pojawiały się przebliski słońca i strzępy błękitu. W takich momentach widoczne w oddali rzędy jodeł w otaczającym obóz lesie rozjaśniały się blaskiem.

Hugh rażno szedł przed siebie, jakby tempo, które narzucił nogom, odzwierciedlało prowadzone po cichu kalkulacje. Tommy Hart dotrzymywał mu kroku – podążali ramię w ramię, niczym dwa bombowce lecące w ciasnym szyku obronnym.

Tommy spojrzał w niebo. Wyobraził sobie rzędy samolotów ustawionych na pasach startowych w Anglii, Afryce Północnej i na Sycylii. W duchu słyszał huk motorów, potężny ryk, zmieniający ton na coraz wyższy, emanujący coraz większą energią, kiedy maszyny ruszały po asfaltowej nawierzchni i podrywały się w górę, unosząc ciężkie brzemie bomb i leciały w przejrzyste niebo. Zauważył promień światła przedzierający się przez rzadniejące chmury. Pomyślał, że jak świat długi i szeroki oficerowie oraz komendanci lotów siedzą teraz przy biurkach w swoich bezpiecznych biurach i patrzą na to samo słońce, myśląc, że to bardzo dobry dzień

do wysłania młodych ludzi, aby zabijali lub sami ginęli. Oceniał w duchu, że to w gruncie rzeczy całkiem prosta sprawa. Nie mają większego wyboru.

Hart opuścił wzrok i skoncentrował się na tym, co słyszał i widział w celi. Odetchnął głęboko i powiedział szeptem do swego towarzysza:

– On tego nie zrobił.

Hugh przeszedł jeszcze kilka kroków po bagnistym gruncie, a później odpowiedział tak cicho, jak gdyby dzielił się z przyjacielem jakąś tajemnicą:

– Nie. Ja też sądzę, że nie. Nie po tym, jak przyłożył mi pięść do twarzy. To miało jakiś sens, jeżeli o czymkolwiek, co nas otacza, można powiedzieć, że jest sensowne. Ale nie tu tkwi problem, prawda?

Tommy zgodził się z nim, potakując ruchem głowy.

– Obecnie wszystkie poszlaki wskazują na niego. Nawet jego zaprzeczenia sugerują, że raczej jest mordercą. W dodatku nie sprawiło ci zbytniej trudności przenicować go na drugą stronę. Zastanawiam się, jakim świadkiem we własnej sprawie może być porucznik Scott.

Tommy'emu przyszła do głowy uderzająca myśl: jeżeli prawda wydaje się wspierać kłamstwo, to czy nie jest możliwa relacja odwrotna? Ale nie powiedział tego na głos.

– Nie zastanowiliśmy się jeszcze nad plamami krwi na jego butach i kurtce. Jak sądzisz, Tommy, jakim cudem one się tam znalazły?

Hart rozważał tę kwestię przez parę chwil, po czym powiedział:

– No cóż, Scott mówił, że nocą wymyka się do toalety. Ale przecież nikt nie robi tego ubrany w parę człapiących po skrzypiącej podłodze buciorów, prawda? Wtedy obudziłby nawet umarłego. Nikt też nie zakłada do spania kurtki lotniczej, nawet kiedy jest zimno. Przypuszczam, że Scott wieszał kurtkę na gwoździu wbitym w ścianę, tak samo jak inni jeńcy w pokoju, jak ty i ja. Czy trudno wypożyczyć sobie te przedmioty?

Hugh chrząknął i powiedział:

– Chętnie założę się o następną tabliczkę czekolady, jaką dostanę, że właśnie to miał poprzednio na myśli Phillip. Ktoś go zrobił.

– Doskonale, tylko w jaki sposób?

Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

– Tego akurat nie wiem, Tommy. Nie mam zielonego pojęcia.

Szli dalej. Po jakimś czasie Hugh zapytał:

– Wygląda na to, że się spieszymy; ale dokąd?

– Na pogrzeb. Później chciałbym, abyś z kimś się spotkał i przesłuchał go.

– Kto to ma być?

– Lekarz, który badał zwłoki Tradera Vica.

– Nie wiedziałem, że lekarz badał ciało.

Tommy pokiwał głową.

– Ktoś to zrobił oprócz Hauptmanna Vissera. Musimy tylko wykryć kto. W tym obozie jest nie więcej niż dwóch czy trzech kandydatów. Wszyscy mieszkają w baraku sto jedenaście, tam, gdzie ulokowano służby medyczne. I właśnie tam się wybierzesz. Ja zajmę się eskortowaniem porucznika Scotta. Nie zamierzam dopuścić, żeby sam chodził po obozie...

– Pójdę z tobą. To chyba nie będzie przyjemne.

– Nie – odparł Tommy z większą brawurą, niż zamierzał. – Zrobię to sam. Wolę, aby twój udział pozostawał tajemnicą przynajmniej do czasu pierwszych przesłuchań. Nie chcę też, żeby ktoś się dowiedział, w jaki sposób Phillip kieruje naszym postępowaniem. Jeżeli mamy do czynienia z wrobbieniem Scotta, spiskiem i tak dalej, to lepiej, aby ten, kto za tym stoi, nie zdawał sobie sprawy, że jeden z najlepszych prawników z Old Bailey też występuje przeciwko niemu.

Hugh przytaknął.

– Tommy – rzekł, uśmiechając się dyskretnie – tobie również nie można odmówić chytrności. – Roześmiał się głośno, choć niezbyt wesoło. – Prawdopodobnie to bardzo dobrze – mruknął, kiedy przyspieszyli kroku – zważywszy, przeciwko czemu występujemy. Cokolwiek to jest.

Po kilku krokach krępy Kanadyjczyk znowu się odezwał:

– Tommy, jedna rzecz nie chce mi się pomieścić w głowie: jaki rodzaj konspiracji może tu wchodzić w grę?

Zatrzymał się niespodziewanie. Popatrzył w dal, gdzie za boiskiem obozowym, za drutem wyznaczającym linię śmierci, wieżami z karabinami maszynowymi, parkanem z drutu kolczastego rozpościerała się szeroka, pusta przestrzeń.

– Tutaj? Zastanawiam się, o czym można mówić w tych warunkach.

Tommy poszedł za przykładem przyjaciela. Patrzył na obszar leżący poza drutami. Przez moment zastanawiał się, czy w dniu odzyskania wolności powietrze będzie miało słodszy smak. Tak właśnie napisał poeta: „Słodki smak wolności”. Siłą woli powstrzymał się od myśli o domu, o Manchesterze, matce z ojcem siadającymi do kolacji letnią porą, Lydii stojącej obok starego roweru na zakurzonej chodniku przed jego domem wczesnym wieczorem jesiennego dnia, kiedy to w powiewach wiatru można się doszukać zwiastunów zbliżającej się zimy. Miała jasne włosy, spływające na ramiona połyskliwymi falami. Tommy już, już wyciągał rękę, by dotknąć jej włosów. Te obrazy osaczyły go i surowy, ponury świat obozowy na sekundę zniknął sprzed oczu. Później marzenia uleciały równie szybko, jak się pojawiły. Popatrzył na Hugh, który czekał na odpowiedź i rzekł bez wahania ani wątpliwości:

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

Jeńcy nie umierali, tylko cierpieli.

Nieodpowiednia dieta, obsesyjna obowiązkowość, z jaką oddawali się zajęciom sportowym, amatorskiemu teatrowi czy innym rodzajom działalności, na którą decydowali się dla zabicia czasu, dziwaczne obawy, czy kiedykolwiek wrócą do domu, mieszały się z niedopasowaniem do rutyny obozowego życia, nieustannym chłodem, wilgocią i brudem, kiepskimi warunkami higienicznymi, podatnością na choroby, nudą walczącą o lepsze z nadzieją, tłamszoną przez wszechobecne druty – wszystko to przydawało życiu niezwyklej delikatności i kruchości. Tak jak Phillipa Pryce’a prześladował dokuczliwy kaszel, tak im nieustannie zaglądała w oczy śmierć, chociaż rzadko zjawiała się z surowymi wyrokami i budzącymi strach żądaniami.

Przez dwa lata pobytu w zamknięciu Tommy był świadkiem tylko kilkunastu

zgonów, a połowa z nich dotyczyła ludzi oszalałych na punkcie drutów, przez które usiłowali przedrzeć się w środku nocy. Zginęli, wisząc na tych drutach, z własnoręcznie zrobionymi przecinakami w rękach. Zostali rozerwani na strzępy serią z pistoletu maszynowego *Hundführera* albo karabinu maszynowego na wieży. Przez te lata do Stalagu Luft 13 trafiło też kilku jeńców z ciężkimi obrażeniami odniesionymi podczas spadania na ziemię, niewyleczonymi jak należy w niemieckich szpitalach. Trwające dniem i nocą alianckie naloty bombowe ograniczały dostawy cennych medykamentów i penicyliny dla ludności Niemiec, a przy tym wielu wybitniejszych chirurgów zginęło we frontowych lazaretach, gdzie leczyli żołnierzy walczących na froncie rosyjskim. W przypadku lotników, których rany lub choroba stanowiły zagrożenie dla życia, Luftwaffe starała się o repatriację za pośrednictwem Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Zazwyczaj udawało się to załatwić, zanim nieszczęsny delikwent się poddał. Luftwaffe wołała, aby przewlekłe chorzy albo ciężko poranieni jeńcy umierali w Szwajcarii – wtedy Niemcy czuli się mniej winni.

Hart nie pamiętał, żeby zmarły jeńiec został pochowany z honorami wojskowymi. Zmarłych żegnano na ogół po cichu albo podczas mniej formalnej ceremonii, takiej jak wówczas, gdy orkiestra jazzowa uczciła jednego ze swoich muzyków. Wydawało mu się dziwne, że von Reiter wyraził zgodę na pogrzeb wojskowy; Niemcom zależało, aby jeńcy czuli się więźniami, a nie żołnierzami. Znacznie łatwiej upilnować człowieka, uważającego się za więźnia niż takiego, który myśli o sobie jako o wojowniku.

Na pełnym kurzu skrzyżowaniu w pobliżu dwóch baraków, Tommy pokazał Hugh, gdzie znajduje się barak medyczny, a sam poszedł wąskim przejściem między barakami sto dziewiętnaście a sto dwadzieścia, prowadzącym do cmentarzyka. Słyszał dochodzący zza budynku głos, ale nie potrafił rozróżnić słów.

Za rogiem baraku sto dziewiętnaście zwolnił.

Obok pospiesznie wykopanego grobu ustawiono w szyku około trzystu jeńców. Tommy rozpoznał niemal wszystkich lokatorów baraku sto jeden i znanych z widzenia innych oficerów, reprezentujących mieszkańców pozostałych baraków. Z

boku, w pozycji „spocznij”, stało sześciu niemieckich żołnierzy z karabinami.

Trumnę dla Vincenta Bedforda zrobiono prawdopodobnie ze skrzynek o jasnej barwie, w których transportowano paczki Czerwonego Krzyża. Kruche drewno z drzewa balsa było w amerykańskim obozie najlepszym materiałem do wyrobu mebli. Tommy pomyślał ironicznie, że zapewne nikt się nie spodziewał, do czego będą służyć. U szczytu grobu stali trzej oficerowie: MacNamara, Clark oraz pastor odczytujący psalm dwudziesty trzeci. Kapłana zestrzelono we Włoszech w lecie poprzedniego roku, gdy zbyt poważnie potraktował obowiązek dostarczania otuchy lotnikom z grupy lekkich bombowców i postanowił wziąć udział w jednym z rajdów tych maszyn nad Salerno. W tym czasie niemiecka artyleria przeciwlotnicza była jeszcze bardzo aktywna, a w powietrzu śmierć niosły niemieckie myśliwce.

Pastor mówił dość ostrym głosem, przez co nieznośne stawały się słowa nawet sławnego psalmu. „Pan jest moim pasterzem...” brzmiało jak gdyby Bóg rzeczywiście zajmował się hodowlą owiec, a nie ludźmi skazanymi na ryzyko.

Tommy zawahał się – nie był pewny, czy ma się przyłączyć do ustawionych w szeregu jeńców, czy też obserwować ich z daleka. Wtedy ze zdumieniem usłyszał z boku czyjś głos.

– Co spodziewa się pan tu zobaczyć, poruczniku Hart?

Błyskawicznie odwrócił się w stronę pytającego.

Parę kroków dalej, oparty o ścianę baraku sto dziewiętnaście, stał kapitan Heinrich Visser i palił ciemnobrązowego papierosa. Trzymał go jak strzałkę, którą w pubach rzuca się do tarczy. Apatycznie podnosił papierosa do ust, ale zaciągał się mocno.

Tommy odetchnął głęboko.

– Niczego się nie spodziewam – odrzekł powoli. – Ludzie, którzy czegoś oczekują, na ogół otrzymują to, na co mieli nadzieję. Ja tylko obserwuję, a wszystko, co zobaczę, będzie tym, co muszę zobaczyć.

Visser uśmiechnął się.

– Oto odpowiedź człowieka przemyślnego, choć niekoniecznie wojskowego – skwitował.

– Cóż, wobec tego chyba nie jestem idealnym żołnierzem – wzruszył ramionami Amerykanin.

Visser potrząsnął głową.

– Sądzę, że przekonamy się o tym w przyszłości.

– A pan, Hauptmann Visser? Czy jest pan żołnierzem doskonałym?

Niemiec pokręcił przecząco głową.

– Niestety nie, poruczniku Hart. Ale byłem żołnierzem sprawnym. Zdecydowanie sprawnym. Jednak nie doskonałym. To nie jest to samo, jak mi się wydaje.

– Pańska angielszczyzna jest bardzo dobra.

– Dziękuję. Przez wiele lat mieszkałem w Milwaukee, gdzie wychowywali mnie ciotka i wujek. Może gdybym został tam rok czy dwa dłużej, uważałbym się raczej za Amerykanina niż za Niemca. Czy może pan sobie wyobrazić, poruczniku, że miałem całkiem dobre wyniki w grze w baseball? – Spojrzał na pusty rękaw. – Obawiam się, że już do tego nie wrócę. Mogłem tam zostać, lecz tego nie zrobiłem. Postanowiłem wrócić do ojczyzny, aby otrzymać wykształcenie. I w ten sposób stałem się uczestnikiem wielkich spraw, jakie rozgrywają się w moim kraju.

Visser spojrział na ludzi biorących udział w pogrzebie.

– Ten wasz pułkownik MacNamara – powiedział powoli, z uwagą przyglądając się amerykańskiemu oficerowi. – Mam wrażenie, że jest to człowiek, który uwięzienie w Stalagu Luft 13 uznaje za czarną plamę w swoim życiorysie. Za porażkę dowódcy. Czasem, kiedy na mnie patrzy, nie jestem pewien, czy on nienawidzi mnie i wszystkich Niemców, bo tak go nauczono, czy też nie znosi mnie dlatego, że nie pozwalam mu zabijać dalej moich rodaków. Być może on nienawidzi nawet samego siebie. Co pan o tym sądzi, poruczniku Hart? Czy jest to dowódca szanowany przez pana? Lider, za którym po wydaniu komendy ludzie idą natychmiast, bez pytania, nie dbając o własne bezpieczeństwo i życie?

– On jest szanowanym starszym oficerem amerykańskim.

Niemiec roześmiał się, nie patrząc na Tommy'ego.

– Poruczniku, ma pan zadatki na dyplomatę.

Zaciągnął się jeszcze raz papierosem, rzucił go na ziemię i rozdeptał czubkiem

buta.

– Zastanawiam się, czy ma pan także zadatki na adwokata – ciągnął Visser z uśmiechem. – Bo przecież właśnie tego się od pana oczekuje? O tym również myślę.

Odwrócił się do Tommy'ego.

– Pogrzeb bardzo rzadko oznacza koniec czegoś, prawda, poruczniku? Czy nie jest tak, że w znacznie większym stopniu stanowi początek?

Uśmiech błąkał się w kącikach ust Vissera, wykrzywił szramy na policzkach. Kapitan znowu odwrócił głowę, by obserwować uroczystość pogrzebową. Pastor zaczął odczytywać fragment Nowego Testamentu – opowieść o bochenkach chleba i rybach, o tyle kiepsko wybraną, że najprawdopodobniej przypominała zgromadzonym jeńcom o głodzie. Tommy zwrócił uwagę, że trumny nie okryto flagą; na środku wieka leżała tylko troskliwie złożona lotnicza kurtka Bedforda z amerykańskim sztandarem naszytym na rękawie.

Pastor skończył czytać, lotnicy stanęli na baczność. Z szeregu wystąpił trębacz i odegrał pieśń pogrzebową. Kiedy rzewne tony ucichły w oddali, do przodu wysunęli się niemieccy żołnierze, unieśli karabiny i oddali w powietrze pojedynczą serię, jakby chcieli odpędzić resztę szarych chmur i otworzyć prześwit dla błękitnego nieba.

Echo wystrzałów szybko ucichło. Tommy pomyślał, że gdyby tych sześciu ludzi stanęło jako pluton egzekucyjny, odgłos byłby taki sam.

Następnie z szyku wyszło czterech jeńców i na linach opuścili do grobu trumnę z ciałem Vincenta Bedforda. Major Clark dał rozkaz rozejścia się. Oficerowie zrobili w tył zwrot i grupkami skierowali się do obozu. Mijali Tommy'ego, przyglądali mu się, ale nikt się nie odezwał.

On spod zmrużonych powiek patrzył twardym wzrokiem w oczy przechodzących. Domyślał się, że są wśród nich ci, którzy mu grozili, lecz nie miał pojęcia, kim są. Nie potrafił nic wyczytać z ich wzroku.

Visser zapalił następnego papierosa i zaczął nucić wesołą francuską piosenkę *Aupres de ma Blonde*, co można by uznać za obelgę dla powagi uroczystości.

Do Tommy'ego z poważną, oficjalną miną i zadziornie wysuniętą szczęką zbijał

się major Clark.

– Hart, pan nie jest tu mile widziany – oznajmił.

Tommy wyprężył się.

– Kapitan Bedford był także moim przyjacielem, majorze – odpowiedział, nie mając pewności, czy to prawda.

Clark pominął to milczeniem, zwrócił się do niemieckiego oficera i zasalutował.

– Kapitanie Visser, niech będzie pan tak uprzejmy i dopilnuje, żeby zwolniono oskarżonego porucznika Scotta i oddano go pod kuratelę porucznika Harta. Nadszedł właściwy czas.

Visser zasalutował z uśmiechem.

– Jak pan sobie życzy, majorze. Zaraz się tym zajmę.

Clark skinął głową i spojrzał na Tommy'ego.

– Nie jest tu pan mile widziany – powtórzył, odwrócił się i odszedł. Tommy usłyszał głuchy odgłos piasku zrzuconego na wieko trumny Tradera Vica.

Hauptmann Visser poszedł z Hartem do karceru, skąd mieli uwolnić Lincolna Scotta. Wziął dwóch strażników w hełmach oraz Fritza Numer Jeden, aby im towarzyszyli. W dalszym ciągu nucił lekką, żywą, kabaretową piosenkę. Niebo w końcu przejaśniło się całkowicie, ostatnie kłęby szarych chmur odpłynęły na wschód. Tommy patrzył w górę – zauważył na niebie białe smugi wyrzucane przez przelatujące bombowce B-17. Pomyślał, że niedługo maszyny zostaną zaatakowane. W tej chwili samoloty były jeszcze daleko, około dziewięciu kilometrów nad obozem, a zatem stosunkowo bezpieczne. Największe niebezpieczeństwo czekało ich w momencie zejścia na niższy pułap, żeby zrzucić bomby.

Spojrzał na brzydki, przysadzisty budynek więzienia i stwierdził, że tak samo jest z Lincolnem Scottem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby mu bezpieczniej w zamknięciu, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Skulił się. Wiedział bowiem, że czeka go właściwie to samo, co lotników wysoko na niebie. Misja, cel, przelot. Jeszcze raz spojrzał w górę. Nie mógł zrobić mniej niż oni.

Wszedł do celi. Scott natychmiast się podniósł.

– Cholera, Hart, jestem już gotów do wyjścia – powiedział. – Co za przekłeta dziura.

– Nie wiem, czego należy spodziewać się w przyszłości – odrzekł Tommy. – Musimy się pogodzić z tym, co będzie.

– Jestem gotów – powtórzył Scott. – Chcę stąd wyjść. Co będzie, to będzie.

Czarnoskóry lotnik robił wrażenie spiętego, gotowego wybuchnąć.

– W porządku – zgodził się Tommy. – Przedostaniemy się przez obóz do baraku sto jeden. Tam pójdziesz prosto do swojego pokoju. Na miejscu zastanowimy się, co robić dalej.

Odzwyczajony od dziennego światła Scott, po wyjściu na zewnątrz przez chwilę pocierał oczy, jakby chciał spędzić z powiek mrok więziennej celi. Pod pachą niósł ubranie i koc, prawą rękę miał wolną. Dłoń zwinął w pięść, jak gdyby miał zamiar poczęstować kogoś prawym sierpowym, tak jak rano Hugh Renadaya. Kiedy jego oczy przywykły do normalnego oświetlenia, wyprostował się i odzyskał dawną, atletyczną sylwetkę. Przy bramie maszerował już z prawdziwie wojskową energią, jak na paradzie w West Point przed jakimiś ważnymi gośćmi. Tommy szedł z boku, pomiędzy dwoma strażnikami. Z tyłu osłaniali ich Fritz Numer Jeden i kapitan Visser.

Przy drewnianej, oplecionej drutem kolczastym, bramie obozu południowego niemiecki oficer zatrzymał się. Powiedział kilka słów Fritzowi Numer Jeden, ten zasalutował, a potem zwrócił się do strażników.

– Czy życzy pan sobie być eskortowany do baraku? – zapytał Lincolna Scotta.

– Nie – padła odpowiedź.

Visser uśmiechnął się.

– A może porucznik Hart doceni znaczenie eskorty?

Tommy szybko skontrolował wzrokiem obóz za drucianym ogrodzeniem. Wszystko wyglądało normalnie, po terenie kręciły się grupki jeńców. Jedni grali w baseball, inni spacerowali, jeszcze inni czytali, oparci o ściany baraków lub rozmawiali ze sobą. Kilku ludzi opalało się bez koszul. Nic nie wskazywało, że niespełna godzinę temu odbył się pogrzeb, nie wyczuwało się gniewnej atmosfery.

Stalag Luft 13 wyglądał tak samo jak każdego dnia od wielu lat.

Właśnie to zaniepokoiło Tommy'ego. Odetchnął głęboko.

– Nie, damy sobie radę – odpowiedział Visserowi.

Visser westchnął z kpina.

– Jak sobie życzycie – powiedział. – Czy to nie ironia? Ja oferuję panom ochronę przed waszymi towarzyszami broni. To bardzo niezwykle, nie sądzi pan, poruczniku Hart?

Visser chyba nie oczekiwał odpowiedzi na swoje pytanie, a Tommy nie miał ochoty mu jej udzielić. Kapitan powiedział kilka słów po niemiecku i uzbrojeni strażnicy odeszli. Fritz Numer Jeden także poszedł w swoją stronę. Miał ponurą twarz i najwidoczniej był zdenerwowany.

– A zatem do zobaczenia – powiedział Visser, z okrutnym uśmiechem zanucił kilka taktów jakiejś trudnej do rozpoznania melodii, odwrócił się do żołnierzy stojących przy bramie i gestem ręki polecił ją otworzyć.

– No dobrze, poruczniku, idziemy. Równym krokiem.

Szli przed siebie ramię w ramię.

Kiedy brama zaczęła się zamykać za nimi, Tommy usłyszał pierwszy gwizdek. Wkrótce rozległy się następne – wysokie dźwięki zlewały się w jeden głos, dominujący nad całym obozem. Przerwano grę i jeńcy odwrócili się w ich stronę. Zanim Scott i Hart przeszli dwadzieścia kroków, pozorny spokój ustąpił miejsca tupotowi stóp i trzaskaniu otwieranych i zamykanych z hukiem drewnianych drzwi.

– Patrz prosto przed siebie – szepnął Tommy. Lincoln Scott wyprostował się jeszcze bardziej i szedł przez obóz z determinacją długodystansowca, który dostrzegł linię mety.

Z baraków wybiegały tłumy jeńców, jakby gwizdki strażników wzywały ich na apel albo obozowe syreny sygnalizowały alarm. W ciągu kilku sekund setki mężczyzn utworzyły potężny tłum, przypominający raczej barykadę niż oficerów ustawionych w szyku. Ten tłum – Tommy nie miał pewności, czy stojący w nim ludzie nie mają złych zamiarów – zatarasował im drogę.

Zbliżali się do zwartej masy jeńców. Ani Scott, ani Hart nie zwolnili kroku.

– Nie zatrzymuj się – szepnął Tommy. – I nie podejmuj walki.

Kątem oka dostrzegł ledwie zauważalne skinienie głowy czarnoskórego lotnika i usłyszał ciche chrząknięcie, oznaczające zgodę.

– Zabójca! – dobiegł ich okrzyk z głębi falującego tłumu.

– Morderca! – rozległ się następny głos.

Ze zbitej masy jeńców usłyszeli głęboki, dudniący huk. Słowa pełne gniewu i nienawiści mieszały się z przekleństwami i kocią muzyką. Coraz częściej i głośniej rozlegały się gwizdy oraz wycie. Dwaj lotnicy szli prosto przed siebie.

Tommy miał nadzieję, że zauważy starszych oficerów. Nie dostrzegł żadnego. Wyczuł natomiast, że Scott nieznacznie zwiększył tempo marszu – wyglądał na bardzo zdeterminowanego. We dwóch przypominali statek pędzący prosto na skalisty brzeg, nie przejmując się tym, że za chwilę się rozbije.

– Przeklęty czarny zabójca!

Byli dziesięć metrów od gęstego, wrogiego tłumu. Tommy nie wiedział, czy ludzie rozstąpią się czy nie. Spostrzegł kilku jeńców, którzy mieszkali w tej samej sypialni co on. Uważał ich za przyjaciół, może niezbyt bliskich, ale jednak przyjaciół. Dzielił się z nimi jedzeniem i książkami, niekiedy wspólnie wspominali swoje domy, rozmawiali o tęsknocie, pragnieniach, marzeniach i nocnych zmorach. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ci ludzie mogą wyrządzić mu krzywdę. Teraz już nie był tego pewny. Podejrzewał jednak, że mogą się zawahać. Lekko trącił Scotta ramieniem i skręcił w ich kierunku.

Słyszał krótki, przyspieszony oddech Lincolna. Pod wpływem wysiłku Scott łapał powietrze drobnymi haustami.

Wokół rozlegały się coraz to nowe okrzyki i obelgi. Słowa latały w powietrzu szybciej, niż poruszały się nogi Harta. Usłyszał czyjś głos:

– Powinniśmy załatwić to natychmiast!

Zgodnym chórem poparto tę propozycję.

Tommy ignorował groźby. Przypomniał mu się cudownie spokojny głos kapitana z zachodniego Teksasu, prowadzącego „Lovely Lydię” do jeszcze jednego piekła i kanonady dział przeciwlotniczych, mówiącego tym samym co zawsze tonem przez

interkom: „Do diabła, chłopcy, chyba nie pozwolimy, żeby te drobne kłopoty nam przeszkodziły, co?”. Postanowił dolecieć do samego centrum tej burzy, z oczami utkwionymi prosto przed siebie, tak jak to robił jego dawny kapitan, nawet gdyby ostatnia burza miała odebrać mu życie, podobnie jak i reszcie załogi, z wyjątkiem jednego człowieka.

Tommy Hart, nie myląc kroku, uderzył w stojący przed nim tłum mężczyzn. On i Lincoln Scott byli ze sobą związani niewidzialną nicią, tak mocną jak gruba lina.

Tłum zawahał się. Jeńcy z jego pokoju rozstąpili się na boki, tworząc wyrwę w tej barykadzie. Tommy i Scott wdarli się w tę szparę. Znaleźli się jak w potrzasku – ludzie stojący za nimi natychmiast zwarli szeregi. Natomiast ci, którzy znajdowali się przed nimi, rozstępowali się na tyle, by mogli posuwać się dalej.

Bliskość tych dwóch, uważanych za wyrzutków, podziałała na jeńców jak uderzenie potężnego wichru. Wokół uciszyło się, ustały wrzaski i obraźliwe epitety – Hart i Scott szli przez tłum w przeraźliwej ciszy, co chyba było jeszcze gorsze niż hałas i obelgi. Tommy miał wrażenie, że nikt ich nie dotyka, a mimo to szli z trudem, jakby brodzili w wartko płynącej wodzie, gdzie prąd spycha człowieka i rzuca nim na boki.

W pewnym momencie przebili się. Ostatni jeńcy zeszli im z drogi. Tommy dostrzegł otwarte na oścież drzwi opustoszałego baraku. Ta zmiana skojarzyła mu się z samolotem wylatującym z ciemnej, nabrzmiącej piorunami chmury na bezpieczne, czyste niebo.

Ciągle maszerując wojskowym krokiem, ramię w ramię, Hart i Scott szybko zbliżali się do baraku sto jeden. Za plecami mieli milczący tłum.

Scott oddychał jak człowiek, który przed chwilą przeboksował piętnaście rund. Tommy uprzytomnił sobie, że jego krótki, świszczący oddech jest taki sam jak Lincolna.

Z niewiadomego powodu lekko skrzył głowę w prawo i dyskretnie spojrzął w tamtą stronę. To wystarczyło, żeby zobaczyć pułkownika MacNamarę i majora Clarka, ukrytych za jednym z brudnych okien sąsiedniego baraku. Obserwowali Scotta i Harta, maszerujących przez obóz. Tommy poczuł trudną do opanowania

odrazę do dwóch starszych oficerów, którzy dopuścili do zlekceważenia ich rozkazów. „Żadnych grózb... Traktować uprzejmie...” – tego przecież domagał się MacNamara. A potem przyglądał się, jak nie respektowano tego rozkazu. W pierwszym odruchu chciał iść do przełożonych – owładnęło nim nagłe obrzydzenie i chęć doprowadzenia do konfrontacji. W tym samym ułamku sekundy usłyszał jednak głos doradzający, by najpierw dowiedziało się czegoś istotnego, co powinien zachować dla siebie.

Postanowił posłuchać tego głosu.

Odwrócił głowę. MacNamara i Clark musieli się zorientować, że on ich spostrzegł, jak ukryci za oknem obserwowali ich przemarsz przez obóz. Z czarnoskórym pilotem u boku wszedł do baraku sto jeden.

Lincoln Scott odezwał się pierwszy.

– No, marnie to się przedstawia – powiedział cicho.

Tommy nie miał pewności, czy mówi o swojej sytuacji, czy o pokoju, w którym się znalazł, ponieważ tę uwagę można było zrozumieć dwojako. Z sypialni usunięto wszystko, co zgromadzili tam poprzedni lokatorzy. Pozostało jedynie drewniane łóżko z brudnym, niebieskim materacem wypchanym słomą. Na wierzchu leżał cienki szary koc. Scott rzucił na pryczę przyniesione koce i prześcieradła. Pod sufitem paliła się żarówka, choć w pokoju było jeszcze jasno od popołudniowego, powoli gasnącego światła. W głowach łóżka znajdował się zrobiony przez Lincolna stolik i schowek na złożenie skromnego dobytku. Czarnoskóry pilot zajrzał do środka – leżały tam jego dwie książki i nietknięte jedzenie. Brakowało natomiast patelni. Gdzieś wyparowała.

– Mogło być gorzej – wtrącił Tommy. Tym razem Scott spojrzał na niego, starając się odgadnąć, czy mówi o kwaterze, czy ogólnie o całej sprawie.

Po chwili milczenia Tommy zapytał:

– Kiedy tamtej nocy wróciłeś do łóżka po wymknięciu się do toalety, gdzie położyłeś kurtkę?

Scott wskazał ścianę koło drzwi.

– Powiesiłem ją tam. Każdy miał swój gwoździe. Wszyscy tam wieszali kurtki. Łatwo je było chwycić, gdy rozbrzmiały syreny albo gwizdki – powiedział, siadając ciężko na łóżku i biorąc do ręki Biblię.

Tommy podszedł do ściany. Gwoździe znikły. W desce pozostało osiem małych dziurek, po dwie obok siebie, przedzielone kilkudziesięcioma centymetrami odległości, i to wszystko.

– A gdzie Vic wieszał płaszcz?

– Obok mnie. Nam przypadły dwa ostatnie gwoździe w tym rzędzie. Każdy korzystał z jednego i tego samego gwoździa, ponieważ to ułatwiało błyskawiczne znalezienie okrycia, kiedy człowiek się spieszył. Dlatego powbijaliśmy je parami.

– Jak ci się wydaje, gdzie te gwoździe są teraz?

– Nie mam pojęcia. Dlaczego ktoś miałby je zabierać?

Tommy nie odpowiedział, chociaż wiedział dlaczego. Chodziło nie tylko o gwoździe. To był argument. Odwrócił się tyłem do Scotta, który zaczął kartkować Biblię.

– Mój ojciec jest pastorem baptystów – powiedział Lincoln. – Mount Zion Baptist Church w East Side w Chicago. Zawsze powtarza, że Pismo Święte wskaże kierunek w ciężkich czasach. Ja może jestem nastawiony bardziej sceptycznie, ale nie chcę zdecydowanie odrzucać Pisma.

Otworzył Biblię na chybił trafił. Odczytał pierwszy fragment, na jaki padł jego wzrok:

– Ewangelia św. Mateusza, rozdział szósty, werset dwudziesty czwarty: „Nikt nie może dwóm panom służyć, gdyż albo jednego nienawidzić będzie, a drugiego miłować, albo jednego trzymać się będzie, a drugim pogardzi”.

Roześmiał się na głos.

– Myślę, że jest w tym pewien sens. Dwóch panów. Co o tym myślisz, Hart?

Zatrzasnął Biblię i ciągnął bez pośpiechu:

– Dobra, jaki jest następny krok? Co mnie czeka teraz, kiedy przeniosłem się z jednej celi do drugiej?

– Jeśli chodzi o procedurę, to jutro masz pierwsze przesłuchanie. Oni przedstawia

oskarżenie w sposób oficjalny, ty stwierdzisz, że jesteś niewinny. Musimy zbadać dowody zebrane przeciwko tobie. A w przyszłym tygodniu odbędzie się proces.

– Proces. Niezłe określenie w tej sytuacji. A twoja strategia, mecenasie?

– Opóźnić. Podważać właściwość sądu. Kwestionować legalność postępowania. Domagać się czasu na przesłuchanie wszystkich świadków. Utrzymywać, że sąd nie ma prawa jurysdykcji w tej sprawie. Inaczej mówiąc, z jak największym uporem walczyć o każdą kwestię formalną.

Scott skinął głową z rezygnacją. Spojrzał na Tommy'ego.

– Myślę o tych ludziach na zewnątrz. Ustawili się i wrzeszczeli. A potem, kiedy przeszliśmy, zapadła cisza. Myślałem, że chcą mnie zabić.

– Ja również.

Lincoln kiwał głową z oczami wbitymi w podłogę.

– Oni mnie wcale nie znają. Nic o mnie nie wiedzą.

Tommy milczał.

Scott odchylił się do tyłu i wpatrywał w sufit. Hart po raz pierwszy wyczuł, że za tą pozorną wojowniczością kryje się mieszana nerwowości i zwątpienia. Czarny pilot patrzył przez kilka sekund na wymyte do czysta deski sufitu i na nieosłoniętą, świecącą żarówkę na środku.

– Wiesz, ja mogłem uciec. Mogłem się stamtąd wynieść. Wtedy nie byłoby mnie tu.

– O czym mówisz?

– Widzisz, my już wykonaliśmy swoją misję jako eskorta. Odparliśmy kilka ataków na formację, doprowadziliśmy bombowce do celu. Zbieraliśmy się do domu, Nathaniel Winslow i ja. Myśleliśmy już o ciepłym posiłku, może też o partyjce pokera, a potem o pójściu do łóżka. Nagle usłyszeliśmy to rozpaczliwe wezwanie. Brzmiało jak krzyk tonącego człowieka, który prosi o rzucenie mu liny. To był bombowiec B-17 lecący rozpędem, bo oba silniki przestały działać, odstrzelili im połowę ogona. On nawet nie należał do grupy, której mieliśmy pilnować. Opieka nad nim była zadaniem jakiejś innej eskadry myśliwców. W każdym razie nie naszej, trzysta trzydziestej drugiej. Rozumiesz, to nie była nasza sprawa. W gruncie rzeczy

nie musieliśmy nic robić. Mieliśmy mało paliwa i amunicji, ale przecież tam leciał ten nieszczęśnik, ścigany przez sześć focke-wulfów. Nathaniel nie wahał się nawet przez sekundę. Położył swojego mustanga na skrzydło, krzyknął, abym leciał za nim i rzucił się na nich. Miał amunicję na niespełna trzy sekundy strzelania. Rozumiesz, Hart, trzy sekundy. Policz sobie – raz, dwa, trzy... Tak długo mógł strzelać. Ja też nie miałem więcej. Gdybyśmy jednak tam nie poleciali, to wszyscy faceci z bombowca byłiby martwi. Dwóch przeciwko sześciu. Byliśmy już w gorszych opałach. W pierwszym podejściu obaj, Nathaniel i ja, zestrzeliliśmy po jednym samolocie. To był taki fajny cios z odchylenia, który przerwał atak Niemców. B-17 został sam, bo focke-wulfy poleciały za nami. Jeden rzucił się za Nathanielem, ale wtedy ja rozwalilem szwaba, zanim go dopadł. I na tym się skończyło. Zabrakło amunicji. Powinniśmy zawrócić i zwiewać – wiesz, przy tych potężnych silnikach Merlin z turbodoładowaniem żaden pieprzony szkop by nas nie dogonił. Już chcieliśmy wracać do domu, gdy Nathaniel zauważył, że dwa ich myśliwce znowu rzuciły się za B-17 i znowu wrzeszczy do mnie, żeby lecieć na nich. Co mogliśmy im zrobić? Opluć, obrzucić wyzwiskami? Widzisz, dla Nathaniela to była sprawa ambicji. Żaden bombowiec pod naszą ochroną nie miał prawa zostać strącony. Kapujesz? Ani jeden. Zero strat. Przynajmniej wtedy, gdy w powietrzu jest trzysta trzydziesta druga, kiedy opiekę sprawują chłopcy z Tuskegee. Bombowce mają bezpiecznie wrócić do domu, niezależnie od tego, ile samolotów wyśle przeciwko nam Luftwaffe. Tak sobie przyrzekliśmy. Żaden czarny pilot nie odda szkopom białych chłopaków. No i Nathaniel popędził ze wszystkich sił za pierwszym focke-wulfem, starał się być jak najbardziej widoczny, aby zaszachować faszystę, dać mu do zrozumienia, że zginie, jeżeli nie spieprzy stamtąd. Widzisz, Nathaniel był znakomitym pokerzystą. Dorabiał sobie w college'u, odbierając zamożnym chłopcom kieszonkowe. Wspecjalizował się w pokerze siedmiokartowym. W dziewięciu przypadkach na dziesięć wypuszczał przeciwnika w samych slipkach. Miał taką minę, wiesz, w stylu „mam fula, więc mi lepiej nie przeszkadzaj”, a naprawdę trzymał tylko parę parszywych siódemek...

Lincoln Scott odetchnął głęboko.

– Jasna sprawa, dorwali go. Skrzydłowy usiadł mu na ogonie i porządnie posiekał. Słyszałem, jak Nathaniel wrzeszczy przez radio, że spada. Potem skoczyli na mnie. Wywalili mi dziurę w zbiorniku paliwa. Nie wiem, jakim cudem nie eksplodowałem. Spadałem, paląc się. Chyba wystrzelali całą amunicję, bo zawrócili i znikli. Wskoczyłem na pułapie niespełna dwóch tysięcy metrów. No i teraz siedzę tutaj. Rozumiesz, mogliśmy im uciec, ale tego nie zrobiliśmy. A ten cholerny bombowiec wrócił do domu. Oni zawsze wracają. Nam się mogło nie udać, ale nie im.

Scott powoli kiwał głową.

– Pomyśl o tych facetach, którzy blokowali nam przejście. Nie byłoby ich tu dziś, gdyby w powietrzu osłaniała ich trzysta trzydziesta druga. Na pewno by ich tu nie było.

Podniósł się z pryczy, ściskając w dłoni oprawioną na czarno Biblię. Kiedy mówił, gestykułował nią, akcentował każde słowo.

– Panie Hart, w moim charakterze nie leży łatwe godzenie się z rzeczywistością, akceptowanie tego, co mi się przytrafia. Nie jestem typem domowego czarnucha, lokaja, co to „odnieś walizki, weź mój kapelusz, tak, sir, nie, sir”. Mówiłeś o tym proceduralnym gównie, w porządku, nie mam nic przeciwko temu. Skoro musimy wykorzystywać takie sprawy w naszej argumentacji, dobra, Hart, wykorzystuj, ty jesteś prawnikiem. Ale jeżeli do tego dojdzie, będę walczył. Nie zabiłem kapitana Bedforda i chyba nadszedł czas, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli!

Tommy słuchał uważnie, zwracał uwagę na to, co i w jaki sposób mówi jego klient.

– W takim razie czeka nas trudne zadanie – powiedział cicho.

– Hart, dotychczas nic mi w życiu nie przychodziło łatwo. Nic z tego, co się naprawdę liczy, nie przychodzi łatwo. Mój ojciec, kaznodzieja, powtarzał to dzień w dzień, rano i wieczorem. Miał rację, kiedy to mówił. Teraz też jest to słuszne.

– W porządku. Jeżeli nie zabiłeś kapitana Bedforda, to musimy dowiedzieć się, kto i dlaczego to zrobił. Nie będzie to proste zadanie. Nawet nie mam pojęcia, od czego zacząć.

Scott przytaknął, już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim zdołał to

zrobić, jego uwagę przyciągnął odgłos kroków na korytarzu. Rytmiczne, dźwięcznie brzmiące kroki zatrzymały się przy pokoju oskarżonego. Po chwili ktoś energicznie otworzył drzwi. Stanęli w nich MacNamara i Clark. Towarzyszyło im kilku innych oficerów, którzy ustawili się w korytarzu. Tommy rozpoznał wśród nich co najmniej dwóch byłych współlokatorów z sypialni Tradera Vica oraz Scotta.

Pierwszy do pokoju wszedł MacNamara i stanął z boku. Nie odzywał się, tylko skrzyżował ręce na piersiach i patrzył. Jak zawsze, zaraz za nim szedł Clark. To on stanął na środku sypialni. Spojrzał gniewnym wzrokiem na Tommy'ego i równie nieprzyjaznym spojrzeniem obdarzył Lincolna Scotta.

– Poruczniku Scott, czy w dalszym ciągu zaprzecza pan oskarżeniom? – zapytał ostrym tonem.

– Tak, zaprzeczam – odrzekł Scott.

– A zatem nie będzie się pan sprzeciwiał przeszukaniu pańskich rzeczy?

Hart rzucił się do przodu.

– Naturalnie, że się sprzeciwiamy! Na mocy jakiego przepisu prawa przychodzi pan tutaj rewidować osobiste rzeczy porucznika Scotta? Musi pan mieć nakaz. Musi pan przedstawić całą sprawę na sesji sądu, wraz z zeznaniami i wspierającymi dowodami! Protestujemy zdecydowanie! Pułkowniku...

MacNamara nie odezwał się ani słowem.

Clark odwrócił się do Tommy'ego, a następnie znowu spojrzął na Scotta.

– Nie rozumiem, w czym problem. Jeżeli jest pan niewinny, jak pan utrzymuje, to co pan ma do ukrycia?

– Nie mam nic do ukrycia! – odrzekł ostrym tonem Scott.

– Nie ma najmniejszego znaczenia, czy on ma coś do ukrycia czy nie! – Tommy mówił z naciskiem, podniesionym głosem. – Pułkowniku! Ta rewizja jest nieuzasadniona i całkowicie bezprawna!

Pułkownik MacNamara wreszcie postanowił odpowiedzieć – odezwał się powolnym, zimnym głosem:

– Jeżeli porucznik Scott się nie zgadza, to przedstawimy tę sprawę na jutrzejszym posiedzeniu sądu. Trybunał podejmie decyzję...

– Rewidujcie – wtrącił Scott. – Nic nie zrobiłem, więc nic nie muszę ukrywać!

Tommy popatrzył na niego ostrzegawczo.

Czarnoskóry lotnik zignorował ten sygnał i warknął na Clarka:

– No, dalej, majorze.

Clark w towarzystwie dwóch innych oficerów zbliżył się do pryczy. Pobieżnie sprawdzili siennik, nieliczne ubrania oraz koc. Lincoln Scott stanął z boku i oparł się plecami o ścianę. Trzej oficerowie przekartkowali Biblię i *Zmierzch cesarstwa rzymskiego*, przeszukali też zrobiony przez Scotta stolik ze schowkiem. Tommy zwrócił uwagę, że jest to rewizja wyłącznie pro forma. Żadnego przedmiotu, jaki wpadł im w ręce, nie obejrzeliby porządnie, jak należy. Nie wydawali się też specjalnie zainteresowani tym, co robią. Hart poczuł ogarniające go zdenerwowanie i ponownie wybuchnął.

– Pułkowniku, jeszcze raz zgłaszam sprzeciw! Porucznik Scott nie ma prawa zrzekać się konstytucyjnie przysługującej mu ochrony przed bezprawną rewizją i zajęciem!

Major Clark uśmiechał się do Tommy’ego.

– Już prawie skończyliśmy – powiedział.

MacNamara nie zareagował na protest Harta.

– Pułkowniku! To jest bezprawie!

Oficerowie pomagający majorowi niespodziewanie unieśli z jednej strony drewnianą pryczę. Przesunęli ją z głośnym trzaskiem w prawo o kilkadziesiąt centymetrów i równie hałaśliwie opuścili na podłogę. Wtedy major Clark przyklęknął na kolano i uważnie wpatrzył się w odsłonięte deski podłogi.

– Co robicie? – zapytał Lincoln Scott.

Nie doczekał się odpowiedzi. Clark obluzował nagle jedną z desek i podniósł ją zdecydowanym ruchem. Wyglądała jak specjalnie przycięta i znowu ułożona na podłodze. Tommy natychmiast zrozumiał – pod nią znajdowała się skrytka. Między cementowym fundamentem a deskami podłogi powstała przerwa, szeroka na mniej więcej dziesięć centymetrów. Kiedy Tommy zjawił się w Stalagu Luft 13, takie miejsca były ulubionymi schowkami jeńców. Mieściła się w nich ziemia wydobyta z

zawalonych tuneli, kontrabanda, radioodbiorniki, mundury przerobione na cywilne ubrania, przewidziane na nigdy nie zrealizowaną ucieczkę, bezużyteczne racje żywnościowe dla uciekających – wszystko w niewielkiej przestrzeni pod podłogą w każdym pokoju. Ale te miejsca, tak pożyteczne dla jeńców, nie uchodziły uwadze szperaczy.

Tommy przypomniał sobie, jaki dumny był Fritz Numer Jeden tego dnia, kiedy wykrył taką kryjówkę, ponieważ odkrycie jednego schowka automatycznie umożliwiło ujawnienie dwudziestu dalszych, w innych sypialniach i barakach. W rezultacie więźniowie nie chowali swoich rzeczy pod podłogą już od ponad roku, co wpędzało we frustrację Fritza Numer Jeden, który ciągle szukał w tych samych miejscach.

– Pułkowniku! – krzyknął Tommy – To nieuczciwe!

– Doprawdy? – spytał Clark.

Przysadzisty major wsunął rękę do odsłoniętej skrytki i z uśmiechem wyciągnął z niej długą, płaską klingę noża zrobionego domowym sposobem. Ostrze miało może trzydzieści centymetrów długości i z jednego końca było owinięte kawałkiem jakiejś tkaniny. Metalowa część została spłaszczona i zaostrzona. Kiedy major podnosił ten przedmiot, klinga rzucała złowrogie błyski.

– Czy pan to poznaje? – zapytał Clark Scotta.

– Nie.

Major roześmiał się.

– No jasne – skomentował, zwracając się do jednego z oficerów, stojących z tyłu:

– Proszę pokazać tę patelnię.

Oficer wyciągnął patelnię zrobioną przez Scotta.

– A co z tym? Czy to należy do pana, poruczniku?

– Owszem. Skąd pan to wziął? – odrzekł Lincoln.

Clark najwyraźniej nie miał ochoty odpowiadać. Odwrócił się, trzymając w rękach patelnię i nóż domowej roboty. Patrzył na Tommy’ego, ale mówił do pułkownika MacNamary:

– Proszę patrzeć uważnie.

Powoli odwinął brudny materiał oliwkowej barwy, którego Scott użył do owinięcia rączki patelni. Potem w taki sam sposób odsłonił trzonek noża i podniósł oba strzępy tkaniny. Pochodziły z tego samego materiału i miały prawie identyczną długość.

– Wyglądają tak samo – powiedział szorstko pułkownik MacNamara.

– Jest jedna różnica, sir – odparł Clark i podniósł strzęp materiału zdjęty z rękojeści noża. – Ten kawałek, jak się wydaje, jest poplamiony krwią kapitana Bedforda.

Scott wyprostował się, lekko uchylił usta. Chyba miał zamiar coś powiedzieć, ale tylko odwrócił się i spojrzał na Tommy'ego. Hart po raz pierwszy dostrzegł w jego oczach strach. W tej chwili przypomniał sobie, o czym tego dnia wcześniej rozmawiali Hugh Renaday i Phillip Pryce. Motyw – okazja – sposób. Trzy elementy triady. Kiedy o tym wspominali, w równaniu brakowało sposobu.

Teraz to się zmieniło.

6. Pierwsza rozprawa

Następnego dnia podczas porannego sprawdzania obecności jeńcy ustawili się jak zwykle w szeregi obszarpańców. Lincoln Scott stał osobno, mniej więcej o dziesięć metrów od najbliższej grupy, w pozycji spoczniej, z rękami splecionymi z tyłu i lekko rozstawionymi nogami. Czekał, aż go policzą, tak jak wszystkich pozostałych. Miał twardy wyraz twarzy i patrzył przed siebie aż do zakończenia odliczania i wydania przez majora Clarka komendy „rozejść się”. Wówczas błyskawicznie zrobił zwrot i szybko poszedł do baraku sto jeden, gdzie zniknął za drewnianymi drzwiami, nie odzywając się ani słowem do innych jeńców.

Tommy przez moment miał ochotę pójść za nim, ale się rozmyślił. Nie rozmawiali jeszcze o znalezionym nożu. – Hart wiedział tylko, że Scott zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek widział ten przedmiot. Tommy miał za sobą męczącą noc – śniły mu się koszmary, kilkakrotnie budził się w ciemności, czując, że otacza go posępny, beznadziejny chłód. Teraz szybkim krokiem skierował się do bramy, machając jednocześnie na Fritza Numer Jeden, żeby go eskortował. Strażnik zauważył Tommy’ego, lecz zachował się tak, jak gdyby chciał uniknąć spotkania z nim. Później widać przemyślał sprawę, zatrzymał się i spokojnie czekał. Zanim jednak Tommy podszedł do strażnika, zatrzymał go major Clark. Uśmiechał się kpiąco, co zupełnie nie skrywało jego uczuć.

– Stawicie się o dziesiątej rano, Hart. Wy, Scott, ten Kanadyjczyk, wasz pomocnik i wszyscy inni, którzy są wam potrzebni. Zostaniecie ulokowani w obozowym teatrze. Mam przecucie, że będziecie grać przy przepelnionej widowni. Tylko miejsca stojące, co, Hart? A jaki z pana aktor, poruczniku? Czy odstawi pan dobry show?

– Zrobię wszystko, żeby ludzie się nie nudzili, panie majorze – odrzekł Tommy z sarkazmem.

– To dobrze – stwierdził Clark.

– Proszę mi tam dostarczyć listę dowodów i świadków, panie majorze, zgoda?

Tak jak tego wymaga prawo wojskowe.

– Jeżeli chcecie...

– Owszem, chcę. Będę również musiał zbadać rzekome dowody. Fizycznie.

– Jak pan sobie życzy. Nie rozumiem jednak...

– Właśnie w tym rzecz, panie majorze – przerwał mu Tommy. – Chodzi o to, czego pan nie rozumie.

Zasalutował i nie czekając na pozwolenie natychmiast ruszył w stronę niemieckiego strażnika,. Zanim zrobił trzy kroki, usłyszał za plecami głośny ryk majora.

– Hart!

Stanął i wykonał zwrot.

– Sir?

– Nie pozwoliłem panu odejść, poruczniku!

Tommy stanął na baczność.

– Przepraszam, sir – powiedział. – Byłem przekonany, że zakończyliśmy rozmowę.

Clark odczekał dobre pół minuty.

– To wszystko, poruczniku – oznajmił. – Zobaczymy się o dziesiątej. Stawcie się punktualnie.

Tommy odwrócił się znowu i szybko podszedł do czekającego strażnika. Podejmował ryzyko, lecz skalkulowane. Lepiej, jeżeli Clark wścieknie się na niego, bo wówczas nie będzie się koncentrował na Scotcie. Tommy westchnął głośno. Pomyślał, że sprawy nie mogły ułożyć się gorzej dla oskarżonego. Poczł ogarniające go zniechęcenie – zresztą nie po raz pierwszy od chwili znalezienia noża. Marzył, by mieć choćby mgliste pojęcie o tym, co powinien robić. – Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że dotychczas nie zrobił nic. Zdawał sobie przy tym sprawę, że jeżeli szybko nie opracuje jakiegoś sensownego planu, Lincoln Scott stanie przed niemieckim plutonem egzekucyjnym.

To się tak ładnie mówi – znaleźć prawdziwego zabójcę – ale nie wiedział, w jaki sposób się do tego zabrać. Zatęsknił do swoich prostych obowiązków nawigatora na

pokładzie „Lovely Lydii”. Odnaleźć znacznik, skorzystać z mapy, zanotować punkt orientacyjny, przeprowadzić nieskomplikowane obliczenia na suwaku, wziąć sekstans i obliczyć kąt, a następnie wykreślić właściwy kurs. Rozpoznać gwiazdy na niebie i odszukać drogę do domu. Tommy uważał, że to łatwe. W Stalagu Luft 13 miał przed sobą identyczne zadanie, chociaż nie był pewien, jakich przyrządów użyć do nawigacji. Szedł szybko. Czuł, jak ustępuje poranna wilgoć. To będzie jeszcze jeden dobry dzień na latanie – pomyślał w duchu. Chociaż w gruncie rzeczy to bez sensu. Znacznie lepiej przebudzić się podczas gęstej mgły, zawiei albo gwałtownej burzy, ponieważ jasny, pogodny, ciepły dzień przyniesie ludziom śmierć. Tommy miał wrażenie, że łatwiej pogodzić się ze śmiercią w dni pochmurne, zimne i wilgotne. Wtedy i duszy robi się chłodno.

Fritz Numer Jeden przestępował z nogi na nogę. Gestem zasygnalizował chęć zapalenia – ułożył palce w kształt litery V i przyłożył je do ust. Tommy dał mu dwa papierosy.

Niemiec zapalił jednego, a drugiego troskliwie ukrył w kieszeni na piersi.

– Dzisiaj, kiedy kapitan Bedford nie żyje, nie ma już tylu dobrych amerykańskich papierosów co dawniej – powiedział, odprowadzając smutnym wzrokiem dym unoszący się z rozżarzonego końca papierosa. Uśmiechnął się lekko. – Może powinienem to rzucić. Chyba lepiej się odzwyczaić niż palić ten tytoniowy erzac, jaki nam przydzielają.

Fritz Numer Jeden szedł z opuszczoną głową. Przypominał wysokiego, chudego psa, na którego właśnie nakrzyczał jego pan.

– Kapitan Bedford zawsze miał mnóstwo papierosów – ciągnął strażnik. – A przy tym był bardzo szczodry. Dbał o swoich przyjaciół.

Tommy przytaknął, nagle zaintrygowany słowami Niemca.

– Tak właśnie mówili jego koledzy z sypialni – powiedział.

I to niemal słowo w słowo, dodał w duchu.

– Czy wielu ludzi lubiło kapitana Bedforda? – zapytał Fritz.

– Na to wygląda.

Strażnik westchnął, nie zwalniając kroku.

– Nie jestem tego taki pewny, poruczniku Hart. Kapitan Bedford był bardzo przebiegły. Trader Vic to doskonałe przezwisko dla niego. Niektórzy ludzie są aż za bardzo sprytni. A nie wydaje mi się, aby spryciarze byli naprawdę tak lubiani, jak sami sądzą. Myślę też, że na wojnie nie jest dobrze być zbyt sprytnym.

– A to dlaczego, Fritz?

Strażnik mówił cicho, nie podnosząc głowy.

– Ponieważ na wojnie zdarza się mnóstwo pomyłek. Często giną nie ci, którzy powinni, zgadza się, poruczniku Hart? Dobry umiera, zły żyje dalej. Giną ludzie niewinni, a nie ci, którzy zawinili. Nie generałowie, tylko dzieci, takie jak moi mali kuzyni – słowa wartownika brzmiały surowo. – Jest tak wiele błędów, że aż czasem się zastanawiam, czy Pan Bóg naprawdę na to wszystko patrzy. Człowiek nie ma szansy uniknięcia wojennych pomyłek, choćby był nie wiadomo jak przebiegły.

– Czy uważasz śmierć Tradera Vica za pomyłkę? – zapytał Tommy.

Strażnik zaprzeczył.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć

– A co? – zapytał ostro Amerykanin.

Fritz Numer Jeden zatrzymał się. Podniósł głowę i przyglądał się Tommy'emu. Już, już miał udzielić odpowiedzi, ale spojrzał w bok – na budynek biurowy, gdzie mieścił się gabinet komendanta. Z otwartymi do połowy ustami, jak gdyby zbierał w gardle potrzebne słowa, pokręcił przecząco głową.

– Spóźnimy się – powiedział przez zaciśnięte zęby. Było to bez sensu, ponieważ nigdzie się nie spieszyli. Do inauguracyjnego posiedzenia sądu zostało jeszcze kilka godzin. Strażnik machnął ręką, jakby odpędzał natręta, pokazał ręką na obóz brytyjski i pogonił Tommy'ego w tamtym kierunku. Hart zdążył jednak zerknąć za siebie i zauważyć, że na schodach przed frontem biurowca stoją komendant Karl von Reiter oraz kapitan Heinrich Visser, pogrążeni w burzliwej rozmowie. Odnosiło się wrażenie, że lada moment zaczną na siebie wrzeszczeć z wściekłości.

Phillip Pryce i Hugh Renaday czekali na Tommy'ego tuż za wejściem do obozu brytyjskiego. Hugh, jak zawsze, krążył po terenie, co wyglądało, jak gdyby zataczał

koła wokół starszego oficera. Niecierpliwość Pryca przejawiała się tylko w uniesieniu brwi i lekkim skrzywieniu kącików ust. Chociaż poranek był słoneczny i zapowiadał się ciepły dzień, Phillip zarzucił na ramiona koc. Nadawało mu antyczny, prawie wiktoriański wygląd. Jego kaszel wydawał się niewrażliwy na uroki wiosennej pogody – suche, ostre odgłosy w dalszym ciągu służyły mimowolnemu podkreśleniu wagi wypowiedzianych słów.

– Tommy – odezwał się Pryce, widząc szybko zbliżającego się Amerykanina. – Porozmawiajmy sobie trochę na powietrzu w ten wspaniały poranek. Możemy spacerować i przy tym dyskutować. Ruch niekiedy służy pobudzaniu wyobraźni.

– Mam kolejne złe wiadomości, Phillipie – odrzekł Tommy.

– Ja zaś mam do przekazania coś ciekawego – wtrącił Hugh. – Ale najpierw wysłuchajmy ciebie, Tommy.

Zaczęli spacerować wokół obozu, tuż przy linii granicznej z drutu kolczastego i wznoszących się wysoko wież strażniczych. Tommy poinformował ich o odkryciu noża.

– Ktoś musiał go tam podrzucić – opowiadał. – Cały ten spektakl był wyreżyserowany jak karnawałowy pokaz iluzji. Hokus pokus i oto mamy mordercze narzędzie. Rzekome narzędzie zbrodni. Byłem też wściekły za sposób, w jaki Clark nakłonił Lincolna Scotta do zgody na przeszukanie. Oni z góry wiedzieli, że ten nóż tam się znajduje, jestem gotów założyć się o moje wojskowe ubezpieczenie. Odegrali scenkę z rzekomą rewizją tych kilku rzeczy Scotta, i oto jest! Bang! Odsuwają łóżko, znajdują obłuzowaną deskę. Scott pewnie nawet nie wiedział, że pod podłogą znajduje się schowek. Tylko starzy weterani obozowi wiedzą o takich miejscach. To przedstawienie było szyte tak grubymi nićmi...

– Owszem, ale też paskudnie skuteczne – wtrącił Pryce. – Nikt naturalnie nie zauważył tej przejrzystej intrygi, a wiadomość o znalezieniu narzędzia mordu przypuszczalnie jeszcze bardziej zatruje atmosferę. A także nada sprawie pozór całkowitej legalności. Tommy, pytanie oczywiście brzmi nie tyle, w jaki sposób ten nóż tam umieszczono, tylko dlaczego tak się stało. Być może odpowiedź na pytanie w jaki sposób doprowadzi nas do zrozumienia, dlaczego, chociaż często sprawdza

się także relacja odwrotna.

Tommy potrząsnął głową. Był nieco zakłopotany, ale mówił szybko, jakby chciał to ukryć. Nie zdążył jeszcze przeprowadzić logicznego wywodu.

– Nie znalazłem na to odpowiedzi, Phillipie, jeśli nie liczyć tej najbardziej oczywistej. Zrobiono to, aby zamknąć wszystkie luki, przez które Lincoln Scott mógłby się wydostać.

– Całkiem słusznie – odparł Pryce, gestykulując dyskretnie ręką. – Najciekawsze wydaje mi się to, że kolejny raz zostajemy postawieni w sytuacji niezwykłej. Czy zwróciłeś uwagę, Tommy, co dotychczas zdarzało się w związku z każdym aspektem tej sprawy?

– Co mianowicie?

– Różnice między prawdą a kłamstwem są bardzo delikatne i nieznaczące. Niemal niezauważalne...

– Mów dalej, Phillipie.

– Otóż z każdym nowym, ujawnionym dowodem Lincoln Scott jest stawiany w dziwacznej sytuacji. – Zmuszony jest przedstawić inne wytłumaczenie ujawnionego faktu. Wygląda to tak, jakby nasz młody, czarnoskóry lotnik musiał wszystko kontrować, mówiąc: „Poczekajcie, ja wam przedstawię inne rozsądne wytłumaczenie tego, tamtego i jeszcze czegoś innego”. Czy jednak pan Scott jest w stanie to uczynić?

– Oczywiście, że nie – mruknął Hugh. – Ja sam nie miałem trudności z zapędzeniem go w kozie róg, a przecież jestem po jego stronie. Wystarczy, żeby Clark powiedział: „Jeżeli nie ma pan nic do ukrycia ...”, a on już wskakuje w zastawioną pułapkę.

– Nie – wtrącił energicznie Tommy. – On jest bardzo inteligentny, zawsze nieco rozwścieczony, no i oczywiście bardzo zdecydowany. To urodzony wojownik, bokser, i, jak sądzę, człowiek przywykły do bezpośredniej konfrontacji. Nawet jeżeli wymaga ona gwałtownego starcia. To chyba kiepska kombinacja cech w przypadku oskarżonego.

– No właśnie, no właśnie – zgodził się Pryce, kiwając głową. – Czy to nie

sugeruje, by postawić jedno lub dwa pytania?

Tommy Hart zawahał się i powiedział z przekonaniem:

– No cóż, zginął człowiek, a oskarżony jest czarnym, nielubianym samotnikiem. Z tego powodu stał się idealnym kandydatem dla wszystkich zainteresowanych; istnieje też wiele trudnych do obalenia, świadczących przeciwko niemu dowodów.

– A zatem może mamy do czynienia ze zbrodnią doskonałą?

– Jak dotychczas, jest ona rzeczywiście doskonała.

– To powinno dać nam powód do zastanowienia. Z mojego doświadczenia wynika, że przestępstwa doskonałe to prawdziwa rzadkość.

– Musimy stworzyć mniej doskonały scenariusz.

– I dokąd nas to doprowadzi?

– Myślę, że do nowych kłopotów. – Tommy uśmiechnął się krzywo.

Anglik też się roześmiał.

– Tak, tak, na to wygląda. Choć ja nie jestem całkowicie przekonany. A niezależnie od tego, czy nie uważasz, że czas już zamienić niektóre nasze słabe strony w coś, co przyniesie korzyść? A zwłaszcza agresywny sposób bycia pana Scotta?

– Jasne, że tak. Ale jak to zrobić?

Pryce roześmiał się głośno.

– No cóż, mamy do czynienia z odwiecznym pytaniem. Tak samo dręczy ono prawnika jak i dowódcę armii. Ale teraz posłuchajmy przez chwilę Hugh.

Tommy odwrócił się do Kanadyjczyka, który z trudem powstrzymywał śmiech.

– Tommy, mam trochę dobrych wiadomości, tak rzadko zdarzających się w Stalagu Luft 13 i tak niecierpliwie przez nas wyglądanym – powiedział. – Odnalazłem człowieka, który badał zwłoki kapitana Bedforda w baraku medycznym, czyli dokładnie tam, gdzie przewidywałeś.

– Doskonale. Co on powiedział?

Hugh nadal się uśmiechał.

– Najciekawsze jest to, co powiedział. Stwierdził mianowicie, że od pułkownika MacNamary i majora Clarka otrzymał rozkaz przygotowania ciała Bedforda do

pochówku. Polecono mu przy tym, aby nie przeprowadzał jakiegokolwiek, nawet pobieżnej autopsji. Ale on po prostu nie mógł się pohamować. Wiesz, dlaczego? Ponieważ jest to młody człowiek, taki pistolet, gorąco krwisty porucznik, odznaczony medalem za odwagę w walce, który nie przepada za przyjmowaniem durnych poleceń, a do tego przypadkiem przepracował trzy lata w zakładzie pogrzebowym swego wujka w Cleveland w stanie Ohio, żeby zarobić na studia medyczne. Poszedł do wojska po ukończeniu zaledwie jednego semestru. Rozumiecie, przerabiał tylko anatomię ogólną, od której zaczyna się nauka w każdej szkole medycznej. I oto mamy zwłoki oraz chłopaka, którego postawę możemy określić mianem „akademickiej” ciekawości. No i takie zachwycające rzeczy jak rigor mortis oraz zasinienie.

– To wygląda nieźle, jak na razie.

– Ten chłopak zauważył coś niesłychanie intrygującego.

– A mianowicie?

– Przyczyną śmierci kapitana Bedforda nie było poderżnięcie gardła. Nie ma śladów krwotoku z przeciętej tętnicy szyjnej.

– Ale rana...

– Owszem, przyczyną zgonu była ta rana, lecz nie zadano jej w taki sposób... – Hugh zatrzymał się i ruchem ręki, trzymającej nóż, pokazał podrzynanie gardła. – Ani tak...

Tym razem stanął twarzą w twarz z Tommym i przeciął powietrze, tak jak dziecko bawiące się w walkę na miecze.

– Ale to oznacza...

– Tak samo pomyśleliśmy. Mniej lub bardziej dokładnie. Okazuje się, że nie. Nasz lekarz z przypadku uważa, że śmiertelny cios został zadany w taki sposób. Pozwól, pokażę ci...

Hugh zaszedł Tommy'ego od tyłu, objął prawą ręką za szyję, lokując mu pod brodą silnie umięśnione przedramię i uniósł go w powietrze, wykorzystując biodro jako dźwignię. W rezultacie Tommy niespodziewanie musiał stanąć na palcach. Jednocześnie Hugh wysunął lewą rękę, zaciśniętą na rzekomym nożu, i dźgnął

Tommy'ego z boku w szyję, tuż pod szczęką. Był to jeden szybki cios, nie tyle cięcie, ile raczej uderzenie fikcyjnym czubkiem klingi.

W końcu Kanadyjczyk postawił Tommy'ego na ziemi.

– Jezu – powiedział Amerykanin. – To tak się odbyło?

– Właśnie tak. Czy zwróciłeś uwagę, w której ręce trzymany był nóż?

– W lewej – uśmiechnął się Tommy. – A Lincoln Scott jest praworęczny. W każdym razie prawą ręką zaatakował Hugh. To rzeczywiście intrygujące, moi panowie. Intrygujące jak skurwysyn.

Uśmiechnęli się na to przekleństwo.

– A co z tym niedokończonym doktorem? Na czym opiera swój wniosek?

– Przede wszystkim na wielkości rany, a także na tym, że nie ma śladów otarcí wokół brzegów zranienia. Widzisz, rana przy rozcięciu ciała wygląda zupełnie inaczej niż dźgnięciu, nawet dla niezbyt wprawnego oka człowieka wykształconego tylko w połowie.

– I to wszystko zauważył student pierwszego roku medycyny?

Hugh znowu się uśmiechnął:

– To bardzo ciekawe w przypadku studenta medycyny. Zwłaszcza o tak nietypowej przeszłości.

Pryce również się uśmiechał.

– Powiedz mu o tym, Hugh. To po prostu zachwycające, Tommy. Prawie tak smaczne jak duży plaster pieczonej wołowiny i pokaźna porcja puddingu z Yorkshire.

– Brzmi zachęcająco. Strzelaj.

– Podczas pracy w zakładzie pogrzebowym nasz człowiek obsługiwał pochówki ofiar gangsterów z Cleveland. Wszystkich ludzi, których oni zabili. Wygląda na to, że w tym znakomitym mieście już przed wojną pojawiały się, nazwijmy to, kłopoty wynikające z konkurencyjnych interesów. Nasz doktor in spe widział zwłoki przynajmniej trzech mężczyzn z gardłem rozciętym w taki sam sposób. Ponieważ jest młodzieńcem dociekliwym, zapytał o to swojego wuja. Ten zaś wyjaśnił mu, że żaden profesjonalny zabójca nie poderżnie człowiekowi gardła. W żadnym

przypadku. Wtedy jest za dużo krwi, zbyt wielki nieporządek. Jedno i drugie jest mocno nieprzyjemne. W dodatku gość z podejrzanym gardłem często ma jeszcze dość energii, aby wydobyć duży pistolet kalibru trzydzieści osiem, który tak bardzo cenią sobie gangsterzy, i oddać kilka strzałów, co naturalnie jest zdecydowanie niepożądane z punktu widzenia usiłującego oddalić się zabójcy. Wobec tego wypracowano odmienny system. Uderza się w górę sztyletem o długim ostrzu, tak jak ci pokazałem. Takie pchnięcie powoduje przecięcie strun głosowych, kiedy ostrze kieruje się do mózgu i słychać najwyżej niewyraźne bulgotanie. Potem trzeba tylko lekko przekręcić nóż raz czy dwa, aby zrobić miazgę z szarych komórek, i zaatakowany pada na ziemię martwy. To czysta metoda. Prawie w ogóle nie ma krwi. Jeżeli dobrze się to robi, zamachowiec ryzykuje jedynie otarcie koszuli, gdy ostrze przejdzie nad ramieniem unoszącym ofiarę do góry.

– A do tego rana zostaje zadana... – wtrącił szybko Tommy.

– ...od tyłu – pospieszył mu z pomocą Hugh. – A nie z przodu. Innymi słowy...

– ...to było zabójstwo, a nie śmierć w walce – włączył się Amerykanin. – Podstępny atak, a nie konfrontacja. Ze sztyletem jako narzędziem zbrodni. Ciekawe.

– No właśnie – roześmiał się cicho Hugh. – Zapowiadałem, że mam dobre wiadomości. O Lincolnie Scotcie można powiedzieć niejedno, ale on nie wygląda na mordercę uderzającego z tyłu.

Pryce słuchał, przytakując.

– Ten sposób zabijania ma jeszcze jeden ciekawy aspekt – dorzucił.

– Mianowicie jaki? – zapytał Tommy.

– Identycznej metody uciszania ludzi uczą się w brygadach komandosów Jego Królewskiej Mości. Czysto, cicho, skutecznie i szybko. Pewnie tak samo szkoli się ludzi w formacjach amerykańskich rangersów, a może też w innych waszych tajnych służbach.

– Skąd o tym wiesz, Phillipie?

Pryce zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi:

– Mam pewną orientację w sposobach walki komandosów.

Tommy odwrócił się do wątlęgo adwokata.

– Phillipie, patrząc na ciebie, trudno przypuścić, że byłeś komandosem – powiedział, śmiejąc się. Kiedy jednak Pryce popatrzył na niego, śmiech ucichł. Hart zauważył, że twarz przyjaciela nagle się zmieniła, poszarzała i przybrała wyraz bólu, płynącego z głębi serca.

– Nie chodzi o mnie. – Pryce zająknął się lekko. – Komandosem był mój syn.

– Masz syna? – zapytał Tommy.

– Phillipie, nigdy o tym nie wspominałeś... – powiedział Hugh.

Pryce uniósł rękę, jak gdyby chciał powstrzymać dalsze pytania. Przez moment wydawał się blady, aż przezroczysty. Jego skóra przybrała niezdrowy, żółtoszary odcień. Zrobił krok w ich kierunku, lecz zachwiał się – Tommy i Hugh wyciągnęli rękę, aby go podtrzymać. Phillip ponownie podniósł dłoń, a potem niespodziewanie usiadł na zakurzonej ścieżce. Pełnym żalu wzrokiem spojrzął na młodych lotników i powiedział powoli, ze smutkiem:

– Moi drodzy, Tommy, Hugh, miałem syna, Phillipa juniora.

W kącikach oczu podpułkownika pojawiły się łzy, a głos brzmiał jak pękająca skóra. Uśmiechnął się jednak, jak gdyby jego wielki smutek był także na swój sposób zabawny.

– Podejrzewam, Hugh, że właśnie z tego powodu znalazłem się tutaj – powiedział.

– Phillipie, proszę... – Hugh pochylił się nad przyjacielem.

– Nie, nie – Pryce potrząsnął głową. – W gruncie rzeczy powinienem wam o tym powiedzieć już dawno temu. Ale coś mnie powstrzymywało, rozumiecie: trzymać fason, nic nie dać po sobie poznać i tak dalej. Nie chciałem być dla was większym ciężarem, niż jestem...

– Nie jesteś żadnym ciężarem – powiedział Tommy. Usiedli z Hugh na ziemi obok przyjaciela. Anglik patrzył na świat położony za drutami i zaczął opowiadać:

– Moja Elizabeth zginęła na samym początku wojny. Prosiłem, żeby wyjechała na prowincję, ale była uparta. Rozumiecie, w taki uroczy sposób, że właśnie za to ją kochałem. Niczego się nie bała i ani przez chwilę nie zamierzała dopuścić do tego, by jakiś mały austriacki kapral wypędził ją z własnego domu, choćby wysłał nie wiadomo ile bombowców. Mówiłem jej, żeby schodziła do schronu, kiedy rozlegają

się syreny, ale ona czasem wolała przeczekać nalot w piwnicy. Nasz dom został bezpośrednio trafiony dwustukilogramową bombą. Przynajmniej nie cierpiała...

– Phillipie, nie musisz... – powiedział Hugh, lecz Anglik tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową.

– Tak oto zostaliśmy sami, Phillip junior i ja. On zdążył się już zaciągnąć do armii. Miał dziewiętnaście lat i został oficerem w Black Watch. Rozumiecie, spódniczki, skrzeczące kobzy, które Szkoci nazywają muzyką, staroświeckie miecze i cała ta tradycja. Jego matka była Szkotką, chyba był jej to winien. Black Watch, klany Fergus i McDiarmid. Twardzi ludzie. Wyszkoleni komandos, walczyli w Dieppe i St. Nazaire. Phillip junior przyjeżdżał na urlop do domu i pokazywał mi co bardziej egzotyczne techniki walki, jakich go nauczono, w tym sposób na uciszenie strażnika taki, z jakim mieliśmy do czynienia tutaj. Powtarzał, że ich instruktor, niski, żylasty, rudowłosy Szkot, który mówił tak niewyraźnie, że ledwie go było można zrozumieć, kończył lekcje zabijania ostrzeżeniem: „Pamiętajcie, panowie – zawsze należy być schludnym”. Phillip junior bardzo lubił to porzekadło. „Rób to schludnie” – powtarzał, kiedy kroilem mięso przy obiedzie. Śmiał się przy tym. To był wspaniały śmiech, chłopcy. Taki głośny, niepowstrzymany. Na początku mruczał niby gotujący się wulkan, a potem wybuchał. On uwielbiał się śmiać. Nawet gdy grał w rugby w szkole publicznej i ciekła mu z nosa krew, był zawsze roześmiany. Sądziłem, że po śmierci matki nie będzie już w nim takiej radości życia, ale mimo całego smutku i żalu to w nim pozostało. Cieszył się każdym oddechem, każdym haustem powietrza. To rodziło wzajemność, inni też go kochali. Nie tylko ja, nudny, zramolały ojciec, ale i wszyscy koledzy ze szkoły i młode damy na spotkaniach towarzyskich, później także jego podwładni. Wszyscy uważali go za otwartego, błyskotliwego i godnego zaufania. Dziecko zmieniało się w mężczyznę. Wydawał się z każdą minutą coraz potężniejszy. Byłem zachwycony, widząc, co oferuje mu świat.

Pryce odetchnął głęboko.

– Wiecie, u komandosów obowiązywała taka reguła. Jeśli człowiek został ranny w akcji na szwabskich tyłach, zostawiano go. To bardzo wredna zasada, chociaż

rozsądna, jak przypuszczam. Grupa zawsze bardziej się liczy niż jednostka. Cel i zadanie są ważniejsze niż jakikolwiek człowiek, niż czyjekolwiek życie.

Słowa uwięzły mu w gardle.

– To jednak nie było w stylu mojego chłopca – ciągnął dalej po chwili. – Nie dla Phillipa juniora. On był za bardzo lojalny. Przyjaciół nigdy nie porzuca przyjaciół, choćby nie wiedzieć jakie okropne rzeczy się działy – on po prostu taki był. Przyjazny wobec wszystkich.

Hugh także zapatrzył się na świat za drutami. Wzrok miał nostalgiczny, jakby za drzewami na skraju bawarskiego lasu widział ojczyste prerie.

– Co się wydarzyło, Phillipie? – zapytał cicho.

– Jego kapitan dostał trzy kule w nogę – prawie mu ją urwało, a Phillip nie chciał go zostawić. To było w Afryce Północnej, niedaleko Tobruku, w tym bałaganie, jaki stworzyli do spółki Rommel i Montgomery. No i mój syn niósł swego dowódcę osiemnaście kilometrów po tej cholernej, rozpalonej pustyni. Ze wszystkich stron otaczały ich oddziały Afrika Korps, mieli je tuż za plecami. Kapitan chciał sam się zastrzelić, rozkazywał Phillipowi, żeby go zostawił, lecz ten naturalnie nie zgodził się. Maszerowali cały dzień i większą część nocy. Kiedy znaleźli się zaledwie o dwieście metrów od linii brytyjskich, oddał rannego dowódcę swoim ludziom. W nocy cały rejon patrolowali Niemcy, pozycje się zmieniały, więc nikt nigdy nie wiedział, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. To było bardzo niebezpieczne. W takich warunkach łatwo dostać postrzał z jednej i drugiej strony. Phillip wysłał przodem żołnierzy niosących kapitana, a sam został z tyłu, by ochraniać ich w marszu. – Miał brena i parę granatów. Obiecał, że zaraz ich dogoni. Tamci doszli do swoich, a Phillip nie. Dokładnie nie wiadomo, co tam się stało. Oficjalnie uznano go za zaginionego w czasie akcji, rozumiecie, nie za zabitego, ale ja oczywiście wiem, jaka jest prawda. Dostałem list od tego kapitana. Nawiasem mówiąc, bardzo miły facet, naukowiec z Oksfordu, gdzie przed wojną wykładał łacinę i grekę. Poinformował mnie, że w miejscu, w którym Phillip się zatrzymał, słychać było eksplozje i ogień z broni maszynowej. Twierdził, że Phillip musiał bardzo dzielnie się bronić, ponieważ strzelanina trwała dłużej niż trzeba, Wytrzymał dłużej niż trzeba,

żeby jego oddział znalazł bezpieczne schronienie. To musiał być Phillip. On by chętnie oddał życie za innych, ale nie oddałby go tanio. Na pewno nie. Potrzebnych było wiele tych szwabskich sukinsynów, żeby go zabić. Kapitan stracił nogę, lecz uszedł z życiem, ponieważ mój chłopak wyniósł go w bezpieczne miejsce. Przedstawili Phillipa do odznaczenia Krzyżem Victorii. A on stracił życie.

Pryce pokręcił głową.

– Cudowny był ten mój syn. Wspaniały, kochany, piękny. Znakomicie biegał. Mógł biegać bez końca. Widywałem go na boisku, kiedy był młodszy. Pod koniec meczu wszyscy byli zasapani i ledwo ciągnęli za sobą nogi, a on sobie w najlepsze galopował, roześmiany, nigdy nie zmęczony. Sprawiało mu to ogromną przyjemność. Myślę, że tak to właśnie odczuwał, do samego końca, gdy ci dranie otaczali go, a jemu kończyła się amunicja. Hugh, tego dnia, kiedy otrzymałem list od kapitana, zgasła we mnie wszelka nadzieja i myślałem już tylko o jednym: żeby zabijać Niemców. Zabijać szkopów i zginąć samemu. Zabijać z zemsty za to, że oni zabili wszystkich, których kochałem. Dlatego zabrałem się z tobą blenheimem. A strzelec, którego zastępowałem? W rzeczywistości wcale nie był chory. Zgodnie z moim rozkazem ustąpił mi miejsca przy obsłudze karabinu maszynowego. Tylko w ten sposób umiem zabijać tych sukinsynów.

Pryce westchnął głośno, podniósł rękę do twarzy i delikatnie dotknął łez spływających po policzku. Przeniósł wzrok na Tommy'ego i Hugh.

– Pod wieloma względami przypominacie mi Phillipa, chłopcy. On był wysoki i pilny jak ty, Tommy, ale też silny i wysportowany jak ty, Hugh. Tylko niech teraz, do ciężkiej cholery, żaden z was nie zginie. Zrozumcie, tego bym nie potrafił znieść.

Phillip Pryce odetchnął głęboko i otarł łzy rękawem bluzy.

– Wydaje mi się – powiedział powoli, co chwila wciągając powietrze – że mojemu biednemu, rozdartemu i złamanemu sercu dobrze by zrobiło, gdybym mógł oglądać młodego, niewinnego pana Scotta przy życiu. Wobec tego skoncentrujmy uwagę na czekającym nas tego ranka przesłuchaniu.

Lincoln Scott siedział na brzegu pryczy w pustym pokoju, kiedy wszedł Tommy

w towarzystwie Hugh i Phillipa Pryce'a. Dochodziła dziesiąta rano. Czarnoskóry pilot trzymał na kolanach zamkniętą Biblię, jak gdyby zawarte w niej słowa emanowały przez zniszczoną oprawę i przenikały do jego serca przez dłonie i rękę. Scott podniósł się na ich widok, skinął głową Tommy'emu i Hugh i ze zdziwieniem spojrzął na Pryce'a.

– Kolejny pomocnik z Wysp Brytyjskich? – zapytał.

Pryce podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

– Właśnie tak, mój chłopcze. Dokładnie tak. Nazywam się Phillip Pryce.

Scott mocno uściśnął dłoń Anglika i uśmiechnął się, jakby usłyszał dobry dowcip.

– Coś pana bawi? – zapytał Pryce.

– Można tak powiedzieć – odrzekł, pochylając głowę.

– A cóż to takiego?

– Nie jestem pańskim chłopcem – powiedział Scott.

– Słucham?

– Pan powiedział: „Właśnie tak, mój chłopcze” ... No więc mówię, że nie jestem pańskim chłopcem. Nie jestem niczym chłopcem. Jestem mężczyzną.

Pryce przechylił głowę na bok.

– Nie wydaje mi się, żebym dokładnie rozumiał...

– Chodzi mi o słowo „chłopiec”. Kiedy nazywa pan Murzyna chłopcem, ma to wydźwięk pejoratywny. Tak w przeszłości mawiano do niewolników. Tak też nazywał mnie kapitan Bedford, usiłując mi zaleźć za skórę – tłumaczył Scott spokojnie, ostrym zimnym głosem, znanym już Tommy'emu z wcześniejszych rozmów. – Oczywiście, nie był to pierwszy biały śmieć z Południa, który mnie w ten sposób obraził i na pewno nie ostatni. W każdym razie nie jestem pańskim ani niczym chłopcem. To słowo jest obraźliwe. Nie wiedział pan o tym?

Pryce uśmiechnął się.

– To bardzo intrygujące – powiedział z niekłamanym entuzjazmem. – Słowo, które w moim kraju uchodzi za skromny wyraz przyjaznego nastawienia dla pana Scotta, w kontekście jego doświadczeń ma najzupełniej odmienną konotację. Proszę mi powiedzieć, poruczniku Scott, czy w powszechnie używanej angielszczyźnie są

też inne słowa o tak rozbieżnym znaczeniu, na które powinienem zwrócić uwagę?

Scott był zaskoczony odpowiedzią Pryce'a.

– Nie jestem pewien – odparł.

– Jeżeli coś się panu przypomni, proszę dać mi znać. Rozmawiając z młodym Tommym, zastanawiam się nieraz, że kilkaset lat temu popełniliśmy wielki błąd, bo pozwoliliśmy wam, Amerykanom, przywłaszczyć sobie nasz wspaniały język. Nigdy nie powinniśmy się nim dzielić z wami, awanturnikami i nieudacznikami – ciągnął Pryce wesoło.

– A dlaczego pan się tu znalazł? – przerwał ostro Scott.

– A więc, mój drogi... – Pryce przerwał w tym miejscu. – Mój drogi młodzieńcze? Czy taka forma jest do przyjęcia, poruczniku?

Scott wyraził zgodę wzruszeniem ramion.

– Jestem tutaj, by za kulisami zaoferować swoją pomoc i doświadczenie. Poza tym chciałem pana poznać, zanim uda się pan na dzisiejsze przesłuchanie.

– Czy pan też jest adwokatem?

– Tak jest, poruczniku.

Scott spojrzał na niego podejrzliwie, jak gdyby nie dowierzał stojącemu przed nim wąłemu mężczyźnie.

– I chce mnie pan sobie obejrzyć? Tak jak ogląda się kawałek mięsa albo karnawałowego błazna? Co pan chciał tutaj zobaczyć? – wyrzucał z siebie słowa ostrym, gniewnym głosem.

Zachowujący wciąż dobry nastrój, Pryce zawahał się na moment, a potem obrzucił czarnego lotnika przenikliwym spojrzeniem.

– Spodziewałem się tylko jednego, poruczniku – powiedział spokojnie.

– Czego mianowicie? – zapytał Scott lekko podniesionym tonem.

Tommy zauważył, że zaciśnięte na Biblii palce zbieleły.

– Niewinności – odparł Pryce.

Scott głęboko odetchnął.

– A jak pan może to zobaczyć, panie Pryce? Czy niewinność to coś takiego jak kurtka lotnicza, którą zakłada się rano, bo jest chłodno? Czy widać ją w oczach,

wyrazie twarzy, czy też w sposobie stawania na baczność? Czy wskazują na to maniery? A może uśmiech? Niech mi pan powie, jak nosi się cechę niewinności. Chciałbym to wiedzieć. W mojej sytuacji to mogłoby okazać się pomocne.

Pryce robił wrażenie zachwyconego pytaniami, lecącymi w jego kierunku niczym kule karabinowe.

– Niewinność wykazuje się, nie starając się udawać kogoś, kim się nie jest – odpowiedział.

– No to nie powinien pan mieć problemów – wtrącił Scott – bo ja właśnie tak się zachowuję.

– Być może. Czy pan jest bez przerwy rozgniewany, poruczniku? Czy zawsze warczy pan na ludzi, którzy starają się panu pomóc?

– Nie. Tak – burknął czarnoskóry pilot. – Jestem, jaki jestem. I takim trzeba mnie przyjmować.

– A, to z pewnością amerykańska postawa.

– Jestem Amerykaninem. Czarnoskórym Amerykaninem.

– No to może rozsądnie byłoby – odezwał się Pryce, wskazując na Tommy'ego – uwierzyć rodakowi, który stara się panu pomóc.

Oczy Scotta zwięzły się; skupił ostre spojrzenie na postaci Brytyjczyka.

– Podczas gdy reszta moich amerykańskich rodaków usiłuje mnie zabić? – zapytał z szyderstwem. – Nauczyłem się, że zaufanie to coś, co najlepiej zachować dla ludzi zasługujących na nie, a nie dla tych, którzy o to proszą. To się rodzi w ekstremalnych warunkach. W powietrzu, gdy leci się skrzydło w skrzydło w porywistym, bocznym wietrze, albo się nurkuje, przebijając się przez grupę messerschmittów. Niełatwo je zdobyć, ale gdy już do tego dojdzie, trudno je stracić.

Pryce roześmiał się na cały głos.

– Bardzo słusznie! – powiedział. – Ma pan absolutną rację. – Porucznik jest także filozofem. Nie wspominaliście mi o tym – dodał, zwracając się do Tommy'ego i Hugh'a.

Scott najwidoczniej nie miał pojęcia, co myśleć o tym cherlawym, wyniszczonym brytyjskim dżentelmenie, który śmiał się, kasłał, sapał i najwyraźniej był

zachwycony przebiegiem toczącej się rozmowy.

– Czy pan jest prawnikiem? – zapytał z niedowierzaniem.

Pryce szybko odwrócił się i patrzył na Scotta przez kilka sekund. Wreszcie odpowiedział mu poważnym, zdecydowanym tonem:

– Owszem, jestem prawnikiem, i to z pewnością najlepszym, na jakiego może pan trafić. A oto, co proponuję na dzisiejszą sesję. Tommy, proszę o pilną uwagę.

Scott wydawał się nieprzekonany, ale w miarę jak angielski podpułkownik kontynuował swoją wypowiedź, z aprobatą potakiwał głową. Tommy i Hugh przysunęli się bliżej. Pryce mówił cicho, otoczony ciasnym wianuszkiem słuchających go mężczyzn.

Teatr Stalagu Luft 13 mieścił się w centrum obozu, tuż obok baraku, do którego dostarczano paczki z Czerwonego Krzyża i pocztę oraz w sąsiedztwie baraku medycznego. Był to niski budynek, trochę szerszy od baraków mieszkalnych, bardzo gorący latem, a zimą przeraźliwie chłodny. Każdy zapowiadany spektakl gromadził tłumy jeńców – czy to chodziło o występ obozowego jazzbandu, czy o przedstawienie pod tytułem *Pierwsza strona*, zainscenizowane na podwyższeniu, przy świetle reflektorów wykonanych z puszek po konserwach, w których umieszczano kapiące świece. Od czasu do czasu, ku zachwytowi jeńców, pokazywano tam niemieckie kroniki propagandowe albo film fabularny o szczęśliwych, rozśpiewanych bawarskich dziewczynach, wyświetlany na starym, często zrywającym taśmę projektorze. Najlepsze miejsca w pierwszym rzędzie zrobiono z pozostałości po drewnianych skrzynkach. Inne siedziska zbito z prostych desek w kształcie ławek, bardzo zresztą niewygodnych. Niektórzy widzowie siadali na przyniesionych kocach i opierali plecy o cienkie, drewniane ściany.

Kiedy Tommy Hart wszedł do środka przez szerokie, podwójne drzwi, jego zegarek, tak pożądanym przez Vincenta Bedforda, wskazywał punktualnie godzinę dziesiątą. Obok niego szli: po jednej stronie Hugh Renaday, po drugiej Lincoln Scott. Szli równym krokiem, z ramionami odciągniętymi do tyłu, w wyprasowanych i wyczyszczonych mundurach. Uderzenia wojskowych butów o drewnianą podłogę

rozbrzmiewały w precyzyjnie odmierzonych odstępach. Maszerowali głównym przejściem niczym gwardziści na paradzie – szybki krok, oczy utkwione prosto przed siebie, idealnie zachowane odstępy i zgrane ruchy.

Na widowni wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie tłoczyli się po kątach, wypełniali każdy skrawek przestrzeni, wyciągali szyje, by lepiej widzieć. Nie wszyscy zmieścili się w środku – na zewnątrz grupki lotników stały przy otwartych oknach. Gdy oskarżony i jego dwóch obrońców przechodzili przez salę, głowy jeńców zafalowały jak przewracające się kamienie domina. Miejsce dla oskarżycieli, obrony i świadków zbudowano u podnóża sceny. Składało się z dwóch wąskich stołów stojących naprzeciwko siebie. Dłuższy stół i trzy krzesła ustawiono dla trybunału na środku podwyższenia. Na krzesłach tych siedzieli starsi oficerowie z obozu, a środkowe miejsce zajmował Lewis MacNamara. W ręce trzymał drewniany młotek. Major Clark w towarzystwie oficera, którego Tommy zauważył poprzedniego wieczoru, siedział już za stołem oskarżyciela. Na przodzie sceny, z boku, zasiadł kapitan Heinrich Visser ze stenografem. Odchylił się na drewnianym krześle i oparł plecami o ścianę, z miną wskazującą na umiarkowane rozbawienie. Jeńcy zostawili im nieco miejsca, więc Visser i stenograf, ubrani w stalowoszare mundury, wyróżniali się w morzu wełnianych oliwkowych bluz i brązowych skór, noszonych przez amerykańskich lotników.

Kiedy Tommy, Hugh i Scott miarowym krokiem szli do swoich miejsc, szumiąca niczym ul sala ucichła. W milczeniu usiedli za stołem, tylko Tommy stał nadal, wpatrując się w pułkownika MacNamare. W jednej ręce trzymał kilka prawniczych dokumentów, w drugiej notatnik. Położył te papiery na stole z głośnym hukiem, który zabrzmiał jak daleki wystrzał z moździerza.

Pułkownik MacNamara spojrział na przybyłych, taksując ich wzrokiem, po czym zapytał:

- Czy jest pan gotów, poruczniku?
- Tak jest – potwierdził Tommy. – Czy pan ma zamiar przewodniczyć, panie pułkowniku?
- Owszem. To mój obowiązek, jako starszego oficera amerykańskiego...

– Zgłaszam sprzeciw! – oznajmił donośnie Tommy.

– Sprzeciw? – MacNamara patrzył na niego zdziwiony.

– Tak jest. Istnieje możliwość, że zostanie pan wezwany na świadka w tej sprawie, a to będzie kolidowało z pańską zdolnością do wykonywania funkcji przewodniczącego.

– Na świadka? – MacNamara robił wrażenie zaskoczonego i nieco rozgniewanego. – Jak to?

Zanim Tommy miał czas odpowiedzieć, poderwał się major Clark.

– To nie ma sensu! Pułkowniku, z racji funkcji komendanta amerykańskiego obozu na panu spoczywa obowiązek przewodniczenia temu procesowi. Nie wiem też, jakie zeznanie mógłby pan złożyć...

– Obrona w sprawie zagrożonej karą śmierci powinna mieć jak największą swobodę w prezentowaniu dowodów, wszelkiego rodzaju dowodów, które jej zdaniem mogą pomóc oskarżonemu. Każde ograniczenie w tej dziedzinie byłoby nieuczciwe, niezgodne z konstytucją i bardziej odpowiednie dla zbirów w wysokich butach, z którymi wojujemy, niż dla urodzonych w wolnym kraju Amerykanów.

Na zakończenie Tommy wskazał ręką w kierunku Hauptmanna Vissera i jego stenografa, który szybko stawiał znaczki w swoim notesie, choć czoło wyraźnie mu poczerwieniało. Visser raptownie opuścił krzesło na cztery nogi, co spowodowało dwa głośne stuknięcia przypominające dwa wystrzały, jeden po drugim. Przez chwilę robił wrażenie, że zamierza zerwać się na równe nogi, ale nie zrobił tego. Nadal patrzył prosto przed siebie i palił papierosa.

MacNamara podniósł rękę.

– Ma pan rację, nie będę ograniczał obrony. A jeśli chodzi o moje ewentualne zeznania, no cóż, to się zobaczy. Kiedy już do tego dojdzie, rozwiążemy ten problem.

Mówiąc to, lekko skinął głową w kierunku Vissera.

Tommy zgodził się z tym. Usłyszał za plecami czyjeś niewyraźne słowa, szybko uciszone przez innych. Ludzie chcieli dobrze słyszeć.

MacNamara mówił dalej:

– Dziś odbędą się tylko wystąpienia stron. Poruczniku, zgodnie z pańskim życzeniem major Clark sporządził listę świadków oraz dowodów. A teraz zaczynamy, proszę.

Major Clark zwrócił się do Tommy'ego, wskazując na siedzącego obok oficera:

– Poruczniku, oto kapitan Walker Townsend. Będzie mi pomagał.

Kapitan Townsend, szczupły, wysportowany mężczyzna z cienkim wąsikiem i rzadziejymi włosami koloru piasku, uniósł się lekko i pochylił głowę w kierunku trzech mężczyzn siedzących za stołem obrony. Tommy'emu wydawało się, że miał niewiele ponad trzydzieści lat.

– Będzie odpowiedzialny za świadków i dowody. Za jego pośrednictwem może pan poczynić niezbędne kroki – ciągnął major Clark urywanym głosem wojskowego służbisty. – Panie pułkowniku, sądzę, że w tej sprawie wyjaśniliśmy już wszystko. Możemy więc przejść do wysłuchania oświadczeń.

MacNamara zawahał się na moment, a potem przemówił donośnym, przenikliwym głosem:

– Poruczniku Lincolnie Scotcie, jest pan oskarżony o zamordowanie z premedytacją kapitana Vincenta Bedforda. Czy przyznaje się pan do winy?

Scott podniósł się błyskawicznie, ale dopiero po kilku sekundach powiedział donośnym, zdecydowanym głosem:

– Sir! Jestem niewinny, Wysoki Sądzie!

MacNamara chciał na to zareagować, lecz Scott zmusił go do milczenia, tak samo jak pozostałych. Odwrócił się trochę w kierunku publiczności. Mówił podobnie jak jego ojciec, kaznodzieja, głosem dominującym nad audytorium:

– Prawdą jest, że gardziłem kapitanem Vincentem Bedfordem. Po moim przybyciu do obozu od pierwszej chwili traktował mnie jak psa. Gorzej niż psa! Obrażał mnie, kąsał, obrzucał obscenicznymi, nienawistnymi epitetami. Był skrajnym rasistą i nienawidził mnie tak samo, jak ja jego znienawidziłem. Chciał mojej śmierci od momentu, kiedy się tu pojawiłem! Wszyscy wiedzą, jak zamierzał doprowadzić do mojej śmierci, przez nakłanianie mnie do przekroczenia granicy przy ogrodzeniu obozu. Ale ja nie zrobiłem nic! Każdy inny jeniec zostałby

usprawiedliwiony za bójkę z Vincentem Bedfordem, a może nawet zabicie go za to, co usiłował zrobić! Jednak ja nic nie zrobiłem.

Major Clark poderwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, by zwrócić na siebie uwagę sądu. Wykrzykiwał: „Sprzeciw! Sprzeciw!”, ale głos Scotta był bardziej donośny.

– Przyjechałem tu zabijać Niemców! – krzyknął porucznik. Zrobił zwrot i wskazał palcem Vissera. – Takich Niemców jak on!

Twarz niemieckiego oficera zbladła. Wypuścił papierosa z ręki i rozdeptał go na podłodze. Uniósł się lekko na krześle i z powrotem na nie opadł. Obrzucił czarnoskórego lotnika wzrokiem pełnym nienawiści. Scott odpowiedział równie twardym spojrzeniem.

– Być może niektórzy ludzie w tym obozie zapomnieli, dlaczego się tu znaleźliśmy – oświadczył głośno i wyraźnie, spoglądając na MacNamare, Clarka, a w końcu na zgromadzonych jeńców. – Ale ja o tym pamiętam!

Tu zrobił przerwę – audytorium pograżyło się w głębokiej ciszy.

– Miałem spore sukcesy w zabijaniu wrogów! Na kadłubie mojego samolotu wymalowano dziewięć swastyk, zanim mnie zestrzelili – Scott spojrzął na słuchających go jeńców. – Zresztą nie ja jeden. I dlatego się tutaj znajduję!

Kiedy znów przerwał, żeby odetchnąć, ostatnie słowa odbiły się w sali głośnym echem.

– Ale ktoś w Stalagu Luft 13 ma na myśli coś innego! I to właśnie on zabił Vincenta Bedforda...

Scott wyprostował się jeszcze bardziej i wyciągnął przed siebie rękę.

– To może być ten, tamten albo siedzący obok... – ciągnął, wskazując palcem poszczególnych jeńców i przyglądając się im. – Ja nie wiem, dlaczego Vincent Bedford został zabity... ale mam zamiar się tego dowiedzieć! – dokończył podniesionym głosem.

Następnie zwrócił się do MacNamary, który poczerwieniał podczas przemowy czarnego pilota. Teraz wydawało się, że pułkownik już opanował gniew.

– Pułkowniku, jestem niewinny. Nie ponoszę żadnej winy! Ani odrobinę!

Po tych słowach szybko zajął miejsce za stołem.

Sala nagle zahuczała. Ludzie rozmawiali pospiesznie, podnieconymi głosami. Jeńcy reagowali na wystąpienie Lincolna Scotta. Pułkownik pozwolił im hałasować przez jakiś czas, a potem zaczął walić młotkiem w leżący przed nim kawałek drewna i wzywać do zachowania spokoju.

– Dobra robota – szepnął Tommy do ucha oskarżonego.

– Będą mieli o czym myśleć – odparł Scott. Hugh usiłował ukryć uśmiech.

– Cisza! – krzyknął MacNamara.

Szum zaczął cichnąć równie szybko, jak się podniósł. Po chwili słychać już było tylko uderzenia drewnianego młotka. Tommy wykorzystał chwilową przerwę i szybko podniósł się z krzesła. Skinął dyskretnie na Scotta i Renadaya. Oni też wstali. Wszyscy stuknęli obcasami, stając na baczność.

– Sir! – zawołał Tommy, starając się wydobyć z piersi stentorowy głos. – Obrona będzie gotowa do dalszego udziału w procesie o godzinie ósmej zero zero w poniedziałek, bezpośrednio po porannym apelu!

Trzej oficerowie zasalutowali równocześnie. MacNamara skinął głową bez słowa i uniół dwa palce do czoła, oddając salut. Oskarżony i jego dwaj obrońcy zrobili zwrot i opuścili miejsce sądu w takim samym szyku, w jakim tu przyszli. W głębokiej ciszy rozlegały się ich głośne kroki na drewnianej podłodze. Tommy zauważył na twarzach stłoczonych w teatrze jeńców wyraz zaskoczenia, zmieszania i wątpliwości. Dzisiejsze wystąpienie miało na celu wywołanie właśnie takiego uczucia. Przewidział również zachowanie majora Clarka, którego twarz skamieniała ze złości i bardziej umiarkowaną reakcją pułkownika MacNamary. Zaskoczył go jedynie wyrażający zachwyty uśmiech na twarzy Walkera Townsenda, asystenta Clarka. Kapitan Townsend wydawał się dziwnie ożywiony, jak gdyby usłyszał wspaniałą nowinę, podczas gdy, zdaniem Harta, wydarzyło się coś wręcz przeciwnego.

Szedł i drżał na całym ciele – miał wrażenie, że serce przeszło mu zimne ostrze, przypominające pierwszy haust mroźnego powietrza w rodzinnym Vermoncie. Gdzieś w tej sali, naprzeciw niego, znajdował się prawdziwy sprawca śmierci

Vincenta Bedforda. A ten człowiek z pewnością nie był entuzjastycznie nastawiony do groźby, rzuconej publicznie przez Lincolna Scotta.

Może próbować coś zrobić również i w tej sprawie.

Nie zmieniając postawy, z wyprostowaną głową Tommy otworzył drzwi baraku i wyszedł na zalane słońcem podwórze. Był ciepły, piękny wiosenny dzień. Zatrzymał się i odetchnął głęboko, wciągając do płuc smrodliwe powietrze otoczonego drutem kolczastym więzienia.

7. Mysia ruletka

Po przesłuchaniu zostawili Lincolna w jego sypialni. Czarnoskóry lotnik był podekscytowany poranną sesją. Pożegnał się uściskiem dłoni z Tommym Hartem i Hugh Renadayem, a później położył się na podłodze i energicznie zaczął ćwiczyć pompki. Postanowili, że spotkają się jeszcze raz, po południu, żeby zaplanować następne posunięcie. Tommy i Hugh opuścili oskarżonego, gdy w narożniku pokoju wymieniał ciosy z wyimaginowanymi przeciwnikami, w jasnym świetle dnia, przenikającym przez okna do ciemnego baraku wypuszczał szybkie lewe proste i szerokie prawe haki.

Hugh zauważył wężącego koło baraku sto pięć szperacza – Niemiec sprawdzał ziemię w małym ogródku. Zażądał trzech papierosów za odprowadzenie ich do brytyjskiego obozu, gdzie zamierzali poinformować Phillipa Pryce'a o porannym posiedzeniu sądu. Tommy wynegocjował obniżenie ceny do dwóch papierosów i szybkim krokiem ruszyli przez boisko w kierunku bramy. Zaczynał się mecz baseballu, a w pobliżu grupa jeńców wykonywała ćwiczenia gimnastyczne. Kiedy przechodzili obok nich, sportowcy zrobili sobie krótką przerwę – nie stanęli, tylko zwolnili tempo, dając do zrozumienia, że ich zauważyli. Tommy przygotował się na wyzwiska, lecz nie padło ani jedno słowo, nie było żadnych przekleństw, epitetów ani kocię muzyki.

Uznał to za dobry znak. Jeżeli udało się im zasiać ziarno wątpliwości w sercach jeńców, dzięki zdecydowanemu zaprzeczeniu Lincolna Scotta, to bardzo dobrze. Może identyczne pytania zaczynają się rodzić w głowach trzech sędziów.

Byłby zadowolony, gdyby mógł dowiedzieć się czegoś więcej o dwóch oficerach, siedzących obok MacNamary za stołem sędziowskim. Zanotował w pamięci, że musi zdobyć informacje, kim oni są, skąd pochodzą i w jaki sposób dostali się do Stalagu Luft 13. Przecież okoliczności schwytania poszczególnych jeńców przez Niemców mogą stanowić wskazówkę, kim ci ludzie naprawdę są. Postanowił porozmawiać o tym z Phillipem Pryce'em. Powinien też lepiej zrozumieć starszego oficera

amerykańskiego, pułkownika MacNamare, chociaż sądząc z tego, co zostało powiedziane i zrobione, miał wątpliwości, czy dwaj oficerowie siedzący obok niego w trybunale będą skłonni głosować inaczej niż przewodniczący. Przypomniały mu się słowa wypowiedziane pierwszego dnia przez Pryce'a – „wszystkie działające tu siły” – skłaniając go do wniosku, że należy bardziej zatroszczyć się o znalezienie odpowiedzi na to pytanie.

Szedł rażno, niemal truchtem, jak gdyby popychał go ciężar spoczywających na nim zadań. Prawdopodobnie Hugh też odczuwał ożywienie pod wpływem własnych myśli, ponieważ dotrzymywał mu kroku i nie skarżył się ani nie zadawał pytań. Natomiast niemiecki strażnik włókł się w takim tempie, że jeńcy musieli go poganiać.

– Tommy – odezwał się przyciszonym głosem Hugh – musimy znaleźć miejsce zbrodni. Z każdą godziną robi się to coraz trudniejsze. Człowiek, którego szukamy, miał aż za dużo okazji do zniszczenia śladów. Prawdę powiedziawszy wątpię, czy w ogóle je odkryjemy.

Tommy skinął głową i odrzekł:

– Mam pewien pomysł, ale muszę jeszcze troszkę poczekać.

Hugh parsknął i potrząsnął głową.

– Nigdy go nie znajdziemy – powtórzył.

Otworzono przed nimi bramę. Wartownicy pilnujący tego przejścia, na co Tommy zwrócił uwagę, przyzwyczaili się już do tego, że oni kręcą się tam i z powrotem. To mogło okazać się okolicznością sprzyjającą, choć jeszcze nie wiedział, w jaki sposób to wykorzystać. Przechodzili teraz przez pas oddzielający obydwie obozy. Z budynku, w którym mieściły się prysznice, dobiegał śpiew. Renaday popatrzył na Amerykanina – rozpoznali tekst piosenki *Mademoiselle z Armentieres*, śpiewanej wyjątkowo donośnym głosem.

– ...*Mademoiselle z Armentières, parlez-vous? Mademoiselle z Armentières, parlez-vous? Mademoiselle z Armentières, nikt jej nie pieprzył przez czterdzieści lat, parlez-vous...*

Podobnie jak wiele innych brytyjskich piosenek, ta również pochodziła z czasów pierwszej wojny światowej i wykonywano ją w coraz bardziej sprośnych wersjach.

Tommy skupił uwagę na budynku, w którym mieściły się prysznice, gdy nagle za jego plecami rozległa się ostra, niemiecka komenda: „Halt!”.

Strażnik natychmiast wypuścił z ust papierosa i stanął na baczność. Hugh i Tommy odwrócili się w kierunku, skąd dochodził głos. Zauważyli, jak po schodkach baraku administracji zbiegł ubrany w koszulę z krótkimi rękawami adiutant i szedł w ich stronę po zapyłonej drodze. Było to zdarzenie niezwykle. Niemieccy oficerowie starali się prezentować jeńcom tylko w pełnym umundurowaniu, unikali również pośpiechu, chyba że otrzymali taki rozkaz od wyższego stopniem w ich hierarchii.

Adiutant mówił łamaną angielszczyzną, ale potrafił wyjaśnić, o co mu chodzi:

– Hart, prosze se mno. Wy, Renaday, do siebie... – powiedział, wskazując na obóz brytyjski.

– O co chodzi? – zapytał Tommy.

– Proszę se mno – powtórzył adiutant, podkreślając gestami rąk, że sprawa jest pilna. – Nie chceć czekać, prosze...

– Mimo wszystko zamierzam się dowiedzieć, o co chodzi – powiedział Tommy. Niemiecki oficer zmarszczył czoło i tupnął nogą, wzbijając obłok kurzu.

– To rozkaz. Zobaczycie komendanta von Reitera.

Renaday uniósł brwi.

– Ciekawostka, co? – odezwał się cicho i odwrócił się do stojącego sztywno wartownika. – Dobra, Adolf, idziemy. Tommy, będziemy z Phillipem czekać na ciebie. Bardzo dziwne to wezwanie.

Niemiecki adiutant z ulgą przyjął zgodę Tommy’ego na pójście z nim. Przed barakiem biurowym otworzył Amerykaninowi drzwi. Siedzący przy biurkach urzędnicy z zaciekawieniem patrzyli na wchodzącego jeńca, ale kiedy zobaczyli niemieckiego oficera, posłusznie spuścili wzrok na rozłożone przed sobą dokumenty. Biurokracja wojskowa była solidna i dokładna. Wydawało się, że ci ludzie niczego nie nienawidzą tak bardzo, jak pomysłowości i twórczej inwencji swoich więźniów. Adiutant popchnął Tommy’ego w kierunku gabinetu komendanta. Amerykanin

odwrócił się i spojrzał na Niemca przymrużonymi oczami. Oficer cofnął się krok i opuścił ręce, a Tommy zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi biura von Reitera.

Komendant siedział przy biurku i czekał. Po drugiej stronie stało niewygodne krzesło, na którym usiadł Hart, zaproszony przez von Reitera ruchem ręki. Wtedy komendant podniósł się i spojrzał na Amerykanina z góry. Von Reiter również miał na sobie doskonale skrojoną koszulę z krótkimi rękawami – biała tkanina połyskiwała w promieniach słońca, przenikających do pokoju przez okna wychodzące na obydwa obozy. Mocno wykrochmalony kołnierzyk z pewnością drapał go w szyję. Zawieszony na wstążeczce, błyszczący Żelazny Krzyż odbijał się czernią od nieskazitelnie białego torsu pułkownika. Kurtka mundurowa wisiała na wbitym w ścianę haku. Komendant strzepnął z klapy pyłek, którego wcale tam nie było i odwrócił się do Tommy'ego.

– Poruczniku Hart, czy pańska praca posuwa się jak należy? – zapytał powoli.

– Jesteśmy dopiero na etapie wstępnym, Herr Oberst – odrzekł ostrożnie Tommy.

– A o wszystkich szczegółach z pewnością może pana powiadomić kapitan Visser.

Von Reiter skinął głową i wrócił na swoje miejsce.

– Czy kapitan Visser, jakby to powiedzieć, pozostaje z panem w kontakcie?

– On bardzo poważnie podchodzi do swojego zadania. Wydaje się bardzo dokładny.

Komendant lekko skłonił głowę.

– Jest pan tu od wielu miesięcy, poruczniku. Oldtimer, jak mawiają Amerykanie. Niech mi pan powie, panie Hart, czy uważa pan życie w Stalagu Luft 13 za... znośne?

Pytanie zaskoczyło Tommy'ego, lecz starał się tego nie okazać. W przesadnym geście wzruszył ramionami.

– Wolałbym być w domu, Herr Kommandant. Ale cieszę się, że w ogóle żyję.

Von Reiter uśmiechnął się.

– Tę opinię podzielają wszyscy żołnierze, prawda, Hart? Życie może być nie wiadomo jak trudne, ale zawsze jest lepsze niż śmierć, o którą tak łatwo podczas tej

wojny, nie sądzi pan?

– Tak jest, panie komendancie.

– Czy pan wierzy, że przeżyje pan wojnę, Hart?

Tommy gwałtownie wciągnął powietrze. Na takie pytanie, zadane wprost, nie musiał nigdy odpowiadać żaden jeniec, co więcej, nigdy sam go sobie nie stawiał, nawet żartem, ponieważ natychmiast otwierały się drzwi do głębokich, niekontrolowanych obaw, dławiących, nocnych koszmarów. Wtedy wyłaniały się z mroków pamięci nazwiska i twarze tych, którzy zginęli w powietrzu i tych, którzy jeszcze oddychali, lecz mieli umrzeć lada chwila, za kilka sekund, minut, godzin czy wreszcie dni. Powoli odetchnął i odpowiedział wymijająco, siłą powstrzymując się od poważnego potraktowania tego najtrudniejszego z pytań:

– Dziś jestem żywy, panie komendancie. Mam nadzieję, że jutro również będę.

Von Reiter patrzył na niego przenikliwie. Tommy pomyślał, że za jego sztywnym sposobem bycia kryje się człowiek o dużych możliwościach intelektualnych oraz skłonnościach do rygorystycznego formalizmu. Taka kombinacja zawsze rodzi niebezpieczeństwo.

– Kapitan Bedford z pewnością myślał tak samo w ostatnim dniu swojego życia.

– Nie mogę wiedzieć, co on czuł – odrzekł Tommy, choć to była oczywista nieprawda.

Von Reiter nie spuszczał z Amerykanina badawczego spojrzenia. Po chwili przerwy pytał dalej:

– Niech mi pan powie, Hart, dlaczego Amerykanie nienawidzą czarnych?

– Nie dotyczy to wszystkich Amerykanów.

– Ale wielu, prawda?

– Owszem, na to wygląda – zgodził się Tommy.

– Dlaczego tak się dzieje?

– To skomplikowana sprawa. Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Pan nie czuje nienawiści do porucznika Scotta?

– Nie.

– On jest istotą niższą niż pan, czyż nie?

– Nie wydaje mi się.

– I wierzy pan w jego niewinność?

– Wierzę.

– Jeżeli jednak został oskarżony niesłusznie, jak pan mówi, to mamy problem. Mnóstwo problemów. Zarówno wasz komendant, jak i ja.

– Nie zastanawiałem się nad tym, panie komendancie. Być może tak.

– Ależ tak, tak właśnie będzie. Może byłoby rzeczą rozsądną, gdyby się pan nad tym zastanowił, poruczniku. Z drugiej strony może być i tak, że on jest winny, a pan po prostu robi to, co panu rozkazano. Amerykanie lubią pokazywać światu, jacy są uczciwi. Mówią o prawach, swoich ukochanych ojcach założycielach i przyjętych przez nich dokumentach. Thomas Jefferson, George Washington i Karta Praw. Ja uważam, że przy tym zapominają o porządku i dyscyplinie. My tu, w Niemczech, mamy porządek...

– Zgadza się. To widać.

– Również tutaj, w Stalagu Luft 13 utrzymujemy porządek.

– Chyba tak.

Von Reiter zrobił kolejną przerwę. Tommy poruszył się na siedzeniu, jakby chciał wyjść. Nie wiedział, o co chodzi komendantowi i obawiał się, że w niezamierzony sposób może ujawnić jakieś informacje.

Niemiecki oficer roześmiał się.

– Jestem też przekonany, że nieraz, kiedy mówimy o sprawiedliwości, dla Amerykanów ważniejszy jest sam spektakl niż prawda. Zgadza się pan?

– Nie myślałem o tym.

– Doprawdy? – Von Reiter przyglądał mu się z powątpiewaniem. – I to mówi pan, student prawa swojego kraju?

Tommy nie odpowiedział.

– Niech pan powie, poruczniku Hart, bardzo chciałbym to wiedzieć, co byłoby bardziej niebezpieczne, gdyby Scott był winny czy niewinny?

Tommy w dalszym ciągu milczał. Czuł spływający po ciele pot. Miał wrażenie, że w pokoju podniosła się temperatura. Chciał wyjść, lecz był jak przyrośnięty do

krzesła. Von Reiter mówił głosem ostrym i przenikliwym. Przyszło mu do głowy, że komendant ma skłonność do doszukiwania się wszędzie tajemnic, a nienagannie odprasowany mundur von Reitera oraz jego sztywny sposób bycia są równie zwodnicze jak podejrzliwe spojrzenia kapitana Vissera.

– Niebezpieczne dla kogo? – zapytał ostrożnie Tommy.

– Co będzie kosztowało ludzkie życie poruczniku, wina czy niewinność?

– Nie mam pojęcia. Nie ja to powinienem wiedzieć.

Von Reiter roześmiał się krótkim, nieprzyjemnym śmiechem i leniwie podniósł z biurka stos papierów. Wpatrzył się w nie.

– Pan pochodzi ze stanu Vermont, prawda?

– Zgadza się.

– Tam jest chyba dosyć podobnie jak tutaj. Gęste lasy i surowe zimy, jak sędzę?

– Owszem, tam są piękne lasy i długie, ostre zimy. Ale wcale nie jest tak jak tutaj – odrzekł powoli.

Von Reiter westchnął.

– Ja miałem okazję być tylko w Nowym Jorku. I to jeden raz. Wielokrotnie natomiast jeździłem do Londynu i Paryża. Przed wojną, rzecz jasna.

– Ja tak dużo nie podróżowałem.

Komendant wpatrywał się w okno.

– Czy wasz pułkownik faktycznie będzie ode mnie żądał zorganizowania plutonu egzekucyjnego, jeżeli porucznik Scott zostanie uznany za winnego?

– Powinien pan jego zapytać.

Komendant zmarszczył brwi.

– Nikt nigdy nie uciekł ze Stalagu Luft 13 – powiedział powoli. – Takie próby zawsze kończyły się śmiercią, na przykład tych nieszczęśników z tunelu. A teraz znowu kapitan Bedford. I nadal tak pozostanie, zgadza się pan, poruczniku?

– Nie usiłuję nawet zgadywać, co przyniesie przyszłość – odparł Tommy.

– Tak będzie z całą pewnością! – powiedział z naciskiem von Reiter, odwracając twarz od okna. – Czy ma pan rodzinę, poruczniku Hart?

– Tak, naturalnie.

– Żonę i dzieci?

– Nie, jeszcze nie – odpowiedział Tommy z wahaniem.

– Ale jest jakaś kobieta, prawda?

– Jest. Czeka na mnie w kraju.

– Mam nadzieję, że dożyje pan kolejnego spotkania z nią – wtrącił szybko von Reiter. Gestem ręki dał do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Tommy podniósł się i skierował do drzwi, ale von Reiter zatrzymał go, zadając ostatnie pytanie, jakby coś mu się przypomniało:

– Czy pan umie śpiewać, poruczniku Hart?

– Śpiewać?

– Tak jak Brytyjczycy.

– Nie, panie komendancie.

– No to może powinien się pan nauczyć. – Niemiec wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Tak jak ja. Kiedy wojna się skończy, być może napiszę książkę zawierającą nuty i słowa obscenicznych brytyjskich piosenek i zarobię trochę pieniędzy, tak bardzo przydatnych na starość. Czasami trzeba nauczyć się przystosowywać do tego, czego się nie znosi – zakończył ze śmiechem. Następnie odwrócił się do Tommy'ego plecami i patrzył przez okno. Tommy szybko wyszedł z gabinetu, nie mając pewności, czy to, co usłyszał, było groźbą, czy ostrzeżeniem. Przyszło mu do głowy, że obie te ewentualności niosą ze sobą mniej więcej takie samo niebezpieczeństwo.

Szedł szybkim krokiem do kwatery Renadaya i Pryce'a. W jednej z sypialni w jenieckich barakach zauważył grających w mysią ruletkę. Kilku brytyjskich oficerów siedziało dookoła stołu, każdy miał pod ręką niewielki zapas papierosów, czekolady i innych artykułów żywnościowych. Zastępowały żetony. Na środku leżało niewielkie tekturowe pudełko z dziurkami na bokach. Oficerowie krzyczeli i dowcipkowali, bezlitośnie obrażając i podpuszczając kolegów. Przekleństwa wypowiedane w złości przez lotników amerykańskich były krótkie i brutalne, natomiast Brytyjczycy znajdowali przyjemność w przesadnie kwiecistym języku

werbalnych obelg. Atmosfera była nimi dosłownie przesycona.

Na znak krupiera, wysokiego pilota z gęstym zarostem, opasanego starym, szarym kocem imitującym szkocką spódniczkę, grający natychmiast ucichli. W całkowitej ciszy krupier podniósł wieko pudełka – nad jedną ze ścianek ukazał się pyszczek schwytej myszki, nieśmiało wyglądającej na świat.

Mysia ruletka należała do gier nieskomplikowanych. Delikatnie zachęcona przez krupiera mysz wyłaziła na blat stołu i rozglądała się dookoła, patrzyła na wyczekujących, zamarłych w absolutnym bezruchu, ciężko oddychających, sztywnych, milczących mężczyzn. Niezłomna zasada głosiła, że nikomu w żaden sposób nie wolno zachęcać myszy. Przerazone zwierzę w końcu skręci w którąś stronę, uznając ją za kierunek najmniej groźny, zapewniający największe bezpieczeństwo. Gracz siedzący najbliżej drogi wybranej przez mysz, zostawał zwycięzcą. Kłopot z mysią ruletką sprowadzał się do tego, że uciekające zwierzątko najczęściej starało się poruszać pomiędzy dwoma uczestnikami zabawy. Stawało się to przyczyną żartobliwych dyskusji i przekomarzań na temat rzeczywistych intencji owej myszy, z pominięciem jej dążenia do wolności, co w każdych warunkach stawało się największą potrzebą i nadzieją.

Tommy przez chwilę przyglądał się grającym. Doczekał do chwili, gdy mysz zdecydowała się na wybór drogi ucieczki. Odszedł, kiedy usłyszał śmiech i żartobliwe kłótnie.

W pokoju Pryce'a i Renadaya zastał trzeciego mężczyznę. Nieznajomy był ciemnowłosym, bardzo szczupłym młodym człowiekiem o jasnej karnacji, z wyglądu podobnym do Pryce'a. Miał szczupłe ręce, zapadłą pierś i okulary w drucianej oprawie, które upodabniały go do jakiegoś dziwnego ptaka. Uśmiechał się, krzywiąc z lekka usta w lewo, podobnie jak pochylał całe ciało. Po wejściu Tommy'ego, cała trójka podniosła się.

– Tommy, to mój przyjaciel – powiedział szybko Hugh. – Collin Sullivan ze Szmaragdowej Wyspy.

Hart wyciągnął rękę na powitanie.

– Irlandczyk? – zapytał.

– Tak jest – odrzekł Sullivan. – Irlandczyk latający na spitfire’ach.

Tommy nie bardzo mógł sobie wyobrazić wątego młodego człowieka za sterami myśliwca, ale nie skomentował tego.

– Collin okazał się bardzo szlachetny i zaoferował nam pomoc – wtrącił Pryce. – Pokaż mu to, mój chłopcze.

Irlandczyk sięgnął pod łóżko i wydobył ukryty tam duży szkicownik.

– Mówiąc prawdę, pochodzę z Irlandii i mam za sobą loty na spitfire’ach oraz trzy lata nudnych studiów w Londyńskiej Akademii Rysunku. Później zaangażowałem się w tę patriotyczną głupotę, no i znalazłem się tutaj.

Otworzył brulion i wręczył Tommy’emu pierwszy rysunek. Był to naszkicowany ciemnymi barwami obraz zwłok Tradera Vica, wciśniętych do przegródki w ubikacji, utrzymany głównie w szarej tonacji, uzyskanej dzięki umiejętnemu użyciu węgla.

– Zrobiłem to, słuchając wspomnień Hugh’a – powiedział z uśmiechem. – A ty na pewno zdajesz sobie sprawę, że Kanadyjczycy, istoty włochate, ledwo ociosane i prawie tak dzikie jak Indianie, o wyobraźni porównywalnej z mózgiem bizona, nie wykazują naturalnych uzdolnień w dziedzinie rysunku i opisu jak moi rodacy, a zwłaszcza ja.

Uśmiechnął się do wykrzywającego twarz, ale najwidoczniej zachwyconego Hugh Renadaya.

– Zważywszy ograniczone możliwości, jest to szczyt tego, na co mogłem się zdobyć...

Tommy był zdania, że rysownik idealnie uchwycił pozycję zamordowanego. Był to widok zarazem koszmarny i brutalny. Sullivan zużył nawet odrobinę bardzo cennej tu farby, zaznaczając drobne strużki krwi na ciele zabitego jeńca. Były one wyraźnie widoczne, kontrastowały z ciemnym, ponurym tłem wydobytym przez pociągnięcia węglem.

– To fantastyczne – powiedział Tommy. – Vic tak wyglądał. Dokładnie. Czy masz więcej szkiców?

– Tak, oczywiście – odpowiedział z uśmiechem Sullivan. – Pewnie nie odpowiada

to temu, co miał na myśli mój dawny profesor rysunku z natury, chociaż zawsze powtarzał nam, że należy korzystać z takich środków, jakie są pod ręką. Osobiście wolałbym portretować jakąś nagą Fräulein w prowokującej pozie, z zachęcającym uśmiechem na ustach...

Podał Tommy'emu następny rysunek, przedstawiający śmiertelną ranę na szyi Tradera Vica.

– Nad tym także pracowaliśmy razem – powiedział Hugh. – Teraz trzeba to będzie pokazać temu jankesowi, który oglądał zwłoki, aby przekonać się, czy szkic jest precyzyjny.

Tommy patrzył już na kolejny arkusz – było to wnętrze Abortu, z zachowaniem proporcji i układu. Ozdobna strzałka z pierzastym końcem wskazywała krwawy ślad na podłodze. Ostateczną wersję tego rysunku zrobiono na podstawie szkicu odcisku buta, wykonanego przez Hugh w czasie wizji lokalnej.

– To znacznie lepsze od moich niezdarnych szkiców – stwierdził z uśmiechem Renaday. – Jak zwykle, był to pomysł Phillipa. On wiedział, że przyjaźnię się z Collinem, chociaż mnie nie przyszło na myśl, by go zaangażować w tę sprawę.

– Uważam to za dobrą zabawę – dodał Sullivan. – I do tego znacznie bardziej intrygującą niż, powiedzmy, rysowanie północno-wschodniej wieży wartowniczej. Ona ma po południu najlepsze oświetlenie, więc na lekcjach rysunku posłusznie szkicujemy ją, jeśli tylko nie pada.

– Jestem pod wrażeniem – odpowiedział Tommy. – To może nam pomóc. Nie wiem, jak ci dziękować.

Sullivan wzruszył ramionami.

– Ujmę to w taki sposób, panie Hart: tam w domu, w Belfaście – powiedział powoli – jako Irlandczyk i do tego katolik byłem traktowany jak czarnuch pewnie równie często, jak wasz Lincoln Scott w Stanach. I to jest przyczyna, dla której pomagam z prawdziwą radością.

Tommy'ego zdziwiła gwałtowna i nieoczekiwana reakcja szczupłego Irlandczyka.

– Te rysunki są znakomite – powtórzył. Zanim jednak zdążył rozszerzyć ten temat, usłyszał za sobą czyjś spokojny, zimny głos.

– Jest tu pewien błąd.

Jeńcy odwrócili się. W drzwiach stał kapitan Heinrich Visser i przyglądał się rysunkom trzymanym przez Tommy'ego. Żaden z obecnych nie odpowiedział Niemcowi – w pokoju zapadła cisza, przypominająca słaby podmuch cuchnącego wiatru. Visser podszedł bliżej i w dalszym ciągu uważnie przyglądał się szkicom. W jedynej ręce trzymał niewielką teczkę z brązowej skóry. Postawił ją na podłodze i dźgnął palcem w rysunek przedstawiający miejsce odkrycia zwłok.

– Właśnie tu – powiedział, zwracając się do Renadaya i Sullivana. – Tutaj jest pomyłka. Odcisk buta znajdował się o kilkadziesiąt centymetrów dalej, w pobliżu kabiny. Sam mierzyłem tę odległość.

– Mogę to poprawić – stwierdził spokojnie Sullivan, potakując ruchem głowy.

– Owszem, trzeba to zmienić, poruczniku – potwierdził Visser, przyglądając się Sullivanowi spod przymrużonych powiek. – Mówił pan, że był pan pilotem spitfire'ów.

– Zgadza się.

Visser odkaszlnął:

– Spitfire to znakomita maszyna. Godny przeciwnik nawet dla sto dziewiątki.

– To prawda – zgodził się Sullivan. – Podejrzewam, że pan kapitan ma osobiste doświadczenia ze spitfire'ami – dorzucił, wskazując brakującą rękę niemieckiego oficera. – Założę się, że nie najlepsze.

Visser przytaknął bez słowa, chociaż twarz nieco mu przybladła, a górna warga kapitana zadrżała. Sullivan wziął głęboki oddech, co w niczym nie zmieniło jego niepozornej aparycji.

– Przykro mi z powodu pańskich obrażeń, kapitanie – powiedział z modulacją głosu i akcentem charakterystycznym dla ojczystego kraju. – Uważam, jednak, że należy pan do grona prawdziwych szczęśliwców. Z zestrzelonych przeze mnie messerschmittów 109 nie udało się wyskoczyć żadnemu pilotowi. Wszyscy udali się do Walhalli czy jak tam wy, naziści, nazywacie to miejsce, do którego, jak sądzą, trafiać, po złożeniu daniny krwi ojczyźnie.

Słowa Irlandczyka zabrzmiały w małym pokoju jak potężne ciosy. Niemiec

wyprostował się, patrzył na młodego rysownika z nieukrywanym gniewem, lecz głos miał nadal spokojny, lodowaty, bez wyrazu, nie zdradzający żadnych emocji.

– Może to i prawda, panie Sullivan – odrzekł. – Ale pan wciąż siedzi w Stalagu Luft 13 i nie można mieć pewności, czy jeszcze kiedyś zobaczy ulice Belfastu, prawda?

Irlandczyk nie odpowiedział – obaj patrzyli na siebie twardym, nieustępliwym wzrokiem. Po chwili Visser spojrzął na rysunek i rzekł:

– Jest jeszcze jeden niewłaściwie ujęty szczegół, panie Sullivan...

Odwrócił się do Tommy'ego Harta.

– Chodzi o ten odcisk buta, był skierowany w inną stronę – powiedział, pokazując palcem na widoczną na rysunku tylną część Abortu, gdzie znaleziono zwłoki. – Mianowicie w tym kierunku. Myślę, że uzna to pan za fakt znaczący.

Alianccy oficerowie w dalszym ciągu milczeli. Visser tym razem zwrócił się do Phillipa Pryce'a:

– Pan, podpułkowniku Pryce, z pewnością doceni prawdziwe znaczenie tego faktu, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Anglik spojrzął na uśmiechniętego złośliwie Niemca. Visser oddał Tommy'emu rysunki i podniósł z podłogi skórzaną teczkę. Posługując się jedną ręką, sprawnie wyciągnął ze środka niewielki, brunatny skoroszyt.

– Musiałem poświęcić немало czasu, podpułkowniku, aby to zdobyć. Ale było warto, ze względu na prawdziwie intrygującą zawartość. To bardzo interesująca lektura.

Mężczyźni milczeli. Tommy zauważył, że oddech Pryce'a stał się świszczący – uznał to za symptom napięcia.

Visser otworzył dossier. Zaczął czytać i uśmiech zniknął mu z twarzy:

– Phillip Pryce, podpułkownik lotnictwa, 56 Grupa Ciężkich Bombowców, miejsce stacjonowania Avon-on-Trent. Przyjęty do RAF-u w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Urodzony w Londynie we wrześniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Wykształcony w Harrow i Oksfordzie. W obu uczelniach należał do pięciu najwyższ ocenionych absolwentów. W czasie pierwszej

wojny światowej służył jako adiutant lotniczy w sztabie generalnym. Odznaczony, zdemobilizowany. W lipcu tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku przyjęty do palestry. Starszy wspólnik w londyńskiej kancelarii Pryce, Stokes, Martyn i Masters. Bronił w kilkunastu procesach o morderstwo, bez wyjątku sensacyjnych, przyciągających uwagę prasy. Ani razu nie przegrał...

Heinrich Visser zrobił przerwę. Patrzył przenikliwym wzrokiem na starszego Anglika.

– Ani jednej porażki – powtórzył. – To wyjątkowe osiągnięcie, podpułkowniku. Po prostu imponujące. I, jak sądzę, również dosyć opłacalne, prawda? Wydaje się, że w tym wieku nie musiał się pan już zgłaszać do armii. Do końca wojny mógłby pan korzystać z wygody, jaką daje pańska pozycja i spoczywać na laurach.

– Jak się panu udało zdobyć te wiadomości? – zapytał sucho Pryce.

Visser potrząsnął głową:

– Chyba nie spodziewa się pan, że odpowiem na takie pytanie, panie podpułkowniku.

Pryce odetchnął głęboko, co wywołało atak silnego kaszlu i zaprzeczył ruchem głowy.

– Oczywiście, że nie, Herr Hauptmann.

Niemiec zamknął dossier, włożył je z powrotem do teczki i przyjrzał się czterem alianckim jeńcom.

– Ani jednej porażki w sprawie zagrożonej najwyższym wymiarem kary. To fenomenalne osiągnięcie, nawet w przypadku tak wybitnego prawnika jak pan. A jak wygląda obecny proces, w którym tak umiejętnie i zarazem dyskretnie wspiera pan młodego porucznika Harta? Czy nie bierze pan pod uwagę możliwości, że to będzie pierwsze pańskie fiasko?

– Nie biorę – odparł lakonicznie Phillip.

– Pańskie zaufanie do naszego przyjaciela z Ameryki jest godne podziwu – ciągnął Visser. – Zresztą po tym, co obserwowaliśmy dzisiaj rano, inni także mogą zmienić zdanie na ten temat.

Niemiec wsunął teczkę pod pachę.

– Ten pański kaszel, podpułkowniku. Jest taki uporczywy. Powinien pan poważnie zająć się jego leczeniem, zanim dolegliwości staną się jeszcze bardziej uciążliwe – dodał energicznie, ukłonił się sztywno na pożegnanie i wyszedł z sypialni. Metalowe podkówki butów uderzały o drewnianą podłogę jak seria z karabinu maszynowego.

Czterej alianccy lotnicy milczeli przez chwilę. Pierwszy odezwał się Pryce.

– Ten człowiek ma na sobie mundur Luftwaffe, ale to gestapowiec – powiedział.

Później tego samego dnia Tommy szybkim krokiem zmierzał do namiotu medycznego w obozie południowym. Chciał przesłuchać niedoszłego lekarza i zarazem dawnego przedsiębiorcę pogrzebowego z Cleveland. Wizyta Vissera zaniepokoiła go. Z jednej strony, niemiecki oficer robił wrażenie chętnego do pomocy. Wskazywało na to choćby zwrócenie uwagi na pomyłki w szkicach z miejsca przestępstwa. Z drugiej strony, w każdym wypowiedzianym przez niego zdaniu kryła się groźba. Zwłaszcza Pryce wydawał się wytrącony z równowagi niejasnymi intencjami Hauptmanna.

Hart pospiesznie szedł zacienionymi alejkami pomiędzy barakami mieszkalnymi. Po drodze rozmyślał o grze w mysią ruletkę. Postanowił od tej pory czuć do myszy wyłącznie sympatię.

Przed punktem medycznym stało kilku lotników. Palili papierosy. Kiedy zbliżył się Tommy, rozdzielili się, a jeden zapytał:

– Cześć, Hart, jak ci idzie?

Porucznika Nicholasa Fenellego znalazł w jednym z niewielkich pokoi lekarskich. Był tam mały stolik, kilka krzeseł z twardymi oparciami i blat pokryty szorstkim białym prześcieradłem. Pomieszczenie oświetlała elektryczna lampa zawieszona pod sufitem. Na przybitych do ściany drewnianych półkach stały różne lekarstwa – sulfamidy, aspiryna, środki dezynfekcyjne – a także maści, bandaże i kompresy. Wybór tych środków był bardzo skromny. Jeńcy wiedzieli, że choroba lub zranienie się w Stalagu Luft 13 jest rzeczą niebezpieczną. Lekka dolegliwość mogła przerodzić się w coś skomplikowanego z powodu niedostatku odpowiednich

medykamentów, chociaż Czerwony Krzyż dokładał starań, żeby zaopatrzenie było jak najlepsze. Alianccy jeńcy podejrzewali, że Niemcy regularnie podkradają cenne leki dla własnych szpitali, ponieważ mieli duże trudności z ich uzyskaniem. Zaprzeczało temu dowództwo Luftwaffe, reagujące z oburzeniem na tego rodzaju zarzuty. Im większe było oburzenie, tym bardziej jeńcy byli przekonani, że Niemcy ich okradają.

Fenelli spojrzał na Tommy'ego.

– Oto bohater dnia – powiedział, wyciągając rękę na powitanie. – No, dałeś dziś rano niezły popis. Masz zamiar pociągnąć to w poniedziałek?

– Pracuję nad tym – odparł Hart, rozglądając się wokół. – Wiesz, nigdy tu jeszcze nie byłem...

– No to masz szczęście – odparł szorstko Fenelli. – To żadna rewelacja. Cholera, jedyne, co mogę zrobić, to przekłuć pęcherz po oparzeniu, usunąć pryszczę albo nastawić zwichnięty nadgarstek. Przy innych schorzeniach zaczynają się kłopoty.

Medyk odchylił się na krześle, spojrzał w okno i zapalił papierosa, wskazując ręką na lekarstwa.

– Lepiej nie choruj, Hart, a przynajmniej zrób to dopiero wtedy, gdy czołgi Ike' a albo Pattona będą już w drodze do nas – powiedział.

Fenelli był niski, o szerokich ramionach, miał długie, potężne ręce. Czarne, kędzierzawe włosy opadały na uszy, przydałoby mu się też golenie. Miał szeroki, otwarty uśmiech i maniere znamionujące pewność siebie, a nawet swego rodzaju butę.

– Nie mam takiego zamiaru – odrzekł Tommy. – A więc chcesz zostać lekarzem?

– Tak jest. Wracam na medycynę, jak tylko uda mi się stąd wyrwać dupsko. Po tym, co widziałem od chwili, gdy przywitał się ze mną Wuj Sam, nie powinienem mieć większych problemów z anatomią ogólną. Myślę, że widziałem wszystkie części ciała, począwszy od palców nóg po wybebeszone wnętrzości i mózg, za co specjalne podziękowania należą się pieprzonym szwabom.

– Kiedy byłeś w domu, pracowałeś w zakładzie pogrzebowym...

– Wszystko już opowiedziałem twojemu kumplowi, Renadayowi. To czysta

prawda. Nie jest to wcale takie złe miejsce, jak ludzie uważają. I zawsze człowiek może liczyć na stałą pracę. Nigdy nie brakuje towaru. A tak nawiasem mówiąc, wolałbym nie walczyć z tym twoim kanadyjskim kołosem. Widziałeś, jakie ma ramiona? W każdym razie powiedziałem mu, że kiedy tylko zobaczyłem ranę od noża na szyi Tradera Vica, natychmiast zorientowałem się, jak to się stało. Wystarczyło popatrzeć na to przez sekundę, ja przeprowadziłem dłuższe, uważne oględziny. Widywałem to już wcześniej i wiem, jak się zadaje takie rany, bez trudu mogę to wyjaśnić każdemu, kto ciekaw.

Tommy pokazał szkic rany na szyi Bedforda, narysowany przez Collina Sullivana. Medyk przytaknął ruchem głowy.

– Słuchaj, Hart, ten gość zna się na rysunku. Tak jest. Właśnie tak to wyglądało. Człowieku, on wszystko dobrze przedstawił, włącznie z brzegami rany. Skóra nie była przecięta, jak można sądzić, tylko trochę postrzępiona tam, gdzie weszło ostrze noża, który potem został obrócony... – w trakcie opowiadania Fenelli imitował gestem wbicie ostrego noża w gardło. Tommy odetchnął głęboko – wyobraził sobie paniczny strach, jakiego doświadczył w ostatniej sekundzie życia Bedford, kiedy ktoś chwycił go od tyłu.

– A zatem, jeśli bym cię wezwał na świadka... – zaczął.

– Jasne, nie ma sprawy. Może tylko Clark się trochę wkurwi. Ale ten facet autentycznie się prosi, żeby ktoś go wkurzył. Pieprzony tępy zupak. Chrzanić go – Fenelli roześmiał się głośno. – Słuchaj, chcesz z tym wyjść w poniedziałek? Nieźle, Hart, całkiem nieźle. Ten stary pierdziel nie ma pojęcia, co go czeka.

– Nie, nie w poniedziałek, ale wkrótce – odparł Tommy. – Czy zechcesz zachować tę opinię dla siebie? Choćby nie wiadomo co się działo, gdy Clark zacznie prezentować swoich świadków i wytaczać dowody...

– Chodzi ci o to, żebym nie latał dookoła, kłapiąc dziobem i opowiadał wszystkim, że Vic oberwał dokładnie tak, jak jakiś gangster niskiej rangi w ciemnej uliczce u nas w domu? Zgoda. Człowiek może się cholernie dużo nauczyć, pracując w domu pogrzebowym w Cleveland. Musi też umieć trzymać gębę na kłódkę.

Tommy uścisnął na pożegnanie dłoń Fenellego.

– Będziemy w kontakcie, tylko nigdzie się nie oddalaj – powiedział.

– Ty tu rządzisz, Hart – roześmiał się przyszedły lekarz.

Tommy miał już wyjść z pokoju, kiedy Fenelli dodał:

– Słuchaj, jeszcze jedna rzecz. Znasz tego gościa, który siedział obok Clarka?

– Nazywa się Townsend, jeśli dobrze pamiętam?

– Właśnie o niego pytam. Wiesz coś o nim?

– Nie. Właśnie chciałem się do niego wybrać.

– Znam człowieka – ciągnął Fenelli. – W tym samym czasie wdepnęliśmy do tej dziury – przywieźli nas jednym transportem. On był pilotem liberatora i został zestrzelony nad Włochami.

– Ma jakąś historię?

– Dobrze wiesz, Hart, że każdy ma jakąś historię – uśmiechnął się Fenelli; mówił naśladowując dyskretnie akcent z Południa. – Ale w przypadku kapitana Walkera Townsenda nie to jest interesujące. Czy orientujesz się, co on robił w Stanach, zanim przyszło mu osiąść w tym pierdlu?

Tommy nie odpowiedział, a Fenelli wciąż się uśmiechał.

– Był głównym asystentem prokuratora okręgowego w Richmond w stanie Wirginia. Jak ci się to podoba? Możesz się założyć o wszystkie swoje papierosy, że właśnie z tego powodu Clark posadził go tuż obok siebie.

Tommy powoli odetchnął – to byłoby logiczne.

– No i jeszcze jeden szczegół, Hart, jaki zapamiętałem z tych dwóch dni, które razem z Townsendem spędziłem w bydłącym wagonie w drodze do obozu. Ten gość mi powiedział, że oskarżał we wszystkich sprawach o morderstwo w Richmond. Lubił też powtarzać, że ma na koncie więcej ludzi posłanych do celi śmierci niż misji bombowych, zanim go zestrzelili. Mówił to w taki sposób, jakby uważał, że jest to jednocześnie zabawne i ironiczne.

Fenelli sięgnął do kieszeni koszuli, wyciągnął następnego papierosa, zapalił i zaczął wypuszczać w powietrze kółka dymu.

– Tak sobie tylko pomyślałem, że może będziesz się chciał dowiedzieć, na kogo się faktycznie porywasz, Hart. To z pewnością nie jest taki popędliwy kretyn jak

major Clark. Wszystkiego najlepszego.

Kapitana Walkera Townsenda znalazł w jego sypialni w baraku sto trzynaście. Rozwiązywał krzyżówkę w broszurze w miękkiej oprawie z pozaginanymi rogami, poświęconej rozmaitym grom i rozrywkom umysłowym. Już prawie kończył; odgadnięte hasła wpisywał leciutko ołówkiem, żeby po rozwiązaniu całości można było je łatwo wymazać i przehandlować broszurkę za konserwę mięsną albo tabliczkę czekolady jakiemuś innemu znudzonemu jeńcowi.

Kiedy wszedł Tommy, Townsend spojrzął na niego, uśmiechnął się i natychmiast zapytał:

– Poruczniku, co to może być – niepowodzenie w interesach na pięć liter?

– Może gówno? – odpowiedział Tommy.

Townsend ryknął śmiechem. Głos miał znacznie silniejszy, niż wskazywałaby na to jego wątła budowa.

– Nieźle, Hart – powiedział. Miał zdecydowany, chociaż ledwo wyczuwalny południowy akcent. Nie skracał słów i nie połykał końcówek, jak to robił Vincent Bedford i wielu innych ludzi z głębokiego Południa. Mówił delikatnie, rytmicznie, co przypominało tony kołysanki. – Ostry z ciebie gość. Wydaje mi się jednak, że redaktorzy „New York Timesa” mieli na myśli jakieś inne słowo, kiedy układali tę krzyżówkę...

– No to może kłapa? – podpowiedział Tommy.

Townsend popatrzył na diagram i uśmiechnął się.

– Teraz pasuje – stwierdził, po czym odłożył broszurkę i ołówek na pryczę. – Cholera, jak ja tego nie znoszę. Zawsze czuję się potem ogłupiały. Do tego trzeba mieć odpowiednio działający umysł. Po powrocie do domu nigdy już nie spojrzę na krzyżówkę.

– Gdzie on jest, ten twój dom? – zapytał Tommy, choć z góry znał odpowiedź.

– We wspaniałym stanie Wirginia. Dokładnie w Richmond, stolicy stanu.

– A co robiłeś przed wojną?

Townsend wzruszył ramionami, nie przestając się uśmiechać:

– Różności, można powiedzieć. A później uzyskałem dyplom z prawa i zacząłem pracować w administracji stanowej. To dobra robota. Stałe godziny, przyzwoita wypłata na koniec tygodnia i czekająca w dalekiej perspektywie emerytura.

– Byłeś prokuratorem stanowym? Jakie obowiązki ma taki facet? Kupowanie ziemi i wyznaczanie stref?

– Mniej więcej – odparł Townsend z uśmiechem. – Nie mam takich atutów jak ty. Na pewno nie. Uniwersytet Harvarda to nie dla mnie, obawiam się. Ja tylko studiowałem wieczorowo w lokalnym college’u. Cały dzień pracowałem w sklepie mojego taty, to znaczy w magazynie ze sprzętem rolniczym tuż za miastem. Do szkoły chodziłem wieczorami.

Tommy pokiwał głową z uśmiechem. Chciał przekonać Townsenda, że bierze tę opowieść za dobrą monetę i łyka wszystko, jak leci.

– Harvard jest przereklamowany – powiedział. – Uważam, że tyle samo na temat prawa można się dowiedzieć w mniej prestiżowych uczelniach. A zresztą większość moich kolegów z roku myślała tylko o jednym – żeby jak najszybciej otrzymać dyplom i zacząć robić forszę.

– No, ale mimo wszystko – wtrącił Townsend – Harvard wydaje się doskonałym miejscem na studiowanie prawa.

– Za to ty już skończyłeś studia i masz więcej praktycznego doświadczenia niż ja – odbił piłeczkę Tommy.

Townsend rozłożył ręce w geście niejakiej bezradności.

– Przypuszczalnie nie mam aż tak wielkiej przewagi, zważywszy wasze sesje sądowe na niby i tym podobne ćwiczenia, jakie przechodzicie w Bostonie. A poza tym, Hart, trybunał wojskowy wcale nie jest podobny do sądów okręgowych tam, w kraju.

Jasne, że nie jest, pomyślał Tommy. Te instytucje wcale nie są do siebie podobne, tyle że rezultat ma być taki sam. Nie powiedział tego głośno, a jedynie zapytał:

– Masz dla mnie listę świadków, prawda? Chciałbym także sprawdzić dowody...

– Czekam na ciebie przez cały dzień, od porannej sesji. Świetnie się tam spisałeś. Porucznik Scott robił wrażenie, jakby po same brzegi wypełniało go święte

oburzenie człowieka najzupełniej niewinnego. To fakt, zrobił właśnie takie wrażenie. Co więcej, przez cały dzień wysłuchiwałem od innych jeńców wątpliwości, pytań i licznych rozważań. Idę o zakład, że właśnie o to wam chodziło. Z tym, że ci ludzie nie mieli, rzecz jasna, dostępu do dowodów w tej sprawie, a ja je oglądałem. Dowody nie kłamią, tylko pięknie przemawiają. Mimo wszystko, chylę czoło, poruczniku Hart. Doskonale zacząłeś.

– Mów do mnie Tommy. Nazywają mnie tak wszyscy, z wyjątkiem majora Clarka i pułkownika MacNamary.

– W porządku, Tommy. Muszę ci pogratulować tego pierwszego dnia.

– Dziękuję.

– Oczywiście domyślasz się, że teraz ja dołożę starań, aby ci nieco obrzydzić życie.

– Niczego innego się nie spodziewam, licząc od poniedziałku rano.

– Tak. Spotykamy się w poniedziałek rano, punkt ósma, jak sam powiedziałeś. Obaj zdajemy sobie sprawę, że nie ma w tym nic osobistego, my tylko wykonujemy rozkazy.

Tommy gwałtownie wciągnął powietrze – te słowa słyszał już wcześniej. Pomyślał w duchu, że jednego może być najzupełniej pewien – przed zakończeniem procesu Lincolna Scotta te sprawy staną się bardzo osobiste, szczególnie dla kapitana Walkera Townsenda, który okłamywał go bez najmniejszego wysiłku.

– Naturalnie, doskonale to rozumiem – odpowiedział. – A teraz, co z tą listą świadków i dowodami?

– Mam je tutaj, zaraz ci pokażę – oświadczył Townsend. Schylił się i wyciągnął spod łóżka małą skrzynkę z drewna balsa. Wydobył z niej skórzaną lotniczą kurtkę, parę wojskowych butów obszytych kozuszką i nóż domowej roboty, a także dwa zwinięte kawałki materiału, z których jeden pokrywał rączkę patelni, a drugi rękojeść noża. Wszystko to rozłożył na pryczy.

Tommy najpierw przyjrzał się strzępom tkaniny. Wirgińczyk bez słowa obserwował jego twarz, czekając na jakąś reakcję. Hart przypomniał sobie grających w mysią ruletkę w momencie, kiedy krupier uwalniał wystraszoną mysz. Hazardziści

siedzieli nieruchomo, twarze mieli pozbawione jakiegokolwiek wyrazu – siłą woli starali się przywołać do siebie nieszczęsne zwierzę. Tommy postanowił przybrać taką samą maskę.

Nie miał najmniejszych wątpliwości. Dwa strzępy materiału pochodziły z jednego kawałka, a ten, który okrywał nóż, miał na brzegu niewielkie, ale widoczne plamki krwi. Obejrzał to wszystko dokładnie i odłożył gałganek. Wziął do ręki nóż i dokładnie sprawdził jego wymiary. Ostrze zrobiono z rozpląszonego kawałka żelaza o szerokości pięciu i długości prawie trzydziestu pięciu centymetrów. Czubek miał kształt trójkąta, ale tylko jedna krawędź była ostra jak brzytwa.

– Wygląda jak mały miecz – powiedział Townsend, udając przechodzący go dreszcz na widok groźnego narzędzia. – Tym to można zabić człowieka.

Tommy przytaknął, odłożył nóż na stół i zajął się butami. Obracał je w rękach, oglądał gładkie, skórzane podeszwy, przyszyte do cholewki, obszytej futrem. Plamki krwi znajdowały się przede wszystkim na czubkach.

– Dobrze, że niedługo zacznie się lato – powiedział Townsend. – Przykro byłoby nie nosić takich butów w zimie, co? Chociaż w tych cholernych Niemczech człowiek nigdy nie zdoła przewidzieć pogody. Jednego dnia wszyscy wychodzimy na powietrze i opalamy się jak na wycieczce do Roanoke czy Wirginia Beach, a drugiego odmrażamy sobie tyłki, stojąc na porannym apelu. Zupełnie jak gdyby lato nie mogło się zdecydować, czy ma przyjść czy nie. U nas jest całkiem inaczej. W Wirginii mamy lekką zimę i wczesną wiosnę. Róża jerychońska od dawna stoi w kwiatkach. No i bez. A powietrze jest aż przesycone słodyczą...

Hart odłożył buty na łóżko i podniósł skórzaną kurtkę. Obejrzał ją i zrozumiał, dlaczego Lincoln Scott nie zauważył plam krwi, gdy obudził się przed świtem, słysząc krzyki i gwizdki niemieckich wartowników, po czym sięgnął po kożuszek. Jedna plamka krwi była widoczna na lewym mankiecie zrobionym z dzianiny, druga przy kołnierzu po tej samej stronie, a trzecia, największa, na plecach. Obracał kurtkę na wszystkie strony, westchnął i pokręcił głową.

– W kraju pewnie bym wysunął twierdzenie, że te wszystkie przedmioty zostały zajęte bezprawnie, z naruszeniem procedury – powiedział.

– Nie wydaje mi się, Tommy, aby taki argument miał się okazać skuteczny tutaj – odrzekł Townsend. – W domu może tak, ale...

– Ale nie tutaj – dokończył Hart. – Co do tego, masz rację. A gdzie jest lista świadków?

Kapitan wyciągnął z kieszeni koszuli kartkę z nazwiskami dziesięciu jeńców i numerami baraków, gdzie ich ulokowano. Podał ją Tommy'emu, który schował spis do kieszeni, nawet nie czytając.

– Mam wrażenie, że jest jeszcze za wcześnie mówić o wyroku – powiedział powoli. – Chyba udało mi się nie dopuścić dzisiaj do linczu. Czy jednak w ogóle ma sens zastanawianie się nad ewentualnymi scenariuszami, zważywszy prawdopodobny werdykt? Jak uważasz, kapitanie? – Tommy ruchem ręki wskazał rozłożone dowody i przybrał zniechęcony, przygnębiony wyraz twarzy.

– Tommy, proszę cię, mów mi Walker. Owszem, jestem zdania, że to byłoby przedwczesne, jak sam powiedziałaś. Ale bardzo chętnie wziąłbym udział w takiej dyskusji w późniejszym terminie. Na przykład w poniedziałek po południu, co ty na to?

– Dzięki, Walker. Przyjdę w tej sprawie do ciebie. No i dziękuję ci za rozsądne podejście do tego całego interesu. Uważam, że major Clark jest...

– Dość trudnym człowiekiem? – przerwał mu Townsend. – Może ma zbyt wielki temperament.

Roześmiał się, a Tommy zawtórował mu nieszczerym śmiechem.

– To z całą pewnością – powiedział.

– Major stanowczo za długo siedzi w tej dziurze. Pewnie wszyscy tkwimy tu zbyt długo. Nawet minuta spędzona w tym miejscu to o minutę za długo. Ale w największym stopniu dotyczy to jego i pułkownika. Z tego, co słyszałem, dotyczy to także ciebie, Tommy.

Hart poklepał się po kieszeni, w której schował listę świadków.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział, kierując się do drzwi. – Wracam do roboty.

Walker Townsend skinął głową i wyciągnął rękę po krzyżówkę.

– Słuchaj, Tommy, jeżeli będziesz czegoś potrzebował od oskarżenia, zawsze

jesteś mile widziany. Przychodź do mnie w dzień lub w nocy, jak ci wygodnie – zaproponował.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – podziękował uprzejmie Tommy myśląc, że Townsend jest kłamcą. Machnął mu niby przyjaźnie na pożegnanie i szybko wyszedł na zewnątrz. Odetchnął głęboko chłodnym, ostrym jak brzytwa powietrzem. Po raz pierwszy od czasu, gdy patrzył na zwłoki Tradera Vica wtłoczone do śmierdzącego Abortu miał okazję zetknąć się z konkretnymi dowodami, a nie tylko pustymi słowami, choćby nawet wypowiedzianymi z najgłębszym przekonaniem. Był pewien, że Lincoln Scott z całą pewnością nie jest winny zabójstwa kapitana Bedforda.

Świecąca tarcza zegarka otrzymanego w prezencie od Lydii wskazywała dziesięć minut po północy, kiedy Tommy ostrożnie zsunął się ze stosunkowo ciepłej pryczy i poczuł, jak ciągnący od podłogi chłód przenika przez wełniane, często cerowane skarpetki. Na chwilę przykucnął na brzegu łóżka niczym pływak czekający na odpowiedni moment, by dać nurka do wody. Otoczyły go tak dobrze znane w tej sypialni nocne odgłosy – te same pochrapywania, kasłanie, sapanie i jęki. Dźwięki wydawane przez ludzi, których znał od wielu miesięcy, a właściwie nie znał ich w ogóle. Ciemność wydawała się otulać go czarnym płaszczem. Siłą woli musiał odegnać nagły przypływ paniki; pozostałość po klaustrofobii. Noc zawsze wydawała mu się równie ciasna jak schowek, gdzie się zatrzasnął jako dziecko. Musiał odwołać się do świadomości oraz silnej woli, aby sobie uzmysłwić, że ciemna sypialnia w baraku to nie jest to samo.

Światło reflektora z wieży strażniczej przesunęło się za oknem, precyzyjnie do wnętrza przez szpary w okiennicach i przemknęło po ścianie. Tommy był z tego zadowolony – łatwiej było mu się zorientować, gdzie się znajduje i odegnać zmyły pochodzące z czasów dzieciństwa, prześladowające go w ciasnych, ciemnych pomieszczeniach.

Sięgnął pod pryczę i znalazł buty, a potem lewą ręką wymacał lotniczą kurtkę i ogryzek świecy umieszczony w metalowej puszcze po konserwach. Nie zapalił jej – wolał poczekać na następny snop światła, wtedy będzie mógł łatwiej trafić do drzwi

na korytarz.

Nie musiał na to długo czekać. W sypialni znowu pojawiła się żółtawa poświata. Wstał, trzymając buty, kurtkę i ogarek świecy, trzema szybkimi krokami dostał się do drzwi i wymknął z pokoju. Na korytarzu zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał. Chciał się upewnić, czy nie obudził któregoś z jeńców. Otaczała go głęboka cisza, jeśli nie liczyć zwykłych odgłosów wydawanych przez uśpionych mężczyzn. Z kieszeni spodni wyciągnął zapałkę i zapalił ją, pocierając o ścianę. Przysunął płomyk do knota świecy, a gdy zrobiło się jaśniej, przemknął na palcach jak duch przez korytarz do pokoju Lincolna Scotta.

Czarnoskóry lotnik spał. Kiedy Tommy położył mu rękę na ramieniu, gwałtownie usiadł na łóżku. Hart obawiał się przez moment, że pilot poczęstuje go jednym ze swych groźnych ciosów z prawej, ponieważ odwrócił się w jego stronę, zlorzecząc pod nosem.

– Cicho! – szepnął Tommy i podniósł świecę do twarzy. – To ja, Hart.

– Jezus Maria, Hart – mruknął Scott. – A ja myślałem...

– Co takiego?

– Sam nie wiem. Spodziewałem się kłopotów.

– Może i ja jestem takim kłopotem – powiedział cicho Tommy.

Scott opuścił nogi na podłogę.

– A co ty właściwie tu robisz?

– Chodzi o eksperyment – odpowiedział Tommy z uśmiechem. – Odtworzenie niewielkiej scenki.

– Mianowicie jakiej?

– To łatwe – zapewnił go Hart. – Przyjmijmy, że jest to noc, podczas której został zabity Vic. Najpierw pokaż mi dokładnie, w jaki sposób podniosłeś się i jak się wówczas poruszałeś. Potem spróbujemy sobie wyobrazić, dokąd Vic udał się, zanim jego trup wylądował w Aborcie.

Scott skinął głową na znak, że się zgadza.

– To brzmi sensownie – powiedział, ocierając z oczu resztki snu. – Która godzina?

– Niedługo po północy.

Czarny lotnik przesunął dłonią po twarzy.

– To się mniej więcej zgadza. Nie mam zegarka, więc nie mogę powiedzieć dokładnie, o której wtedy wstałem. Było zupełnie ciemno, dookoła panowała kompletna cisza. Może działo się to trochę wcześniej lub o godzinę później, ale z pewnością różnica nie była większa. Na pewno jeszcze nie świtało.

– Jego zwłoki odkryto tuż przed brzaskiem.

– Ja wstałem z łóżka znacznie wcześniej. Tego jestem pewien.

– W porządku – wtrącił Tommy. – A zatem wstałeś...

– Moja prycza znajdowała się mniej więcej w tym miejscu – ciągnął Scott. – W pokoju stały cztery piętrowe łóżka, po dwa z każdej strony. Ja spałem najbliżej drzwi, więc mogłem się obawiać tylko tego gościa nade mną...

– A Bedford?

– Miał miejsce po przeciwnej stronie. Spał na dolnej pryczy.

– Czy widziałeś go wtedy?

Scott pokręcił głową.

– Nie przyglądałem się – odrzekł.

Tommy miał zamiar zatrzymać się nad tym, ponieważ ostatnia odpowiedź wydała mu się pozbawiona sensu, lecz po chwili wahania pytał dalej:

– Czy zapaliłeś świecę przy łóżku?

– Tak, zapaliłem ją, a potem zasłoniłem płomień ręką. Jak już mówiłem, nie chciałem obudzić pozostałych. Nie wziąłem butów ani kurtki...

– Gdzie znajdowało się ubranie?

– Buty stały w nogach łóżka. Kurtka wisiała na ścianie.

– Czy wówczas widziałeś te przedmioty?

– Nie, nie patrzyłem na nie. Nie miałem powodu podejrzewać, że ktoś mógłby je zabrać. Chciałem tylko zrobić swoje i jak najszybciej wrócić na wyro. Do toalety jest blisko, nie chciałem robić hałasu. Poszedłem tam na bosaka, chociaż było cholernie zimno...

Tommy pokiwał głową; coś w dalszym ciągu nie dawało mu spokoju. Odpędził jednak te wątpliwości i mówił dalej:

– No dobrze, idziemy. Pokaż mi dokładnie, co robiłeś tamtej nocy. – Tylko tym razem zabierz buty i kurtkę. Idź tą samą drogą, z taką samą prędkością.

Spojrzał na zegarek, żeby zmierzyć czas.

Scott podniósł się bez słowa. Tak jak wcześniej Tommy, wziął do ręki buty i lekko pochylony odsunął się od pryczy. Gestem dłoni pokazał, gdzie spali inni jeńcy, wskazał palcem, w którym miejscu wisiała jego kurtka. Cicho przeszedł przez pokój dwoma długimi krokami i otworzył drzwi. Tommy szedł tuż za nim. Przy okazji zwrócił uwagę, że w przeciwieństwie do innych drzwi w baraku te akurat miały naoliwione zawiasy. Przy poruszeniu skrzypnęły cichutko. Taki odgłos, nawet powtórzony przy zamykaniu, nie mógł obudzić najczujniej śpiącego człowieka. Kiedy wyszli, drzwi lekko stuknęły. Znajdowali się już na korytarzu.

Scott wyciągnął rękę w kierunku pojedynczej toalety. Mieściła się w sporządzonej domowym sposobem kabinie, niewiele większej niż szafa na ubrania w odległości jakichś siedmiu metrów od sypialni. Tommy podniósł świeczkę, by lepiej oświetlić drogę. Stąpali bezszelestnie po drewnianej podłodze.

Doszli do ubikacji.

– Wszedłem do środka – informował go Scott – załatwiłem się, a następnie wróciłem do pokoju. To wszystko.

Tommy spojrzał na zielonkawe światło na tarczy zegarka. Nie upłynęły więcej niż trzy minuty od chwili, gdy Lincoln podniósł się z pryczy. Potem odwrócił się i popatrzył w głąb korytarza. Nagle poczuł ucisk w żołądku – musiał przełknąć ślinę; strach przed ciemnością. Pokonał to nieprzyjemne uczucie i skoncentrował się na sprawie. Jedyne drzwi prowadzące na zewnątrz mieściły się na końcu baraku – aby do nich dotrzeć, należało minąć wszystkie sypialnie. A zatem ktoś, kto chciałby wyjść z toalety na dwór, musiałby przejść obok stu mężczyzn, śpiących za zamkniętymi drzwiami swoich sypialni. Nie znał jednak sposobu, żeby stwierdzić, kto mógł słyszeć tamte kroki, kto się obudził i czuwał.

– A zatem nikogo nie widziałeś? – zapytał ponownie Hart.

Scott odwrócił się, patrząc w ciemny korytarz.

– Nie, już ci mówiłem. Nikogo nie widziałem.

Tommy nie zareagował na wahanie w głosie lotnika z Tuskegee.

– W porządku – ciągnął dalej. – Już wiemy, co ty robiłeś. Teraz trzeba się zastanowić, co mógł robić Trader Vic.

Z butami w rękach szli cicho wzdłuż korytarza, oświetlając drogę świeczką. Przy drzwiach wyjściowych Tommy zatrzymał się i pomyślał. Światło reflektora prześliznęło się po ścianie, wydobywając na chwilę z mroku schodki przez wejściem, później przeniosło się dalej, w stronę pokoi sypialnych. Reflektor znajdował się po lewej ręce, a to oznaczało, że oświetlał wszystkie pokoje po tej stronie baraku, gdzie spali Lincoln Scott i Trader Vic. Istniała też możliwość, że ktoś wyskoczył przez okno po prawej stronie baraku. Natomiast nie mógł się poruszać wśród śpiących jeńców w ciasnej sypialni, jeżeli się do tego z góry nie przygotował. Tommy nabrał pewności, że jeńcy wychodzący nocą do tunelu, a zwłaszcza ci, którzy ostatnio zginęli pod zwałami ziemi, mieszkali po tej stronie baraku. Wszyscy inni – członkowie komisji ucieczkowej, fałszerze, szpiedzy i tak dalej – musieliby obudzić mieszkańców pokoju, z którego okna zamierzali skakać. A to kolidowałoby z regułami tajemnicy wojskowej. Wprawdzie do jeńców można było mieć zaufanie, lecz podejmowanie nadmiernego ryzyka graniczyłoby z głupotą. Groziło również zdemaskowaniem tych, którzy pracują ciemną nocą, a więc znów naruszałoby zasady bezpieczeństwa.

Tommy szybko liczył, mierzył odległość, uwzględniał wszystkie czynniki – czuł się tak, jak gdyby za chwilę jakiś siwowłosy profesor na wydziale prawa miał zapisać kredą na tablicy temat rozprawy dla studentów. Doszedł do przekonania, że każdy, kto musiał opuścić nocą barak sto jeden i nie chciał przy tym zwracać uwagi współmieszkańców ani Niemców, przypuszczalnie wybrałby drzwi prowadzące na dwór.

Reflektor znowu przesunął się po ścianie. Światło szybko wcisnęło się do środka przez szpary w drzwiach i równie szybko zniknęło, ustępując miejsca ciemności.

Niemcy niechętnie używali reflektorów, szczególnie wtedy, gdy Brytyjczycy bombardowali nocą pobliskie obiekty. Nawet najgłupszy żołnierz mógł sobie wyobrazić, że obserwowany z powietrza reflektor kojarzy się ze składem amunicji

lub jakąś fabryką, a sfrustrowany pilot lancastera, który niedawno uniknął groźnych ataków nocnych myśliwców Luftwaffe może popełnić błąd i zrzucić im na łeb cały zapas bomb.

Korzystano więc z reflektora w sposób nieregularny, co zwiększało niebezpieczeństwo dla człowieka usiłującego przemknąć się nocą z jednego baraku do drugiego. Trudno było ustalić odstęp czasowy między jednym a drugim snopem światła, ponieważ dużą rolę odgrywał tu przypadek.

Tommy odetchnął głęboko. Jeśli ktoś dostał się w snop światła bijącego z reflektora, prawdopodobnie otrzymywał wyrok śmierci.

W najlepszym razie rozlegały się gwizdki i ogłaszano alarm. Jeżeli delikwent podniósł ręce do góry, zanim Hundführer albo żołnierze siedzący na którejś z wież strażniczych wycelowali w niego swoje schmeissery, istniała szansa, że skończy się tylko na dwóch tygodniach karceru. Ale złapanie jeńca poza barakiem oznaczało też wykrycie tunelu, ujawnienie tajnego spotkania lub innego powodu, dla którego jeńcy wymykali się na zewnątrz. W takim razie – rozumował Tommy – nie można mówić o rutynowej, zwyczajnej motywacji, skłaniającej ludzi do wychodzenia z baraków po zgaszeniu światła.

Powoli wypuścił długo zatrzymywane w płucach powietrze, które ze świstem przedostało się przez zęby. Doszedł do wniosku, że ta wyprawa z pewnością nie ma charakteru rutynowego. Zapiął kurtkę i pochylił się, by naciągnąć buty. Dał sygnał Scottowi, żeby zrobił to samo. Lincoln uśmiechnął się lekceważąco, jak wojownik dobrze zaznajomiony z niebezpieczeństwem.

– Co jest, u diabła, Hart? – zapytał. – Nie chcę, żeby mnie złapali.

– Nie jest ważne, czy cię złapią. Istotne jest to, czy nie jesteś martwy. Nie chcę, żeby nas zastrzelili – powiedział Tommy. Poczul nagłą suchość w gardle, od której zeszywniał mu język. – Nie, nie...

– Jasne, że nie – odrzekł Scott z szerokim uśmiechem. Tommy pomyślał, że jego towarzysz poczuł się znowu pilotem myśliwca. Ostatni raz przeżywał podobne emocje, kiedy katapultował się z płonącej maszyny nad terytorium wroga. Czarnoskóry oficer zawiązywał buty i jednocześnie zapytał:

- No więc dokąd najpierw idziemy?
- Do Abortu. Trochę tam poszperamy.
- A czego konkretnie szukamy?
- Konkretnie, to sam nie wiem. Chodzi o miejsce, które ktoś mógłby uznać za dogodny do popełnienia morderstwa.

Tommy ruszył do wyjścia. Zdmuchnął płomyk świecy i oddychał równomiernie, płytko, niczym przygotowujący się do biegu sprinter. Gdy światło reflektora przesunęło się po ścianie baraku, błyskawicznie nacisnął klamkę, otworzył drzwi i rzucił się w ciemność, tuż za ruchomym snopem światła. Scott deptał mu po piętach.

8. Miejsce, w którym popełniono morderstwo

Tommy szalonym sprintem przebiegł kilkadziesiąt metrów i ciężko dysząc, oparł się o ścianę baraku sto dwa. Przyciskał plecy do drewnianych desek, jakby chciał się w nie wtopić. Patrzył na przesuwający się promień reflektora, oświetlającego narożniki i ściany baraków niczym dzikie zwierzę szukające węchem ofiary na skraju zarośli. To światło wydawało się żyć własnym, złowrogim życiem. Wstrzymał oddech, kiedy promień zawahał się na dachu przyległego baraku. Nie przesunął się dalej, tylko z jakiegoś powodu zaczął się cofać w kierunku Harta. Przejęty strachem Tommy skurczył się i stał jak skamieniały, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Snop światła posuwał się stopniowo w jego kierunku, jak gdyby zamierzał wydobyć go z głębokiego cienia. Był już nie dalej niż metr, szperał złowrogo w ciemności, jakby wiedział, że jest tam amerykański jeńiec, choć nie wiadomo dokładnie, w którym miejscu. Wyglądało to jak obłądna wersja dziecięcej zabawy w chowanego, w której przegranemu grozi śmierć. Tommy poczuł na ramieniu rękę Lincolna, który brutalnie przydusił go do ziemi.

Upadł na chłodną ziemię. Scott usiłował wciągnąć go do niewielkiego zagłębienia obok baraku. Wczołgał się tam tyłem, jak rak.

– Opuść głowę – usłyszał.

Ukrył więc twarz w piasku, a snop światła reflektora prześliznął się po ścianie budynku, pod którym się ukryli. Tommy zamknął oczy. Czekał, aż rozlegną się gwizdki i krzyki strażników obsługujących reflektor na wieży. W pewnej chwili miał wrażenie, że słyszy charakterystyczny szcęk repetowanego karabinu – a potem wszystko się uspokoiło.

Ostrożnie podniósł głowę – czuł w ustach suchy, stęchły smak piachu. Widział, jak światło reflektora przesuwa się dalej, przeskakuje przez dach sąsiedniego baraku i penetruje oddalony od nich teren, jakby szukało następnej ofiary. Odetchnął głośno. Leżący obok niego Scott powiedział szeptem:

– No, tym razem było cholernie blisko.

Odwrócił głowę i spojrzał na ledwie widoczną w ciemności postać czarnoskórego pilota.

– Kiedy zbliża się niebezpieczeństwo, człowiek musi ruszać się szybciej – szepnął Scott. – Miałeś szczęście, że nie latałeś na myśliwcu, Hart. Lepiej trzymać się, sympatycznych, stabilnych, solidnych bombowców. Tam nie musi się reagować równie szybko jak w myśliwcach. A po powrocie do Stanów, może lepiej zająłbyś się jakimś sportem niekontaktowym. Futbol i boks – to nie dla ciebie. Pasowałby ci golf albo wędkarstwo. A może byłoby najlepiej, gdybyś po prostu czytał książki?

Tommy nachmurzył się. Poczuł nagły przypływ woli walki. W szkole, a potem na studiach bardzo dobrze grał w tenisa, a ponieważ wychował się w Vermoncie, nauczył się wyśmienicie jeździć na nartach. Chciał powiedzieć, jak to jest, kiedy stoi się na szczycie pokrytego śniegiem grzbietu górskiego, a zimny wiatr przedziera się przez wełniane ubranie. Człowiek patrzy wtedy na strome zbocze i musi wyzwolić w sobie straceńczą odwagę, by przejechać przez szczyt i ruszyć w dół. Taka decyzja wymaga innego rodzaju brawury i nieliczenia się z niebezpieczeństwem, chociaż miał świadomość, że nie jest to identyczne z wejściem na ring i stawieniem czoła innemu mężczyźnie, którego celem jest złamać, zniszczyć przeciwnika. To drugie było domeną Lincolna Scotta. Boks to walka bardziej pierwotna – Tommy nie miał pewności, czy zdołałby się sprawdzić w takiej sytuacji.

Przyszło mu na myśl, że jest wiele pytań dotyczących jego samego, na które musi sobie odpowiedzieć, bo zaniedbał tę sferę życia.

– Wszystko z tobą w porządku, Hart? – zapytał ostrym tonem Scott.

– Nic mi nie jest – odrzekł Tommy, odpędzając od siebie pytania podsuwane przez wyobraźnię. – Trochę się wystraszyłem i tyle.

Scott zawahał się – był lekko rozbawiony.

– No to okay, mecenasie. Prowadź dalej. Ruszamy w szyku ścisłym, skrzydło w skrzydło.

Tommy podniósł się. Już odzyskał panowanie nad sobą. Odetchnął głęboko chłodnym, nocnym powietrzem i nagle zdał sobie sprawę, że od prawie dwóch lat nie wychodził z baraku w środku nocy. Życie w obozie jenieckim narzucało bardzo

uproszczony tryb życia: światła gasną wkrótce po zmroku, trzeba się kłaść do łóżka i spać, walcząc z nocnymi koszmarami. Pobudka o świcie, wstawanie, odliczanie – wszystko zaczyna się od początku.

W ciągu długich miesięcy, jakie Hart spędził w Stalagu Luft 13, w pobliżu obozu zdarzyło się może kilkanaście nalotów bombowych. Wtedy zawyły syreny. Jednak na obszarze opasanym drutami Niemcy nie przewidzieli żadnych schronów, nie wyrazili też zgody na zbudowanie ich przez więźniów, żeby mogli się kryć przed własnymi rodakami, znajdującymi się wysoko nad ich głowami. Kiedy rozległ się alarm, niemieccy wartownicy szybko zamykali na kłódki drzwi wszystkich baraków. Obawiali się wykorzystania przez jeńców nalotu jako okazji do działalności wywrotowej albo ucieczki i pewnie mieli rację. Zawsze przecież istnieje grupa ludzi, gotowych podjąć ryzyko przy lada okazji. Perspektywa ucieczki działała jak silny narkotyk, a nałogowcy byli zdolni wykorzystać każdą nadarzającą się okazję, nawet jeśli wiedzieli, że ze Stalagu Luft 13 nikomu nie udało się uciec. Dlatego Niemcy zamykali drzwi, gdy rozlegały się syreny, a siedzący w środku jeńcy w milczeniu i niemal panicznym strachu wsłuchiwali się w coraz bliższe odgłosy wybuchów. Rozumieli, że każda z bomb, jakie kiedyś oni sami wozili, może z łatwością zrównać z ziemią lekkie, drewniane baraki i zabić ich wszystkich.

Tommy nie wiedział, dlaczego Niemcy nie zamykają ich w barakach co noc. Pewnie musieliby wtedy pozamykać wszystkie okna, a to wymagałoby wielu godzin. A nawet gdyby to zrobili, jeńcy zmajstrowaliby tajne przejścia pozwalające im wychodzić w nocy. Tak więc podczas nalotów drzwi były zamknięte, ale okna otwarte, co nie miało sensu. Tommy zawsze podejrzewał, że gdyby bomby zaczęły spadać na obóz, nikt nie byłby w stanie stwierdzić, co zrobią jeńcy i w związku z tym zamykanie drzwi uważał za działanie bezużyteczne. Jednak Niemcy ciągle to robili, nie udzielając żadnych wyjaśnień. Tommy był zdania, że chodzi tu o ścisłe przestrzeganie sztywnych i nienaruszalnym regulaminów Luftwaffe, nawet jeśli są one absurdalne.

Powoli oczy Harta przyzwyczaiły się do ciemności. Kształty i odległości, tak dobrze znane za dnia, teraz zdradliwie zmieniały formę. Otaczały go ciemność i

cisza. Słyszał tylko miarowy oddech Scotta z boku.

– Ruszajmy dalej – ponaglił go szeptem pilot z Tuskegee.

Tommy skinął głową, lecz nie zrobił ani kroku, tylko wpatrywał się w niebo. Księżyc był prawie w pełni, dzięki czemu łatwiej mogli odnaleźć drogę w mdłej poświacie. Szukał na niebie gwiazd. Liczył konstelacje, rozpoznawał znane układy ciał niebieskich i szeroką, zamgloną wstęgę Drogi Mlecznej. Zupełnie, jakby pozdrawiał nadchodzącego z dali przyjaciela – nawet uniósł lekko rękę na powitanie. Upłynęło wiele miesięcy od czasu, gdy po raz ostatni stał na dworze w cichą noc i patrzył w niebo. Przypomniawszy sobie, że służył w lotnictwie jako nawigator, rzucił jeszcze raz okiem na połyskujące punkciki świetlne na nieboskłonie, a potem ruszył szybkim krokiem do Abortu.

Poruszali się zygzakiem, od jednej plamy cienia do drugiej, zbliżając się do miejsca, skąd rozchodził się dobrze znany odór ludzkich odchodów i gaszonego wapna. Ten charakterystyczny smród, który w swoim kraju uznaliby za nieznośny i obrzydliwy, stał się dla nich teraz, kiedy byli jeńcami, czymś równie normalnym jak smażenie bekonu na domowe śniadanie w niedzielę.

Ich kroki na wilgotnej ziemi wydawały głuchy odgłos. Nie zamienili ani słowa, dopóki nie dobrnęli do drzwi prowadzących do ubikacji. Tommy zatrzymał się, przyklęknął w najciemniejszym miejscu i zaczął przyglądać się otoczeniu, zastanawiając się nad następnym krokiem.

– Dokąd teraz, mecenasie? – zapytał cicho Scott. – Czego tu szukasz?

Tommy zmrużył oczy. Myślał intensywnie. Chwilę później odwrócił się do Scotta:

– Jesteś silny. Wyobraź sobie, że musisz przenieść Vincenta Bedforda na plecach, przewieszzonego przez lewe ramię. Ile on mógł ważyć? Pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt kilo?

– Sześćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt pięć. To był żylasty, mały skurwiel, ale odżywiał się lepiej niż cała reszta.

– Dobrze, powiedzmy, że siedemdziesiąt pięć kilogramów. Mówimy o martwej wadze. Jak daleko doniósłbyś taki ciężar? Pamiętaj, na lewym ramieniu.

– Ja bym nie użył lewej ręki...

– Wiem o tym.

Scott w ciemności skinął głową na znak, że zrozumiał, o co chodzi.

– Niezbyt daleko. Chociaż może dalej, niż można by przypuszczać, ponieważ wyzwolona u zabójcy adrenalina dodaje siły. Tak czy owak, niezbyt daleko. To nie jest tak, jak z dźwiganiem kumpla, któremu chcesz uratować życie. No, może ze sto metrów, a może trochę mniej, zależnie od tego, jak bardzo byłbym zdenerwowany.

Tommy liczył w pamięci. Zaczął układać równanie uwzględniające odległość od baraków i przesuwające się po terenie reflektory. Miejsce zabójstwa musiało znajdować się w pobliżu, skoro morderca wybrał akurat ten Abort, a nie jakiś inny. Co więcej, droga do tej ubicacji zapewniała pewne bezpieczeństwo.

Pokiwał głową, zastanawiając się, dlaczego postać mordercy ciągle mu umyka.

– On musiał unikać reflektora i strażników przy ogrodzeniu, nie hałasować, by nie zbudzić innych jeńców, i oto, gdzie skończył wyprawę – mówił Tommy. – Dokąd w tej sytuacji mamy iść? Zgaduj jak umiesz najlepiej, poruczniku.

Scott zastanawiał się przez chwilę, rozejrzał dookoła, a potem wyszeptał:

– Chodź za mną.

Nie czekał na potwierdzenie, tylko ruszył alejką między barakami, omijając wejście do Abortu. Posuwał się wolno, trzymał blisko ściany baraku sto dwa, aż doszedł do końca budynku. Tommy dotrzymywał mu kroku.

Stanęli w cieniu, w miejscu, skąd mogli obserwować oddalone o niespełna trzydzieści metrów druty, które akurat tutaj oddalały się od nich, skręcały i opasywały boisko oraz plac apelowy. Jakieś pięćdziesiąt metrów od nich stała wieża strażnicza. W słabym świetle księżyca widzieli sylwetki dwóch żołnierzy, stojących na wysokiej platformie. Tommy orientował się, że na wieży oprócz reflektora w tym momencie wyłączzonego znajduje się, trzydziestomilimetrowy karabin maszynowy. Poczł przebiegający go dreszcz. Już chciał się odezwać, kiedy Scott powiedział szepem:

– To nie ta droga. Z tymi szkopami na górze byłoby za duże ryzyko.

Gdzieś w ciemności krótko zaszczekał pies Hundführera i natychmiast został

uciszony przez swojego pana. Amerykanie przyłgnęli do ściany.

– Jest jeszcze inna droga – szepnął Tommy. – Dłuższa, ale...

– ...ale bezpieczniejsza – dokończył Scott.

Zaczął się wycofywać do miejsca, z którego wyruszyli. Posuwali się cicho i ostrożnie. Do frontowej ściany baraku sto dwa dotarli po minucie. Po lewej stronie, za otwartym podwórzem, były prowadzące do baraku sto jeden schody.

Lincoln zrobił krok w kierunku schodów wiodących do drzwi wejściowych baraku sto dwa, lecz natychmiast się wycofał. Widząc to, Tommy przycisnął się do ściany. Dopiero po chwili zrozumiał powód zachowania Scotta. Światło reflektora, które na początku deptało im po piętach, teraz oświetlało narożnik stojącego w niewielkiej odległości baraku.

Ten sam problem, co z drugiej strony – pomyślał Tommy. Oddychał szybko, z przerwami. Reflektor oznaczał śmierć. Może nie ostateczną, tylko potencjalną, ale poczuł do tego urządzenia nagłą nienawiść. Przyklęknął, obserwując przesuwające się coraz dalej światło, rozcinające ciemność jak ostrze szabli.

Scott przykucnął obok niego.

– Wątpię, czy on szedł tą drogą – powiedział. – Nie zrobiłby tego z obciążeniem, dźwigając zwłoki na grzbiecie.

Tommy odwrócił się i popatrzył w głąb czarnego korytarza prowadzącego do Abortu.

– Nie sędzę, aby zabito go gdzieś tutaj – zauważył. – Za blisko okien, za wiele szumu. Gdyby Vic krzyknął nawet raz, ktoś by go usłyszał. Ludzie mogliby też usłyszeć odgłosy walki. Problem w tym, że nie wyobrażam sobie, jak można przenieść ciało od jednego czy drugiego końca budynku. Wobec tego jakim cudem te zwłoki znalazły się tutaj, do cholery?

– A może on nie niósł zwłok dookoła – zastanawiał się Scott. – Widzisz, to samo dotyczy wszystkich członków komisji ucieczkowej i tunelowców, każdego mieszkańca baraku sto jeden, który musi gdzieś przejść w nocy, mam rację?

– Owszem. – Tommy zaczął intensywnie myśleć.

– A to oznacza, że jest inna droga. Wiedzą o niej tylko nieliczni, tylko ci, którzy

muszą ją znać.

Lincoln wysunął głowę do przodu i wskazał na ścianę baraku sto dwa.

– Tam jest przejście, którym można się przeczołgać – powiedział cicho. – To musi być tam. Przejście prowadzące pod tym barakiem i wychodzące z drugiej strony...

Nie dokończył zdania, tylko zaczął się cofać wzdłuż ściany budynku, bacznie przyglądając się jej dolnej krawędzi. Kiedy znaleźli się pod czwartym oknem, z zamkniętymi okiennicami, nagle przykucnął i szepnął rozkazująco:

– Trzymaj się za mną, Hart!

Później dał nurka pod wystający brzeg baraku; jego nogi zniknęły z pola widzenia, jakby pochłonęła je ziemia.

Tommy rzucił się za nim. W kompletnej ciemności natychmiast wyczuł ledwie zauważalny ruch – to Scott czołgał się pod podłogą baraku sto dwa. Ciasna, czarna przestrzeń owinęła go jak kołdra. Wciągnął powietrze, zrobił krok w tył, jak gdyby ta groźna pustka chciała go złapać w swoje macki. Serce zaczęło mu walić, na czoło wystąpił pot. Sapnął jeszcze raz, z trudem oddychał. Powiedział sobie, że nie jest w stanie tam wejść.

Nie chciał walczyć ze strachem, który go opanował, z tym uczuciem głęboko tkwiącym w sercu, sięgającym w głąb brzucha, gdzie emocje ścisnęły i wykręcały mu wnętrzności. Potrząsnął głową. Nie ma szans – powiedział w duchu. – Nie wcisnę się tam.

Siłą woli zmusił się do ponownego spojrzenia pod podłogę baraku. Scott przeczołgał się już pod budynkiem i wychodził z drugiej strony. Księżyc świecił na tyle jasno, że Tommy zdołał zauważyć widoczne w oddali wyjście. Przejście było wąziutkie, niedostrzegalne dla kogoś, kto go specjalnie nie szukał. Szerokość baraku wynosiła pewnie nie więcej niż dziesięć metrów, ale Tommy'emu wydawało się, że jest to strasznie długa droga, wprost nie do pokonania. Jeszcze raz potrząsnął głową, a zaraz potem usłyszał ostry, ponaglący szept Scotta:

– Dawaj, Hart! Pospiesz się, do cholery!

Dźwięk był na tyle donośny, że zagłuszył wewnętrzny głos, powstrzymujący go od pójścia za swoim towarzyszem.

Przypomniął sobie, że opuszczenie baraku w środku nocy to był jego pomysł, tak samo jak zamiar odszukania o tej porze miejsca, w którym popełniono morderstwo. To wszystko wymyślił on, Hart, nikt inny. Więc teraz musi to zrobić. Gorączkowo starał się pozbyć wszystkich strachów i wewnętrznego dreszczu, z oczami wbitymi w widoczne po drugiej stronie wyjście wpełzł pod barak i zaczął się czołgać tak szybko, jak to może robić tylko człowiek skrajnie zdesperowany.

Posuwał się do przodu, drapiąc rękami miękką ziemię. Uderzał głową o belki podpierające podłogę, ale parł naprzód. Czuł w gardle obrzydliwy posmak narastającej paniki, bał się, że mięśnie odmówią mu posłuszeństwa. Przez chwilę miał wrażenie, że pomylił kierunek, że wylot gdzieś zniknął. W wyobraźni tonął, zalewany falami strachu. Stracił poczucie czasu – nie potrafiłby powiedzieć, czy spędził w tym przejściu sekundy, czy godziny; zaczął się krztusić i kasłać. Mimo ogarniającej go paniki przedzierał się do przodu. Był w stanie wyczołgać się z tego miejsca. Wreszcie wydostał się na zewnątrz. Poczuł, jak Scott łapie go i pomaga stanąć na nogach.

– Jezu, Hart! – szepnął czarnoskóry lotnik. – Co ci się stało, do cholery?

Tommy z trudem łapał powietrze; przypominał człowieka wyciągniętego z rozszalałego oceanu.

– Nie mogę tego wytrzymać – odrzekł powoli. – Nie znoszę zamkniętej przestrzeni. To klaustrofobia. Po prostu nie dają rady.

Trzęsły mu się ręce, po twarzy spływał pot. Drżał na całym ciele, jakby nagle zrobiło się bardzo zimno.

Scott objął go ramieniem.

– Już wszystko w porządku – powiedział. – Zrobiłeś to. W końcu nie było tak źle.

Tommy potrząsnął głową.

– Nigdy więcej – powiedział, ciężko oddychając.

Uniósł głowę i rozejrzał się. W alejce pomiędzy dwoma nieznanymi barakami poczuł się jak w innym świecie. W gruncie rzeczy to miejsce prawie niczym nie różniło się od innych, ale mimo to wydawało się jakieś dziwne, niepowtarzalne. Bacznie obserwował okolicę.

I nagle zobaczył to, czego szukał.

Baraki rozlokowano szeregowo w sposób typowy dla niemieckiego porządku. Tylko barak sto trzy był ustawiony pod niewielkim kątem do budynku sto dwa. Podczas oczyszczania terenu pod przyszły obóz ścięto wielkie drzewo rosnące w tym miejscu, ale nie wykarczowano pniaka. Z tego powodu jeden barak został nieco bardziej przysunięty do sąsiedniego. Ściany obu budynków tworzyły ostry kąt, podobny do litery V, a w narożniku powstało ciemne, osłonięte miejsce. Wyciągnął rękę w tym kierunku.

– To tam – powiedział. – Chodźmy.

Poszli wzdłuż ściany baraku. Przy jej końcu Tommy zauważył rabatkę z roślinami. To miejsce było znacznie bardziej mroczne – noc chroniła je lepiej niż narożniki pobliskich baraków. Dachy nie dopuszczały tu światła księżyca. Do wąskiego przesmyku nie docierał nawet wszędobylski reflektor, którego światło błąkało się po dachu baraku po drugiej stronie i trochę rozjaśniało alejkę, choć tam też tworzyły się głębokie cienie. Co więcej, druty, ścieżka dla strażników krążących przy ogrodzeniu oraz wieża strażnicza zostały przesunięte dalej – trzeba było obejść kolejne pozostawione w ziemi pnie drzew. Tommy zatrzymał się, ponieważ przyszło mu do głowy, że również za dnia w tym miejscu jest niewiele światła. A skoro tak, to jakiś jeniec wybrał sobie bardzo dziwne miejsce na ogródek.

Zaczął się zastanawiać. W tym zakątku łatwo się schować. Jest tu bardzo spokojnie i bardzo ciemno. Poszedł dalej i odwrócił się; skrywała go ciemność, podczas gdy każdy człowiek, zbliżający się alejką byłby widoczny w świetle dalekich reflektorów. Powoli pokiwał głową, jak gdyby prowadził dyskusję z własną wyobraźnią. To miejsce spełniało wymagania potencjalnego zabójcy.

Poczuł satysfakcję i podniecenie. Dręczyło go jednak pewne pytanie, tłumiące entuzjazm: dlaczego Trader Vic miałby przyjść akurat tutaj, do tego ciemnego zakątka? Co go tu przyciągnęło, co spowodowało, że znalazł się w miejscu, w którym czekał na niego jakiś mężczyzna ze sztyletem?

Coś musiało skłonić Vincenta Bedforda do przyjścia tutaj. Widocznie uważał, że jest to bezpieczne. Albo opłacalne materialnie. Te względy zawsze się dla niego

liczyły. Tymczasem tu czekała na niego śmierć.

Tommy powoli odwrócił się i spojrzał na najbliższe baraki. Przyklęknął, żeby zbadać palcami spulchnioną ziemię ogródka.

Ale dlaczego przeniesiono jego zwłoki po zabójstwie? Z punktu widzenia mordercy znacznie mniej ryzykowne było pozostawienie ciała Bedforda tam, gdzie zginął. Chyba że w pobliżu znajdowało się coś, na co nie chciał zwracać niczyjej uwagi.

– I co myślisz? – zapytał szeptem Scott. – Czy to jest to miejsce? Z pewnością doskonale nadaje się do uciszenia kogoś.

– Trzeba będzie przyjść tu jeszcze za dnia – odparł Tommy. – I obejrzeć to dokładniej. Choć wydaje mi się, że to dobry wybór na miejsce zbrodni.

– No to zabierajmy się stąd.

– Dobrze – zgodził się Tommy, wstając z klęczek. Ledwie jednak zawrócili, Scott niespodziewanie chwycił go za ramię. Znieruchomieli.

– Co się stało? – zapytał szeptem Tommy.

– Coś usłyszałem. Cicho!

– Co takiego?

– Powiedziałem: cicho!

Wycofali się pod ścianę baraku i przyłgnęli do niej. Tommy wstrzymał oddech, aby nawet taki cichy odgłos nie mącił nocnej ciszy. Wtedy usłyszał krótki głuchy łoskot. Hart nie mógł się zorientować, skąd ten hałas dochodził. Po chwili usłyszał coś, co przypominało drapanie lub szelest. Mocno zagryzł wargę.

Scott pociągnął go za rękaw. Położył mu palec na ustach, nakazując milczenie, i gestem dał znak, żeby szedł tuż za nim. Potem poszedł przed siebie w głąb ciemnej alejki, miękko i zwinnie jak kot, a przy tym tak szybko, jakby bardzo się spieszył. Tommy pomyślał, że Lincoln świetnie potrafi się poruszać bez najmniejszego szmeru. Usiłował dotrzymać mu kroku i iść jak najciszej.

Mimo to miał wrażenie, że każdy jego ruch jest zbyt głośny. Czuł przyspieszone tętno, starał się wykryć w ciemności źródło dźwięków, które do niego docierały. Wydawało mu się, że każdy cień porusza się, a w każdej ciemnej plamie kryje się

coś groźnego.

Niemal słyszał czyjś oddech, a potem odgłosy kroków z położonego obok boiska. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie są to realne hałasy, tylko strachy, rodzące się w jego sercu, które głośno tłukło się w piersiach.

Kiedy dotarli do przejścia pod barakiem sto dwa, Tommy'emu zaczęły się trząść ręce. Poczuł w gardle kwaśny posmak żółci. Obawiał się, czy w ogóle jest w stanie mówić.

Scott zatrzymał się, pochylił się nad Hartem i przyłożył mu rękę do ucha.

– Jestem prawie pewny, że ktoś idzie za nami – wyszeptał. – Jeżeli to jakiś szkop, nie możemy pokazać mu przejścia pod barakiem. Niemcy domyśliliby się, że jeńcy czołgają się tamtędy na drugą stronę i jutro zalaliby to cementem. Do tego nie można dopuścić. Musimy obejść barak od frontu i przeskoczyć ten reflektor.

Tommy poczuł przyjemną ulgę, gdy zorientował się, że nie będzie musiał ponownie przełazić pod podłogą. Jednocześnie uznał sposób myślenia Scotta za jak najbardziej słuszny. Jego towarzysz rozumował jak żołnierz. Jednak sam nie wiedział, co go bardziej przeraża: czy ponowne czołganie się pod barakiem, czy uciekanie przed światłem reflektora i podążającym za nimi w ciemności nieznanym. Obie ewentualności wydawały się jednakowo groźne.

– To może być któryś z naszych chłopaków – dodał Scott – ale może też chodzić o coś znacznie gorszego... – Jego słowa rozplynęły się w chłodnym, nocnym powietrzu.

Lincoln spojrzął na mroczną pustkę za plecami i zaczął się skradać do narożnika baraku sto dwa. Tommy posuwał się tuż za nim, zerkając do tyłu. W wyobraźni widział wyłaniające się z ciemności jakieś dziwaczne kształty, idące trop w trop za nim.

Czarnoskóry lotnik odwrócił się.

– Światło się oddala! – powiedział. – Idziemy, już!

Nie oglądając się, Scott ruszył do narożnika baraku sto dwa. Tommy szedł tuż za nim, przy czym raz czy dwa obejrzał się za siebie, wypatrując w ciemności śledzącego ich człowieka. Przy narożniku budynku Lincoln pochylił się i wyjrzał, co

się dzieje za rogiem.

Niemalże w tej samej chwili obrócił się do Harta.

– Światło się odsuwa! – wyszeptał. – Ruszamy natychmiast!

Bez wahania wyskoczył przed budynek, ominął schodki prowadzące do drzwi wejściowych i pomagając sobie ruchem ramion popędził do drzwi baraku sto dwa niczym pomocnik, który zauważył przerwę w linii na boisku. Tommy ruszył za nim, ale mimo że starał się biec jak najszybciej, nie był w stanie dotrzymać mu kroku. Promień reflektora przecinał ciemność na prawo od nich. Byli pogrążeni w błogosławionej ciemności, która jeszcze przed chwilą wydawała się taka złowroga. Zauważył, że Scott jednym skokiem znalazł się na szczycie schodków i błyskawicznie otwiera drzwi. Światło nagle zmieniło kierunek i zaczęło przesuwac się po ziemi i drewnianych barakach w jego kierunku. Hart rzucił się do przodu. Kilka ostatnich metrów przeleciał w powietrzu, przeskoczył nad wężącym promieniem i wpadł do środka przez otwarte drzwi. Scott zamknął je i osunął się na podłogę obok Tommy'ego. Ułamek sekundy później snop światła przesunął się po ścianie baraku i ruszył dalej – za zamkniętymi drzwiami jeńcy byli bezpieczni.

Nic nie mówili. Ciszę przerywały tylko wydobywające się z ich płuc gwałtowne, spazmatyczne oddechy. Upłynęła niemal minuta, zanim Scott uniósł się i oparł na łokciu. Tommy macał wokół siebie, szukając świeczki. Z kieszeni koszuli wygrzebał zapalną. Potarł ją i zapalił. Chwilę później płomyk świecy rzucił słabe światło na szeroko uśmiechniętą twarz czarnoskórego pilota.

– Planujesz dalsze przygody na tę noc, Hart? – zapytał.

– Wystarczy na dziś – odrzekł Tommy, potrząsając głową.

Scott przytaknął z uśmiechem.

– A więc do zobaczenia rano, mecenasie – powiedział. W mdłym świetle zalśniły bielą jego zęby. – Ciekawi mnie, kto szedł za nami. Jakiś szwab? A może ktoś inny? – ciągnął. – Trudno się nad tym nie zastanawiać, co?

Wzruszył ramionami, podniósł się z podłogi i zsunął z nóg lotnicze buty, po czym bez słowa ruszył korytarzem do swojego pokoju.

Tommy także zaczął ściągać obuwie, zastanawiając się nad tym, o czym przed

chwilą rozmawiali. Kto to mógł być – przyjaciel czy wróg? No i następna kwestia – kto jest przyjacielem, a kto wrogiem? Przy rozwiązywaniu sznurowadła zauważył, że w dalszym ciągu trzęsą mu się ręce. Musiał odczekać co najmniej minutę, żeby opanować drżenie.

Piękny, ciepły poranek zapowiadał uroczą wiosnę. Daleko na horyzoncie widać było zaledwie kilka kłębiących się chmur; płynęły po niebie jak żaglówki po morskim przestworze. W takie dni wojna wydawała się czymś odległym i nierzeczywistym. Odnosiło się wrażenie, że piękna pogoda wywiera wpływ także na Niemców, którzy rano błyskawicznie policzyli jeńców i kazali im się rozejść. Rutynowy apel został przeprowadzony szybciej i sprawniej niż zazwyczaj. Amerykanie leniwie rozeszli się po terenie obozu lub zbierali się w grupki i palili papierosy na placu zbiórek, omawiając najnowsze pogłoski i powtarzając stare dowcipy, krążące dzień w dzień od wielu miesięcy czy nawet lat. Inni utworzyli dwa zespoły, przygotowując się do gry w baseball. Niektórzy jeńcy wynieśli krzesła i zdjęli koszule, aby się poopalać na słońcu. Inni spacerowali wzdłuż ogrodzenia; zachowywali się, jak w parku, chociaż odbijające się w drutach słońce przypominało im, gdzie naprawdę przebywają.

Tommy zauważył, że Lincoln Scott szybkim krokiem szedł z placu apelowego do baraku sto jeden. Nie patrzył na boki, chciał tylko wrócić do pokoju, w którym czekała na niego Biblia i samotność. Po chwili Hart zaczął odtwarzać trasę, jaką pokonali w nocy.

Starał się nie zwracać na siebie uwagi, chociaż zdawał sobie sprawę, że zachowywanie się w tak nonszalancki sposób przynosi odwrotny skutek. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Poruszał się powoli, jak gdyby myślami był gdzie indziej. Nie spojrzał na ciasne przejście pod czwartym oknem baraku sto dwa, siłą powstrzymując się przed pokusą zbadania tego miejsca w dziennym świetle. W tej sprawie dręczyło go kilka wątpliwości, choć jeszcze nie sformułował precyzyjnie pytań, jakie powinien postawić. Wiedział jedynie, że w tej kwestii – jak zresztą i w wielu innych – coś nie daje mu spokoju. Istniał tu jakiś związek, którego nie potrafił

określić. Poza tym nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się, że odkryli drogę pod podłogą baraku.

Obszedł więc powoli barak sto dwa, grzęznąc w pyle, którego tu było pełno, od czasu do czasu opierał się o ścianę budynku, palił papierosa i wystawiał twarz do słońca. Przy dziennym świetle ten dystans wydawał się nieznaczny. Kiedy przypomniał sobie nocny sprint i ucieczkę przed światłem reflektora, poczuł zimny dreszcz i przełknął ślinę.

Po kilkuminutowym, leniwym wałęsaniu się, szybkim krokiem poszedł alejką między zbliżającymi się do siebie barakami. Teraz litera V, utworzona przez ich ściany, wydawała się jeszcze bardziej widoczna. Tommy był zaskoczony, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

Zanim doszedł do końca baraków, zatrzymał się i szybko obejrzał za siebie. Chciał się przekonać, czy ktoś go obserwuje, ale nie umiał tego stwierdzić. Przed budynkiem siedział jakiś jeńiec i cerował skarpetki; igła lśniła w słonecznym blasku, gdy przeciągał ją przez wełnianą dzianinę; inny mężczyzna ułożył się na słońcu i z zainteresowaniem czytał podniszczoną książkę w broszurowej oprawie. Dwaj jeńcy leniwie rzucali do siebie piłkę przed barakiem sto trzy, a trzech następni, oddaleni o kilka metrów, rozmawiali energicznie gestykując i co chwila wybuchając śmiechem. W pobliżu przechodzili inni oficerowie – jedni poruszali się powoli, a niektórzy bardzo szybko, jakby spieszyli się na jakieś spotkanie. Nie mógł ustalić, czy któryś z nich go obserwuje. Oparł się więc o ścianę baraku i zapalił kolejnego papierosa, starając się upodobnić zachowaniem do innych jeńców. Palił powoli i rozglądał się dookoła, uważnie obserwując jeńców; kiedy skończył papierosa, odrzucił niedopałek, odwrócił się i poszedł w kierunku miejsca, gdzie zbiegały się narożniki obydwu baraków.

Mały ogródek, który w nocy Tommy ledwie mógł zauważyć, wydawał się zaniedbany i wyjątkowo źle ułożony. Rosło w nim trochę ziemniaków, jakieś zielone rośliny usiłowały zapuścić tu korzenie. To było niezwykle: większość takich ogródków jeńcy uprawiali z nadzwyczajną starannością i niezwykłym oddaniem. Poświęcali temu zajęciu całe serce nie tylko ze względu na żywność, jaką tam

hodowali, uzupełniającą skromne racje otrzymywane w paczkach z Czerwonego Krzyża, ale i dlatego, że był to bardzo dobry sposób na zabicie czasu.

Jednak ten ogródek różnił się od pozostałych. Sprawiał wrażenie zapomnianego. Glebę przekopano, ale pozostawiono nierozdrobnione bryły. Niektóre rośliny wymagały przycięcia. Tommy pochylił się, uklęknął i wziął w palce grudkę ziemi. Okazała się wilgotna, błotnista, pachniała lekką stęchlizną. Można się było tego spodziewać, ponieważ nie docierało tu słońce.

Przyjrzał się brunatnej glebie. Przyszło mu do głowy, że jeżeli tu polała się krew, zabójca mógł przyjść następnego dnia i po prostu zasypać te miejsca. Mimo to powoli badał wzrokiem okolicę, aż do narożnika baraku sto trzy.

W pewnym momencie znieruchomiał – poczuł przyspieszony rytm serca. Utkwił oczy w wyblakłej, szarej desce tuż nad gruntem. Zauważył na ścianie niewielką, lecz rzucającą się w oczy ciemnobrązową smugę. Plama miała kolor kasztanowaty, była sucha i złuszczone.

Tommy podniósł się energicznie. Zachował się na tyle przytomnie, żeby rozejrzeć się wokół i sprawdzić, czy nie jest obserwowany. Badawczo przyjrzał się wszystkim jeńcom w zasięgu wzroku. Były dwie możliwości: albo nikt nie patrzył na niego, albo wszyscy kontrolowali jego poczynania. Przeprowadzał w myśli szybką kalkulację i znowu odwrócił się w stronę plamki. Wziął głęboki oddech. Jeżeli oznacza ona to, co podejrzewa, a on się zbliży do tego miejsca, tym samym da sygnał człowiekowi, który zamordował Vincenta Bedforda. Wiedział również, że wcale mu nie zależy na odczytaniu takiego sygnału. Pomiędzy obroną opartą na nieprzyznawaniu się do winy – przez zbijanie dowodów świadczących przeciwko jego klientowi i proponowaniu innego wyjaśnienia faktów – i chwilą, w której obrona przyjmuje inną, bardziej ofensywną postawę, istnieje wyraźna granica. Ta druga sytuacja oznacza podniesienie żagli i wybór niebezpiecznego kursu, a także wskazanie palcem na kogoś innego jako oskarżonego. Tommy zdawał sobie sprawę, że wejście na taką drogę wiąże się z ryzykiem.

Ponownie rozejrzał się dookoła ze strachem, ruszył przez mało zadbane rzędy sadzonek w kierunku ściany baraku sto trzy. Uklęknął i dotknął ręką deski,

sprawdzając opuszkami palców fakturę ciemniejszej plamy.

Był pewny, że drewno zostało ubrudzone krwią.

Spojrzał w dół i zanurzył rękę w pulchnej ziemi. Inne oznaki śmierci z pewnością zostały zatarte, tylko na desce pozostał ślad. Nieznacznym, ale jednak. Tommy starał się wyobrazić sobie przebieg wydarzeń tamtej nocy. Człowiek z ostrym nożem. Vic obrócony do niego plecami. Szybki cios w stylu zawodowego zabójcy.

Vic musiał rzucać się przez moment, a potem upadł; osunął się w ramiona człowieka, który go zabił, lekko pochylając się do przodu. Życie uciekało z niego, był nieprzytomny, śmierć pospiesznie brała w posiadanie jego serce.

Tommy zadrżał i jeszcze raz dotknął deski na ścianie. Ustawienie obu baraków pod kątem zapobiegło zmyciu plamy przez deszcz. Pomyślał, że kryje się w tym jakaś wredna ironia, która przepelniła go zimnym, brutalnym zadowoleniem.

Przez moment nie był pewny, co zrobić. Gdyby miał przy sobie irlandzkiego rysownika, poprosiłby go o naszkicowanie tego miejsca. Zastanawiał się nad odnalezieniem Collina Sullivana w obozie brytyjskim i przyprowadzeniem go tutaj. Uznał jednak, że gdyby poszedł po niego, a potem wrócił na to miejsce, szansa odnalezienia nienaruszonej plamy krwi byłaby bardzo znikoma. Należało przypuszczać, że ktoś go obserwuje.

W tej sytuacji chwycił deskę ręką i mocno pociągnął do siebie. Rozległ się trzask – kruche drewno poddało się.

Podniósł się z ułamanym kawałkiem deski w ręce. Na środku znajdowała się krwista plama. Tommy przyjrzał się swemu dziełu i stwierdził, że uszkodził barak sto trzy w sposób nieznacznym, ale możliwym do zauważenia. Odwrócił się. Kilkunastu jeńców przerwało swoje zajęcia, przyglądając się z zaciekawieniem jego poczynaniom. Miał nadzieję, że kierowała nimi tylko typowa dla więźniów ciekawość, za którą ukrywa się fascynacja każdym wydarzeniem, jakie mogłoby zakłócić nieznośną monotonię egzystencji w Stalagu Luft 13.

Oparł deskę na ramieniu jak karabin, zastanawiając się, czy nie postąpił w sposób wyjątkowo lekkomyślny i niebezpieczny. Pomyślał w duchu, że przecież właśnie o to chodzi na wojnie – o podejmowanie ryzyka. Tym razem poszło łatwo. Sztuka

polegała na przeżyciu wszystkich ryzykownych działań, na jakie człowiek się decyduje.

Tommy doszedł do końca baraku. Jednym z mężczyzn grających w softball był kapitan Walker Townsend. Prawnik z Wirginii kiwnął mu głową na powitanie i choć zauważył deskę na ramieniu Harta, nie przerwał gry. Wyciągnął tylko rękę i zgrabnym ruchem chwycił piłkę, która wpadła mu w rękawicę z głośnym hukiem.

Tommy zaniósł pobrudzoną krwią deskę Lincolnowi Scottowi; ten, widząc Harta, wydawał się rozbawiony i zaciekawiony.

– Witaj, mecenasie – powiedział. – Jakież nowe wycieczki?

– Poszedłem naszą nocną trasą i oto, co znalazłem – odparł Tommy. – Czy możesz to bezpiecznie przechować?

Scott wziął drewno i bacznie oglądał je ze wszystkich stron.

– Myślę, że tak. Ale co to takiego, do diabła?

– To jest dowód, że Trader Vic został zabity w przejściu pomiędzy barakami sto dwa a sto trzy, dokładnie tam, gdzie sądziliśmy. To jest zaschnięta krew.

Scott uśmiechnął się i potrząsnął z powątpiewaniem głową.

– Może i tak, ale równie dobrze może to być błoto, farba albo Bóg wie co. Chyba nie mamy możliwości sprawdzenia, co to jest?

– Nie mamy. Lecz przeciwnicy też jej nie mają.

Scott przyglądał się sceptycznie kawałkowi deski. Wreszcie zgodził się ją przechować.

– Nawet jeżeli to jest krew, w jaki sposób możemy udowodnić, że należała do Bedforda?

– Rozumiesz jak prawnik, poruczniku – odrzekł Tommy z uśmiechem. – Nie jestem jednak przekonany, czy musimy to udowadniać. Możemy jedynie zasugerować. Chodzi o to, żeby każdy aspekt wytoczonej ci sprawy podważyć silnymi wątpliwościami, a wtedy załamię się cały tworzony przez nich obraz. To jest istotny element.

– Zastanawiam się, czyj to ogródek? – zapytał Scott z namysłem, obracając

drewno w rękach i macając je palcami. – To mogłoby nam coś powiedzieć.

– Owszem – zgodził się Tommy. – Chociaż powinienem raczej wyjaśnić to wcześniej, zanim zwróciłem uwagę innych na tamto miejsce. Teraz, jak sądzę, nie ma większej szansy, by ktoś zechciał mi udzielić takiej informacji.

Scott przytaknął, odwrócił się i schował deskę pod pryczą.

– Pewnie – powiedział. – Dlaczego ktoś miałby mi pomagać?

Wyprostował się, a jego żartobliwy nastrój prysł w jednej chwili. Zupełnie, jakby nagle został odarty z marzeń i przywrócony do rzeczywistości. Szybko obejrzał pokój, uważnie badając ściany tego więzienia w więzieniu. Tommy wyczuwał, że Scott w myślach odbywa jakąś daleką podróż, a kiedy z niej powrócił, zademonstrował znaną już postawę niechęci, gniewu i buntu wobec całego świata. Tommy nie uznał za stosowne zwrócić mu uwagi, że pewna grupa ludzi już mu pomaga. Odwrócił się tylko i poszedł do drzwi, ale zanim zdążył wyjść, Scott ostrym głosem zapytał:

– A więc jaki będzie następny krok, mecenasie?

Tommy zatrzymał się.

– To głównie pańszczyzna. Mam zamiar przesłuchać świadków oskarżenia, dowiedzieć się, co zamierzają zeznawać, a potem omówić strategię z Phillipem Pryce'em i Hugh Renadayem. Dzięki Bogu mamy Phillipa. To on pozwala nam posuwać się do przodu, tak sądzę. Kiedy już to załatwię, ty i ja zaczniemy się intensywnie przygotowywać do poniedziałkowej sesji. Jestem pewny, że Phillip pracuje już nad scenariuszem. Dokładne przestrzeganie go będzie naszym zadaniem.

Scott zachnął się.

– Coś mi się nie wydaje – powiedział – żeby to wszystko odbyło się tak jak w teatrze.

Tommy znowu odwrócił się do wyjścia, lecz w głosie oskarżonego było tyle frustracji, że zapytał:

– W czym problem?

– Nie widzisz, w czym problem? Jesteś ślepy, Hart?

Tommy zawahał się i podszedł bliżej.

– Gromadzimy dowody i wiadomości, które mają wykazać, że w wywodach oskarżenia...

– Można by sądzić, że prawda powinna wystarczyć – odrzekł Scott.

– Już to przerabialiśmy – uciął ten wątek Tommy. – Rzadko się zdarza, żeby wystarczyła sama prawda. Nie tylko w sądzie, ale i w życiu.

Scott westchnął, bębniąc palcami po skórzanej oprawie Biblii.

– Możemy wykazać, że Bedford nie został zabity w ubikacji. Możemy zasugerować, że zabito go w sposób wskazujący na morderstwo z premedytacją. Możemy również dowodzić, że narzędziem zbrodni nie był nóż, tak dogodnie schowany w tym pokoju, chociaż nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć, dlaczego był umazany krwią Bedforda lub kogoś innego. Możemy dowodzić, że moje buty i kurtka zostały skradzione tamtej nocy przez faktycznego mordercę, ale tę prawdę będzie bardzo trudno przełknąć każdemu z sędziów. Przypuszczam, że możemy podważać każdy aspekt oskarżenia. I co to nam przyniesie? Oni przecież wciąż mają ten najbardziej przekonujący dowód, jaki mogli uzyskać. Dowód, który zaprowadzi mnie przed pluton egzekucyjny – mówił Scott, potrząsając głową.

Tommy przyglądał się ruchliwemu jak żywe srebro lotnikowi. Po raz pierwszy od spotkania w zimnym karczerze pomyślał, że to bardzo skomplikowany człowiek. Scott siedział na łóżku ze zwieszonymi ramionami. Przypominał sportowca, który zdaje sobie sprawę, że mecz jest przegrany, chociaż do ostatniego gwizdka pozostało jeszcze trochę czasu. Wynik jest jednak tak niekorzystny, że nie sposób go zmienić. Podniósł masywną pięść i zaczął pocierać nią o skroń. Gdzieś zniknął pewny siebie ryzykant z poprzedniej nocy, człowiek, który zdobył się na polowanie w ciemnościach i podjął ryzyko wyjścia z baraku na niebezpieczny spacer. Można było odnieść wrażenie, że dzielnego pilota myśliwca zastąpił facet zrezygnowany i pozbawiony odwagi, a człowieka imponującego siłą i szybkością mężczyzna zdruzgotany sytuacją, w jakiej się znalazł. Tommy'emu przyszła do głowy myśl, że tutaj historia jest w co najmniej takim samym stopniu elementem sprawy wytoczonej Lincolnowi, jak i dowodem.

– Dlaczego jesteś taki przygnębiony? – zapytał.

Scott westchnął i uśmiechnął się żałośnie.

– Przez tę nienawiść – powiedział.

Tommy milczał, więc czarnoskóry pilot po chwili wahania ciągnął dalej.

– Czy ty masz pojęcie, jakie to męczące, kiedy człowieka nienawidzi tyle innych osób?

Tommy przytaknął bez słowa.

– Nie sądzę – odrzekł Scott z goryczą. Wyprostował się z ramionami odciągniętymi do tyłu, jakby chciał złapać oddech. – Tak czy owak, jedna rzecz jest prawdą i może zostać przez nich udowodniona ponad wszelką wątpliwość: ja nienawidziłem Bedforda, a on mnie, lecz to on teraz nie żyje. Ta nienawiść jest wszystkim, czego oni potrzebują. Każdy wezwany przez nich świadek, każdy przedstawiony dowód – nie jest istotne, jak bardzo sfalszowany lub nieprawdziwy, Hart – będzie poparty przez tę nienawiść. No i każda decyzja podjęta w trakcie tego „procesu”, który rozpoczyna się w poniedziałek, będzie zabarwiona tą właśnie nienawiścią. Oni wszyscy mnie nienawidzą, Hart. Co do jednego. Na pewno w obozie są ludzie, którzy przejmują się tą sprawą, lecz nie stoją ani po jednej, ani po drugiej stronie. Są też tacy, którym moja grupa myśliwska uratowała tyłki, może nawet nieraz. – Oni byliby skłonni mnie tolerować. Może nawet byliby gotowi tłumaczyć wątpliwości na moją korzyść. Kiedy jednak przyjrzeć się bliżej temu układowi, liczy się tylko jedno: ja jestem czarny, oni biali, a to oznacza nienawiść. Dlaczego uważasz, że w poniedziałek miałyby być inaczej, niezależnie od tego, co udowodnimy? Zawsze jest tak samo. Zawsze. Nic się nie zmieniło od czasów, gdy z pierwszego niewolniczego statku sprowadzono w kajdanach pierwszego niewolnika i wystawiono go na sprzedaż na placu targowym.

W słowach Scotta był jakiś nieznośny, straszliwie irytujący patos. Tommy chciał mu o tym powiedzieć, ale czarnoskóry jeniec podniósł rękę jak policjant regulujący ruch na skrzyżowaniu, nie dopuszczając go do słowa.

– Ja nie oskarżam ciebie, Hart. Nie uważam też, żebyś należał do tych najgorszych. Starasz się zrobić wszystko, co możliwe. Ja to doceniam, naprawdę. Tylko nieraz siedzę sobie tutaj, tak jak dziś rano i myślę, że to i tak niczego dobrego

mi nie przyniesie. – Uśmiechnął się. – Chcę, żebyś wiedział, Hart, że nie obarczam cię winą za to, co się wydarzy, obojętne, co to będzie. Całą winę ponosi nienawiść. A wiesz, co w tym jest zabawne? Ty również ją w sobie masz. Ty, Renaday i Pryce. Może nie tak dużo jak MacNamara, Clark i ten zamordowany dupek Bedford, ale masz ją, gdzieś w środku, pewnie w takim miejscu, gdzie nie jesteś w stanie jej zobaczyć, usłyszeć ani wyczuć. Jednak ona tam siedzi, taka sama nienawiść. Myślę sobie, że kiedy wreszcie to wszystko się skończy, ta ostatnia cząstka nienawiści do mnie i takich ludzi jak ja spowoduje, że coś zrobisz. A może nic nie zrobisz – to wychodzi na jedno. Może nie będzie to nic wielkiego, bardzo ważnego, ale jednak to będzie coś. Na przykład nie postawisz jakiegoś ważnego pytania. Nie odważysz się chwiać tą łódką. Kto wie? Ostatecznie uznasz, że ratowanie mojej skóry nie jest warte ceny, jaką będziesz musiał za to zapłacić.

Tommy chyba wyglądał na zaskoczonego, bo Scott roześmiał się i nie przestawał kiwać głową.

– Musisz to zrozumieć, panie Biały Harwardczyku ze stanu Vermont – ciągnął dalej, naśladując śpiewny sposób mówienia czarnego niewolnika. – To siedzi w tobie i nic na to nie poradzisz... Gdy nadejdzie koniec, ujawni się, ten stary diabeł, nienawiść. Przez nią nie zdecydujesz się na krok, jaki może być zaryzykował, gdybym był biały. To odbędzie się bez twojego udziału...

Scott odetchnął i wrócił do języka wykształconego człowieka z Chicago, tak dobrze znanego Tommy'emu.

– Zrozum, Hart, ja nie robię ci z tego powodu wyrzutów. Robisz wszystko, co możliwe, i ja to doceniam. A przynajmniej uważasz, że robisz wszystko, co się da. Ja po prostu znam naturę tego świata. Nawet kiedy jesteśmy zamknięci za drutami Stalagu Luft 13, ludzka natura nie ulega zmianie. Na tym polega problem z oświatą. Nie należy zawozić do szkół chłopców ze wsi. Taki chłopak otwiera oczy i niekiedy widzi rzeczy, których wolałby nie widzieć. Biały i czarny; widzi, co się dzieje. A zawsze dzieje się tak samo. Ponieważ na całym świecie nie ma na tyle mocnego argumentu, by przełamać nienawiść i uprzedzenia.

Wyciągnął rękę w stronę leżącego pod łóżkiem kawałka zakrwawionej deski.

– A już z pewnością nie zrobi tego jakiś kawałek drewna – dokończył.

Tommy myślał przez chwilę o tym, co mówił czarnoskóry lotnik, a potem wzruszył ramionami.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział.

– Tak? No to musisz być znacznie mądrzejszy, niż podejrzewałem, Hart. A co to takiego? – zapytał z uśmiechem Scott.

– Ktoś nienawidził Tradera Vica bardziej niż ty. Musimy jedynie znaleźć tego człowieka i poznać powód tej szczególnej nienawiści. Ktoś nienawidził Vica tak bardzo, że odważył się zabić go, nawet w takim miejscu.

Scott odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się na głos.

– Pewnie masz rację, ale mnie się wydaje, że podczas tej wojny mordowanie się nawzajem jest jedną z najłatwiejszych rzeczy pod słońcem. A najczęściej robimy to dla własnej wygody. – Ostatnie słowa wymówił z pełnym sarkazmem naciskiem; po chwili ciągnął dalej: – Ale to, co mówisz, rodzi niejakie możliwości, choćby nawet tak mało prawdopodobne.

Przeciągnął się, jakby był zmęczony, a potem powoli wstał i podszedł do Tommy'ego.

– Wyciągnij rękę, Hart – powiedział niespodziewanie.

Tommy sądził, że Lincoln Scott chce się z nim pożegnać uściskiem dłoni. Nie o to jednak chodziło. On tylko przyłożył swoją rękę do ramienia Tommy'ego. Czarne i białe.

– Dostrzegasz różnicę? – zapytał. – Nie mam pojęcia, co takiego moglibyśmy wymyślić, żeby ktoś na sali sądowej zapomniał o tym. Nie zapomną nawet na sekundę, na jedną, cholerną sekundę.

Scott odwrócił się, ale zaraz przystanął i jeszcze raz zwrócił się do Tommy'ego:

– Jednak próbujmy, to może być zabawne. Ja nie jestem facetem, który poddaje się bez walki. Tego człowiek uczy się na ringu i w college'u, gdy jest jedynym Murzynem i musi pracować dużo więcej od białych kolegów, żeby go nie wywalili. Uczyłem się tego w Tuskegee, gdzie biali instruktorzy płaszczyli się przed białymi pilotami, a czarnych wyrzucali z treningu za to, że nie dość szybko salutowali im na

placu musztry. W ostatnią noc przed załadowaniem nas na statek, którym mieliśmy popłynąć na wojnę, gdzie mieliśmy przeżyć lub zginąć dla swojego kraju, poczciwi biali chłopcy z miejscowego oddziału Ku-Klux-Klanu zadbali, aby pożegnać nas tak, jak się to robi na Południu. Zapalili krzyż tuż za ogrodzeniem obozu. Krzyż palił się długo, ponieważ biali wartownicy strzegący obozu nie uważali za konieczne wezwać strażaków do ugaszenia go, co również daje do myślenia. Człowiek uczy się tego także w obozie jenieckim, gdzie „czarnuch” jest pierwszym słowem, jakie się słyszy po przekroczeniu bramy, i to nie szwaby tak go nazywają. Porażka może się okazać nie do uniknięcia. No cóż, Hart, wszyscy kiedyś umrzemy, a jeżeli okaże się, że przyszła moja godzina, niech tak będzie. Tyle że ja nie odejdę bez kilku zwodów, a może i ciosu. Widzisz, człowiek może utrzymać dobrą reputację, kiedy się ostro bije i idzie do przodu. Tak mawiał mój ojciec kaznodzieja w niedzielę rano. Można iść nawet małymi krokami, byle tylko do przodu. Nawet jeżeli z góry się wie, jaki będzie rezultat.

– Ja nie zakładam, że... – wtrącił Tommy, lecz Scott nie pozwolił mu skończyć.

– Oto luksusowa postawa, na jaką może sobie pozwolić biały człowiek – powiedział. – Moja postawa ma odmienny kolor.

Po tych słowach odwrócił się plecami do Tommy’ego i wziął z pryczy Biblię. Nie usiadł jednak, tylko podszedł do okna i, oparty o ścianę, zaczął wyglądać na obóz. Tommy nie wiedział, czego Scott szuka za oknem.

W korytarzu przed drzwiami sypialni Lincolna Scotta stało kilku jeńców. Kiedy Tommy wyszedł, wyprostowali się, ustawili w szereg i zablokowali mu drogę. Hart zatrzymał się i patrzył na tę żywą barykadę.

– Ktoś ma jakiś problem? – zapytał powoli.

Zapadła chwilowa cisza, a potem wysunął się jeden z oficerów. Tommy rozpoznał jednego ze współlokatorów Vica. Jego nazwisko miał zapisane na liście, którą trzymał w kieszeni bluzy.

– To zależy – odpowiedział jeńiec.

– Od czego?

– Od tego, co zamierzasz, Hart.

Rozmówca Tommy'ego stał na środku korytarza, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Pozostali ustawili się za jego plecami. Sposób ustawienia się i wyraz ich oczu wskazywały na oczywistą groźbę. Tommy odetchnął głęboko i opuścił ręce, zaciskając pięści. W duchu nakazał sobie trzymać nerwy na wodzy.

– Ja po prostu robię, co do mnie należy – odrzekł. – A co wy tu robicie?

Współlokator Bedforda był mężczyzną niższym od Harta, ale o szerokich barach, potężnym karku i ramionach. Powinien się ogolić. Stał w przejściu w zsuniętej na tył głowy złachmanionej czapce.

– Ja cię sprawdzam, Hart.

Tommy zrobił krok do przodu.

– Nikt mnie nie będzie sprawdzał – powiedział. – A teraz spierdalaj z drogi.

Grupka jeńców zwarła się, zamykając mu przejście. Niski oficer stanął naprzeciw Harta z wypiętą piersią – dzieliły ich centymetry.

– Co to było z deską, Hart? Tą, którą odłamałeś z baraku sto trzy?

– To moja rzecz, nie wasza.

– No to się cholernie mylisz – odpowiedział przeciwnik, akcentując te słowa trzykrotnym dźgnięciem palca w pierś Tommy'ego, by go zmusić do cofnięcia się. – Co z tą deską? Czy ona ma coś wspólnego z tym draniem, który zamordował Vica?

– W swoim czasie dowiesz się o tym, tak samo jak wszyscy.

– Nie. Dowiem się natychmiast.

Podszedł jeszcze bliżej, a za nim pozostali. Tommy obserwował ich twarze. Rozpoznał większość z nich. Byli to jeńcy grywający z Bedfordem w baseball lub pomagający mu w transakcjach handlowych. Ku zdziwieniu Harta człowiekiem stojącym z tyłu, okazał się szef orkiestry jazzowej, kierujący koncertem na cześć jeńca, który zginął w zawałonym tunelu. Tommy nie wiedział, że Vic przyjaźnił się z muzykami; to go zdziwiło.

Sąsiad Bedforda znowu dźgnął go palcem w pierś.

– Nie słyszę, co mówisz, Hart.

Zanim Tommy odpowiedział, usłyszał za plecami odgłos otwieranych drzwi. Nie

odwrócił się, choć wyczuł czyjąś obecność. Po twarzach jeńców domyślił się, że był to Lincoln Scott.

Zapadła cisza, przerywana tylko ludzkimi oddechami. Jeńcy czekali, co będzie dalej. Po chwili przemówił ten najbardziej agresywny:

– Odpieprz się, Scott. My gadamy z twoją tubą, a nie z tobą.

Lincoln stanął obok Tommy'ego, który ze zdziwieniem usłyszał w jego głosie nie tylko ostry ton, ale i pewne rozbawienie.

– Może tu się odbędzie jakaś walka? – zapytał lekko. – Bo jeżeli tak, to będę bardzo zadowolony. Naprawdę. Nawet wiem, kogo sobie wezmę na pierwszy ogień.

Nie było odpowiedzi – Scott się roześmiał.

– Tak jest, zdecydowanie – mówił dalej. – To może być dobra walka. Nawet przy tak nierównych szansach. Od wielu tygodni nie mam odpowiedniego treningu, więc ostra walka jest właśnie tym, czego mi trzeba. Pomoże mi rozładować napięcie przed poniedziałkowym procesem. W każdym razie mógłbym spróbować. Co wy na to, panowie? Który chciałby zacząć?

Znowu zapadła krótka cisza. Współlokator Bedforda zrobił krok w tył.

– Żadnej bijatyki – powiedział. – Jeszcze nie teraz. To wbrew rozkazom.

Scott ponownie się roześmiał ostrym, niskim, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Cholerna szkoda – powiedział. – Naprawdę chętnie bym sobie powalczył.

Tommy zauważył, że kierujący grupką jeńców jest zmieszany i rozgniewany. Nie dostrzegł jednak u niego objawów strachu. Ten człowiek mógł okazać się przeciwnikiem godnym czarnoskórego lotnika.

– Dostaniesz swoją szansę – powiedział do Scotta. – Chyba że prędzej odstrzelą ci twoją czarną dupę.

Zanim Lincoln zdążył odpowiedzieć, Tommy wyciągnął rękę w kierunku sąsiada z pokoju Bedforda.

– Jesteś na tej cholерnej liście – powiedział ostro. Tamten szybko odwrócił się do niego.

– Na jakiej liście? – zapytał.

– Na liście świadków.

Tommy ponownie przyjrzał się stojącym naprzeciw niego ludziom. Było wśród nich jeszcze dwóch, których oskarżenie zamierzało powołać na świadków. Pierwszy również mieszkał z zamordowanym kapitanem, drugi spał w innym pokoju baraku sto jeden, w dalszej części korytarza.

– Ty, ty i ty – powiedział Tommy z naciskiem. – Szczerze mówiąc, jestem zadowolony, że przyszlście tutaj. Nie będę musiał tracić czasu na szukanie was. Co zamierzacie zeznać w poniedziałek? Macie zaraz to powiedzieć.

– Pieprz się, Hart. Nie musimy ci niczego mówić – odrzekł mężczyzna stojący trochę dalej. Był porucznikiem, a w obozie przebywał prawie rok. Trafił tu po zestrzeleniu w pobliżu Triestu samolotu B-26 Marauder, na pokładzie którego służył jako drugi pilot.

– No i tu się właśnie mylicie, poruczniku – rzucił Tommy zimnym tonem, nadając słowu „porucznik” taką intonację, jakby to było obsceniczne przekleństwo. – Macie obowiązek dokładnie mi powiedzieć, co zamierzacie zeznać w poniedziałek. Jeżeli mi nie wierzycie, to pójdziemy do pułkownika MacNamary. On was o tym poinformuje. A ja naturalnie będę zobowiązany powiadomić go o tym zgromadzeniu. Pułkownik mógłby to zinterpretować jako naruszenie jego oczywistego rozkazu. Nie wiem...

– Pieprz się, Hart – powtórzył porucznik z widocznie mniejszym przekonaniem.

– Sam się pieprz. A teraz macie odpowiadać na moje pytanie. Co zamierzacie zeznać, poruczniku...

– Murphy.

– No właśnie. Poruczniku Timie Murphy. Jeśli sobie dobrze przypominam, pochodzicie z zachodniej części Massachusetts, chyba ze Springfield. To niedaleko od mojego rodzinnego stanu.

– Masz dobrą pamięć – odparł Murphy, patrząc gniewnie na Tommy’ego. – No dobra, Hart. Zostanę wezwany, żeby zeznawać na temat walki, jaka odbyła się między Scottem a zmarłym. Chodzi o groźby i inne złowrogie oświadczenia składane w mojej obecności. O tym będą także mówić obecni tutaj jeńcy. Kapujesz?

– Owszem, kapuję. – Tommy odwrócił się do oficera mieszkającego w pokoju

Vica. – Czy to się zgadza?

Zapytany potwierdził skinieniem głowy, podobnie jak następny.

– A tobie Bozia dała język? – zapytał Tommy trzeciego lotnika.

– Ano dała – odparł zapytany z charakterystycznym akcentem ze Środkowego Zachodu. – Zamierzam użyć go w poniedziałek i dopilnować, aby ten dupek został skazany.

Porucznik Murphy spojrział na Lincolna twardym wzrokiem.

– Zgadza się, Scott? – zapytał. Czarnoskóry pilot zachował milczenie, a Murphy roześmiał się szyderczo.

– To się okaże – powiedział Tommy. – Ja w każdym razie nie postawiłbym na to ostatniej paczki fajek.

Była to oczywiście czysta brawura, ale zabrzmiała dobrze. Hart odwrócił się do reszty mężczyzn stojących w korytarzu:

– Chcę słyszeć wasze głosy, jeden po drugim.

– A to po jaką cholere? – zapytał jeden z milczących dotąd jeńców.

Tommy uśmiechnął się złośliwie.

– Śmieszna sprawa z tymi głosami – powiedział. – Jeśli się słyszy taki głos, a zwłaszcza głos parszywego tchórza, który przychodzi grozić człowiekowi w środku nocy, to się go łatwo nie zapomina, co? Rozumiecie, głos, słowa i dźwięki zapadają w pamięć na długi czas. Wiadomo, że takiego głosu się nie zapomni, o nie. Nawet jeżeli nie wiadomo, z jaką twarzą go połączyć, to głos pozostaje w pamięci.

Przyjrzał się wszystkim, łącznie z jazzmanem.

– A ty potrafisz mówić? – zapytał.

– Nie – odparł muzyk, po czym szybko odwrócił się i ruszył do wyjścia. W jego ślady poszło jeszcze dwóch jeńców. Nie byli potężnie zbudowani, lecz maszerowali energicznie, z wściekłością. Nawet jeżeli mieli zwyczaj gubić końcówki i nazywać ludzi z Północy jankesami, jak to robili dwaj nieznajomi, którzy kilka dni wcześniej złożyli mu nocną, pełną gróźb wizytę, Tommy tego nie rozpoznał.

Dawny współlokator Tradera Vica popatrzył na Scotta.

– Któregoś dnia będziesz miał tę swoją walkę – powiedział. Tommy wyczuł, że

stojący obok Lincoln napina muskuły. – To ci mogę przyrzec... czarnuchu.

Tommy wysunął się naprzód, aby nie dopuścić do wybuchu wściekłości Scotta. Przysunął twarz tak blisko do przeciwnika, że prawie zetknęli się nosami.

– Jest takie stare porzekadło – powiedział – a brzmi mniej więcej tak: „Bóg karze tych, na modlitwy których odpowiada”. Może byś o tym pomyślał.

Zagadnięty zmrużył oczy, bez słowa uśmiechnął się szeroko, cofnął się o krok, splunął Tommy’emu pod nogi, zrobił precyzyjny wojskowy zwrot w tył i ruszył do wyjścia. Jego towarzysze poszli za przykładem przywódcy.

Tommy patrzył za nimi, dopóki nie zatrzasnęli za sobą drzwi prowadzących na plac apelowy.

Scott powoli odetchnął.

– Myślałem, że dojdzie do walki – powiedział. – Zanim mnie zastrzelą. – Po chwili milczenia mówił dalej: – A reszta? Widzisz, Hart, ja właśnie o tym mówiłem. To nienawiść. Nie jest zbyt przyjemna, co?

Po tych słowach zniknął w swoim pokoju, nie czekając na odpowiedź. Tommy został na korytarzu sam. Oparł się o ścianę, łapiąc oddech. Poczł nagłe ożywienie. Niespodziewanie przyszła mu na myśl dawno zapomniana chwila, poprzedzająca wyprawę jego grupy bombowej do Europy. Lecieli w szyku nad wybrzeżem New Jersey; był wiosenny dzień, taki jak obecnie. Samoloty leciały w kierunku lotniska Hanscom Field w Bostonie, gdzie miał nastąpić przerzut przez Atlantyk.

Tommy był członkiem załogi maszyny prowadzącej szyk. Pochodzący z zachodniego Teksasu kapitan patrzył z góry na Nowy Jork i jednocześnie wygłaszał szybki monolog; był podekscytowany widokiem drapaczy chmur na Manhattanie, które oglądał po raz pierwszy w życiu. „Hej, Tommy” – zawołał przez interkom – „a gdzie, do cholery, jest ten wielki most?” Rozweselony Hart odpowiedział: „Kapitanie, w Nowym Jorku jest pełno mostów i wszystkie są duże. Chodzi panu o most George’a Washingtona? Niech pan popatrzy na północ, o jakieś osiemnaście kilometrów w górę rzeki”.

Kapitan rozglądał się przez chwilę, po czym niespodziewanie wprowadził mitchella w lot nurkowy. „Dalej, chłopcy – powiedział. – Pobawimy się trochę!”

Cała formacja w ślad za „Lovely Lydią” obniżyła pułap. Lecieli teraz nad rzeką Hudson. Pod skrzydłami migwały białe grzywy piany na wzburzonej wodzie. Kapitan skierował grupę pod most; samoloty z rykiem silników przeleciały pod nim, zaskakując kierowców, którzy zatrzymywali się na ten widok. Odległość była tak mała, że Tommy dostrzegł szeroko otwarte oczy jakiegoś chłopca, który radośnie machał do lotników. W słuchawkach interkomu rozbrzmiewały pokrzykiwania podnieconych członków załogi, a w radiu rozlegały się okrzyki pilotów z pozostałych samolotów formacji.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest to niebezpieczna zabawa, postępowanie lekkomyślne i niezgodne z przepisami. Mimo to gotowi byli narazić się na przykrości w punkcie kontrolnym. Byli ludźmi młodymi i uznali to za znakomity, choć oburzający pomysł – po prostu musieli to zrobić w owo piękne, wietrzne popołudnie. Jedynym, co mogłoby przydać pikanterii ich awanturniczej odwadze, byłoby kilka młodych kobiet podziwiających ten wyczyn. Dopiero po wielu miesiącach przekonali się, czym jest samotna, paskudna śmierć.

Popatrzył na pusty korytarz baraku sto jeden w Stalagu Luft 13. Rozpamiętywał dawno minioną chwilę i marzył o ponownym przeżyciu takiego podniecenia. Smak ryzyka i radości, a nie ryzyka i strachu. Przyszło mu do głowy, że wojna odebrała mu tę niewinną skłonność do awanturnictwa, która idzie w parze z młodością.

Westchnął, otrząsnął się ze wspomnień i ruszył wzdłuż korytarza. Jego kroki odbijały się echem w pustej przestrzeni. Otworzył drzwi i wyszedł na zakurzony plac. Przez moment stał oślepiiony jasnym słońcem. Osłonił dłonią oczy przed blaskiem i zauważył dwóch mężczyzn, stojących blisko siebie. Obaj patrzyli na niego. Jednym z nich był kapitan Walker Townsend, który odłożył baseballową rękawicę, a drugim Hauptmann Heinrich Visser. Rozmawiali ze sobą, lecz gdy zbliżył się Tommy, ucichli.

9. Sprawy wyglądały inaczej, niż się wydawało

Do południa Tommy przesłuchiwał pozostałych świadków, którzy mieli występować przeciwko Lincolnowi Scottowi. Wszyscy powtarzali identyczne fragmenty jednej i tej samej historii – mówili o gniewie i wrogości obu oficerów, biorących się z sytuacji panującej w dalekim kraju.

Wszyscy jeńcy z listy świadków kapitana Townsenda dostrzegali wzajemną nienawiść, demonstrowaną przez obu mężczyzn. Jeden opowiadał, jak Trader Vic zabrał Biblię Scotta i urągał mu, wybierając na chybił trafił różne cytaty i interpretował w rasistowski sposób Pismo Święte. Obelgi doprowadziły Scotta do furii. Inny świadek utrzymywał, że był obecny, kiedy czarny pilot rozdarł na pół skrawek tkaniny, której obie części posłużyły później do owinięcia trzonków patelni i noża. Trzeci opisał, jak obaj walczyli ze sobą, gdy Bedford oskarżył Scotta o kradzież, jak szybko ten drugi wyprowadził cios prawą ręką, trafiając przeciwnika w górną wargę. Jeniec twierdził, że gdyby Scott uderzył go w szczękę, Bedford upadłby na ziemię.

Tommy chodził po obozie pogrążony w myślach, nie widząc przebywających tam pięciu tysięcy innych amerykańskich lotników. Łączył ze sobą fragmenty zeznań poszczególnych świadków i doszedł do wniosku, że pewność siebie, demonstrowana przez kapitana Townsenda i majora Clarka opiera się na solidnych podstawach. Oskarżenie Scotta nie było zadaniem zbyt trudnym. Czarny porucznik nie chciał się podporządkować innym, zachowywał się powściągliwie, podkreślał swą niezależność, więc większość jeńców zapewne byłaby skłonna uznać go za zdolnego do takiego zabójstwa. To najkrótsza droga, po jakiej biegnie ludzka wyobraźnia: od samotnika do mordercy.

Tommy tupnął, wznosząc obłoczek pyłu. Gdyby Scott zaprzyjaźnił się z innymi, gdyby okazał się otwarty i komunikatywny, większość jeńców nie zwróciłaby uwagi na kolor jego skóry. Hart uznał to za rzecz pewną. Natomiast przez przebywanie od pierwszej chwili w samotności, na uboczu – niezależnie od tego, jak bardzo

uzasadnione mogły być powody podobnego zachowania – sam doprowadził do tragedii. W świecie, w którym wszyscy zmagają się z identycznymi obawami, chorobami, śmiercią i samotnością, cierpią z powodu braku pożywienia i wolności, on zachowywał się inaczej, a to, podobnie jak i podejrzliwość wobec człowieka o innym kolorze skóry, stało się źródłem nienawiści, jaką na siebie ściągnął.

Oskarżenie o morderstwo opierało się na takim antagonizmie, który, z punktu widzenia oskarżenia, zdecyduje przypuszczalnie w dziewięćdziesięciu procentach o zastosowanej argumentacji. Plamy krwi, nieobecność w sypialni w nocy, gdy dokonano zabójstwa, odkrycie noża – to wszystko stanowiło uzupełnienie tego obrazu. Dopiero po analizie poszczególnych elementów można było rozwiązać częściowo ten problem. Częściowo – nie w całości.

Kłopotliwe wątpliwości doprowadziły do skurczu w pustym brzuchu Tommy'ego. W zamyśleniu przygryzł wargę.

Zatrzymał się i spojrzał w niebo, jak gdyby oczekiwał jakiejś wskazówki od opatrności. Słyszał wokół siebie stopniowo cichnące typowe obozowe odgłosy. Przyszło mu do głowy, że przez większą część swojego młodego życia biernie czekał na to, co mu się przydarzy. Był przekonany – być może bezpodstawnie – że nie podchodził do życia w sposób aktywny. Tak było w domu, w szkole, w czasie służby w wojsku. Fakt, że do tej pory żył, należało raczej przypisać łutowi szczęścia niż jakiegokolwiek własnej, świadomej decyzji.

Zrozumiał, że bierne oczekiwanie na to, co mu przyniesie los, może już nie wystarczyć. A już na pewno nie sprawdzi się w sprawie Lincolna Scotta.

Ruszył dalej, kiwał głową i ciężko wzdychał. Nie był ani o krok bliższy zrozumienia, dlaczego zginął Trader Vic niż w dniu, w którym ujawniono morderstwo. W dodatku zdawał sobie sprawę, że szanse Scotta są niewielkie, jeśli nie przedstawi innego przebiegu wydarzeń.

Od ściany baraku sto pięć odbijał się promień słonecznego światła. Pod jego wpływem drewno wydawało się błyszczące i wyglądało jak nowe. Tommy podszedł do tego miejsca. Oparł się o ścianę, powoli osunął na ziemię i siedział tam, odwracając twarz do słońca. Promienie raziły go w oczy, więc podniósł rękę, by

osłonić twarz. Z tego miejsca widział daleki świat poza drutami i pobliski las. Z daleka dochodziły jakieś odgłosy – natężył uwagę, chcąc się zorientować, co to takiego. Po chwili usłyszał głucho dudnienie i dźwięk upadającego drzewa. Domyślił się, że niewidoczni za porastającymi skraj lasu drzewami rosyjscy jeńcy-niewolnicy oczyszczają teren. Niedługo rozlegną się odgłosy młotów i pił, towarzyszące budowie następnego obozu dla alianckich lotników. Fritz Numer Jeden napomknął o trwających już pracach. Częsty widok smug sprężonego powietrza, ciągnących się za przelatującymi wysoko samolotami B-17, pojawiającymi w dzień i w nocy, uczestniczącymi w brytyjskich nalotach na pobliskie urządzenia przemysłowe, instalacje oraz linie kolejowe wskazywał, że Niemcy biorą do niewoli coraz więcej alianckich załóg.

Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w cichnące odgłosy dobiegające z lasu. Była to na pewno katorżnicza robota, wykonywana przez ludzi chorych, głodujących i bliskich śmierci. Poczul dreszcz na myśl o tym, jak wygląda życie Rosjan. Nie mieli takiego obozu jak jeńcy alianccy. Niezależnie od pogody przebywali pod zrobionymi domowym sposobem zadaszeniami i w niby-namiotach, wykonanych z przemakającego płótna, rozwieszonego za zasiekami z drutu kolczastego. Nie mieli toalet ani kuchni. Żadnego schronienia. Bez przerwy pilnowały ich ujadające psy i wartownicy gotowi w każdej chwili strzelać. Warunków ich uwięzienia nie regulowała Konwencja Genewska. W lesie nierzadko rozlegał się wystrzał z karabinu albo seria z broni maszynowej. Jeńcy wiedzieli, że kolejny Rosjanin zdał sobie sprawę z nieuchronnej śmierci i zrobił coś, co ten wyrok przyspieszyło.

Tommy pomyślał, że śmierć dla tych ludzi musi być czymś w rodzaju wybawienia.

Popatrzył na wysokie płoty z drutu kolczastego, otaczające Stalag Luft 13. Na pewno części mieszkańców jego obozu uwięzienie też przypomina śmierć.

Poczul dobrze znany ucisk w żołądku, jakby nagle dostrzegł coś zaskakującego. Jeszcze raz popatrzył na druty. To niezłe miejsce, pomyślał. Północna wieża strażnicza była oddalona o dobre pięćdziesiąt metrów, a południowa o siedemdziesiąt pięć. W dodatku światło z reflektorów nie będzie się na siebie

nakładać, podobnie jak ogień z karabinów maszynowych. Tak mu się przynajmniej wydawało; ponieważ w takich szczegółach nie uważał się za eksperta. Jednak w obozie byli specjaliści.

Nagle przyszło mu do głowy, że gdyby był członkiem komisji zajmującej się przygotowywaniem ucieczek, poważnie zastanowiłby się nad tym miejscem. Przymrużył oczy i starał się oszacować odległość do lasu. Wynosiła ona co najmniej sto metrów. Tyle, ile długość boiska piłkarskiego. Nawet jeśli człowiek zdołałby się przedostać za druty, dzięki zrobionym samemu nożycom do cięcia metalu, to potem dzieliłoby go od drzew zbyt duża odległość. Chyba że ktoś zamierzał postawić wszystko na jedną kartę.

Czy na pewno zbyt duża?

Tommy chwycił w garść trochę luźnej, piaszczystej gleby i przesypywał ją między palcami. To nie była taka ziemia, jak trzeba. Wiedział o tym od ludzi, którzy pracowali przy budowie nieudanych tuneli. Zbyt twarda i sucha, za mało spoista. Bez przerwy się zapadała, łatwo poddawała się badaniom prowadzonym przez szperaczy. Poczł dreszcz na myśl, że miałyby przekopywać się pod powierzchnią. Byłoby tam duszno, gorąco, brudno i niebezpiecznie. Wartownicy od czasu do czasu sprowadzali ciężarówkę, ładowali na nią ludzi i balast, po czym jeździli po zewnętrznym obwodzie obozu. Masa pojazdu miała sprawić, że zarwałby się pod nią każdy podziemny tunel. Pewnego razu – ponad rok wcześniej – okazało się, że mieli rację. Tommy przypomniał sobie wściekłość pułkownika MacNamary, kiedy okazało się, że tyle dni i nocy ciężkiej pracy poszło na marne.

Podobny wyraz frustracji i rozpacz widział na twarzy pułkownika kilka tygodni temu, gdy dwaj kopacze zostali pogrzebani żywcem. Tommy spojrzął za druciane ogrodzenie. Stąd nie ma wyjścia, powiedział sobie w duchu. Naturalnie, jeśli nie brać pod uwagę najgorszego rozwiązania.

Po chwili znów nabrał wątpliwości, czy to aby na pewno racja.

Na lewo zauważył oficera, przekopującego metalową motyką grządkę w ogródku i skrupulatnie poprawiającego rządki spulchnionej ziemi. Tego rodzaju ogródki założono wzdłuż całego baraku sto sześć. I wszystkie były bardzo ładnie utrzymane.

Ziemia, świeża ziemia – pomyślał Hart. Świeża ziemia zmieszana ze starą.

Chciał wstać i przyjrzeć się temu z bliska, ale siłą woli powstrzymał narastające emocje i poskromił myśli, jakie nagle przyszły mu do głowy.

Odetchnął powoli, głęboko, wypuścił powietrze jak człowiek, który zamierza zanurzyć się w wodzie. Opuścił głowę, usiłował sprawić wrażenie pogrążonego w myślach, choć w rzeczywistości pilnie obserwował teren. Zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje. Przez okno, z boiska sportowego, ze ścieżki biegnącej pod ogrodzeniem. Nie wiedział, kto, lecz wiedział na pewno, że jest obserwowany.

Nagle przed barakiem rozległ się głośny dwukrotny gwizd, wysoki dźwięk, jaki w szczęśliwszych czasach oznaczał pojawienie się ładnej kobiety. Prawie w tym samym momencie ktoś dwa razy uderzył w metalowy pojemnik na odpadki. Potem rozległ się głos któregoś z jeńców: Nein keindrinkwasser! Słowa te wypowiedziano z charakterystycznym, nosowym amerykańskim akcentem. Tommy pomyślał, że człowiek ten musi pochodzić ze Środkowego Zachodu Stanów.

Rozprostował ramiona jak ktoś, kto przebudził się z drzemki i podniósł się, otrzepując spodnie z kurzu. Zwrócił uwagę, że oficer pracujący niedaleko w ogródku gdzieś zniknął. Uznał to za bardzo dziwne, lecz zachował tę obserwację dla siebie. Kilka chwil później przed barakiem przeszedł wolnym krokiem Fritz Numer Jeden. Wartownik nie starał się ukrywać, kiedy chodził po terenie obozu. Wiedział, że jego obecność i tak zostanie zauważona przez jeńców wyznaczonych do pełnienia straży. Po prostu uświadamiał więźniom, że jak zawsze jest na swym miejscu i zachowuje czujność. Fritz zauważył Tommy'ego.

– Poruczniku Hart – powiedział z uśmiechem – może ma pan dla mnie papierosa?

– Witaj, Fritz – odrzekł Tommy. – Zgoda, jeżeli odprowadzisz mnie do obozu brytyjskiego.

– To będzie kosztowało dwa papierosy – targował się Niemiec. – Po jednym za drogę tam i z powrotem.

– W porządku.

Strażnik wziął papierosa, zapalił, zaciągnął się mocno i powoli wypuścił dym.

– Czy sądzi pan, że wojna szybko się skończy? – zapytał.

– Nie. Mam wrażenie, że będzie trwała wiecznie.

Niemiec uśmiechnął się i gestem zachęcił go do pójścia w stronę bramy.

– W Berlinie nie mówi się o niczym innym, tylko o inwazji – powiedział. – I o tym, jak oni się będą czuli, kiedy zostaną zepchnięci do morza.

– Wygląda na to, że się niepokoją – skwitował Tommy.

– Mają się o co martwić – ciągnął ostrożnie Fritz. Spojrzał w niebo. – Taki dzień jak dziś byłby w sam raz, nie sądzi pan, poruczniku? W sam raz na przeprowadzenie ataku. Pewnie tak właśnie myślą w Londynie Eisenhower, Montgomery i Churchill.

– Nie mam pojęcia, o czym myślą. Ja byłem tylko nawigatorem lotniczym, a ci dżentelmeni nieczęsto informowali mnie o swoich planach. A poza tym, Fritz, planowanie inwazji to nie moja broszka.

Fritz Numer Jeden wyglądał na zmieszanego.

– Nie rozumiem tego – powiedział. – Co broszka ma wspólnego z operacjami wojskowymi?

– Tak się mówi, Fritz. To powiedzenie oznacza, że nie mam żadnego przygotowania w tej dziedzinie ani też się nią nie interesuję.

– A więc broszka?

– No właśnie.

– Zapamiętam to sobie.

Zbliżyli się do wartowników przy bramie.

– Znowu mi pan pomógł, poruczniku. Pewnego dnia będę mówił jak prawdziwy Amerykanin.

– To nie jest to samo, Fritz.

– Co pan ma na myśli?

– Mówić jak Amerykanin i być Amerykaninem to nie jest to samo.

Strażnik potrząsnął głową.

– Jesteśmy tym, kim jesteśmy, poruczniku Hart. Tylko idiota tłumaczyłby się z tego. I wyłącznie idiota nie chciałby skorzystać z tego, co ma pod nosem.

– To fakt – zgodził się Tommy.

– A ja nie jestem idiotą, poruczniku.

Tommy zaczął się zastanawiać nad słowami wartownika. Zwrócił uwagę na miękki ton, jakim to mówił i starał się zrozumieć ukryte za tą wypowiedzią intencje.

Maszerowali ramię w ramię w kierunku brytyjskiego obozu. Kiedy dochodzili do furtki, Tommy zapytał pozornie obojętnym, maskującym napięcie głosem:

– Rosjanie budują tam nowy obóz... jak dużo brakuje im do skończenia?

Fritz pokiwał głową i odpowiedział takim samym, przytłumionym tonem.

– To może potrwać kilka miesięcy albo trochę dłużej. A może nigdy tego nie skończą. Zbyt szybko wymierają. Na stacji w miasteczku pojawia się co parę dni pociąg dowożący nowy transport. Potem oni maszerują do lasu i zajmują miejsca tych, którzy zginęli. Wydaje się, że ten potok rosyjskich więźniów nie ma końca. Prace posuwają się powoli. Dzień w dzień jest tak samo. Cieszę się, że jestem tutaj, a nie tam – zakończył Fritz z drżeniem ciała.

– Nie chodzisz tam?

– Byłem raz czy dwa. To jest niebezpieczne. Rosjanie nas nienawidzą. Wie pan, po ich oczach widać, że życzą nam śmierci. Pewnego razu Hundführer wpuścił do ich obozu swojego psa. To był taki wielki doberman. Wściekła bestia, poruczniku, raczej wilk niż pies. Ten cymbał myślał, że da Iwanom lekcję. Kretyn. – Fritz Numer Jeden uśmiechnął się zdawkowo i pokiwał głową. – Nie okazał im najmniejszego szacunku. To głupota, nie uważa pan, poruczniku Hart? Zawsze należy szanować wroga. Nawet kiedy się go nienawidzi, trzeba odnosić się do niego z respektem, prawda? Tak czy owak, ten pies znikł. Żołnierz stał i wrzeszczał: „Chodź tu, piesku! Do nogi!” Bałwan. Rano Iwany wyrzuciły skórę. Tylko tyle zostało ze zwierzaka. Resztę zjedli. Uważam, że Rosjanie są jak zwierzęta.

– A zatem ty tam nie chodzisz?

– Chodzę, tylko bardzo rzadko. Niech pan patrzy, poruczniku Hart...

Fritz szybko rozejrzał się dookoła, czy w okolicy nie ma niemieckich oficerów. Kiedy się przekonał, że nikt ich nie podgląda, wyciągnął z kieszeni bluzy jakiś błyszczący, mosiężny przedmiot.

– ...Może miałby pan chęć pohandlować? To będzie wspaniała pamiątka, gdy w końcu wróci pan do Ameryki. Za sześć paczek papierosów i trochę czekolady,

powiedzmy dwie tabliczki. Co pan na to?

Tommy wyjął błyskotkę z dłoni Fritza. Była to ciężka, duża, prostokątna klamra od pasa, troskliwie wypolerowana. W promieniach słońca błyszczała wygrawerowany na klamrze emblemat – czerwony sierp i młot. Tommy oglądał kawałek metalu i poczuł, jak przenika go dreszcz.

– Niezłe – powiedział. – Ale ja szukam czegoś innego.

Strażnik pokiwał głową.

– Trader Vic – powiedział z krzywym uśmiechem – potrafił ocenić wartość różnych rzeczy, on by zaakceptował moją cenę. A w każdym razie zaproponowałby swoją, zbliżoną do mojej propozycji. Później odsprzedałby to i jeszcze na tym zarobił.

– Czy często robiłeś interesy z Bedfordem? – zapytał obojętnie Tommy i w napięciu czekał na odpowiedź.

Fritz Numer Jeden zawahał się.

– Taki handel jest zabroniony – oświadczył.

– Wiele rzeczy jest zakazanych – rzucił Hart.

Wartownik przytaknął.

– Kapitan Bedford zawsze rozglądał się za pamiątkami z wojny, poruczniku. Miał wiele rozmaitych przedmiotów. Handlował wszystkim.

Tommy zwolnił kroku, gdy zbliżyli się do bramy brytyjskiego obozu. Był przekonany, że Niemiec chce mu coś zasugerować. Fritz Numer Jeden dotknął ręki Harta.

– Dosłownie wszystkim – powtórzył.

Tommy zatrzymał się nagle i uważnie przyjrzał wartownikowi.

– To ty znalazłeś jego zwłoki, prawda? Zgadza się, Fritz? Tuż przed porannym apelem, mam rację? Cholera, Fritz, co ty robiłeś w obozie o tej porze? Było jeszcze ciemno, a żaden Niemiec nie wałęsał się po ogrodzonym terenie po wygaszeniu światła, ponieważ żołnierze na wieżach mają rozkaz strzelać do każdego. A więc dlaczego znajdowałeś się tam, gdzie mogli cię zabić twoi towarzysze?

Fritz Numer Jeden uśmiechnął się.

– On handlował wszystkim. Pomagam panu, poruczniku, ale gdybym powiedział więcej, to mogłoby być wyjątkowo niebezpieczne. Dla nas obu – powiedział i wskazał ręką na otwartą bramę.

Tommy miał w zanadrzu mnóstwo pytań. Dał Niemcowi obiecane papierosa, zastanowił się błyskawicznie i wsunął mu w dłoń całą paczkę. Fritz Numer Jeden podziękował i uśmiechnął się szeroko. Potem machnął ręką, dając znak, żeby Tommy dalej szedł sam. Stał i przyglądał się, jak Amerykanin wchodzi do brytyjskiego obozu i rozgląda się za Renadayem i Pryce'em. Hart popuścił wodze fantazji. Żaden nie zwrócił uwagi na grupę brytyjskich oficerów z ręcznikami, mydłem i niewielką ilością ubrania na zmianę, maszerujących w przeciwną stronę – pod prysznic. Dwóch znudzonych niemieckich strażników, bez broni, ze spuszczonej jakby ze zmęczenia głowami eskortowało jeńców, rażno maszerujących zakurzoną drogą. Po chwili Brytyjczycy zaczęli śpiewać jedną ze swoich sprośnych piosenek.

– To wyjątkowo dziwne – stwierdził Pryce, odchylając do tyłu głowę, by spojrzeć w niebo. Potem utkwiał uważne spojrzenie w Tommym. – Istotnie, bardzo intrygujące. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, mój chłopcze, że on chciał ci coś powiedzieć.

– Zgadza się, nie ma co do tego wątpliwości – potwierdził Amerykanin. Tupnął w ziemię, wzbijając obłoczek kurzu. Siedzieli we trzech pod ścianą jednego z baraków.

– Ja nie dowierzam Fritzowi, żadnemu z Fritzów, czy to Numer Jeden, Dwa czy Trzy. Nie wierzę żadnemu z tych cholernych szwabów – mruzczał Hugh. – Niezależnie od tego, co mówią. Dlaczego on miałby nam pomagać? Odpowiedz mi, mecenasie.

Pryce odkaszlnął ostro. Siedział w ciepłym słońcu z podwiniętymi nogawkami spodni, trzymając stopy w żelaznej misce dentystycznej, do której co jakiś czas dolewał gorącej, prawie że gotującej się wody. Podniósł jedną nogę i przyjrzał się jej uważnie.

– Pęcherze, czyraki, grzybica – powiedział i jeszcze raz zakasłał. – Dobry Boże, ja się cały rozlążę w szwach, moi drodzy. Chyba już nic nie funkcjonuje jak należy.

Uśmiechnął się, po czym odwrócił się do Kanadyjczyka.

– Naturalnie masz rację, Hugh. Ale z drugiej strony, z jakiego powodu Fritz miałby kłamać?

– Nie mam pojęcia, to bardzo pokrętny sukinsyn. W dodatku bez przerwy walczy o awans, medal czy co tam jeszcze te szkopy otrzymują w nagrodę za swą cholernie ciężką robotę w tutejszych obozach.

– To znaczy, że dba o własną korzyść?

– Co do tego nie ma wątpliwości – warknął Renaday.

Pryce skinął głową i obrócił się do Tommy’ego. Prawdopodobnie Anglik miał coś ważnego do powiedzenia.

– Hugh, przecież właśnie to mogłoby wskazywać, że on mówi mi prawdę – odezwał się. – A przynajmniej stara się naprowadzić mnie na właściwy kierunek. On jest Niemcem, to prawda, ale wszyscy musimy się zgodzić, że pracuje głównie na własny rachunek. I dostrzega w obozie coś, co traktuje jako dobrą okazję. Mniej więcej tak samo, jak to robił Trader Vic.

– A zatem jak sądzisz, o czym on gadał? – zapytał Hugh.

– A czego nam brakuje? Co musimy wiedzieć?

– Potrzebujemy dwóch rzeczy: ujawnić prawdę i znaleźć sposoby dojścia do niej – uśmiechnął się Renaday.

Pryce przytaknął i znowu odwrócił się do Tommy’ego:

– Myślę, że to może okazać się istotne. I to bardzo. Dlaczego Fritz znajdował się na ogrodzonym terenie przed świtem? Przecież mógłby łatwo zapłacić za tę wycieczkę własnym życiem, gdyby zauważył go jeden z tych nastolatków, których Niemcy powołują do wojska i wsadzają na wieże strażnicze. Co więcej, nie wydaje mi się, aby Fritz był typem dżentelmena, który ryzykuje życiem, nie mając nadziei na odpowiednio atrakcyjną nagrodę.

– To musiała być korzyść o charakterze osobistym – dopowiedział Hugh. – Nie sądzę, aby robił zbyt wiele dla swojej ojczyzny, jeśli nie widzi perspektywy zysku.

Pryce klasnął w ręce, jakby myśli parzyły go tak samo jak woda, w której moczył obolałą stopę. Po chwili powiedział powoli, z namysłem, co zaskoczyło Tommy'ego.

– A gdyby założyć, że zachowanie Fritza wiąże się i z jednym, i z drugim? – zapytał, zaciskając dłoń w pięść i wymachując nią triumfalnie w powietrzu przed nosem Amerykanina. – Panowie, jestem zdania, że zachowaliśmy się dosyć głupio. Marnowaliśmy czas, zastanawiając się nad morderstwem Tradera Vica i oskarżeniami wobec Lincolna Scotta. Robiliśmy właśnie to, czego oczekuje druga strona. Ale może już nadszedł czas, żeby spojrzeć na to inaczej.

Tommy westchnął:

– Phillipie, znowu mówisz w sposób tajemniczy i mocno zagmatwany.

– Mam już taki zwyczaj, mój chłopcze.

– Chyba powinienem się domagać, abyś po wojnie przyjechał na długo do Stanów Zjednoczonych – powiedział Tommy. – Któregoś dnia posadziłbym cię przy starym, opalanym drewnem piecu w wielobranżowym sklepie w Manchester; byłby to środek zimy, przed oknem piętrzyłyby się dwumetrowe zaspasy śniegu, a starzy mieszkańcy snuliby opowieści o pogodzie w Vermont, o zbiorach, zbliżającym się sezonie wędkarskim i o tym, czy młody Williams, grający dla Red Sox, kiedykolwiek osiągnie coś w tej konkurencji. Wtedy przekonałbyś się, że jankesi mówią zawsze konkretnie i trzymają się tematu, niezależnie od tego, co mają na myśli.

Pryce zaniósł się śmiechem, który doprowadził go do kolejnego ataku kaszlu.

– Chodzi ci o lekcję prostolinijności? – zapytał.

– Właśnie tak. Lekcję tego, co nazywam waleniem prosto z mostu.

– Och, to typowo amerykańskie określenie.

– Ale też właściwość, jakiej będziemy potrzebowali w poniedziałek rano, punktualnie o ósmej, kiedy rozpocznie się proces Scotta.

Hugh Renaday uśmiechnął się.

– W tym punkcie on ma rację, Phillipie. Możesz mi wierzyć: nasi sąsiedzi z południa są ogromnie bezpośredni. A szczególnie ich starszy oficer, MacNamara. Wywodzi się z West Point i prawdopodobnie wytatuował sobie na piersi wojskowy

kodeks postępowania. Sugerowanie tego czy tamtego na sali niczego dobrego nie przyniesie. Ten facet ma bardzo ograniczoną wyobraźnię. Trzeba zmierzać prosto do celu.

Pryce pogрузył się w rozmyślaniach.

– No tak, na to wygląda – powiedział powoli – chociaż zastanawiam się...

Uniósł rękę, nie dopuszczając do słowa Tommy'ego i Hugh. Widać było, że jego umysł pracuje intensywnie, a oczy myszczą po terenie.

– Myślę – ciągnął wolno – że powinniśmy ponownie przeanalizować sprawę tego zabójstwa. Co właściwie wiemy?

– Wiemy, że Vic został zamordowany w pewnej odległości od miejsca, gdzie znaleziono jego zwłoki. Wiemy również, że ciało odnalazł niemiecki strażnik, który nie powinien przebywać w obozie o tej porze. Zdajemy sobie sprawę, że narzędzie zbrodni i sposób zadania śmierci różnią się od tego, co będzie utrzymywała strona przeciwna... – powiedział Tommy. Przerwał na chwilę i ciągnął dalej: – Na poparcie tej linii mamy zakrwawione buty Lincolna Scotta, jego kurtkę lotniczą pobrudzoną w identyczny sposób, narzędzie zbrodni, na którym również znajdują się plamy krwi, chociaż wątpliwe, aby to ono posłużyło do zabójstwa... Westchnął i mówił dalej: – Mamy także dobrze udokumentowane animozje oraz groźby.

Pryce powoli pokiwał głową.

– Może rozsądnie byłoby przeanalizować te czynniki jeden po drugim. Powiedz mi, Hugh, co twoim zdaniem wynika z faktu, że zwłoki zostały przeniesione?

– Że miejsce zbrodni zdradziłoby zabójcę.

– Czy Lincoln Scott przeniósłby zwłoki bliżej własnego baraku?

– Nie. To nie miałyby sensu.

– Jednak umieszczenie ciała Vica w Aborcie miało dla kogoś sens.

– Dla kogoś, kto musiał się upewnić, że rzeczywiste miejsce zbrodni nie zostanie przeszukane. A poza tym, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, kto by prowadził szczegółowe badania zwłok w Aborcie? Tam strasznie śmierdzi...

– Zrobił to Visser – powiedział Hugh. – Można było odnieść wrażenie, że smród mu ani trochę nie przeszkadza.

– To jest interesująca obserwacja – powiedział Pryce. – Zgadza się. Tommy, uważam, że mimo uniformu Luftwaffe Herr Visser pracuje dla gestapo. Jest doświadczonym i bystrym policjantem. Wątpię, czy człowiek, który zamordował Tradera Vica przewidywał, że on się tutaj pojawi. Przypuszczalnie zakładano, że sprawą zajmie się pedantyczny i sztywny von Reiter. Czy jednak komendant von Reiter przeszukałby dokładnie Abort? Cholernie mało prawdopodobne. A to prowadzi nas do następnego pytania: czy zabójcy faktycznie zależało na uniknięciu przeszukania określonego miejsca i kogo się obawiał? Niemców czy Amerykanów?

Tommy uniósł brwi.

– Problem w tym, Phillipie, że ilekroć robimy krok do przodu, pojawiają się nowe pytania.

– No właśnie. Dlaczego sprawy nie mogą być prostsze? – sarknął Hugh.

Pryce położył dłoń na ramieniu Kanadyjczyka.

– Jak wiesz, oskarżenie o tę zbrodnię Scotta było łatwe. I właśnie tu kryje się kłamstwo, jeżeli mogę się tak wyrazić – powiedział ze śmiechem. Wyglądało na to, że ogromnie cieszy go każda nowa zawilość. Odwrócił się do Tommy'ego: – A niewytłumaczona i cokolwiek zaskakująca obecność Fritza Numer Jeden na miejscu zbrodni? Co mówi nam ten fakt?

– Że musiał mieć bardzo poważny powód, aby się tam znaleźć.

– Czy nielegalny handel jakimś przemyconym towarem mógłby skłonić Fritza i Tradera Vica do znalezienia się tam w środku nocy, kosztem poważnego ryzyka dla jednego i drugiego?

– Nie – odrzekł Tommy, zanim zdążył się włączyć Hugh. – Ja tak nie myślę. Vic przecież poznał już wszelkie formy nielegalnego handlu aparatami fotograficznymi, radiami, upominkami. Wszystkim... To powiedział sam Fritz. Ale nawet najbardziej wyjątkowe transakcje można przeprowadzić w ciągu dnia. Vic był w tych sprawach ekspertem.

– Wobec tego przyczyna, która skłoniła Vica i Fritza Numer Jeden do wyjścia na zewnątrz w środku nocy przy tak poważnym ryzyku musiała dla nich obu być bardzo ważna... – zastanawiał się Pryce. – Chodziło o coś, co było doskonale ukryte przed

wszystkimi ludźmi w obozie.

– Zakładasz więc, że obaj mieli ten sam powód do wyjścia na dwór. Ale tego nie wiemy na pewno – wtrącił ostrym tonem Tommy.

– Przypuszczam jednak, że musimy trzymać się tego kierunku – powiedział z naciskiem Pryce. – Czy widzisz w tym wszystkim jakiś sens, Thomas?

Tommy doznał nagłego olśnienia. „Coś, co jest najlepiej ukryte...” Myśl przebiegła mu przez głowę niczym błyskawica. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy niespodziewanie uwagę całej trójki zaprzętnęły jakieś krzyki. Za ogrodzeniem z drutu kolczastego w pobliżu głównej bramy coś się działo. Odwrócili się w tamtą stronę, a po chwili zeszywnieli, słysząc odgłosy strzelaniny.

– Co się dzieje, do ciężkiej cholery... – zaczął Hugh.

Z budynku obozowej administracji wybiegł uzbrojony oddział żołnierzy w narzuconych pośpiesznie mundurach. Strażnicy szybko nakładali hełmy i zapinali guziki kurtek. Biegli obok biura komendanta. Feldfebel wydawał głośnie rozkazy. Rozległy się odgłosy ciężkich kroków na twardej ziemi, i gwizdki. Kilku strażników wbiegło przez bramę, poganiając kolegów przekleństwami i okrzykami. Głośno zawyła syrena, włączana zazwyczaj w czasie alarmów lotniczych. Tommy, Hugh i Pryce zauważyli, że w środku tej grupy znajduje się Fritz Numer Jeden. Spozstrzegł ich, zaczął machać rękami i wołać z wściekłością: Do szeregu! Ustawiać się! Raus! Schnell! Odliczanie!

Zniknął gdzieś typowy dla strażnika żartobliwy ton. Mówił podniesionym, pełnym napięcia głosem. Wskazał palcem Tommy'ego.

– Poruczniku Hart! Ma pan stanąć z boku i uczestniczyć w odliczaniu razem z Brytyjczykami!

Ciszę zakłóciła kolejna salwa karabinowa.

Bez dalszych wyjaśnień Fritz Numer Jeden pobiegł na środek obozu, wydając dalsze komendy. W tym czasie plac zaczął się wypełniać brytyjskimi lotnikami, pośpiesznie ubierającymi się po drodze na zapowiadany apel. Tommy usłyszał gorączkowy szept Phillipa Pryce'a, wymawiającego jedno jedyne, wspaniałe, a zarazem straszliwe słowo, od którego zatrzymywało się serce:

– Ucieczka!

Brytyjscy lotnicy stali w szyku prawie godzinę. W tym czasie strażnicy chodzili wzdłuż szeregów, liczyli obecnych raz po raz, przeklinali po niemiecku i nie odpowiadali na żadne pytania. Tommy stał w odległości paru metrów od ostatniej grupy, z dwoma innymi amerykańskimi oficerami, którzy w momencie podjęcia próby ucieczki znajdowali się na terenie brytyjskiego obozu. Nie znał ich prawie, choć wiedział, że jeden jest mistrzem szachowym z baraku sto dwadzieścia i często przekupuje strażników, aby pozwalali mu iść tam, gdzie konkurencja jest ciekawsza. Drugi, szczupły mężczyzna był aktorem z Nowego Jorku, wciągniętym przez Brytyjczyków do udziału w organizowanym przez nich przedstawieniu teatralnym. Dawny pilot myśliwca okazał się niesłychanie przekonujący w roli blond seksbomby, gdy występował w peruce domowej roboty i tanim makijażu na twarzy, ubrany w czarną suknię wieczorową, uszytą przez obozowych krawców z resztek zużytych i podartych mundurów. Z tego powodu był człowiekiem bardzo mile widzianym w zespołach teatralnych obu obozów.

– Ciągłe nie mogę zrozumieć, co tu się dzieje, na Boga – szepnął szachista – ale szkopy są rozwścieczone jak wszyscy diabli.

– Strasznie wrzeszczą. Kilku z nich robi więcej hałasu niż ustawieni w czworoboki wszyscy brytyjscy lotnicy – odparł aktor. – Myślicie, że długo będą nas tu trzymać?

– Znacie cholernych szwabów – wtrącił po cichu Tommy. – Jeżeli doliczą się tylko dziewięciu jeńców tam, gdzie powinno być dziesięciu, gotowi są liczyć nawet sto razy, aby się upewnić, że nie popełnili pomyłki...

Amerykanie mruknęli na znak, że się z nim zgadzają.

– Hej – szepnął mistrz szachowy. – Patrzcie, kto tu idzie. To sam wielki szef. A ten drugi obok niego – czy to nie jest ta nowa, mniejsza fisza? Ten facet, który ma nadzorować wasz pokaz, zgadza się, Hart?

Tommy spojrział we wskazanym kierunku i dostrzegł czerwonego na twarzy pułkownika von Reitera w nienagannym umundurowaniu, schodzącego po

schodkach ganku budynku administracyjnego. Za nim szedł w wymiętym mundurze kapitan Heinrich Visser. W przeciwieństwie do von Reitera, o surowym spojrzeniu i władczej postawie, wydawał się trochę rozbawiony, chociaż jego niewyraźny uśmiezek równie dobrze można by wziąć za przejaw okrucieństwa. Tommy pomyślał, że mina Vissera prawdopodobnie dużo mówi o jego charakterze.

Za oficerami maszerowała grupa strażników z pistoletami maszynowymi albo karabinami. Otaczali ponad dwudziestu niekompletnie ubranych brytyjskich oficerów, wśród których jeden lekko utykał, a dwóch było całkowicie nagich. Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo wesołych i wyraźnie z siebie zadowolonych, mimo że maszerowali z rękami złożonymi za głową.

Aktor i szachista w tej samej chwili co Tommy dostrzegli kontrast pomiędzy Niemcami a Anglikami. Szachista powiedział szeptem:

– Angole mogą uważać to za żart, ale założę się, że von Reiter nie znajduje w tym nic zabawnego.

Oficerowie wraz z grupą schwytanych jeńców przeszli przez bramę i zatrzymali się przed ustawionymi w szyku brytyjskimi oficerami. Starszy oficer, wąsaty pilot bombowy o szorstkiej twarzy i grzywie rudych włosów przyprószonych siwizną wystąpił przed szereg, podając komendę „Baczność”. Kilka tysięcy obcasów stuknęło zgrabnie, jak jeden. Von Reiter popatrzył na Brytyjczyka, po czym odwrócił się do jeńców.

– Czy wam, Brytyjczykom, wydaje się, że wojna to jakaś zabawa? Albo dyscyplina sportu, podobna do waszego krykieta czy rugby? – zapytał rozniewanym głosem, niosącym się daleko nad głowami zgromadzonych na placu apelowym. – Myślicie, że my tu uprawiamy jakieś gry?

Wściekłość von Reitera zawisła nad obozem niczym burza gradowa. Nikt mu nie odpowiedział. Złapani jeńcy stopniowo się uspokoiли.

– Dla was to wszystko jest żartem?

Z szeregów rozległ się pojedynczy głos, naśladujący akcent londyńskich cockneyów:

– Wszystko po to, by zabić tę cholerną monotonię, mistrzu!

Rozległ się wybuch śmiechu, który szybko ucichł pod wzrokiem von Reitera. Komendant był wściekły.

– Zapewniam was, że najwyższe dowództwo Luftwaffe nie traktuje ucieczek jako powodu do zabawy.

Z innej strony usłyszeli kolejny głos, tym razem z wymową irlandzką:

– No cóż, chłopcze, tym razem zażartowano z was.

I znowu krótka salwa śmiechu.

– Doprawdy? – zapytał komendant chłodnym tonem.

Zbliżył się starszy oficer brytyjski.

– Ależ drogi panie komendancie von Reiter, zapewniam pana, że nikt tutaj nie pozwala sobie na dowcipy... – powiedział spokojnie.

Niemiecki pułkownik przeciął pejczem powietrze, jak gdyby zamykał usta Brytyjczykowi.

– Ucieczki są zabronione!

– Ależ, panie komendancie...

– Verboten.

– Tak, ale...

Von Reiter odwrócił się do jeńców.

– Otrzymałem dziś nowe dyrektywy od moich przełożonych z Berlina. Sprawa jest prosta: od tej chwili alianccy lotnicy uciekający z obozów jenieckich na terenie Rzeszy będą traktowani jak terroryści i szpiedzy! Jeżeli zostaniecie złapani, nie wróćcie już do Stalagu Luft 13, tylko będziecie publicznie rozstrzelani!

Zapadła cisza. Upłynęło kilka sekund, zanim starszy oficer brytyjski odpowiedział mu ostrym, zimnym głosem:

– Ostrzegam, Herr Oberst: to, co pan sugeruje, jest jawnym naruszeniem Konwencji Genewskiej, której sygnatariuszem są Niemcy. Takie potraktowanie uciekinierów należących do sił alianckich będzie przestępstwem wojennym, a każdy, kto się go dopuści, w końcu sam stanie przed plutonem egzekucyjnym albo katem na szubienicy. Mogę to panu przyrzec.

Von Reiter odwrócił się do niego.

– Ja otrzymałem rozkazy! – odrzekł energicznie. – Legalne rozkazy! I niech mi pan tu, podpułkowniku, nie mówi o przestępstwach wojennych! To przecież nie Luftwaffe zrzuca nocami bomby zapalające i z opóźnionym zapłonem na miasta pełne cywilów! Pełne kobiet, dzieci i starców! To dopiero kłóci się z pańską ukochaną Konwencją Genewską!

Von Reiter popatrzył na Hauptmanna Vissera, który przytaknął ruchem głowy i wydał krótką komendę żołnierzom pilnującym brytyjskich lotników, biorących udział w ucieczce. Niemcy natychmiast zarepetowali karabiny i pistolety maszynowe Schmeissera. Rozległy się złowrogie odgłosy szczękających zamków. Oddział podniósł broń do strzału.

Przez kilka sekund na placu apelowym było zupełnie cicho. Pierwszy zareagował brytyjski oficer o pobladłej, ściągniętej twarzy.

– Czy grozi pan zmasakrowaniem bezbronnych ludzi? – wykrzyknął wysokim, przepojonym szaleńczym strachem głosem. W każdym jego słowie wyczuwało się panikę.

Von Reiter zwrócił się do niego z tym irytującym spokojem, jaki daje przewaga siły ognia:

– Działam zgodnie ze swoimi uprawnieniami, podpułkowniku. I wykonuję jedynie otrzymane rozkazy. Polecenia z najwyższych kręgów w Berlinie. Gdybym je zlekceważył, przypuszczalnie sam stanąłbym przed plutonem egzekucyjnym.

Brytyjczyk podszedł do Niemca.

– Sir! – zawołał. – Wszyscy tutaj jesteśmy świadkami! Jeżeli zamorduje pan tych ludzi...

Von Reiter spojrzał na niego.

– Zamorduje? Zamorduje! I to pan ośmiela się mówić o morderstwie! Kiedy wy atakujecie bombami zapalającymi nieuzbrojonych cywilów! Terrorfliegers!

– Będzie pan wisiał, von Reiter, jeżeli wyda pan rozkaz otwarcia ognia! Sam założę panu pętlę!

Von Reiter odetchnął głęboko, nakazując sobie spokój.

– Ci oficerowie są pod pańską komendą, podpułkowniku – powiedział z okrutnym

uśmiechem. – I to pan ponosi odpowiedzialność za dzisiejszą idiotyczną próbę ucieczki. Czy stanie pan sam naprzeciw plutonu egzekucyjnego w zamian za życie pańskich ludzi?

Zaskoczony starszy oficer brytyjski wstrzymał się z odpowiedzią.

– To uczciwa wymiana. Pańskie życie za życie dwudziestu kilku ludzi.

– Pan zapowiada zbrodnię – odrzekł Brytyjczyk.

Niemiec wzruszył ramionami.

– Cała ta wojna jest zbrodnią – powiedział z naciskiem. – Ja tylko oczekuję od pana decyzji, jaką często podejmują oficerowie. Czy poświęci pan jednego człowieka dla dobra wielu innych? Czy poświęci pan siebie? Tylko szybko, podpułkowniku, jaka jest pańska decyzja?

Podniósł w górę pejcz, jakby miał zamiar dać rozkaz otwarcia ognia.

Szeregi brytyjskich jeńców najpierw zeszywniały, a potem zakołysały się, jak przy silnym wietrze. Podniosły się gniewne głosy. Na pobliskiej wieży strażniczej żołnierze z trzaskiem obrócili w stronę zebranych karabin maszynowy.

Niedoszli uciekinierzy skupili się bliżej siebie. Miejsce szerokich uśmiechów, z jakimi opuścili przesłuchanie, zastąpiła śmiertelna bladość. Wpatrywali się w lufy wycelowanych w nich karabinów.

– Komendancie! – krzyknął ochryłym głosem starszy oficer brytyjski. – Niech pan nie robi czegoś, czego później będzie pan żałował!

Von Reiter przyjrzał mu się badawczo.

– Czego mam żałować? Zabicia wrogów, którzy tak sprawnie zabijają moich rodaków? Dlaczego miałbym tego żałować?

– Ostrzegam pana! – zawołał Brytyjczyk.

Tommy rzucił okiem na Heinricha Vissera, który nie potrafił ukryć zadowolenia.

– Myślę, że oni mają zamiar to zrobić – wyszeptał stojący obok niego aktor. – Cholera, naprawdę tak mi się wydaje!

– Nie, tylko blefują – sprzeciwił się szachista.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Hart.

– Nie. Ani trochę – odrzekł szachista.

– Oni są zdecydowani to zrobić – powtórzył aktor. – Naprawdę! Słyszałem, że rozstrzelali ludzi, którzy zwiiali z jakiegoś innego obozu. Podobno zabili trzydziestu Brytyjczyków. Oni wyszli przez tunel i byli na wolności przez kilka tygodni. Oskarżono ich o szpiegostwo i wykonano egzekucję. Nie uwierzyłem w to, ale teraz...

Von Reiter stał nieruchomo, jak gdyby czekał, aż napięcie udzieli się wszystkim. Szperacze z palcami na cynglach czekali na komendę, brytyjscy jeńcy stali jak skamieniali, przerażeni tym, co za chwilę miało nastąpić.

– W porządku, komendancie! – powiedział donośnym głosem starszy oficer brytyjski. – Stanę na ich miejscu!

Niemiecki pułkownik odwrócił się powoli, opuszczając bicz. Położył dłoń na rękojeści zawieszzonego u pasa ceremonialnego kordzika w czarnej pochwie. Tommy zwrócił uwagę na ten gest. Von Reiter z zamachem uderzył pejczem po wyglansowanych cholewach.

– No tak – powiedział bez pośpiechu. – To odważna, chociaż głupia decyzja.

Znowu przerwał. Rozkoszował się tą chwilą.

– Tym razem nie będzie to niezbędne – powiedział do Brytyjczyka i nie czekając na jego reakcję odwrócił się do Vissera: – Kapitanie! Wszystkich, którzy usiłowali uciec spod przyszciców posłać na dwa tygodnie do karceru! Wyżywienie, wyłącznie chleb i woda!

Paralizujący strach natychmiast opuścił stłoczonych jeńców. Ktoś zaczął głośno szlochać, inny oparł się na ramieniu kolegi, bo nie mógł ustać na chwiejących się nogach. Trzeci przeklinał z wściekłością, wygrażając pięścią niemieckiemu komendantowi, jakby go wyzywał do walki.

Von Reiter jeszcze raz zwrócił się do starszego oficera brytyjskiego.

– Otrzymałście ostrzeżenie! – powiedział gniewnie. – Następnym, jeśli się na coś takiego odważą, nie ujdzie już tak łatwo!

Głośno zwrócił się do jeńców:

– Od tej pory każdy, kto zostanie złapany poza drutami, będzie rozstrzelany! Obiecuję to wam! Chcę, żeby to było zupełnie jasne. Z tego obozu nikt nie uciekł i

nigdy się to nie zdarzy! Na czas trwania wojny to jest wasz dom. Rzesza nie ma zamiaru marnować cennych zasobów wojennych na uganianie się za uciekającymi lotnikami z sił alianckich! Nie poświęcimy na to więcej środków.

Von Reiter odpiął guzik kieszeni stalowoszarej kurtki mundurowej i wyjął wąski nabój karabinowy. Uniósł go w górę, żeby pokazać zebranim. Po chwili wręczył go starszemu oficerowi brytyjskiemu.

– To na pamiątkę – powiedział ostrym tonem. – No i oczywiście jeńcy z obozu brytyjskiego tracą na dwa tygodnie przywilej korzystania z pryszniców.

Po tych słowach dał ręką znak do rozejścia się, odwrócił się na pięcie i odszedł w asyście pozostałych niemieckich oficerów i strażników. Tommy zauważył szeroki uśmiech Heinricha Vissera. Hauptmann także zwrócił na niego uwagę.

– Byłem pewny, że oni mają zamiar to zrobić – wyszeptał aktor z Nowego Jorku. – Jezu, było cholernie blisko.

– Słuchajcie, czy myślicie, że MacNamara i Clark z naszej strony nie wiedzą o tej dyrektywie? – zapytał mistrz szachowy. – O tym rozkazie rozstrzeliwania uciekinierów? Czy sądzicie, że to jakiś bluff, chytra sztuczka szwabów? Że chodzi im o to, aby nas zastraszyć?

– To akurat z pewnością się im udało – odparł aktor, wypuszczając długo wstrzymywane powietrze. – Nie sądzę, żeby to był bluff. Jedno wam powiem: MacNamara i Clark dobrze wiedzą o tych rozkazach. Z całą pewnością. Rzecz w tym, że oni się tym nie przejmują, ani odrobinę.

– To jest wojna, zapomnieliście? – wtrącił Tommy.

Zgodzili się z nim.

Phillip Pryce postawił wodę na herbatę, a Hugh Renaday poszedł dowiedzieć się czegoś na temat nieudanej próby ucieczki. Phillip krzątał się przy piecu niczym stara baba. Tommy wsłuchiwał się w zduszone dźwięki dochodzące z sąsiedniego pokoju, w którym kilku ludzi śpiewało popularne piosenki a cappella. Gwizd czajnika mieszał się z tymi głosami. Tommy przez moment miał wrażenie, że świat wrócił do normalności.

– Chyba robimy pewne postępy – powiedział do Pryce’a. Anglik przytaknął.

– Tommy, mój chłopcze, powinniśmy się odnosić podejrzliwie do wielu rzeczy, a mamy niewiele czasu na ujawnienie prawdy. W poniedziałek o ósmej rano będziemy musieli podjąć walkę o pana Scotta. Czy zastanawiałeś się nad sposobem otwarcia?

– Jeszcze nie.

– To może dobrze byłoby już zacząć.

– Wciąż tak wielu rzeczy nie wiemy.

Pryce zajął się przygotowaniem naczyń do herbaty.

– Czy wiesz, Tommy, co mnie w tej sprawie niepokoi? – zapytał.

– Co takiego?

Anglik powoli robił swoje. Uważnie obejrzał listki herbaty na dnie ceramicznych kubków, następnie zdjął z pieca imbryk z gotującą się wodą, wdychając parę wydostającą się przez pokrywkę.

– Wyczuwam, że jest w tym coś, co w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej, niż się wydaje.

– Phillipie, powtórz, proszę.

Anglik potrząsnął głową.

– Jestem już na takie rzeczy zbyt stary i słaby – powiedział z uśmiechem. – Jest dowiedzione medycznie, że im człowiek starszy, tym większą ma skłonność do szukania spisków czy konspiracji. Taki układ czaszki. Rozumiesz, tak jak w opowieściach z cyklu płaszcz i szpada. Sherlock Holmes nie był człowiekiem młodym, prawda?

– No, nie był taki stary. Młodszy od doktora Watsona. Holmes miał chyba trzydzieści kilka lat, co?

– No właśnie, dokładnie tak. A przy tym był podejrzliwy, zgadza się? Chodzi mi o to, że z punktu widzenia samego dochodzenia ta sprawa wydaje się tak oczywista. Dwaj ludzie czują do siebie nienawiść. Z powodów rasowych. Jeden z nich ginie, a ten, który pozostaje przy życiu, musi być winny morderstwa. Quod erat demonstrandum. Ipso facto. Niektórzy lubią popisywać się łacińskimi konstrukcjami przy definiowaniu sytuacji. Ale to wszystko w żadnym razie nie wydaje mi się takie

jasne i przejrzyste.

– Zgadzam się, lecz chyba nie mamy dużo czasu na wyjaśnienia.

Pryce uniósł brwi:

– Zastanawiam się, czy to aby nie należy do całego obrazu.

Tommy chciał odpowiedzieć, ale w tym samym momencie usłyszał na korytarzu ciężkie kroki Hugh. Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich uśmiechnięty Kanadyjczyk.

– Czy wiecie, co te chytre sukinkoty chciały wykręcić? – zapytał głośno, ciesząc się jak uczeń.

– Co takiego? – zapytał Tommy.

– No to słuchajcie: przez prawie dwa tygodnie, czy to w deszczu czy w słońcu jedna i ta sama grupa ludzi chodziła pod prysznic codziennie o tej samej godzinie i minucie, śpiewając te same piosenki, które tak cholernie irytują tego pierdziela von Reitera...

– Zgadza się. Mijałem ich po drodze – poparł go Tommy.

– Faktycznie, Tommy, mój przyjacielu, ale dzisiaj wyruszyli o dziesięć minut wcześniej. A widziałeś tych dwóch strażników, którzy ich eskortowali? To byli nasi ludzie, ubrani w płaszcze skrojone i ufarbowane na podobieństwo niemieckich. Weszli do budynku z prysznicami; tam połowa bandy rozebrała się i zaczęła jak zwykle śpiewać, a pozostali włożyli mundury i wyszli na dwór, gdzie dwaj fałszywi strażnicy ustawili ich i poprowadzili w kierunku lasu...

– Mieli nadzieję, że nikt nie zwróci na to uwagi! – roześmiał się Pryce.

– Dokładnie tak – ciągnął Hugh. – I być może wszystko by się udało, gdyby nie jakiś pieprzony szperacz na rowerze, który jechał tamtą drogą. Zwrócił uwagę, że „strażnicy” nie mają karabinów; zatrzymał się, ludzie skoczyli do lasu i wszystko się wydało!

Renaday pokiwał głową.

– To było cholernie sprytne. No i prawie się powiodło – zakończył.

Wybuchnęli śmiechem. Oto cudownie niedorzeczny, a przy tym bajecznie pomysłowy sposób ucieczki.

– Nie wydaje mi się, żeby mogli dojść daleko – wtrącił Pryce między jednym a drugim napadem kaszlu. – Zdradziłyby ich te mundury.

– No, niezupełnie, Phillipie – sprzeciwił się Hugh. – Trzej z nich, a jak sądzę, to oni byli autorami całego pomysłu, mieli pod mundurami cywilne ubrania i zamierzali się w lesie przebrać. Mieli też znakomicie podrobione papiery. Tak w każdym razie mi powiedziano. To właśnie oni mieli uciec, a zadanie pozostałych sprowadzało się głównie do przysporzenia szkopom kłopotów i wprowadzenia zamieszania.

– Zastanawiam się – powiedział powoli Tommy – czy równie łatwo zgodziliby się na tę dywersję, gdyby ktoś wiedział o tym nowym rozkazie rozstrzeliwania jeńców.

– Masz absolutną rację, Tommy – odparł Hugh. – Co innego bawić się w ciuciubabkę ze szwabami wiedząc, że co najwyżej przyjdzie za to zapłacić dwoma tygodniami karceru, gdzie nocą człowiek trzęsie się z zimna, a czymś zupełnie innym jest sytuacja, w której te dranie stawiają człowieka przed plutonem egzekucyjnym. Czy sądzisz, że to bluff? Nie mogę uwierzyć...

– Zgoda, masz rację – odparł Tommy niezbyt przekonująco. – Oni po prostu nie mogą tak sobie rozstrzeliwać jeńców wojennych. Musieliby za to zapłacić straszliwą cenę.

Pryce podniósł rękę, przerywając rozmowę.

– Jeniec wojenny ma nosić mundur i na żądanie podać swoje nazwisko, stopień wojskowy oraz numer. Ale człowiek w cywilnym ubraniu, mający przy sobie sfałszowane dokumenty osobiste i pozwolenie na pracę? Taki osobnik może łatwo zostać uznany za szpiega. Pytanie, kiedy kończy się jedno, a zaczyna drugie?

Odetchnął głęboko.

– My rozstrzelujemy szpiegów bez jakiegokolwiek procesu. Niemcy tak samo.

Przyjrzał się im badawczo.

– Nie wątpię, że von Reiter tak zachowa się w przyszłości – powiedział. – Sądzę, że nasi chłopcy, nawet najsprytniejsi, byli przez kilka minut w bardzo poważnym niebezpieczeństwie, którego być może nie przewidywali. Może von Reiter nie jest żadnym nazistowskim fanatykiem w brunatnej koszuli, ale to z pewnością niemiecki

oficer do szpiku kości. W jego żyłach prawdopodobnie płynie krew wielu pokoleń sztywnych sług teutońskiej ojczyzny. Jeżeli otrzyma bezpośredni, jednoznaczny rozkaz, wypełni go do ostatniej litery. Nie zadając pytań.

– Jeżeli faktycznie otrzymał taki rozkaz – przerwał Tommy. – Bo to mogła być tylko zasłona dymna.

– Tommy ma rację, Phillipie – poparł Amerykanina Renaday.

Pryce uśmiechnął się.

– Tommy, odnoszę wrażenie, że błyskawicznie uczysz się obserwować subtelności i niuanse – powiedział. – Naturalnie, z naszego punktu widzenia nie jest takie istotne, czy on otrzymał ów rozkaz czy nie, jak długo pozostajemy w tym zachwycającym miejscu. Jednak groźba rozstrzelania... no cóż, to dość realne niebezpieczeństwo, prawda? Tak oto von Reiter uzyskuje to, o co mu chodzi, ograniczając się do samego przedstawienia nieprzyjemnej ewentualności wystawienia plutonu egzekucyjnego. Jedynym sposobem, żeby się przekonać, czy mówi poważnie, jest kolejna próba ucieczki...

– Trzeba jeszcze dać się złapać – dokończył Tommy.

Pryce westchnął.

– Von Reiter jest człowiekiem przebiegłym. Nie wolno go nie doceniać tylko dlatego, że w tych ciuchach wygląda jak marionetka z teatryku lalkowego – dawny adwokat zakasłał, po czym dodał: – Mam wrażenie, że jest to człowiek okrutny. Okrutny i ambitny. Myślę także, że identyczne cechy posiada ten śliski krętacz, Visser. To bardzo niebezpieczna mieszanka...

Przerwał, ponieważ usłyszeli kroki na korytarzu. Czyjeś buty miarowo uderzały o drewnianą podłogę.

– Szperacze! – mruknął Hugh.

Zanim pozostali oficerowie zdążyli otworzyć usta, w drzwiach stanęli Heinrich Visser i pękaty mężczyzna o wzroście karła, mniej więcej metr pięćdziesiąt, ubrany w źle skrojony, czarny garnitur. Nieznajomy nerwowo miętosił w dłoniach czarny kapelusz typu homburg i zza grubych szkieł okularów bacznie przyglądał się pomieszczeniu. Za nimi stało czterech mocno zbudowanych niemieckich żołnierzy z

bronią gotową do strzału. Po chwili korytarz zapełnił się brytyjskimi oficerami, których ciekawość oderwała od hazardowej gry w mysią ruletkę.

Visser wszedł do niedużej sypialni i badawczo obserwował trzech obecnych tam mężczyzn.

– Czy może przerwaliśmy naradę strategiczną? Bardzo ważną dyskusję o faktach i prawie, czy tak, podpułkowniku? – zapytał, zwracając się do Pryce’a.

– Tommy ma wiele pracy, a już niewiele czasu. My natomiast udzielamy mu pomocy, na jaką pozwala nasze doświadczenie. Nie powinno to być dla pana szczególną niespodzianką, Herr Hauptmann – odrzekł Pryce.

– Czy robicie postępy, podpułkowniku? Czy linia obrony porucznika Scotta nabiera realnych kształtów?

– Mamy niedużo czasu, więc stawiamy pytania i szukamy na nie odpowiedzi – mówił Pryce.

– No cóż, to jest zadanie wszystkich prawdziwych filozofów – stwierdził z namysłem Visser. – A pan, Renaday, człowiek mający serce policjanta, czy odkrył pan jakieś konkretne fakty, pomocne w dalszym dochodzeniu?

Hugh popatrzył krzywo na Niemca i wskazał ściany pokoju.

– Tymi faktami są te ściany i drut kolczasty – powiedział pogardliwie. – Wieże strażnicze z karabinami maszynowymi. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Visser uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na obelżywy ton Kanadyjczyka. Tommy poczuł się niepewnie, widząc, że Niemiec nie reaguje na obrazę. Drwiący uśmiezek Vissera zwiastował niebezpieczeństwo.

– A pan, Hart, czy jest pan bardzo uzależniony od pana Pryce’a?

Tommy zawahał się, nie wiedząc, do czego prowadzą pytania zadawane przez niemieckiego oficera; więc odpowiedział ostrożnie:

– Chętnie słucham jego analizy.

– Na pewno podtrzymuje pana na duchu fakt, że ma pan po swojej stronie takiego eksperta, prawda? To sławny prawnik, a pańskie doświadczenie w tego rodzaju sprawach jest, niestety, raczej ograniczone – ciągnął swój wątek Visser.

– Owszem, to prawda.

Niemiec uśmiechnął się. Pryce zakasłał dwa razy, zakrywając dłonią usta. Jakby zachęcony tym odgłosem, Visser odwrócił się do niego.

– Czy pańskie zdrowie poprawia się, podpułkowniku? – zapytał.

– W tej szczyrzej norze to nieosiągalne – warknął Hugh Renaday.

Pryce spojrział na swojego porywczego kanadyjskiego przyjaciela, po czym odpowiedział:

– Moje zdrowie jest w najlepszym porządku, kapitanie. Jak pan widzi, wciąż mam ten kaszel, ale jestem silny i mam zamiar przeżyć tutaj aż do chwili, gdy pewnego pięknego dnia pod bramą pojawią się moi rodacy i zaczną was rozwalać pod płotem.

Visser roześmiał się, jakby Anglik powiedział dobry dowcip.

– Mówi pan jak prawdziwy wojownik – odrzekł z uśmiechem. – Obawiam się jednak, podpułkowniku, że brawurą maskuje pan własną słabość. Pańska stoicka postawa przy takiej chorobie jest doprawdy godna podziwu.

Przyglądał się Pryce'owi, a jego uśmiech stopniowo ustępował miejsca zimnemu, przenikliwemu spojrzeniu, odzwierciedlającemu całą nienawiść, jaka w nim kipiała.

– Tak jest – mówił dalej Visser wrednym tonem. – Obawiam się, że jest pan chory bardziej niż chce pan okazać swoim kolegom. Znacznie bardziej chory.

– Czuję się doskonale – powtórzył Pryce.

– Nie wydaje mi się, podpułkowniku. Nie wierzę w to. Ale zostawmy tę sprawę; chciałem panom przedstawić pana Bluchera ze szwajcarskiego Czerwonego Krzyża...

Visser odwrócił się do niskiego mężczyzny, który skinął jeńcom głową i stuknął obcasami.

– Pan Blucher – ciągnął wielce z siebie zadowolony Visser – przyjechał dzisiaj z Berlina, gdzie przebywał jako członek poselstwa szwajcarskiego.

– Co u diabła... – zaczął Pryce, ale przerwał, powstrzymany zimnym wzrokiem Niemca.

– Nie leży w interesie najwyższego dowództwa Luftwaffe, aby tak wybitny i cieszący się zasłużoną sławą prawnik tracił zdrowie w surowych, trudnych warunkach panujących w obozie dla jeńców wojennych – ciągnął Visser. –

Podpułkownikowi, niepokoi nas pana uporczywa choroba, a ponieważ tutaj nie ma, niestety, odpowiednich warunków dla właściwej kuracji medycznej, najwyższe władze postanowiły, że zostanie pan repatriowany. To dobra wiadomość, panie Pryce. Jedzie pan do domu.

Słowa „do domu” odbiły się echem w małym pokoju.

Pryce stał jak skamieniały. Po chwili wziął się w garść, starając się przybrać wojskową postawę.

– Nie wierzę panu – powiedział ostro.

Visser pokiwał głową.

– Ależ to prawda – zapewnił. – W tej chwili w obozie w Szkocji wzięty do niewoli oficer niemieckiej marynarki, cierpiący na podobne dolegliwości, jest informowany przez przebywającego tam przedstawiciela Szwajcarii, że ma wrócić do swojego kraju. To bardzo prosta wymiana, podpułkownikowi. Nasz chory jeńiec za waszego chorego jeńca.

– Nie wierzę panu – powtórzył Pryce.

Człowiek przedstawiony jako Blucher zrobił krok do przodu.

– To prawda, panie Pryce – powiedział łamaną angielszczyzną z niemieckim akcentem. – Odprowadzę pana do pociągu jadącego do Szwajcarii...

Pryce odwrócił się i spojrzał na Bluchera.

– Pan nie jest żadnym cholernym Szwajcarem – powiedział, spluwając. Następnie zwrócił się do Vissera, patrząc na niego twardym wzrokiem: – To są kłamstwa, Visser! Parszywe kłamstwa! Nie było żadnego handlu, żadnej wymiany!

– Ależ zapewniam pana – odrzekł niemiecki oficer słodkim głosem – jest dokładnie tak, jak powiedziałem. Jak mówimy obaj, podpułkownikowi. Niemiecki oficer powróci do swej kochającej żony i dzieci...

– Łgarstwo! Cholerne łgarstwo! – przerwał mu Pryce, krzycząc.

– Myli się pan, Pryce – ciągnął Visser z namaszczeniem. – Sądziłem, że będzie pan uradowany tą wiadomością i powrotem do domu.

– Ty zdradziecki psie! – wrzasnął Phillip. Kiedy odwrócił się do Tommy’ego i Renadaya, na twarzy miał wyraz desperacji.

– Phillipie! – wybuchnął Tommy.

Pryce podszedł do niego chwiejnym krokiem i złapał go za rękaw bluzy, jakby nagle zrobiło mu się słabo.

– Oni chcą mnie zabić – powiedział cicho.

Tommy potrząsnął przecząco głową. Hugh stanął przed Visserem, patrząc mu prosto w twarz i pchnął go mocno w pierś wyprostowanym palcem.

– Ja pana znam, Visser! – syknął. – Znam pańską twarz! Jeżeli pan nas okłamuje, poświęcę każdą sekundę życia, które mi pozostało na tym świecie, polując na pana! Nie zdołasz się nigdzie ukryć, ty nazistowska szumowino, bo będę cię prześladował niczym nocny koszmar, aż cię wreszcie dopadnę i zabiję gołymi rękami!

Jednoręki oficer nie usunął się przed tym atakiem. Patrząc prosto w oczy Renadaya, powiedział powoli.

– Podpułkownik ma natychmiast spakować swoje rzeczy i udać się ze mną. Podczas podróży zadba o niego pan Blucher.

Potem zwrócił się do Pryce’a ze swym szyderczym uśmiechem:

– Niestety, podpułkowniku, nie mamy czasu na długie pożegnania. Musi pan wyjechać niezwłocznie. Schnell.

Pryce chciał mu coś powiedzieć, ale zrezygnował i odwrócił się do Harta.

– Przykro mi, Tommy. Miałem nadzieję, że wyjdziemy przez tę bramę we trzech, jako wolni ludzie. To byłoby bardzo miłe, prawda?

– Phillipie – zająknął się Tommy, niezdolny do wypowiedzenia słów, które huczały mu w głowie.

– Wszystko będzie dobrze, chłopcy – ciągnął Anglik. – Trzymajcie się razem. Przrzeknijcie mi, że przeżyjecie! Choćby nie wiadomo co się działo, macie pozostać przy życiu! Bardzo wiele się po was spodziewam. Nawet jeżeli mnie tu nie będzie i nie będę w stanie dopilnować wszystkiego, jak miałem nadzieję, to jeszcze wcale nie oznacza, że sami nie potraficie osiągnąć tego, co leży w zasięgu waszych możliwości!

Pryce’owi drżały ręce, głos mu się łamał. Widać było, że się boi.

Tommy potrząsnął głową.

– Nie, Phillipie, nie. W dalszym ciągu będziemy razem. Pokażesz mi Piccadilly i tę restaurację, jak jej tam? Tak, jak obiecywałeś. Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewien.

– Ach tak, myślisz o restauracji Simpsona na Strandzie. Teraz będę mógł skosztować ich potraw. A zatem, Tommy, ty i Hugh musicie radzić sobie beze mnie i wypić szklaneczkę za moje zdrowie. Tylko żaden tam podły trunek, pamiętajcie! Butelka piwa nie wystarczy, Hugh. Jakieś doskonałe czerwone wino. Coś przedwojennego, kosztownego, o głębokiej barwie burgunda. Coś takiego, co powoduje, że gruczoły smakowe zaczynają tańczyć walca, a aromat spływa do przękyku. To brzmi wspaniale...

– Phillipie! – Tommy ledwie mógł zapanować nad sobą.

Pryce uśmiechnął się do niego, a potem do Hugh, któremu także uścisnął rękę.

– Chłopcy, przyrzeknijcie mi, że nie pozwolicie im porzucić moich zwłok w lesie, gdzie dzikie zwierzęta będą się pastwić nad starymi kośćmi. Zmuscie ich do oddania wam moich prochów, a potem rozrzućcie je w jakimś odpowiednim miejscu. Może nad kanałem, kiedy to wszystko się skończy. To by mi się chyba podobało, bo fale mogłyby je przenieść na brzegi ukochanej wyspy. Zresztą możecie to zrobić wszędzie tam, gdzie panuje wolność. Nie mam nic przeciwko umieraniu w samotności, chłopcy, ale chciałbym mieć pewność, że moje szczątki znajdą się w miejscu, w którym będą się cieszyć choćby leciutkim powiewem wolności...

– Nie mamy czasu! Niech się pan przygotowuje, podpułkowniku! – przerwał ostro Visser.

Pryce spiorunował Niemca wzrokiem.

– Właśnie to robię! – odpowiedział i ponownie zwrócił się do swoich młodszych kolegów.

– Oni mnie zastrzelą w lesie – powiedział cicho. Potem jak gdyby jego głos odzyskał siłę, Phillip mówił tonem rzeczowym, choć pełnym rezygnacji. Można było odnieść wrażenie, że w jednakowym stopniu jest wystraszony i zirytowany myślą o czekającej go niebawem śmierci.

– Tommy, mój chłopcze, posłuchaj mnie. Oni powiedzą ci, że podjąłem próbę

ucieczki – mówił szeptem. – Że chciałem się wyrwać na wolność. Wywiązała się walka, w czasie której zostali zmuszeni do użycia broni. To wszystko będzie kłamstwem, rzecz jasna, a wy będziecie o tym wiedzieli...

Visser przerwał im jeszcze raz. Miał taką samą groźną minę jak wówczas, gdy von Reiter groził brytyjskim uciekinierom rozstrzelaniem.

– Chodzi o wymianę jeńców – powiedział. – O nic więcej. Chcemy pozbyć się odpowiedzialności za zdrowie podpułkownika.

– Niech pan przestanie łąć – powiedział arogancko Pryce. – Nikt panu nie wierzy i głupio pan z tym wygląda.

Uśmiech zniknął z twarzy Niemca.

– Jestem niemieckim oficerem – powiedział z goryczą. – Ja nie kłamię!

– Akurat! – warknął Phillip. – Od pańskich łgarstw aż śmierdzi w tym pokoju.

Rozgniewany Visser zrobił krok do przodu, ale powstrzymał się. Patrzył na Pryce'a z nieukrywaną nienawiścią.

– Wyjeżdżamy! – powiedział z ledwie kontrolowaną wściekłością. – Wychodzimy natychmiast! W tej sekundzie, podpułkowniku!

Pryce chwycił Tommy'ego za rękę.

– Tommy – wyszeptał – to nie jest przypadek! Nic nie jest takie, jak się wydaje! Draż głębiej! Uratuj go, chłopcze, uratuj go! Teraz bardziej niż kiedykolwiek wierzę, że Scott jest niewinny!

Do sypialni weszli dwaj żołnierze, gotowi wyprowadzić Pryce'a siłą. Szczupły, chuderlawy Anglik powstrzymał ich spojrzeniem, po czym odwrócił się do Hugh i Tommy'ego.

– A więc teraz zostaniecie sami, chłopcy. Pamiętajcie, że liczę na was. Macie to wszystko przetrzymać! Przeżyć za wszelką cenę! – powiedział.

Następnie odwrócił się do Niemca.

– W porządku, kapitanie – powiedział z nagłą, zimną determinacją. – Jestem gotowy. Niech pan ze mną robi, co chce.

Visser dał znak żołnierzom. Otoczyli jeńca i bez słowa wyprowadzili na korytarz, a potem dalej, do drzwi wychodzących na dwór. Tommy, Hugh i zgromadzeni na

korytarzu lotnicy brytyjscy poszli za nimi. Stary adwokat szedł wyprostowany, z ramionami odchylonymi do tyłu. Nie odwrócił się ani razu, gdy ta niecodzienna procesja przemierzała plac apelowy. Nie zawahał się też, kiedy przechodzili przez bramę, której pilnowali wartownicy w żelaznych hełmach z bronią gotową do strzału. Kawałek dalej, tuż przy domku komendanta, stał duży, czarny mercedes z zapalonym silnikiem; z rury wydechowej wydobywał się obłoczek dymu.

Visser otworzył bramę przed Pryce'em. „Szwajcar” Blucher szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę i wgramolił się do samochodu.

Angielski oficer zatrzymał się przed czarną maszyną, odwrócił głowę i spojrzał za siebie, na obóz, na ogradzające go druty, przy których stali Tommy i Hugh. Tommy widział, jak Phillip uśmiecha się ze smutkiem i podnosi rękę, by pomachać im na pożegnanie. Odniósł wrażenie, że wskazał na czekające go niebo. Następnie podniósł do góry kciuk, zdjął czapkę i uklonił się lotnikom zgromadzonym przy płocie, demonstrując brawurę człowieka, któremu niestraszna jest śmierć, choćby nawet najbardziej okrutna i samotna. Kilku jeńców pozdrowiło go głośno, lecz szybko ucichli: jeden z wartowników brutalnie wepchnął Pryce'a na tylne siedzenie samochodu. Podpułkownik zniknął im z oczu.

Samochód ruszył z głośnym rykiem silnika. Koła zabuksowały na pylistej drodze, podnosząc obłok kurzu i wóz ruszył przed siebie, kołysząc się na wybojach. Jechał w kierunku wysokich drzew.

Visser również obserwował oddalający się samochód. Później odwrócił się z miną zwycięzcy – dawał do zrozumienia, że cieszy się z odniesionego sukcesu. Przez kilka sekund przyglądał się Tommy'emu i Hugh. W końcu odwrócił się energicznie i ruszył do budynku administracji, zatraskując za sobą drzwi.

Tommy nie ruszał się z miejsca. Nagle otoczyła go zupełna cisza. Przepęniało go uczucie rezygnacji i złości. Nie potrafił powiedzieć, które z nich dominuje. Niemalże czekał, aż w lesie rozlegnie się wystrzał z pistoletu.

– Ciężka cholera – powiedział po chwili Hugh przyciszonym głosem. Tommy zobaczył łzy spływające po okrągłej twarzy Kanadyjczyka. Wtedy zdał sobie sprawę, że on też płacze.

– No to zostaliśmy sami, jankesie – dodał Renaday. – Cholerna, pieprzona wojna. Dlaczego musi umrzeć każdy, kto jest wart więcej niż garść tego pieprzonego piachu?

Głos miał twardy, pełen niezgłębionego smutku.

Tommy milczał – w tym momencie nie ufał własnemu głosowi. Zrozumiał, że on również nie zna odpowiedzi na ostatnie pytanie.

Tommy wracał do obozu po południu, kiedy już wydłużały się cienie. Czuł pierwsze chłodne podmuchy nadchodzącego wieczoru, zmagającego się z grzejącym jeszcze słońcem. Starał się zmusić do myślenia o swoim domu, nie o Phillipie. Przypominał sobie, jak wygląda Vermont wczesną wiosną. Pamiętał, że jest to czas obietnic i oczekiwań, rozbudzonych po surowej zimie. Krokusy przebijają się przez wilgotną, błotnistą glebę, na czubkach gałęzi drzew pojawiają się pączki, nabrzmiałe, gotowe do rozwinięcia. Wiosną rzeki dławią się strumykami wody z topniejącego śniegu. Tommy wiedział, że Lydia bardzo lubi rowerowe wycieczki na krawędź Batten Kill albo do wąskiego przełomu Mettawee. W obu tych miejscach on sam chętnie łowił pstrągi w letnie wieczory i wpatrywał się w białą, pokrytą pianą wodę, przedzierającą się przez skały z głośnym bulgotaniem. Obserwowanie tej potężnej, ruchliwej wody z jakichś powodów dodawało mu wigoru; miał wrażenie, że rzeka żyje i zapowiada lepsze dni.

Potrząsnął głową i westchnął – obrazy rodzinnej okolicy stały się odległe, ulotne. Prawie wszyscy jeńcy mieli jakieś wyobrażenie swojego domu, do którego się odwoływali, czerpiąc pocieszenie w chwilach samotności i rozpacz. Fantazjowali, co będzie się z nimi działo, jeżeli tylko przetrwają ten obóz. Dla Tommy’ego takie marzenia na jawie stały się nagle nieosiągalne.

Zatrzymał się na środku placu i powiedział głośno:

– On już jest martwy.

Wyobrażał sobie zwłoki Pryce’a, leżące twarzą do ziemi w pobliskim lesie; nad nimi pochylał się fałszywy Szwajcar Blucher z dymiącym pistoletem marki Luger. Hart poczuł się straszliwie samotny, opuszczony – nie doświadczył podobnego

wrażenia od czasu, gdy „Lovely Lydia” zniknęła w falach Morza Śródziemnego, a on kołysał się na wodzie w kamizelce ratunkowej. Chciał przywołać wspomnienie domu, swojej dziewczyny, myśleć o przyszłości, ale widział tylko ponure baraki Stalagu Luft 13 oraz wszechobecne druty, otaczające go ze wszystkich stron. Wiedział, że w jego nocnych koszmarach pojawi się jeszcze jeden duch.

Uśmiechnął się przelotnie, dostrzegając ironię tej sytuacji. W myślach przedstawiał swojego dawnego kapitana z zachodniego Teksasu Phillipowi Pryce’owi. Wtedy pomyślał, że jest w stanie uchronić się przez załamaniem nerwowym i płaczem. Przyszło mu na myśl, że Phillip z początku zachowałby się sztywno i oficjalnie, natomiast Teksasńczyk byłby bardzo towarzyski, trochę nadęty, lecz mimo to urokliwy ze swoim chłopięcym sposobem bycia i entuzjazmem. Wyobraził sobie, jak witają się uściskiem dłoni. Pewnie upłynęłoby trochę czasu, zanim by się nawzajem zrozumieli – Phillip oczywiście skarżyłby się, że mówią zupełnie różnymi językami – ale polubiliby się i niebawem zaczęli opowiadać sobie dowcipy i klepać po plecach jak najlepsi przyjaciele.

Tommy skręcił w stronę baraku sto jeden. Wyobrażał sobie pierwszą rozmowę między dwoma duchami. Z pewnością rozpoczęłaby się hałaśliwą wesołością, ale później zrozumieliby, jak wiele mają ze sobą wspólnego. Uśmiechnął się z lekką goryczą – ten uśmiech nie mówił o złagodzeniu bolesnych uczuć, jakie nim targały, lecz przyniósł pewną ulgę.

Wtedy usłyszał pierwszy podniesiony głos. Był pełen gniewu i napięcia, głęboki, niecierpliwy, miotał wściekłe przekleństwa. Po sekundzie czy dwóch, wiedział już, do kogo należy, chociaż nie rozumiał wykrzykiwanych słów.

Puścił się biegiem wzdłuż frontowej ściany baraku, do drzwi prowadzących na korytarz. W wejściu na szczycie schodków stał Lincoln Scott. Przed nim kłębił się tłum jeńców – może było ich siedemdziesięciu, a może stu. Wpatrywali się w czarnego pilota. W powietrzu zawisła wymuszona, pełna napięcia cisza.

Scott był wściekły. Wymachiwał ręką i groził zebranym.

– Jesteście tchórze! – krzyczał. – Wszyscy, co do jednego! Tchórze i oszuści!

Tommy bez chwili wahania pobiegł dalej.

Scott zwinął dłoń w pięść i wymachiwał nią nad głową.

– Będę walczył z każdym z was. Z pięcioma naraz! I pokonam was wszystkich, tchórze! Chodźcie tu! Który pierwszy?

Lincoln przyjął bokerską postawę. Tommy zauważył, jak jego oczy przesuwają się po stojących naprzeciwko jeńcach.

– Tchórze! – powtórzył Scott. – Który chce się ze mną spróbować?

Tłum zakołysał się, zaczął falować jak woda w garnku tuż przed zagotowaniem.

– Parszywy czarnuch! – zawołał ktoś z tłumu. Scott odwrócił się w tym kierunku.

– Ten czarnuch czeka na ciebie. Jesteś gotowy? Chodź tutaj, do cholery! Który pierwszy?

– Pieprz się sam, morderco! Dostaniesz za swoje od szwabskiego plutonu egzekucyjnego!

– Doprawdy? – zapytał Scott, zaciskając pięści i odwracając się w kierunku wrzeszczących jeńców. – A co, ty nie jesteś mężczyzną, żeby się ze mną spróbować? Pozwolisz, żeby szkopy wykonały za ciebie brudną robotę? Mięczak! Kurczaczek!

Lincoln zapał jak kogut.

– No, dalej! – prowokował przeciwników. – Na co czekacie? Spróbujcie się ze mną, już! Nie macie jaj?

Tłum ruszył do przodu, a Scott znowu pochylił się jak bokser przygotowujący się do przyjęcia ciosu i jednocześnie gotowy odpowiedzieć kontrą z prawej ręki. Odpowiedzieć z zabójczą siłą. Oto bokerski aksjomat: trzeba przyjąć cios, żeby odpowiedzieć; Lincoln z pewnością był przygotowany na taką wymianę.

Tommy dotarł na miejsce i zawołał najbardziej władczym głosem, na jaki potrafił się zdobyć:

– Co tu się dzieje, do diabła?

Scott zeszywniał. Nie odpowiedział, tylko trwał w bokerskiej postawie, obserwując tłum.

– Co tu się dzieje? – powtórzył Tommy, przepychając się przez tłum białych jeńców niczym pływak walczący z silną falą odbojową. Kilku z nich rozpoznał. Byli to ludzie wezwani na świadków w procesie, współlokatorzy i przyjaciele Tradera

Vica, szef jazzbandu i kilku jego towarzyszy, którzy dzień wcześniej grozili Hartowi na korytarzu. Twarze mieli wykrzywione wściekłością. Podejrzewał, że w tym tłumie są też ludzie, którzy wcześniej usiłowali go zastraszyć. Nie miał jednak czasu przyjrzeć się wszystkim.

Przepuścili go niechętnie. Podeszedł do schodków i odwrócił się do tłumu. Za plecami miał Lincolna Scotta.

– Co tu się dzieje? – zapytał jeszcze raz.

– Zapytaj czarnucha – odpowiedział mu ktoś z tłumu. – To przecież on chce się bić.

Tommy nie odwrócił się do Scotta, lecz stanął pomiędzy nim a tłumem. Wyciągnął rękę w kierunku człowieka, który to powiedział.

– Ja ciebie pytam – rzekł zdecydowanym tonem.

Po chwili wahania jeniec odpowiedział:

– No, myślę, że twojemu chłopakowi nie spodobało się to dzieło sztuki...

Kilku roześmiało się.

– A ponieważ nie jest wielkim znawcą, to wyskoczył z baraku, wyzywając do walki tych ludzi, którzy zajmują się wyłącznie swoimi sprawami. Cholera, on naprawdę wygląda, jakby był gotowy bić się z każdym po kolei z tego obozu. Może poza tobą, Hart. On chyba chciałby przyłożyć tutaj wszystkim lotnikom.

Zanim Tommy zdążył mu odpowiedzieć, jakieś pięćdziesiąt metrów od nich rozległ się donośny głos:

– Baczość!

Z sąsiedniego baraku wyszli pułkownik MacNamara i major Clark i szybkim krokiem zbliżali się do jeńców. Za nimi szedł kapitan Walker Townsend. Zatrzymał się jednak w pewnej odległości i z daleka obserwował całą scenę. Niemal w tym samym momencie ukazał się mały oddział niemieckich wartowników. Niemcy przyszli zza rogu baraku – tą samą drogą, którą przed chwilą biegł Tommy. Uzbrojeni maszerowali szybko, uderzając butami w suchy piach. Prowadził ich Hauptmann Visser.

Wartownicy i dwaj starsi oficerowie amerykańscy zjawili się przed barakiem sto

jeden prawie w tej samej chwili. Niemcy stanęli z bronią w pogotowiu, a Visser wystąpił do przodu. Jeńcy wyprostowali się w pozycji na baczność.

Nad placem zaległa cisza. MacNamara szedł powoli przez tłum i przyglądał się twarzom lotników. Wyglądało to tak, jakby pułkownik zapisywał sobie w pamięci nazwisko i tożsamość każdego z nich. Visser trzymał się kilka metrów dalej, czekając, co zrobi Amerykanin. Pułkownik poruszał się powoli; emanował złością. Robił wrażenie oficera, który dokonuje inspekcji wyjątkowo niechlujnego oddziału. Miał czerwoną twarz, był bliski wybuchnięcia, ale im większy gniew odczuwał, tym bardziej wystudiowany stawał się każdy jego ruch. Kilka minut zajęło mu dojście do schodków baraku sto jeden. Obrzucił Tommy'ego długim, surowym spojrzeniem, później Scotta i znów Tommy'ego.

– No dobrze – odezwał się cichym, lecz pulsującym wściekłością głosem. – Hart, proszę wyjaśnić, co tu się dzieje, u diabła?

Tommy zsalutował słuźbiście i odparł:

– Przyszedłem tu zaledwie kilka sekund wcześniej, sir. Chciałem znaleźć odpowiedź na to samo pytanie.

MacNamara skinął głową.

– Rozumiem – powiedział, chociaż najwyraźniej nie pojmował niczego. – W takim razie może porucznik Scott zechce to wyjaśnić.

Lincoln zsalutował energicznie i zawahał się na moment, jakby szukał właściwych słów:

– Sir, wyzwiałem tych ludzi do walki ze mną.

MacNamara znów pokiwał głową.

– Dlaczego pan to zrobił, poruczniku?

– Chodzi o moje drzwi, sir.

– O pańskie drzwi? A co się z nimi dzieje, poruczniku?

Scott odetchnął głęboko.

– Niech pan pułkownik sam zobaczy – odpowiedział.

MacNamara chciał coś dodać, ale powstrzymał się.

– Zgoda – rzekł i zrobił krok do przodu. Wtedy odezwał się Visser:

– Będę panu towarzyszył, pułkowniku.

Hauptmann przedarł się przez tłum, który się przed nim pospiesznie rozstąpił, wszedł na schodki i ukłonił się MacNamarze.

– Proszę nam pokazać, co takiego każe człowiekowi podejmować walkę mimo tak nierównych szans – powiedział do Scotta.

Ten przyjrzał się Niemcowi z pogardą.

– Walka to walka, kapitanie. Niekiedy stosunek sił nie ma najmniejszego wpływu na przyczynę, dla której się ją ryzykuje – zripostował.

Visser uśmiechnął się.

– Oto pogląd godny odważnego człowieka, poruczniku. Odważnego, ale nie pragmatycznego – odrzekł.

MacNamara przerwał zdecydowanym tonem:

– Scott, proszę nas tam zaprowadzić. I to zaraz!

Tommy jako ostatni wszedł do wnętrza baraku. Ich kroki odbijały się echem od ścian korytarza. Doszli do kwatery Scotta, stanęli i przyjrzeni się drzwiom.

W drewnianych deskach ktoś wyciął dużymi literami napis: ZDYCHAJ CZARNUCHU KKK.

– I to nawet niegrammatycznie – oświadczył cierpkim tonem Scott.

Visser zbliżył się, zdjął ze swej jedynej dłoni czarną, skórzaną rękawiczkę i powoli przejechał końcem palca po wyrytych słowach. Potem bez słowa, pomagając sobie zębami, powoli naciągnął rękawiczkę.

MacNamara zrobił groźną minę.

– Poruczniku, czy pan wie, kto wypisał te słowa na pańskich drzwiach? – zapytał Scotta.

Lincoln zaprzeczył.

– Wyszedłem tylko z pokoju do ubikacji. Nie było mnie może dziesięć minut. Kiedy wróciłem, ten napis już tu był.

– I przyszło panu do głowy, żeby rzucić się na każdego, kogo pan zauważy? – zapytał MacNamara, powstrzymując furię, przebijającą z każdego słowa, jakie wypowiadał. – Chociaż w gruncie rzeczy nie miał pan pojęcia, kto wyciął te słowa,

kiedy się pan odwrócił?

– Tak jest, sir – odparł Scott po chwili wahania. – Dokładnie tak.

Za ich plecami rozległ się odgłos otwieranych drzwi i ciężkie kroki na korytarzu. Odwrócili się i zobaczyli komendanta von Reitera. Towarzyszyło mu dwóch niższych oficerów z dłońmi na kaburach pistoletów. Za nimi, starając się nie rzucać w oczy, siedł Fritz Numer Jeden. Tak jak poprzednio, von Reiter miał na sobie galowy mundur.

Niemiecki komendant przeszedł do przodu i stanął przez drzwiami do sypialni Scotta. Przez dłuższą chwilę przyglądał się wyciętemu w nich napisowi, a następnie odwrócił się do MacNamary, jakby oczekiwał wyjaśnień.

Pułkownik nie wahał się ani przez moment.

– Właśnie przed taką sytuacją pana ostrzegałem, Herr Oberst! – powiedział ostrym tonem, wyciągając palec w kierunku komendanta. – Gdyby nie zjawił się tutaj porucznik Hart i ja, mogłyby wybuchnąć zamieszki!

Następnie odwrócił się do Scotta.

– Poruczniku, jestem w stanie zrozumieć pański gniew...

– Za przeproszeniem, pułkowniku, nie sądzę, żeby był pan w stanie to zrozumieć... – przerwał mu Scott, ale MacNamara gestem ręki nakazał milczenie.

– Odbywa się regularny proces. Mamy stosowną procedurę! Wszyscy musimy podporządkować się regulaminom! Nie dopuszczę do linczu! Nie pozwolę również, aby został pan wciągnięty do walki!

Potem znów odwrócił się do von Reitera.

– Ostrzegałem pana, komendancie, że powstaje niebezpieczna sytuacja. Ostrzegam pana ponownie!

Von Reiter był nie mniej rozwścieczony.

– Kontrolowanie pańskich ludzi to pański obowiązek, pułkowniku MacNamara! – syknął. – Bo inaczej będę zmuszony zastosować środki nadzwyczajne!

Patrzyli na siebie przez chwilę, później MacNamara zwrócił się do Tommy'go.

– Zaczynamy w poniedziałek o ósmej rano – przypomniał i rzucił jeszcze kilka słów skierowanych do von Reitera: – Oczekuję, że za godzinę w tym pokoju zostaną

zamontowane nowe drzwi! Zrozumiał pan?

Niemiec chciał coś odpowiedzieć, ale w końcu tylko skinął głową. Powiedział coś do jednego ze swych adiutantów, który stuknął obcasami, zsalutował i szybkim krokiem wyszedł z baraku.

– Zgoda, dopilnuję tego – powiedział Oberst. – Pan zaś, pułkowniku, zajmie się usunięciem tego tłumu sprzed baraku. W porządku?

– Zajmę się tym – zgodził się MacNamara i po chwili dodał złowróżbnym tonem: – Niech Herr Oberst sam się przekona, z jakimi zagrożeniami mamy tutaj do czynienia. Kłopoty są prawie nieuniknione.

– To pan ma kontrolować swoich ludzi! – odpalił ostro von Reiter.

– Zrobię wszystko, co będę mógł – odrzekł sztywnym tonem MacNamara.

Pod wpływem nagłej myśli Tommy zrobił krok do przodu.

– Sir! – powiedział ostrym głosem. – Myślę, że byłoby właściwe, aby porucznik Scott miał możliwość korzystania z porad swojego obrońcy przez całą dobę. Chciałbym przeprowadzić się do jego pokoju.

Odwrócił się do oficera niemieckiego i dodał:

– Nie znam także lepszego specjalisty od ochrony osobistej jak porucznik Renaday. Proszę o pozwolenie mu na przeniesienie się z podobozu brytyjskiego do tej sypialni na czas trwania procesu.

Von Reiter zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Jeżeli pan sobie tego życzy, a pański dowódca nie zgłasza sprzeciwu...

– To jest chyba dobry pomysł – oświadczył MacNamara.

– Przeprowadzki dopilnuje Hauptmann Visser – zakomenderował von Reiter.

– To świetnie – wtrącił Tommy, patrząc na jednorękiego Niemca z nieukrywaną niechęcią. – On jest dobry w przeprowadzkach.

Przyszło mu na myśl, że gdyby mógł zabić Vissera, zrobiłby to z radością. Wciąż miał przed oczami przerażoną twarz Phillipa Pryce'a, wpychanego siłą do samochodu. Tommy był nadal przekonany, że ten mercedes wiozł Anglika na spotkanie szybkiej, samotnej śmierci.

Von Reiter przez chwilę zastanawiał się nad napięciem panującym między Hartem

a Visserem, po czym kiwnął głową.

– No dobrze – powiedział do MacNamary. – Niech pan każe ludziom rozejść się. Niezależnie od wszystkiego, zbliża się pora wieczornego apelu.

Niemcy zrobili zwrot i poszli do wyjścia. MacNamara spojrział na Tommy'ego i Lincolna Scotta.

– Poruczniku Scott – powiedział sztywno. – Proszę przyjąć ode mnie przeprosiny. Nie potrafię powiedzieć nic więcej.

Lincoln skłonił głowę, a potem zasalutował.

– Dziękuję, sir – odrzekł, dokładając starań, by w tych słowach było jak najmniej wdzięczności.

Pułkownik też wyszedł, a Tommy i Lincoln zostali na korytarzu sami.

– Rzeczywiście biłbyś się z nimi? – zapytał Hart.

– Tak, oczywiście – odpalił ostro Scott.

– A nie przyszło ci do głowy, że im właśnie o to chodzi? – ciągnął Tommy.

– Prawdopodobnie masz rację – zgodził się czarny pilot. – Ale jaki wybór mi pozostaje?

Tommy nie odpowiedział mu, bo i on tego nie wiedział. Stwierdził jedynie:

– Chyba byłoby mądrzej, gdybyśmy już przestali robić to, czego spodziewają się ci wszyscy, którzy cię nienawidzą.

Scott otworzył usta, zawahał się i przytaknął ruchem głowy.

– Zgadzam się. To bardzo rozsądne nastawienie, Hart.

Ruchem ręki zaprosił Tommy'ego do pokoju.

– Doceniam twoją propozycję – powiedział – ale mogę...

– Ustawię sobie łóżko pod tą ścianą, a Hugh będzie spał najbliżej drzwi – przerwał mu Tommy. – To na wypadek, gdyby jacyś ludzie z zewnątrz chcieli zmajstrować coś w nocy. A tylko niewielu chciałoby się z nim zmierzyć, żeby dorwać się do ciebie.

Scott znowu chciał coś powiedzieć i kolejny raz zrezygnował z tego.

– Dziękuję – powiedział. Tommy uśmiechnął się. Czarnoskóry lotnik chyba po raz pierwszy odezwał się do niego serdecznie. Wskazał na ścianę, pod którą chciał

ustawić pryczę.

– Zaraz przyniosę swoje rzeczy – powiedział i nagle się zatrzymał. Poczł, że ogrania go paskudne uczucie nagłego przerażenia.

Popatrzył czujnym wzrokiem po sypialni, wpatrywał się w oddalone, nadające się na schowek kąty.

– O co chodzi? – zapytał Scott, zaalarmowany zmianą wyrazu twarzy Tommy’ego.

– Ta deska. Deska powalana krwią Vica. Ona miała udowodnić, że zabito go poza Abortem, a następnie tam przeniesiono. Zostawiłem ją u ciebie... – Rozglądał się po pokoju. – Gdzie to jest, do diabła?

Scott wskazał na najciemniejszy kąt.

– Zostawiłem ją tam – powiedział powoli. – I ona tam była, kiedy wychodziłem do Abortu.

Obaj doskonale wiedzieli, że deska zniknęła.

10. Drewno na opał

Zaraz po wieczornym apelu Tommy Hart i Lincoln Scott udali się do kwatery pułkownika MacNamary. Szli szybko przez plac prosto do baraku sto czternaście. Nie odzywali się do nikogo, nawet do siebie. Mijali grupki jeńców przygotowujących sobie kolację z pieczołowicie zbieranych produktów otrzymywanych w paczkach Czerwonego Krzyża – puszek z wołowiną i kiełbaskami, suszonych jarzyn i owoców oraz wszechobecnego mleka konserwowego, stanowiącego podstawę wszystkich sosów przyrządzanych przez lotników. Tego dnia Niemcy dostarczyli im Kriegesbrot, trochę twardej rzepy oraz spleśniałych ziemniaków.

Pomysłowy kucharz – jeden z jeńców – potrafił z zawartości paczek przychodzących z Czerwonego Krzyża sporządzić niewyobrażalną liczbę potraw, proponując ryzykowne dodatki. Na przykład do wieprzowiny z puszki dżem truskawkowy, udekorowany owocami z konserwy. Bardziej szanowani mistrzowie kuchni wprowadzali do publikowanego regularnie jadłospisu Stalagu Luft 13 nowe przepisy, które były wykorzystywane i przetwarzane na wiele sposobów w całym obozie. Lotnicy bez przerwy byli głodni – żaden posiłek nie pozwalał im najeść się do syta – choć nie umierali z braku pożywienia. Byli bliscy tego stanu, ale go nie osiągnęli. Niedostatek jedzenia nadrabiali inwencją, a każdy nowy jeniec uczył się gotować, a także jeść powoli, żeby skromna głodowa porcja budziła wspomnienie jakiejś wspaniałej uczyty odbywającej się w znacznie przyjemniejszych warunkach, a posiłek trwał dłużej, niż na to zasługiwał. W Stalagu Luft 13 nikt nie pochłaniał jedzenia jak wilk.

Kiedy znaleźli się w korytarzu baraku, Tommy spojrzał z ukosa na Scotta. Lincoln, jak zawsze, siedł wyprostowany, z twarzą stężałą od gniewu i tłumionej agresji. Hart pomyślał, że jest w nim jakaś enigmatyczna twardość, której nawet nie próbował zrozumieć, tryskająca z wnętrza tego człowieka jak z ukrytego źródła. Zaczął się zastanawiać, co czarnoskóry pilot myśli, gdy patrzy na niego. Scott miał

rzadką właściwość sprawiania takiego wrażenia, jak gdyby każdy idący obok niego człowiek był mniejszy. Hart uznał tę właściwość za funkcję życiowych doświadczeń człowieka i widział, jak głęboko to zapadło w jego duszę. A Lincoln Scott widział niemało. W porównaniu z doświadczeniami Tommy'ego nawet Vermont i Harvard nie mogły stanowić ekwiwalentu drogi przebytej przez Scotta, chociaż obaj znaleźli się w tym samym miejscu i czasie. Jednej rzeczy Tommy był najzupełniej pewny: Scott nie lubił występować w roli jeńca wojennego. Mimo że stracił na wadze – co było nie do uniknięcia przy skromnej i mało urozmaiconej diecie – to w jego czarnych, bystrych oczach nie widziało się śladu ponurej rezygnacji czy podszytej strachem cierpliwości, będącej swoistym przejawem poczucia klęski.

Tommy myślał także o sobie. Czy pobyt w Stalagu Luft 13 pozbawił go wojowniczości, podobnie jak kilku kilogramów wagi? Czy utracił swoje pragnienia? Pewność siebie i pozytywne podejście do rzeczywistości? Wolę walki? Bo właśnie te cechy zachęcają młodego człowieka do życia. Nieraz rozważał te pytania i zastanawiał się, czy potrafi wskrzesić te cechy, kiedy będą mu najbardziej potrzebne.

Teraz, gdy nie ma już Phillipa Pryce'a, tylko wspomnienie o nim będzie mu uzmysławiać, kiedy ma się odwołać do tych cech. Tommy przygryzł wargę, zmagając się z emocjami. Trudno było sobie wyobrazić, że Phillip już nie żyje, lecz równie trudno było uwierzyć, że wciąż znajduje się wśród żywych. Poczuli się tak, jak gdyby śmierć, a nie rzeczywistość wymazała postać angielskiego prawnika z życia Tommy'ego. Pomachał im ręką na pożegnanie, a potem zniknął. Tommy nie słyszał wybuchu ani ognia karabinowego. Żadnego wołania o pomoc. Nie było krwi. Przed oczami miał obraz Phillipa w ostatnim momencie przez odjazdem z obozu – z wolnym od strachu uśmiechem na twarzy. To nagłe wyobrażenie odebrał jak silny cios w brzuch.

Hart w całym swoim życiu, poza momentem, kiedy „Lovely Lydia” zanurzała się w falach Morza Śródziemnego, nie czuł się równie samotny i smutny. Jednocześnie miał świadomość, że brak czasu nie pozwala mu na załamanie się czy popadnięcie w depresję. Teraz szedł szybkim, miarowym krokiem, mając obok siebie Lincolna Scotta, ale czuł się równie samotny jak wtedy, gdy kołysał się na niewysokich falach

błękitnego morza, które zamknęło się nad głowami jego kolegów.

– Ty będziesz mówił, Hart, czy ja mam to zrobić?

Scott zadał pytanie z ledwie hamowaną agresywnością. Te słowa wyrwały Tommy'ego z zamyślenia. Odpowiedział mu natychmiast:

– Ja zacznę, ale ty postaraj się, aby MacNamara dowiedział się, co czujesz. Rozumiesz, co mam na myśli?

Scott skinął głową.

– Owszem – powiedział, ścisząc głos. – Bądź dżentelmenem, nawet bardzo wkurzonym dżentelmenem, lecz nie mów niczego, co by obraziło tego skurwiela, ponieważ to on jest sędzią i mógłby posłużyć się jutrzejszym procesem do wyrównania rachunków.

– Jesteś bliski prawdy – skwitował Tommy. Trzykrotnie, ostro zastukał w drzwi pokoju starszego oficera amerykańskiego. Potem zaczęli chwilę.

– Zachowam się jak dżentelmen, Hart – mruknął Scott. – Ale wiedz, że mam już dosyć tego bycia rozsądnym przez cały czas. Niekiedy myślę, że zachowam ten rozsądek aż do chwili, w której usłyszę, jak oni wydają komendę: „Ognia!”

– Nie wiem, czy jesteś taki rozsądny, jak twierdzisz – odpowiedział słabym głosem Tommy, a rozbawiony Scott chrząknął.

Po chwili usłyszeli głos zapraszający ich do środka. Scott otworzył drzwi. Lewis MacNamara siedział w rogu pokoju. Nogi w skarpetkach trzymał na łóżku, na nosie miał powyginane, stare okulary do czytania, w ręce trzymał zniszczoną powieść Dickensa *Wielkie nadzieje*. Obok stał blaszany talerz z niedojedzonym obozowym gulaszem. Tommy natychmiast zinterpretował tę scenę jako typowe podejście jeńca wojennego do pożywienia: wziąć trochę do ust, długo przeżuwać, przeczytać jeden czy dwa akapity, znowu wziąć trochę do ust. Niekiedy można było odnieść wrażenie, że czas jest dla tych ludzi wrogiem groźniejszym niż Niemcy.

MacNamara opuścił powoli czytana powieść i z zaciekawieniem spojrzął na oficerów, którzy zatrzymali się na środku niewielkiego pokoju i stanęli na baczność. Pułkownik z racji swej rangi otrzymał przywilej korzystania z jednego z nielicznych w obozie pokoi dwuosobowych. Jego współlokatora, majora Clarka, nie było w

sypialni, co Tommy uznał za dziwne. Hart rozejrzał się dookoła w nadziei, że może uda mu się dostrzec na ścianie obraz albo jakąś pamiątkę, która powie mu o osobowości pułkownika coś, co da się później wykorzystać. Nie zauważył jednak nic charakterystycznego.

– Panowie porucznicy... – odezwał się MacNamara, oddając salut. – Spocznijcie, proszę. Co was tutaj sprowadza?

– Sir, chcę zameldować o kradzieży – odrzekł ostrym tonem Tommy.

– O kradzieży?

– Tak jest.

– Proszę dalej.

– Z kwatery pana Scotta został zabrany zdobyty przeze mnie dowód rzeczowy. Miałem zamiar przedstawić go jutro podczas procesu. Podejrzewamy, że kradzieży dokonano w czasie, gdy Scott wyszedł do jeńców przed barakiem sto jeden. Sir, protestujemy przeciwko takiemu działaniu z całym naciskiem!

– Mówi pan, dowód. Co to za dowód?

Tommy zawahał się, a pułkownik szybko dodał:

– Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie, panie Hart. A ja zachowam w najściślejszej tajemnicy każdą informację, jaką mi pan przekaże.

– Jestem tego pewny, sir – powiedział Tommy, nie wierząc w ani jedno słowo pułkownika. Nie miał odwagi spojrzeć na Lincolna.

– A więc dobrze – powiedział MacNamara stanowczo. Tommy nie był pewny, czy ta stanowczość nie ukrywa czasem irytacji. – Pytam jeszcze raz: co to był za dowód?

– Drewniana deska, sir. Oderwana ze ściany budynku. Były na niej wyraźne ślady krwi Tradera Vica.

MacNamara otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Spuścił nogi z łóżka i przez chwilę patrzył na stopy w skarpetkach. Potem usiadł szybko, jakby dopiero teraz zainteresował się tą sprawą.

– Drewniana deska, mówi pan? Deska poplamiona krwią?

– Tak jest, sir.

– A skąd pan wie, że to była krew kapitana Bedforda?

– Nie widzę innego rozsądnego wytłumaczenia, sir. Nikt inny tutaj tak obficie nie krwawił.

– To prawda. A co ta deska miała wykazać, według pana?

Tommy zawahał się, zanim odpowiedział.

– To kluczowy element linii obrony, sir. Ma związek z miejscem, w którym faktycznie został zamordowany Trader Vic i podważa wersję zbrodni, przyjętą przez oskarżenie.

– Czy ona pochodzi z Abortu?

– Nie powiedziałem tego, sir.

– Czy pochodzi z jakiegoś innego miejsca?

– Tak jest.

– I czego to dowodzi, pana zdaniem?

– Sir, jeżeli zdołamy wykazać, że przestępstwo zostało popełnione w innym miejscu, to pojawi się poważna wątpliwość co do całej wersji przedstawionej przez oskarżyciela. Oskarżenie utrzymuje, że pan Scott wyszedł za kapitanem Bedfordem z baraku sto jeden i doszło między nimi do walki pomiędzy barakami, w pobliżu Abortu. Dowód wskazujący na odmienny przebieg wydarzeń wspiera stanowisko porucznika Scotta, który zaprzecza oskarżeniu, sir.

MacNamara ważył ostrożnie każde słowo:

– To, co pan mówi, wydaje się słuszne, poruczniku. I ten właśnie przedmiot zniknął?

Zanim Tommy zdążył wtrącić słowo, wybuchnął Lincoln Scott.

– Tak jest, sir! Został ukradziony z mojego pokoju. Podwędzony, zrabowany, zwinięty, podpieprzony! Którekolwiek z tych określeń panu odpowiada, sir. Stało się to w chwili, gdy tak korzystnie dla sprawy odwróciłem się na chwilę!

– Niech pan uważa na język, poruczniku.

Scott popatrzył twardym wzrokiem na pułkownika i mówił dalej:

– Dobrze, panie pułkowniku. Będę uważał na mój język. Z całą pewnością nie chciałbym stanąć przed plutonem egzekucyjnym z nadmiarem przekleństw na ustach. To przecież mogłoby urazić czyjąś wrażliwość.

MacNamara nie zwracał większej uwagi na Scotta, wzruszył tylko ramionami. Przeszedł do porządku nad jego furią i uznał ją za mało istotną. Tommy zwrócił na to uwagę; zrobił krok do przodu i mówił dalej, energicznie akcentując słowa.

– Sir, z pewnością przypomina pan sobie, że w pewnym sensie całą tę sprawę wywołało rzucone przez Tradera Vica oskarżenie porucznika Scotta o kradzież. Z pewnością ten incydent przyczynił się do wywołania znacznej części obecnych animozji. Teraz porucznik Scott stał się ofiarą, a przedmiot, który zniknął, ma większe znaczenie niż jakakolwiek pamiątka z wojny, paczka papierosów albo tabliczka czekolady!

MacNamara podniósł rękę i powoli przytaknął.

– Jestem tego świadom. Czego ode mnie oczekujecie?

Tommy uśmiechnął się.

– Jestem zdania, sir, że powinien pan odebrać pod przysięgą zeznania od wszystkich osób działających na rzecz oskarżenia. To przecież oni wyciągną korzyści z tego bezprawnego postępku. Uważam również, że należy przesłuchać wszystkich świadków oskarżenia, ponieważ wielu z nich zdaje się żywić do porucznika Scotta identyczną niechęć jak kapitan Bedford. Powinniśmy też przesłuchać tych jeńców, którzy otwarcie grozili porucznikowi Scottowi. Uważam przy tym, że należy na dłuższy czas odłożyć jutrzejsze posiedzenie sądu. Wreszcie jestem zdania, że kradzież kluczowego dowodu zdecydowanie wspiera domniemanie niewinności Scotta. W pewnym sensie ta kradzież jest de facto dowodem jego całkowitej niewinności! Będę nalegał, aby pan niezwłocznie oddalił oskarżenie przeciwko porucznikowi Scottowi!

– To wykluczone!

– Sir! Linia obrony została zniweczona w efekcie bezprawnego i niemoralnego postępowania innych osób, przebywających na terenie tego obozu! To sugeruje...

– Wiem, co to sugeruje, poruczniku! Ale niczego nie dowodzi. Nie ma także dowodu, że ten przedmiot faktycznie istniał, czy też został przywłaszczony w tak dramatycznych okolicznościach, o jakich pan mówi.

– Sir! Ma pan słowo honoru dwóch oficerów!

– Owszem, ale co poza tym...

– Co takiego? – wtrącił się Scott. – Czy nasze słowo ma mniejszą wagę? Jest mniej istotne? Mniej prawdziwe? Czy nie jest równie wartościowe jak słowo dane przez innych? Być może jest pan zdania, że to moje słowo jest mniej warte. Ale słowo honoru Harta ma ten sam kolor co pańskie, majora Clarka i wszystkich pozostałych jeńców Stalagu Luft 13!

– Niczego takiego nie powiedziałem, poruczniku. Nie w tym rzecz. Chodzi o brak innych dowodów, wspierających to twierdzenie – mówił łagodnie MacNamara, jakby starał się przyjąć postawę pojednawczą.

– Inni oficerowie byli świadkami, jak zdobyłem tę deskę – wtrącił Tommy.

– Kto? Dlaczego nie ma ich tutaj razem z wami?

Tommy wyobraził sobie natychmiast sąsiadów Tradera Vica z pokoju i muzyków z jazzbandu, którzy zaczepili go na korytarzu w baraku sto jeden. Prawdopodobnie któryś z nich ukradł tę deskę. Taki człowiek nie przyzna się do kradzieży, będzie kłamał. Zdawał sobie jednak też sprawę, kto nie będzie mógł skłamać.

– Nie mam pewności, którzy to ludzie.

– Czy potrafi ich pan odszukać?

– Nie. Z wyjątkiem jednego.

– A kto to taki?

– To kapitan Walker Townsend, sir. Główny prokurator. On widział mnie z tym przedmiotem.

Pułkownik zeszywniał i podniósł się z pryczy. Przez kilka sekund rozważał coś głęboko; odwrócił się plecami do gości i zaczął przechadzać się po pokoju, aż wreszcie stanął przed nimi. Tommy widział, jak MacNamara coś rozważa, kalkuluje, jakby szacował szkody wynikłe z uszkodzenia samolotu w walce powietrznej i zastanawiał się, czy maszyna nadal jest zdolna do latania. Hart obserwował zachowanie pułkownika z taką samą uwagą, z jaką słuchał każdego wypowiedzianego przez niego słowa. Miał nadzieję, że Lincoln Scott jest równie czujny.

Wreszcie MacNamara machnął ręką, jak gdyby skończył rozwiązywać w pamięci

jakieś równanie i zapisał wynik.

– Zgoda, panowie. Zajmiemy się tą sprawą jutro, na posiedzeniu trybunału. Wtedy będziecie mogli postawić te pytania, a może kapitan Townsend i oskarżyciele potrafią udzielić wam odpowiedzi – oświadczył.

Popatrzył na młodszych oficerów z krzywym uśmiechem.

– Być może zadał pan swój cios, poruczniku Hart. Dobrze wymierzony, precyzyjny. Przyszłość wykaże, czy zrobi on wielką krzywdę oskarżeniu. Ale ja będę wyczulony na ten problem.

Tommy pochylił głowę, chociaż nie był pewien, czy ma uwierzyć w tę deklarację. Wątpił, czy Scott dostrzeże w niej coś więcej jak tylko jawne kłamstwo. Zasalutował i chciał już wyjść, lecz stojący obok niego czarny lotnik zawahał się. Tommy poczuł się niepewnie, bo nie wiedział, co on chce powiedzieć. Scott wskazał na otwartą książkę na łóżku MacNamary.

– Czy lubi pan Dickensa, sir? – zapytał niespodziewanie.

Pułkownik spojrział na niego z lekkim zdziwieniem.

– Prawdę mówiąc, to jego pierwsza książka, jaką mam czas przeczytać. Kiedy byłem młodszy, nigdy nie zajmowałem się beletrystyką. Koncentrowałem się głównie na matematyce i historii. Znajomość tych dyscyplin pomagała dostać się do West Point, była też istotna w dalszym programie nauki. Nie wydaje mi się, żeby w akademii jakiś kurs obejmował lekturę Dickensa. No i naturalnie, gdy dorastałem i chodziłem do szkoły, nie miałem tyle czasu co teraz, dzięki tym parszywym szwabom. Ale jak na razie, książka wydaje się całkiem interesująca.

Scott skinął głową.

– W moim programie szkolnym również przeważała literatura techniczna i fachowe podręczniki – ciągnął z dyskretnym uśmiechem. – Mimo to znalazłem czas na klasykę, sir. Na Dickensa, Dostojewskiego, Tołstoja, Prousta, Szekspira. Musiałem również czytać Homera i niektóre greckie tragedie. Trudno sobie wyobrazić należycie wykształconego człowieka bez fundamentalnej orientacji w klasyce, sir. Przekonała mnie do tego moja matka. Jest nauczycielką.

– Chyba ma pan rację, poruczniku – odrzekł MacNamara. – Ja nigdy nie

rozważałem tego w podobnych kategoriach.

– Tak? To mnie zdumiewa. No, ale niezależnie od wszystkiego, Dickens jest bardzo interesującym pisarzem, sir – mówił dalej Lincoln. – Kiedy się czyta jego najlepsze dzieła, trzeba tylko pamiętać o jednej istotnej rzeczy, sir.

– Mianowicie o czym, poruczniku?

– Że w rzeczywistości nic nie wygląda tak, jak się na pozór wydaje – odparł Scott.

– Na tym polegał geniusz Dickensa.

Po chwili dorzucił jeszcze:

– Dobrej nocy, sir. Życzę przyjemnej lektury.

Młodzi lotnicy wyszli z pokoju pułkownika.

Kiedy znaleźli się na dworze, zaczynał już zapadać zmierzch, okrywający świat szarością, zacierający kontury. Otaczające obóz ogrodzenie z drutu kolczastego wyglądało jak płatanina wyginających się kresek wykonanych czarnym ołówkiem, kontrastujących z resztką dziennego światła. Większość jeńców była już w swoich pokojach, przygotowywali się do snu, chronili przed wieczornym chłodem. Tommy i Lincoln od czasu do czasu zauważali przemykającego gdzieś jeńca. Przyspieszyli krok nie tyle pod wpływem narastającego zimna, ile nadciągającej groźnej nocy. Ciemność zawsze oznaczała możliwość śmierci, szczególnie z rąk jakiegoś nerwowego, kiepsko wyszkolonego kilkunastoletniego wartownika uzbrojonego w pistolet maszynowy. Tommy podniósł oczy na pobliską wieżę strażniczą, widoczną w nadciągającej mgle. Było na niej dwóch żołnierzy, opierających się rękami o barierkę – wyglądali jak mężczyźni siedzący przy barze. Przyglądali się uważnie przechodzącym jeńcom, jak gdyby poganiali ich wzrokiem.

– Nieźle, Hart – odezwał się Scott. On także patrzył na wieżę, z której obserwowało ich dwóch Niemców. – Szczególnie podobał mi się ten fragment o rezygnacji z zarzutów. To naturalnie nie przejdzie, ale on się trochę zdenerwował; będzie miał o czym myśleć dziś w nocy, kiedy szwaby zgaszą światło, i to właśnie sprawia mi przyjemność.

– Warto było spróbować.

– W takiej sytuacji warto próbować wszystkiego. A wiesz, komu jeszcze by się to

podobało? Temu staremu Angolowi, którego odesłali. Pryce byłby zachwycony takim posunięciem, nawet gdyby miało się okazać nieskuteczne.

– Pewnie masz rację – odparł Tommy.

– Ale nie masz już w głowie zbyt wielu trików, prawda, Hart?

– Nie. Jest jeszcze ten medyk, Fenelli. Jego zeznanie powinno wzbudzić wątpliwości co do wielu spraw. Jego zeznania rozwałą tę całą składną konstrukcję kapitana Townsenda. Chciałbym jednak, żebyśmy mieli jeszcze coś konkretnego. Na przykład faktyczne narzędzie zbrodni. Albo innych świadków. Coś przekonującego. Właśnie dlatego ta cholerna deska miała tak wielkie znaczenie.

– Byłoby nieźle – zgodził się Scott.

Przeszli jeszcze kilka kroków.

– Powiedz mi, Scott, co myślisz o MacNamarze? – zapytał Tommy.

Czarny lotnik zawahał się i odpowiedział pytaniem:

– O co ci chodzi? Czy o to, jakim jest oficerem? Albo sędzią? A może po prostu człowiekiem? O co właściwie pytasz?

– O wszystko. Możesz sam wybrać, o czym chcesz mówić. No, dalej, Scott, jakie są twoje wrażenia?

Tommy zauważył lekki uśmiezek na twarzy Lincolna.

– Jest typowym zawodowym oficerem, jak z podręcznika. Zawodowy oficer czekający na awans i pewnie przez cały czas dręczący się myślą, że siedzi tu w całkowitym zapomnieniu, podczas gdy jego szkolni koledzy z West Point robią to, co należy do zwykłych obowiązków absolwentów akademii, czyli posyłają na śmierć innych ludzi, przypinają sobie medale do piersi i awansują w wojskowej hierarchii. A jako sędzia, no cóż, chyba jest z grubsza taki sam, chociaż trochę się ugina i niekiedy stara się pokazać, że jest uczciwy.

– Zgadzam się – wtrącił Tommy. – Z tym, że jest różnica między byciem uczciwym, a sprawianiem takiego wrażenia.

– Bingo – dodał cicho Scott. – A teraz jako człowiek, no cóż... Czy ty masz pojęcie, Hart, ilu takich MacNamarów spotkałem w życiu?

– Nie.

– Dziesiątki, setki. Za wielu, by ich zliczyć.

– Nie rozumiem.

Scott westchnął.

– Taki MacNamara to trudny przypadek. Publicznie deklaruje, że nie ma w nim ani odrobiny uprzedzeń, a przy tym automatycznie podnosi poprzeczkę, jeżeli jakiś Murzyn sprawia wrażenie, że zdoła ją przeskoczyć. Będzie opowiadał o równości, uczciwości i przestrzeganiu ustalonych standardów, ale prawda jest taka, że standardy, jakie ja muszę pokonać, bardzo się różnią od tych, jakie przewidziano dla ciebie, Hart. Moje są zawsze bardziej wyśrubowane, ilekroć zbliżam się do sukcesu. Miałem takich MacNamarów począwszy od szkoły w South Side w Chicago aż po uniwersytet. MacNamara był irlandzkim policjantem, który chodził po dzielnicy i odbierał swoją dolę, a przy tym wszystkim ustawiał. Był też kierownikiem szkoły powszechnej, który kazał nam zadowolić się jedną książką we trzech i nikomu nie pozwalał zabrać jej na noc do domu, żebyśmy nie mogli się naprawdę nauczyć tego, co w niej jest. Kiedy zapisałem się do wojska i poszedłem na wstępne szkolenie, tam również był MacNamara. Tym razem występował jako oficer, który zapoznał się z moim życiorysem, dowiedział się, że zrobiłem doktorat i zaproponował, abym został kucharzem albo sanitariuszem w szpitalu. W każdym razie chciał mnie przydzielić do jakiejś brudnej, mało istotnej pracy. A później, gdy uzyskałem najlepszy wynik na egzaminie wstępnym do szkoły lotniczej, inny MacNamara zażądał, żebym powtórzył test z powodu jakichś nieprawidłowości. Jediną nieprawidłowością było to, że wypadłem lepiej niż biali chłopcy. Kiedy się ostatecznie zakwalifikowałem i pojechałem do Alabamy, czekał na mnie następny MacNamara. Mówiłem ci już o paleniu krzyży za płotem obozu i niemożliwych do spełnienia wymaganiach wobec nas. Tamtejszy MacNamara wyrzucał ludzi z kursu za jedną pomyłkę na egzaminie pisemnym. Skreślał człowieka za każdy błąd, choćby nawet najdrobniejszy, popełniony w powietrzu. Chcesz wiedzieć, dlaczego chłopcy z Tuskegee są najlepsi w całym lotniczym korpusie pilotów? Ponieważ oni musieli być najlepsi! Jak już mówiłem, Hart, są dwa rodzaje reguł: jedne dla ciebie, drugie dla mnie. Wiesz, co w tym jest śmieszne?

– Śmieszne?

– No, może niezupełnie śmieszne – poprawił się Scott. – Raczej ironiczne.

– Co to takiego?

– Że w kontekście tego wszystkiego, o czym ci mówiłem, znacznie mi łatwiej radzić sobie ze wszystkimi Vincentami Bedfordami na świecie niż z takim Lewisem MacNamarą. Ostatecznie Trader Vic nigdy nie starał się ukrywać, kim jest i jak myśli. Nigdy nie udawał uczciwego, jeśli taki nie był.

Tommy skinął głową. W powietrzu czuło się świeży powiew lekkiego wiatru, co przypomniało mu Vermont.

– To musi być dla ciebie trudne, Scott. Trudne i frustrujące – powiedział cicho Hart.

– Co musi być trudne?

– To, że natychmiast dostrzegasz nienawiść u każdego, kogo spotykasz, że zawsze musisz tak podejrzliwie odnosić się do wszystkiego, co się wokół dzieje.

Scott podniósł rękę, jakby chciał zbyć tę uwagę, ale powstrzymał się.

– Właśnie tak – powiedział z uśmiechem i lekko odkaslnął. – To rzeczywiście ciężka dola. Prześladowuje mnie to przez cały czas, kiedy tylko nie śpię. – Odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął niespodziewanym śmiechem. – Złapałeś mnie, Hart. Mam wrażenie, że ciągle cię nie doceniam.

– Nie ty pierwszy – odparł Tommy, wzruszając ramionami.

– Tak czy owak, nie popełniasz tego błędu – ciągnął Lincoln.

Hart pokręcił głową.

– Myślę, że to jedna z rzeczy, których nigdy nie zrobię – powiedział. – Mogę cię nie rozumieć, nawet nie lubić, mogę ci nawet nie do końca wierzyć. Ale niech mnie szlag trafi, jeżeli kiedykolwiek cię nie docenię.

Lincoln ponownie się roześmiał.

– Wiesz co, Hart? – odrzekł. – Muszę przyznać, że ciągle mnie zaskakujesz.

– Ten świat jest pełen niespodzianek. Nic nie jest naprawdę takie, na jakie wygląda. Czy nie w ten właśnie sposób opisałeś MacNamarze świat Dickensa?

Scott przytaknął z uśmiechem.

– Ach, Vermont. Wiesz, że ja nigdy tam nie byłem? Odwiedziłem raz Boston – wtedy znalazłem się najbliżej twojego stanu. Bardzo tęsknisz? – zapytał, lecz po chwili usprawiedliwił się. – To głupie pytanie, skoro odpowiedź jest taka oczywista. Mimo to zadam je.

– Tęsknię za wszystkim – odparł Tommy. – Brakuje mi mojego domu, dziewczyny, krewnych, małej siostry. Także cholernego psa. Na Boga, brak mi też Harvardu, chociaż nie sądziłem, że zdecyduję się kiedyś powiedzieć to na głos. A wiesz, czego najbardziej mi brak? Zapachów. Nie miałem pojęcia, że wolność ma specyficzną woń, ale tak jest. Ten aromat krył się w perfumach mojej dziewczyny, kiedy szliśmy na pierwszą randkę. W jedzeniu gotowanym przez matkę w niedzielę. Czasami wychodzę z baraku i widzę wyłącznie druty; wówczas wydaje mi się, że nigdy już nie przekroczę ich linii i nie poczuję tej woni. Nawet przez moment. Już nigdy.

Zbliżyli się do baraku sto jeden. Przed wejściem do środka Scott zatrzymał się i obejrzał za siebie, żeby zobaczyć, czy nikt ich nie obserwuje. Wyglądało na to, że są sami w ostatnich blaskach dziennego światła; za chwilę nad całym obozem zapadnie ciemność. Scott wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej pomiętą, spękaną fotografię. Powoli, bez pośpiechu przyjrzał się zdjęciu, a następnie podał je Tommy’emu.

– Miałem szczęście – powiedział cicho. – Rankiem, przed wyruszeniem w tę ostatnią misję, wsadziłem je do kieszeni kombinezonu, o tu, na sercu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Nigdy tak nie postępowałem, z wyjątkiem tamtego dnia. Ale cieszę się, że mam to zdjęcie ze sobą.

Tommy obejrzał fotografię w świetle sączącym się ze szpary przy drzwiach. Było to zdjęcie młodej, delikatnej kobiety o skórze barwy kakao. Siedziała na bujanym fotelu w salonie schludnego, dobrze umeblowanego domu. Trzymała w ramionach maleńkie dziecko. Tommy zauważył jej czujne, a jednocześnie przepełnione ciepłą radością spojrzenie. Niemowlę wyciągniętą rączką dotykało policzka matki.

– Nie mam pojęcia, czy ich zawiadomiono, że żyję – powiedział Scott łamiącym się głosem. – Trudno sobie wyobrazić, że ktoś, kogo kocham, uważa mnie za

zmarłego...

– Są piękni – rzekł Tommy, zwracając fotografię Lincolnowi. Taki komentarz odpowiadał prawdzie. – Jestem przekonany, że armia zawiadomiła ich o twoim pobycie w niewoli.

Scott przytaknął.

– Tak, myślę, że tak. Ale w takim razie należałoby się spodziewać listu, paczki czy jakiegokolwiek wiadomości z domu, a ja nic nie otrzymałem. Ani jednego słowa – powiedział. Potem ponownie przyjrzał się fotografii i włożył ją do kieszeni. – Nigdy nie widziałem swojego synka. On urodził się po moim wyjeździe za granicę. Dlatego trudno mi uwierzyć, że jest realny, prawdziwy. Ale to fakt. Pewnie dużo płacze. Tak jak ja, kiedy byłem mały. Przynajmniej tak mówiła mi mama. Chciałbym dożyć chwili, w której go zobaczę, choćby tylko raz. Chciałbym też zobaczyć jeszcze moją żonę.

Po chwili wahania mówił dalej:

– Naturalnie, pod tym względem nie jestem inny niż MacNamara, Clark, kapitan Townsend, szwabcy czy wszyscy ludzie z tego cholernego obozu. Nawet Trader Vic. On pewnie chciał wrócić do swojego Missisipi tak samo jak każdy do swojego domu. Zastanawiam się, kto tam na niego czekał.

– Jego szef sprzedający używane samochody w garażu – odparł Tommy.

W jednym z pokoi grano w brydża; liczba obserwujących grę kibiców była równa liczbie jej uczestników. W przeciwieństwie do pokera i innych gier, wzbudzających więcej emocji i przyciągających tłum gapiów, tu rozgrywka przebiegała spokojnie aż do zebrania ostatniej lewy. Później rozpoczynały się namiętne, zażarte debaty na temat precyzyjnego wykorzystania ostatnich kart. Jeńcy uwielbiali dyskusje nie mniej niż samą grę; był to jeszcze jeden sposób przekształcenia skromnej rozrywki w przeciągające się wydarzenie, pozwalające na spędzenie następnych, przygnębiających minut w więzieniu.

Z pokoju Scotta zniknęły drzwi z obelżywym napisem, dokładnie tak, jak przyrzekli Niemcy. Podeszli bliżej i zauważyli otwarte na oścież wejście do sypialni.

Tommy nie zdążył się zdziwić, ponieważ natychmiast rozpoznał szorstki głos Hugh, niemiłosiernie fałszującego melodię piosenki o obscenicznym tekście.

Zastali Kanadyjczyka w trakcie urządzania sobie kącika noclegowego. Skromny dorobek Tommy'ego znajdował się pod ścianą, jego książki prawnicze ułożone pod łóżkiem, nieliczne ubrania powieszona na dwóch gwoździach. Nie było to nic wielkiego, ale surowy wygląd i wywołująca ból pustka tego pokoju zostały nieco złagodzone. Hugh mocował na ścianie nieaktualny kalendarz. Fakt, że wskazywał daty z przeszłości był jednak mniej istotny od portretu skąpo odzianej, ale hojnie obdarzonej przez naturę młodej kobiety o sarnich oczach, zdobiącej kartkę lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

– Nie potrafię żyć bez lutego – oznajmił Hugh, cofając się i z oddali podziwiając fotografię. – Ona kosztowała mnie dwie paczki fajek. Mam szczerzy zamiar odnaleźć ją po wojnie i oświadczyć się mniej więcej dziesięć sekund po tym, jak zawrzemy znajomość. Nie zamierzam też przyjąć do wiadomości odpowiedzi negatywnej.

– Śmieszna rzecz – powiedział Tommy, przyglądając się dziewczynie z uwagą i podziwem. – Ona nie wygląda na Kanadyjkę. Wątpię, czy kiedykolwiek przeżuwała wielorybi tłuszcz albo upolowała fokę harpunem. A co do jej kostiumu, to nie wydaje się najbardziej przydatny podczas północnej zimy...

– Tommy, mój przyjacielu, niewłaściwie oceniasz obraz, któremu się przyglądasz – powiedział, śmiejąc się, co rozśmieszyło również Tommy'ego. Hugh wyciągnął rękę do czarnoskórego pilota, witając się z nim mocnym uściskiem. – Miło cię widzieć, kolego.

– Witam na „Titanicu” – odparł Scott. Odwrócił się i popatrzył na swoją pryczę. Zamarł. Wreszcie znów odwrócił się do Hugh.

– Od jak dawna tu jesteś? – zapytał z naciskiem.

Zaskoczony Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

– Mniej więcej od pół godziny – odparł. – Rozpakowanie moich rzeczy i ułożenie ich nie zabrało zbyt wiele czasu. Przyprowadził mnie tu po wieczornym apelu Fritz Numer Jeden. Po drodze musieliśmy się zatrzymać i uzgodnić coś z Visserem, a potem z jednym z adiutantów von Reitera. Chodziło przede wszystkim o statystykę i

porządek w papierach. Chyba chcieli się upewnić, że zgadzają się rachunki w obydwu obozach. Nie chce im się biegać po terenie, gwizdać na alarm i szukać człowieka, który po prostu zmienił miejsce postoju

– Czy widziałeś kogoś, kiedy tu przyszedłeś? – zapytał ostrym tonem Scott.

– Czy widziałem? Jasne, wszędzie kręcili się jeńcy.

– Ale czy tutaj kogoś widziałeś?

– Tu, w tym pokoju? Ani żywej duszy – odrzekł Scott. – Drzwi były zamknięte. Zauważyłem, że są zupełnie nowe. A co cię gryzie, kolego?

– To – odparł Scott, wskazując ręką kąt pokoju.

Tommy odsunął go na bok. Zrozumiał, o co chodzi czarnemu pilotowi. W rogu stał oparty o ścianę kawałek drewna poplamiony krwią Tradera Vica.

Jednym susem doskoczył do ściany, złapał ułamaną deskę i zaczął ją dokładnie oglądać ze wszystkich stron. Popatrzył na Lincolna Scotta, stojącego na środku sypialni.

– Sam zobacz – powiedział ponuro.

Rzucił mu deskę. Scott złapał ją w powietrzu i zaczął obracać w rękach, tak jak przed chwilą robił to Hart.

Pierwszy odezwał się Hugh.

– Tommy, chłopcze, o co tu chodzi, do diabła? Scott, co to jest za drewno?

Lincoln zaklął pod nosem.

– Teraz to już tylko kawałek drewna – wyjaśnił Tommy. – Równie dobrze możemy wrzucić go do pieca. A dziś rano był to dowód o kluczowym znaczeniu. Obecnie to wyłącznie drewno na opał, po prostu nic.

– Nadal nie rozumiem – wtrącił Hugh, biorąc deskę z rąk Scotta.

– Niedawno była to deska, którą Tommy odkrył na ścianie baraku sto pięć – tłumaczył Lincoln – znajdowała się na niej krew Tradera Vica. Dla nas był to dowód, że zabito go w innym miejscu, niż zostały znalezione zwłoki. Ale ktoś zadał sobie w ostatnich godzinach wiele trudu. Wykradł tę deskę z mojego pokoju i usunął z niej ślady krwi Vica. Przypuszczalnie wymył deskę we wrzącej wodzie, a potem użył środka odkażającego.

Hugh obwąchał drewno.

– Masz rację. Czuć wapno i mydliny...

– Tak, jakby przyniesiono ją z Abortu – powiedział Tommy. – Założę się o karton fajek, że ktoś wstawił w baraku sto pięć nowy kawałek deski na miejsce tej, którą oderwałem.

– Jasne – zgodził się Scott. – Cholera. Oni wcale nie są głupi. Bo głupotą byłaby kradzież tej deski. Natomiast zwinięcie jej, usunięcie wszelkich śladów i podrzucenie z powrotem na miejsce to całkiem sprytny manewr, prawda, panie władzo? – dodał smutnym głosem.

Hugh przytaknął bez słowa. Dalej troskliwie oglądał trzymany w rękach kawałek drewna.

– Gdybym miał mikroskop – powiedział powoli – albo choćby szkło powiększające, pewnie mógłbym znaleźć ślady tego czyszczenia.

Tommy zatoczył ręką koło.

– Mikroskop? Tutaj? – zapytał cynicznie.

Hugh wzruszył ramionami.

– Przepraszam – powiedział. – Równie dobrze mógłbym żądać latającego dywanu, który zabrałby nas do domu.

– Oni są cholernie przebiegli – ciągnął Scott, odwracając się do Tommy'ego. – Dziś rano dysponowaliśmy mocnym dowodem. Teraz nie mamy nic. Mecenasiu, argumenty na jutrzejsze posiedzenie sądu rozwiały się. Podobnie jak wszelka nadzieja na opóźnienie procesu.

W pierwszym momencie Tommy nie odpowiedział. Co tu gadać, kiedy wszystko jest jasne?

– No to rzeczywiście macie problem – wtrącił szybko Hugh. – Czy mówiliście MacNamarze o tej kradzieży?

Tommy natychmiast zorientował się, do czego zmierza dawny kanadyjski policjant.

– Owszem. Niech to szlag trafi. A teraz mamy drewno, na którym nie ma śladów, o jakich wspominaliśmy. Obecnie ten bezużyteczny kawałek deski jest dla nas tak

samo groźny jak wszystkie dowody zgromadzone przez oskarżenie. Możemy to pokazać mówiąc, że na tej desce była krew Vica. Nikt by w to nie uwierzył.

Tommy odwrócił się do Scotta.

– Teraz, kiedy znowu mamy tę deskę, wychodzimy na łgarzy – powiedział.

– Mogliby wam uwierzyć, gdybyście w dalszym ciągu twierdzili, że deska została skradziona – uśmiechnął się Hugh.

Oparł ostrożnie kawałek drewna na krawędzi łóżka, podniósł nogę i mocno uderzył w feralną deskę. Brutalne kopnięcie rozłupało ją na pół. Gdy kopnął po raz drugi, posypały się drzazgi.

Tommy najpierw skrzywił się, a potem roześmiał.

– Piec kuchenny jest dalej, na korytarzu – powiedział.

– Tak się składa, że muszę sobie coś ugotować – odparł Renaday. Zebrał z podłogi kawałki drewna i wyszedł z pokoju.

– Mam wrażenie, że ta deska wciąż jest skradziona – wtrącił Scott. – Zastanawiam się, czy te skurwiele, co ją podprowadziły, były wystarczająco przewidujące.

– Wątpię, czy przewidywali, że ją zniszczymy – odparł Tommy. To posunięcie wprowadziło go w pewne zakłopotanie. To moja pierwsza sprawa, pomyślał, i zaczynam od zniszczenia dowodu. Zanim jednak zdążył się pogрузić w rozmyśleniach na temat okropnego czynu, odezwał się Lincoln.

– Tak. Oni przypuszczalnie liczyli na nasze uczciwe zachowanie i stosowanie się do reguł gry, ponieważ w taki sposób postępowaliśmy do tej pory. Problem w tym, Hart, że najwyraźniej nikt inny takich zasad nie przestrzega. Pomyśl o tym napisie wyciętym na drzwiach. Ktoś dobrze wiedział, że w ten sposób wywabią mnie z pokoju, że zareaguję jak dureń, i tak się stało. Wyzwałem ich wszystkich do walki. KKK i czarnuch to jest jak wymachiwanie czerwoną płachtą przed nosem byka. I ja na to reaguję, wyskakuję przed barak, gotów walczyć z całym tym cholernym obozem, jeżeli będzie trzeba. A kiedy ja tam robię z siebie kretyna, ktoś zakrada się do mojego pokoju i zabiera jedyny liczący się dowód, jakim dysponowaliśmy. A potem, kiedy znowu odwróciłem się plecami, trach, i deska ląduje tu z powrotem. Tyle że nic niewarta jako dowód. A co gorsza, gdy ona tkwi tam w kącie, my w

oczach MacNamary i całego obozu wychodzimy na parę kłamczuchów.

W tym momencie Tommy'ego sparaliżowała przerażająca myśl. Odetchnął głęboko i patrzył na Scotta, który ciągnął dalej:

– Nasz doświadczony, wybitny adwokat nieoczekiwanie znika. Nasz najważniejszy dowód ulega zniszczeniu. Wszelkie kłamstwa nabierają sensu, a wszystko, co jest prawdą, robi wrażenie absurdu.

Tommy pomyślał, że powoli, ale konsekwentnie jakaś siła spycha ich na taką pozycję, gdzie z całej linii obrony pozostają im jedynie zaprzeczenia Scotta. Nagle doszedł do wniosku, że nawet przy największej agresywności stają się coraz bardziej wrażliwi, narażeni na cios. Każda niedokładność lub sprzeczność może spowodować, że siła szczegółów stanie się idealną amunicją dla strony przeciwnej.

Już chciał się zwierzyć ze swoich myśli, ale nagle zauważył ból na twarzy Scotta. Opuścił go cały gniew i rozdrażnienie, a pozostał jedynie ogromny, niewypowiedziany smutek. Zwiesił ramiona i mocno potarł oczy rękami. Tommy zrozumiał, dlaczego czarny lotnik od pierwszej chwili pobytu w Stalagu Luft 13 odnosił się do wszystkich tak wstrzemięźliwie i z dystansem. Bo nic na całym świecie nie czyni człowieka tak bezbronny i samotny jak odmiennosc i izolacja. Przed przejawami zazdrości i rasizmu, jakich się spodziewał, mógł się bronić tylko w jeden sposób – otworzyć ogień wcześniej niż przeciwnik – tak właśnie robił jako lotnik.

W tej sprawie wszystko było jakąś pułapką. Jednak największym niebezpieczeństwem stały się te sidła, jakie Scott sam na siebie zastawił. Nie dając nikomu szansy poznać, jaki jest naprawdę, ułatwił drugiej stronie zamordowanie go. Ludzie po prostu nie będą się nim przejmować. Nikt nie wiedział o jego żonie i dziecku, czekających w domu, nikt nie słyszał o ojcu kaznodziei, który nakłaniał go do zdobywania laurów w nauce oraz matce, namawiającej go do czytania literatury klasycznej. Czarny porucznik przekonał jedynie jeńców o swojej odmiennosci, podczas gdy w istocie był taki sam, nie różnił się dosłownie niczym.

Tommy domyślał się, jak okropną rzeczą musi być przekonanie się, że deski i gwoździe, które człowiek kupuje, by zbudować ścianę, mają posłużyć do zbiccia

trumny dla niego.

– A więc, mecenasie, co nam pozostało? Nie za wiele, prawda?

Tommy nie odezwał się. Patrzył na Scotta przykładającego dłoń do czoła, jakby chciał odpędzić ból. Po chwili spojrzął na Tommy'ego. W jego słowach było tyle udreki. Hart zrozumiał, jak trudno musi być ludziom, przyzwyczajonym do walki na ringu albo w powietrzu, którzy nieoczekiwanie muszą walczyć z czymś tak ulotnym i nieuchwytnym jak nienawiść, jakiej doświadczał Scott.

– Niektórzy ludzie gotowi są narażać się na spore kłopoty, byle się tylko przekonać, że biedny czarnuch zostanie rozstrzelany. W dodatku wyraźnie widać, jaki narzucili sobie intensywny harmonogram – powiedział Lincoln.

Rzucił się na pryczę i zakrył ramieniem oczy przed światłem palącej się pod sufitem żarówki. Leżał bez ruchu. Nie spojrzął nawet na wracającego Hugh. Wytrwał w tej pozycji do wyłączenia prądu przez Niemców.

Na świecącej tarczy zegarka Tommy'ego dochodziła północ. Hart nie mógł usnąć z powodu podenerwowania podobnego do tego, jakie przeżywał w przeddzień pierwszego lotu bojowego. Doświadczał wątpliwości i obaw, a także frustracji, której źródłem była kapryśna natura świata, wpędzająca go w taką sytuację. Niekiedy przychodziło mu do głowy, że prawdziwa odwaga oznacza po prostu zdolność działania, robienia tego, co powinno być zrobione, na przekór emocjom, które nakazywały mu ukrycie się w jakimś bezpiecznym miejscu. Wsłuchiwał się w ciche odgłosy, wydawane przez dwóch mężczyzn śpiących w pokoju. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego oni nie są pobudzeni tak samo jak on i nie mają trudności z zaśnięciem. Miał wrażenie, że w oddechu Scotta słychać rezygnację, a w odgłosach wydawanych przez Renadaya pozytywną akceptację.

Sam nie przeżywał podobnych uczuć.

Według niego, odkąd Fritz Numer Jeden znalazł ciało Tradera Vica, w obozie nic nie szło jak należy. Konsekwentna rutyna życia w zamknięciu – odgrywająca zasadniczą rolę zarówno dla jeńców, jak i trzymających ich pod kluczem Niemców – została zakłócona, a dalszych trudności można się było spodziewać w związku z

rozpoczynającym się nazajutrz procesem czarnoskórego pilota.

Przez chwilę rozważał tę kwestię, ale to prowadziło do jeszcze większego zagubienia. Tommy dostrzegał tyle różnych nienawiści, odgrywających rolę w tej sprawie, że przez chwilę poczuł się zdesperowany koniecznością przebijania się przez nie. Kto był znienawidzony najbardziej? Scott? Niemcy? Obóz? Wojna? I kto emanował z siebie tę nienawiść?

Odetchnął powoli. Pytania to nie była dobra zasłona, ale nic poza nimi nie miał. Otworzył oczy w ciemności i spojrzął na sufit sypialni. Żałował, że nie może obserwować rozgwieżdżonego nieba nad domem w Vermoncie i wypatrywać jakiegoś pocieszającego znaku na połyskującym firmamencie. Zawsze potrafił go znaleźć, kiedy był młodszy. To dziwne, aby człowiek szedł przez życie wierząc, że skoro potrafi znaleźć znajomy szlak na oddalonym nieboskłonie, to wytyczy sobie też drogę wśród ziemskich moczarów i płycizn.

Uśmiechnął się gorzko na tę myśl. Rozpoznał w niej wpływ Phillipa Pryce'a. Zaczął się zastanawiać, co spowodowało, że Phillip został takim wybitnym adwokatem. Pewnie zdecydował o tym fakt, że on zawsze o krok czy dwa wyprzedzał otoczenie w aspekcie psychologicznym. Tam, gdzie inni widzieli jedynie suche fakty, Phillip odnajdował sytuacje skomplikowane, pełne niuansów i subtelności. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zdoła dorównać umiejętnościom Anglika, lepiej jednak osiągnąć choćby trochę niż nic.

Zadał sobie pytanie, w jaki sposób Phillip skomentowałby zniknięcie, a potem nieoczekiwane pojawienie się drewnianej deski, odgrywającej kluczową rolę w tej sprawie. Pryce z pewnością kazałby się zastanowić nad tym, kto może coś na tym wygrać. A więc zyskuje oskarżyciel – odpowiedział Tommy. Kto jeszcze? – zapytałby z pewnością Phillip. No cóż, zyskaliby także ci, którzy nienawidzą Scotta. A także prawdziwy zabójca Bedforda. Straciłaby natomiast obrona i Niemcy.

Leżał i powoli wciągał powietrze do płuc, a potem je wypuszczał.

Pomyślał, że w ten sposób stworzyła się dziwaczna kombinacja. I zadał sobie następne pytanie: jakie stanowisko zajmą ci ostatni?

Nie znał odpowiedzi.

Tommy'emu kręciło się w głowie od tych wszystkich sprzecznych idei i obserwacji. Czuł się jak człowiek pływający w zimnym, górskim jeziorze, miotany silnym wichrem, burzącym powierzchnię wody. Niektórym zależało na egzekucji Scotta z powodu jego czarnej skóry. Inni dopominali się tego, ponieważ jest mordercą. Jeszcze inni widzieli w tym narzędzie zemsty.

Wstrzymał oddech.

Pomyślał: Phillip miał słuszność. Ja ciągle patrzę na tę sprawę w niewłaściwy sposób. Właściwe pytanie brzmi: komu zależało na śmierci Vincenta Bedforda?

Nie wiedział. A jednak taki człowiek istniał z całą pewnością. Trzeba tylko wyjaśnić, kto to jest.

Pytania wciąż kłębiły mu się pod czaszką, więc zaskoczył go cichy odgłos stóp na korytarzu. Dochodzące dźwięki wskazywały, że jacyś ludzie idą w skarpetkach bardzo ostrożnie, starając się zataić tę wyprawę.

Poczuł nagły ucisk w gardle i przyspieszone bicie serca.

Przez chwilę podejrzewał, że ktoś zamierza ich zaatakować. Oparł się na łokciu i już miał po cichu obudzić Scotta i Renadaya, wyciągnął nawet rękę, szukając jakiegoś narzędzia obrony, gdy kroki zaczęły się oddalać. Tommy pochylił się i nasłuchiwał; delikatne uderzenia stóp o podłogę ucichły w głębi korytarza. Odetchnął głęboko, starał się uspokoić. To pewnie jakiś jeniec musiał udać się do toalety w baraku. Tej samej, która przyczyniła im tak wiele kłopotów.

Zaraz jednak zrozumiał, że to nieprawda. Po odgłosach zorientował się, że na korytarzu znalazło się dwóch, a najprawdopodobniej trzech ludzi. Wyruszyli po cichu, podporządkowani temu samemu celowi. Tu nie chodziło o przypadkowego lotnika, który poczuł się źle. Zwłaszcza że nie usłyszał dźwięku spuszczonej wody.

Tommy podniósł cię cichutko i podszedł do drzwi, nie wywołując najmniejszego hałasu. Nie chciał obudzić swoich towarzyszy. Ciemność wydawała się nieprzenikniona. Tylko od czasu do czasu przecinał ją promień światła z błędzącego reflektora. Przesuwał się po ścianach i dachach, przenikał do wnętrza przez szpary w drewnianych okiennicach.

Ostrożnie uchylił drzwi i po cichu wyszedł na korytarz. Przykucnął, żeby stać się

jak najmniej widoczny. Wychylił się trochę do przodu, usiłując wyłowić z ciemności jakieś dźwięki. Nic nie usłyszał, ale zobaczył błysk światła.

Na drugim końcu korytarza, przy drzwiach prowadzących z baraku na dwór, przez które on i Scott wyszli w czasie swej nocnej wycieczki, dostrzegł płomyk świecy. Światelko błyskało niczym samotna, daleka gwiazda.

Tommy zamarł w bezruchu, obserwując świecę. Z początku nie mógł się zorientować, ilu mężczyzn stoi przy drzwiach, ale z pewnością nie był to jeden człowiek. Zapadła cisza – Hart dostrzegł przesuwający się snop światła padającego z reflektora na wieży, brutalnie zakłócającego spokój uspiętego obozu. Wtedy świeczkę zgaszono.

Usłyszał skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi.

Są tam dwaj ludzie – pomyślał, ale natychmiast się poprawił: musi być trzech.

Trzej mężczyźni wyszli z baraku kilka minut po północy.

Posłużyli się świecą, tak samo jak on i Scott, aby włożyć buty podczas oczekiwania na przesunięcie się światła reflektora. A następnie, podobnie jak to zrobili Hart i Scott kilka dni wcześniej, szybko skryli się w ciemności za ruchomym promieniem.

Tommy znowu odetchnął głęboko. Pomyślał, że wyprawa trzech ludzi to rzecz wyjątkowo niebezpieczna. Grupa jest zbyt duża i za mało sprawna na takie wycieczki. Najłatwiej było poruszać się w pojedynkę, cierpliwie i ostrożnie.

Dwaj ludzie muszą w takich warunkach zgodnie ze sobą współpracować, niczym para myśliwców schodzących do ataku; jeden samolot prowadzi, drugi osłania go ze skrzydła. Dwaj ludzie mają skłonność do rozmowy, choćby prowadzonej tylko szeptem. Przy dwóch uczestnikach szansa wpadki znacznie się zwiększa. Natomiast wyjście na zewnątrz trzech jeńców, jednego po drugim – niczym członkowie załogi wyskakujący kolejno z zestrzelonego bombowca na niebie pełnym rozrywających się pocisków i tańczących samolotów, a potem spadających w powietrzu, zanim rozwiną się ich spadochrony – to już była impreza ogromnie niebezpieczna, niemalże dowód lekkomyślności. Trzej ludzie muszą robić wiele szumu. Trudniej im też znaleźć odpowiednie miejsca, w których można się ukryć. Bardziej przyciągają

uwagę strażników stojących na wieży, nawet najbardziej śpiących i obojętnych. Trzej ludzie to ogromne ryzyko.

A zatem ci trzej ludzie musieli mieć bardzo poważny powód, by tak ryzykować.

Tommy podniósł się i cichutko wrócił do sypialni.

Trzej ludzie, których widział na korytarzu, wymknęli się na zewnątrz.

Ryzykowali życie tuż przed rozpoczęciem procesu.

Tommy nie wiedział, w jaki sposób te dwa elementy są ze sobą powiązane. Uznał jednak, że chyba warto byłoby się tego dowiedzieć. Nie wiedział tylko, w jaki sposób to osiągnąć.

11. Ósma zero zero

Jeden z najmniej sprawnych strażników obozowych przeliczył już trzy razy ustawionych w szyku lotników, a kiedy zaczął to robić po raz czwarty, powtarzając monotonnie swoje ein, zwei, drei, usłyszał zwykłe w takiej sytuacji wycia, obelgi i jęk zebranych. Ludzie przestępowali z nogi na nogę z powodu porannego zimna, potęgowanego przez ostry wiatr wiejący z północy. Niebo nad ich głowami miało barwę brudnoszarą, tylko na wschodzie widać było na horyzoncie kilka różowoczerwonych smug. Ten dzień był typowy dla niezdecydowanego niemieckiego klimatu – pogoda wydawała się na zawsze uwięziona pomiędzy zimą a wiosną. Tommy skulił się przed przenikliwym wiatrem i lekko drżał z zimna. Pora była bardzo wczesna, niedługo po brzasku. Zastanawiał się, gdzie zagubiło się ciepło poprzedniego dnia. Miał także wątpliwości dotyczące procesu wyznaczonego na ósmą rano. Stojący na prawo od niego Hugh ruszał się, żeby przyspieszyć krążenie krwi i zaklął pod adresem niemieckiego strażnika: „Tylko nie pomyśl się tym razem, parszywy durniu!”. Na lewo stał nieruchomo Lincoln Scott – jakby zimno i wilgoć nie wywierały na nim żadnego wrażenia. Na policzkach miał kropelki wody, jak gdyby płakał.

Strażnik zawahał się i spojrzał na notatnik, w którym zapisywał liczby. Ten przejaw niepewności, mogący być sygnałem, że liczenie rozpocznie się po raz piąty, wywołał potok niecenzuralnych przekleństw i bezsilnych gróźb ze strony alianckich jeńców. Nawet Tommy, zazwyczaj zachowujący milczenie, mruknął pod nosem: „Boże, dalej, skończ z tym wreszcie...”. Ostry podmuch wiatru przeszył go na wskroś przez starą, zniszczoną kurtkę lotniczą.

Nagle usłyszał za plecami czyjś cichy, pełen napięcia głos:

– Hart, być może mam coś dla ciebie.

Tommy opanował się – nie odwrócił głowy, obawiając się obraźliwego epitetu. Ten głos wydał mu się znajomy – po chwili zorientował się, że należy do pochodzącego z Nowego Jorku kapitana, który mieszkał w jednym z pokoi po

przeciwnej stronie korytarza w tym samym baraku co Hart. Kapitan był pilotem myśliwca, podobnie jak Scott, i został zestrzelony podczas eskortowania formacji bombowców B-17 dokonujących nalotu na wielkie B, jak w żargonie alianckich lotników nazywano Berlin.

– Nadal szukasz informacji, Hart? A może masz już wszystko pod kontrolą?

Tommy przecząco potrząsnął głową, ale w dalszym ciągu nie odwracał się do człowieka stojącego w następnym szeregu. Lincoln Scott i Hugh Renaday również stali nieruchomo.

– Słucham. Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał.

– Widzisz, trochę mnie to wkurzyło – ciągnął pilot – to znaczy sposób, w jaki Bedford zdobywał to, co ktokolwiek zażądał. Więcej jedzenia, więcej ciuchów, więcej wszystkiego. Coś ci było potrzebne? On to miał. I zawsze za swój towar dostawał więcej, niż skłonny mu byłeś dać. To wydało mi się nieuczciwe. Wszyscy w tym pudle powinni mieć mniej więcej tyle samo, lecz ta reguła z całą pewnością nie dotyczyła Tradera Vica.

– Wiem o tym. Nieraz wydawało mi się, że to jedyny jeniec w całym obozie, który nic nie stracił na wadze – odrzekł Tommy. Jego rozmówca mruknął potakująco.

– Chociaż, z drugiej strony – mówił kapitan – jego ostateczny los także odbiegał od przeciętnej.

Tommy skinął głową. Oczywiście to prawda, chociaż nadal nie mieli gwarancji, że pozostali na koniec nie będą tak samo sztywni jak Vincent Bedford. Nie powiedział tego na głos. Przecież taka myśl towarzyszyła prawie zawsze jeńcom budzącym się ze snu i z pewnością krążyła po głowach wielu ludzi. Było to jedno z obozowych kredo: nie mów o tym, co cię naprawdę przeraża, bo wówczas groźba się urzeczywistni.

– Nie żartuj – odparł Tommy. – Słuchaj, miałeś mi coś powiedzieć.

W szeregach ludzi stojących na prawo od niego rozległy się gniewne okrzyki i protesty. Tommy zrozumiał, że Niemiec znowu się pomylił. Nowojorczyk zawahał się, jakby jeszcze raz rozważając, co chce mu powiedzieć. Potem rzucił cicho wulgarne przekleństwo, znamionujące wewnętrzną walkę, jaką toczył w milczeniu

sam ze sobą i wreszcie podjął decyzję.

– Vic przed samą śmiercią dokonał kilku transakcji, które zwróciły moją uwagę – powiedział. – Nie tylko zresztą moją uwagę, do cholery; kilku facetów zauważyło, że Vic był wtedy bardzo zajęty. To znaczy jeszcze bardziej niż zazwyczaj, a przecież zwykle był zajęty bezustannie, jeżeli chwytasz, o co mi chodzi.

– Mów dalej – poprosił Tommy przyciszonym głosem.

Pilot myśliwca zachnął się, jakby to wspomnienie wprawiło go w obrzydzenie.

– Człowieku, on miał pewną rzecz, widziałem to tylko raz, ale zastanawiałem się, kto może potrzebować czegoś takiego. Pomyślałem, że to zupełnie wyjątkowa pamiątka, rozumiesz, bardzo niezwykła, bo gdyby szwaby to znalazły podczas rewizji w baraku, można by za to potężnie beknąć, więc mnie by nie przyszło do głowy, aby zorganizować sobie coś takiego, ale...

– O czym ty gadasz? – zapytał Tommy, prawdopodobnie ostrzej niż należało, choć nadal przyciszonym głosem.

Po chwilowej przerwie kapitan z Nowego Jorku odpowiedział:

– To był nóż, tyle że bardzo szczególny. Podobny do tego, który von Reiter nosi przy swoim najbardziej wymyślnym mundurze.

– Podobny do sztyletu? Wąski i długi?

– Właśnie. Taka superspecjalna pamiątka z SS. Widziałem, że na rękojeści miał trupa czaszkę. Cholernie nazistowski. Prawdziwy biały kruk. Pewnie coś takiego można było dostać wyłącznie za wyjątkowe zasługi dla Vaterlandu, kapujesz. Na przykład palenie książek, bicie kobiet i dzieci albo strzelanie do bezbronných Rosjan. Tak czy owak, to nie była zwykła pamiątka. O nie. Gdyby coś takiego znaleziono w twoich rzeczach, szkopy pewnie wsadziłyby cię do karceru na dwa tygodnie. Oni bardzo poważnie traktują takie ceremonialne przedmioty. No i w ogóle nie mają poczucia humoru.

– Gdzie to widziałeś?

– U Vica. Tylko raz. Byłem w jego pokoju, gdzie grałem w karty z jego współlokatorami. On mówił, że to na specjalne zamówienie. Nie powiedział, dla kogo, ale dał do zrozumienia, że zostanie w zamian za to coś wyjątkowego. Chyba

chodziło o bardzo duży interes. Komuś musiało strasznie zależeć na tym nożu. Vic zadołował go wraz z resztą swoich łupów i nie powiedział komu sprzeda. Nie myślałem o tym za wiele, lecz kiedy Vic został zabity nożem, jak mówili, pomyślałem sobie, że to mógł być właśnie ten nóż. Potem doszło do mnie, że narzędziem zbrodni był jakiś przedmiot domowej roboty, zmajstrowany przez Scotta. Później rozeszły się pogłoski, że to nie było tak, i znowu zacząłem myśleć o tym nożu. Nie mam pojęcia, czy to ci pomoże, czy nie, Hart, ale powinno to cię zainteresować. Szkoda, że nie wiem, kto teraz ma ten nóż. Ale on gdzieś tu jest. W tym zawszonym obozie w jakiejś dziurze siedzi honorowy sztylet SS. Ja bym się nad tym zastanowił, gdybym był na twoim miejscu. Byłoby raczej niezwykle, jeśliby Trader Vic został zamordowany tym narzędziem, które sam kupił.

– Jak myślisz, skąd on go wytrzasnął?

Oficer z Nowego Jorku roześmiał się cicho.

– Jest tylko jeden taki strażnik, Hart. Wiemy o tym obaj.

Tommy skinął głową. Fritz Numer Jeden.

Kapitan mówił dalej, a w jego głosie zabrzmiał nowy ton.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Nie wiem, czy to ważne czy nie...

– Mów dalej – ponaglił go Tommy.

– To może nic nie znaczyć. Chodzi mi o to, kto wie o tym całym gównie, kapujesz?

– O czym mianowicie?

– Pamiętasz, jak kilka tygodni temu zarwał się ten tunel idący z baraku sto dziewięć? Ten, w którym zginęło dwóch ludzi?

– Jasne, kto by zapomniał?

– No właśnie. A już na pewno pamiętają to MacNamara i Clark. Myślę, że oni liczyli na tych frajerów. Właśnie wtedy Vic był bardzo zajęty. Cholernie zajęty. Widziałem nieraz, jak się wymykał w nocy.

– A skąd o tym wiedziałeś?

Kapitan roześmiał się.

– Daj spokój, Hart. Są takie pytania, których nie należy zadawać, chyba że istnieje

po temu naprawdę ważny powód. Przyjrzyj mi się, człowieku. Ja mam nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. O mało mnie z tego powodu nie odrzucili przy wstępowaniu do lotnictwa. Dawniej byłem motorniczym w metrze. Może właśnie dlatego, że nie jestem takim wysokim, wykształconym gościem jak ty czy Scott, ktoś często wykorzystuje mnie do różnych prac. Wiesz, chodzi o taką robotę, przy której duży wzrost nie jest szczególnie korzystny, a jednocześnie człowiek nie boi się pobrudzić sobie rąk; no i bardzo ważne jest to, żeby być przyzwyczajonym do pracy pod ziemią.

– Zrozumiałem – potwierdził Tommy.

– Widzisz, tej nocy, kiedy zginęli ci dwaj faceci, ja miałem pracować z nimi. Gdyby nie to, że akurat dokuczały mi zatoki, też bym leżał pogrzebany w piachu. Obok tamtych. Dużo o tym myślę – ciągnął nowojorczyk.

– Miałeś fart.

– Tak, pewnie tak. Szczęście to śmieszna rzecz. Czasami cholernie trudno stwierdzić, kto je ma, a kto nie; kapujesz, o czym mówię? Na przykład Scott. Zapytaj go, co to znaczy szczęście. Wszyscy piloci myśliwscy wiedzą, co to takiego. Co to znaczy szczęście i pech. To wszystko, co dla człowieka przewidział los. To się wiąże z charakterem pracy.

– O czym ty mówisz?

– Słyszałem z wiarygodnego źródła, że Trader Vic mniej więcej w tym samym czasie dorwał niezwykle towar. Niektórzy jeńcy uznaliby go za ogromnie wartościowy. Na przykład szwabskie dowody tożsamości, przepustki na podróż, trochę gotówki. Rozumiesz, reichsmarki i takie tam rzeczy. Było również coś wyjątkowo interesującego: rozkład jazdy pociągów. To jest coś nadzwyczajnego, informacje niezwyklej wagi. Takie wiadomości mogą pochodzić tylko z jednego źródła, muszą przy tym dużo kosztować; niektórzy ludzie z obozu zrobiliby wszystko, żeby je dostać. Naprawdę wszystko.

– Obserwowałem, jak inni jeńcy porządkują dobytek Vica po jego śmierci, niczego takiego nie zauważyłem – wtrącił Tommy.

– Jasne, że nie. I nigdy nie zobaczysz. Bo takie rzeczy trafiają bezpośrednio do

odpowiednich ludzi. Choćby ukrył je najlepiej jak można, te dokumenty, papiery i inne gównem pozostałyby śmiertelnie niebezpieczne. Nigdy nie można mieć zupełnej pewności, czy szwab, który to wszystko przehandlował, nie pojawi się u partnera ze zgrają łapaczy i nie zorganizuje rewizji. A gdyby oni znaleźli coś z tych podejrzanych rzeczy, pewnie skonfiskowaliby wszystko, a potem wsadzili delikwenta do karceru na następne sto lat. Dlatego taki towar trzeba jak najszybciej przekazać właściwym ludziom, rozumiesz mnie? Ludzie, którzy wiedzą, do czego to wszystko wykorzystać, też potrafią szybko działać.

– Chyba kapuję, o co ci chodzi... – wtrącił Tommy, ale kapitan natychmiast mu przerwał.

– To niemożliwe, bo ja sam nie rozumiem tego do końca – powiedział. – Ci dwaj faceci giną zasypani w zawalonym tunelu, a zaraz potem Bedford otrzymuje te cenne papiery, rozkłady jazdy i wszystko, czego bardzo potrzebuje komisja do spraw ucieczek, ktokolwiek wchodzi w jej skład. To grupa anonimowych sukinsynów, jeśli chcesz znać moje zdanie. Kiedy ja kopałem, nigdy nie wiedziałem, kto to wszystko planuje. Oni dbają tylko o to, ile metrów chodnika wykopano, a ile jeszcze zostało do zrobienia. Ale wiedziałem jedno: wszyscy daliby sobie uciąć prawą rękę za te papiery...

Nowojorczyk wybuchnął śmiechem, jakby ucieszył go własny żart.

– Cholera – dodał z ożywieniem – wyglądałoby wtedy jak ten przeklęty nazista, Visser, który się tutaj szwenda i bez przerwy wbija w ciebie, Tommy, te małe oczka jak paciorki.

Hart uśmiechnął się, wyobrażając sobie opisaną sytuację.

Nowojorczyk odkaszlnął i ciągnął dalej:

– Wydaje mi się jednak, że ten cały towar nie ma teraz wartości dla ludzi planujących ucieczkę, ponieważ szwaby wrzucają całe wory cementu do tego cholernego tunelu i zalewają go. Czas też już nie ma większego znaczenia. Mam na myśli to, że tych wszystkich rzeczy oni potrzebowali przed zawaleniem się tunelu. I to na całe tygodnie wcześniej, aby fałszerze zdążyli podrobić dokumenty, krawcy mieli czas na uszycie cywilnych ubrań, a zainteresowani mogli nauczyć się na

pamięć rozkładu jazdy pociągów i poćwiczyć szwabską mowę. Ale nie później, czyli wówczas, kiedy towar znalazł się w rękach Vica. Może ty będziesz w stanie to pojąć, Hart, bo ja nie potrafię. A rozmyślałam o tym wszystkim od wielu tygodni. Strasznie mnie to prześladowuje.

Tommy przytaknął z zamyśloną miną.

– Wciąż jeszcze kopiesz? – zapytał po chwili.

Kapitan zawahał się, a potem odpalił.

– Nie powinieneś o to pytać, Hart, no i nie masz prawa spodziewać się odpowiedzi.

– Wybacz. Masz rację – odparł Tommy.

Jego rozmówca zawahał się, ale mówił dalej:

– Cholera, Tommy, nie masz pojęcia, jak bardzo chcę stąd wyjść. W niektóre dni robię się strasznie głodny. Nigdy wcześniej nie siedziałem pod kluczem i jestem całkiem pewny, że już więcej nie pozwolę się zamknąć. Kiedy wrócę na swój Manhattan, to mówię ci, będę chodził i napawał się wolnością. Człowiek pracuje pod ziemią, więc ciągle o tym myśli. Bez przerwy ma do czynienia z piachem i kurzem. Co chwilę osypuje się ziemia. Ledwie można oddychać. Prawie nic nie widać. Chłopie, to jest tak, jakbyś sobie kopał własny grób. Człowiek boi się jak wszyscy diabli.

Hugh podsłuchiwał tę rozmowę i teraz zapytał:

– Może któryś z przyjaciół Vica mógłby dostarczyć wiadomości na temat tego noża i dokumentów, które zniknęły; co o tym myślisz?

Nowojorczyk wybuchnął nieprzyjemnym, cichym śmiechem.

– Przyjaciele Vica? Przyjaciele? Człowieku, masz zupełnie fałszywe wyobrażenie – powiedział.

– O czym mówisz? – zapytał Tommy.

Pilot myśliwski zawahał się, a następnie odparł bez pośpiechu:

– Czy wy znacie tych wszystkich facetów, tych, którzy skaczą Scottowi do oczu? Sąsiadów Vica z pokoju i innych. Tych, którzy wywołują całe to zamieszanie?

– Tak, znamy ich – odpowiedział Hugh z rozgoryczeniem.

– No, oni lubią powtarzać, że są przyjaciółmi Vica. Że Vic dbał o nich i takie tam rzeczy. Ale to same bzdury, wierz mi. Stuprocentowe gówno. To jest tylko bardzo wygodne wytłumaczenie tego, co oni robią Scottowi, a czego nie zrobiłaby większość z nas, siedzących w tym obozie. Na pewno nie. Posłuchaj mnie, Hart. Trader Vic pomagał wyłącznie samemu sobie i nikomu innemu. Nie miał żadnych przyjaciół. Absolutnie żadnych. – Po chwili przerwy dodał: – Może dobrze byłoby się nad tym zastanowić.

Niemiecki adiutant, stojący przed frontem ustawionych w szyku jeńców, zawołał:

– Achtung! Bacność!

Tommy zobaczył zbliżającego się von Reitera, odbierającego saluty od strażników, którzy szczęśliwie zakończyli odliczanie. Wszyscy jeńcy obecni i odnotowani. Można zaczynać kolejny dzień życia w tym pudle. Wezwano MacNamare; obaj oficerowie rozmawiali ze sobą przez chwilę, po czym Amerykanin kazał się rozejść alianckim lotnikom. Szeregi natychmiast się rozproszyły, a Tommy błyskawicznie się odwrócił, żeby zobaczyć oficera z Nowego Jorku, lecz ten zdążył już wtopić się w tłum jeńców. Rozpoczęły się przygotowania do kolejnego obozowego dnia. Ten dzień miał być zdecydowanie odmienny od innych.

Tommy nie przeszedł dziesięciu metrów, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Odwrócił się. Machał do niego Walker Townsend. Zatrzymał się. Zrobili to również Hugh Renaday i Lincoln Scott. Kapitan z Richmond miał na twarzy swój zwykły, krzywy uśmiezek. Zsunął czapkę na tył głowy, przyjął swobodną postawę, która wydawała się mało naturalna przy silnie wiejącym wietrze.

– Co takiego, kapitanie? – zapytał Tommy.

– Witam was, chłopcy – odparł dobrodusznie Townsend. – Tak bardzo chciałbym znaleźć się w domu, w Wirginii. No popatrzcie, już prawie początek lata, a dzisiejszy poranek kojarzy się raczej z zimą. Zastanawiam się, dlaczego ludziom w ogóle chce się mieszkać w takim kraju? A jak tam u ciebie, Tommy, jesteś gotowy do rozpoczęcia naszego przedstawienia?

– Przydałoby mi się trochę więcej czasu.

– Wygląda na to, że i tak nie zasypiałeś gruszek w popiele – ciągnął Townsend. – Poza tym nie sądzę, by ktokolwiek zgodził się na odłożenie procesu. A czy teraz mógłbyś ze mną podejść do baraku sto dwadzieścia dwa, gdzie przed rozpoczęciem posiedzenia pułkownik MacNamara chciałby zamienić z tobą kilka słów?

Tommy popatrzył na szeregi baraków. Budynek numer sto dwadzieścia dwa był jednym z najbardziej oddalonych.

– Panie Renaday, może i pan pójdzie z nami.

– Powinien pójść także Scott, skoro ta rozmowa ma dotyczyć jego sprawy.

Walker Townsend robił wrażenie trochę zaskoczonego, ale natychmiast zreflektował się.

– Jasna sprawa. To brzmi rozsądnie. Panowie, nie dajmy dłużej czekać komendantowi... – powiedział.

Tommy przytaknął i we czterech ruszyli przed siebie. Po przejściu kilku kroków Hart zwolnił, dał znak dyskretnym ruchem głowy Renadayowi, który dobrze to zrozumiał, zbliżył się do prokuratora i natychmiast wdał się z nim w głośną rozmowę:

– Kapitanie, nigdy nie byłem w Wirginii. A czy pan widział Kanadę? My tam lubimy powtarzać, że kiedy Pan Bóg tworzył inne kraje, to tylko sobie trenował, a w końcu, gdy nabrał wprawy, stworzył Kanadę...

Tommy szedł za nimi, a obserwujący te manewry Lincoln Scott zbliżył się szybko.

– To spotkanie nie powinno mieć miejsca, mam rację, Hart? – zapytał.

– Tak. Miej oczy i uszy otwarte.

– A gębę trzymać na kłódkę?

Tommy przytaknął, wzruszając ramionami:

– Na ogół człowiek nie traci, jeśli trzyma karty przy orderach.

– Podejście białego człowieka, Hart. W obecnych warunkach, w mojej sytuacji to również na ogół nie pomaga, można powiedzieć. To jest dosyć skomplikowane rozróżnienie, o którym możemy sobie porozmawiać w bardziej sprzyjających

okolicznościach. Zakładając, że wyjdę z tego cało.

– Zakładając, że wszyscy przeżyjemy.

– Masz rację – roześmiał się Scott. – Niemało ludzi zginęło podczas tej wojny.

Starszy oficer amerykański przechadzający się w pobliżu drzwi baraku sto dwadzieścia dwa łąpczywie palił papierosa. Obok stał major Clark, również z papierosem. Wydechany przez nich dym mieszał się z parą wydobywającą się z ust w ten zimny poranek. Kiedy podeszli bliżej, Clark rzucił niedopałek na ziemię. MacNamara zaciągnął się ostatni raz i rozdeptał papierosa butem. Przywitali się po wojskowemu, salutując. Pułkownik spojrzał na Walkera Townsenda.

– Myślałem, że idzie pan wezwać porucznika Harta – powiedział ostrym tonem. – Tak brzmiał mój rozkaz.

Townsend chciał odpowiedzieć, ale tylko zdążył stanąć na baczność, gdy MacNamara uciszył go zdecydowanym ruchem ręki. Pułkownik zwrócił się do Lincolna Scotta i Tommy'ego Harta.

– Miałem problem z waszymi oskarżeniami – powiedział. – Implikacje kradzieży dowodu w sprawie to poważna rzecz, która mogłaby zakłócić całe zaplanowane na dziś rano posiedzenie.

– Tak jest, sir – zareplikował Tommy. – Właśnie z tego powodu odłożenie sprawy byłoby...

– Jeszcze nie skończyłem, poruczniku.

– Przepraszam, sir.

MacNamara odchrząknął.

– Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że wyciągnięcie tego przed trybunałem, w obecności całej społeczności obozowej, jak również przedstawicieli strony niemieckiej posłużyłoby tylko znacznemu zagmatwaniu całej sytuacji – oświadczył. – Związane z morderstwem, a teraz również z rozpoczynającym się procesem, napięcie w obozie jest bardzo poważne. Dowodzi tego konfrontacja wynikła z odkrycia napisu na drzwiach Scotta... Cóż, panowie, bardzo mnie to niepokoi. Bardzo.

Tommy miał wrażenie, że stojący za jego plecami Scott chciał się wtrącić, ale

powstrzymał się. Pułkownik mówił dalej.

– Poruczniku Hart, poruczniku Scott, w tej sytuacji postanowiłem zawiadomić kapitana Townsenda i zapoznać go z postawionymi przez was zarzutami; on z kolei poinformował mnie, że żaden członek sztabu oskarżenia ani też żaden świadek, jakiego ma on zamiar powołać nie był w żaden sposób zaangażowany w ową rzekomą kradzież.

– Tommy, ja po prostu sądziłem, że zbierasz drewno na opał, i tyle... – powiedział szybko Townsend; przerwał pułkownikowi, lecz nie otrzymał reprimendy. – Nie miałem pojęcia, że to ma coś wspólnego z tą sprawą.

Tommy szybko zrobił zwrot w jego stronę.

– Akurat, nie miałeś pojęcia! – wypalił. – Śledziłeś mnie przez cały czas, przyglądałeś się, kiedy obserwowałem tę deskę. Doskonale wiedziałeś, co robię. I bardzo troszczyłeś się o to, aby i Visser to zauważył...

– Proszę ciszej, poruczniku! – wtrącił Clark.

Townsend zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic z tych rzeczy – powiedział.

Tommy zwrócił się do MacNamary.

– Sir, wnoszę sprzeciw...

Pułkownik nie pozwolił mu dokończyć.

– Przyjmuję do wiadomości pański sprzeciw – powiedział. – Jednakże...

Przerwał i przez chwilę przyglądał się Scottowi, po czym znowu przeniósł wzrok na Tommy'ego i przemówił z namaszczeniem tak wielkim, że nawet zimny wiatr wydawał się spokojniejszy

– Zdecydowałem zamknąć sprawę tej pochłapanej krwią deski. Jeżeli w ogóle istniała, to przypuszczalnie ktoś niezaangażowany w tę sprawę uznał ją za zwyczajne drewno opałowe i bez złej woli spalił, nieświadomy jej znaczenia. Podkreślam, jeżeli ona w ogóle istniała, o czym nie świadczą jakiegokolwiek przekonujące dowody. Panie Hart, podczas procesu może się pan uciekać do dowolnej argumentacji, nie wolno jednak wspominać o tym rzekomym dowodzie bez powołania się na inne, niezależne argumenty wspierające taką tezę. Prywatnie gotowi jesteśmy wysłuchać wszelkich

uwag na ten temat, dowiedzieć się, czego ta deska mogłaby pańskim zdaniem dowodzić, ale to nie może się odbywać w obecności Niemców! Czy wyrażam się jasno?

– Pułkownik MacNamara, to jest decyzja niesłuszna i niesprawiedliwa. Protestuję...

– Ten pański protest również przyjmuję do wiadomości, poruczniku.

Scott aż się zagotował, rozjuszony tak brutalnym oddaleniem ich roszczeń. Wystąpił do przodu z zaciśniętymi pięściami, gotów wybuchnąć, ale komendant spiorunował go wzrokiem.

– Poruczniku Scott – powiedział lodowatym tonem MacNamara – trzymajcie gębę na kłódkę. To mój rozkaz. W pana imieniu wypowiada się pański obrońca, a dalsza dyskusja pogorszy tylko pańską sytuację.

Lincoln uniósł brwi.

– Pogorszy? – zapytał łagodnie, powstrzymując wściekłość, jakby ją pętał wewnętrznymi kajdanami.

Po tym pytaniu zapadła nagła cisza. Nikt mu nie udzielił odpowiedzi.

MacNamara w dalszym ciągu patrzył zimnym wzrokiem na trzech mężczyzn reprezentujących obronę. Po kilku sekundach powoli uniósł dłoń do daszka czapki, jakby specjalnie chciał podkreślić, że jest bardzo rozgniewany.

– Wszyscy jesteście wolni do godziny ósmej zero zero – oznajmił, patrząc na zegarek. – To znaczy macie pięćdziesiąt dziewięć minut.

MacNamara i Clark odwrócili się i weszli do baraku. Townsend także chciał się zmyć, ale Tommy chwycił go za rękaw. Kapitan odwrócił się niczym żaglówka, która złapała silny podmuch wiatru i spojrzął na Harta. Tommy rzucił mu w twarz tylko jedno słowo:

– Kłamca!

Kapitan otworzył usta, lecz rozmyślił się i zrezygnował z riposty. Odwrócił się i szybko odszedł. Pozostali sami.

Scott patrzył za oddalającym się Townsendem, odetchnął głęboko i oparł się o ścianę baraku. Sięgnął do kieszeni lotniczej kurtki i wyjął napoczętą tabliczkę

czekolady. Odłamał trzy małe kawałki i wręczył po jednym Tommy'emu i Hugh, zostawiając sobie najmniejszą porcję. Schowani przed wiatrem pod ścianą budynku, żuli czekoladę Hersheya, która powoli roztapiała się im w ustach. Czekali, aż słodycz pobudzi gruczoły smakowe.

Tommy pozwolił, by czekolada zmieniała się w miękką papkę i dopiero wtedy ją przełknął.

– Dzięki – powiedział do Scotta.

Ten uśmiechnął się.

– To spotkanie było naprawdę gorzkie, więc pomyślałem, że przyda się coś na osłodę naszej egzystencji, a pod ręką miałem akurat czekoladę.

Wszyscy roześmiali się z dowcipu.

– Zaryzykuję twierdzenie, chłopcy, że raczej nie powinniśmy oczekiwać podczas tej sprawy zbyt wielu rozstrzygnięć na naszą korzyść – oświadczył Renaday.

Scott pokiwał głową.

– Ale on jeszcze rzuci nam parę ochłapów, prawda, Hart? Może nie najcenniejszych, takich z mięsem na wierzchu, tylko mniejszych i mniej apetycznych. Chce przecież, aby wszystko wyglądało uczciwie. Co ja już dawno powiedziałem? Lincz, tyle że uczciwy – powiedział, wzdychając. – Do diabła, to było śmieszne. A może nawet nie tyle śmieszne, ile zabawne. Szkoda tylko, że przydarza się mnie.

Pokiwał smętnie głową. Tommy przytaknął.

– Jednak czegoś się dowiedziałem – powiedział. – Czegoś, o czym wcześniej nie pomyślałem. Nie zauważyłeś tego, Scott?

Czarnoskóry pilot przełknął ślinę i spojrzał na Harta pytającym wzrokiem.

– Mów dalej, mecenasie – ponaglił go. – Co miałem zauważyć?

– MacNamara był poważnie przejęty tym, jak to będzie wyglądało w oczach Niemców, zgadza się? Zwróćcie uwagę: stoimy tu, ukryci przed ludźmi z obozu, a on mówi, że nie wolno dopuścić, aby szwaby coś zauważyły. A szczególnie coś takiego, co mogłoby wskazywać, że Trader Vic został zabity w jakimś innym miejscu niż ten Abort. Dla mnie jest to obserwacja interesująca, bo kiedy się

człowiek dokładniej zastanowi, nasuwa się podejrzenie, że oni naprawdę chcą pokazać tym cholernym nazistom, jak my i dogłębnie przestrzegamy zasady uczciwości w naszych procesach i że w żadnych warunkach nie jest inaczej.

– Innymi słowy – powiedział powoli Scott – uważasz, że to jest element spektaklu?

– Właśnie. Tylko to przedstawienie powinno mieć inny scenariusz. Bo to, co widać, wcale nie jest tym, co widać.

– Cóż, jeżeli nawet tak jest, to co dobrego wynika z tego dla mnie?

– To jest pytanie za pięćdziesiąt punktów, co? – odrzekł Tommy po chwili milczenia.

Scott przytaknął i zamyślił się głęboko.

– Chyba dowiedziałem się jeszcze czegoś – dodał. – Ale, niestety, nie mamy dość czasu, żeby coś z tym zrobić.

– Co takiego? – zapytał Renaday.

Lincoln spojrzał na niego.

– Wiecie, czego ja nie znoszę w tutejszej pogodzie? – zapytał retorycznie i zaraz sam sobie odpowiedział: – Że w pewnej chwili pokazuje się słońce, można zdjąć koszulę, poczuć ciepło i mieć jakąś nadzieję, a potem budzisz się następnego dnia i widzisz, że wróciła zima, z burzowymi chmurami i silnym wiatrem.

Westchnął, wyciągnął czekoladę i ułamał jeszcze po kawałku dla wszystkich.

– Może niedługo już nie będę mógł z tego korzystać – mruknął i zwrócił się do Hugh. – Jednak podczas tego krótkiego spotkania dowiedziałem się czegoś, co powinniśmy założyć na samym początku. Że główny prokurator ma zamiar skłamać przed komendantem na temat tego, czego był świadkiem. Teraz należałoby się zastanowić, jakie następne kłamstwo planuje.

Ta obserwacja zaskoczyła Tommy'ego. Jednak po chwili zastanowienia uznał jej zasadność. Ostrzegł sam siebie: gdzieś tutaj tkwi kłamstwo. Nie wiedział jednak gdzie. Ale to wcale nie oznacza, że nie należy się przygotować.

Popatrzył na zegarek.

– Powinniśmy już iść – powiedział.

– Wolałbym się nie spóźnić – dodał Scott. – Mimo że wcale nie jestem pewien, czy pokazywanie się tam jest dobrym pomysłem.

Hugh uśmiechnął się i pomachał w kierunku najbliższej wieży strażniczej. Dwaj zziębnięci wartownicy stali na środku podestu, wystawieni na podmuchy wiatru.

– Wiesz, Tommy, co powinniśmy zrobić? Poczekać, aż wszyscy zbiorą się na procesie, a potem wyjść przez bramę tak, jak to próbowali zrobić Brytyjczycy. Może nikt by nie zwrócił uwagi.

Scott roześmiał się.

– Pewnie nie uszlibyśmy zbyt daleko. Mam poważne wątpliwości, czy teraz chodzi po Niemczech piechotą wielu Murzynów. I chyba nie włączyliby nas do żadnego przemyślnego planu nazistowskiego. W tej sytuacji wychodzenie z obozu i ucieczka przez prowincję mogłoby się dla mnie okazać nieco niebezpiecznym zajęciem – powiedział, nie przestając się uśmiechać z rozbawieniem. – Czy to nie jest cholerny pech? Zastanówcie się. Ja zapewne jestem jedynym człowiekiem w Stalagu Luft 13, którego szkopy w ogóle nie muszą pilnować. Jakim cudem mógłbym się schować? Niełatwo byłoby mi wmieszać się w miejscowych, żeby nikt mnie nie zauważył, co? Choćbym się nie wiadomo jak ubrał i miał najlepiej podrobione dokumenty, chyba ciągle bym trochę od nich odstawał.

Odepchnął się od ściany, nie przestając się uśmiechać.

– Czas iść, mecenasie – powiedział.

Tommy przytaknął. Spojrzał na Scotta i pomyślał, że takiego człowieka dobrze byłoby mieć koło siebie w każdej uczciwej walce. Przez moment zastanawiał się, jak potraktowałby go dawny kapitan Harta, pochodzący z zachodniego Teksasu. Nie miał pojęcia, czy ten ostatni żywił jakieś uprzedzenia rasowe czy nie, był jednak przekonany, że kapitan potrafił należycie ocenić wiarygodność człowieka, jego opanowanie w trudnym położeniu. Z tego też powodu Lincoln Scott zyskałby jego podziw. Tommy powątpiewał, czy sam byłby w stanie zachowywać się tak spokojnie, gdyby to jemu przydarzyło się to, co Scottowi. Tyle że w jednym punkcie Lincoln miał absolutną rację: nie mogliby się zamienić miejscami.

Jeńcy wypełnili szczelnie każdy kącik budynku teatralnego, zajęli wszystkie miejsca siedzące i tłoczyli się w przejściach. Tak jak wcześniej, grupy mężczyzn otoczyły wianuszkami z zewnątrz okna, zaglądając do środka, aby widzieć i słyszeć, co się dzieje wewnątrz. Powiększyła się reprezentacja strony niemieckiej – na skraju tłumy jeńców stali strażnicy, a przy drzwiach frontowych znajdował się oddział uzbrojonych żołnierzy w hełmach. Niemcy robili wrażenie tak samo zaintrygowanych jak ich więźniowie, chociaż ze względu na odmienność języka i obyczaju trudniej im było zrozumieć, co się dzieje. Mimo to możliwość oderwania się od szarej, obozowej rutyny okazała się pociągająca dla wszystkich, więc żaden ze strażników nie robił wrażenia rozczarowanego taką służbą.

Za głównym stołem zasiadł pułkownik MacNamara, po bokach miał dwóch innych oficerów, mianowanych członkami trybunału. Visser i towarzyszący mu stenograf zajęli miejsca tam, gdzie poprzednim razem. Na środku postawiono krzesło z twardym oparciem – miejsce dla wzywanych świadków. Ustawiono też stoły i krzesła dla obrony i oskarżenia, tyle że tym razem Walker Townsend zajął główne miejsce w swojej ekipie, a major Clark usiadł z boku.

Punktualnie o ósmej zero zero Tommy Hart, Lincoln Scott i Hugh Renaday, znowu naśladując ustawienie trzech myśliwców w szyku, szybkim krokiem weszli na salę przez otwarte drzwi i ruszyli przejściem między siedzeniami; lotnicze buty uderzały o drewnianą podłogę z szybkością karabinu maszynowego. Znajdujący się na ich drodze jeńcy pospiesznie usuwali się, by zrobić im miejsce, a kiedy cała trójka przeszła, wracali na dawne pozycje.

Oskarżony i jego dwaj obrońcy bez słowa zajęli przeznaczone dla nich miejsca. Pułkownik MacNamara poczekał, aż ludzie usiądą i zapadnie cisza. Po kilku sekundach wszelkie hałasy ustały. Tommy rzucił okiem na Vissera; zauważył, że stenograf pochylił się do przodu z piórem zawieszonym nad notatnikiem, Hauptmann zaś znowu kiwał się na krześle ustawionym na dwóch nogach, popisując się nonszalancją, mimo napiętej atmosfery w prowizorycznej sali sądowej.

Rozległ się donośny głos MacNamary.

– Zebraliśmy się dzisiaj w tym miejscu zgodnie z postanowieniami Wojskowego

Kodeksu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, aby rozsądzić sprawę, w której stronami są Armia Stanów Zjednoczonych oraz porucznik Lincoln Scott, który został oskarżony o zamordowanie z premedytacją kapitana Armii Stanów Zjednoczonych, Vincenta Bedforda w czasie, gdy obaj byli jeńcami wojennymi, przebywającymi pod jurysdykcją dowództwa niemieckiej Luftwaffe na terenie tutejszego Stalagu Luft 13...

Pułkownik przerwał i popatrzył zebranych.

– Obecnie rozpoczniemy... – podjął wątek, ale przerwał mu Tommy, podnosząc się z miejsca.

– Zgłaszam sprzeciw – oznajmił zdecydowanym tonem.

MacNamara popatrzył na niego, mrużąc powieki.

– Ponownie zgłaszam sprzeciw wobec podjęcia decyzji o otwarciu posiedzenia. Ponawiam żądanie zagwarantowania mi dodatkowego czasu na przygotowanie obrony. Znajduję się w gorszej sytuacji, Wysoki Sądzie, z racji pośpiechu, z jakim postanowiono przeprowadzić ten proces. Nawet nieznaczna zwłoka pozwoliłaby mi na bardziej skrupulatne przeanalizowanie faktów oraz dowodów...

– Nie będzie żadnej zwłoki – przerwał mu zimno MacNamara. – Ten temat został już omówiony, panie Hart.

– Przyjmuję to, Wysoki Sądzie – odparł Tommy i usiadł.

MacNamara odkaszlnął, a kiedy w sali zapadła cisza, mówił dalej.

– Teraz wysłuchamy wystąpień początkowych...

Tommy ponownie zerwał się z miejsca; odsunął krzesło i stanął, przysuwając do siebie obcasy. MacNamara obrzucił go nieprzychylnym wzrokiem.

– Sprzeciw? – zapytał.

– Tak jest, Wysoki Sądzie – brzmiała odpowiedź. – Ponownie zgłaszam sprzeciw przeciwko rozpoczynaniu tego procesu, ponieważ zgodnie z postanowieniami prawa wojennego Stanów Zjednoczonych porucznik Scott ma prawo być reprezentowany przez pełnoprawnego członka palestry. Wysoki Sąd doskonale się orientuje, że ja takiej pozycji dotychczas nie osiągnąłem, podczas gdy mój szanowny przeciwnik – w tym miejscu Tommy wskazał ręką Walkera Townsenda – spełnia ten warunek.

Taka sytuacja powoduje, że wytwarza się nierówny układ, gdzie strona oskarżająca ma nieuzasadnioną przewagę w postaci doświadczenia i lepszej orientacji. Wnoszę zatem o odłożenie niniejszego procesu do czasu, gdy porucznik Scott będzie miał możliwość skorzystania z pomocy w pełni wykwalifikowanego obrońcy, który w całej rozciągłości poinformuje go o przysługujących mu prawach i taktyce pozwalającej odeprzeć te bezpodstawne oskarżenia.

MacNamara wciąż patrzył na Tommy'ego, który powiedział swoje i usiadł.

Lincon Scott szepnął do niego rozbawionym głosem.

– To mi się podobało, Hart. Bardzo mi się podobało. Oczywiście nic nam to nie da, ale to było bardzo dobre. A tak nawiasem mówiąc, co mógłbym chcieć od innego prawnika?

Wstał siedzący na prawo od nich Townsend. MacNamara skinął głową, pozwalając mu mówić. W sali zabrzmiały słowa prokuratora, mówiącego swobodnie, z lekkim akcentem.

– Propozycja mojego kolegi nie jest pozbawiona podstaw, Wysoki Sądzie, chociaż należałoby podkreślić, że porucznik Hart zaprezentował w tej sali już swoje umiejętności. Poza tym jestem przekonany, sir, że podczas przygotowywania linii obrony nasi przeciwnicy przez dłuższy czas korzystali z pomocy starszego oficera brytyjskiego, który jest znanym w swoim kraju adwokatem, w pełni obeznanym z różnymi elementami postępowania w sprawach kryminalnych...

Tommy podniósł się szybko, nie pozwalając prokuratorowi dokończyć.

– I który został zabrany z obozu przez władze niemieckie! – wtrącił, po czym odwrócił się do Vissera: – A w dodatku pewnie zamordowany!

To słowo wywołało zamieszanie wśród zgromadzonych jeńców. W sali słychać było coraz głośniejsze rozmowy i okrzyki. Visser nie zareagował; bez pośpiechu sięgnął swą jedyną ręką po długiego, brązowego papierosa i zapalił go, manipulując ostrożnie paczką i zapalniczką.

– Nie ma na to żadnych dowodów! – zareplikował Townsend lekko podniesionym głosem.

– Rzeczywiście – dodał pułkownik MacNamara. – Ponadto Niemcy dali nam

zapewnienie...

– Zapewnienie, sir? – przerwał mu Tommy. – Jakie zapewnienie?

– Władze niemieckie zapewniły nas, że podpułkownik Pryce zostanie repatriowany w bezpieczny sposób – oznajmił twardo MacNamara.

Tommy poczuł, że ogarnia go zimna furia. Przez chwilę oburzenie przesłoniło mu wzrok. Nie istniał przecież żaden powód, aby starszy oficer amerykański ze Stalagu Luft 13 wiedział cokolwiek na temat usunięcia Phillipa Pryce'a z obozu. Pryce podlegał jurysdykcji brytyjskiej oraz brytyjskiej komendzie. Fakt, że MacNamara otrzymał jakiegokolwiek zapewnienie, dowodził tylko zaangażowania Amerykanów w jego wyjazd. To zaskoczyło Harta, choć nic po sobie nie pokazał; starał się szybko ocenić, co to właściwie oznacza. Ponieważ nie miał zbyt wiele czasu na refleksję, wypalił:

– To są nasi zaprzysięgli wrogowie, sir, i w tym kontekście należy patrzeć na gwarancje, jakich panu udzielili.

Przerwał na moment, po czym zadał pytanie:

– Dlaczego zakładać, że oni nie kłamią? Szczególnie, jeżeli chodzi o zatajenie zbrodni.

MacNamara znowu spiorunował Tommy'ego spojrzeniem. Kilkakrotnie uderzył w stół młotkiem, mimo że zgromadzeni w sali sądowej jeńcy zdążyli się już uciszyć. Uderzenia odbijały się słabym echem.

– Pamiętam o tym, poruczniku i nie ma powodu, aby pan mi o tym przypominał. Nie będzie żadnej zwłoki! – zagrzemiał. – Przechodzimy do wstępnych oświadczeń!

Po tych słowach skinął na Walkera Townsenda.

– Czy jest pan gotów, kapitanie?

Townsend przytaknął.

– A zatem proszę! I to bez dalszych prób przerywania, poruczniku Hart!

Tommy otworzył usta, jak gdyby chciał coś dodać, chociaż w rzeczywistości nie miał nic do powiedzenia. Uzyskał już to, na czym mu zależało, to znaczy zwrócił uwagę wszystkich na fakt, że niezależnie od indywidualnych poglądów na sprawę, doprowadzenie do skazania Scotta nie będzie proste. Ciągle jednak był pod

wrażeniem tego, co tu usłyszał. Spojrzał przelotnie na Townsenda, który wyglądał na lekko spłoszonego pierwszymi salwami obrońcy. Ale kapitan był doświadczonym prawnikiem i równie wytrawnym wojskowym; wziął się w garść w ciągu kilku sekund. Wyszedł na środek sali i stanął przed trybunałem. Już miał rozpocząć przemowę, kiedy w ostatnich rzędach powstał jakiś tumult. Kątem oka Tommy dostrzegł, jak Visser z hukiem stawia krzesło na czterech nogach i wstaje. Stenograf natychmiast poderwał się, stając na baczność. Podnieśli się również MacNamara i pozostali członkowie zespołu sędziowskiego. Tommy chwycił za rękaw Scotta i pociągnął go w górę. Podnosząc się z miejsca, usłyszeli odgłos kroków w przejściu. Kiedy się odwrócili, zauważyli zbliżającego się do podium komendanta von Reitera. Jak zawsze, towarzyszyli mu dwaj adiutanci.

Pierwszy zabrał głos MacNamara.

– Panie komendancie – powiedział. – Nie zdawałem sobie sprawy, że zamierza pan wziąć udział w dzisiejszym posiedzeniu sądu.

Von Reiter spojrział przelotnie na Vissera, który natychmiast przybrał groźną minę, a potem odpowiedział, machając ręką, jakby bagatelizował to zdarzenie.

– Ależ, pułkowniku MacNamara – powiedział – mam przecież okazję przyjrzeć się sławnemu amerykańskiemu systemowi wymiaru sprawiedliwości, co jest wielką rzadkością! Moje obowiązki nie pozwalają mi, niestety, na uczestniczenie w całym procesie, z radością jednak przyjdę tu, ilekroć będę sobie mógł na to pozwolić. To chyba żaden problem?

MacNamara pozwolił sobie na dyskretny uśmiech.

– Oczywiście, Herr Oberst. Zawsze będzie pan mile widziany. Szkoda tylko, że nie przygotowałem miejsca dla pana.

– Chętnie postoję – odrzekł von Reiter. – Proszę przy tym pamiętać, że oficjalnym obserwatorem z ramienia Rzeszy jest Hauptmann Visser, delegowany przez najwyższe dowództwo Luftwaffe. Moja obecność tutaj jest jedynie, jakby to ująć, kierowana wolą zaspokojenia osobistego zainteresowania poruszonymi sprawami. Proszę kontynuować.

Oberst uśmiechnął się i stanął pod ścianą. Jeńcy szybko usunęli się, robiąc mu

miejsce. Stłoczyli się, żeby tylko uniknąć bezpośredniego kontaktu z niemieckim komendantem, jakby jego staroświeckie, arystokratyczne maniery były dla nich, żołnierzy demokratycznej armii obywatelskiej, jakąś zaraźliwą chorobą. Von Reiter zauważył te manewry i przyglądał się im z rozbawioną miną.

MacNamara usiadł na swoim miejscu i zachęcił do zajęcia miejsc pozostałych. Następnie dał znak Walkerowi Townsendowi.

– Miał pan zacząć, kapitanie...

– Tak jest, sir. Będę mówił krótko, Wysoki Sądzie. Oskarżenie ma zamiar wykazać, że porucznik Lincoln Scott i kapitan Vincent Bedford żywili do siebie swoistą niechęć o podłożu rasowym od momentu przybycia pierwszego z wymienionych do tutejszego obozu. Niechęć ta uwidoczniła się podczas licznych incydentów, w tym przynajmniej jednej walki, do której doszło, gdy kapitan Bedford oskarżył porucznika Scotta o kradzież. W tej sprawie będzie zeznawało wielu świadków. Oskarżyciele są przekonani, że pan Scott, obawiając się o swoje życie w następstwie gróźb rzuconych przez kapitana Bedforda, przygotował oręż, zaczął się na Bedforda, a w końcu doszło między nimi do konfrontacji w okolicy Abortu znajdującego się pomiędzy barakami sto jeden i sto dwa. Nastąpiło to w czasie, kiedy wszyscy jeńcy mają obowiązek przebywać w swoich kwaterach. Wywiązała się walka, w czasie której zginął kapitan Bedford. Później zwłoki tego ostatniego zostały przeniesione do Abortu i tam pozostawione. Dowody wykażą, że porucznik Scott miał zarówno wolę, jak i środki umożliwiające popełnienie tego morderstwa, Wysoki Sądzie. Dowody, które zaprezentuje oskarżenie, nie pozostawiają wątpliwości. Z przykrością muszę stwierdzić, że zaistniałe wydarzenia nie pozwalają na wyciągnięcie innych wniosków.

Walker Townsend postarał się, aby to ostatnie zdanie zabrzmiało szczególnie donośnie. Spojrzał na von Reitera, później na MacNamarę i wreszcie usiadł.

Pułkownik skinął głową i spojrzał na Tommy'ego Harta.

– Proszę, panie Hart, niech pan wygłosi wstępne oświadczenie.

Tommy podniósł się. Czuł, jak słowa zaczynają się układać w jego wyobraźni. W gardle dławili go gniew i oburzenie. Odetchnął głęboko, zyskując sekundę na

zebranie myśli i powściągnięcie emocji.

– Wysoki Sądzie – powiedział z dyskretnym uśmiechem – w tej sprawie obrona rezerwuje sobie prawo przedstawienia wstępnego oświadczenia po zakończeniu prezentacji stanowiska oskarżenia.

MacNamara przyglądał mu się uważnie.

– To niezwykle stanowisko – powiedział. – Nie mam pewności...

– Prawo wojskowe przyznaje nam absolutną możliwość odłożenia tego doświadczenia – poinformował szybko Tommy, chociaż nie był wcale pewny swojej racji. – Nie mamy obowiązku zapoznawać prokuratury z naszą linią obrony, dopóki nie nadejdzie nasza kolej.

MacNamara wahał się przez chwilę, ale w końcu wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy, poruczniku. A zatem teraz wysłuchamy pierwszych świadków.

Stojący na lewo od niego komendant von Reiter zrobił krok do przodu. MacNamara popatrzył na niego, a uśmiechający się bez przerwy niemiecki pułkownik zapytał:

– Czy mam rozumieć, że porucznik Hart uzyskał pozwolenie na wstrzymanie się z wygłoszeniem mowy otwarcia? Że może poczekać z tym do bardziej stosownej ze swojego punktu widzenia chwili?

– Właśnie tak, Herr Oberst – odparł MacNamara.

Von Reiter roześmiał się sucho.

– To bardzo sprytne – powiedział z lekkim ukłonem w kierunku Tommy'ego. – Ja jednak żałuję, ponieważ chciałem usłyszeć przede wszystkim wystąpienie obrońcy. A zatem, pułkowniku, za pańskim pozwoleniem powrócę tu później, ponieważ dokładnie znam zarzuty oskarżycieli wobec porucznika Scotta. Znacznie bardziej interesują mnie odpowiedzi przygotowane przez porucznika Harta.

Niemiecki oficer podniósł dwa palce do daszka czapki, co miało sugerować salut.

– Za pańskim pozwoleniem, pułkowniku... – dorzucił.

– Naturalnie, panie komendancie.

– Hauptmann Visser, pozostawiam tę sprawę w pańskich rękach.

Hauptmann głośno stuknął obcasami.

Von Reiter opuścił salę, za nim ruszyli dwaj adiutanci, przypominający wierne psy. Ich odejście obserwowali zgromadzeni w budynku jeńcy. Kiedy odgłos kroków ucichł, MacNamara ryknął donośnie.

– Wezwać pierwszego świadka!

Tommy patrzył na wstającego Townsenda i pomyślał w duchu, że przed chwilą był świadkiem prawie teatralnego przedstawienia. Widział scenę doskonale odegraną przez mistrzów, używających jednak dziwnego i trudnego do rozszyfrowania języka. I chociaż rozumiał poszczególne kwestie, jednak znaczenie całości gdzieś mu umknęło. Pomyślał, że to bardzo dziwna sytuacja.

Ukrył fakt, że znowu coś go zaskoczyło i postanowił zastanowić się nad tym później. Teraz musiał się skoncentrować na pierwszym świadku oskarżenia.

12. Pierwsze kłamstwo

Przez cały dzień oskarżenie konsekwentnie utrzymywało swoje stanowisko w sprawie przeciwko Lincolnowi Scottowi, a sytuacja rozwijała się w sposób oczekiwany przez Tommy'ego. W zeznaniach kolejnych świadków ujawniała się oczywisty sposób rasistowska postawa Bedforda, jego kąśliwe uwagi, urągania oraz utrzymujące się na głębokim Południu uprzedzenia. Z drugiej strony rysował się wyraźnie portret Scotta jako człowieka samotnego, izolowanego, sprowokowanego do działania ze skutkiem śmiertelnym przez nieustanne drwiny Tradera Vica.

Problem leżał w tym, że nazwanie kogoś czarnuchem nie jest przestępstwem. Również w stosunku do człowieka, który wielokrotnie narażał życie w obronie samolotów obsadzonych przez białe załogi, chociaż takie określenie powinno zostać uznane za niedozwolone. Przestępstwem było natomiast morderstwo. Trybunał, obserwatorzy niemieccy i zgromadzeni jeńcy stalagu przez cały dzień słuchali z ust świadków wyłącznie o tym, że oskarżony miał oczywiste powody, by w desperacji dopuścić się zabójstwa.

Wynikała z tego szalona, lecz śmiertelnie niebezpieczna konstrukcja: Trader Vic był bezmyślnym draniem, natomiast Scott nie zdobył się na to, aby go zignorować albo zlekceważyć jego obelgi. No więc zabił południowca, zanim Bedford znalazł okazję do przekształcenia wściekłej nienawiści w działanie. Teraz Scott powinien zostać skazany na śmierć za to, że zdecydował się na akcję wyprzedzającą. Tommy zastanawiał się, czy taka linia rozumowania nie jest przypadkiem odmianą spisku, jaki wcześniej obserwowano w dawno zapomnianych procesach, toczących się w dziesiątkach sal sądowych Florydy, Georgii, Południowej i Północnej Karoliny, a potem dalej na zachód, w Tennessee, Arkansas, Missisipi i Alabamie. Wszędzie tam, gdzie do dziś dnia powiewa sztandar Konfederacji, zwany Stars and Bars.

Fakt, że wydarzenia te rozgrywały się w bawarskim lesie, był jego zdaniem równie oburzający i niewytłumaczalny jak wszystko, co się tutaj działo.

Siedział za stołem obrony, czekając, aż następny świadek przejdzie przez całą salę

i zajmie przeznaczone dla niego miejsce.

Posiedzenie trwało do późnego popołudnia. Tommy robił notatki na cennych skrawkach papieru, starając się przygotować do późniejszego przesłuchiwania świadków. Zastanawiał się, jak bardzo przekonująca jest metoda prezentowana przez oskarżenie. Scott został złapany w okrutną pułapkę: niezależnie od tego, jak oburzające czy też złośliwe było podejście Tradera Vica do lotnika z Tuskegee, nie wpływało to na usprawiedliwienie rzekomo przez niego dokonanego zabójstwa. W dalszej perspektywie takie przekonanie podsycalo ukryte obawy wielu białych żołnierzy korpusu lotniczego, że Lincoln Scott stanowi zagrożenie dla nich, ich przyszłości, a nawet życia. A wszystko dlatego, że nikogo nie przeprosza za kolor swojej skóry. Inteligentny Lincoln Scott, o atletycznej budowie i aroganckim sposobie bycia zmienił się we wroga gorszego niż niemieccy żołnierze na wieżach strażniczych. Tommy zdawał sobie sprawę, że taka transformacja stała się fundamentalnym założeniem oskarżenia, a on nie wie, w jaki sposób rozwalić tę konstrukcję. Musi coś zrobić, żeby lotnicy uznali Scotta za jednego ze swoich. Za zwyczajnego jeńca, cierpiącego tak samo jak pozostali i przeżywającego identyczne obawy. Człowieka samotnego, przygnębionego, zastanawiającego się, czy kiedyś zobaczy jeszcze własny dom, tak samo jak inni mężczyźni w obozie jenieckim.

Tommy zdawał sobie sprawę, że kiedy posadzi Lincolna na miejscu dla świadków, ten pozostanie sobą: człowiekiem ostrym jak brzytwa, muskularnym, zdeterminowanym, bezkompromisowym i twardym. Z całą pewnością nie będzie chciał się zaprezentować jako istota bardziej wrażliwa od reszty jeńców czy jakiegoś szpiega schwytanego przez gestapo. Istniała też niewielka szansa, by którykolwiek ze słuchaczy, zagląających przez okna do sali sądowej zrozumiał, że wszyscy ludzie przetrzymywani w Stalagu Luft 13 są podobni do siebie, mimo różnic, jakie ich dzielą. Żaden nie jest lepszy od pozostałych, ale żaden nie jest również od nich gorszy.

Mimo wszystko dostrzegał pewne możliwości działania. Po pierwsze, miał zamiar otrzymać od każdego ze świadków potwierdzenie, że Scott nigdy nie prowokował starć z Vincentem Bedfordem. Zamierzał także doprowadzić zeznających do

oświadczenia, że Lincoln nie miał nic godnego uwagi ani zazdrości. Żadnego zapasu jedzenia, żadnych specjalnych przywilejów. Nic, co powodowałoby, że żyje mu się lepiej niż pozostałym. Przeciwnie – przez nastawienie Bedforda jego życie stało się znacznie bardziej żałosne.

Doprowadzenie do tego rodzaju konkluzji mogło okazać się pomocne, lecz nie wystarczało do podważenia tezy oskarżenia. Współczucie niewątpliwie istniało – Tommy o tym wiedział. Ale współczucie to żadna obrona, szczególnie gdy chodzi o człowieka niewinnego. Przeciwnie, podobne uczucie mogło wręcz pogorszyć sytuację. Każdy więzień tego obozu zastanawiał się kiedyś, gdzie przebiega granica jego wytrzymałości. W którym momencie strach i przeżywane dzień w dzień upokorzenia przeważą nad opanowaniem i samokontrolą. Wszyscy zdawali sobie sprawę z takiego zagrożenia, zwłaszcza gdy patrzyli na ludzi, którzy dostawali kręćka i starali się wyrwać przez druty ogrodzenia. Przy odrobinie szczęścia lądowali w karczerze, a jeżeli go nie mieli, trafiali na cmentarzyk koło baraku sto trzystaście. Oskarżyciele powoli zmierzali do wniosku, że Scott doszedł do momentu takiego przesilenia.

Pułkownik MacNamara właśnie odbierał przysięgę od świadka. Ten ostatni podniósł rękę i zaprzysiągł mówić prawdę, tak jak zrobiłby to w prawdziwym sądzie. Tommy pomyślał, że pułkownik z prawdziwą pedanterią przestrzega szczegółów i pozorów autentyczności. Zależy mu, aby proces robił wrażenie prawdziwej rozprawy, ze wszystkimi szykanami, a nie jakiegoś obozowego przedstawienia.

– Proszę podać nazwisko do protokołu – zagrzmiął MacNamara, tak jakby w ogóle istniał jakiś oficjalny protokół. Świadek siedział na krześle wyprostowany, czekając, aż podejdzie do niego Walker Townsend. Był to jeden ze współlokatorów Vica, porucznik Murphy ze Springfield w stanie Massachusetts, uczestnik konfrontacji z Tommym na korytarzu baraku. Należał do ludzi, którzy w ostatnich tygodniach przysparzali najwięcej kłopotów. Delikatnej budowy, niewiele po dwudziestce, z młodzieńczymi piegami na policzkach, miał płomiennie rude włosy, a kiedy się uśmiechał, starał się ukryć brak zęba.

Tommy prześledził swoje zapiski. Nazwisko Murphy'ego zostało zapisane w

środkowej części listy świadków Townsenda, ale prokurator postanowił go przesłuchać wcześniej. Z notatek wynikało, że Murphy będzie mówił o groźbach i animozjach dzielących denata i oskarżonego, nic jednak nie wskazywało, by świadek darzył szczególną sympatią Bedforda. Tak przynajmniej wynikało z zapisków Harta. Murphy również widział go niosącego poplamioną krwią deskę, ale przypuszczał, że zapytany o to porucznik skłamię.

– To będzie ostatni świadek przesłuchany w tym dniu – oświadczył MacNamara.
– Czy to się zgadza, kapitanie?

Walker Townsend przytaknął.

– Tak jest, sir – odpowiedział, uśmiechając się nieznacznie. Zamyślił się na moment, a potem poprosił Murphy’ego o opisanie okoliczności towarzyszących jego przybyciu do Stalagu Luft 13 i udzielenie krótkiej informacji o sobie samym. W ten sposób historia Murphy’ego musiała się wydać jeńcom podobna do ich własnych przeżyć.

Kiedy świadek zaczął mówić, Tommy nie zwracał szczególnej uwagi na jego słowa. Był przekonany, że jest teraz bliższy prawdy o sposobie zabicia Tradera Vica, chociaż nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego doszło do tego zabójstwa. Problem sprowadzał się do pytania, jak nakłonić świadka do opowiedzenia prawdziwej wersji wydarzeń. Tego Tommy nie wiedział. Scott towarzyszył mu w nocnej wyprawie do miejsca, gdzie zdaniem Harta dokonano zbrodni, jednak był ostatnim człowiekiem, którego obrońca chciałby posadzić na miejscu dla świadka i kazać mu o tym opowiadać. Zrobiłoby to wrażenie działania na korzyść, a samą opowieść słuchacze uznaliby za fantastyczną. Odnieśliiby wrażenie, że Scott kłamię, by ratować własną skórę. Bez zakrwawionej deski jako argumentu wspierającego potraktowano by taką relację jak grubymi nićmi szyte oszustwo.

Tommy poczuł, że robi mu się słabo. Prawda jest niewidoczna, łgarstwa przekonujące. Odetchnął głęboko i słuchał, jak Walker Townsend cierpliwie zadaje Murphy’emu banalne pytania dotyczące życiorysu, a ten odpowiada na nie szybko i chętnie. Hart tracił grunt pod nogami, a to groziło niewinnemu człowiekowi staniem przed plutonem egzekucyjnym.

Spojrzał z ukosa na Scotta, wierząc, że ten wie, co się dzieje, ale ciemna twarz oskarżonego pozostała nieruchoma. Tylko jego mina wskazywała na skrywaną wściekłość.

– Poruczniku, pochodzi pan ze stanu Massachusetts, prawda? – zapytał głośno Townsend, wskazując człowieka siedzącego na krześle dla świadków, jakby chciał nadać tej kwestii większe znaczenie.

Zaabsorbowany myślami Tommy słuchał jednym uchem. Townsend zadawał pytania powoli, ospale, czasem nonszalancko, lecz robił to delikatnie, z wyczuciem. W ten sposób usypiał czujność obrony, która przestawała uważnie śledzić sytuację. Tommy wiedział, że prokuratorzy cenią sobie ciężar dowodów tak samo jak poczucie dramatu. Dziesięciu ludzi powtarzających to samo wypadało znacznie lepiej niż jedna osoba, przedstawiająca swą kwestię jak aktor w teatrze.

Jednak następne pytanie przyciągnęło uwagę Harta.

– Poruczniku, Massachusetts jest stanem doskonale znanym z panującej tam tolerancji oraz należycie ułożonych stosunków międzyrasowych, prawda?

– Tak jest, panie kapitanie.

– Czy to w tym stanie zorganizowano pierwszy murzyński pułk, który brał udział w wielkiej wojnie międzystanowej, którą część z nas określa mianem Wojny Secesyjnej? Mówię o grupie dzielnych żołnierzy dowodzonej przez cieszącego się zasłużoną sławą białego oficera.

– Rzeczywiście, sir...

Tommy wstał.

– Sprzeciw – powiedział. – Po co nam ta lekcja historii, panie pułkowniku?

MacNamara machnął ręką.

– Gotów jestem dopuścić pewne odejście od zasadniczego tematu pod warunkiem, że prokurator szybko przejdzie do konkluzji – oświadczył.

– Dziękuję – odrzekł Townsend. – Będę się streszczał. Pan, poruczniku Murphy, pochodzi ze Springfield. Przez całe życie mieszkał pan w owym pięknym mieście, w stanie słynącym jako kolebka naszej rewolucji. Czy mam rację? Bunker Hill, Lexington i Concord – wszystkie te sławne miejscowości znajdują się w sąsiedztwie,

czy tak?

– Tak jest, sir. Są położone we wschodniej części stanu.

– A w czasie pańskiego dorastania kontakty z Murzynami były dla pana rzeczą zwyczajną, prawda?

– Zgadza się. Kilku czarnoskórych uczęszczało do mojej szkoły, inni byli zatrudnieni w firmie, w której pracowałem.

– A zatem pan nie jest fanatykiem?

Tommy poderwał się po raz kolejny.

– Sprzeciw! Świadek nie może wyciągać tego rodzaju wniosków na własny temat! Dlaczego...

MacNamara przerwał mu:

– Kapitanie Townsend, proszę przejść do rzeczy.

Wirgińczyk jeszcze raz przytaknął.

– Tak jest, sir. Zamierzam przekonać trybunał, że nie mamy tu do czynienia z konspiracją południowców, wymierzoną przeciwko porucznikowi Scottowi. Nie przesłuchujemy wyłącznie ludzi pochodzących ze stanów, które wystąpiły z Unii, czyli tak zwanych stanów niewolniczych. Wysoki Sądzie, moim celem jest stwierdzenie, że ludzie wywodzący się ze stanów o długiej tradycji harmonijnego współżycia ras są również skłonni, powiem więcej, bardzo chętni do zeznawania przeciwko porucznikowi Scottowi. Byli oni świadkami wydarzeń, które dla oskarżenia mają kluczowe znaczenie w dalszego rozwoju wypadków, zakończonych tym godnym potępienia morderstwem...

– Sprzeciw! – zawołał Tommy. – Kapitan wygłasza przemówienie, którego celem jest rozpalenie namiętności!

MacNamara popatrzył na Harta.

– Ma pan słuszość, poruczniku – powiedział. – Sprzeciw podtrzymany. Wystarczy już tych przemówień, kapitanie. Proszę zadawać dalsze pytania.

– Chcę również podkreślić, że sam fakt pochodzenia z określonej części Stanów Zjednoczonych nie daje podstaw do wnioskowania, czy ktoś jest człowiekiem mniej lub bardziej prawdomównym, panie pułkowniku...

– Zaraz, zaraz, panie Hart, teraz to pan wygłasza przemówienie. Trybunał poradzi sobie z oceną uczciwości świadka bez pańskiej pomocy. Proszę siadać!

Tommy opadł na krzesło, a Lincoln natychmiast pochylił się do niego i szepnął:

– Gównu, a nie rasowa harmonia. Murphy wymyślał mi od czarnuchów nie gorzej niż Vic. Tyle że wymawiał to słowo z nieco innym akcentem.

– Pamiętam o tym – odparł Tommy. – Słyszałem to na korytarzu. Mogę mu o tym przypomnieć, kiedy przyjdzie kolej na moje pytania.

Townsend podszedł do stołu, gdzie siedzieli oskarżyciele. Major Clark sięgnął pod blat i wydobyl ciemną metalową patelnię, którą Scott zrobił sobie do przygotowania posiłków. Podał ją kapitanowi, a ten podszedł z nią do świadka.

– Poruczniku, to jest przedmiot wpisany przez nas na listę dowodów. Czy pan go poznaje?

– Tak, panie kapitanie – odrzekł Murphy.

– Co to jest, według pana?

– Przyglądałem się, jak porucznik Scott robił tę patelnię. Siedział w kącie pokoju w baraku sto jeden, w którym obaj mieszkaliśmy. Wymodelował tę patelnię z kawałka blachy pochodzącej z niemieckiej beczki na nieczystości, sir. Inni jeńcy postępowali tak samo, ale pomyślałem wtedy, że Scott musi mieć pewne doświadczenie w obróbce metalu, ponieważ zrobił najlepszą patelnię, jaką oglądałem przez cały okres pobytu tutaj.

– I co jeszcze pan zauważył?

– Zwróciłem uwagę, że został mu kawałek metalu, któremu Scott zaczął nadawać inny kształt. Użył kawałka drewna, żeby go wyprostować i wygładzić, sir.

– Proszę opowiedzieć trybunałowi, świadkiem jakiego wydarzenia był pan później.

– Wyszedłem na krótko z pokoju, sir, a kiedy tam wróciłem, zauważyłem, że porucznik Scott owija końcówkę tego kawałka metalu strzępem starej szmaty.

– Co przypominał ten przedmiot, który on zrobił?

– Nóż, sir.

Tommy skoczył na równe nogi.

– Sprzeciw! To wezwanie do formułowania wniosków.
– Oddalam! – ryknął MacNamara. – Proszę kontynuować, poruczniku.
– Tak jest, sir – odparł Murphy. – Przypominam sobie, że właśnie wtedy zapytałem Scotta, po co mu to potrzebne. To cholerstwo przypominało raczej mały miecz...

– Sprzeciw!
– Na jakiej podstawie?
– Ten szczegół jest znany świadkowi ze słyszenia.
– Nie, to nieprawda. Proszę kontynuować.
– Chcę powiedzieć – ciągnął Murphy – że nigdy nie widziałem, aby w tym obozie ktoś zrobił sobie coś takiego...

Townsend po raz drugi zbliżył się do stołu prokuratorów. Major Clark wręczył mu płaskie metalowe ostrze. Oskarżyciel trzymał je najpierw przed sobą, niczym lady Makbet, a następnie kilkakrotnie przeciął nożem powietrze.

– Sprzeciw! – zawołał znowu Tommy. – Te teatralne popisy...
MacNamara przytaknął mu.
– Kapitanie Townsend... – upomniał Wirgińczyka, który odpowiedział uśmiechem.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. A zatem, poruczniku Murphy, czy to narzędzie zrobił porucznik Scott? – zapytał.

– Tak jest – odrzekł Murphy.
– Czy kiedykolwiek widział pan, by Scott używał tego noża, przygotowując sobie jedzenie?

– Nie, sir. Tak jak inni jeńcy, miał nieduży, składany scyzoryk, znacznie bardziej poręczny.

– A zatem Scott nigdy nie wykorzystywał tego ostrza w celach zgodnych z prawem?

– Sprzeciw! – Tommy już zdążył się poderwać.
– Proszę usiąść. Po to właśnie tu jesteśmy, poruczniku Hart. Niech pan odpowie na pytanie, poruczniku Murphy – zareplikował MacNamara.

– Nigdy nie widziałem, by używał tego narzędzia do takiego celu, sir.

Townsend zawahał się nieco, po czym zadał następne pytanie:

– Kiedy zobaczył pan, że porucznik Scott robi ten nóż, zapytał go pan, do czego mu to potrzebne, czy tak?

– Tak jest.

– Jak brzmiała jego odpowiedź, poruczniku Murphy?

– Pamiętam dokładnie jego słowa, sir. Powiedział: „do obrony”. Zapytałem więc, przed kim musi się bronić, a Scott odparł: „przed tym skurwielem Bedfordem”. To jego własne słowa, sir. Dokładnie to pamiętam. Potem niepytany, powiedział mi wprost: „Powinienem zabić tego sukinsyna, zanim on zabije mnie!” Dokładnie tak powiedział, sir. Słyszałem na własne uszy!

Tommy podskoczył, odpychając raptownie krzesło, które z hukiem upadło na podłogę.

– Sprzeciw! Sprzeciw! Pułkowniku, to oburzające!

– A co dokładnie jest takie oburzające, poruczniku? – zapytał MacNamara pogardliwym głosem. – Chodzi panu o słowa, które wypowiedział pański klient czy o coś innego?

Tommy odetchnął głęboko, mierząc pułkownika równie nieprzyjaznym wzrokiem.

– Sir, mój sprzeciw ma charakter podwójny. Po pierwsze, to zeznanie stanowi kompletne zaskoczenie dla obrony! Pytany, na jaki temat ma zamiar zeznawać, świadek odpowiedział, że chodzi o groźby i animozję... Nie było w ogóle mowy o tej rzekomo przeprowadzonej rozmowie! Uważam, że to czysta fantazja! Wymyślone kłamstwa, których celem jest wywarcie nieuprawnionego wpływu...

– Może pan to spróbować wyjaśnić, kiedy pan będzie przesłuchiwał świadka, poruczniku.

Walker Townsend uśmiechnął się swobodnie, unosząc jedną brew i wtrącił się do tej wymiany zdań.

– Wysoki Sądzie, ja nie widzę tu żadnego oszustwa. Ten człowiek powiedział porucznikowi Hartowi, że będzie mówił o groźbach. No i dokładnie takie zeznanie od porucznika Murphy’ego usłyszeliśmy przed chwilą. Dotyczyło właśnie groźby.

Nie jest przy tym rzeczą oskarżenia dbać o to, by porucznik Hart przygotował się jak należy, uzyskując od świadka przed procesem dodatkowe informacje. On zadawał świadkowi pytania i otrzymał od niego odpowiedź, a skoro uważał, że to zeznanie może być dla niego takim potencjalnym zagrożeniem, powinien pytać dalej...

– Wysoki Sądzie, to nieuczciwy atak! Zgłaszam sprzeciw!

MacNamara pokręcił głową.

– Poruczniku Hart, muszę pana po raz kolejny upomnieć, proszę usiąść. Będzie pan miał okazję przesłuchać świadka. A do tego czasu proszę zachować ciszę!

Tommy zamilkł, ale nadal stał przy swoim stole. Dyskretnie chwycił się blatu, by znaleźć oparcie. Nie ośmielił się spojrzeć na Lincolna Scotta.

Walker Townsend podniósł nóż wykonany przez czarnoskórego pilota.

– „Powinienem zabić tego sukinsyna!” – zawołał donośnie, a grzmiący ton głosu jeszcze dobitniej podkreślał łagodny ton jego wcześniejszych wypowiedzi. – Kiedy on wypowiedział te słowa?

– Na dzień czy dwa przed zamordowaniem kapitana Bedforda – odparł gładko Murphy.

– Kapitan Bedford zginął od noża! – podkreślił Townsend.

– Tak jest, sir! – wypalił Murphy.

– Co za prorocstwo! – zapiszczał oskarżyciel. – I w dodatku na tym nożu, nożu porucznika Scotta, widnieją plamy krwi kapitana Vincenta Bedforda!

Podszedł do stołu prokuratorskiego i uderzył w blat trzymanym poziomo nożem. Odgłos rozszedł się po całej sali.

– Świadek należy do pana – oświadczył, nie zapominając o stosownej pauzie dla zwiększenia efektu.

Tommy podniósł się. Pod czaszką kłębiły mu się oburzenie, wątpliwości i zmieszanie. Otwierał usta, by zacząć, ale w tym samym momencie pułkownik MacNamara podniósł rękę, by go uciszyć.

– Mam wrażenie, poruczniku, że z pana pytaniami do świadka musimy się wstrzymać do jutra. Trzeba zakończyć sesję o takiej porze, by zdążyć na wieczorny apel, prawda, Herr Hauptmann? – powiedział.

Tommy odwrócił się w stronę jednorękiego Niemca, na którego, jak mu się wydawało, nie spojrzał już od godziny. Visser kiwał na potwierdzenie głową. Nie spieszył się z odpowiedzią. Przez kilka sekund przyglądał się porucznikowi Murphy'emu, aż ten zaczął wiercić się na krześle, potem powoli przyjrzał się sali, Lincolnowi Scottowi, Tommy'emu, wreszcie oskarżycielom. W końcu wrócił wzrokiem do pułkownika MacNamary.

– Ma pan słuszość, pułkowniku – wycedził. – Myślę, że to jest właściwy moment, by przerwać posiedzenie.

Podniósł się, a siedzący obok stenograf zatrzasnął notatnik. MacNamara uderzył w stół młotkiem.

– A zatem do jutra. Zbierzemy się natychmiast po zakończeniu porannego odliczania. Poruczniku Murphy!

– Tak jest, sir?

– Nie wolno panu z nikim rozmawiać o pańskich zeznaniach. Rozumie pan? Z nikim, ani z obroną, ani z oskarżycielami, wrogami czy przyjaciółmi. Wolno panu mówić o pogodzie, o wojsku, o paskudnym żarciu czy też o tej parszywej wojnie. Nie wolno natomiast rozprawiać o toczącej się sprawie. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest, sir! Najzupełniej.

– A więc doskonale – rzucił szybko MacNamara. – Jest pan wolny.

Popatrzył na obserwujących proces jeńców.

– Wszyscy rozejść się!

Podniósł się z miejsca, a w ślad za nim poderwali się jeńcy, stając na baczność, kiedy członkowie trybunału sztywnym krokiem opuszczali budynek teatru. Za nimi szli major Clark i kapitan Townsend, który, mijając Tommy'ego, nie potrafił ukryć uśmiechu. Następni w kolejności do wyjścia byli Visser i większość obserwatorów niemieckich. Z tyłu stało kilku strażników i ponaglało jeńców ostrymi okrzykami Raus! Raus! Rozejść się! Ich szorstkie głosy rozbrzmiewały w całej sali.

Tommy na chwilę przymknął powieki. Po sekundzie otworzył oczy i odwrócił się do Lincolna Scotta i Hugh Renadaya. Scott patrzył prosto przed siebie, ze wzrokiem utkwionym w opustoszałe miejsce dla świadków. Siedział sztywno, nawet nie

mrugnął.

Pierwszy odezwał się Hugh.

– No cóż – powiedział powoli. – To był piękny strzał, co? W jaki sposób udowodnimy, że ten skurwiel kłamie?

Tommy miał zamiar mu odpowiedzieć, chociaż sam jeszcze nie wiedział, co mógłby rzec, ale wyprzedził go Scott. Głos czarnoskórego pilota był suchy i chropowaty. W opustoszałej sali teatru odbijał się cichym echem.

– To nie było kłamstwo – powiedział cicho, jakby każde słowo sprawiało mu ból. – Tylko prawda. Dokładnie tak powiedziałem temu śliskiemu sukinsynowi. Słowo w słowo.

Po wieczornym apelu wrócili do kwatery w baraku sto jeden. Tommy aż kipiał z wściekłości. Zatrzasnął za sobą drzwi i odwrócił się do Lincolna Scotta.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć, do jasnej cholery – odezwał się podniesionym głosem, przypominającym silnik pracujący na coraz szybszych obrotach. – Informacja, że groziłeś śmiercią ofierze tuż przed zamordowaniem mogłaby okazać się pomocna.

Scott chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Wzruszył tylko ramionami i ciężko usiadł na krawędzi łóżka. Hart krążył po pokoju, zaciskając pięści.

– Wyszedłem na przekłętą durnia! – złościł się. – A ty na zabójcę! Mówiłeś mi, że nic nie wiesz o tym cholernym nożu, i okazuje się, że sam go zrobiłeś! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Scott potrząsnął głową, jakby nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie.

– Kiedy powiedziałem Murphy’emu to, co powiedziałem, wsadziłem nóż do skrytki, tam, gdzie trzymam swoją paczkę z Czerwonego Krzyża. Następnego dnia rano już go tam nie było. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy Clark wyjął go ze schowka, o istnieniu którego nie miałem pojęcia, tu, pod łóżkiem.

– Znakomicie, doprawdy – ciągnął z furią Tommy. – Wspaniała historia. Jestem przekonany, że wszyscy w to uwierzą...

Lincoln podniósł głowę, chciał coś powiedzieć, ale ponownie zmienił zdanie.

– Co ty sobie wyobrażasz, do diabła? W jaki sposób ktoś może cię bronić, jeżeli nie mówisz całej prawdy?

Scott znowu otworzył usta, lecz wciąż milczał. Pochylił się tylko, jak gdyby zamierzał zmówić modlitwę, potem westchnął głęboko i cicho szepnął:

– Nie spodziewam się tego.

– Co takiego? – zapytał zdziwiony Tommy.

Czarnoskóry oficer spojrział na niego.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie bronił – powiedział powoli. – Nie potrzebuję obrony. Nie życzę sobie. Nie powinienem w ogóle znaleźć się w takiej sytuacji. Nic nie zrobiłem! Mówiłem wyłącznie prawdę! A jeżeli tobie ta prawda wydaje się niewystarczająca, to nic na to nie poradzę!

Scott podniósł się z pryczy, zaciskając pięści.

– No więc nastraszyłem tego drania! I co w tym złego? Że odwalilem przedstawienie, robiąc ten nóż? To nie jest zabronione przez żaden regulamin, bo tu nie obowiązują żadne przepisy! Powiedziałem mu, że go zabiję. Musiałem coś powiedzieć, na miłość boską! Nie mogłem siedzieć cicho i ignorować wszystko, co ten skurwiel gadał i robił! Musiałem w jakiś sposób dać Bedfordowi do zrozumienia, że nie jestem zastraszonym, trzęsącym się, durnym Murzynem, na którym przez całe życie można jeździć jak na łysej kobyle! Musiałem temu fanatykowi pokazać, że samotność nie robi na mnie żadnego wrażenia. Nie miałem zamiaru wciskać się kąt i z podziękowaniem przyjmować obelgi, jak to robią inni. Nie jestem niewolnikiem! Jestem wolnym człowiekiem! Zrobiłem ten cholerny miecz i dałem mu do zrozumienia, że go użyję! Ponieważ jedyną rzeczą, która przemawia do takich Bedfordów na całym świecie jest przemoc, taka sama, do jakiej oni się odwołują! Kiedy stawić im czoło, okazuje się, że to tchórze. I ja to właśnie zrobiłem!

Rozzłoszczony Scott stał jak wmurowany na środku pokoju.

– Czy wreszcie zrozumiałeś? – zapytał Tommy’ego.

Hart stanął naprzeciw niego, twarzą w twarz.

– Wcale nie jesteś wolny – powiedział twardo, podkreślając każde słowo ostrym gestem. – Ani ty, ani ja, ani nikt inny tutaj nie jest wolny!

Scott energicznie pokręcił głową.

– Ty możesz być więźniem, Hart. Renaday również. Podobnie jak Townsend, MacNamara, Clark, Murphy i cała reszta. Ale nie ja! Mogą mnie zastrzelić, zamknąć tu, a teraz nawet wyprowadzić przed pluton egzekucyjny za coś, czego nie zrobiłem, ale nigdy nie będę uważał się za więźnia, o nie! Ani przez sekundę, rozumiesz? Jestem wolnym człowiekiem, okresowo przebywającym za drutami kolczastymi.

Tommy chciał mu odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Właśnie tu tkwiła istota problemu. Brzemie spoczywające na barkach Scotta to coś znacznie większego niż samo oskarżenie o zabójstwo.

Zamyślił się i zaczął spacerować po sypialni.

– Czy ty kiedykolwiek zaufałeś białemu? – zapytał niespodziewanie.

Scott cofnął się, jakby ktoś walnął go z całej siły.

– Co takiego? – zapytał.

– Słyszałeś, co powiedziałem. Odpowiedz na pytanie – nalegał Tommy.

– O co ci chodzi?

– Doskonale wiesz, o co. Odpowiadaj.

Lincoln zmrużył oczy i zamilkł.

– W dzisiejszym świecie żaden czarny nie może się obejść bez pomocy przychylnie nastawionych białych ludzi – powiedział w końcu.

– To nie jest odpowiedź!

Scott odczekał chwilę, potem uśmiechnął się i skinął głową.

– Odpowiedź brzmi: nie. Nigdy nie zaufałem białemu.

– Ale korzystałeś z pomocy białych.

– Owszem. Głównie w szkole. No i kościół mojego ojca był niekiedy wspierany przez organizacje dobroczynne.

– Tylko że ilekroć uśmiechałeś się lub ściskałeś białym rękę, to było kłamstwo, prawda?

Lincoln znowu się uśmiechnął, jakby coś go rozbawiło.

– Tak, w pewnym sensie – odparł.

– Kiedy my podawaliśmy sobie ręce, to też było kłamstwo.

– Możesz tak na to patrzeć, Hart. Sprawa jest prosta. To jest lekcja, jaką człowiek odbiera od życia. Jeżeli chce się piąć w górę i stać się kimś, musi polegać wyłącznie na sobie!

– No widzisz, polegałeś tylko na sobie i twoje perspektywy na przyszłość ostatnio się nieco pogorszyły – Tommy nie starał się nawet ukryć sarkazmu. Scott się znowu nastroszył.

– Pewnie masz rację – odrzekł – ale kiedy usłyszę, jak dowódca plutonu egzekucyjnego wydaje komendę, będę przynajmniej wiedział, że nikt nie ukradł mi rzeczy cenniejszej niż życie.

– A cóż to takiego?

– Godność.

– Dużo ci z niej przyjdzie, jak będziesz martwy.

– I znowu się mylisz, Hart. Mylisz się całkowicie. Na tym właśnie polega różnica między tobą a mną. Chcę żyć, tak jak każdy, lecz nie zamierzam się zmieniać, aby przeżyć za wszelką cenę. Byłoby to znacznie gorsze kłamstwo niż te, które słyszy się od świadków na procesie czy gdziekolwiek indziej.

Tommy zamilkł, rozważając to, co usłyszał przed chwilą. W końcu pokręcił głową.

– Niełatwo cię zrozumieć, Scott – powiedział. – Naprawdę niełatwo.

Lincoln uśmiechnął się tajemniczo:

– Zakładasz, że chcę, aby ktoś mnie zrozumiał.

– W porządku. Punkt dla ciebie. Ale wydaje mi się, że ty godzisz się walczyć z tymi oskarżeniami wyłącznie na własnych warunkach.

– To jedyny sposób, jaki znam.

– No to przyjmij do wiadomości, że musimy teraz spróbować innego podejścia, ponieważ przy aktualnym stanie rzeczy nie wygramy.

– Zgadza się – powiedział ze smutkiem Scott. – Ale dlaczego nie można przyjąć, że są różne rodzaje zwycięstwa. Może wygrana w tym rzekomym sądzie nie jest warta tego, bym się zdecydował zmienić!

Tommy'ego zaskoczyła ta konstatacja – wstrzymał się z odpowiedzią. Zapadła

chwila ciszy, z której natychmiast skorzystał Hugh Renaday. Kanadyjczyk stał oparty ramieniem o ścianę, przysłuchując się bez słowa tej gniewnej wymianie zdań. W końcu jednak włączył się do rozmowy.

– Ale z was cholerni durnie – powiedział. – Do tego ślepe jak krety.

Lincoln i Tommy popatrzyli na niego, a Hugh mówił dalej z uśmiechem:

– Żaden z was nie potrafi szerzej spojrzeć na sytuację, z jaką mamy do czynienia.

Zgadza się?

Scott nieco się rozpogodził.

– Ale ty nam to objaśnisz, prawda?

– Właśnie tak – warknął Hugh. – Gdzie podziewa się ten Phillip Pryce, kiedy naprawdę go potrzebujemy? Widzisz, Tommy, jeżeli ten cholerny stary Angol już nie żyje i patrzy na nas gdzieś tam z góry, to pewnie twoje słowa stają mu kością w gardle.

– Może i tak, Hugh. Tylko powiedz mi dlaczego.

Hugh zatrzymał się na moment i zapalił papierosa.

– Ty, Lincoln, chcesz przebudować świat! Chcesz, żeby zmieniło się wszystko, tylko nie ty sam. A ty, Tommy, jesteś z kolei tak zauroczony przestrzeganiem reguł gry, że nie dostrzegasz, jak bardzo nie fair postępuje druga strona! Obaj jesteście kompletnie pomyleni, żaden nie wykazuje chociażby odrobiny zdrowego rozsądku.

Hugh wyciągnął rękę w kierunku Scotta.

– Ty sam zrobiłeś z siebie idealnego kandydata na oskarżonego, zgadza się? Popatrz tylko: ktoś w tym pieprzonym obozie chce zamordować Tradera Vica, wyłazi w nocy z baraku i załatwia sprawę. Z kolei ty robisz wszystko, żeby jak najbardziej ułatwić mu rzucenie podejrzania na ciebie! Mam rację?

Scott przytaknął.

– Może to nie jest dokładnie sformułowane, ale trudno odmówić ci słuszności. Tak to wygląda.

– Ośmielę się dodać, że nie mógłbyś już bardziej ułatwić Townsendowi doprowadzenia do wydania skazującego wyroku.

Scott znowu przytaknął.

– Ale... – zaczął.

Renaday energicznie potrząsnął głową.

– Tylko mi nie mów tych wszystkich „ale”, „być może”, „miejmy nadzieję” i tak dalej! Z tej sytuacji jest tylko jedno wyjście, to znaczy wygrana, bo niezależnie od wszystkiego, co można zrobić i powiedzieć, w ostatecznym rozrachunku liczy się wyłącznie zwycięstwo! A nie to, w jaki sposób zwyciężysz, z jakiego powodu czy nawet kiedy to zrobisz. Musisz jednak wygrać, i im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej wszyscy na tym wyjdziemy!

Po chwili milczenia Scott przytaknął.

– Być może – powiedział.

– No właśnie! Pomyśl o tym! Byłeś tak cholernie zajęty udowadnianiem lepszego od innych, którzy tu siedzą, że nie zdołałeś zauważyć, że jesteś dokładnie taki sam, do cholery! A ty Tommy, nie robisz tego, co sobie obiecaliśmy. Nie walczysz! Wykorzystaj przeciwko nim te ich cholerne kłamstwa!

Hugh głośno odkaslnął.

– Czy Phillip niczego cię nie nauczył? – zapytał, przyglądając się papierosowi. Strząsnął na podłogę rozżarzony koniec, rozdeptał go nogą, a niedopałek schował do kieszeni bluzy na później.

– Jestem głodny – oznajmił. – Chyba czas już coś zjeść, chociaż nie wiem, co ja tu robię z takimi durnymi pozerami jak wy. Obaj chcecie odnieść zwycięstwo, ale usiłujecie to osiągnąć w sposób nieskazitelny. Czy to takie ważne? Przecież trwa ta cholerna wojna! Ludzie giną o każdej porze dnia i nocy! To nie jest walka na pięści, toczona według reguł markiza Queensbury! No więc ruszajcie na wojnę! Przestańcie grać fair! A jeżeli nie potraficie usiąść we dwóch i porozumieć się co do tego, to niech was wydusi czarna ospa!

– Zaraza – wtrącił z uśmiechem Scott.

– Może być – warknął Hugh. – Jeżeli wolisz zarazę, to uprzejmie proszę.

– Tak przed śmiercią mówi Merkucjo – ciągnął Scott. – „Zaraza na wasze domy! Kapuletich i Montekich”.

– No dobra, cholerny Merkucjo do spółki z cholernym Szekspirem mieli rację! –

Hugh pochylił się i wyciągnął spod pryczy paczkę otrzymaną z Czerwonego Krzyża.

– Niech to szlag – powiedział, jakby zawartość przesyłki go niemile zdziwiła. – Został mi tylko ten parszywy brytyjski przydział. Cienka herbata, suszona ryba bez smaku i całe to gówno! Tommy, mam nadzieję, że ty masz coś lepszego. Ze Stanów, kraju wszelkiej obfitości.

Tommy zamyślił się i zapytał:

– Hugh, co Niemcy dali do żarcia dziś wieczór?

Renaday podniósł głowę i warknął:

– Jak zwykle, Kriegesbrot i kawałek tej parszywej krwistej kiełbasy. Phillip zakopywał ją w ogrodzie, nawet jak głodowaliśmy. Nie mogliśmy się zmusić, żeby to jeść. Nie jadł jej nikt, kogo znam, w żadnym z dwóch obozów. Jakim cudem szwaby mogą to przełknąć, nie mieści mi się w głowie.

Tommy myślał o kiełbasie z krwią, podstawie niemieckich racji żywnościowych dla jeńców, którzy jednak nie jedli jej nawet wówczas, gdy rzeczywiście głodowali. Kiełbasa była doprawdy obrzydliwa; miała kształt grubego walca i zdaniem jeńców składała się z zamrożonych resztek zwierzęcych, zmieszanych w dowolny sposób z krwią i trocinami, które nadawały całości odpowiednią konsystencję. Jakkolwiek by ją przyrządzić, człowiek zawsze miał wrażenie, że zjada odpadki. Wielu jeńców zakopywało ją w ziemi, tak jak Pryce, w nadziei, że okaże się przydatna przynajmniej jako nawóz. Członkowie zespołów teatralnych z obu obozów robili z niej czasem mazidło przypominające krew, potrzebną w niektórych scenach.

Tommy zwrócił się do Scotta:

– Jadłeś to kiedyś?

Czarnoskóry pilot wyglądał na zaskoczonego; potrząsnął głową.

– Wziąłem ją raz czy dwa i zastanawiałem się, w jaki sposób ją przyrządzić, ale tak jak wszyscy uznałem, że jest zbyt paskudna.

– Ale dostałeś swoją rację, tak?

– Tak.

– Hugh – powiedział powoli Hart – weź kilka papierosów i zorientuj się, czy ktoś ma taką kiełbasę. Najgorszy gatunek, najwstrętniejsze niemieckie świństwo, jakie

zdołasz znaleźć. Kup i przynieś tutaj. Mam pewien pomysł.

Trochę zmieszany Hugh wzruszył ramionami.

– Co tylko każesz – powiedział. – Ale mam podejrzenie, że dostałeś świra.

Poklepał się po kieszeni, sprawdzając, czy ma przy sobie fajki i wyszedł na korytarz.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Tommy zwrócił się do Scotta:

– Hugh ma dobrze poukładane pod sufitem – powiedział. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to przestaniemy grać według reguł, jakie oni narzucają. Myślę, że już najwyższy czas po temu.

Lincoln przytaknął po chwili wahania.

Pułkownik MacNamara przypomniał porucznikowi Murphy’emu, że w dalszym ciągu zeznaje pod przysięgą, kiedy ten zajął miejsce przeznaczone dla świadków na środku sali sądowej, a poranne posiedzenie miało się właśnie rozpocząć. Wszyscy zasiedli na tych samych miejscach co poprzedniego dnia – obrona, oskarżyciele, setki jeńców obserwujących rozprawę, Visser ze stenografem oraz czuwający nad tym wszystkim członkowie trybunału o nieruchomych twarzach.

Murphy poprawił się na krześle, starając się usiąść jak najwygodniej i czekał, aż padnie pierwsze pytanie obrońcy. Tommy podszedł do niego z przebiegłym uśmiechem na twarzy.

– Pochodzi pan ze Springfield w stanie Massachusetts, zgadza się?

– Tak jest – odparł Murphy. – Tam się urodziłem i wychowałem.

– I pracował pan razem z Murzynami?

– To też się zgadza.

– To była codzienna współpraca?

– Codzienna, tak jest, sir.

– O jakim biznesie rozmawiamy?

– Moja rodzina ma udziały w masarni, panie Hart. To mały, lokalny zakład, ale mamy kontrakty na dostawy do wielu restauracji i szkół w mieście.

Tommy myślał przez chwilę, po czym nie spiesząc się powiedział:

– Przetwórstwo mięsa? To znaczy, że robicie steki i różne kotlety?

Murphy uśmiechnął się szeroko.

– Tak jest, sir. Steki tak grube i delikatne, że nie trzeba nawet noża, aby je pokroić. Jak również kotlety z polędwicy wieprzowej i wołowej, a nawet filet mignon. – Te dwa ostatnie słowa wymówił tak, jak się je pisze, niezgodnie z prawidłową fonetyką. – Te kotlety są słodkie niczym cukierki. Oferujemy też kotlety jagnięce i wieprzowe. No i hamburgery, bez wątpienia najlepsze w całym stanie. Ludzie, ile ja bym dziś dał za taki kotlet, upieczony na grillu...

Publiczność powitała jego słowa śmiechem i jękiem. W sali rozległy się rozmowy, a wszyscy gadali o tym samym, choć w różnych wariacjach: „Zrobiłbym wszystko za żeberka smażone z cebulą i grzybami...”.

Tommy poczekał, aż ustana śmiechy. Z twarzy nie schodził mu dyskretny, przebiegły uśmieszek.

– Przetwórstwo mięsa bywa brudnym, nieprzyjemnym zajęciem, prawda, poruczniku? Zarzynane zwierzęta, flaki, krew, gówno i sierść. Trzeba się pozbywać odpadków, zostawiając tylko najlepsze części, mam rację?

– Tak to już jest, poruczniku.

– Czy usuwaniem tego całego paskudztwa zajmowali się zatrudniani przez was Murzyni? Nie mieli dobrze płatnych stanowisk, zgadza się? Przeznaczono ich do sprzątnięcia pozostałego po uboju bałaganu, czy tak? Świństwa, z którym biali nie chcieli mieć do czynienia.

Po chwili zastanowienia Murphy wzruszył ramionami.

– Oni sami chcieli takiej pracy – odparł.

– No jasne – rzucił Tommy. – Dlaczego niby mieliby chcieć czegoś lepszego?

Porucznik Murphy nie odpowiedział. Sala uciszyła się.

Tommy na chwilę stanął plecami do świadka i nagle odwrócił się. Zaplanował każdy ruch w taki sposób, aby go wyprowadzić z równowagi.

– Niech pan mi powie, poruczniku Murphy, kto to jest Frederick Douglass?

Murphy zamyślił się, po czym pokręcił głową.

– Nie jestem pewny. Czy to nie jakiś generał ze sztabu Ike’a?

– Nie. To człowiek, który przez długi czas mieszkał w pańskim stanie – odpowiedział mu Hart, nie spiesząc się.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– To mnie nie dziwi.

Walker Townsend poderwał się z miejsca.

– Wysoki Sądzie – przerwał niecierpliwie – nie rozumiem, do czego zmierzają te pytania. Porucznik Hart powinien pytać świadka o jego zeznania dotyczące sprawy. Wczoraj skarżył się na lekcję historii prowadzoną przez oskarżyciela, a dziś sam wraca do człowieka, który zmarł wiele lat temu...

– Pułkowniku, to przecież oskarżenie przedstawiło twierdzenie dotyczące rasowego „oświecenia” porucznika Murphy’ego. Ja tylko pogłębiam ten temat.

MacNamara zrobił kwaśną minę.

– Dopuszczę tego rodzaju pytania, jeżeli się pan pospieszy i wyjaśni, do czego pan zmierza, poruczniku – powiedział po namyśle.

Tommy skinął głową. Lincoln Scott szepnął do Hugh Renadaya.

– Oto ochłap dla nas.

Po chwilowej zwłoce Tommy odwrócił się do Murphy’ego, który kręcił się na krześle.

– A kto to jest Crispus Attucks, poruczniku? – zapytał.

– Kto taki?

– Crispus Attucks.

– Pierwsze słyszę. Czy to jeszcze jeden gość z Massachusetts?

– Doskonale pan odgadł – uśmiechnął się Hart. – Utrzymuje pan, sir, że nie jest pan fanatykiem, a jednocześnie nie potrafi pan zidentyfikować Murzyna, który zginął podczas niesławnej masakry bostońskiej i którego ofiara została uczczona przez ojców-założycieli w tym zwrotnym momencie naszej historii narodowej? Nie zna pan również nazwiska Fredericka Douglassa, wielkiego abolicjonisty, którego liczne dzieła ukazały się drukiem w pańskim wspaniałym stanie.

Murphy patrzył na Harta ze złością, ale nie zareagował.

– W szkole nie byłem najlepszy z historii – powiedział z goryczą.

– Najwyraźniej. Zastanawiam się tylko, czego jeszcze nie wie pan o Murzynach.

– Wiem, co mówił Scott, bo to słyszałem – rzucił ostrym tonem świadek. – I to jest znacznie ważniejsze od jakiejś tam lekcji historii.

– No tak – zgodził się Tommy po chwili zastanowienia. – Pan nie jest człowiekiem zbyt byстрыm, prawda, poruczniku?

– Co takiego?

– Niezbyt lotnym – Tommy zwiększył tempo, mówił głośniej i z większym naciskiem. – Musiał pan iść do roboty w rodzinnym przedsiębiorstwie, bo nie był pan na tyle zdolny, żeby robić coś na własną rękę, zgadza się? A w jaki sposób dostał się pan na kursy oficerskie? Czyżby tatuś znał kogoś, kto pociąga za sznurki? No i ta szkoła, do której uczęszczał pan razem z Murzynami. Idę o zakład, że miał pan gorsze stopnie niż oni, zgadza się? Był pan szczęśliwy, widząc, jak oni zamiatają, a pan robi pieniądze, co? Bo gdyby dał pan któremuś z nich szansę, pewnie on poradziłby sobie dużo lepiej od pana, a pan się tego bał, prawda?

– Sprzeciw! Sprzeciw! – wrzeszczał Townsend. – On zadaje dziesięć pytań naraz!

– Poruczniku Hart! – zaczął MacNamara.

Tommy pochylił się nad Murphym.

– Nienawidzi ich pan, bo pan ich się boi, zgadza się?

Murphy znowu nic nie powiedział. Aż się gotował z wściekłości.

– Poruczniku Hart, ostrzegam pana – wtrącił MacNamara, uderzając w stół młotkiem.

Tommy cofnął się i patrzył Murphy'emu prosto w oczy.

– Poruczniku Murphy, wiem, co pan sobie teraz myśli.

– Co takiego? – syknął świadek przez zaciśnięte zęby.

Tommy uśmiechnął się.

– Myśli pan sobie: „Powinienem zabić tego skurwiela...” prawda?

– Nie, to nie prawda – odrzekł Murphy, krzywiąc się.

Tommy pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko.

– No jasne, skądże – powiedział. Później wyprostował się i wyciągnął rękę w kierunku sali i jeńców tłoczących się pod oknami. – Jestem pewny, że wszyscy

uwierzą w pańskie zaprzeczenie. Absolutnie. Ja w ogóle nie mam racji...

Te słowa aż ociekały sarkazmem.

– Na pewno nie pomyślał pan: „Powiniennem zabić tego skurwiela...” bo przecież otrzymał pan zaledwie jedną dziesiątą tych obelg, którymi Trader Vic częstował Lincolna Scotta dzień w dzień, odkąd pan Scott pojawił się w Stalagu Luft 13!

– Ale to powiedział on, a nie ja – upierał się Murphy.

– Naturalnie, że powiedział – odrzekł Tommy. – Nie powiedział jednak: „Mam zamiar zabić tego skurwiela”, ani „Muszę zabić tego skurwiela” ani „Planuję zabicie tego skurwiela dziś w nocy...”. Nic takiego nie powiedział, prawda, poruczniku?

– Nie powiedział.

– Powiedział tylko to, co mógłby powiedzieć każdy, gdyby znalazł się na jego miejscu.

– Sprzeciw! To jest namawianie świadka do spekulacji! – wykrzyknął Townsend.

– W porządku, wycofuję tę uwagę – przerwał mu Tommy. – Bo przecież my wcale nie chcemy, żeby porucznik Murphy spekulował na jakikolwiek temat.

MacNamara popatrzył na Tommy’ego.

– Przedstawił pan swoją tezę – powiedział. – Czy skończył pan przesłuchiwać tego świadka?

– Niezupełnie. – Hart potrząsnął głową.

Podszedł do stołu oskarżycieli i podniósł leżący na nim nóż.

– Poruczniku Murphy, czy pan albo jakiś inny mieszkaniec waszego pokoju miał zwyczaj jadać posiłki z porucznikiem Scottem?

– Nie.

– W innych pokojach ludzie dzielą się zapasami żywności i zajmują się gotowaniem zgodnie z ustaloną kolejnością, prawda?

– Tak mi się zdaje.

– Ale Scotta z tego wyłączono?

– On chyba nie chciał należeć...

– No tak, oczywiście. Wolał raczej głodować sam, na osobności.

Murphy wbił w niego wzrok, a Tommy mówił dalej.

– A więc Scott jadał samotnie. Rozumiem, że także sam sobie gotował.

– Zgadza się.

– Wobec tego nie może pan być pewien, którego noża używał przy sporządzaniu posiłków?

– Miał scyzoryk. Widziałem, jak się nim posługiwał.

– Czy zawsze był pan świadkiem, jak przyrządzał sobie jedzenie?

– Nie.

– A zatem nie może pan wiedzieć na pewno, czy konkretnego dnia przygotowywał sobie jedzenie, posługując się własnoręcznie wykonanym nożem czy też nie, prawda?

– Nie mogę.

Z wielkim nożem w ręce, Tommy podszedł do stołu obrony. Hugh schylił się i podniósł niewielką paczkę, którą wręczył Hartowi. Ten odłożył nóż i z pakunkiem w dłoni wrócił do świadka.

– Jest pan ekspertem od przetwórstwa mięsa. Pańska rodzina ma przecież zakład masarski. Ma pan szczęście, bo bardzo trudno byłoby panu polegać wyłącznie na własnym rozumie i jakoś z tym żyć...

– Sprzeciw! – ryknął Townsend. – Porucznik Hart obraża świadka!

– Poruczniku – wtrącił zimno pułkownik MacNamara – Ostrzegam pana. Proszę nie upierać się przy tym kursie.

– Oczywiście, panie pułkowniku – zgodził się natychmiast Tommy. – Z całą pewnością nie mam zamiaru nikogo obrażać...

Uśmiechnął się szyderczo do porucznika Murphy'ego, który przyglądał się obrońcy Scotta ze źle ukrywaną furią.

– A zatem proszę, poruczniku, niech pan powie sądowi, co to jest.

Murphy niechętnie wziął od niego paczkę, rozwinął papier i skrzywił się.

– To jest ta niemiecka kiełbasa z krwią – powiedział. – Wszyscy ją znają. Typowe szwabskie żarcie.

– Czy zjadłby ją pan?

– Nikt, kogo znam, nie je tego. Ludzie woleliby zdechnąć z głodu.

– Ale czy pan, jako ekspert od mięsa, zjadłby ją?

– Nie.

– Co się znajduje w tej kiełbasie, poruczniku?

Murphy znowu się skrzywił.

– Trudno powiedzieć – rzekł. – Kiełbasa, jaką robimy w Stanach, jest gruba, twarda i należycie przygotowana. W odpowiednich warunkach sanitarnych. Nikt nie choruje po spożyciu produktów, które wysyłamy na rynek. A co kryje się w tym? Kto to wie. Mnóstwo świńskiej krwi i jakieś odpadki, luźno wpakowane w osłonę ze zwierzęcych kiszek. Chyba lepiej się nie dowiadywać, co tam w środku może siedzieć.

Kiełbasa była miękka jak galareta. Miała brązowoczną barwę i gdzieniegdzie czerwone plamki. Rozsiewała wokół paskudny zapach.

Tommy wziął pakunek i wyciągnął na wierzch kiełbasę, pokazując ją zebranym. Rozległy się wymuszone śmiechy. Widzowie rozpoznali, co to takiego.

Tommy wrócił do stołu obrony. Wziął do ręki leżący tam nóż domowej roboty, a także arkusz cennego, białego papieru. Zanim oskarżyciele zdążyli się zorientować, do czego zmierza, owinał papier wokół rękojeści noża, okrywając nim kawałek poplamionej krwią starej tkaniny. Teatralnym gestem podniósł śmiercionośne narzędzie. Walker Townsend znowu podskoczył, krzycząc: „Sprzeciw!”. Tommy zignorował go, podobnie jak gwałtowne uderzenia młotka przewodniczącego i zagłębił ostrze w paskudnej kiełbasie. Rozciął ją na pół. Zrobił to jeszcze w dwóch miejscach w taki sposób, aby papier okrywający trzonek pobrudził się od podejrzanego zawartości. Całą salę wypełnił przenikliwy odór zwierzęcych odpadków, a siedzący najbliżej jeńcy aż jęknęli.

Tommy nie zwracał uwagi na protesty oskarżycieli; ruszył prosto do porucznika Murphy’ego i uciszył zebranych, zadając donośnym głosem pytanie:

– Co pan widzi na tym papierze, poruczniku? Na papierze owiniętym wokół trzonka?

Murphy przyjrzał się, a po chwili odpowiedział:

– To wygląda jak krew, jak plamy krwi – odrzekł.

– Mniej więcej taka sama ilość krwi jak na tkaninie, którą oskarżenie, bez żadnych dodatkowych dowodów, uważa za krew Tradera Vica! – zakończył Tommy. Cofnął się i wykrzyknął: – Nie mam dalszych pytań!

Odwinął papier z rękojeści noża i podniósł go wysoko, żeby wszyscy mogli zobaczyć plamy. Podeszedł do Walkera Townsenda, wręczył mu pobrudzony arkusz i wbił nóż w blat stołu. Zostawił go tam, z drżącą rękojeścią. Sala zamilkła po raz kolejny.

13. Ostatni świadek oskarżenia

Tommy zauważył Fritza Numer Jeden, liczącego jeńców zebranych na porannym apelu. Przez cały czas obserwował go, nie zważając na drobny deszcz padający z szarego nieba. Na brązowej skórze jego lotniczej kurtki krople rozplływały się w czarne cętki. Kiedy major Clark zaszalutował pułkownikowi von Reiterowi, a MacNamara skinął przyzwalająco głową, co było rzeczą niezwykłą, Clark szybko zrobił zwrot i podał komendę: „Rozejść się!”. Wtedy Tommy przepchnął się przez tłum do Fritza, stojącego z kilkoma strażnikami na skraju boiska; palili papierosy i rozdzielali zadania na ten dzień. Na widok Tommy’ego, Niemiec skrzywił się i natychmiast odszedł.

Hart zatrzymał się w odległości kilku metrów, dając strażnikowi znak, żeby się zbliżył. Kiwał na niego palcem jak surowy nauczyciel, popędzający spóźniającego się ucznia. Fritz Numer Jeden rozejrzał się niespokojnie dookoła i szybko podszedł do Tommy’ego.

– O co chodzi, panie Hart? – zapytał pospiesznie. – Mam dzisiaj wiele obowiązków.

– Och, z pewnością – odparł Tommy. – No mów, gdzie jest to miejsce, które musisz sprawdzić po raz tysięczny? Musisz natychmiast gdzieś pójść powęszyć? Daj spokój, Fritz. Dobrze wiesz, że teraz najważniejszy jest proces Scotta.

– Mimo to muszę wykonywać, co do mnie należy. Podobnie jak wszyscy. Nawet w trakcie procesu.

Tommy wzruszył ramionami. Celowo demonstrował, że mu nie wierzy.

– W porządku – powiedział. – Zabiorę tylko minutę lub dwie twojego cennego czasu. Mam parę pytań; odpowiesz i możesz zająć się swymi ważnymi zadaniami.

Uśmiechnął się i zapytał głośno, tak aby usłyszeli go stojący w pobliżu wartownicy.

– A więc, Fritz, chcę się dowiedzieć, skąd wzięłeś ten nóż i kiedy dokładnie przehandlowałeś go Traderowi Vicowi. Wiesz, o czym mówię; chodzi o narzędzie

zbrodni...

Fritz Numer Jeden zbladł, chwycił Amerykanina za rękę i odciągnął go w zaciszne miejsce koło jednego z baraków. Gdy się tam znaleźli, był bardzo zdenerwowany; odezwał się ze złością.

– Nie może mnie pan pytać o takie rzeczy, poruczniku Hart! Nie mam pojęcia, o co panu chodzi...

Tommy przerwał mu ostrym tonem.

– Tylko nie wciskaj mi kitu, Fritz. Doskonale wiesz, co mam na myśli. Mówię o tym ceremonialnym niemieckim sztylecie. Być może z SS. Długie, cienkie ostrze i rękojeść zwieńczona trupa czaszką. Bardzo podobny do tego, jaki nosi von Reiter, kiedy odstawia się elegancko na jakąś szczególną okazję. Trader Vic chciał mieć taki nóż, a ty mu go załatwiłeś; wkrótce po tym został zabity. Upłynęło najwyżej kilka dni. Chcę wiedzieć, jak to było. Chcę usłyszeć słowo w słowo, co mówił Vic, gdy ubijał z tobą ten interes, dla kogo sztylet był przeznaczony, komu miał zostać przekazany. A może wolałbyś, żebym zadał te pytania kapitanowi Visserowi? Mogę się założyć, że bardzo by go ta sprawa zaciekała.

Niemiec cofnął się, jak gdyby ktoś zniecka go uderzył. Oparł się o ścianę baraku. Wyglądał, jakby zasłabł.

Tommy odetchnął głęboko i dorzucił:

– No i gotów jestem postawić paczkę lucky strike'ów, że dostarczanie broni jeńcom wojennym jest niezgodne z regulaminem Luftwaffe. Szczególnie jeśli chodzi o honorowy, nazistowski dar, jakim jest ten nóż...

Fritz Numer Jeden rozejrzał się, czy nikt nie podchodzi zbyt blisko, żeby słyszeć, o czym mówią. Na wspomnienie o Visserze wyraźnie zeszywniał.

– Nie, nie, nie! – odrzekł, trzęsąc głową. – Poruczniku, nie rozumie pan, jakie to niebezpieczne?

– No to mi wytłumacz – odparł Hart rzeczowym tonem.

Głos niemieckiego strażnika drżał, ręce mu się trzęsły.

– Hauptmann Visser kazałby mnie rozstrzelać – wyszeptał. – Albo wysłałby mnie na front rosyjski, co na jedno wychodzi. To jest dokładnie ta sama śmierć, tylko nie

tak szybka i może nawet gorsza. Handlowanie bronią z alianckimi jeńcami jest verboten.

– Ale ty to zrobiłeś?

– Trader Vic bardzo nalegał. Początkowo mu odmówiłem, lecz on gadał wyłącznie o tym. Zapewniał, że chodzi o upominek, nic więcej! Twierdził, że ma wyjątkowego kupca i gotów był zapłacić wysoką cenę. Chciał to mieć natychmiast, tego samego dnia. Niezwłocznie! Powiedział, że ten przedmiot ma wielką wartość. Większą niż wszystko, czym kiedykolwiek obracał.

Tommy przełknął ślinę; wyobraził sobie, jak niesłychanie zimną krew musiał mieć człowiek, który nakłonił Vica do takiego interesu. Kazał mu dostarczyć sztylet, który później posłużył do zamordowania pośrednika. Na tę myśl zrobiło mu się sucho w gardle.

– Komu na nim zależało? Kogo obstawiał Trader Vic?

– Obstawiał? Nie rozumiem...

– Dla kogo robił ten interes?

Fritz Numer Jeden pokręcił głową.

– Pytałem go o to, pytałem nieraz, ale on nie chciał podać żadnego nazwiska. To była jego najbardziej intratna transakcja. Tak powiedział, poruczniku Hart. Intratna. Tego zwrotu również nie znałem, ale on mi wytłumaczył.

Tommy skrzywił się. Nie był pewny, czy może bez zastrzeżeń wierzyć strażnikowi, lecz nie miał powodu, żeby mu nie ufać. Najlepiej zająć pozycję pośrodku. Ta transakcja z pewnością nie okazała się ukoronowaniem handlowej kariery Vica.

– No dobrze, nie znasz tego nazwiska. A gdzie ukradłeś sztylet? U von Reitera?

Fritz zdecydowanie zaprzeczył.

– Nie, nie, nie mógłbym tego zrobić! Komendant von Reiter to wielki człowiek! Już dawno bym zginął, w walce z Iwanami, gdyby on nie zabrał mnie ze sobą, kiedy otrzymał przydział do tego obozu. Byłem zaledwie mechanikiem w jego jednostce lotniczej, ale pułkownik wiedział, że mam zdolności do języków i zabrał mnie ze sobą. Tam, w Rosji, czekałaby mnie śmierć! Mogiła. Tam jest tylko zima, piekielny

mróz i śmierć, poruczniku Hart. To czekało nas w Rosji. Komendant von Reiter uratował mnie! Jeżeli uda mi się przetrwać wojnę, to dzięki niemu! A tutaj służę komendantowi najlepiej jak potrafię. Nigdy bym mu niczego nie ukraść!

– No więc komu to zwędziłeś?

Fritz ponownie pokręcił głową.

– Ukraść coś takiego niemieckiemu oficerowi i sprzedać alianckiemu lotnikowi oznaczałoby wyrok śmierci – wyszeptał z przestachem; jego głos przypominał syk powietrza uchodzącego z przedziurawionej opony. – Przyszłoby po mnie gestapo! Szczególnie, gdyby się o tym dowiedział Hauptmann Visser.

– A zatem nie ukradłeś noża?

– Hauptmann Visser nic nie wie o tym sztylcie, poruczniku Hart! – mówił Fritz, trzęsąc głową. – Coś podejrzewa, ale nie ma pewności. Błagam, on nie może się o tym dowiedzieć. To oznaczałoby dla mnie ogromne kłopoty...

Po wahaniu w głosie Niemca Tommy domyślił się, że nie tylko Fritz ucierpiałby na skutek ujawnienia tej transakcji. Wobec tego następne pytanie było oczywiste.

– I dla kogo jeszcze, Fritz? Kto jeszcze miałby kłopoty?

– Nie powiem.

Tommy powstrzymał się – widział, jak strażnikowi zadrżała szczęka. Domyślił się, jak brzmi odpowiedź na to pytanie. Fritz w gruncie rzeczy już mu jej udzielił. Hart pomyślał, że w obozie prawdopodobnie jest tylko jeden człowiek, zdolny zorganizować taki sztylet, nie kradnąc go. Postanowił mocniej nacisnąć strażnika.

– Opowiedz mi o stosunkach między komendantem a Visserem – poprosił nieoczekiwanie. – Czy oni...

– Oni się nie znoszą nawzajem – przerwał mu Fritz.

– Doprawdy?

– To jest głęboka, straszliwa nienawiść. Współpracują bardzo ściśle od wielu miesięcy, ale czują do siebie tylko pogardę. Pogardę i zajadłą nienawiść. Każdy z nich byłby szczęśliwy, widząc, jak aliancka bomba spada na tego drugiego.

– A to z jakiego powodu?

Strażnik westchnął. Mówił teraz drżącym głosem, jak stara baba.

– Visser to nazista. Chciałby przejąć komendę nad obozem. Jest policjantem i synem prowincjonalnego nauczyciela. Jego ojciec ma trzycyfrowy numer legitymacji partyjnej, niższy od tysiąca! Visser nienawidzi wszystkich aliantów, szczególnie Amerykanów, ponieważ mieszkał w waszym kraju, oraz brytyjskich pilotów myśliwskich, bo za ich sprawą stracił rękę. Ogromnie drażni go szacunek, z jakim Oberst von Reiter odnosi się do jeńców! Komendant von Reiter wywodzi się ze starej, wybitnej rodziny, której członkowie od pokoleń służą w Wehrmachcie i Luftwaffe. Między nimi nie ma cienia sympatii. Ale ja nie powinienem mówić o takich sprawach, poruczniku Hart! Nie powiem ani słowa więcej.

Tommy pokiwał głową – nie zdziwiło go to za bardzo. Podrapał się po policzku. Pod palcami poczuł ostrą szczecinę zarostu. Zadał następne pytanie:

– A co ty dostałeś, Fritz? W zamian za ten sztylet.

Niemiec zadrżał, jak w ataku silnej gorączki. Na czole pojawiły mu się kropelki – może potu, a może padającego deszczu.

– Nic nie dostałem – odparł.

– Przecież to nie ma żadnego sensu! – zachnął się Tommy. – Mówiłeś, że to była wielka transakcja, a Trader Vic miał ugodanego kupca, skłonnego zapłacić za to jak za zboże, i nic w zamian nie dostałeś? Gówno prawda! Chyba jednak powinienem porozmawiać z Visserem. On na pewno zna różne sprytne i bardzo nieprzyjemne metody wyciągania od ludzi informacji...

Fritz Numer Jeden chwycił Tommy'ego za ramię.

– Poruczniku Hart, błagam pana. Niech pan nie rozmawia o takich sprawach z kapitanem! Wówczas nawet pułkownik von Reiter nie zdołałby mnie ochronić!

– No więc mów, co dostałeś w zamian. Na czym polegał ten handel?

Fritz wzniósł oczy w nagłym przerażeniu, a potem powiedział szeptem tak cichym, że Tommy musiał się pochylić, aby go lepiej słyszeć.

– Zapłata miała zostać przekazana tej nocy, kiedy zabito kapitana Bedforda! Vic miał się ze mną spotkać po zapadnięciu zmroku. Tylko że nie przyszedł w umówione miejsce.

Tommy odetchnął powoli. To tłumaczyło, co strażnik robił na terenie obozu po

zgaszeniu świateł.

– Co miało stanowić tę zapłatę? – naciskał.

Fritz Numer Jeden nagle się wyprostował i oparł o ścianę baraku, jakby Tommy wbił mu ostrze w piersi. Potrząsał głową i oddychał ciężko, niczym sprinter po skończonym biegu.

– Proszę mnie o to nie pytać, poruczniku Hart! Nic więcej nie mogę powiedzieć. Proszę pana, błagam, od tego zależy moje życie i innych ludzi. Dlatego nie mogę na ten temat nic więcej powiedzieć.

Do oczu strażnika napłynęły łzy, twarz przybrała brudnoszary kolor, jak niebo nad ich głowami. Fritz wyglądał na człowieka chorego i śmiertelnie wystraszonego. Zaskoczony Amerykanin cofnął się o krok, jak gdyby zmiana na twarzy Niemca przeraziła również jego.

– No dobrze – złagodniał. – Wystarczy. Będę trzymał gębę na kłódkę. Na razie. Nie obiecuję niczego na dłuższą metę, ale chwilowo wszystko pozostaje między nami.

Strażnik znowu zadrżał, po czym uśmiechnął się z wdzięcznością skazańca, któremu odroczone egzekucję. Ucisnął mocno rękę Tommy'ego.

– Nigdy nie zapomnę pańskiej uprzejmości, poruczniku Hart. Nigdy! – zapewnił, cofając się. – Będę pańskim dłużnikiem! Nigdy panu tego nie zapomnę.

Później ruszył szybko przed siebie. Tommy zwrócił uwagę, że rozglądał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że czy nikt nie obserwował go w czasie rozmowy. Hart z jednej strony zdawał sobie sprawę, że zdobył dość wiadomości, aby szantażować Fritza Numer Jeden i zmuszać go do określonego postępowania choćby do końca wojny. Z drugiej strony stawiał sobie teraz więcej pytań niż kiedykolwiek. Jedno z nich było najważniejsze: Co miało stanowić zapłatę za broń przekazaną Traderowi Vicowi? Patrzył, jak Fritz Numer Jeden przemierza boisko; zastanawiał się, kto jeszcze mógłby udzielić odpowiedzi na to pytanie. Popatrzył na zegarek. W głębi serca czuł dojmującą samotność. Przez sekundę miał wrażenie, że przebywa w domu, w Vermoncie i nie może zorientować się, czy było to wcześniej, czy później. Po chwili odrzucił tę bezsensowną myśl. Musiał się pospieszyć, jeśli nie chciał się

spóźnić na poranną sesję sądu.

Tłum alianckich jeńców oblegał już budynek obozowego teatru, ludzie kłębili się w przejściach, szukając miejsca. Tommy musiał przepychać się między nimi. Tak jak się obawiał, wszyscy już zdążyli przyjść. Członkowie trybunału siedzieli za stołem, oskarżyciele czekali z niecierpliwością na otwarcie posiedzenia. Na swoich miejscach byli też Lincoln Scott i mocno zatroskany Hugh Renaday. Z boku siedział Hauptmann Visser, palący nieodłącznego, brązowego papierosa. Stenograf nerwowo bawił się trzymanym w dłoniach ołówkiem. Tommy pracowicie przedzierał się na swoje miejsce, deptając widzom po nogach. Miał świadomość, że jego samotne przyjście robi znacznie mniejsze wrażenie, niż gdyby wszedł na salę tak jak poprzednio, pośrodku trójkowego szyku.

– Kaze nam pan czekać, poruczniku – zwrócił mu uwagę chłodnym tonem pułkownik MacNamara ze środka sceny. – Ósma zero zero oznacza dokładnie ósmą zero zero. W przyszłości, poruczniku Hart...

Tommy przerwał mu natychmiast:

– Przepraszam, sir, ale chodziło o sprawę mającą zasadnicze znaczenie dla obrony.

– Być może, poruczniku, jednak...

Tommy przerwał mu po raz drugi, choć był pewien, że doprowadzi tym starszego oficera amerykańskiego do ataku furii. Miał to jednak w nosie.

– Moim pierwszym i najważniejszym zadaniem jest pomagać porucznikowi Scottowi, sir. Przeze mnie powstała ta zwłoka, to prawda, ale wykazuje to jasno, sir, jak bardzo niewskazany jest pośpiech, z jakim prowadzony jest niniejszy proces. Na podstawie informacji, jakie przed chwilą udało mi się zdobyć, pozwolę sobie kolejny raz zgłosić sprzeciw wobec dalszego prowadzenia obecnego postępowania i zażądać przyznania mi dodatkowego czasu na prowadzenie dochodzenia.

– O jakie informacje chodzi? – zapytał MacNamara.

Tommy podszedł do stołu oskarżycieli i wziął do ręki leżący na nim nóż zrobiony przez Scotta. Obrócił go kilka razy, a potem popatrzył na MacNamarę.

– Sprawa ma związek z narzędziem zbrodni, panie pułkowniku – powiedział.

Kątem oka zauważył, jak Visser sztywnieje na krześle, rzuca papierosa na podłogę i rozdeptuje go butem.

– Jakiego rodzaju związek, poruczniku?

– Nie mogę na razie mówić o tym w sposób otwarty, panie pułkowniku. Będę mógł to zrobić dopiero po przeprowadzeniu dalszego dochodzenia.

Kapitan Townsend podniósł się z miejsca.

– Wysoki Sądzie, mam wrażenie, że obrona usiłuje opóźnić postępowanie, aby zakłócić przebieg procesu. Skoro nie ma do zaprezentowania nic konkretnego, powinniśmy kontynuować... – oznajmił zdecydowanym głosem.

MacNamara podniósł rękę.

– Ma pan słuszość, kapitanie. Poruczniku Hart, proszę siadać. Niech pan wezwie kolejnego świadka, kapitanie Townsend. A pan, poruczniku Hart, niech się więcej nie spóźnia.

Tommy wzruszył ramionami i usiadł. Lincoln Scott i Hugh Renaday pochylili się do niego.

– O co tu chodzi? – zapytał Scott. – Znalazłeś coś, co może nam pomóc?

– Być może – odparł szeptem Tommy. – Coś odkryłem, tylko nie jestem pewien, co to może nam dać.

Oskarżony odchylił się do tyłu.

– Znakomicie – mruknął, wziął do ręki ogryzek ołówka i zaczął nim stukać w drewniany, szorstki blat. Utkwił oczy w pierwszym zeznającym tego dnia świadku, kolejnym mieszkańcu baraku sto jeden, którego zaprzysięgał MacNamara.

Tommy przejrzał notatki. Był to jeden z oficerów, którzy widzieli Scotta na korytarzu w baraku w noc morderstwa. Z góry wiedział, jakich zeznań można po nim oczekiwać. Oficer nie miał szczególnych powiązań z Bedfordem i miał oznajmić sądowi, że widział tego dnia czarnoskórego pilota, jak szedł korytarzem, oświetlając sobie drogę świeczką. Wszystko, co ten świadek opowie, będzie można zinterpretować jako działanie, na które mógł się zdecydować każdy jeniec. Gdyby potraktować je niezależnie od kontekstu, byłyby to fakty najzupełniej niewinne, ale

w powiązaniu z dokonany w tym czasie morderstwem stawały się śmiertelnie groźne.

Tommy odetchnął głęboko. Nie miał pojęcia, w jaki sposób podważyć to zeznanie. Przede wszystkim ten człowiek mówił prawdę. Zorientował się, że oskarżenie pracowicie uzupełniło szkicowany obraz o kolejny ważny element. Otóż feralnej nocy Scott wychodził z sypialni i buszował po terenie, zamiast trząść się z zimna pod cienkim niemieckim pledem i śnić o domu, jedzeniu i wolności, tak jak inni jeńcy w obozie południowym.

Zagryzł wargi i słuchał, jak kapitan Townsend zaczyna przesłuchiwać świadka. Odniósł wrażenie, jak gdyby teraz proces odbywał się na piaszczystej plaży, dokładnie tam, gdzie pojawia się piana na fali przybojowej, która wprawdzie traci siłę, ale ma jeszcze dość energii, by nieść ten piasek ze sobą, podmywać go i powodować, że grunt pod nogami robił się chwiejny, niestabilny. Działanie oskarżyciela przypominało taki podziemny nurt, powoli osłabiający wszystko, co trwałe i solidne. W tym momencie Tommy nie miał żadnego pomysłu na postawienie Lincolna Scotta na pewnym gruncie.

Wczesnym popołudniem Walker Townsend wezwał do złożenia zeznań majora Clarka. Był to ostatni z zapisanych na liście świadków oskarżenia. Tommy przeczuwał, że zeznanie Clarka będzie najbardziej dramatyczne ze wszystkich. Miał nadzieję, że mimo kipiącej w nim złości Clark wykaże jednak minimum opanowania, do jakiego zdolny jest człowiek, który potrafił sprowadzić uszkodzony, palący się bombowiec B-17 na ziemię i bezpiecznie wylądować na chłopskim polu w Alzacji, ratując życie większości członków załogi.

Kiedy prawnik z Wirginii wywołał jego nazwisko, major Clark szybko podniósł się, wyprostowany jak trzcina przeszedł przez salę, wziął do ręki Biblię i głośno przysięgł mówić prawdę. Potem usiadł na miejscu dla świadków, czekając na pierwsze pytanie Townsenda.

Tommy obserwował go badawczym wzrokiem. Przyszło mu na myśl, że niektórzy ludzie potrafią znosić pobyt w niewoli w sztywny, charakterystyczny dla wojskowych sposób. Po osiemnastu miesiącach w obozie mundur Clarka był

zniszczony, połatany i podarty w wielu miejscach, ale właściciel nosił go tak, że uniform sprawiał wrażenie świeżo wypranego i wyprasowanego. Clark był niskim, sztywnym mężczyzną o zaciętej, ponurej twarzy. Według Tommy'ego, świadomie ograniczył swoją drogę życiową do dwóch atrybutów – obowiązku i odwagi. Oba te cele realizował z całkowitym oddaniem.

– Majorze Clark – poprosił kapitan Townsend – niech pan powie sądowi, jak to się stało, że trafił pan do obozu jenieckiego.

Świadek pochylił się do przodu, gotów do składania wyjaśnień. Wtedy podniósł się Tommy, by zgłosić sprzeciw.

– O co chodzi tym razem? – zapytał cynicznie pułkownik MacNamara.

– Major Clark jest jednym z oskarżycieli. Według mnie, ta okoliczność powinna uniemożliwiać mu składanie zeznań w tej sprawie, panie pułkowniku.

– W kraju może tak by było – powiedział MacNamara. – Jednak tutaj, wobec zaistniałych wymagań i wyjątkowego charakteru naszej sytuacji, pozwolę obu stronom na swobodną decyzję, kogo wezwać na świadka. Rola majora Clarka w tej sprawie przypominała raczej pracę urzędnika śledczego. Oddalam sprzeciw.

– Mam jeszcze jedno zastrzeżenie, pułkowniku.

– O co chodzi, poruczniku? – MacNamara wyglądał na poirytowanego.

– Sprzeciwiam się temu, żeby major opowiadał historię swojego przybycia do obozu. Jego odwaga na polu walki nie jest tematem rozprawy. Ten wybieg ma służyć jedynie stworzeniu przesadnego zaufania do wiarygodności majora. Jednak, jak pan pułkownik z pewnością zauważył, ludzie odważni mogą kłamać równie dobrze jak tchórze.

MacNamara spiorunował Tommy'ego wzrokiem. Twarz Clarka była napięta i zeszywniała. Hart zdawał sobie sprawę, że major uzna jego słowa za obelżywe, i właśnie o to mu chodziło.

Pułkownik odetchnął głęboko, dopiero później odpowiedział:

– Proszę nie posuwać się za daleko, poruczniku. Ten zarzut także uchylam. Proszę dalej, kapitanie.

Walker Townsend uśmiechnął się.

– Według mnie trybunał mógłby narzucić porucznikowi cenzurę, sir, za podważanie uczciwości innego oficera...

– Niech pan kontynuuje przesłuchanie, kapitanie – warknął MacNamara.

Townsend skinął głową i zwrócił się do Clarka.

– Panie majorze, proszę nam powiedzieć, jak pan się tutaj dostał.

Tommy usiadł wygodnie i słuchał uważnie, jak Clark relacjonuje nalot bombowy, w czasie którego jego maszyna uległa rozbiciu podczas przymusowego lądowania. Ani się nie przechwalał, ani nie był przesadnie skromny. Odmówił tylko opisanie sposobu manewrowania samolotem na jednym sprawnym silniku, ponieważ, jak stwierdził, jest to informacja o charakterze technicznym, która mogłaby przydać się wrogowi. W tym miejscu wskazał ręką na Heinricha Vissera. Teraz wyszła na jaw sprawa, którą Tommy uznał za intrygującą, a nawet o pierwszorzędym znaczeniu. Okazało się, że Visser pierwszy przesłuchiwał majora, zanim pozwolił mu wejść do obozu. Hauptmann zadawał pytania, a Clark odmawiał na nie odpowiedzi – pytał o parametry i osiągi samolotu oraz strategię sił lotniczych. Były to pytania standardowe, lecz wszyscy jeńcy wiedzieli, że należy ujawniać wyłącznie swoje nazwisko, stopień i numer służbowy. Orientowali się również, że ludzie, którzy ich przesłuchiwali, byli ze służb bezpieczeństwa, niezależnie od rodzaju munduru, jaki nosili i jak się przedstawiali. Tommy uznał jednak za interesujące, że Clark i inni wyżsi oficerowie przebywający w obozie amerykańskim, byli świadomi podwójnej roli, jaką pełnił Visser.

Tommy rzucił ukradkowe spojrzenie na jednorękiego Niemca. Visser z uwagą słuchał słów majora Clarka.

– A zatem, majorze – powiedział nagle donośnym głosem Walker Townsend – nadszedł taki czas, kiedy przydzielono panu zadanie polegające na przeprowadzeniu dochodzenia dotyczącego zamordowania kapitana Vincenta Bedforda, czy tak?

Tommy przeniósł wzrok na świadka. No to zaczyna się, pomyślał.

– Tak, to prawda – odrzekł Clark.

– Proszę nam opowiedzieć, jak to się odbywało.

Major Clark odwrócił się na chwilę do stołu obrony, taksując surowym wzrokiem

Tommy'ego i Lincolna Scotta. Później powoli zaczął opowiadać, podnosząc głos, aby jego słowa dotarły do jeńców w sali oraz tłoczących się przed budynkiem, przy otwartych oknach i drzwiach. Opisał, jak przed świtem obudził go alarm podniesiony przez strażnika – nie wymienił nazwiska Fritza Numer Jeden, który znalazł zwłoki – i jak potem ostrożnie wszedł do Abortu, gdzie zobaczył ciało Vincenta Bedforda. Według niego, od samego początku jedynym podejrzanym był Lincoln Scott, a podejrzenie to opierało się na niechęci dzielącej obu oficerów oraz potyczkach, jakie ze sobą toczyli. Clark relacjonował, że dostrzegł ślady krwi na butach Scotta, na lewym ramieniu oraz rękawie jego lotniczej kurtki, kiedy czarny porucznik stawiał się na wezwanie w biurze komendanta von Reitera. Clark twierdził, że wtedy wszystkie części zagadki ułożyły się w spójną całość. Współlokatorzy Tradera Vica opowiedzieli o narzędziu zbrodni wykonanym przez Scotta i powiadomili majora o schowku pod podłogą, w którym ten nóż został ukryty.

Zeznanie Clarka precyzyjnie łączyło poszczególne elementy historii przedstawionej przez oskarżyciela. Odpowiadał obszernie, przekonująco, pewnie, z determinacją, tworząc konstrukcję wspierającą zeznania pozostałych świadków. Tommy był pewien jednej rzeczy: że major, przy całej swej sztywności i oschłości ma naturę wojownika, podobnie jak Lincoln Scott. Gdyby Hart próbował pokonać go serią sprzeciwów, Clark odpowiedziałby jak pewny siebie sportowiec; każda przeszkoda, każde starcie czyniłoby go silniejszym i bardziej zdecydowanym w dążeniu do celu.

Ale przesłuchanie przez obrońcę to już zupełnie inna sprawa.

Pod koniec zeznań majora Clarka Tommy przyczał się na chwilę, jak ukryta w trawie kobra. Zdecydował już, co zrobi: znajdzie jedną, jedyną słabość w konsekwentnej i przekonującej opowieści majora, zaatakuje to miejsce i udowodni kłamstwo, a reszta sama się zawali. Taką miał przynajmniej nadzieję. Wiedział, gdzie należy uderzyć. Wiedział o tym, odkąd zaczął pracować nad dowodami.

Spojrzał z ukosa na bawiącego się ołówkiem Scotta. Nagle czarnoskóry pilot napisał na kawałku papieru jedno słowo: Dlaczego?

Tommy uznał, że to dobre pytanie. Ciągle jeszcze nie potrafił znaleźć na nie

odpowiedzi.

– I ostatnie pytanie, majorze Clark – powiedział Walker Townsend. – Czy czuje pan osobistą niechęć do porucznika Scotta czy też w ogóle do rasy murzyńskiej?

– Sprzeciw!

Pułkownik MacNamara przytaknął Hartowi.

– Porucznik ma słuszość, kapitanie – powiedział. – To pytanie ma charakter retoryczny i nie wiąże się ze sprawą.

Townsend uśmiechnął się.

– No cóż, może i jest retoryczne, panie pułkowniku – odparł – ośmielę się jednak twierdzić, że jest związane ze sprawą.

Odwrócił się w stronę zgromadzonych na sali jeńców. Major Clark wcale nie musiał na to pytanie odpowiadać. Zrobił to za niego Townsend przez pozornie niewinne zadanie takiego pytania.

– Czy ma pan dalsze pytania, kapitanie? – zapytał MacNamara.

– Nie, sir! – odrzekł oskarżyciel słuźbiście. – Świadek jest pański, poruczniku.

Tommy podniósł się powoli zza stołu i wyszedł na środek. Przyjrzał się majorowi. Clark siedział wychylony do przodu, niecierpliwie czekając na jego pytania.

– Panie majorze, czy ma pan jakieś specjalne doświadczenie w prowadzeniu dochodzeń w sprawach karnych?

Clark wstrzymał się na moment z odpowiedzią.

– Nie, poruczniku – odezwał się w końcu. – Ale każdy wyższy oficer naszej armii jest przyzwyczajony do analizowania kłótni i konfliktów pomiędzy podwładnymi. Jesteśmy nauczeni, jak w takich sytuacjach wydobywać na jaw prawdę. A morderstwo, pozostając wydarzeniem niezwykłym, jest jedynie przedłużeniem kłótni. Procedura jest taka sama.

– Niezłe przedłużenie.

Clark wzruszył ramionami.

– A więc nie przechodził pan szkolenia policyjnego? – ciągnął Tommy. – Nikt pana nigdy nie uczył, w jaki sposób należy badać miejsce zbrodni, zgadza się?

– Nie.

– I nie ma pan profesjonalnych umiejętności w gromadzeniu oraz interpretowaniu dowodów, czy tak?

Major Clark wahał się przez chwilę, po czym odpowiedział z naciskiem:

– Rzeczywiście, nie mam tego rodzaju umiejętności. Ale też ta sprawa ich nie wymaga. Od samego początku wszystko było jasne i oczywiste.

– To pan tak uważa.

– Zgadza się, poruczniku. Właśnie tak uważam.

Twarz Clarka poczerwieniała, a stopy nie spoczywały już swobodnie na podłodze; uniósł do góry pięty, jakby gotował się do skoku. Tommy przyglądał mu się przez chwilę. Doszedł do przekonania, że Clark jest ostrożny, ale i pewny siebie. Podeszedł do stołu obrony i szepnął do Hugh Renadaya: „Daj mi teraz rysunki”.

Kanadyjczyk sięgnął pod stół i wydobyl trzy szkice sporządzone przez irlandzkiego plastyka, przyjaciela Phillipa Pryce’a. „Przyszpil tego nadętego drania” – powiedział Hugh szeptem na tyle donośnym, by mógł go słyszeć każdy jeniec obdarzony przyzwoitym słuchem.

– Majorze Clark – powiedział Tommy – zamierzam zaprezentować panu trzy rysunki. Pierwszy pokazuje rany na szyi i rękach kapitana Bedforda, drugi sposób ułożenia jego zwłok w kabinie Abortu, a trzeci jest diagramem przedstawiającym sam Abort. Proszę się im przyjrzeć i powiedzieć, czy pańskim zdaniem dobrze oddają one to, co widział pan rano po zabójstwie.

Walker Townsend podniósł się z krzesła.

– Ja także chciałbym je zobaczyć – powiedział.

Tommy podał szkice majorowi i zwrócił się do oskarżyciela.

– Proszę oglądać razem ze świadkiem, kapitanie. Nie przypominam sobie jednak, żeby był pan obecny na miejscu zbrodni w Aborcie, więc mógłbym zakwestionować pańską zdolność oceny tych rysunków.

Townsend skrzywił się, ale stanął za plecami Clarka. Obaj wnikliwie analizowali szkice. W pewnej chwili Tommy zauważył, jak Townsend nachyla się do ucha majora i zaczyna coś szeptać.

– Nie rozmawiać ze świadkiem! – wykrzyknął. Gniewnie rzucił się do przodu,

podstawiając Townsendowi pod nos wyciągnięty palec. – Miał pan już okazję zadawać świadkowi pytania, teraz moja kolej. Niech pan mu nie udziela porad w trakcie przesłuchania prowadzonego przeze mnie!

Kapitan popatrzył na Harta przymrużonymi oczami. Włączył się pułkownik MacNamara i zaskoczył Tommy'ego, opowiadając się jednoznacznie po jego stronie.

– Porucznik ma rację, kapitanie – powiedział. – Musimy przestrzegać odpowiedniej procedury procesowej, a przy tym zachowywać się w możliwie najbardziej ludzki sposób. Będzie pan jeszcze miał okazję zadawać pytania w czasie powtórnego przesłuchania świadków. Teraz niech pan odejdzie i pozwoli porucznikowi kontynuować. Panie Hart, ja także chciałbym zobaczyć te rysunki.

Tommy podał szkice MacNamarze.

– To się zgadza z tym, co zapamiętałem – powiedział w końcu po dokładnym obejrzeniu rysunków. – Majorze Clark, proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Jestem tego samego zdania, pułkowniku – odparł, wzruszając ramionami. – Rysunki wydają się dość precyzyjne.

– Niech się pan nie spieszy – wtrącił Tommy. – Nie chciałbym dopuścić do popełnienia jakiegoś oczywistego błędu.

Clark ponownie popatrzył na rysunki.

– Są umiejętnie zrobione – powiedział. – Moje gratulacje dla autora.

Tommy odebrał szkice i uniósł je nad głowę, aby widzowie widzieli, o czym mowa.

– To nie jest konieczne – huknął MacNamara, zanim Townsend zdążył zgłosić sprzeciw.

– Naturalnie, panie pułkowniku – uśmiechnął się Tommy, a następnie zwrócił się do Clarka: – Majorze, na podstawie przeprowadzonych przez pana oględzin miejsca zbrodni i zwłok Tradera Vica w Aborcie, oraz zgromadzonych przez pana dowodów w tej sprawie, proszę powiedzieć sądowi, w jaki sposób, pana zdaniem, dokonano tego zabójstwa.

Tommy oparł się o krawędź stołu obrony i z założonymi na piersiach rękami

czekał na odpowiedź majora. Swoim zachowaniem starał się okazać, że nie dowierza świadkowi. Phillip Pryce wpoił mu zasadę, żeby podczas procesu nie zadawał pytań, na które nie zna odpowiedzi, a Hart mimo to pozwolił Clarkowi, głównemu oskarżycielowi Lincolna Scotta, swobodnie przedstawić wersję śmierci Tradera Vica. To było niebezpieczne zagranie, ale liczył na gorącą krew majora i sądził, że przypominający koguta oficer sam wpadnie w zastawioną pułapkę, bo Clark nie zauważy niebezpieczeństwa kryjącego się w rysunkach z miejsca przestępstwa. Clark nie wiedział też o czekającym w kularach Nicholasie Fenellim, pracowniku domu pogrzebowego i studencie medycyny, który zada kłam wszystkiemu, co powiedział Clark, gdy Tommy wezwie go na miejsce dla świadków i pokaże rysunki. Zresztą Fenelli oglądał je już w ambulatorium. Kiedy ujawni się taką rozbieżność zdań, przewidywał Hart, zaprzeczenia Scotta nabiorą siły i zostaną uznane za prawdziwe.

Clark milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– Chce pan, żebym opisał sposób zabicia ofiary?

– Właśnie. Niech pan nam powie, jak to się stało, opierając się na wynikach przeprowadzonego dochodzenia, rzecz jasna.

Walker Townsend podniósł się, lecz zaraz usiadł z powrotem. Uśmiechał się dyskretnie.

– Proszę bardzo – odrzekł Clark. – Moim zdaniem odbyło się to w następujący sposób...

– Czy pańska wersja oparta została na analizie materiału dowodowego? – przerwał mu Tommy.

– Tak – warknął Clark. – Mogę mówić dalej?

– Ależ oczywiście.

– Jak wszyscy wiedzą, kapitan Bedford był biznesmenem. Utrzymuję, że porucznik Scott zauważył, jak Bedford wstaje z łóżka w środku nocy. Bedford najwidoczniej podjął ryzyko wyjścia z baraku po zgaszeniu świateł, ale to był odważny i zdeterminowany człowiek, szczególnie jeśli miał w perspektywie pokaźny zysk. Wkrótce, oświetlając sobie drogę świecą, pospieszył za nim Scott z

nożem ukrytym pod kurtką. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że był obserwowany przez innych jeńców. Może gdyby o tym wiedział, zmieniłby decyzję...

– No cóż – przerwał mu Tommy – to tylko pańskie spekulacje, prawda? Zebrane dowody nie uzasadniają tych opinii?

– Rzeczywiście – przytaknął major Clark. – Ma pan rację, poruczniku. Postaram się powstrzymać od spekulowania.

– To by nam pomogło – odparł Tommy. – No więc Scott wyszedł za Bedfordem z baraku...

– Tak, poruczniku. Scott poszedł za Bedfordem aż do Abortu, gdzie doszło do konfrontacji między nimi. Ponieważ znajdowali się w budynku, żaden hałas nie przedostał się do sypialni w barakach sto jeden i sto dwa.

– Te niesłyszalne hałasy to doprawdy wyjątkowo wygodna okoliczność – przerwał mu Hart, nie potrafiąc się powstrzymać. Napuszczony, mentorski ton majora zanadto go irytował, żeby nie zareagować. Clark spojrzał na niego groźnie.

– Poruczniku, nie wiem, czy to okoliczność wygodna czy nie. Wiem tylko, że podczas przesłuchania ludzi mieszkających w przyległych barakach ustaliłem, że nikt nie słyszał odgłosów walki. Było późno, jeńcy spali.

– Dobrze, niech pan mówi dalej – odezwał się Tommy. Chętnie już podziękowałby Clarkowi.

– Nożem, który sam zrobił, Scott dźgnął kapitana Bedforda w gardło, następnie wciągnął zamordowanego do szóstej przegródki, gdzie później odnaleziono zwłoki. Wreszcie, nie zdając sobie sprawy, że ubranie miał pobrudzone krwią, wrócił do sypialni. Oto koniec całej historii, poruczniku. Jasny i wyraźny – stwierdził major z uśmiechem. – Proszę o następne pytanie.

– Niech mi pan to pokaże – zaproponował Tommy.

– Co mam pokazać?

– Proszę nam pokazać, jak przebiegała walka. Niech pan weźmie nóż. Pan będzie Scottem, a ja Bedfordem.

Clark poderwał się gorliwie. Kapitan Townsend podsunął mu nóż. Major dał znak Tommy'emu.

– Niech pan stanie tutaj – powiedział i odsunął się trochę, trzymając śmiertelne narzędzie jak miecz. Powolnym ruchem zamarkował uderzenie rozcinające gardło Tommy’ego.

– Naturalnie pan jest znacznie wyższy od kapitana Bedforda – dodał – a ja nie dorównuję wzrostem porucznikowi Scottowi, zatem...

– No to może powinniśmy się zamienić rolami? – zaproponował Tommy.

– Doskonale – odrzekł Clark, wręczając mu nóż.

– Tak to się odbyło? – zapytał Hart, naśladując ruchy, jakie przed chwilą wykonał major.

– Tak. Właśnie tak – odrzekł zapytany. Tommy odwrócił się do Townsenda.

– Zgadza się pan, panie prokuratorze? – zapytał.

– To wygląda przekonująco.

Tommy Hart wskazał krzesło dla świadków.

– W porządku – powiedział, kiedy major wrócił na miejsce. – A zatem Scott poderżnął Vicowi gardło, a później wepchnął jego ciało do kabiny, zgadza się? I wyszedł z Abortu? Czy tak to się odbyło, pana zdaniem?

– Dokładnie tak – poświadczył Clark donośnym tonem.

– Wobec tego niech mi pan wytłumaczy, jak to się stało, że krew znalazła się na lewej stronie kurtki Scotta?

– Co takiego?

– Jak to się stało, że plamy krwi znalazły się na lewej stronie lotniczej kurtki Scotta? – powtórzył Tommy. Podszedł do stołu oskarżycieli, wziął leżącą na nim skórzaną kurtkę i podniósł do góry, pokazując sądowi.

Major Clark zawahał się i ponownie się zaczerwienił.

– Nie rozumiem tego pytania – powiedział.

– Przecież to takie proste, majorze – powiedział Tommy lodowatym tonem. – Krew widać na plecach. Jakim cudem ona się tam znalazła? Podczas całego swojego zeznania, opisu zbrodni i odgrywania przed sądem tej scenki, nie zasugerował pan ani razu, że porucznik Scott odwracał się do Bedforda plecami. A zatem, w jaki sposób krew znalazła się tam, gdzie ją widzimy?

Major Clark poprawił się na krześle.

– Być może musiał podnieść zwłoki, zanim ulokował je w kabinie. Pewnie położył je sobie na ramieniu i w ten sposób pokrwawił ubranie.

– Pan nie jest ekspertem w takich sprawach, prawda? Nikt pana nigdy nie uczył o miejscu zbrodni ani o śladach krwi, zgadza się?

– Na to pytanie już odpowiedziałem.

Podniósł się Walker Townsend.

– Wysoki Sądzie – powiedział – uważam, że obrona...

MacNamara podniósł rękę.

– Jeżeli ma pan jakiś problem, kapitanie, może pan wrócić do niego podczas powtórnego przesłuchania. Niech pan kontynuuje, poruczniku.

– Dziękuję, panie pułkowniku – odrzekł Tommy, zaskoczony zdecydowaniem, jakie wykazał przewodniczący. – No dobrze, majorze Clark. Załóżmy, że Scott faktycznie podniósł zwłoki, chociaż z początku nic pan na ten temat nie mówił. Czy oskarżony jest człowiekiem praworęcznym czy mańkutom?

– Nie wiem – odparł Clark po chwili wahania.

– Jeżeli wolał użyć lewego ramienia do podniesienia ciężaru, to chyba jest leworęczny, prawda?

– Tak.

Tommy odwrócił się do Lincolna Scotta.

– Czy jest pan leworęczny, poruczniku? – zapytał głośno.

Oskarżony uśmiechnął się i zareagował błyskawicznie, zanim Walker Townsend miał okazję zgłosić sprzeciw. Poderwał się z okrzykiem:

– Nie, sir! Jestem praworęczny, sir! – i wyciągnął przed siebie prawą rękę z mocno zaciśniętą pięścią.

Tommy odwrócił się z powrotem do majora Clarka.

– A zatem – powiedział ostrym tonem – może zabójstwa dokonano w inny sposób. W zupełnie inny sposób.

– No cóż – zaczął Clark – może istotnie nie było dokładnie...

Tommy zamknął mu usta, podnosząc rękę.

– Dość już o tym – powiedział. – Zastanawiam się tylko, co jeszcze nie zdarzyło się dokładnie tak, jak pan sugerował. Więcej, zastanawiam się nawet, czy w ogóle cokolwiek odbyło się dokładnie tak, jak pan uważa!

Ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Potem wzruszył ramionami i podniósł ręce w geście powątpiewania. Chciał stworzyć wrażenie, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą skazywać oskarżonego bez niepodważalnych dowodów.

– Nie mam więcej pytań – dodał tonem pełnym obrzydzenia. – Nie do tego świadka!

Teatralnym krokiem wrócił na miejsce, starając się podkreślić dramatyzm sytuacji. Kątem oka widział, że Hauptmann Visser bardzo uważnie przysłuchiwał się przesłuchaniu. Po twarzy Niemca błąkał się znany już Tommy’emu wredny uśmieszek. Kapitan mówił coś szeptem do stenografa, który błyskawicznie zapisywał jego słowa.

Siedzący obok Harta Lincoln Scott powiedział cicho: „Doskonała robota”. Hugh Renaday napisał na skrawku papieru nazwisko „Fenelli”, opatrując je wieloma grubymi wykrzyknikami. Kanadyjczyk wiedział, co teraz nastąpi i uśmiechał się z satysfakcją.

Za plecami usłyszeli szum rozmów. Jeńcy pochylali się do siebie i wymieniali uwagi jak kibice omawiający rozwój wydarzeń na boisku. Pułkownik MacNamara pozwolił im pohłasować przez chwilę, po czym trzykrotnie uderzył w stół młotkiem. Miał surową, ściągniętą twarz. Nie był zły, ale najwyraźniej zdenerwowany. Nie wiadomo tylko, czy źródłem tego nastroju była kruchość linii oskarżenia czy też teatralne triki Tommy’ego.

– Powtórne przesłuchanie? – zapytał chłodno Townsenda.

Kapitan podniósł się. Tommy poczuł nagłe zdenerwowanie, gdy obserwował jego konsekwentny, powolny sposób poruszania się. Pomyślał, że kapitan będzie balansował w powietrzu, starając się utrzymać wysoki pułap przy jednym wyłączonym silniku.

Walker Townsend wystąpił naprzód, kręcąc głową.

– Nie, sir, nie mamy więcej pytań do majora Clarka – poinformował.

To stwierdzenie zaskoczyło Tommy'ego. Był pewny, że Townsend postara się przywrócić niepodważalność zeznaniom majora Clarka, a przy okazji jeszcze bardziej uwypuklą się jego braki jako śledczego w sprawach kryminalnych. Tommy nieoczekiwanie zaczął się bać, podobnie jak na pokładzie „Lovely Lydii”; samolot wracał wieczorem do bazy i niespodziewanie został zaskoczony przez niewidocznego focke-wulfa, którego pociski nagle przecięły smugami błękitne niebo, przelatując obok kadłuba bombowca. Potrzeba było całego mistrzostwa ich kapitana z zachodniego Teksasu, by skryć się w niedalekiej chmurze i umknąć groźnemu napastnikowi.

Townsend popatrzył przelotnie na stół obrony oraz na zgromadzonych na sali jeńców.

– Czy macie innego świadka? – zapytał pułkownik MacNamara.

– Tak jest, mamy, panie pułkowniku – odpowiedział pospiesznie oskarżyciel. – To będzie nasz ostatni świadek, a po jego zeznaniach prokuratura zakończy prezentację swojego stanowiska, sir.

Głos Townsenda przybierał na sile z każdym kolejnym słowem. Kiedy kończył mówić, prawie krzyczał.

– Teraz, sir, oskarżenie wzywa na świadka podporucznika Nicholasa Fenellego!

– Co się dzieje, do cholery?! – wybuchnął Hugh Renaday. Lincoln Scott upuścił ołówek, a Tommy poczuł nagły zawrót głowy, jakby zbyt szybko poderwał się z miejsca. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Podporucznik Nicholas Fenelli! – zawołał MacNamara.

W tłumie widzów wszczął się ruch i zamieszanie – lotnicy zaczęli robić przejście dla człowieka, który z racji obozowych ograniczeń pełnił funkcję lekarza. Tommy odwrócił się i patrzył, jak Fenelli przedziera się na środek sali teatralnej ze wzrokiem utkwionym przed siebie, skrupulatnie unikając patrzenia na Harta.

– Co to jest, do diabła? – szeptał Renaday. – To jakaś cholerna zasadzka!

Tommy patrzył na zbliżającego się Fenellego. Medyk przygotował swój mundur na tę okazję najlepiej, jak potrafił, ogolił się nową żyłką – rzecz bardzo wartościowa w obozie – uczesał stojące, czarne włosy i doprowadził do ładu cienki

wąsik. Kiedy doszedł na miejsce, zsalutował energicznie i wziął do ręki Biblię, przysięgając mówić prawdę. Tommy patrzył na niego jak zahipnotyzowany; miał wrażenie, że rozgrywająca się na jego oczach scena to film puszczony w zwolnionym tempie. Fenelli już podniósł rękę, by złożyć przysięgę, a wtedy Hart otrząsnął się z otępienia i skoczył na równe nogi, uderzając pięścią w stół.

– Sprzeciw! Sprzeciw! Sprzeciw! – wołał.

Świadek zatrzymał się, wciąż nie patrząc w kierunku Tommy'ego. Walker Townsend stanął przed stołem sędziowskim, a MacNamara pochylił się do przodu.

– Na jakiej podstawie zgłasza pan sprzeciw, poruczniku? – zapytał chłodnym tonem.

Tommy zaczerpnął powietrza.

– Nazwiska tego człowieka nie było na liście świadków oskarżenia, Wysoki Sądzie! Nie może więc zostać wezwany do składania zeznań, ponieważ obrona nie miała odpowiedniej szansy przedyskutowania jego świadectwa...

Walker Townsend wpadł mu słowo, obracając się w kierunku obrońcy.

– Poruczniku Hart, jest pan nieuczciwy! Przecież doskonale orientuje się pan, co wiąże pana Fenellego z tą sprawą, a nawet przesłuchiwał go pan przez długi czas! Co więcej, jestem zdania, że to pan chciał go powołać na świadka.

– Czy to prawda, panie Hart? – zapytał MacNamara.

Tommy poczuł, że traci grunt pod nogami. Nie miał pojęcia, w jakim celu oskarżyciel wzywa Fenellego, szczególnie, że orientował się, co medyk może powiedzieć o charakterze obrażeń odniesionych przez Tradera Vica i rodzaju narzędzia, jakim zostały one zadane. Coś tu jednak pachniało wyjątkowo brzydko, ale Tommy nie wiedział, co to takiego. Musiał walczyć z cieniem.

– Prawda, wypytywałem porucznika Fenellego. Prawdą jest również, że zastanawiałem się, czy wezwać go na świadka...

– Wobec tego nie widzę podstaw do sprzeciwu, poruczniku – oświadczył sztywno MacNamara.

– Sir, pozostaje jednak faktem, że nie figuruje on na liście oskarżenia! Już samo to powinno przesądzić o zakazie powoływania go na świadka przez prokuratora.

– Ten problem już przerabialiśmy przy okazji zeznań majora Clarka, poruczniku! Ze względu na niezwykle warunki, jakie tutaj panują, sąd uznaje za rzecz konieczną pozostawienie obu stronom większej dowolności w postępowaniu przy jednoczesnej dbałości o zachowanie uczciwego charakteru tej rozprawy.

– To nie jest uczciwe, sir!

– Jestem odmiennego zdania, poruczniku. Panie Fenelli, proszę zająć miejsce! Kapitanie Townsend, proszę kontynuować!

Tommy zachwiał się jak pijany. Bezwładnie opadł na krzesło. Nie miał śmiałości spojrzeć na Lincolna i Hugh. Słyszał tylko przekleństwa mamrotane pod nosem przez Renadaya. Scott siedział nieruchomo z rękami opartymi na stole.

14. Drugie kłamstwo

Podporucznik Nicholas Fenelli usiadł na krześle dla świadków. Kręcił się, starał się znaleźć najwygodniejszą pozycję, a w końcu położył ręce na udach, jakby chciał poczuć się bardziej pewnie. Nie patrzył na Tommy'ego Harta, Lincolna Scotta i Hugh Renadaya, którzy aż kipieli od morderczej furii. Utkwił wzrok w kapitanie Townsendzie, który starał się własnym ciałem zasłonić Fenellego przed obroną.

– A zatem, poruczniku – zaczął oskarżyciel łagodnym głosem, przypominającym głos nauczyciela, starającego się ośmielić zdolnego, choć wstydliwego ucznia – niech pan nam powie, jak zdobył pan doświadczenie w obchodzeniu się z ofiarami morderstw.

Fenelli skinął głową i powtórzył to, co wcześniej słyszeli od niego Tommy i Hugh; mówił o pracy w zakładzie pogrzebowym w Cleveland, należącym do wuja, gdzie był zatrudniony przed rozpoczęciem studiów medycznych. Opowiadał bez obcesowej brawury, jaką zademonstrował przedtem Tommy'emu. Teraz zachowywał się skromnie, mówił wprost, wyczerpująco. Wyraźnie pozbył się wcześniejszej prostackiej manieri.

– Bardzo dobrze – oświadczył Townsend po wysłuchaniu wypowiedzi Fenellego. – A teraz niech pan powie sądowi, jak doszło do badania przez pana szczątków zabitego.

Fenelli znowu skinął głową.

– Moim zadaniem było przygotować zwłoki kapitana Bedforda do pochówku, sir. Robiłem to już przy kilku innych okazjach. Podczas tej pracy obejrzałem rany na ciele Bedforda.

Townsend powoli opuścił głowę. Tommy siedział cicho na swoim miejscu; zwrócił uwagę, że Townsend nie wspomniał nic o rozkazie niebadania zwłok, jaki Fenellemu wydał Clark. Jak dotychczas świadek nie powiedział nic, czego by Hart nie oczekiwał. Ale ten stan rzeczy miał się niebawem zmienić.

– Czy potem przyszedł do pana porucznik Hart z rysunkami z miejsca zbrodni i

pytaniem dotyczącym sposobu zabicia kapitana Bedforda? – zapytał oskarżyciel.

– Tak jest – odparł szybko Fenelli.

– Czy podzielił się pan z nim swoimi poglądami na temat zabójstwa?

– Tak, sir. Zrobiłem to.

– Czy tamta ocena jest identyczna z pana dzisiejszym poglądem?

Fenelli przełknął ślinę i uśmiechnął się dyskretnie.

– No, niezupełnie – odparł z wahaniem.

Tommy natychmiast się poderwał.

– Wysoki Sądzie! – powiedział, patrząc na pułkownika MacNamare. – Nie rozumiem, co się stało ze świadkiem, ale ta nagła zmiana postawy wyraźnie śmierdzi!

Pułkownik skinął głową.

– Być może ma pan rację, poruczniku. Ale ten człowiek zeznaje teraz pod przysięgą; wszyscy słyszeliśmy, jak ją składał. Został zaprzysiężony i ma mówić prawdę. Najpierw musimy wysłuchać, co ma do powiedzenia, a dopiero potem to osądzić.

– Sir, kiedy kota wypuści się z worka...

MacNamara uśmiechnął się i przerwał mu:

– Rozumiem, co ma pan na myśli, poruczniku, lecz mimo wszystko wysłuchamy tego świadka! Kapitanie Townsend, proszę dalej.

Tommy nadal stał; tak mocno ścisnął blat stołu, aż zbieleły mu palce.

– Niech pan siada, poruczniku Hart! – upomniał go ostro MacNamara. – Będzie pan miał okazję wytoczyć swoje argumenty, kiedy nadejdzie stosowna pora!

Tommy opadł na krzesło.

Po chwili wahania kapitan Townsend powiedział:

– Cofnijmy się jeszcze trochę, poruczniku Fenelli. Czy po pańskiej rozmowie z porucznikiem Hartem doszło do spotkania pana ze mną i majorem Clarkiem?

– Tak jest.

– A czy podczas tej ostatniej rozmowy miał pan sposobność zapoznać się z dowodami oskarżenia, dotyczącymi tej sprawy? Czy oglądał pan nóż domowej

roboty, wykonany przez porucznika Scotta oraz części jego odzieży, które tutaj leżą?

– Tak jest, sir.

– Natomiast pan Hart nie pokazywał panu tych rzeczy?

– Nie. On mi pokazał tylko rysunki, które przygotował.

– Czy te rysunki wydawały się panu dokładne?

– Tak jest.

– A czy jest w nich coś, co nie pozwala zgodzić się z poglądem na temat warunków śmierci kapitana Bedforda, jaki pan sobie wyrobił, badając jego zwłoki?

– Nie, sir.

– Proszę teraz powiedzieć sądowi, co pan myśli o tej zbrodni.

– No cóż, kiedy pierwszy raz zobaczyłem zwłoki kapitana Bedforda, odniosłem wrażenie, że został on zabity ciosem zadany od tyłu i tak właśnie powiedziałem porucznikowi Hartowi. Sądziłem wtedy również, że narzędziem zbrodni był jakiś długi, ostry przedmiot...

– Czy wspomniał pan o tym porucznikowi Hartowi? O tym, że narzędzie zbrodni było wąskie?

– Tak jest, sir. Sugerowałem, że zabójstwa dokonał człowiek trzymający w ręce cienki sztylet albo nóż sprężynowy.

– Ale on panu takiego przedmiotu nie pokazał, zgadza się?

– Nie, nie miał takiego noża.

– A zatem nigdy pan tego rodzaju narzędzia nie widział?

– W każdym razie nie tutaj.

– A więc nie ma żadnego dowodu, że ten drugi, jak to pan go nazwał...

– Sztylet albo nóż sprężynowy, panie kapitanie.

– No właśnie. Broń zabójcy. Nie ma dowodów, że ona w ogóle istnieje, prawda?

– W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

– W porządku – odparł Townsend i zrobił krótką przerwę. – A zatem początkowo był pan zdania, że zabójstwa dokonano przy użyciu noża, który, jak się wydaje, nie istnieje... Czy dziś uważa pan tak samo jak wtedy?

Tommy podniósł się energicznie.

– Sprzeciw! – zawołał.

Pułkownik MacNamara pokiwał głową.

– Kapitanie Townsend – powiedział – niech pan się postara formułować pytania w sposób możliwy do zaakceptowania. I niech pan nie poprawia zeznań świadka.

– Tak jest, Wysoki Sądzie – zgodził się oskarżyciel i popatrzył na porucznika Fenellego, ale nie zmienił pytania. Wykonał tylko nieznaczny ruch ręką, zachęcając go do odpowiedzi.

– Nie, sir. Dziś widzę tę kwestię trochę inaczej. Po pokazaniu mi noża, będącego w posiadaniu prokuratury, tego, który pan i major Clark zaprezentowaliście mi wczoraj, uznałem, że rany kapitana Bedforda wydają się odpowiadać temu właśnie narzędziu.

– Wydają się odpowiadać, to znakomite – mruknął Lincoln Scott. Tommy nic nie powiedział. Z wielką uwagą słuchał słów, z trudem wypowiedzianych przez Fenellego.

– Czy istniał jeszcze inny powód, dla którego z początku myślał pan, że rany kapitana Bedforda zostały zadane akurat takim wąskim nożem? – dopytywał się Townsend.

– Tak jest, był taki powód, sir. Takie rany widywałem podczas pracy w zakładzie pogrzebowym w Cleveland, sir. Ponieważ najlepiej znałem broń, o jakiej była mowa i spustoszenia, jakie ona powodowała, wyciągnąłem wniosek w sposób automatyczny. To moja wina, w pewnym sensie.

Townsend uśmiechnął się, słuchając gramatycznych łamańców Fenellego.

– Jednak, po głębszym zastanowieniu... – podpowiedział.

– No właśnie, głębsze zastanowienie. Myślałem o tym dość długo, i to nie raz, sir. Zaobserwowałem też pewne ślady kontuzji na twarzy kapitana. Mógł zostać uderzony pięścią, mocno, a ten cios rzucił go na ścianę Abortu. Wtedy Bedford odsłonił część szyi, na której zostały odkryte pierwsze rany. Znajdował się w takim stanie, że nie potrafił się bronić, może nie był całkowicie przytomny; rozchwiany, że się tak wyrażę. I wtedy trafiło go to ostrze, co sprawiało wrażenie ciosu zadanego od tyłu. Przynajmniej ja odniosłem początkowo takie wrażenie. Ale musiałem się mylić.

W każdym razie istnieje taka możliwość. To mogło się zdarzyć także i w ten sposób. Ja nie jestem specjalistą.

Walker Townsend skinął głową. Nie był w stanie ukryć satysfakcji.

– No właśnie. Pan nie jest specjalistą.

– Tak właśnie powiedziałem. Nie jestem specjalistą – powtórzył Fenelli. Poprawił się na krześle i dorzucił: – Powinienem pójść do pana Harta i poinformować go, że zmieniłem zdanie, sir. Powinienem to zrobić natychmiast po rozmowie z panem. Przepraszam, że tego nie zrobiłem, ale nie miałem czasu, ponieważ...

– Naturalnie – Townsend ostro przerwał mu w pół słowa. – Mam jeszcze jedno pytanie, poruczniku. Wiele uwagi przywiązywano tutaj do tej lewo- czy praworęczności...

– Zgadza się.

– Czy przeprowadzone przez pana oględziny zwłok prowadzą do jakichś konkluzji w tym względzie?

– Tak, sir. Biorąc pod uwagę odniesione kontuzje i rany zadane nożem, a także po rozmowie z panem doszedłem do przekonania, że człowiek, który zabił kapitana Bedforda przypuszczalnie był oburęczny, a w każdym razie bardzo tego bliski, sir.

Townsend powoli pokiwał głową.

– Oburęczny, a zatem taki, który potrafi z jednakowym powodzeniem używać ręki lewej i prawej, czy tak?

– Dokładnie tak, sir.

– Takim człowiekiem może być na przykład wyjątkowo sprawny bokser?

– Tak przypuszczam.

– Sprzeciw! – Tommy poderwał się jeszcze raz.

Pułkownik MacNamara popatrzył na Tommy'ego i powstrzymał go podniesieniem ręki.

– Tak, tak – powiedział. – Wiem, o co panu chodzi, poruczniku Hart. Jest to wniosek, którego świadek nie jest w stanie sformułować. I ma pan całkowitą rację. Niestety, jest to też wniosek oczywisty dla całego trybunału.

Gestem ręki kazał Tommy'emu usiąść.

– Czy ma pan dalsze pytania do porucznika Fenellego, kapitanie? – zapytał Townsenda.

Ten ostatni uśmiechnął się, spojrzął na majora Clarka i zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, sir. Oskarżenie nie ma dalszych pytań. Świadek należy do pana, poruczniku Hart.

Tommy trząsł się ze złości z powodu oczywistej zdrady Fenellego. Podniósł się jednak z miejsca i bez słowa patrzył na siedzącego naprzeciwko świadka. Miotają nim sprzeczne emocje, z gniewu widział cały świat na czerwono. Przygryzł wargę i myślał tylko o tym, żeby zrobić Fenellemu jak największą krzywdę. Miał zamiar wpędzić go w zakłopotanie, wykazać wszystkim mieszkańcom obozu, że jest to podstępny, tchórzliwy, uderzający z tyłu drań, za jakiego sam go uważał. Opanował ogarniającą go wściekłość i zastanawiał się nad pierwszym pytaniem, które zdemaskowałoby przed całym audytorium tego judasza. Z trudem, chrapliwie łapał oddech, przygotowywał się do zniszczenia świadka pierwszym pytaniem.

Już otwierał usta, by wystrzelić pierwszą salwę, kiedy kątem oka dostrzegł twarz Walkera Townsenda. Kapitan z Wirginii siedział lekko pochylony, z miną nie tyle zadowoloną, co wyrażającą niecierpliwe oczekiwanie. W ułamku sekundy Tommy zorientował się, że chodzi tu o ważną rzecz. Kapitan Townsend i siedzący obok niego major Clark oczekiwali czegoś więcej, niż Fenelli powiedział podczas zeznań. Chodziło im o to, co on dopiero ma powiedzieć, kiedy rozwścieczony Tommy zaatakuje go pytaniami.

Hart odetchnął głęboko. Spojrzął na Hugh Renadaya i Lincolna Scotta. Po ich twarzach zorientował się, że życzą sobie, by stał kłamliwego medyka na miazgę.

Tommy odetchnął i popatrzył najpierw na Fenellego, a potem na MacNamare.

– Panie pułkowniku – zaczął z fałszywym uśmiechem – nagła zmiana tonu porucznika Fenellego jest dla obrony kompletnym zaskoczeniem. Prosimy zatem o odłożenie posiedzenia sądu do jutra, abyśmy mogli przedyskutować strategię.

Na te słowa poderwał się kapitan Townsend.

– Sir, do wieczornego apelu mamy jeszcze prawie godzinę. Uważam, że powinniśmy pracować jak najdłużej. To aż za wiele czasu, by porucznik Hart mógł

zadać swoje pytania, a jeżeli zajdzie taka potrzeba, jutro rano będzie mógł kontynuować przesłuchanie.

Tommy odkaszlnął. Skrzyżował ręce na piersiach i zrozumiał, że przed chwilą właśnie uniknął pułapki. Rozejrzał się dookoła. Major Clark zaciskał pięści.

MacNamara wydawał się dziwnie obojętny na to wszystko. Zastanawiał się.

– Porucznik Hart ma słuszość – oznajmił wreszcie. – Do apelu pozostała niespełna godzina. To nie jest zbyt dużo czasu, a sprawy toczą się lepiej, gdy zeznań nie dzieli się na części. Wobec tego przerwiemy na dzisiaj i wznowimy postępowanie jutro rano.

Po tych słowach odwrócił się szybko do Hauptmanna Vissera, siedzącego w kącie sali i zauważył poirytowanym, drażliwym tonem:

– Moglibyśmy działać znacznie bardziej sprawnie i doprowadzić całą sprawę szybciej do końca, gdybyśmy nie byli zmuszani nieustannie przerywać z powodu regularnych apeli i zbiórek. Czy zechce pan zwrócić na to uwagę komendanta von Reitera?

– Wspomnę o tym panu pułkownikowi – odparł oschle Visser.

– Doskonale – ciągnął MacNamara. – Poruczniku Fenelli, niech pan pamięta, że podobnie jak inni świadkowie pozostaje pan związany przysięgą i nie wolno panu z nikim rozmawiać o tych zeznaniach ani o innych aspektach toczącej się sprawy. Czy pan mnie zrozumiał?

– Oczywiście, sir – odparł skwapliwie Fenelli.

– A zatem odraczam posiedzenie sądu do jutra – zakończył, podnosząc się z krzesła MacNamara.

Tak jak poprzednio, Tommy, Scott i Hugh zaczęli czekać, aż teatr się opróżni. Siedzieli przy stole bez słowa, aż w sali ucichły ostatnie echa kroków ludzi w lotniczych butach. Lincoln siedział sztywno wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym w opustoszałe krzesło dla świadków.

Renaday odsunął się energicznie i odezwał się pierwszy.

– Parszywy łgarz! – powiedział ze złością. – Tommy, dlaczego nie naskoczyłeś na niego natychmiast? Powinieneś przegryźć gardło temu szmaciarzowi!

– Ponieważ im właśnie na tym zależało, a przynajmniej tego się spodziewali. Poza tym wszystko, co powiedział Fenelli, jest już wystarczająco szkodliwe, a to, co mógłby dodać, mogłoby okazać się jeszcze gorsze.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – warknął Hugh.

– Nie wiem. Ja tylko zgaduję – odparł bezbarwnym tonem Hart.

– Co gorszego mógłby jeszcze powiedzieć?

Tommy wzruszył ramionami.

– Opowiadał te wszystkie kłamstwa w sposób bardzo dwuznaczny, ciągle mówił „być może”, „powiedzmy” i tak dalej. Nie mam pewności, czy gdybym zapytał go o wizytę, jaką złożyli mu Townsend i Clark, byłby równie niepewny. Być może jego następne kłamstwo zupełnie by nas pogrążyło. Ale to są wyłącznie domysły.

– Cholernie niebezpieczne domysły, chłopcze – skomentował Hugh Renaday. – Dałeś temu skurwielowi całą noc na przygotowanie się do obrony przed atakiem.

– Nie wiem, czy masz rację – odparł Tommy. – Po kolacji chyba złożę panu Fenellemu wizytę.

– Ale MacNamara zapowiedział...

– Do diabła z MacNamarą – sprzeciwił się Tommy. – W końcu, co on takiego może mi zrobić? I tak jestem już jeńcem wojennym.

Lincoln Scott skwitował tę odpowiedź dyskretnym, smutnym uśmiechem. Nie odezwał się jednak, najwyraźniej wolał zachować dla siebie te przerażające myśli, jakie go dręczyły. Tylko jedna rzecz była oczywista: może faktycznie pułkownik MacNamara nie mógł wyrządzić wielkiej krzywdy Tommy’emu, ale to w niczym nie pomagało Lincolnowi.

Wieczne niebo przecierało się, ustała denerwująca, zimna mżawka; wyglądało na to, że przed apelem pogoda mogło się nieco poprawić. Tommy stał spokojnie obok Lincolna Scotta, podczas gdy niemieccy strażnicy pracowicie, wielokrotnie liczyli obecnych na zbiórce jeńców. Przez chwilę zastanawiał się, ile to już razy Niemcy liczyli go od chwili przybycia do Stalagu Luft 13. Przysięgał sobie w duchu, że po powrocie do domu, do Vermont, nigdy już nie pozwoli na coś podobnego.

Rozglądał się dookoła, starając się wypatrzeć wśród ustawionych w szeregi mężczyzn Fenellego, ale nigdzie go nie zauważył. Widocznie medyk ukrył się w ostatnich szeregach, możliwie jak najdalej od ludzi mieszkających w baraku sto jeden. Hartowi nie robiło to różnicy. Miał zamiar odczekać pewien czas, a godzinę przed zgaszeniem świateł wyprawić się na rekonesans. Zastanawiał się, co powie niedoszłemu medykowi – starał się znaleźć punkt równowagi pomiędzy wściekłością a wyrozumiałością, tak, żeby zmusić Fenellego do ujawnienia powodów, jakie skłoniły go do zmiany wersji wydarzeń. Tommy wiedział, że do medyka dobrali się Townsend i Clark. Nie wiedział jednak, jak to się odbyło i właśnie to zamierzał ustalić. Musiał się także dowiedzieć, co Fenelli ma zamiar zeznać nazajutrz.

Zdał sobie sprawę, że jeśli pominąć ten wątek, właściwie nie ma w zanadrzu żadnych kruczków ani żadnych dowodów do zaprezentowania. Jedynym świadkiem obrony pozostawał Lincoln Scott. A więc jego atutami są Scott i elokwencja, na jaką Tommy jest się w stanie zdobyć. Pokręcił głową – to nie była zbyt atrakcyjna oferta. Hart uważał Scotta za fatalnego świadka, miał również wątpliwości, czy swą pełną pasji przemową zdoła kogokolwiek przekonać, szczególnie MacNamarę i dwóch pozostałych członków trybunału.

Po usłyszeniu wydanej grzmiącym głosem komendy: „Rozejść się!”, bez słowa ruszył za Scottem i Renadayem przez boisko sportowe w kierunku baraku sto jeden. Nie zwracał uwagi na otaczające go rozmowy.

Kiedy znaleźli się na głównym korytarzu baraku, odezwał się Hugh:

– Musimy coś zjeść, chociaż założę się, że w spiżarni nie ma zbyt wielkich zapasów – powiedział.

– Damy sobie radę – wtrącił Scott. – Ja mam prawie nie naruszoną paczkę. Weźcie, co chcecie i zróbcie sobie kolację. Ja nie jestem głodny.

Hugh chciał coś odpowiedzieć, lecz powstrzymał się. Podobnie jak Tommy wiedział, że to nieprawda, bo w Stalagu Luft 13 głodni byli wszyscy.

Scott szedł pierwszy i otworzył drzwi do sypialni. Zatrzymał się na progu. Oni także przystanęli.

– O co chodzi? – zapytał Tommy.

– Znowu mieliśmy gości – odparł ostrożnie Scott. – Niech to szlag.

Tommy wszedł do środka. Lincoln wpatrywał się w jedno miejsce, więc pewnie chodziło o coś ważnego. Dopiero po chwili dostrzegł coś, co zaparło mu dech w piersiach.

W nieheblowanej, drewnianej ramie łóżka Tommy’ego, tuż obok niepowleczonej poduszki tkwił nóż. Odbijało się w nim światło zapalanej żarówki pod sufitem.

Nie był to pierwszy lepszy nóż, tylko ten jeden, jedyny. Wyrzeźbiona na czubku rękojeści trupia główka prawie uśmiechała się do Harta.

Teraz wszedł do pokoju Hugh.

– No więc nadszedł czas, by ktoś wreszcie zrobił to, co powinien – mruknął pod nosem. – O to właśnie chodziło, Tommy, mój chłopcze. Narzędzie zbrodni. Dzięki Bogu, wreszcie je dorwaliśmy!

Ostrożnie zbliżyli się do pryczy.

– Czy coś tu zostało poruszone? – zapytał Tommy.

– Nic na to nie wskazuje – odrzekł Scott.

– Czy zostawili jakąś wiadomość?

– Nie. Nic takiego nie widzę.

Tommy pokręcił głową.

– Powinna być jakaś wiadomość – upierał się.

– A to dlaczego? – zapytał Hugh. – Przecież to cholerstwo mówi samo za siebie. Może ten gość z myśliwca, no, ten facet z Nowego Jorku, który pierwszy ci o tym wspomniał, postanowił zostać naszym anonimowym dobroczyńcą.

– Może i tak – powiedział ostrożnie Tommy. Delikatnie wyjął nóż z drewnianej deski. Sztylet błysnął w świetle, jakby chciał im coś powiedzieć. Tommy obejrzał go dokładnie. Nóż wyczyszczono z krwi i innych pozostałości; wydawał się zupełnie nowy, nieużywany. Tommy zważył go w rękę – był lekki, ale solidny. Przeciągnął palcem po ostrzu z obu stron. Było ostre jak brzytwa. Czubek nie został stępiony, mimo że wbito go najpierw w gardło Tradera Vica, a potem w drewnianą ramę łóżka Tommy’ego. Czarną jak onyks rękojeść wypolerowano na wysoki połysk. Najwidoczniej wyrzeźbił ją wprawny rzemieślnik. Trupia główka miała barwę

perłowobiałą, była niemal przezroczysta. Ten sztylet kojarzył się jednocześnie z rytuałem i terrorem. Był to przedmiot okrutny, stanowiący potworną mieszaninę symbolu i morderczych zamiarów. Nagle pomyślał, że jest to najcenniejsza rzecz, jaką trzymał w rękach od wielu miesięcy, lecz zaraz skorygował to przekonanie – przecież znacznie ważniejsze są jego prawnicze książki. One też są na swój sposób niebezpieczne. Uśmiechnął się na myśl o idealizmie, typowym dla początkującego studenta.

– No, po raz pierwszy dopisało nam szczęście! – zawołał Hugh. – Sądzę, że to coś pomoże nam jutro zaskoczyć porucznika Fenellego. – Wyjął sztylet z ręki Tommy’ego, zważył go w dłoni i dodał: – To doprawdy parszywa rzecz.

Teraz sztylet wziął do ręki Scott. Badał go przez chwilę w milczeniu, po czym oddał Tommy’emu.

– Nie ufam mu – powiedział ostrym tonem.

– O co ci chodzi? – zapytał Hugh. – Przecież to jest przeklęte narzędzie zbrodni.

– No tak, pewnie masz rację. Ale dlaczego nagle ujawnia się w tak magiczny sposób? W naszej najczarniejszej godzinie? Przynajmniej tak by to określił jakiś kiepski poeta.

– Możliwe. A może po prostu nadszedł czas, że ktoś się nareszcie zorientował, jaki wstrętny spektakl się tu odbywa? – wybuchnął Hugh. – Ktoś w końcu uznał, że trzeba wyrównać szanse w tej rozgrywce, a my mieliśmy poważne podstawy, żeby się uskarżać.

– Mówisz my, Hugh, lecz masz na myśli mnie – uściślił Scott.

Renaday zachnął się, ale powoli skinął głową.

Scott spojrzął na Tommy’ego.

– W tym obozie nikt nie chce pomóc. Ani jeden człowiek – powiedział.

– Już o tym rozmawialiśmy – odrzekł Hart. – Nie mamy pewności, czy tak właśnie jest. W każdym razie nie możemy być o tym do końca przekonani.

– W porządku, jeżeli wolisz tak na to patrzeć – zgodził się Scott i jeszcze raz obejrzał ceremonialny sztylet. – Spójrz, Tommy, on ma w sobie zło i już raz posłużył złej sprawie. Śmierć aż z niego emanuje. Słuchaj, możesz sobie być święty

z tym jankesowskim uporem, typowym dla Vermontu, ale ja uważam się za człowieka bardziej nowoczesnego niż mój ojciec kaznodzieja, który w niedzielę rano staje na ambonie i chętnie powtarza, że wszystko, co nie ma bezpośredniego związku z Pismem Świętym jest niewiele albo zgoła nic niewarte. Tommy, Hugh, przypatrzcie się temu, a zrozumiecie, że nie wyjdzie z tego nic dobrego, a już na pewno żadna prawda.

– Ty jesteś cholernym filozofem, lecz brakuje ci pragmatyzmu – stwierdził Kanadyjczyk.

– Może i tak – odparł Lincoln. – Przyszłość to pokaże, prawda?

Tommy nie brał udziału w rozmowie. Położył sztylet na łóżku i jeszcze raz dotknął rękojeści. Nawet teraz, kiedy nóż wyczyszczono, nietrudno było sobie wyobrazić, z jaką łatwością człowiek sprawnie posługujący się takim narzędziem mógł je wbić w gardło przeciwnika ruchem komandosa, uszkodzić krtań i przedostać się do mózgu. Hart poczuł nagły dreszcz. Takie zabójstwo wydawało się brutalne i mało znane. Jednak gdy lepiej się nad tym zastanowić, trzeba dojść do konkluzji, że podczas wojny różnica pomiędzy wrazeniem ostrza w czyjąś szyję a zrzuconiem na niego dwustukilogramowej bomby jest doprawdy znikoma. Wciąż prześladowały go obrazy ostatnich chwil życia Tradera Vica – zastanawiał się, czy lotnik z Missisipi odczuwał ból, czy też po prostu był tylko zaskoczony i trochę zdziwiony, czując, jak ostrze sztyletu zagłębia mu się w ciele.

Scott miał rację. To rzecz w oczywisty sposób zła, złowroga. Zrozumiał, że jeżeli następnego dnia rano pokaże sztylet podczas rozprawy, a zobaczy go Hauptmann Visser, będzie to najprawdopodobniej równoznaczne z wyrokiem śmierci na Fritza Numer Jeden. Być może identyczną cenę zapłaci również komendant von Reiter. W najlepszym przypadku obaj pojedą na wschód, na rosyjski front, co oznacza mniej więcej to samo. Visser zda sobie przy tym sprawę, że taki nóż mógł trafić do obozu tylko jedną drogą. Tommy uznał, że ten sztylet, spoczywający na szarym, cienkim kocu jest w stanie zabić dwóch Niemców, nie drasnąwszy im nawet skóry.

Zadał sobie pytanie, czy człowiek, który podrzucił mu sztylet, wie o tym. Uznał, że sprawa wygląda bardzo podejrzanie. Popatrzył na Lincolna Scotta. Czarnoskóry

pilot miał sporo racji. Niespodziewane pojawienie się tego noża wcale mogłoby nie pomóc. Miał teraz identyczne odczucia jak wtedy, gdy powstrzymał się od zasypania Fenellego gradem ostrych pytań. Zastanawiał się, czy nie jest to następna pułapka.

– Pieprzyć to – powiedział. – Czas pójść pogadać trochę z naszym byłym świadkiem. Tym, z którym wiązaliśmy tak wielkie nadzieje. Może też dobrze byłoby zapytać go prywatnie, dlaczego zmienił ton.

– Zastanawiam się, co oni mu przyrzekli – wtrącił Scott. – Czym tu można przekupić człowieka?

Tommy nie odpowiedział, choć uznał to za bardzo dobre pytanie. Owinął sztylet w swoje stosunkowo mało używane, oliwkowe wełniane skarpety i wsadził za pazuchę, do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Bierzesz go ze sobą? Dlaczego? – pytał Scott.

– Ponieważ mam wrażenie, że to jest prawdziwe narzędzie zbrodni – odrzekł Hart – a nic nie stoi na przeszkodzie, aby za kilka minut przyszli tu major Clark i kapitan Townsend, tak jak poprzednio, i przeprowadzili kolejne, nielegalne przeszukanie, a jutro w sądzie ogłosili, że to świństwo było w naszym posiadaniu od dawna. A może jedynym człowiekiem, który miał ten nóż jest Lincoln Scott?

Taka ewentualność nikomu nie przyszła do głowy.

– Stajesz się cholernie podejrzliwy, Tommy – skomentował Scott, uśmiechając się ze smutkiem.

– Mam powody – odparł Hart. Patrzył, jak Lincoln odwraca się tyłem z opuszczonymi ramionami i kładzie się na łóżku.

Scott wyglądał na człowieka zrezygnowanego. Chyba po raz pierwszy Tommy dostrzegł w oczach oskarżonego poczucie przegranej, a w głosie usłyszał rezygnację.

Starał się o tym nie myśleć, kiedy szedł szukać Fenellego. Był wczesny wieczór. Kłamiwy medyk mógł okazać się nie mniej groźny niż nóż, ukryty na piersi Harta.

Tommy szybkim krokiem szedł do baraku medycznego. Nastąpiła akurat taka pora dnia, gdy niebo zapomina o świetle dziennym i zapowiada nadciągającą noc. Większość jeńców przebywała już w swoich kwaterach, wielu pracowicie

przygotowywało skromne kolacje. Im bardziej skrupulatnym kucharzem był jakiś oficer, im bardziej poświęcał się mieszaniu podstawowych składników pożywienia i organizowaniu wieczornego posiłku, tym bardziej narzekał na braki w wyżywieniu. Przy jednym z baraków Tommy poczuł tak powszechny w stalagu zapach smażonego mięsa z konserwy, a także dojmujący, aż bolesny głód – doskonale znany wszystkim jeńcom. Miał ogromną ochotę na plasterek tłustego mięsa, położony na kromce świeżego chleba. Co prawda obiecywał sobie, że jeżeli los pozwoli mu kiedyś wrócić do domu, nie tknie więcej mięsa z puszki.

Wszedł zza narożnika baraku sto dziewiętnaście i w brudnym oknie baraku medycznego zobaczył słaby odblask światła. Przez chwilę patrzył na teren położony za drucianym ogrodzeniem, gdzie mieścił się niewielki, biedny cmentarzyk. To był wyjątkowo okrutny pomysł ze strony Niemców, żeby pozwolić grzebać za drutami ludzi, którzy zmarli w obozie. Kryło się w tym szyderstwo z prześladowanego każdego jeńca marzenia o wolności i powrocie do domu. Jedyni wolni ludzie w tym więzieniu spoczywali dwa metry pod powierzchnią ziemi.

Tommy skrzywił się ze złością, wciągnął haust chłodnego powietrza i truchtem wbiegł na drewniane schodki prowadzące do baraku-ambulatorium, a potem do środka.

Za biurkiem siedział jakiś mężczyzna – przyjął identyczną pozę jak Nicholas Fenelli, kiedy Tommy zobaczył go po raz pierwszy. Gospodarz spojrział na niego nieprzyjaźnie.

– O co chodzi, koleś? – zapytał. – Niedługo się ściemni, powinieneś być w swoim baraku.

Tommy wszedł w krąg światła. Zauważył, że mężczyzna ma na kurtce dystynkcje kapitana i zasalutował mu leniwie. Nie poznał go, lecz sam został rozpoznany.

– Ty jesteś Hart, prawda?

– Zgadza się. Szukam...

– Wiem, kogo szukasz. Ale byłem tam i słyszałem, co rozkazał MacNamara...

– Czy ty też masz jakieś nazwisko, kapitanie? – przerwał mu Tommy.

Oficer wzruszył ramionami i po chwili wahania odpowiedział:

– No jasne. Nazywam się Carson. Tak jak ten słynny zwiadowca – powiedział, wyciągając rękę na powitanie. Tommy uścisnął mu dłoń.

– No dobrze, kapitanie Carson, spróbuję jeszcze raz. Gdzie jest Fenelli?

– Nie ma go tutaj. A poza tym otrzymał rozkaz, aby nie gadał z tobą ani z nikim innym. Ty też otrzymałeś rozkaz i nie powinieneś się z nim kontaktować.

– Długo siedzisz w tym pudle, kapitanie? Nie poznaję cię.

– Parę miesięcy. Przyjechałem tu na krótko przed Scottem.

– Rozumiem. Pozwól, że cię w coś wtajemniczę. Być może nadal jesteśmy w armii, nosimy mundury, salutujemy i zwracając się do innych, wymieniamy ich rangę, ale wiesz co? To już nie jest to, co dawniej. No, gadaj, gdzie jest Fenelli?

Carson potrząsnął głową.

– Ci ludzie przenieśli go. I powiedzieli mi, żebym ci nic nie mówił, jeżeli tu przyjdiesz – odrzekł.

– Mogę chodzić od jednego baraku do drugiego...

– A jakiś wartownik z wieży może cię za ten wysiłek poczęstować kulką.

Tommy przytaknął – kapitan miał rację. To absurdalne, żeby Tommy chodził po wszystkich pokojach i szukał Fenellego. Było to nie do zrealizowania w tak krótkim czasie, jaki pozostał do zgaszenia światła.

– A ty wiesz, gdzie on jest? – zapytał.

Kapitan zaprzeczył.

– A ci ludzie, którzy poinformowali cię, co masz mówić, jeśli przyjdę się tu rozejrzeć, to naturalnie major Clark i kapitan Townsend, zgadza się?

Carson zawahał się, co dla Tommy'ego oznaczało odpowiedź twierdzącą. Potem wzruszył ramionami.

– Owszem – powiedział. – To oni. Pomogli też Fenellemu zmienić tę opowieść. A mnie powiedzieli, że mam pomagać Fenellemu w ambulatorium, kiedy proces dobiegnie końca i sytuacja powróci do normy. Tak powiedzieli: „Powróci do normy”.

– A więc zostaniesz pomocnikiem Fenellego? Masz w tym jakieś doświadczenie? To znaczy praktykę w dziedzinie medycznej?

– Mój staruszek był wiejskim lekarzem. Prowadził niewielką klinikę, a ja tam pracowałem latem. Byłem też na wstępnym kursie medycyny na Uniwersytecie Wisconsin, więc myślę, że mam kwalifikacje nie gorsze od innych. Wiesz, zastanawiam się, dlaczego tu nie ma ani jednego prawdziwego lekarza. A przecież w obozie można znaleźć przedstawicieli każdej profesji...

– Może lekarze nie są tacy głupi, by się pakować na B-17...

– ...albo na thunderbolty, tak jak ja – dokończył z uśmiechem Carson. – Wiesz, Hart, ja wcale nie jestem taki nieużytek. Gdybym wiedział, powiedziałbym ci. Do diabła, chyba nawet sam Fenelli nie wiedział, dokąd go przenoszą. Ale on przewidywał, że przyjdiesz dziś wieczorem i kazał mi przekazać, że jest mu cholernie przykro z powodu dzisiejszego dnia...

Kapitan przerwał na chwilę i rozejrzał się wokół siebie, jakby chciał jeszcze raz się upewnić, czy w ambulatorium nie ma nikogo poza nimi.

– Zostawił dla ciebie wiadomość – ciągnął dalej. – Musisz zrozumieć, Hart, ci dwaj faceci mieli na Fenellego oko. Ostro wleźli mu na kark. Ja nie odniosłem wrażenia, żeby on był uszczęśliwiony tą przeprowadzką, dokądkolwiek go przenieśli. A już z całą pewnością nie był zachwycony swoimi zeznaniami w sądzie, ale nie wypowiadał się na ten temat konkretnie, przynajmniej do mnie. Zdołał jednak napisać kilka słów i podrzucić mi to... – sięgnął do kieszeni, wyjął z niej złożony na pół skrawek papieru i podał go Tommy'emu.

– Ja tego nie czytałem – zapewnił.

Tommy przytaknął i rozwinął liścik.

Przepraszam, Hart. Trader Vic miał rację w jednej sprawie: w tej parszywej dziurze wszystko sprowadza się do interesu. Jeśli ktoś zarobi, inni mogą stracić. Mam nadzieję, że dojedziesz do domu w jednym kawałku. Jak to wszystko się skończy, a ty trafisz kiedyś do Cleveland, skontaktuj się ze mną, abym mógł cię przeprosić jak należy.

Wiadomość nie była podpisana. Została nagryzmołona pospiesznym, niewyraźnym pismem za pomocą grubego, ciemnego ołówka. Tommy przeczytał ją

trzykrotnie i zapamiętał każde słowo.

– Fenelli prosił, żebyś to spalił, jak już przeczytasz – przypomniał sobie Carson.

Tommy skinął głową.

– Co ci mówił Fenelli? O tym miejscu, o klinice?

Kapitan przesadnie wzruszył ramionami.

– Odkąd tu trafiłem, bez przerwy narzekał. Miał już tego wyżej uszu, bo nikomu nie mógł udzielić jakiegokolwiek sensownej pomocy, skoro szwaby kradną środki medyczne. Mówił, że dzień, w którym pozbędzie się tej roboty i wróci do swoich studiów, będzie najwspanialszym dniem w jego życiu. Podobno ty masz takie same zamiłowania, Hart, lubisz czytać teksty prawnicze. Przekonywał mnie, abym nie był głupi i zrobił to samo. Żebym jakoś skombinował podręczniki medyczne i zaczął studiować. Mamy przecież od cholery wolnego czasu, co?

– To jest chyba jedyna rzecz, jakiej nam nie brakuje – przyznał Tommy.

Kiedy Tommy wracał po rozmowie z medykiem, niebo zrobiło się szaroczarne, a w powietrzu czuć było nocny chłód. Na zachodzie połyskiwały ostatnie smugi dziennego światła. Na dworze znajdowało się zaledwie kilku jeńców, a wszyscy spieszyli się do swoich baraków. Tak samo jak Tommy mieli czapki głęboko nasunięte na czoło i podniesione kołnierze, żeby osłonić się przed podmuchami zimnego wiatru, hulającego w przejściach między budynkami. Poruszali się szybko, by zdążyć przed zamknięciem głębokiego mroku. Hart przechodził przez opustoszały o tej porze plac apelowy. Po lewej stronie zauważył srebrzysty sierp księżyca, ledwie widocznego nad linią drzew za drucianym ogrodzeniem. Pomyślał, że dobrze byłoby zatrzymać się na chwilę i poczekać, aż gwiazdy na niebie zaczną mrugać, odczuć ponownie ich tak dobrze znaną z przeszłości obecność.

Nieliczni jeńcy, którzy nie zdążyli się jeszcze schronić w kwaterach, szybko przechodzili obok niego; Tommy także przyspieszył kroku. Szedł z opuszczoną głową. Kiedy dotarł już prawie do drzwi swojego baraku, rzucił okiem za siebie, w kierunku głównej bramy. Zobaczył coś, co go zaintrygowało.

Paliała się tam pojedyncza żarówka, osłonięta blaszanym kloszem. W snopie

sącącego się z lampy mdłego światła dostrzegł charakterystyczną sylwetkę Fritza Numer Jeden, zapalającego papierosa. Tommy domyślał się, że strażnik zaraz kończy służbę.

Stanął w miejscu jak wryty. Obecność strażnika na terenie obozu, nawet pod koniec dnia, nie była niczym niezwykłym. Wartownicy z zasady wykazywali szczególną czujność w pierwszych i ostatnich chwilach obozowego dnia – tuż po zakończeniu nocnej ciszy i tuż przed jej rozpoczęciem. Obawiali się, że pod osłoną ciemności jeńcy mogą odbywać tajemne spotkania. W tej kwestii, rzecz jasna, mieli zupełną słuszość. Nie potrafili tego wytropić, ale ich domysły były uzasadnione.

Tommy rozejrzał się dookoła i zauważył, że jest zupełnie sam, jeśli nie liczyć jednego czy dwóch ludzi, spieszących do baraków leżących po drugiej stronie obozu. W ułamku sekundy podjął decyzję, doskonale zdając sobie sprawę z podejmowanego ryzyka.

Odwrócił się i szybko ruszył spod drzwi baraku sto jeden przez plac; jego kroki dudniły głucho na ubitej ziemi. Był jakieś dwadzieścia metrów od bramy, gdy Fritz Numer Jeden zorientował się, że w ciemności coś się rusza i odwrócił się w tę stronę. W gęstniejącym mroku Tommy stał się postacią anonimową, po prostu szybko poruszającą się ciemną sylwetką. Mina strażnika wyrażała jednocześnie zaniepokojenie i dociekliwość, jakby przestraszył się nadchodzącego człowieka.

– Fritz! – odezwał się Tommy, nie usiłując ściszać głosu – Chodź tutaj.

Niemiec wyszedł z kręgu światła, rozejrzał się szybko dookoła, czy w pobliżu nikogo nie ma, i szybko podszedł do Tommy'ego.

– Co to znaczy, panie Hart? Powinien pan już być w swoim baraku – powiedział.

Tommy sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Mam dla ciebie upominek, Fritz – powiedział ostrym tonem.

Strażnik podszedł bliżej, ciągle zachowując ostrożność.

– Upominek? Nie rozumiem... – zaczął.

Tommy wyciągnął sztylet zawinięty w skarpetki.

– Ja potrzebuję tego – powiedział, podnosząc je do góry – a ty tego.

Mówiąc to rzucił nóż na ziemię, tuż pod nogi Fritza. Ten przez chwilę ze

zdumieniem patrzył na leżący przed nim sztylet. Potem schylił się i błyskawicznie go podniósł.

– Podziękujesz mi innym razem – mówił Tommy, kiedy Fritz prostował się z radosnym uśmiechem. – Ale możesz być pewny, że kiedyś o coś cię poproszę. I będzie to coś bardzo ważnego.

Nie czekał na odpowiedź Niemca, tylko odwrócił się i ruszył biegiem przez plac apelowy. Dobiegł do swojego baraku i zatrzasnął za sobą drzwi. Miał nadzieję, że postąpił słusznie, choć wcale nie miał co do tego pewności.

Tej nocy żaden z lokatorów trzyosobowego pokoju w baraku sto jeden nie spał dobrze; wszystkich prześladowały nocne zmyry, oblewali się zimnym potem i wielokrotnie się budzili. Nie oddychali miarowo, nie pochrapywali lekko, nie wypoczywali jak należy. Żaden jednak się nie odzywał, choć wszyscy trzej leżeli zupełnie przytomni, sami ze swoimi myślami i obawami, strachem i złością. Tej nocy ciepłe wspomnienie domu nie przyniosło im ukojenia. Tommy leżał i myślał, że takie doświadczenie jest chyba najgorsze dla Lincolna Scotta. Renadayowi i jemu samemu groziła jedynie frustracja i perspektywa przegranej. Scott oprócz tego miał przed sobą fatalny, może ostatni krok w życiu.

Tommy kręcił się na łóżku, drżał z zimna pod cienkim kocem. Przez moment zastanawiał się, czy nie zrezygnuje z prawa, jeżeli jego pierwsze wystąpienie jako adwokata w sądzie zakończy się postawieniem niewinnego człowieka przed plutonem egzekucyjnym. Odetchnął powoli. Zdawał sobie sprawę, jak niewielkie mają szanse. Przeciwno czarnoskóremu lotnikowi wytoczono stek kłamstw, dopuszczono się oszustwa. Każdy aspekt tej sprawy był potwornie denerwujący. Gdyby Tommy pozwolił, aby zwyciężyły siły zła i odebrały Scottowi życie, nigdy już nie potrafiłby stanąć w żadnej sali sądowej i ponownie bronić człowieka czy też idei.

Buntował się przeciw takim myślom, rzucał się na łóżku, starał się wyperswadować sobie, że jest po prostu naiwnym młodym człowiekiem. Nawet o tyle bardziej doświadczony obrońca jak Phillip Pryce jakoś radzi sobie ze

świadomością porażek, przyjmuje je w sposób tak samo spokojny i zrównoważony jak zwycięstwa. W głębi serca Hart wiedział, że nie jest takim człowiekiem jak jego starszy przyjaciel i mentor, a przegrana w tym procesie będzie dla niego pierwszą i ostatnią porażką.

Myślał, jak straszną rzeczą jest znaleźć się w zamknięciu, za drutami, a do tego jeszcze dręczony niepewnością. W wyobraźni Tommy'ego nagle pojawiły się duchy dawno zmarłych kolegów z załogi bombowca. Ludzie z „Lovely Lydii” znajdowali się w tym pokoju i milczeli. Miał wrażenie, że czynią mu wyrzuty. Podczas tamtego lotu miał tylko jedno zadanie: znaleźć bezpieczną drogę do domu. Wszyscy na niego liczyli, a on nie wywiązał się z tego zadania. Pomyślał, że jeżeli tym razem nie będzie walczył ze wszystkich sił do końca, to do ich smutnych, zagubionych twarzy, wciąż żyjących w pamięci Harta, dołączy także Lincoln Scott.

Powtórzył sobie w duchu: „Tommy, odzyskaj drogę do domu, dobrze?” Dręczyła go świadomość, że w jakiś sposób zawiódł kolegów, wskazał im kurs prowadzący nie do domu, lecz do śmierci. Nie mógł zrobić czegoś takiego po raz drugi. Szanse „Lovely Lydii”, kiedy zrobiła zwrot i ruszyła przeciwko działom atakowanego konwoju oraz szanse Lincolna Scotta, uwięzionego przez wrogów jego ojczyzny tylko po to, aby wystąpili przeciwko niemu ludzie, którzy powinni okazać się jego przyjaciółmi, były równie nikłe.

Odrzucił do tyłu głowę i w ciemnościach wpatrywał się w sufit szeroko otwartymi oczami, jakby mógł widzieć, co znajduje się nad nim i obserwować przez deski powały oraz blaszany dach gwiazdy błyszczące na niebie.

Zadawał sobie pytanie, kto zna prawdę o zabójstwie Tradera Vica. Ktoś ją zna, ale kto? Odetchnął głęboko i zaczął rozważać wszystkie problemy. Wracił do każdego z nich raz po raz, rozpatrywał wątpliwości. Przypomniały mu się słowa, które lubił powtarzać Scott: „W całym obozie nikt nie chce mi naprawdę pomóc”.

Tommy gwałtownie wciągnął powietrze – to przecież takie oczywiste – dziwił się, że nie wpadło mu to wcześniej do głowy. Po raz pierwszy tej nocy zdobył się na nieśmiały uśmiech.

Mieszkańców baraku sto jeden obudziły w nocy gwizdki i niemieckie okrzyki: Raus! Raus!, którym towarzyszyło walenie w drzwi. Zwlekli się z łóżek, podobnie jak robili to rano, gdy naciągali na siebie ubranie i pospiesznie wybiegali na korytarz, by udać się na poranny apel. Kiedy jednak tym razem wyszli na dwór, powitał ich niecodzienny widok ubranych w szare mundury niemieckich żołnierzy, ustawionych w szyku przed drzwiami prowadzącymi do baraku. Było ich może ze dwudziestu, uzbrojonych w karabiny. Tęgi Feldfelbel stał u podnóża schodków ze skrzywioną twarzą i kierował ruchem jak policjant ze służby drogowej.

– Ludzie mieszkający w baraku sto jeden, zbiórka! Raus! Szybko! Nikt nie idzie na apel! – krzyczał, pokazując na dwóch Hundführerów, powstrzymujących wspinające się na tylne łapy, ujadające psy.

– Co tu się dzieje, do diabła? – zapytał cicho Scott, stając obok Tommy’ego w szeregu.

– Nie wiem – odpowiedział Hugh. – To jakaś cholerna rewizja. Co szwaby spodziewają się tu znaleźć? Znowu tylko strata czasu!

Renaday nie miał zamiaru ukrywać swoich uczuć, gdy zwrócił się do niemieckiego sierżanta, który usiłował porządnie ustawić jeńców.

– Hej, Adolf! – krzyknął. – Lepiej skontrolujcie wygodkę! Może ktoś tamtędy popłynął na wolność!

Mieszkańcy baraku sto jeden wybuchnęli śmiechem. Kilku lotników doceniających poczucie humoru Kanadyjczyka zaczęło mu bić brawo.

– Cisza! – wrzasnął Feldfelbel. – Nie gadać! Baczność!

Tommy odwrócił się i zauważył Hauptmanna Vissera w towarzystwie Fritza Numer Jeden z twarzą szarą niczym popiół, wychodzących zza oddziału niemieckich żołnierzy.

Feldfelbel mówił po niemiecku, a jeden z jeńców cicho tłumaczył:

– Herr Hauptmann, jeńcy z baraku sto jeden, wszyscy obecni!

– Doskonale – odparł Visser, dając znak Fritzowi Numer Jeden. – Rozpocząć rewizję.

Fritz wydał komendę i połowa zgromadzonych strażników wbiegła do baraku. Po

chwili Fritz i Visser poszli za nimi.

– Czego oni właściwie szukają? – zapytał szeptem Scott.

– Tuneli, ziemi, aparatów radiowych. Kontrabandy. Wszystkiego, co nietypowe.

Z budynku dochodziły odgłosy kroków, trzaski i głucho dudnienie – szperacze przeszukiwali kolejne pomieszczenia.

– Czy oni w ogóle coś znajdują?

– Na ogół nie – odpowiedział Hugh z uśmiechem. – Szkopy w gruncie rzeczy nie mają pojęcia, jak trzeba robić rewizję. Nie są policjantami. Przeważnie wszystko drań, robią koszmarny bałagan i odchodzą z pustymi rękami. To się zdarza bez przerwy.

– A dlaczego dziś wybrali ten barak?

– Całkiem dobre pytanie – odparł Hugh.

To samo powtórzył w myślach Tommy.

Po kilku minutach ustawieni na podwórzu jeńcy zobaczyli, że Niemcy wychodzą. Pojawiali się pojedynczo lub dwójkami, prawie wszyscy z pustymi rękami. Uśmiechali się głupawo, potrząsali głowami i wzruszali ramionami. Tommy zwrócił uwagę, że oddział w większości składał się z ludzi starszych, niewiele młodszych niż Phillip Pryce. Wśród nich było tylko kilku niewiarygodnie młodych, kilkunastoletnich chłopców, w mundurach zbyt obszernych na ich szczupłe ciała. Kilka sekund później w głębi baraku rozległ się okrzyk podekscytowanego strażnika, który stanął w drzwiach z radiem domowej roboty, ukrytym w puszcze po kawie. Niemiec podniósł wysoko swą zdobycz z wyrazem zachwytu na pomarszczonej, starczej twarzy. Zaraz za nim wyszedł kolejny szperacz, pewnie ze trzy razy młodszy od poprzednika, lecz nie mniej od niego zadowolony i podniecony. Tommy usłyszał, jak jeden z lotników mruczy: „Ciężka cholera! Zgarnęli mi radio! A to skurczybyk! Dałem za nie trzy kartony papierosów!”

Na końcu z baraku wyszli Fritz Numer Jeden i Heinrich Visser. Jednoręki oficer skrzywił się i kiwnął palcem na Tommy’ego, Hugh i Lincolna, każąc im podejść bliżej.

– Wy trzej – powiedział – wystąpcie naprzód!

Wezwani w milczeniu stanęli przed szeregiem.

– Natychmiast przeszukać tych trzech ludzi! – rozkazał Visser.

Tommy podniósł ręce nad głowę, a jeden z niemieckich strażników zaczął go obmacywać. Inni rewidowali Scotta i Renadaya. Kanadyjczyk roześmiał się, gdy dotknął go niemiecki żołnierz.

– Hej, Hauptmann, niech pan powie swoim szperaczom, żeby nie byli tak przyjacielscy i poufali. Oni łaskoczą!

Visser ponuro spojrział na Hugh i nic nie powiedział. Po chwili popatrzył na żołnierza, który obszukiwał Tommy'ego. Żołnierz wyprostował się i zasalutował.

– Nic, Herr Hauptmann – powiedział.

Visser podszedł do Harta. Patrzył mu w twarz.

– Gdzie jest pański dowód, panie poruczniku? – zapytał.

Tommy nie odpowiadał.

– Ma pan coś, co należy do mnie – ciągnął kapitan. – Chcę to odzyskać.

– Myli się pan.

– Być może miał pan zamiar wykorzystać to jutro w sądzie.

– Znowu się pan myli.

Niemiecki oficer cofnął się. Wydawało się, że rozmyśla, co odpowiedzieć Hartowi – już otworzył usta, gdy nagle usłyszał dobiegający z tyłu krzyk:

– Co tu się dzieje?

Wszyscy odwrócili się. Szybkim krokiem zbliżał się komendant von Reiter w towarzystwie pułkownika MacNamary i majora Clarka. Żołnierze wyprężyli się na baczność. Za komendantem, jak zawsze, podążali adiutanci.

Von Reiter zatrzymał się przed szeregi jeńców. Miał zaczerwienioną twarz, ulubiony pejcz nerwowo tańczył mu w dłoni.

– Nie rozkazałem przeszukiwać tego baraku! – oświadczył donośnie. – Co to jest?

Heinrich Visser głośno stuknął obcasami.

– Ja wydałem rozkaz przeprowadzenia rewizji, Herr Oberst – powiedział. – W ostatniej chwili otrzymałem wiadomość, że w tym miejscu może być przechowywana kontrabanda! Poleciałem zatem niezwłocznie przeszukać barak z własnej inicjatywy!

Von Reiter spojrział na niego zimnym wzrokiem.

– Ach tak, więc to pański pomysł – powiedział, cedząc słowa. – I nie wpadło panu do głowy, żeby mnie o tym poinformować.

– Uznałem, że konieczne jest błyskawiczne działanie, Herr Oberst. Miałem zamiar natychmiast powiadomić pana o rozwoju sytuacji.

Komendant przymrużył oczy.

– Jestem tego pewien – powiedział. – No i co, znalazł pan kontrabandę? A może jakieś inne oznaki nielegalnej działalności?

– Tak jest, Herr Oberst! – odrzekł ostrym tonem Visser. – Nielegalny radioodbiornik, ukryty w puszcze po kawie! To jest ewidentne naruszenie wszelkich przepisów i pańskich bezpośrednich rozkazów!

Podstarzały strażnik z radiem w ręce wystąpił naprzód i podał zdobycz pułkownikowi von Reiterowi, który uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Doskonale, Herr Hauptmann. Radia są verboten – rzekł, zwracając się do MacNamary i Clarka. – Wiecie o tym. Musicie kontrolować swoich ludzi!

MacNamara milczał, a komendant ponownie zwrócił się do Vissera.

– Jakie jeszcze podejrzane przedmioty odkrył pan w trakcie swoich poszukiwań, Herr Hauptmann? Czy znaleziono coś, co usprawiedliwiłoby zakłócenie obozowej rutyny?

– Tylko to, Herr Oberst.

Von Reiter kiwnął głową.

– To radio przyniosło panu mnóstwo szczęścia, Herr Hauptmann – skwitował cichym głosem i uśmiechnął się niczym aligator na widok zwierzęcia, które zbliżyło się wprawdzie zbyt blisko do wody, lecz wciąż pozostawało poza zasięgiem jego zębów. Odwrócił się do Tommy'ego:

– Ach, to porucznik Hart. Młody obrońca. Czy to nie pan będzie miał okazję występować dziś rano? Tak mnie przynajmniej poinformowano.

– Zgadza się, Herr Oberst.

– To świetnie. Jeżeli obowiązki mi pozwolą, postaram się przyjść i śledzić pańskie poczynania.

– Jesteśmy już spóźnieni – przerwał mu MacNamara. – Czy możemy kontynuować proces? Ostrzegałem pana, komendancie, że emocje w obozie rosną, a ludzie chcą usłyszeć odpowiedź! Żądają, aby ta sprawa została doprowadzona do pomyślnego końca!

Von Reiter przytaknął.

– Amerykanie zawsze niecierpliwie domagają się odpowiedzi na swoje pytania, pułkowniku. My, Niemcy, jesteśmy bardziej przyzwyczajeni akceptować to, co się nam mówi – skomentował.

– To już wasz problem – rzucił cierpko MacNamara. – Za pańskim pozwoleniem, czy możemy zająć się procesem?

– Naturalnie – odparł von Reiter. – Sądzę, że Herr Hauptmann skończył już poszukiwania. Zgadza się?

Visser wzruszył ramionami, nie starając się nawet ukryć ogarniającej go frustracji. Tommy zorientował się oczywiście, że Niemiec szukał narzędzia użytego do dokonania zabójstwa. Ktoś musiał mu powiedzieć, do którego baraku należy zajrzeć i który pokój powinien przeszukać osobiście. Hart uznał całe to wydarzenie za bardzo intrygujące i dość zabawne. Przyszło mu to do głowy, gdy zobaczył, że jednoręki oficer nie potrafił ukryć rozczarowania i złości, bo to, co zamierzał znaleźć, w dalszym ciągu mu umykało.

Tommy spojrzał przelotnie na Clarka i MacNamarę, zastanawiając się, czy i oni są zaskoczeni nieudaną rewizją, ale nie potrafił nic wyczytać z ich twarzy. Wiedział natomiast, że ktoś w obozie jest zaskoczony, bo Heinrich Visser nie miał w garści morderczego sztyletu i nie mógł zasiać do pisania raportu dla przełożonych z gestapo w Berlinie. Takie sprawozdanie mogłoby bez trudu doprowadzić do aresztowania komendanta stalagu i strażnika Fritza. Tommy zwrócił uwagę, że ci dwaj odeszli razem, pograżeni w cichej rozmowie.

Porucznik Nicholas Fenelli po raz drugi przeszedł przez zatłoczoną salę na miejsce przeznaczone dla świadków. Tommy słyszał, jak wśród ludzi, których mijał, zaczynają się rozlegać ożywione rozmowy; wreszcie ogarnęły cały teatr, co skłoniło

pułkownika MacNamara do głośnego uderzenia młotkiem w stół. Fenelli nie ogolił się tego ranka – na podbródku miał ciemny zarost. Ubrany był w wymięty, niekompletny mundur, a oczy podkrążone z niewyspania. Tommy’emu wydawał się kimś innym z powodu kłamstw, ale mimo to w jakiś sposób oddanym tej sprawie.

MacNamara rozpoczął od zwykłej przemowy, przypominając Fenellemu, że nadal zeznaje pod przysięgą, a następnie dał znać Tommy’emu, żeby rozpoczął przesłuchanie.

Fenelli kręcił się na krześle, krzyżował ręce na piersiach, jakby oczekiwał, że go zamordują.

– Poruczniku... – odezwał się Tommy spokojnym głosem – czy przypomina pan sobie naszą rozmowę wkrótce po aresztowaniu pana Scotta?

– Tak jest, sir.

– A czy przypomina pan sobie, jak przy tej okazji powiedział mi pan, że kapitan Bedford został według pana zamordowany przez człowieka stojącego za nim, uzbrojonego w wąski, bardzo ostry nóż? Taki nóż, jakich na ogół nie znajduje się w obozie?

– Tak jest.

– Czy ja oferowałem panu coś za wygłaszanie takich opinii?

– Nie, sir. Nie oferował pan.

– Czy pokazałem panu nóż, o jakim pan wspominał?

– Nie.

Tommy odwrócił się i podszedł do stołu obrony. Zaczął grzebać w leżących tam książkach prawniczych i papierach, robił to demonstracyjnie, nie spiesząc się. Zwrócił uwagę, że siedzący obok Townsend i Clark zastygli w niecierpliwym oczekiwaniu. Spodziewali się tego momentu. Podejrzewał, że także siedzący na miejscu obserwatora Visser i członkowie trybunału z podnieceniem czekają na jego następny ruch. Odwrócił się szybko – wciąż z pustymi rękami.

– Teraz jednak nie jest pan pewny tej oceny; chyba można tak powiedzieć?

Fenelli milczał. Patrzył na ręce Tommy’ego. Po chwili zmarszczył brwi i odrzekł:

– Nie jestem. Chyba można tak to ująć.

W sali zapadła cisza.

– Poruczniku, pan nie jest specjalistą w dziedzinie zabójstw, prawda? – zapytał wreszcie.

– Nie, nie jestem. Powiedziałem im o tym. – Świadek wskazał na oskarżycieli.

– Gdybyśmy byli w Stanach, dochodzenie związane z takim morderstwem prowadziliby profesjonalni detektywi z wydziału zabójstw, prawda? A podczas gromadzenia dowodów korzystaliby z pomocy specjalnie wyszkolonych analityków, czy tak? Natomiast autopsja zwłok Tradera Vica zostałaaby przeprowadzona przez kompetentnego sądowego patologa, zgadza się pan ze mną?

Fenelli zawahał się, stał się niepewny, jak gdyby oczekiwał czegoś zupełnie innego niż pytania zadawane przez Tommy'ego. Wykorzystując chwilową przerwę, podniósł się kapitan Townsend.

– Czy chce pan zgłosić sprzeciw, kapitanie? – zapytał go MacNamara.

– Być może tak, sir – odrzekł oskarżyciel, starając się bezskutecznie nadać głosowi pewny, zdecydowany ton. – Zastanawiam się, do czego właściwie zmierzają pytania porucznika. Przecież sposób, w jaki ta sprawa zostałaaby potraktowana w Stanach nie ma nic wspólnego z problemami, jakimi musimy się tutaj dziś zajmować. Trwa wojna, a my znajdujemy się w warunkach zupełnie wyjątkowych...

MacNamara przytaknął i spojrzał na Tommy'ego.

– To pytanie, poruczniku... – zaczął.

– Proszę o odrobinę swobody, Wysoki Sądzie. Niebawem stanie się jasne, do czego zmierzam.

– Mam nadzieję, że nastąpi to zaraz.

Tommy uśmiechnął się i nie patrząc na Fenellego, powiedział:

– A zatem, jaka jest odpowiedź świadka...

– Ma pan rację, poruczniku Hart – odrzekł zapytany, wzruszając ramionami. – W Stanach rzeczy miałyby się inaczej. Sprawą zajęliby się prawdziwi specjaliści.

– Dziękuję – rzucił szybko Tommy, lekko pochylając głowę. – Wysoki Sądzie, nie mam do świadka dalszych pytań.

Fenelli natychmiast uśmiechnął się. MacNamara patrzył na obrońcę zaskoczony.

– Nie ma pan dalszych pytań? – upewnił się.

– Nie – odparł Tommy. – Można zwolnić świadka.

Medyk podniósł się z miejsca, patrząc bacznie na pułkownika i dwóch pozostałych sędziów.

– Chwilkę, poruczniku – powstrzymał go MacNamara. – Czy oskarżenie ma jeszcze pytania do świadka?

Townsend wahał się przez moment, a potem zaprzeczył. On również wyglądał na zmieszanego.

– Nie, sir. W tym momencie oskarżenie rezygnuje z przesłuchiwania świadka – powiedział.

– Świadek może odejść – oznajmił przewodniczący.

– Tak jest, sir! – rzucił uszczęśliwiony Fenelli. – Już mnie tu nie ma!

Ta ostatnia uwaga wywołała huragan śmiechu. MacNamara znowu musiał sięgnąć po młotek. Fenelli szybko opuścił salę, rzucając Tommy’emu spojrzenie pełne wdzięczności. Widzowie stopniowo ucichli.

Pierwszy zabrał głos MacNamara.

– Czy to wszystko, jeśli chodzi o oskarżenie? – zapytał Townsenda.

– Tak jest, sir. Jak mówiłem, w tym momencie nie mamy dalszych pytań ani oświadczeń.

Starszy oficer amerykański zwrócił się do Harta.

– Nie przedstawił pan stanowiska obrony na początku procesu. Czy życzy pan sobie uczynić to teraz?

– Tak jest, sir. Będę mówił krótko... – uśmiechnął się Tommy.

– Doskonale.

Hart odkaszlnął i powiedział głośno:

– Skorzystam z okazji, aby przypomnieć członkom trybunału, oskarżycielom i wszystkim jeńcom ze Stalagu Luft 13, że Lincoln Scott znajduje się tu jako oskarżony o morderstwo. Nasza konstytucja gwarantuje, że dopóki oskarżyciel nie udowodni ponad wszelką wątpliwość, z wykluczeniem uzasadnionych wątpliwości, że podejrzany popełnił zarzucany mu czyn, należy go traktować jak człowieka

niewinnego...

Walker Townsend wstał, przerywając Tommy'emu.

– Sir, czy nie jest trochę za późno na lekcję z dziedziny praw obywatelskich? – zwrócił się do MacNamary.

Pułkownik skinął głową.

– Pańskie oświadczenie, poruczniku – przypomniał.

– Właśnie je zakończyłem, Wysoki Sądzie – uciał Hart. – Obrona jest gotowa do kolejnego etapu.

Zaskoczony MacNamara uniósł brew i roześmiał się z uczuciem ulgi.

– To znakomicie – powiedział. – Będziemy kontynuować tak, jak zaplanowaliśmy. Czy zamierza pan teraz wezwać na świadka Lincolna Scotta?

Tommy milczał przez chwilę, a potem zaprzeczył.

– Nie, sir.

MacNamara bez słowa przyglądał się obrońcy.

– Nie?

– Nie, sir. Jeszcze nie w tej chwili.

Townsend i Clark poderwali się na równe nogi, ale nie otwierali ust.

– A czy ma pan innego świadka? – zapytał ostrym tonem pułkownik. – Wszyscy oczekiwaliśmy, że teraz będzie zeznawał porucznik Scott.

– Tak właśnie przypuszczałem, panie pułkowniku – odparł z uśmiechem Tommy. Oczy mu się zaświeciły, jak gdyby poczuł się rozbawiony. W gruncie rzeczy jednak w głębi serca czuł zimną, mściwą satysfakcję. Po raz pierwszy w ciągu tego procesu udało mu się zadać cios, którego nie przewidzieli ani oskarżyciele, ani sędziowie. To bolesne, ale wspaniałe uczucie. Wszyscy byli przekonani, że prokurator nie pozostawił mu innej szansy jak tylko zaprezentować gniewne protesty oskarżonego, utrzymującego, że jest niewinny.

– A więc kim jest ten świadek? – ponaglił go MacNamara.

– Sir, obrona nie wezwie na świadka porucznika Scotta. Nie w tym momencie – powtórzył Tommy. Szybko odwrócił się i wskazał ręką narożnik sali. – Obecnie obrona wzywa na świadka Hauptmanna Luftwaffe, Heinricha Vissera! – zawołał

głośno.

Przepełniony uczuciem satysfakcji, skrzyżował ręce na piersiach. Był w tej chwili jak oaza spokoju w sali wzburzonej nagle ożywionymi, pełnymi podniecenia rozmowami.

15. Oficer i człowiek honoru

Tommy z satysfakcją śledził zamieszanie w sali sądowej. Wydawało się, że każdy chce wyrazić swoją opinię i czuje nagłą potrzebę zrobienia tego na głos. Szum rozlewał się gwałtowną falą; przeważały uczucia zaciekawienia, gniewu i podniecenia. Trzeba było wielu uderzeń młotka MacNamary, aby przepełniony budynek teatru ucichł. Podniecona publiczność była jak naelektryzowana. Proces Lincolna Scotta, posądzonego o zamordowanie Vincenta Bedforda, był od początku najlepszą rozrywką w obozie, ale tym jednym posunięciem Tommy przydał mu jeszcze więcej atrakcyjności. Stał się wyjątkowym wydarzeniem dla setek mężczyzn, zmanierowanych przez nudę i strach towarzyszących życiu w niewoli.

Po dziesiątej próbie uciszenia publiczności przez MacNamare, uspokojono się na tyle, by można było kontynuować posiedzenie. Walker Townsend zdążył już podnieść się z miejsca i gwałtownie wymachiwał rękami. Wstał również major Clark, a jego czerwona zazwyczaj twarz nabrała teraz barwy szkarłatu; robił wrażenie człowieka bliskiego ataku apopleksji.

– Wysoki Sądzie! – zaprotestował Townsend – to jest zupełnie niestosowne!

MacNamara nadal walił młotkiem w blat stołu, mimo że sala ucichła i rozprawa mogła toczyć się dalej.

– Składamy zdecydowany protest! – krzyczał oskarżyciel. – Wzywanie na świadka przedstawiciela wrogich sił zbrojnych podczas procesu dotyczącego Amerykanów to czyn odrażający!

Tommy milczał, czekając aż pułkownik po raz kolejny użyje młotka; jego przewidywania okazały się uzasadnione. W końcu MacNamara zwrócił się do obrońcy, który zrobił krok do przodu. Ten jeden ruch skuteczniej uspokoił zgromadzonych niż walenie młotkiem przez przewodniczącego. Jeńcy zaczęli się nawzajem uciszać i nadstawiać ucha.

– Panie pułkowniku – zaczął Tommy bez pośpiechu – twierdzenie, jakoby moje żądanie było nielegalne, jest zwykłym idiotyzmem. Cała ta rozprawa jest nielegalna!

Kapitan Townsend doskonale o tym wie. Oskarżenie samo skorzystało z rozluźnienia obowiązujących przepisów, określających postępowanie trybunału wojskowego. Protestuje wyłącznie dlatego, że nie było na to przygotowane. Na początku procesu przyrzekał pan, że zarówno obrona, jak i oskarżyciele otrzymają znaczny zakres swobody, aby łatwiej było ustalić prawdę! Dostaliśmy również obietnicę, że obrona może powołać każdego, kto pomoże udowodnić niewinność oskarżonego. Ja jedynie przypominam trybunałowi o tych przyrzeczeniach. Przypominam również, że działamy w wyjątkowych warunkach, więc istotne jest przestrzeganie elementarnej uczciwości naszego demokratycznego systemu sprawiedliwości i przekonanie o nim wszystkich. A zwłaszcza naszych wrogów.

Znowu skrzyżował ramiona na piersiach. Pomyślał, że jego przemowa zrobiłaby jeszcze większe wrażenie, gdyby w tle orkiestra grała *America the Beautiful*. Ale i tak osiągnął podwójny cel: rozwścieczył MacNamara i jednocześnie postawił go w takiej sytuacji, że pułkownik nie był w stanie go spławić. Teraz patrzył prosto w twarz starszego oficera amerykańskiego, nie ukrywając uśmiechu zadowolenia.

– Poruczniku – odparł zimno MacNamara – nie musi pan przypominać trybunałowi o jego obowiązkach w czasie wojny.

– Słucham tego z prawdziwą radością, Wysoki Sądzie. Jestem wręcz zachwycony.
– Tommy wiedział jednak, że znajduje się niebezpiecznie blisko granicy narzucenia mu cenzury.

– Wysoki Sądzie – powiedział ze złością Townsend – ja nadal nie wyobrażam sobie, żeby trybunał mógł wyrazić zgodę na dopuszczenie jako świadka oficera wrogiej armii! Sąd nie może mieć wtedy pewności, czy choćby jedno jego słowo będzie prawdziwe!

Tommy słuchał argumentów kapitana, widząc, że on sam zaczął odbierać je z pewnym zaskoczeniem. Zbyt późno zdał sobie sprawę z dwóch błędów, jakie pochwycił popełnić. Jednym zdaniem obraził dwóch ludzi.

– Trybunał ma możliwość oceny prawdziwości zeznań każdego świadka, kapitanie, niezależnie od tego, skąd taki świadek pochodzi i z kim może być związany – zripostował oschłym tonem MacNamara. Zachował się bardziej

kosztownie niż poprzednim razem, kiedy wygłaszał identyczne oświadczenie.

Tommy rzucił okiem na Heinricha Vissera. Niemiec wstał z krzesła, twarz mu zbladła, a dolna szczęka wysunęła się wojowniczo. Zmrużył oczy. Patrzył na Townsenda, a nie na Tommy'ego. Wyglądał na człowieka, który przed chwilą został spoliczkowany przez rywala.

Tommy spodziewał się mniej więcej takiej reakcji. Visser przypuszczalnie wpadł w furję, słysząc, że zostanie wezwany na świadka. Według Harta jednak nie ulegało wątpliwości, że znacznie bardziej rozjuszyło go zakwestionowanie jego nieskalanej, nazistowskiej uczciwości. Nie ma nic bardziej irytującego niż nazwać człowieka kłamcą, zanim dało mu się okazję otworzyć usta.

MacNamara przeciągnął ręką po twarzy i zwrócił się do jednorękiego kapitana.

– Kapitanie – powiedział powoli – jestem gotów dopuścić do takiego rozwiązania. Czy zechce pan zająć miejsce dla świadków?

Visser zawahał się – Tommy był przekonany, że stara się błyskawicznie przeanalizować rozmaite czynniki związane z tą decyzją. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale wtedy niespodziewanie rozległ się donośny głos z końca sali:

– Pułkowniku, Hauptmann Visser z całą pewnością złoży zeznania!

Wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę. W drzwiach stał komendant von Reiter. Teraz ruszył do przodu, a uderzenia jego wypolerowanych, wysokich butów do konnej jazdy o drewnianą podłogę brzmiały jak wystrzały z pistoletu.

Oberst stanął na środku, stuknął obcasami i zsalutował, pochylając nieznacznie głowę.

– Oczywiście, panie pułkowniku, Hauptmannowi nie będzie wolno ujawnić żadnych istotnych informacji militarnych, rozumie pan? – powiedział z naciskiem. – Nie może również udzielać odpowiedzi na pytania wymagające ujawnienia tajemnicy wojskowej. Jeżeli jednak chodzi o kwestie związane z tym morderstwem, to jestem przekonany, że jego doświadczenie okaże się dla sądu wielce przydatne przy ustalaniu prawdziwego przebiegu tego niefortunnego wydarzenia!

Von Reiter odwrócił się do Vissera i dorzucił:

– Pułkowniku, mogę osobiście zaświadczyć o jego uczciwości! Hauptmann Visser

został udekorowany wysokimi odznaczeniami! Jest z całą pewnością człowiekiem honoru i cieszy się wielkim szacunkiem u podwładnych! Proszę, niech pan każe mu szybko złożyć przysięgę.

Visser, stojący przez ten czas z doskonale kryjącą wewnętrzną emocje miną pokerzysty, podszedł powolnym, niechętnym krokiem. Tommy podejrzewał, że jego opory wzrosły wraz z otrzymanym błogosławieństwem od von Reitera; teraz z pewnością zastanawiał się, jakie korzyści dla siebie może z jego zeznań wyciągnąć komendant obozu. Służbiście zasalutował przełożonemu i zwrócił się do MacNamary:

– Jestem gotowy, panie pułkowniku.

MacNamara podsunął mu Biblię i wskazał ręką miejsce dla świadków.

– Sir, ponownie protestuję... – spróbował po raz ostatni Townsend.

MacNamara zgromił go wzrokiem i pokręcił odmownie głową.

– Świadek należy do pana, poruczniku Hart – powiedział. – Zobaczymy, co pan zdoła z niego wycisnąć.

Tommy skinął głową na znak, że podejmuje to wyzwanie. Zauważył, że sadowiący się przy oknie komendant von Reiter uśmiecha się złośliwie i lekko pochyła do przodu, aby lepiej słyszeć. Hart odwrócił się do Vissera. Przez moment usiłował zrozumieć wymowę ciała niemieckiego oficera, zinterpretować pochylenie głowy, zwężenie powiek, pozycję szczęki czy też sposób, w jaki skrzyżował nogi. Doszedł do wniosku, że Visser jest człowiekiem skłonny do głębokiej nienawiści i gniewu. Wobec tego obrońca powinien umieć wywołać u niego te uczucia i wykorzystać je do oczyszczenia Lincolna Scotta z zarzutów. Zdawał sobie przy tym sprawę, choćby na podstawie pełnych wściekłości spojrzeń, jakimi Niemiec obrzucał Townsenda, że oskarżyciel sam już mu pomógł w tym dziele, podważając uczciwość świadka.

Tommy odchrząknął.

– Proszę podać do protokołu swoje imię, nazwisko i stopień wojskowy – zaczął.

– Hauptmann Heinrich Albert Visser. Obecnie służę w Luftwaffe w stopniu kapitana, ostatnio zaś zostałem przydzielony do oficerskiego obozu jenieckiego

numer trzynaście dla lotników alianckich.

– Czy do pańskich obowiązków należą sprawy administracyjne?

– Tak.

– A także sprawy bezpieczeństwa?

Visser zawahał się, lecz skinął głową.

– Naturalnie, poruczniku. Tego rodzaju obowiązki spoczywają na nas wszystkich.

To fakt, przyznał w duchu Tommy, ale na tobie bardziej niż na innych. Visser odpowiadał głosem równym, opanowanym i na tyle głośnym, by mogli go słyszeć wszyscy obecni na sali.

– A gdzie się pan tak dobrze nauczył angielskiego? – pytał Hart.

– Okres między szóstym a piętnastym rokiem życia spędziłem w Milwaukee w stanie Wisconsin, w domu mojego wuja. On był sklepikarzem. Kiedy jego biznes splajtował w okresie kryzysu, cała rodzina wróciła do Niemiec, gdzie ukończyłem naukę, doskonaląc jednocześnie znajomość angielskiego – odparł Visser po krótkim milczeniu.

– Kiedy opuścił pan Amerykę?

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku. Nic nas tam już nie trzymało, gdy tymczasem tutaj miały miejsce wspaniałe wydarzenia z udziałem narodu niemieckiego. Marzyliśmy, aby wziąć w nich udział.

Tommy bez trudu mógł sobie wyobrazić, o jakie wydarzenia może chodzić: brunatne koszule, palenie książek, rozboje. Przez chwilę przyglądał się uważnie Visserowi. Już wcześniej dowiedział się od Fritza Numer Jeden, że ojciec Vissera był członkiem partii nazistowskiej, kiedy Heinrich wrócił do Niemiec ze Stanów Zjednoczonych jako nastolatek. Reszty pewnie dokonała szkoła i Hitlerjugend. Tommy przyrzekł sobie postępować ostrożnie, dopóki nie wyciągnie od Vissera tego, o co mu chodzi. Jednak następne pytanie, jakie zadał nie było ani łagodne, ani świadczące o ostrożności.

– W jakich warunkach stracił pan rękę?

Twarz Niemca zastygła, jak pod wpływem nagłego chłodu. Pod lodowatym spojrzeniem starał się ukryć narastającą wściekłość.

– To się stało niedaleko francuskiego brzegu w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku – odparł sztywno.

– Czy to był spitfire?

Visser uśmiechnął się okrutnie.

– Tak, to był brytyjski, jednosilnikowy myśliwiec Spitfire, napędzany silnikiem marki Rolls-Royce Merlin, mogący przekraczać pięćset kilometrów na godzinę. Uzbrojony w sześć sprzężonych karabinów maszynowych kalibru pięćdziesiąt, po trzy na każdym skrzydle. Jedna z takich cudownych maszyn zdołała mnie zaskoczyć podczas rutynowego lotu osłonowego. Było to spotkanie wielce niefortunne, chociaż udało mi się bezpiecznie wylądować na spadochronie. Pociski poszarpały mi jednak ramię, które amputowano w pobliskim szpitalu.

– W tej sytuacji dalsze latanie nie wchodziło w rachubę.

– Na to wygląda, poruczniku – odrzekł Visser ze śmiechem, chociaż w stwierdzeniu obrońcy nie było nic wesołego.

– Mimo to wówczas, w trzydziestym dziewiątym, nie zdecydował się pan na rezygnację z kariery wojskowej. Szczególnie, że Niemcy odnosili wtedy poważne sukcesy.

– Cały świat zazdrościł nam tych sukcesów, jak je pan nazywa.

– A więc nie chciał się pan wycofać mimo odniesionej rany, prawda? Był pan młody, ambitny i miał pan zamiar w dalszym ciągu uczestniczyć w tych wielkich rzeczach.

Niemiec zastanowił się, zanim udzielił odpowiedzi.

– To prawda – powiedział w końcu. – Nie chciałem iść w odstawkę. Byłem młody i, mimo rany, nadal silny. Silny nie tylko pod względem fizycznym, poruczniku. Mogłem jeszcze wiele zrobić dla kraju.

– Dlatego poszedł pan na kolejne przeszkolenie, czy tak?

Visser ponownie się zawahał.

– Myślę, że mogę to potwierdzić. Zdobyłem nowe umiejętności, otrzymałem też inne obowiązki.

– Te nowe kwalifikacje nie mają jednak nic wspólnego z lataniem na myśliwcu,

zgadza się? – dopytywał się Hart.

– Istotnie, nie mają, poruczniku – odrzekł Visser z uśmiechem.

– Czy ostatnie szkolenie dotyczyło działalności kontrwywiadowczej?

– Nie odpowiem na to pytanie.

– No dobrze – wtrącił ostrożnie Tommy. – Czy miał pan okazję zapoznać się ze współczesną taktyką działania policji oraz technikami pracy policyjnej?

– Miałem taką okazję – przyznał Visser po chwili zastanowienia.

– Czy stał się pan specjalistą w tej dziedzinie?

– Poruczniku, jestem człowiekiem dobrze wykształconym. Zawsze lokowałem się na czele swojej klasy, czy to w szkole pilotażu, na studiach językowych, czy też w dziedzinie technik sądowych. Obecnie wykonuję wszelkie zadania postawione mi przez przełożonych i robię to najlepiej jak potrafię.

– A jednym z tych zadań było przeprowadzenie dochodzenia w sprawie, którą się obecnie zajmujemy. Mówię o zabójstwie kapitana Bedforda.

– To oczywiste, poruczniku.

– Z jakiego powodu zamordowanie alianckiego oficera w obozie jenieckim mogłoby mieć znaczenie dla władz niemieckich? Dlaczego pańscy przełożeni w ogóle się tym zajmują?

Po chwili milczenia Visser stwierdził:

– Nie odpowiem na to pytanie.

Po sali przebiegł szmer.

– Dlaczego nie chce pan odpowiedzieć? – naciskał Tommy.

– Ponieważ jest to kwestia bezpieczeństwa. Nic więcej nie powiem.

Tommy skrzyżował ręce na piersiach, starając się znaleźć inny sposób zapytania o to samo, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Czuł, jak pod czaszką pulsuje mu jedna myśl: Gdyby zamordowanie Tradera Vica nie miało dla Niemców znaczenia, nie wysyłaliby do obozu takiego człowieka jak Visser.

– Poruczniku – wtrącił ochryple pułkownik MacNamara – proszę dalej przesłuchiwać świadka!

Tommy przytaknął, zastanawiając się, skąd ten nagły pośpiech.

– Czy zatem nie można z pełnym uzasadnieniem stwierdzić, że ze wszystkich ludzi, którzy zeznawali jako świadkowie oraz zaangażowanych w tę sprawę, jedynie pan otrzymał odpowiednie przeszkolenie w sferze prowadzenia dochodzeń kryminalnych i związanej z tym procedury? I jest pan jedynym przeszkolonym w tej dziedzinie człowiekiem, który badał zwłoki Tradera Vica oraz miejsce, gdzie zostały one znalezione? Że jest pan jedynym prawdziwym ekspertem, który prowadził dochodzenie w tej sprawie?

– Sprzeciw! – wykrzyknął Townsend.

– Oddalony! – odpowiedział natychmiast MacNamara. – Proszę odpowiedzieć!

– No cóż, panie poruczniku – odrzekł, nie spiesząc się Visser – pański rodak, porucznik Renaday ma pewne, zresztą ograniczone, wiadomości oraz kwalifikacje w tej dziedzinie, oparte na prymitywnych doświadczeniach z pracy w prowincjonalnej policji. Podpułkownik Pryce, który już nie przebywa wśród nas, dysponował obszerną wiedzą na ten temat. Odnoszę wrażenie, że również kapitan Townsend ma należyte przygotowanie w dziedzinie wspomnianych procedur.

Teraz Niemiec z satysfakcją przygotował się do zadania ciosu oskarżycielom.

– Ten ostatni fakt każe mi bardzo podejrzliwie odnosić się do pytania, dlaczego oskarżyciel usiłował stworzyć tak komiczny scenariusz morderstwa, jaki tutaj zaprezentowano...

Townsend walnął rękami w stół, podrywając się z krzykiem:

– Sprzeciw! Sprzeciw! Sprzeciw!

Visser zamilkł, z szyderczym uśmiechem fałszywej uprzejmości. Za plecami Tommy'ego jeńcy ponownie wdali się w burzliwą dyskusję; dziesiątki głosów zlewały się w monotony hałas.

MacNamara zdołał opanować salę uderzeniami młotka, po czym odwrócił się do Niemca i powiedział zimno:

– Sprawie bardzo by pomogło, gdyby odpowiadał pan ściśle na zadawane pytania, unikając jakichkolwiek obszernych wywodów.

– Dobrze, panie pułkowniku – odparł Visser. – Postaram się inaczej sformułować ostatnią odpowiedź. Przeprowadzone przeze mnie oględziny miejsca zbrodni oraz

zebranych wówczas dowodów wskazują, że wydarzenia przebiegały w sposób odmienny od tego, jaki tutaj zaprezentowano. Czy takie sformułowanie jest lepsze, Wysoki Sądzie? Może będzie lepiej, jeżeli wyeliminuję słowo „komiczny”?

Visser mówił to takim tonem, jakby się brzydził własnych słów.

– Owszem, będzie lepiej – odpowiedział MacNamara. – Właśnie o to chodzi.

Tommy miał wrażenie, jak gdyby w sali unosiła się prawie fizycznie namacalna nienawiść. Postanowił rozprawić się z tym natychmiast. Odchrząknął ostro i rzekł:

– Zanim posuniemy się dalej, chciałbym ustalić jedną rzecz ponad wszelką wątpliwość, tak, aby wszyscy to zrozumieli. Kapitanie, pan nas nienawidzi, zgadza się?

– Słucham? – zapytał Visser z uśmiechem.

– Pan nas nienawidzi, chociaż wcale nas nie zna – ciągnął Tommy, wskazując rękami zgromadzonych. – Tylko dlatego, że jesteśmy Amerykanami, Anglikami czy w ogóle alianckimi lotnikami. Nienawidzi pan mnie, kapitana Townsenda, porucznika Renadaya, pułkownika MacNamary i wszystkich siedzących w tej sali. Czy to nie jest prawda, kapitanie?

Visser zawahał się, wzruszył ramionami i przytaknął:

– Jesteście wrogami. Człowiek powinien nienawidzić wrogów swojej ojczyzny.

Tommy odetchnął głęboko.

– To zbyt prosta odpowiedź, kapitanie – zaprotestował. – To zabrzmiało niczym formułka wykuta na pamięć przez ucznia. Pańska nienawiść oznacza coś więcej.

Visser znowu zrobił przerwę, po czym odpowiedział spokojnym, zimnym, ostrym tonem, skrupulatnie dobierając słowa.

– Od uczucia gniewu i nienawiści nie jest wolny żaden człowiek, który tak jak ja patrzył na własną rodzinę, matkę, ojca, siostry, zabitą podczas terrorystycznego bombardowania, który tak jak ja widział śmierć swoich przyjaciół i pamięta hipokryzję oraz kłamstwa wypowiedane przez wasz naród. Czy teraz jest pan bardziej zadowolony z mojej odpowiedzi?

Słowa Vissera mroziły niczym zimowy wiatr. Robiły wielkie wrażenie na zgromadzonych, ponieważ odnosiły się do spraw silnie przez jeńców przeżywanych.

Hauptmann uświadomił słuchaczom, że znajdujący się za drutami świat uprawia wściekłe ludobójstwo, chociaż jeńcy już nie uczestniczą w tych zmaganiach.

– Musi być panu ciężko – mówił bez pośpiechu Tommy – przebywać tutaj z zadaniem utrzymywania przy życiu ludzi, których wolałby pan widzieć martwymi.

Visser wykrzywił twarz w nieprzyjemnym uśmiechu.

– To prawda, choć podana w sposób nadmiernie uproszczony, poruczniku – powiedział.

– A zatem gdybym jutro umarł ja, kapitan Townsend, pułkownik MacNamara lub którykolwiek z jeńców Stalagu Luft 13, sprawiłoby to panu przyjemność?

– To twierdzenie jest bardzo bliskie prawdy, panie Hart – odparł Visser z tym samym uśmiechem.

Tommy zatrzymał się na chwilę i zapytał:

– Bardzo bliskie?

Visser skinął głową.

– Tak – powiedział. – Jedynym wyjątkiem jest pański klient, czarny pilot Scott. Jego los jest mi najzupełniej obojętny.

Ta uwaga nieco zbiła Tommy'ego z tropu. Następne pytanie zadał automatycznie, nie zastanawiając się:

– A to dlaczego?

Visser wzruszył ramionami; można było odnieść wrażenie, że stara się przybrać ironiczny ton.

– My nie uznajemy Murzynów za istoty ludzkie – oświadczył spokojnie, patrząc na Lincolna Scotta. – Co do reszty, to owszem, jesteście wrogami. On jest jedynie najemną bestią, zaangażowaną przez wasze lotnictwo, poruczniku. Nie różni się niczym od psa prowadzonego przez Hundführera patrolującego teren obozu. Poruczniku, psa można się obawiać, a nawet czuć respekt dla jego zębów, pazurów czy przywiązania, jakie okazuje swemu panu, ale przecież nie jest on niczym innym jak tylko wytresowanym zwierzęciem.

Tommy nie musiał się odwracać, by widzieć, jak Lincoln Scott sztywnieje na krześle i zaciska pięści. Miał jedynie nadzieję, że czarnoskóry oficer nie straci nad

sobą kontroli. Wśród słuchaczy rozległ się szmer rozmów, przypominający szum wiatru w koronach drzew. Hart już się zorientował, że Visser pomógł mu pokonać ważną granicę w tym procesie.

Zastanawiał się, pocierając podbródek.

– A co decyduje o tym, że człowiek jest człowiekiem? – zapytał.

Visser milczał, po twarzy błąkał mu się lekki uśmiech, a szramy na policzkach, pozostałość po spotkaniu ze spitfirem, połyskiwały w świetle. W końcu odpowiedział:

– To jest złożone pytanie, poruczniku. Przez wieki prześladowało ono filozofów, teologów i naukowców. Chyba nie spodziewa się pan, że ja udzielę na nie odpowiedzi dzisiaj, tutaj, przed sądem wojennym?

– Nie spodziewam się, kapitanie. Oczekuję natomiast, że będzie pan zdolny podać nam swoją własną, osobistą definicję.

Po pewnym namyśle Visser odrzekł:

– Wchodzi tu w grę wiele czynników, poruczniku Hart. Poczucie honoru, odwaga, zdolność do poświęceń. Można to połączyć z inteligencją oraz umiejętnością rozumowania.

– Czy porucznik Scott nie dysponuje takimi zdolnościami?

– Nie w stopniu dostatecznym.

– Czy pan uważa się za człowieka inteligentnego i wykształconego? Za człowieka wyrafinowanego?

– Naturalnie.

W tym momencie Tommy postanowił zaryzykować. Czuł, jak ogarnia go wściekłość wywołana odpowiedziami nazistowskiego fanatyka, choć starał się, aby w treści i tonie jego pytań nie uwidoczniły się emocje. Jednocześnie miał nadzieję, że nie uciekło mu z głowy to, czego nauczył się w szkole, przygotowując się do studiów. Zawsze mu powtarzano, że uczenie się na pamięć wyjątków z wielkich dzieł ma sens i pewnego dnia przytoczenie odpowiedniego cytatu może okazać się rzeczą istotną. Chyba ten dzień właśnie nadszedł.

– Przypuszczam, że od wykształconego, inteligentnego człowieka można

oczekiwać znajomości klasyki – powiedział. – Proszę powiedzieć, czy rozpoznaje pan następujący fragment: *Arma virumque cano, Troiaequi primus ab oris Italiam fato profugus...*

Visser spojrzał na niego ostro.

– Łacina to martwy język, wykwit przestępczej, dekadencjonalnej kultury; nie mieści się w zakresie moich umiejętności.

– A zatem nie rozpoznaje pan... – skomentował Tommy. – Nie chce pan chyba...

Odwrócił się szybko na pięcie, podejmując wyzwanie.

– Poruczniku Scott – powiedział głośno.

Lincoln poderwał się na nogi. Patrzył na Niemca z dyskretnym, okrutnym uśmiechem.

– Wydaje mi się, że człowiek naprawdę wykształcony jest zdolny rozpoznać pierwsze wersy *Eneidy* Wergiliusza – odpowiedział ostrym tonem. – „Broń i męża opiewam, co z Troi wybrzeża do Italii, gnany losem, pierwszy na brzeg zmierza lawiński...” Czy chce pan, Hauptmann, żebym deklamował dalej?... *multum ille terris iactatus at alto Vi superam, saevae memorem Iunonis ob iram...* To znaczy „...po mórz głębi i lądach pędzony mocą niebian, pamiętny gniew znosząc Junony...”

Podczas recytowania słów poety Lincoln Scott stał wyprostowany jak trzcina. W sali zapadła pełna napięcia cisza. Następnie Lincoln, który ledwie powstrzymywał furję, nie spuszczać oczu z Niemca, przemówił donośnie:

– Oczywiście, jest to język martwy. Ale te wiersze brzmią dzisiaj nie mniej donośnie niż przed wiekami. – Przerwał na moment, po czym dodał: – Panie Hart, może to nieprzyzwoicie pytać znakomicie wykształconego człowieka o język, którego nie zna. Może zatem, panie kapitanie, uda się panu rozpoznać to: „Es irr der Mensch, so lang er strebt...”

Visser uśmiechnął się wrednie.

– Cieszy mnie, że porucznik Scott czytuje również mistrzów niemieckich. *Faust* Goethego jest standardową lekturą w naszych szkołach wyższych i uniwersytetach – powiedział.

Scott sprawiał wrażenie zadowolonego.

– W naszych szkołach, w Ameryce, już nie tak bardzo – powiedział. – Czy zechce pan to przetłumaczyć słuchaczom?

Visser przytaknął, choć z bledszym uśmiechem.

– Błądzi człowiek, póki dąży... – odparł ostrym tonem.

– Jestem przekonany, że rozumie pan, o co chodziło poecie, panie kapitanie – zakończył Scott i usiadł na swoim miejscu, lekko skinąwszy głową Hartowi. Nawet Walker Townsend robił wrażenie zahipnotyzowanego tą słowną szermierką. obrońca przeniósł wzrok na niemieckiego oficera; siedział z obojętną miną. Tommy podejrzewał jednak, że to wyłącznie poza. Uważał Niemca za równie dobrego aktora jak policjanta, a część jego siły przypisywał umiejętności ukrywania prawdziwych uczuć. Wziął głęboki oddech i przypomniał sobie, że kapitan Luftwaffe wciąż jest zdyscyplinowany, czujny i bardzo niebezpieczny.

– A zatem, panie kapitanie, w pewnym momencie wezwano pana do Abortu, gdzie znaleziono ciało kapitana Bedforda...

Visser poprawił się na siedzeniu i przytaknął.

– Czy skończyliśmy już z tymi filozoficznymi dociekaniem i wracamy do świata realnego? – zapytał.

– Owszem, na jakiś czas. Proszę opowiedzieć zebrany, co udało się panu wydedukować na podstawie oględzin tamtego miejsca.

Hauptmann usiadł wygodniej.

– Przede wszystkim, panie poruczniku, miejscem zbrodni nie był Abort – oświadczył. – Kapitan Bedford został zabity gdzie indziej, a potem jego zwłoki przeniesiono do szaletu i tam je pozostawiono.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

– Na podstawie krwawego odcisku buta na podłodze. Gdyby do morderstwa doszło w Aborcie, krew znajdowałaby się na bucie człowieka wychodzącego na zewnątrz. Co więcej, plamy krwi na ciele i w jego otoczeniu pozwalają sądzić, że ofiara wykrwawiła się gdzie indziej.

Walker Townsend poderwał się, otworzył usta, żeby przerwać zeznającemu, ale

po namyśle usiadł z powrotem.

– Czy wie pan, gdzie został zabity Trader Vic? – pytał Hart.

– Nie. Nie odnalazłem tego miejsca. Przypuszczam, że zrobiono wszystko, aby je ukryć.

– Co jeszcze pan stwierdził, badając zwłoki?

Visser uśmiechnął się; w jego głosie wyczuwało się pewność siebie i zadowolenie.

– Jak pan już wcześniej sugerował, poruczniku, wydaje się, że cios, który spowodował śmierć kapitana Bedforda, został zadany od tyłu przez człowieka trzymającego wąski, obosieczny nóż. Podejrzewam, że był to sztylet. I tak jak pan przypuszczał, osobnik ten trzymał broń w lewej ręce. Jest to jedyne możliwe wytłumaczenie rodzaju ran, jakie powstały na szyi denata.

– A co powie pan o nożu, który według oskarżenia został użyty do popełnienia tej zbrodni?

– Ta broń spowodowałaby inne obrażenia. Rana byłaby długa, poszarpana, bardziej krwawa. Przypominałaby poderżnięcie gardła. Bardzo wyraźnie różniłaby się od precyzyjnego pchnięcia, jakie otrzymał kapitan Bedford.

– Jednak tej drugiej broni nigdy pan nie widział, zgadza się?

– Szukałem jej, ale bez powodzenia – odparł chłodno Visser. – Tego rodzaju broń jest tutaj verboten. Jeńcom wojennym nie wolno mieć czegoś takiego.

– A zatem, panie kapitanie, wygląda na to, że zabójstwo nie zostało popełnione tam, gdzie zdarzyło się to zdaniem oskarżenia, użyto do niego narzędzia innego niż to, które prokuratura uważa za narzędzie zbrodni, a dowody, że pchnięcie zadał człowiek leworęczny świadczą o zupełnie innym przebiegu wypadków. Czy w ten sposób możemy podsumować pańskie zeznania?

– Tak. To jest precyzyjna rekapitulacja, panie Hart.

Tommy nie powiedział tego, co i tak było oczywiste. Zostawił tę kwestię, aby jeńcy znajdujący się w wypełnionej po brzegi sali – a także ludzie tłoczący się przy oknach i zgromadzeni na zewnątrz, słuchający powtarzanego im przebiegu rozprawy – mogli samodzielnie wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– Dziękuję, Herr Hauptmann. To było wielce pouczające. Świadek jest pański,

kapitanie – zakończył.

Tommy wrócił na swoje miejsce, a Visserem zajął się kapitan Townsend. Był lekko uśmiechnięty, robił wrażenie spokojnego i cierpliwego.

– Ustalmy jedno do końca, Herr Hauptmann – zaczął. – Pan nienawidzi Amerykanów, mimo że mieszkał pan wśród nich prawie dziesięć lat...

– Zgadza się, kapitanie, nienawidzę wrogów. A wy jesteście wrogami mojego kraju.

– Ale pan miał dwie ojczyzny...

– To prawda, kapitanie. Jednak moje serce oddałem tylko jednej.

Townsend pokiwał głową.

– To zupełnie oczywiste, Herr Hauptmann. Jest pan przeświadczony, że porucznik Scott jest zwierzęciem?

Visser przytaknął.

– On jest szybki, silny i najwyraźniej doskonale wyszkolony, skoro potrafi cytować tak wielkich pisarzy. Mimo wszystko zajmuje pozycję niższą od istoty ludzkiej. Gepard jest również szybki, kapitanie, a fokę można tak wytresować, by wykonywała cudowne sztuczki. Przypominam panu, Herr Kapitän, że niespełna sto lat temu właściciele niewolników z pańskiego rodzinnego stanu powiedzieliby to samo o swojej własności, pracującej od świtu do zmierzchu na polach tytoniowych.

Townsend robił wrażenie, jakby wpadł w pułapkę. Ten nazista był doprawdy irytujący. Twardy, arogancki, absolutnie wierny swoim przekonaniom, żadnymi argumentami nie można go przekonać, że jest inaczej, niż on uważa. Tommy wyczuwał, że oskarżyciel rozjuszony uporem Vissera i jego mentorskim tonem, zaczyna się gotować z wściekłości. Nie ma natomiast pewności, jak bardzo szkodzi to jego sprawie. Hart miał nadzieję, że Townsend pogrąży się w trzęsawisku, do którego wciąga go zarozumiały Niemiec.

Uniknął jednak niebezpieczeństwa.

– Ale z jakiego powodu mielibyśmy wierzyć w cokolwiek, co pan tutaj opowiada? – zapytał.

Visser wzruszył ramionami.

– W najmniejszym stopniu nie dbam o to, czy mi pan wierzy, kapitanie, czy też nie – odparł. – Jest mi zupełnie obojętne, czy rozstrzelamy porucznika Scotta czy nie, chociaż w gruncie rzeczy wolałbym tę pierwszą ewentualność, ponieważ on jest taki niewiarygodny. To zresztą nie jest jego wina, tylko rasy, z której się wywodzi.

Townsend zacisnął zęby.

– Może i nie sprawia to panu żadnej różnicy, ale w dalszym ciągu zeznaje pan pod przysięgą, a przyrzekał pan mówić prawdę; mimo wszystko utrzymuje pan, że Scott nie popełnił tego przestępstwa...

Visser przerwał mu, podnosząc rękę.

– Ależ kapitanie, ja wcale tego nie powiedziałem – zaprotestował z lekkim rozbawieniem w głosie. – A nawet niczego podobnego nie sugerowałem.

Townsend uniósł brwi i patrzył na nieokazującego skruchy Niemca.

– Powiedział pan...

– Kapitanie, powiedziałem tylko, że dla wyszkolonego specjalisty jest oczywiste, że do zbrodni nie doszło w taki sposób, jak pan to przedstawia. Nic o Scotcie nie mówiłem. Co więcej, pozostaje on w moich oczach głównym podejrzanym, który dopuścił się tej zbrodni niezależnie od tego, w jaki sposób została ona dokonana.

– Proszę wytłumaczyć, jak doszedł pan do takiego wniosku – powiedział Townsend z rozjaśnioną twarzą.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! – zaprotestował ostrym tonem Hart, ale MacNamara pokręcił głową:

– To pan otworzył tę puszkę Pandory, poruczniku. Musimy się z tym pogodzić. Niech pan siada i pozwoli dalej zeznawać Hauptmannowi Visserowi. Będzie pan jeszcze miał szansę zadać mu następne pytania, kiedy kapitan Townsend skończy przesłuchanie.

– Oczywiście, wykorzystując pańskie niezrównane kwalifikacje, Herr Hauptmann – dodał szybko oskarżyciel.

Niemiec poprawił się na krześle i zastanawiał się przez chwilę.

– Dowody w postaci plam krwi na ubraniu porucznika Scotta są bardzo przekonujące – powiedział. – Szczególnie plamy na kurtce, których rozmieszczenie

sugeruje, że ktoś przynosił zwłoki na ramieniu. O tym już mówiono. No i pomimo całkiem zabawnych sztuczek porucznika Harta dotyczących tego noża domowej roboty jest oczywiste, że to właśnie ta broń została wykorzystana do popełnienia zbrodni...

– Ale przecież mówił pan... – przerwał Visserowi Townsend.

– Powiedziałem, że morderczy cios zadano innym narzędziem, którego nie można odnaleźć. Jednak kapitan Bedford odniósł także rany, nazywane przez nas defensywnymi; mówię o obrażeniach na rękach i klatce piersiowej. Wskazują one na obronę, być może przez krótki czas, przed stojącym przed nim napastnikiem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa mógł on posługiwać się tym nożem domowej roboty.

Townsend robił wrażenie zmieszanego.

– Ale dlaczego ktoś miałby nosić dwa... – wtrącił.

– Kapitanie, nie chodzi o to, czy jeden człowiek miał dwa noże – przerwał mu Niemiec. – Dowody wyraźnie wskazują, że w zabójstwie uczestniczyło dwóch sprawców. A może powinienem raczej powiedzieć: jeden człowiek, któremu towarzyszył zbrodniczy lokaj, Murzyn Scott. Jeden stał z przodu, ściągając na siebie uwagę kapitana Bedforda, podczas gdy drugi podszedł z tyłu i zadał uderzenie po cichu.

W sali podniósł się szum. Zaszokowani jeńcy nie mogli powstrzymać się od komentarzy, wyrażających zaskoczenie i podziw. Głosy lotników popłynęły huczącą falą po całym budynku. Tommy nie patrzył na mężczyzn siedzących obok – jego uwagę przyciągnęła intrygująca reakcja niektórych uczestników spektaklu. Townsend robił wrażenie wielce zakłopotanego; siedział z rozdziawionymi ustami. Visser odzyskał pewność siebie – był zrelaksowany i rozglądał się dookoła z poczuciem wyższości. Von Reiter zmrużył oczy i sprawiał wrażenie skoncentrowanego, a pułkownik MacNamara siedział z twarzą bladą, pełną niepokoju i zmartwienia.

Według Tommy'go, opinia aroganckiego Niemca dla każdego z tych ludzi oznaczała coś innego.

Hałas w sali spowodował, że pułkownik MacNamara wyzwolił się w końcu z letargu i zaczął energicznie uderzać młotkiem w pulpit. Znowu nastał spokój.

Po zapadnięciu ciszy podniósł się kapitan Walker Townsend z typowym dla siebie uśmiechem kobry.

– Rozumiem, do czego pan zmierza, Herr Hauptmann – zaczął. – Tylko jeden człowiek miał tę broń. I tylko jednego człowieka widziano w noc morderstwa poza barakiem. Następnego dnia jeden człowiek miał poplamione krwią buty i kurtkę. I jeden człowiek czuł tak silną nienawiść, aby zabić. Motyw, możliwość, środek. Mimo to uważa pan, że zbrodnię popełniło dwóch ludzi. Do tego fantastycznego wniosku prowadzi pana znakomite przygotowanie, wyniesione z armii niemieckiej...

W tym miejscu oskarżyciel zrobił długą przerwę, po czym dokończył z południowym akcentem, charakterystycznym dla rodzinnego stanu:

– Do wszystkich diabłów, Herr Hauptmann, czyż można się jeszcze dziwić, że wy, szwabry, tak paskudnie przegrywacie tę cholerną wojnę?

Visser natychmiast zeszywniał, gubiąc gdzieś pełen zarozumiałości uśmiech.

Townsend machnął szeroko ręką, jakby go przekreślał.

– Nie mam dalszych pytań do tego eksperta – oznajmił sarkastycznym tonem. – Możesz go sobie zabrać z powrotem, Tommy. Niezależnie od tego, ile jest wart!

Kilkoma szybkimi krokami podszedł do swojego miejsca.

Tommy podniósł się, lecz nie oddalał od stołu.

– Ja bardzo krótko, Wysoki Sądzie – powiedział, prześlizgując się oczami po MacNamarze. – Pytam ponownie, Herr Hauptmann, z jakiego powodu pan się tutaj znalazł?

– Ponieważ pan wezwał mnie na świadka, poruczniku – odpowiedział ostrym tonem Visser.

– Nie o to pytam. Dlaczego pojawił się pan w tym obozie, tu i teraz?

Visser milczał jak zakłęty.

– Dlaczego Niemcy uważają zabójstwo kapitana Bedforda za wydarzenie wymagające przeprowadzenia dochodzenia? I dlaczego wysyłają do obozu jenieckiego kogoś tak ważnego jak pan?

Visser nadal nie odzywał się, zabrał natomiast głos pułkownik MacNamara.

– Poruczniku! Usiłował już pan pytać o to wcześniej i nie otrzymał odpowiedzi. Takie pytania wykraczają daleko poza zasięg przesłuchania prowadzonego przez kapitana Townsenda! Nie pozwolę na to! – Przewodniczącemu zabrakło tchu. Kiedy go odzyskał, ciągnął dalej: – Kapitanie Visser, jest pan wolny! Dziękujemy za złożenie zeznań.

Niemiecki oficer podniósł się, stanął na baczność i zasalutował trybunałowi, patrząc na swojego przełożonego. Potem wrócił na miejsce i natychmiast podjął rolę obserwatora. Ze srebrnej papierośnicy wydobyl brązowego papierosa i pochylił się do towarzyszącego mu stenografa, który przez chwilę grzebał w kieszeniach, aż w końcu znalazł zapalnik.

Pułkownik MacNamara jeszcze raz zwrócił się do Tommy'ego:

– Co jeszcze przewidział pan dla nas, poruczniku?

– Jeszcze jednego świadka, panie pułkowniku. Wzywam porucznika Lincolna Scotta – powiedział Hart zdecydowanym tonem.

MacNamara skinął głową na znak zgody, ale potem zawahał się; spojrzal na pułkownika von Reitera, a potem ponownie na Tommy'ego.

– Czy oskarżony będzie pańskim ostatnim świadkiem, poruczniku? – zapytał.

– Tak jest.

– Wobec tego wysłuchamy go jutro rano. Będziemy wówczas mieli czas na przesłuchanie prowadzone przez pana, przez oskarżyciela oraz na wystąpienia końcowe. Potem trybunał uda się na naradę – oznajmił przewodniczący, uśmiechając się niewesoło. – To zapewni obu stronom więcej czasu na przygotowanie się.

Wreszcie uderzył w stół, kończąc posiedzenie.

16. Zaskakujący rozkaz

Poranne odliczanie wydawało się ciągnąć bez końca. Przy każdej zwłoce, pomyłce, za każdym razem, kiedy jakiś strażnik zawracał i od nowa mamrotał pod nosem kolejne liczby, jeńcy przeklinali i wściekali się, ale nie ruszali się z miejsca, jakby karnym staniem w szeregu mogli przyczynić się do przyspieszenia całego rytuału. Niestąła pogoda zmieniła się jeszcze raz; rozplynęła się szarość wczesnego poranka, a na błękitniejące niebo weszło słońce, grzejąc zniecierpliwionych jeńców swoim ciepłem. W końcu padła komenda: „Rozejść się”. Szeregi błyskawicznie się rozpadły, a tłum mężczyzn ruszył do obozowego teatru, żeby zająć jak najlepsze miejsca w sali sądowej. Tommy obserwował wchodzących do środka ludzi i zdał sobie sprawę, że tego dnia na posiedzenie sądu stawili się cały obóz. Podekscytowani jeńcy wypełnili budynek, wisieli na framugach okiem, tłoczyli się w drzwiach, usiłowali znaleźć sobie miejsce, skąd będą mogli widzieć i słyszeć, co się dzieje. Hart zatrzymał się na moment – prawdopodobnie był jedynym człowiekiem, któremu nigdzie się nie spieszyło. Czuł niepokój i lekkie zdenerwowanie tym, co ma tego dnia zrobić i powiedzieć, a przy tym zastanawiał się, czy cokolwiek z tego, na co się zdobędzie, przysłuży się choćby w najmniejszym stopniu do ocalenia życia Scotta. Czarnoskóry pilot stał obok niego, obserwując tłum jeńców; miał nieruchomą twarz i twarde spojrzenie, jak zawsze, kiedy pojawiał się publicznie, ale bacznie obserwował otoczenie i dostrzegał to samo, co jego obrońca.

– No cóż, Tommy – odezwał się Scott. – Mam wrażenie, że spektakl musi trwać.

Hugh Renaday stał obok. Podniósł głowę i przyglądał się błękitnemu niebu. Po chwili odezwał się cicho:

– Wiecie, jeżeli w taki dzień jak dzisiaj, przy nieograniczonej widoczności, człowiek patrzy w górę przez dłuższy czas, prawie zapomina, gdzie się znajduje.

Tommy i Lincoln Scott spojrzeli w niebo. Po chwili milczenia Lincoln dodał:

– Cholera, masz rację. Chociaż przez moment można się oszukiwać, że jest się wolnym.

– To miłe, nawet jeśli jest tylko złudzeniem wolności – wtrącił Tommy.

– To miłe – powtórzył Scott. – Jeden z tych nielicznych momentów w życiu, kiedy kłamstwo okazuje się bardziej zachęcające od prawdy.

Potem spuścili oczy, patrzyli na ziemię, druty, wartowników na wieżach i psy, nieustannie przypominające im, jak niepewny jest ich los.

– Trzeba iść – powiedział Tommy. – Ale nie musimy się spieszyć. Najlepiej gdybyśmy przyszli tam w ostatniej chwili. Dokładnie w ostatniej. Żeby jeszcze trochę wkurzyć tego dupka MacNamare. Możemy pozwolić, aby rozpoczęli bez nas...

Hugh i Lincoln roześmiali się, mimo że Tommy nie proponował im zbyt rozsądnej strategii. Kiedy szli przez plac apelowy, usłyszeli zza znajdującej się w lesie ogrodzonej budowy odgłos gwizdka, jakieś krzyki, uderzenia młotów i szum pił.

– Wcześniej pędzą do roboty tych biedaków, co? I każą im harować do późna. Człowiek ma powód do radości, że nie urodził się Rosjaninem – skomentował Scott z krzywym uśmiechem. – To wszystko zawiera w sobie jakąś ponurą kpinę. Czy wydaje się wam możliwe, żeby w tej chwili któryś z tych biedaków powiedział, że czuje się szczęśliwy, ponieważ nie urodził się w Ameryce jako czarny? Przecież cholerne szwaby zaharowują ich na śmierć. A ja przejmuję się tym, że rozstrzelają mnie moi rodacy.

Pokiwał głową, nie przerywając marszu i nie zwalniając tempa. Minęli obszerny dziedziniec. Scott rzucił okiem na dwóch białych towarzyszy i powiedział z uśmiechem:

– Hugh, Tommy, nie bądźcie tacy przygnębieni. Czekałem na ten dzień od momentu, gdy oskarżyli mnie o to przestępstwo. Linczowanie czarnych zazwyczaj przebiega w inny sposób. Przeważnie nie mają szansy stanąć przed wszystkimi i powiedzieć im, jak bardzo się mylą. Zwykle biją nas i wieszają, nic nie mówiąc, w kompletnej ciszy. Ale dzisiaj tak się nie stanie. Nie podczas tego linczu.

Tommy wiedział, że Scott mówi prawdę.

Poprzedniego wieczoru, po zakończeniu zeznań Vissera od razu wrócili do baraku sto jeden, do swojego pokoju. Hugh przygotował skromny posiłek z konserwowego

mięsa i pasty jarzynowej, co po dodaniu tłuszczu przypominało gulasz. Czegoś takiego jeszcze nie próbowali i uznali to za pozytywne doświadczenie. Taka mieszanka w Stanach byłaby nie do przyjęcia, ale tutaj, w Stalagu Luft 13 zapowiadała niezgorszą ucztę.

Między jednym a drugim kęsem Tommy powiedział:

– Scott, musimy się upewnić, że jesteś przygotowany na jutro. Chodzi zwłaszcza o przesłuchanie przez oskarżyciela...

Lincoln odpowiedział z pełnymi ustami, jakby perspektywa jutrzejszych zeznań zaostrzyła jego apetyt:

– Tommy, przygotowywałem się do jutrzejszego dnia przez całe życie.

Zamiast więc mówić o dwóch nożach, plamach krwi i rasistowskich docinkach Tradera Vica, Tommy niespodziewanie poprosił:

– Lincoln, opowiedz mi, co robiłeś w domu jako dorastający chłopak, na przykład w sobotnie popołudnie, gdy świeciło słońce, a nikt od ciebie niczego nie wymagał?

Zaskoczony Scott przerwał jedzenie.

– Pytasz, co robiłem w wolnym czasie? Kiedy byłem dzieckiem?

– No właśnie, w czasie, który miałeś dla siebie.

– Mój tata kaznodzieja i mama nauczycielka w gruncie rzeczy nie wierzyli w coś takiego jak czas wolny – odpowiedział, uśmiechając się. – „Brak zajęcia to poletko diabła!”, powtarzali mi nieraz. Zawsze miałem coś do zrobienia, zawsze znalazła się jakaś dziedzina, w której powinienem stać się mądrzejszy, silniejszy...

– Ale... – przerwał mu Tommy.

Scott skinął głową.

– Zawsze jest jakieś „ale”. Na to jedno można w życiu liczyć – powiedział, wybuchając śmiechem. – Wiesz, co lubiłem robić? Wymykać się na plac załadunkowy w Williamette. Była tam wielka wieża ciśnień; wspinałem się na nią, bo stamtąd widziałem cały teren. Rozumiesz, o czym mówię? Obserwowałem z góry system formowania składów; nazywali to okrągłakiem. Jeden za drugim przyjeżdżały pociągi, hucząc i turkocząc po tym placu. Tony żelaza wprawiane w ruch przez jakiegoś człowieka uruchamiającego elektryczne przekładnie, kierującego

bydło na plac magazynowy, a kukurydzę i ziemniaki na szlak wiodący na wschód tak sprawnie, aby towary te zostały przygotowane przed przyjazdem pociągów z gór. Przypominało to wspaniały, skomplikowany taniec. Ludzie kierujący tym obszarem wyglądali jak niebiańskie anioły, sterujące wszystkim, co znajduje się we wszechświecie zgodnie z jakimś wspaniałym, niepisanym planem. Załadunek i handel były przez nich organizowane z ogromną szybkością, a ruch nigdy się nie kończył. Wielkie dzieło człowieka podczas nieustającej prezentacji. Nowoczesny świat. Postęp u mych stóp.

Zamilkli na moment; po chwili Hugh pokręcił głową.

– Dla mnie taką rozrywką był sport – powiedział. – Gra w hokeja z chłopakami na zamrzniętym stawie. A jak było z tobą, Tommy? Przecież to ty poruszyłeś ten temat. W jaki sposób spędzałeś wolny czas?

Hart uśmiechnął się.

– Moje upodobania doprowadziły mnie do pobytu tutaj – odrzekł. – Lubiłem określać pozycję gwiazd na niebie. One się różnią, jak wiecie. Przesuwają się odrobinę w zależności od pory nocy i roku, zmieniają pozycję. Niektóre świecą jaśniej, inne są przyćmione, a potem się znowu pojawiają. Lubiłem patrzeć na konstelacje, obserwować bezkresność nocy...

Słuchali go w milczeniu. Tommy wzruszył ramionami.

– Powinienem jednak znaleźć sobie inne hobby. Na przykład łapanie much albo grę w hokeja, tak jak ty, Hugh, bo jak w korpusie lotniczym dowiedzieli się, że potrafię prowadzić nawigację na podstawie położenia ciał niebieskich, natychmiast znalazłem się na bombowcu latającym nad Morzem Śródziemnym. Naturalnie, większość naszych misji odbywała się za dnia, w związku z czym moją umiejętność wyznaczania kursu na podstawie położenia gwiazd, wykorzystywano w sposób umiarkowany. Ale taki styl myślenia panuje w lotnictwie i z tego właśnie powodu wylądowałem w tym miejscu.

Roześmiali się. Dowcipkowanie z wojska zawsze wywoływało wesołość. Zaraz jednak spoważnieli, a Lincoln Scott dorzucił:

– No, ale może pewnego dnia wyprowadzisz nas stąd do domu.

Hugh przytaknął.

– To byłby szczęśliwy dzień – powiedział. Ostatni raz poruszyli ten najtrudniejszy z tematów, chociaż każdej nocy powrót do kraju nie opuszczał Tommy’ego Harta. Tylko wczoraj sen uciekał, a umysł coraz bardziej koncentrował się na sali sądowej i dramacie, który miał rozegrać się rankiem.

Starszy oficer amerykański bębnił palcami po stole, nie ukrywając irytacji, kiedy Tommy, Hugh i oskarżony Scott przedzierali się na swoje miejsca przez tłum widzów. Środkowe przejście było tak zapchane ludźmi, że jakakolwiek próba zaprowadzenia ładu stała się niemożliwa. Jeńcy mieli zaledwie tyle wolnego miejsca, aby ścisnąć się odrobinę i pozwolić przejść gęsiego trzem spóźnialskim, którzy musieli zrezygnować z trójkowego szyku, w jakim pojawiali się tu poprzednio. Pomruki, szepty i ciche komentarze ścigały ich jak niewysoka, spieniona fala podążająca za żaglówką. Tommy nie słuchał słów, lecz zwrócił uwagę na odmienny ton tych wypowiedzi: jedne brzmiały gniewnie, inne dodawały otuchy, a jeszcze inne świadczyły o dezorientacji.

Hart przelotnie rzucił okiem na komendanta von Reitera, który zajął miejsce po lewej stronie Heinricha Vissera. Niemiecki pułkownik kołysał się lekko na krześle i uśmiechał dyskretnie. Visser miał twarz kamienną, pozbawioną wszelkiego wyrazu. Tommy nie miał pewności, czy Hauptmann pomógł czy też zaszkodził sprawie, ale wiedział, że jego zeznanie odegrało istotną rolę – przypomniało jeńcom, kto tu jest prawdziwym wrogiem. To zaś było zjawiskiem korzystniejszym, niż mógłby sobie w ogóle życzyć. Pozostawał inny problem: jak wbić do głowy jeńcom Stalagu Luft 13, że Lincoln Scott stoi po ich stronie, jest jednym z nich. To może być trudne, myślał Hart, jeżeli w ogóle możliwe do przeprowadzenia.

– Powinniście znajdować się na miejscu, gotowi do udziału w rozprawie w tym samym czasie, co reszta z nas, panie Hart – oznajmił sztywno pułkownik MacNamara.

Tommy nie zareagował na tę uwagę.

– Jesteśmy gotowi, pułkowniku – powiedział po prostu.

– No więc proszę zaczynać – polecił przewodniczący chłodnym tonem.

– Obrona wzywa na świadka porucznika Lincolna Scotta z 332 Grupy Myśliwskiej! – oświadczył Tommy tak donośnym głosem, jaki był w stanie z siebie wydobyć; jego słowa dotarły do wszystkich słuchaczy zgromadzonych w sali teatralnej.

Scott wstał zza stołu obrony i trzema wielkimi krokami podszedł do miejsca dla świadków. Błyskawicznie chwycił Biblię, którą mu podano, przysiągł mówić prawdę i usiadł na krześle. Spojrzał na Tommy'ego z gorliwością boksera w ringu, który nie może się doczekać dzwonka oznajmiającego rozpoczęcie walki.

– Poruczniku Scott, proszę opowiedzieć, w jaki sposób trafił pan do Stalagu Luft 13.

– Zostałem zestrzelony. Tak jak wszyscy.

– A jak doszło do tego, że został pan zestrzelony?

– Usiadł mi na ogonie focke-wulf, a ja nie zdążyłem się go pozbyć, zanim mnie trafił. Oto i cała historia.

– Niezupełnie – zaprotestował Tommy. – Ujmijmy rzecz inaczej: czy po zakończeniu normalnego lotu patrolowego, kiedy już wracaliście do bazy, usłyszał pan przez radio na otwartym kanale wołanie o pomoc z uszkodzonego bombowca B-17?

– Tak było – odrzekł Scott po chwili.

– Czy był to apel rozpaczliwy?

– Tak sędzę, panie Hart. Lecieli samotnie, mieli dwa nieczynne silniki oraz odstrzeloną połowę tylnego stabilizatora. Mieli spore kłopoty.

– Tamten samolot był atakowany, a miał dwa niesprawne silniki?

– Zgadza się.

– Czy ścigało go sześć myśliwców przeciwnika?

– Tak.

Tommy zrobił przerwę. Wiedział, że każdy z obecnych doskonale wyobraża sobie, w jakich opałach była załoga bombowca, kiedy wzywała na pomoc wszystkich, którzy mogli ją usłyszeć. Praktycznie ci ludzie nie mieli szans; od

śmierci dzieliły ich zaledwie sekundy.

– A pan i pański skrzydłowy ruszyliście na pomoc uszkodzonej maszynie we dwóch?

– Tak właśnie zrobiliśmy.

– Chociaż nie musieliście tego robić?

– Nie musieliśmy – odparł Scott. – To znaczy nie byliśmy do tego formalnie zobowiązani, panie Hart. Ten samolot należał do formacji, której osłanianie nie należało do naszych zadań. Ale naturalnie musieliśmy im pomóc. W tej sytuacji stwierdzenie, że nie musieliśmy tego robić brzmi głupio, panie Hart. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiś wybór. Po prostu ruszyliśmy do ataku.

– Rozumiem. Uznaliście, że nie macie wyboru. Dwóch przeciwko sześciu. Ile amunicji pozostało wam, kiedy schodziliście do ataku?

– Na kilka sekund strzelania. Wystarczyło na kilka króciutkich serii – odrzekł Scott i po chwili dodał: – Nie bardzo rozumiem, dlaczego muszę o tym mówić, panie Hart. To nie ma żadnego związku z zarzutami, jakie mi tutaj postawiono.

– Do tych zarzutów jeszcze dojdziemy, poruczniku. Każdy z zeznających wcześniej świadków relacjonował, w jakiej sytuacji trafił do tego obozu, więc pan zrobi to samo. A zatem zaatakowaliście przeważające siły wroga, mając pełną świadomość, że amunicji wystarczy wam zaledwie na jedną lub dwie serie?

– Tak jest. W pierwszym podejściu udało się nam strącić focke-wulfa; mieliśmy nadzieję, że zdołamy ich odciągnąć. Ale to się nie powiodło.

– I co się później zdarzyło?

– Dwa myśliwce zajęły się nami, dwa nadal ścigały bombowiec.

– Co dalej?

– Udało się nam je wystraszyć, kiedy usiedliśmy im na ogonach. Resztką amunicji zestrzeliłem jeszcze jeden samolot. Potem rzuciliśmy się na nich.

– Nie mając amunicji?

– Tak jest. Wcześniej to się nam udawało.

– A co się stało tym razem?

– Tym razem zostałem zestrzelony.

– A pana skrzydłowy?

– Zginął.

Tommy zrobił pauzę, by dać słuchaczom czas na przemyślenie sytuacji.

– Jaki los spotkał tego B-17?

– Doleciał szczęśliwie do domu.

– Kto lata w 332 Grupie Myśliwskiej?

– Ludzie z całych Stanów Zjednoczonych.

– Co was wyróżnia spośród innych?

– Jesteśmy ochotnikami. Tam nie ma nikogo z poboru.

– Co jeszcze?

– Wszyscy jesteśmy Murzynami. Szkolono nas w Tuskegee w Alabamie.

– Czy jakiś bombowiec osłaniany przez 332 Grupę Myśliwską został zestrzelony przez myśliwce przeciwnika?

– Jak dotychczas, nie.

– Dlaczego?

Scott zawahał się. Podczas poprzedniej wymiany zdań uważnie obserwował Tommy'ego. Teraz obrzucił wzrokiem całą salę i ponownie popatrzył na obrońcę.

– Uzgodniliśmy to między sobą, kiedy zaczynaliśmy latać na misje bojowe. Uczyniliśmy z tego regułę, nasze credo, można powiedzieć. Postanowiliśmy, że nie pozwolimy zginąć żadnemu białemu chłopakowi, którego powierzono naszej opiece.

Tommy pozwolił, by to ostatnie stwierdzenie dotarło do pogrążonego w milczeniu tłumu słuchaczy.

– Czy po przyjeździe tutaj – ciągnął po chwili – zaprzyjaźnił się pan z jakimś innym jeńcem?

– Nie.

– Z żadnym?

– Z żadnym.

– A to dlaczego?

– Nigdy nie miałem białego przyjaciela, poruczniku Hart. Nie sądziłem, żebym mógł zawrzeć taką przyjaźń tutaj.

– A teraz? Czy teraz ma pan przyjaciół, poruczniku Scott?

Zapytany zastanowił się, nieznacznie wzruszył ramionami i odrzekł:

– Panie Hart, przypuszczam, że obecnie mogę uważać pana i porucznika Hugh Renadaya za ludzi w miarę bliskich wspomnianej kategorii.

– I tylko tyle?

– Tak.

– Przejdźmy do kapitana Vincenta Bedforda...

– Ja nienawidziłem jego, a on mnie. Panie Hart, powodem tej nienawiści był kolor mojej skóry, ale jestem zdania, że sprawa sięgała głębiej. Kiedy patrzył na mnie, nie widział człowieka, postawionego w takiej samej sytuacji jak on, tylko odwiecznego wroga, znacznie groźniejszego niż jakikolwiek Niemiec spotkany na tej wojnie. Muszę przyznać, że ja, niestety, patrzyłem na niego prawie tak samo. Był uosobieniem człowieka wpędzającego w niewolę, torturującego i zaharowującego na śmierć moich przodków. To przypominało konfrontację z nocnym koszmarem, który przyczepił się nie tylko do mnie, ale również do mojego ojca, dziadka i wszystkich wcześniejszych pokoleń.

– Czy zabił pan Vincenta Bedforda?

– Nie, nie zabiłem! Bardzo chętnie podjąłbym z nim walkę, i gdyby on zginął w czasie tej walki, wcale bym go nie żałował. Czy jednak byłbym zdolny zacząć się na niego nocą, jak sugerują ci ludzie, podkraść się cicho i zaatakować z tyłu, jak jakiś niegodny, słaby tchórz? Z pewnością nie! Czegóż takiego nie zrobiłem i nigdy nie zrobię!

– Nie zrobiłby pan tego?

Scott siedział wyprostowany, a jego donośny głos rozbrzmiewał w całej sali.

– Nie. Czy jednak ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że zrobił to ktoś inny? Tak. Ucieszyłem się! Nawet gdy oskarżono o to mnie, byłem w głębi duszy wdzięczny, że do tego doszło, ponieważ uważałem Vincenta Bedforda za uosobienie zła!

– Uosobienie zła?

– Tak. Człowiek, który tak jak on żyje kłamstwem, jest z gruntu zły.

Tommy znowu zrobił przerwę. Ostatnie słowa Lincolna Scotta zaskoczyły go –

oskarżony zmierzał w inną stronę, niż Tommy przewidywał. Poczł nagły dreszcz, bo właśnie w tym momencie dostrzegł cechę Vincenta Bedforda, której, jak sądził, nie zaobserwował nikt inny, może z wyjątkiem czarnoskórego pilota. Przez chwilę Hart zastanawiał się i ponownie odwrócił się do Scotta, który niecierpliwie czekał na następne pytanie.

– Słyszał pan sugestię Hauptmanna Vissera, jakoby pomagał pan komuś innemu w popełnieniu tej zbrodni...

Scott uśmiechnął się.

– Chyba każdy z obecnych zdaje sobie sprawę, jakie szalone było to przypuszczenie, panie Hart. Pozwolę sobie użyć określenia samego Hauptmanna: to po prostu komiczne. W tym obozie nikt mi nie ufa. Nie ma też tutaj ani jednego człowieka, któremu ja bym zaufał. W każdym razie nie w przypadku planowanego zabójstwa innego oficera.

Tommy rzucił okiem na Vissera. Niemiec niespokojnie poruszył się na krześle, twarz mu poczerwieniała.

– Kto zamordował Vincenta Bedforda? – Hart powrócił do zadawania pytań.

– Nie wiem. Wiem tylko, na kogo usiłuje się zrzucić winę.

– To znaczy na kogo?

– Na mnie.

Scott zawahał się jeszcze raz, a po chwili dorzucił głosem donośnym i pełnym przejęcia, jak głos kaznodziei odwołującego się do opatrności:

– Podczas tej wojny niewinni ludzie giną w każdej minucie, każdej sekundzie, panie Hart. Jeżeli nadszedł mój czas, to mimo mojej niewinności niech tak się stanie! Ale ja nie popełniłem niczego, co mi się zarzuca i będę to powtarzał do ostatniej chwili!

Tommy milczał. Chciał, żeby ostatnie słowa rozniosły się po całym teatrze i dotarły do wszystkich obecnych. Potem zwrócił się do Walkera Townsenda.

– Świadek jest pański – powiedział spokojnie.

Oficer z Wirginii wstał z miejsca i powoli wyszedł na środek sali. Ręką gładził

nieogolony zarost jak człowiek, który bardzo wnikliwie zastanawia się, co ma powiedzieć. Naprzeciw siedział Scott – Tommy widział jego napięcie i energię. W oczach oskarżonego nie widać było śladu zdenerwowania, tylko czujność i typową dla lotnika koncentrację. Tak samo musiał wyglądać za sterami mustanga. Czarnoskóry pilot posiadał rzadką umiejętność całkowitego skupienia się na czekającej go walce. Oto prawdziwy wojownik, na swój sposób znacznie bardziej profesjonalny od zawodowych oficerów, czyhających na każde wypowiedziane przez niego słowo, myślał Tommy. Przyszło mu też do głowy, że jedynym na tej sali człowiekiem zdolnym do wywołania w sobie tak intensywnego napięcia jest Heinrich Visser. Różnica sprowadzała się do tego, że koncentracja Scotta na wybranym, jedynym celu wynikała z prawości charakteru, podczas gdy Visser był skrajnym fanatykiem. Tommy pomyślał, że w uczciwej walce okazałby się godnym przeciwnikiem dla Niemca i o wiele za silnym dla Walkera Townsenda. Problem jednak polegał na tym, że ta walka nie była uczciwa.

– Porozmawiajmy spokojnie, bez pośpiechu, poruczniku – zaczął Townsend, przybierając niemalże pieszczotliwy ton. – Zajmijmy się najpierw środkami...

– Jak pan sobie życzy, kapitanie – odparł Scott.

– Nie zaprzecza pan, poruczniku, że nóż zaprezentowany przez oskarżenie został własnoręcznie przez pana zrobiony?

– Nie zaprzeczam. Ja rzeczywiście zrobiłem ten nóż.

– Nie zaprzecza pan również, że wygłaszał pan groźby?

– Nie, sir. Nie zaprzeczam. Odwoływałem się do takich groźb, starając się stworzyć większy dystans między mną a kapitanem Bedfordem. Może zostawiłby mnie w spokoju, gdybym go przestraszył.

– Czy tak się stało?

– Nie.

– A zatem mamy jedynie pańskie słowo, że te wypowiedzi nie były w istocie groźbami, tylko wysiłkiem, aby... jak pan to nazwał, „stworzyć większy dystans”.

– Zgadza się – odrzekł ostrym tonem Scott.

Walker Townsend skinął głową, ale z jego zachowania jasno wynikało, że

rozumie słowa oskarżonego zupełnie inaczej.

– Nie zaprzecza pan również, że w noc zabójstwa kapitana Bedforda wstał pan z łóżka i wyszedł na korytarz baraku sto jeden, prawda?

– To także się zgadza.

– No dobrze, idźmy dalej. Jest pan wystarczająco silny, aby podnieść zwłoki kapitana Bedforda i przenieść je na pewną odległość...

– Ja tego nie zrobiłem... – przerwał Scott.

– Ale ma pan wystarczająco dużo siły, poruczniku?

Oskarżony zamyślił się na sekundę, po czym odpowiedział:

– Tak, mam dość siły. Mógłbym go podnieść każdą ręką i położyć na dowolnym ramieniu, że pozwolę sobie uprzedzić pańskie następne pytanie.

Townsend uśmiechnął się.

– Dziękuję, poruczniku – odrzekł. – Dobrze pan mnie uprzedził. A teraz zajmijmy się na chwilę motywem. Nie ukrywa pan swej pogardy dla kapitana Bedforda, nawet po jego śmierci, zgadza się?

– Tak jest.

– Czy na skutek tej śmierci pańska sytuacja stała się lepsza?

Scott uśmiechnął się nieznacznie.

– Powinien pan inaczej sformułować to pytanie, kapitanie – odrzekł. – Czy żyje mi się lepiej, ponieważ nie muszę już codziennie stawać oko w oko z tym rasistowskim sukinsynem? Tak, to prawda. Jest to jednak korzyść iluzoryczna, kapitanie, skoro moje życie może zostać przerwane przez pluton egzekucyjny.

Walker Townsend przytaknął.

– Przyznaję, poruczniku, ma pan rację. Mimo to nie zaprzeczy pan, że w okresie, który spędziliście tu razem, Vincent Bedford każdego dnia dawał panu powód do zamordowania go, prawda?

Scott zaprzeczył.

– Nie, kapitanie, to nieprawda. Zachowanie kapitana Bedforda dawało mi powody do nienawidzenia jego i wszystkiego, co sobą reprezentował. Stanowiło też powód, by stawiać mu czoło i nie pozwolić się stłamsić ani upokorzyć rasistowskimi

uwagami. Nawet wówczas, gdy chciał mnie nakłonić do przekroczenia linii śmierci, żeby podnieść piłkę, za co mogłem zapłacić życiem, gdyby porucznik Hart mnie nie ostrzegł, nawet to posunięcie, a także inne jego czyny dawały mi tylko motyw do walki z kapitanem Bedfordem. Skłonność do walki i konfrontacji, niegodzenie się na poniżanie mnie ani bierne akceptowanie jego postępowania nie stanowią jednak motywu morderstwa, w które pan usiłuje mnie wmanewrować.

– Ale nienawidził go pan...

– Nie zawsze zabijamy tych, których nienawidzimy, kapitanie. Nie zawsze też nienawidzimy tych, których zabijamy.

Townsend nie spieszył się z następnym pytaniem – przez chwilę w sali panowała cisza. Tommy zdążył pomyśleć, że Scott dobrze sobie radzi, gdy w tłumie za jego plecami rozległ się przenikliwy, donośny głos.

– Kłamczuch! Parszywy, zakłamany czarnuch! – zawołał ktoś z silnym południowym akcentem.

– Morderca! Cholerny, zakłamany morderca! – krzyknął inny w drugim końcu sali.

Natychmiast odezwał się trzeci głos, najwyraźniej skierowany do ludzi, którzy zaczęli krzyczeć jako pierwsi.

– To prawda! Nie potraficie tego zrozumieć? – wołał jakiś człowiek z charakterystyczną dla mieszkańców Bostonu wymową samogłoski „a”.

W rogu sali rozległy się odgłosy walki. Hart odwrócił się i zauważył w tłumie kilku jeńców skaczących sobie do oczu. Po chwili gniewne głosy rozległy się w innych miejscach. Stłoczeni oficerowie zaczęli się szamotać i gwałtownie gestykulować. Wyglądało na to, że w różnych punktach dojdzie do walki, ale pułkownik MacNamara zaczął z furią walić młotkiem w stół, starając się zagłuszyć rosnący harmider.

– Spokój, do cholery! – zawołał. – Każę opróżnić salę, jeżeli nie potraficie utrzymać dyscypliny!

Rozgrzane do czerwoności emocje zaczęły stopniowo opadać.

Pułkownik poczekał, aż w sali zapanuje pełne napięcia milczenie.

– Zdaję sobie sprawę, że panują tu odmienne opinie, a emocje są bardzo silne – powiedział stanowczym tonem. – Musimy jednak zachować porządek! Proces przed sądem wojskowym to wydarzenie publiczne, którego świadkami mogą być wszyscy! Ostrzegam was, nie zmuszajcie mnie do podejmowania kroków przeciwdziałających takim wybuchom, zanim jeszcze do nich dojdzie!

Następnie MacNamara zrobił coś, co Tommy’emu wydało się niezwykle. Odwrócił się szybko do komendanta von Reitera i oznajmił:

– Właśnie przed tym wielokrotnie pana ostrzegałem, Herr Oberst!

Von Reiter skinął głową na znak, że przyjął do wiadomości słowa Amerykanina. MacNamara dał znak Townsendowi, żeby kontynuował przerwane przesłuchanie.

Wtedy Tommy coś sobie uprzytomnił. Ile razy poprzednio zdarzało się coś, co choćby tylko trochę zakłócało przebieg rozprawy, MacNamara natychmiast uciszał salę, waląc młotkiem w pulpit. Hart podejrzewał nawet, że jest to jedyna czynność w sali sądowej, jaką pułkownik potrafi właściwie wykonywać, skoro nie znał się na prawie i procedurze w sprawach kryminalnych. Tym razem Tommy odniósł wrażenie, że MacNamara rozmyślnie czekał na pierwszy wybuch i pozwolił, by emocje doszły niemalże do punktu wrzenia, a dopiero potem zaczął przywracać spokój. Jak gdyby pułkownik oczekiwał takiego wybuchu. Pomyślał, że to bardzo dziwne, ale nie miał czasu dłużej roztrząsać tej kwestii, bo Townsend zadał następne pytanie.

– Poruczniku Scott, oczekuje pan zatem od tego trybunału oraz wszystkich ludzi zebranych na tej sali i słuchających pana, oczekuje pan od nas wszystkich, abyśmy uwierzyli, że w tę noc, kiedy dokonano zabójstwa kapitana Bedforda wyszedł pan z sypialni, był widziany na korytarzu, a potem wrócił do łóżka i nie zauważył, że jakaś nieznana osoba zabrała pańską kurtkę lotniczą i buty z miejsca, gdzie pan je zazwyczaj zostawiał, ukradła spośród pańskiego dobytku nóż, który sam pan zrobił, wykorzystwała te rzeczy podczas zabójstwa kapitana Bedforda, a następnie wróciła do pańskiego pokoju i wszystko oddała. Nie zwrócił pan również uwagi na plamy krwi na tych przedmiotach. Chce pan, poruczniku, żebyśmy w to wszystko uwierzyli, zgadza się?

Scott milczał przez chwilę, a potem powiedział stanowczo:

– Właśnie tak.

– Kłamstwo! – zawołał jakiś człowiek z tylnych rzędów, ignorując ostrzeżenia MacNamary.

– Pozwólcie mu mówić! – zaprotestował ktoś inny.

Przewodniczący sięgnął po młotek, ale zanim go użył, nastała cisza.

– Nie ma pan wrażeń, że to zanadto naciągane, poruczniku?

– Nie wiem, kapitanie. Nie popełniłem morderstwa, teraz ani nigdy! Nie mam zatem doświadczenia. Natomiast pan oskarżał w wielu sprawach o morderstwo. Może więc pan udzieli nam odpowiedzi. Czy nigdy nie zdarzył się panu taki niezwykły proces? Dziwaczny? Jest pan znacznie lepszym specjalistą, kapitanie, więc może to pan odpowie na te pytania?

– Moim zadaniem nie jest odpowiadanie na pańskie pytania, poruczniku! – odparł rozgniewany po raz pierwszy Townsend. – To pan jest świadkiem!

– No cóż, kapitanie – ciągnął Scott zimnym, irytującym tonem. Tommy uznał, że oskarżony zachowuje się w sposób bliski ideału. – Jestem przekonany, że po to właśnie chodzimy po tym świecie. Żeby odpowiadać na pytania. Ilekroć któryś z nas wsiada do samolotu przed podjęciem walki, odpowiada sobie na pewne pytanie. Jeśli w życiu stykamy się z prawdziwym wrogiem, czy to będą Niemcy, czy biali rasiści z południowych stanów, odpowiadamy sobie na pytanie. Z takich pytań składa się poważnej mierze całe nasze życie, kapitanie. Może zapomniał pan o tym, siedząc w tym pudle, za drutami. Ale ja o tym pamiętam, do wszystkich diabłów!

Townsend znowu zamilkł. Bez słowa kiwał głową, a potem ruszył do stołu oskarżenia. W pół drogi zatrzymał się jednak, popatrzył na Scotta, jakby coś mu się nagle przypomniało, jakieś pytanie. Tommy natychmiast domyślił się, co to może być; zastawiał pułapkę na Scotta. W tej chwili obrońca nie mógł nic na to poradzić. Miał tylko nadzieję, że świadek przejrzy intencje prokuratora.

– Poruczniku, mam jeszcze ostatnie pytanie – powiedział oskarżyciel.

Tommy gwałtownie wyciągnął rękę i zrzucił na podłogę jedno ze swoich prawniczych dzieł, ułożonych na stole. Książka z hukiem spadła na podłogę,

przyciągając na chwilę uwagę Scotta i Townsenda.

– Proszę wybaczyć. Nie miałem zamiaru panu przeszkadzać, kapitanie – powiedział Hart. Pochylił się i podniósł książkę z podłogi w taki sposób, żeby zrobić przy tym jak najwięcej zamieszania. – Niech pan kontynuuje.

Townsend popatrzył na niego i wrócił do przerwanej wątku.

– A zatem jeszcze jedno pytanie...

Scott przelotnie spojrział na Tommy'ego. Domyślił się, że chciał mu przekazać ostrzeżenie. Odwrócił się do prokuratora.

– Słucham, kapitanie – powiedział.

– Czy byłby pan gotów skłamać, aby ocalić życie?

Tommy już miał wstać, ale pułkownik MacNamara przewidział jego sprzeciw i energicznie machnął ręką, nie dopuszczając go do słowa.

– Świadek ma odpowiedzieć na to pytanie – oznajmił zdecydowanym tonem.

Tommy skrzywił się, czując ucisk w brzuchu. Pomyślał, że jest to najgorsze z możliwych pytań, stary prokursorski trik, którego Townsend nigdy nie mógłby zaryzykować w prawdziwym sądzie, ale tutaj, na oszukańczym procesie w Stalagu Luft 13, pozwalano mu na najgorsze nawet nadużycia. Tommy wiedział, że na takie pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Gdyby Scott potwierdził, słuchacze uznaliby, że wszystko, co mówił wcześniej, było kłamstwem. Jeśliby zaprzeczył, każdy słuchający go jeniec, każdy człowiek, który czuł na karku zimny oddech śmierci i zdawał sobie sprawę, jak wielkie miał szczęście, skoro nadal żyje, potraktowałby to zaprzeczenie jako kłamstwo, ponieważ dla zachowania życia człowiek jest gotów zrobić wszystko.

Tommy zamknął na moment oczy; pomyślał, że czarny pilot dostrzega to niebezpieczeństwo. Świadek znalazł się między Scyllą a Charybdą. Z takiego miejsca nie sposób wycofać się bez strat.

– Nie wiem – odparł Lincoln z przekonaniem. – Wiem natomiast, że wszystko, co dziś tutaj powiedziałem jest prawdą.

– To pan tak mówi – zachnął się Townsend, potrząsając głową z niedowierzaniem.

– Zgadza się! – huknął Scott. – Tak właśnie mówię!

– W tej sytuacji nie mam do świadka dalszych pytań – oznajmił Townsend, skutecznie nadając swemu głosowi wyraz frustracji i skrajnego niedowierzania.

Pułkownik MacNamara spojrział na Tommy'ego.

– Czy chciałby pan zadać świadkowi dalsze pytania, mecenasie? – zapytał.

– Nie, sir – zaprzeczył Hart po chwili zastanowienia.

Przewodniczący zwrócił się teraz do Lincolna Scotta.

– Wobec tego może pan odejść, poruczniku – oznajmił.

Scott podniósł się, zrobił zwrot, zasalutował trybunałowi i wyprostowany jak trzcina wrócił na swoje miejsce.

– Czy ma pan jeszcze coś, panie Hart? – zapytał MacNamara.

– Obrona nie ma dalszych wniosków, panie pułkowniku – odparł głośno Tommy.

– A zatem spotkamy się po południu, żeby wysłuchać końcowych wystąpień obu stron – oświadczył przewodniczący. – Panowie, wystąpienia powinny być krótkie i rzeczowe!

Uderzył młotkiem w stół.

– Rozejść się! – zakomenderował.

Gdy jeńcy zaczęli się podnosić z miejsc, powstało zamieszanie. Nagle jakiś głos zawołał: „Rozstrzelajmy go od razu!” Natychmiast odpowiedział mu ktoś inny, równie oburzony: „Wy sukinsyny z Południa!” Jeńcy zaczęli się przepychać i walczyć ze sobą; głosy podnieconych ludzi zlewały się, tworząc gniewną kakofonię. Tommy widział, jak spokojniejsi hamują bardziej pobudliwych, a byli też tacy, którzy mieli ochotę przyłożyć byle komu. Nie wiedział, jak jeńcy oceniają winę bądź niewinność Scotta. Miał przed sobą ludzi ogarniętych jedynie namiętnością.

MacNamara walił młotkiem w stół. Po chwili na sali zapadła cisza.

– Powiedziałem: rozejść się! – wrzasnął pułkownik. – Ja nie żartuję!

Przez chwilę taksował wściekłym wzrokiem jeńców, a wreszcie podniósł się i przedarł przez tłum, przyglądając się uważnie każdemu z mijanych. Można było odnieść wrażenie, że stara się zapamiętać ich nazwiska i skojarzyć je z konkretnymi twarzami. Za jego plecami rozlegały się jeszcze pomrukiwania, padały ostre słowa, ale te odgłosy cichły stopniowo, gdy jeńcy zaczęli wychodzić z budynku teatralnego

na zalany słońcem plac.

Sam ze swoimi myślami i kłopotami, Tommy krążył wzdłuż linii śmierci przy drutach. Dobrze wiedział, że powinien teraz siedzieć w pokoju i pisać tekst popołudniowego wystąpienia przed sądem, próbę ocalenia życia Lincolna Scotta. Ale rozbudzone emocje ciągnęły go na słońce. Chodził po obwodzie obozu, a tempo wyznaczały mu wyniki arytmetycznych działań, jakie rozwiązywał w wyobraźni. Czuł ciepłe promienie na karku, lecz podejrzewał, że to kolejne oszustwo, bo pogoda znowu się zmieni i niebawem szary chłód ogarnie obóz.

Inni jeńcy stojący na placu albo tak jak on krążący wokół obozu, trzymali się z daleka. Żaden się nie zatrzymał, nie obrzucił go przekleństwami ani nie życzył mu szczęścia. Nikt też nie wyraził radości z powodu pięknej pogody. Tommy maszerował zupełnie sam.

Człowiek żyjący kłamstwem... tak mówił Scott o Vincencie Bedfordzie. Hart zastanawiał się nad pewną charakterystyczną cechą zamordowanego: on nigdy nie przeprowadził transakcji, która nie przyniosłaby mu profitu – z wyjątkiem ostatniego przypadku, za który zapłacił życiem. To wysoka cena – pomyślał cynicznie. A może Trader Vic oszukał wtedy kogoś? Tylko czy byłby to dostateczny powód, aby go zabijać? Nie przerywając spaceru, sam sobie odpowiedział: Vic handlował jedzeniem, czekoladą, ciepłymi ubraniami, papierosami, kawą, a od przypadku do przypadku nielegalnymi radioodbiornikami i aparatami fotograficznymi. Czy było jeszcze coś?

Zatrzymał się: Vic handlował też informacjami.

Tommy popatrzył na lasy otaczające obóz. Mijał akurat zaplecze baraku sto pięć i zakątek, w którym, jak sądził, faktycznie zabito Bedforda, a później przeniesiono w inne miejsce. Oceniał odległość od końca baraku do otaczających obóz drutów, po czym przeniósł wzrok dalej, na rosnące za ogrodzeniem drzewa.

Przez chwilę poddał się presji czasu. Myślał o Visserze, jeńcach krążących nocą po terenie stalagu oraz ludziach, grożących Scottowi wbrew wyraźnym rozkazom. Przypomniał sobie o znikających dowodach i usunięciu ze sceny Phillipa Pryce'a.

Wszystko to zalewało go jak wysoka fala. Miał wrażenie, że stawia opór potężnemu morskemu wiatrowi, który zdmuchuje pianę z grzbietów bałwanów i nadaje wodzie ponury, ciemnoszary kolor, zapowiadając wielki sztorm nadchodzący z dalekiego widnokregu. Potrząsnął głową, robiąc sobie wymówki: za długo patrzyłeś na prąd wody przelewającej się pod stopami, zamiast patrzeć w dal. Przyszło mu do głowy, że taką uwagę wypowiedziałby Phillip Pryce. Ale Harta tak bardzo przecież pochłaniały zachodzące wydarzenia.

Z rozmyślań wyrwał go głos, wymawiający jego imię. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że to Lydia stoi na podwórzu przed domem i prosi, aby do niej wyszedł. Takie skojarzenie było tym bardziej zrozumiałe, że powietrze przepęłniał wiosenny aromat, taki sam jak w Vermont. Obrócił się. To nie Lydia, tylko Hugh Renaday. Obok Kanadyjczyka stał Lincoln Scott i dawał znaki, żeby do nich podszedł. Tommy spojrzął na zegarek – zbliżał się czas rozpoczęcia posiedzenia, przeznaczonego na końcowe przemówienia.

Nawet Tommy musiał przyznać, że Walker Townsend jest prawnikiem elokwentnym i przekonującym. Przemawiał cichym, niemal hipnotyzującym głosem, a nieznaczny południowy akcent przydawał jego słowom pozornej wiarygodności. Jeszcze raz wypunktował wszystkie elementy zbrodni; w gruncie rzeczy jedynym zarzutem, któremu Lincoln Scott zaprzeczył, było samo morderstwo. Townsend wydawał się z rozkoszą podkreślać, że czarnoskóry pilot potwierdził wszystkie detale, składające się na zabójstwo Vincenta Bedforda.

Wystąpienia oskarżyciela słuchał tłum jeńców, szczelnie wypełniających budynek teatru. Tommy odnosił wrażenie, że słowa Townsenda powoli, lecz nieubłagane odzierają Lincolna Scotta z niewinności. W spokojny, ale i uporczywy sposób kapitan Townsend jasno wykazywał, że w tej sprawie tylko jeden człowiek jest podejrzany i wyłącznie jemu trzeba przypisać winę.

Prokurator przedstawiał wysiłki Tommy'ego jako zwyczajną dymną zasłonę i próbę odwrócenia uwagi od Scotta. Przekonywał, że z powodu ograniczonych możliwości przeprowadzenia w obozowych warunkach prawdziwego dochodzenia, większą wagę należy przypisać dowodom pośrednim. Całkowicie zlekceważył

zeznania Vissera, chociaż skrupulatnie unikał szczegółowej analizy jego słów. Podkreślał natomiast sposób, w jaki Niemiec się wypowiadał, co według Tommy'ego najlepiej dyskredytowało znaczenie tej opinii.

Na końcu zaś zmusił Harta do uznania dla swych umiejętności: dał do zrozumienia, że w gruncie rzeczy wcale nie potępia Lincolna Scotta za zamordowanie Tradera Vica. Kiedy to mówił, podniósł głos, aby mieć pewność, że nie tylko członkowie trybunału, ale każdy z obecnych na sali usłyszy jego słowa.

– Wysoki Sądzie, kto z nas zachowałby się inaczej? – zapytał. – Kapitan Bedford robił wszystko, żeby ściągnąć na siebie śmierć. Od pierwszej chwili nie doceniał porucznika Scotta, ponieważ, jak słyszeliśmy, był rasistą. Przypuszczał tchórzliwie, w charakterystyczny dla rasistów sposób, że ofiara nie zdobędzie się na opór. Jednak, panowie, Lincoln Scott ma naturę wojownika. On nas przekonał, że kiedy staje do walki, nie zwraca uwagi na nierówne szanse. No i rzucił się na Vincenta Bedforda, tak jak na tamte niemieckie myśliwce. Ta śmierć jest czymś zrozumiałym. Tylko że, panowie, samo zrozumienie pobudek postępowania nie czyni oskarżonego mniej winnym, a jego czyny nie stają się przez to mniej godne potępienia! Wysoki Sądzie, w pewnym sensie mamy do czynienia z całkiem prostą sytuacją: Trader Vic otrzymał to, na co zasłużył własnym postępowaniem. Ale identyczne normy musimy stosować do porucznika Scotta! Ten z kolei stwierdził, że Vincent Bedford jest winny i wykonał na nim egzekucję! W tej sytuacji my, ludzie cywilizowani, wolni i przywiązani do demokracji, musimy postąpić tak samo!

Po tych słowach Townsend uklonił się MacNamarze i usiadł na swoim miejscu.

– Kolej na pana, panie Hart. Proszę się streszczać – powiedział przewodniczący.

Tommy podniósł się.

– Będę mówił krótko, Wysoki Sądzie – obiecał.

Stanął przed audytorium i zaczął mówić głośno, żeby każdy mógł go usłyszeć:

– Wysoki Sądzie, istnieje jedna rzecz, którą my, jeńcy ze Stalagu Luft 13 rozumiemy doskonale: jest nią niepewność. To najbardziej fundamentalny atrybut wojny. Dopóki ona się nie skończy, w gruncie rzeczy nie ma nic pewnego. Nawet po wojnie ta niepewność często pozostaje w ludziach, wywołując zamieszanie i

konflikty. Tak samo jest ze śmiercią kapitana Vincenta Bedforda. Jak dowiedzieliśmy się od jedyne go prawdziwego specjalisty, który badał miejsce przestępstwa, mimo że jest on nazistą, obraz zaprezentowany przez oskarżenie nie zgadza się z istniejącymi dowodami. Wiemy także, że zaprzeczenia porucznika Scotta, który nie przyznaje się do winy, a zdemaskowane przez prokuraturę jako nieprawdziwe, nie zostały obalone w trakcie przesłuchania świadków. Wy zaś, członkowie trybunału, jesteście obowiązani wydać decyzję, od której nie będzie odwołania. Zawarta w niej będzie ostateczna, jednoznaczna ocena bardzo subiektywnych szczegółów. Tymczasem te szczegóły wywołują najróżniejsze wątpliwości. Nie ma natomiast najmniejszych wątpliwości co do jednego: niemieckiego plutonu egzekucyjnego. Nie sądzę, abyście mogli polecić mu otwarcie ognia bez absolutnego przekonania o winie Lincolna Scotta! Nie wolno wam tego zrobić dlatego, że go nie lubicie, że ma skórę innego koloru, że cytuje klasyków, podczas gdy inni tego nie potrafią. Nie wolno wam wydać takiego rozkazu, ponieważ przesłanką najwyższego wymiaru kary może być wyłącznie zbiór niepodważalnych i całkowicie oczywistych faktów. A śmierć Tradera Vica nawet w przybliżeniu temu nie odpowiada.

Tommy zrobił przerwę. Miał świadomość, że elokwencją nie dorównuje Townsendowi i na gwałt chciał wymyślić jeszcze jakiś wątek. W końcu dodał:

– Wysoki Sądzie, wszyscy tu jesteśmy więźniami; nie mamy pewności, czy dożyjemy jutra. Gdybyście w istniejących warunkach odebrali życie Lincolnowi Scottowi, zabilibyście po trochu każdego z nas, a zrobilibyście to nie mniej skutecznie niż kula albo bomba.

Po tych słowach Tommy usiadł.

Za plecami usłyszał szum rozmów. Ludzie najpierw mówili cicho, ale szybko przeszli do krzyku i kłótni. Za ledwie krok dzielił ich od walki. Jeńcy w różnych częściach sali zaczęli się bić, dochodziło do gniewnych konfrontacji. Według Tommy'ego, dowodziło to ponad wszelką wątpliwość, że ani końcowe wystąpienie Walkera Townsenda, ani jego nie przyczyniły się do rozładowania napięcia wśród słuchaczy, tylko jeszcze bardziej umocniły wcześniejsze opinie.

Ponownie rozległy się uderzenia młotka przewodniczącego.

– Nie dopuszczę do jakichkolwiek rozruchów! – zagrział pułkownik MacNamara. – Nie będzie żadnego linczu!

– Mam nadzieję – mruknął Scott pod nosem, uśmiechając się niewyraźnie.

– Zachowajcie spokój! – wołał przewodniczący, ale upłynęła prawie minuta, zanim jeńcy usiedli na miejscach i opanowali emocje.

– W porządku, teraz lepiej – oświadczył MacNamara. Odchrząknął demonstracyjnie i mówił dalej: – Napięcia i przeciwstawne opinie dotyczące niniejszej sprawy stworzyły wyjątkową sytuację. W związku z tym, po konsultacjach z wysokimi przedstawicielami Luftwaffe – tu skłonił się komendantowi von Reiterowi, który w odpowiedzi dotknął ręką paska czarnej skóry na obramowaniu czapki – postanowiliśmy, co następuje. Zrozumcie mnie dobrze, chodzi o bezpośredni rozkaz waszego oficera dowodzącego, któremu bezwzględnie musicie się podporządkować! Kto nie zastosuje się do tego rozkazu, wyląduje na najbliższy miesiąc w karcerze!

MacNamara zrobił przerwę, żeby jego groźba dotarła do słuchaczy.

– Zbierzemy się tutaj jutro rano, o ósmej zero zero! Wówczas trybunał ogłosi werdykt! Dzisiejszy wieczór poświęcimy na rozważenie wyroku. Po ogłoszeniu werdyktu wszyscy jeńcy udadzą się bezpośrednio na plac, na poranny apel! Bezpośrednio! Nie będzie żadnych wyjątków! Niemcy uprzejmie wyrazili zgodę na opóźnienie porannego sprawdzania obecności, aby umożliwić nam ogłoszenie wyroku i zamknięcie sprawy! Zabraniam hałasów, walk i dyskusji na temat rozstrzygnięcia trybunału przed zakończeniem odliczania! Macie stać w szeregu do chwili wydania komendy „Rozejść się”! Niemcy zaostrzą środki bezpieczeństwa, aby nie dopuścić do jakichkolwiek nieuprawnionych działań! To ostrzeżenie. Macie się zachowywać jak oficerowie i dżentelmeni, niezależnie od tego, jaki zapadnie wyrok! Czy wszyscy dobrze mnie zrozumieli?

To pytanie nie wymagało odpowiedzi.

– A więc jutro o ósmej zero zero stawiacie się wszyscy w tym miejscu. To rozkaz. A teraz rozejść się!

Oficerowie z zespołu sędziowskiego podnieśli się, podobnie jak oficerowie niemieccy. Jeńcy zaczęli opuszczać budynek teatru.

Walker Townsend pochylił się nad Tommym, wyciągając do niego rękę.

– Doskonała robota, poruczniku – powiedział. – Znacznie lepsza niż można by oczekiwać od faceta, który po raz pierwszy staje przed sądem w sprawie o morderstwo. Musieli cię dobrze uczyć na tym Harvardzie.

Hart bez słowa uściśnął dłoń prokuratora. Townsend, jakby nie dostrzegając Scotta, odwrócił się do majora Clarka.

– On ma rację, Tommy – wtrącił oskarżony. – Doceniam twój wysiłek, niezależnie od tego, co oni postanowią.

Tommy znowu się nie odezwał. Poczł przeszywający, lodowaty chłód, bo właśnie wtedy, w ostatniej sekundzie zamajaczył mu cień prawdziwej przyczyny zamordowania Tradera Vica. Odnosił wrażenie, jakby ta prawda zawsze mu towarzyszyła – ulotna, nieuchwytna, śliska i niemal nie do zauważenia. Wyciągnął przed siebie rękę, jak gdyby chciał ją złapać w powietrzu. Miał nadzieję, że to, co w końcu udało mu się dostrzec, jest, jeżeli nie całą prawdą, to przynajmniej jej poważną częścią.

17. Noc rozrachunków

Kiedy wreszcie wrócili do pokoju, pierwszy przerwał ciszę Scott. Sprawiał wrażenie przygnębionego, pogrążonego w głębokich refleksjach i pogodzonego z sytuacją, a równocześnie podekscytowanego, energicznego i wzburzonego. Nie wiedział, co zrobić z długą nocą, która go czekała. Krążył szybko po sypialni, wyrzucał przed siebie ręce, jakby zadawał ciosy wyimaginowanym przeciwnikom. Po pewnym czasie odwrócił się i oparł ciężko o ścianę jak bokser, który w dziesiątej rundzie trafia na liny ringu, mając nadzieję, że dzięki nim przez sekundę lub dwie uniknie uderzeń. Popatrzył na Hugh, osuwając się na łóżko niczym robociarz zmordowany całodzienną harówką, a następnie na Tommy'ego, który wyglądał na obojętnego i nieobecnego duchem.

– Przepuszczam, że powinniśmy uczcić ten dzień, ostatni wieczór mojego... – zaczął, ale zawahał się i dokończył ze smutkiem: – ...ostatni wieczór czegoś tam. Niewinności? Wolności? Stanu oskarżenia? Nie, to jest mało prawdopodobne. Nie byłoby słuszne mówić o wolności, skoro siedzimy w niewoli; nikt z nas nie jest wolny. Ale coś się skończy tej nocy i to jest chyba dostateczny powód. No, co o tym myślicie? Otworzymy szampana czy stuletniego napoleona? Usmażymy sobie steki z polędwicy? A może upieczemy czekoladowy tort i udekorujemy go świeczkami? Ważne, żeby jakoś spędzić ten czas.

Scott poderwał się, podszedł do Tommy'ego i dotknął jego ramienia. Gdyby Hart uważniej mu się przyglądał, pewnie by zrozumiał, że był to pierwszy spontaniczny odruch sympatii, na jaki czarnoskóry pilot zdobył się od momentu przybycia do Stalagu Luft 13.

– Rozchmurz się, Tommy – powiedział delikatnie. – Proces się skończył. Zrobiłeś, co powinienes. W cywilizowanych warunkach udałoby ci się zasiać dobrze uzasadnione wątpliwości, a przecież prawo nie wymaga niczego więcej. Problem w tym, że my nie żyjemy w cywilizowanym świecie.

Przerwał na moment, po czym mówił dalej:

– Teraz możemy tylko czekać na taki wyrok, jakiego spodziewaliśmy się od chwili, gdy odnaleziono ciało Vica.

Ostatnie słowa wytrąciły Tommy’ego z letargu, w jakim znajdował się od momentu wyjścia z sali sądowej. Spojrzał na Scotta i pokręcił przecząco głową.

– Koniec? – zapytał. – Lincoln, ta sprawa dopiero się zaczyna.

Scott patrzył na niego pytająco.

– No, Tommy, w tym miejscu całkiem się pogubiłem. Jak to, zaczyna się? – zapytał Hugh ze swojej pryczy.

Hart niespodziewanie uderzył pięścią w otwartą dłoń i zaczął kłuć ciosami powietrze przed sobą, tak jak to robił przed chwilą Scott. Okręcał się wokół własnej osi, zadał kilka ostrych, prostych ciosów, a potem potężny hak z lewej ręki. Zapalona żarówka pod sufitem rzucała mu na twarz smugi światła.

– Co ja robię? – zapytał nagle, zatrzymując się na środku pokoju. Popatrzył na współlokatorów z szerokim uśmiechem.

– Zachowujesz się jak kompletny cymbał – odrzekł z uśmiechem Hugh.

– To jest walka z cieniem – sprostował Scott.

– No właśnie. Dokładnie tak! To właśnie miało miejsce przez ostatnie kilka dni. – Tommy odsunął z czoła kosmyk włosów i przyłożył palec do ust. Bezszelestnie zbliżył się na palcach do drzwi, otworzył je ostrożnie i wyjrzał na korytarz, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. Korytarz był pusty. Zamknął drzwi i odwrócił się z wyrazem podekscytowania na twarzy.

– Jestem głupcem, że nie zauważyłem tego wcześniej – powiedział przyciszonym głosem.

– Czego nie zauważyłeś? – zapytał Scott. Renaday patrzył na Harta w napięciu.

Tommy podszedł bliżej i zapytał szeptem:

– Czym Trader Vic handlował tuż przed śmiercią?

– Sprzedał nóż, od którego zginął.

– Zgadza się. Nóż. On był nam potrzebny. Mieliśmy go, a potem pozbyliśmy się; Visserowi bardzo zależało na znalezieniu go. To był ważny nóż. Ale czym jeszcze Vic handlował?

Słuchacze spojrzeli po sobie.

– O co ci chodzi? – zaczął Scott. – Ten nóż miał kardynalne znaczenie...

– Wcale nie – zaprotestował Tommy. – Co prawda wszyscy skupili na nim uwagę, bo tym nożem zamordowano Vica. Nic dziwnego. Ale Bedfordowi udało się zdobyć od jakiejś nieznanej osoby z tego obozu coś jeszcze, co było nie mniej istotne. Pilot myśliwski, ten facet z Nowego Jorku, powiedział nam, że widział u Vica niemiecką walutę, oficjalne dokumenty oraz rozkład jazdy pociągów...

– Owszem, ale...

– Rozkład jazdy!

Scott i Renaday stali w milczeniu.

– Z początku nie myślałem o tym, bo, tak jak wszyscy, skoncentrowałem się na tym cholernym nożu! Po co jakiemuś jeńcowi potrzebny byłby rozkład jazdy, gdyby nie wybierał się w podróż pociągiem? A to przecież niemożliwe, prawda? Z tego obozu nikt nigdy nie uciekł! A nawet gdyby komuś udało się wydostać poza druty i dotrzeć do stacji, żeby złapać pociąg do Szwajcarii odchodzący o siódmej piętnaście czy coś koło tego, wszędzie byłoby pełno szwabów i psów z gestapo, ponieważ wcześniej ogłoszono by alarm, w naszym starym Stalagu Luft 13! Wszyscy o tym wiemy. A to, że nikomu nie udało się stąd wydostać, strasznie gryzie pułkownika MacNamarę i tego oślizłego kurdupla Clarka, i to od wielu miesięcy!

Tommy jeszcze bardziej ściszył głos, przechodząc do szeptu.

– Pytanie: co jutro ma się zdarzyć wyjątkowego? Coś, co jeszcze nigdy nie odbiegało od normy.

Koledzy patrzyli na Harta w milczeniu.

– Jutrzejszy dzień będzie inny tylko z jednego powodu, a nakłonieniu Niemców do wprowadzenia tej zmiany służy cały ten proces. Ma to być dzień odmienny od wszystkich poprzednich. Zastanówcie się nad tym! Co nigdy nie ulega zmianie? Ani w dzień Bożego Narodzenia, ani w Nowy Rok. W najpiękniejszy letni dzień, nawet z okazji urodzin przeklętego Adolfa Hitlera! Co to jest, co się nigdy nie zmienia? Poranne sprawdzanie obecności! Zawsze o tej samej porze, w tym samym miejscu, odbywa się identycznie, dzień w dzień! Trzysta sześćdziesiąt pięć razy w roku. A

jeśli to rok przestępny, trzysta sześćdziesiąt sześć. Jak w zegarku. Wstaje słońce, a zaraz potem parszywe szwaby liczą nas na placu apelowym. Tylko jutro ma być inaczej, ponieważ Niemcy uprzejmie zgodzili się przesunąć apel na później, bo wszyscy się obawiają, czy ogłoszenie wyroku w toczącej się sprawie nie doprowadzi do wybuchu zamieszek! Szwaby nigdy nie odstępują na krok od rutynowego porządku, ale jutro to zrobią! A zatem jutro i tylko jutro sprawdzanie obecności zostanie opóźnione. O godzinę? O dwie? Wyobrażacie sobie nas, ustawionych w grupach po pięć szeregów każda, żeby ułatwić im liczenie? No więc jutro ustawimy się w ten sposób znacznie później niż dotychczas.

Scott i Renaday patrzyli na siebie. Zaczynało się im udzielać podniecenie Tommy'ego.

– Czy chcesz powiedzieć... – zaczął Scott.

– Jutro w poszczególnych grupach będzie brakować niektórych ludzi – dokończył za niego Tommy.

– Mów dalej – ponaglił go Lincoln.

– Widzicie, gdyby miał się stąd zmyć jeden jeniec, a choćby dwóch albo trzech, to pewnie udałoby się ukryć ich nieobecność podczas apelu. Można by znaleźć sposób, aby zapewnić im kilka godzin forów, bez których nie poradziłiby sobie. Ale co zrobić, gdy w grę wchodzi większa grupa? Powiedzmy, dwudziestu ludzi. Albo trzydziestu, pięćdziesięciu? Tak duża liczba zwróciłaby uwagę natychmiast, zaraz po rozpoczęciu apelu. Podniesiono by alarm. No więc jak można im zapewnić niezbędny czas, zwłaszcza że nie wolno dopuścić do tego, aby cała pięćdziesiątka wsiadła do jednego pociągu? Kiedy trzeba rozdzielić grupę i załadować do pociągów odjeżdżających przed południem?

– To ma ręce i nogi – powiedział Hugh. – Absolutna racja. Trzeba opóźnić poranny apel! Tylko nie rozumiem, co śmierć Vica ma wspólnego z ucieczką.

– Ja również tego nie wiem – przyznał Tommy. – Jeszcze nie. Jestem jednak zupełnie pewny, że jest tu jakiś związek i zamierzam się o tym przekonać dziś w nocy!

– No dobra, dotąd wszystko w porządku. Ale co do tego ma postawienie Scotta

przed plutonem egzekucyjnym? – pytał Kanadyjczyk.

– Kolejne dobre pytanie – pokiwał głową Tommy. – Na nie także mam nadzieję znaleźć odpowiedź w nocy. Choć już teraz mogę się założyć o ostatnią paczkę papierosów, że człowiek zdolny zamordować Tradera Vica, żeby się tylko stąd wydostać, nie zawaha się postawić Lincolna przed niemieckim plutonem egzekucyjnym, składającym się z rozwścieczonych ucieczką żołnierzy.

Ta ostatnia uwaga nie wywołała komentarza – jej prawdziwość była aż nadto oczywista.

Kilka minut przed pierwszą w nocy Tommy Hart usłyszał słabe odgłosy ruchu na korytarzu baraku. Od wyłączenia przez Niemców elektryczności w obozie, trzech mieszkańcy małej sypialni dyżurowali po kolei przy drzwiach, usiłując wychwycić dźwięki towarzyszące ludziom zmierzającym po cichu w kierunku wyjścia. Z oczekiwaniem wiązało się ryzyko. Tommy co chwila miał ochotę zabrać kolegów i wyruszyć razem z nimi. Pamiętał jednak, jak którejs nocy obudził się i usłyszał wychodzących z baraku jeńców. Teraz domyślał się, że ci trzej oficerowie, których wówczas wysledził, znaleźli się na liście wybrańców, wyruszających rankiem na wolność. Pójście za nimi wydawało się lepszym rozwiązaniem niż narażanie siebie i dwóch przyjaciół na niebezpieczeństwo błędzenia, dostania się w światła reflektorów albo napotkania skorych do otwierania ognia wartowników. Tommy przypuszczał, jaki może być cel tej nocnej wędrówki. Z wcześniejszych obserwacji wywnioskował, że miejscem zbiórki najprawdopodobniej jest barak sto pięć, obok którego dokonano zabójstwa Vincenta Bedforda. Pod uwagę należało też brać sąsiedni barak sto siedem, wprawdzie nieusytuowany najbliżej ogrodzenia z drutu kolczastego, ale też niezbyt od niego oddalony.

Koledzy w milczeniu przyczaili się za jego plecami, skurczeni na krawędzi pryczy. Hart widział zarys ich twarzy w świetle żarzącego się papierosa Hugh Renadaya.

– Uwaga! – powiedział szeptem, ostrzegawczo podnosząc rękę i jeszcze bardziej przysuwając się do grubych, drewnianych drzwi. Usłyszał delikatne kroki na zbitej z

desek podłodze. Bez trudu wyobraził sobie, co się dzieje o parę kroków od niego. Jeńcy wcześniej otrzymali sygnał i przygotowali sobie rzeczy potrzebne do ucieczki. Na pewno włożyli specjalnie przygotowane ubrania, upodabiające ich do cywilów. Może mają ze sobą walizki. Z pewnością zgromadzili dodatkowe racje żywnościowe, a także sfalszowane dokumenty – zaświadczenia o miejscu pracy i przepustki uprawniające do podróżowania, może nawet bilety kolejowe, zaszyte w wewnętrznych kieszeniach kurtek czy marynarek. Nie będą się musieli w ogóle odzywać, ale zapewne każdy z nich powtarza sobie w duchu kilka niemieckich zwrotów, które wystarczą im na czas przejazdu do granicy szwajcarskiej. Zgodnie z wydanymi rozkazami zatrzymają się przy drzwiach, czekając, aż przesunie się snop światła z myskującego po terenie reflektora, a potem błyskawicznie wyskoczą na dwór. Tommy pomyślał, że w tę noc nie zapalą nawet świeczki. Będą po prostu liczyć kroki od łóżka do drzwi.

Odwrócił się do kolegów.

– Bez najmniejszego hałasu – powiedział. – Zachowajcie całkowitą ciszę. Przygotujcie się...

W tym momencie Scott chwycił przyjaciół za ramiona. Przyciągnął ich do siebie i powiedział pełnym napięcia szeptem:

– Tommy, Hugh, posłuchajcie... musimy sobie uświadomić jedną rzecz.

Mówił powoli i wyraźnie, starając się, aby każde słowo zostało dobrze zrozumiane.

Ton jego głosu zmroził Harta.

– O co chodzi? – zapytał Hugh.

Tommy usłyszał ciężki oddech Lincolna, brzmiący tak, jakby to, co zamierzał wyjawić, przygniatało go niczym nieznośny ciężar.

– Pewni ludzie oddali życie za umożliwienie tego, co się ma dzisiaj wydarzyć – wyszeptał. – Ciężko harowali, a potem zginęli w męczarniach, aby dać innym szansę wyjścia na wolność. Dwóch z nich zginęło pod zwałami piachu przy kopaniu tunelu, zanim tu przybyłem...

– Tak było – wtrącił cicho Hugh. – Słyszeliśmy o tym u siebie, w drugim obozie.

Scott zawahał się na moment, po czym mówił z jeszcze większym naciskiem.

– Musimy pamiętać o tych ludziach! Nie możemy odebrać szansy tym, którzy dziś w nocy wychodzą z baraków! Należy zachować ostrożność... Szczególną ostrożność!

– Musimy poznać prawdę – oznajmił twardo Tommy.

W ciemnościach zauważył, że Scott przytakuje mu skinieniem głowy.

– Faktycznie – powiedział. – Musimy poznać prawdę. Ale pamiętajmy przy tym o kosztach. Tamci jeńcy zginęli. Dziś w nocy trzeba będzie spłacić długi, a nam nie wolno o tym zapominać, Tommy. Pamiętajcie, że niezależnie od wszystkiego wciąż jesteśmy oficerami wojsk lotniczych. Przysięgaliśmy bronić naszego kraju, a nie mnie. Tylko tyle chciałem wam powiedzieć.

Tommy przełknął ślinę.

– Będę o tym pamiętał – zgodził się. Nagle odniósł wrażenie, że wszystkie cele, jakie sobie wyznaczył na tę noc, stają się znacznie trudniejsze do osiągnięcia. Stawka była naprawdę wysoka.

– Wiesz, Scott – wyszeptał Hugh – jesteś cholernie dobrym żołnierzem i patriotą; masz całkowitą rację. Ale ci wszyscy dranie, którzy łąją jak psy i kantują, nie są tego warci. Tommy, jesteś nawigatorem...

Hart zauważył, że Scott uśmiecha się szeroko.

– No właśnie, Tommy – powiedział. – Wyznaczaj kurs. My pójdziemy za tobą.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Wiedzieli, że odpowiedzi na trapiące ich pytania są ukryte w ciemnościach. Tommy delikatnie uchylił drzwi pokoju wyszedł na korytarz, a za nimi Lincoln i Hugh. Otaczała ich nieprzenikniona ciemność nocy i dojmujący strach, zrodzony z niepewności.

Dotarli do połowy długości baraku, kiedy przez szczeliny w drzwiach wyjściowych przeniknęły do środka słabe refleksy przesuwającego się światła reflektora. Przez ułamek sekundy Tommy widział trzy przytulone do siebie postacie. Światło znikło równie szybko jak się pojawiło, a barak znowu pograżył się w ciemności. Jednak Hart zobaczył już to, o co mu chodziło: trzech ludzi bezszelestnie zanurzyło się w ciemności. Nie potrafił powiedzieć, kim są, jak się ubrali, co mają ze

sobą. Dostrzegł jedynie zarys poruszających się sylwetek. Szybko ruszył przed siebie.

Bez słowa doszli do końca korytarza i przykucnęli, czekając, aż światło przesunie się po ścianie baraku. Tommy słyszał tylko za plecami przyspieszony oddech dwóch mężczyzn.

Nie musieli długo czekać. Smuga światła dotarła do drzwi baraku, zatrzymała się na moment, po czym ruszyła dalej, wydobywając z ciemności fragmenty następnych budynków. Wtedy Tommy błyskawicznie otworzył drzwi i dał nurka w nieprzenikniony nocny mrok. Wszystko odbyło się tak samo jak w czasie poprzedniej wycieczki. Szybko pobiegli na zaplecze baraku, gdzie nie docierało światło reflektora. Przyłgnęli do ściany baraku sto trzy i oddychali ciężko. Kto by pomyślał, że pokonanie krótkiego dystansu wymaga tak wielkiego wysiłku?

Hart rozglądał się dookoła, usiłując wypatrzeć trzech jeńców, którzy wydostali się z baraku przed nimi, ale w ciemnościach nie mógł odnaleźć ich sylwetek.

– Niech to wszyscy diabli! – zaklął pod nosem.

Hugh ocierał spocone czoło.

– Nie jestem pewien, czy dzisiejszej nocy chciałbym robić za Charliego na końcu tyłka – powiedział pogodnie.

Tommy przytaknął, rozweselony słowami Kanadyjczyka. „Charlie na końcu tyłka” ten mało elegancki zwrot używany był przez brytyjskich pilotów dla określenia skrajnego położenia lotnika w szyku atakującej eskadry składającej się z sześciu maszyn. Jego pozycja była najbardziej niebezpieczna. Zdążył upłynąć prawie rok wojny, zanim dowództwo lotnictwa myśliwskiego wprowadziło zmiany w tym podstawowym szyku samolotów w powietrzu, ustawiając je w kształt litery V, co spowodowało, że ostatni samolot nie musiał poruszać się bez osłony. W podobny sposób latali Niemcy. Poprzednio nikt nie pilnował ogona Charliego na końcu tyłka, w rezultacie czego w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku zginęły dziesiątki pilotów spitfire’ów. Niemieckie messerschmitty ustawiały się za nimi i, niewidoczne, otwierały ogień, a potem zwiewały, zanim formacja zdążyła zrobić zwrot i stawić czoło zagrożeniu.

– Dobra, nie mówmy o tym – ciągnął Hugh. – Dokąd teraz?

Tommy wyteńczył wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć w otaczającej go ciemności. Powietrze było czyste i chłodne, niebo połyskiwało gwiazdami, a nad daleką linią drzew świecił wąski sierp księżyca, wydobywając z mroku sylwetki strażników na wieży obserwacyjnej. Trzej jeńcy, którzy wcześniej od nich wyszli z baraku, rozplynęli się gdzieś bez śladu.

– Może przeczołgamy się pod barakiem, tak jak poprzednio? – szepnął Scott. – Może oni poszli tamtędy.

Tommy pokręcił głową, drżąc na samo wspomnienie tamtej eskapady.

– Nie – zdecydował, dziękując Bogu za te ciemności. – Najpierw przed front, a potem do ściany baraku sto pięć. Ruszacie za mną.

Nie czekając na odpowiedź, skoczył przed siebie, a za nim dwaj pozostali. Ominął schodki wiodące do baraku sto trzy, przeskoczył kawałek najbardziej niebezpiecznego, odsłoniętego terenu i skrył się w wąskiej alejce między dwoma barakami.

Po pokonaniu odkrytego fragmentu terenu i skryciu się w ciemnym przejściu, Tommy usłyszał głucho uderzenie, a później pełne podniecenia ciche przekleństwo. W odległości kilku metrów dostrzegł sylwetkę mężczyzny – dokładnie naprzeciw baraku sto pięć.

Człowiek ten podnosił z ziemi walizkę. Pochylony, gwałtownymi ruchami zbierał jakieś przedmioty, które z niej wypadły, po czym zaczął biec i natychmiast zniknął z pola widzenia. Był to ostatni z trzyosobowej grupki jeńców, którzy wyszli przed nimi z baraku. Jemu groziło największe niebezpieczeństwo.

Jak gdyby dla podkreślenia zagrożenia, światło reflektora omiotło miejsce, gdzie przed chwilą uciekinier zgubił walizkę. Tańczyło, przesuwano się do przodu i w tył, jakby operującego reflektorem wartownika coś tam zainteresowało, ale niezbyt poważnie. Po kilku sekundach żółty snop ruszył dalej.

– Widzieliście to? – syknął Scott.

Tommy przytaknął w milczeniu.

– Czy wiesz, dokąd oni poszli? – zapytał Renaday.

– Przypuszczam, że do baraku sto siedem – odparł Tommy. – Ale nie możemy być tego pewni, dopóki sami tam nie dotrzemy.

Ostrożnie posuwając się po pogrążonej w ciemnościach alejce, doszli do frontowej ściany następnego baraku. Nie usłyszeli najmniejszego szmeru. Było tak cicho, że nawet najdelikatniejszy odgłos zabrzmiałby, jak fanfara albo syrena zapowiadająca alarm. Bezszelestne poruszanie się w tak głębokiej ciszy okazało się szalenie trudne. W okolicy nie było żadnego miasta z charakterystycznym szumem samochodów i autobusów, nie słyszeli nawet dalekich odgłosów wybuchających bomb. Wartownicy na wieżach też przestali żartować, nocnej ciszy nie zakłócał szczekaniem pies Hundführera, co pomogłoby zagłuszyć odgłos kroków. Tommy pomyślał, że dobrze by się stało, gdyby teraz brytyjscy jeńcy w północnym obozie zaśpiewali jedną ze swoich sprośnych piosenek. Przydałoby się cokolwiek, co zagłuszyłoby cichutkie kroki poruszających się w mroku ludzi.

– W porządku – powiedział Hart. – Robimy to samo, co poprzednio, ale tym razem ruszamy jeden za drugim. Biegniemy przed barakiem i kryjemy się w cieniu po drugiej stronie. Ja pierwszy, za mną Lincoln, a potem ty, Hugh. Niech żaden się zanadto nie spieszy. Uważajcie. Jesteśmy bardzo blisko wieży strażniczej po drugiej stronie placu. To jej reflektor prawie złapał tamtego faceta. Wartownicy mogli coś usłyszeć, może teraz patrzą w naszą stronę. No i zazwyczaj przy głównej bramie jest jeden z tych przeklętych psów. Nie spieszcie się, poczekajcie, aż będziecie pewni, że nic wam nie grozi.

– Zgoda – odrzekł Scott.

– Cholerne psy – mruknął Hugh. – Czy myślicie, że taki zwierzak potrafi wyczuć, jak strasznie się boję? W tej chwili nie byłoby mu trudno wyniuchać mój zapach. A jeżeli te parszywe światła zbliżą się jeszcze bardziej, moje majtki będzie czuć na kilometr.

Tommy i Lincoln uśmiechnęli się mimo woli.

Kanadyjczyk chwycił Harta za rękę.

– Ty prowadzisz, Tommy – powiedział. – Scott pójdzie za tobą, a ja do was dołączę za minutkę lub dwie.

– Poczekaście, aż się upewnicie, że jesteście bezpieczni – powtórzył Tommy. Pochylił się i popęztał wzdłuż frontowej ściany baraku, kierując się do ostatniej plamy cienia, widocznej na odkrytym terenie. Kiedy się tam znalazł, stanął i sprawdził, czy ma dobrze zawiązane buty, zapiętą kurtkę i naciśniętą na czoło czapkę. Nie miał przy sobie nic, co mogłoby zabrzęczeć albo utrudnić dalszy bieg. Skontrolował wszystko, co ewentualnie mogłoby go zdradzić i uznał, że nic mu nie powinno zagrozić. Pomyślał, że odbył daleką drogę i chociaż nie dotarł do miejsca przeznaczenia, to pewne ukryte przed nim fakty stawały się coraz bliższe wyjaśnienia. Rozsądek podpowiadał, żeby nie narażał się na ryzyko wychwycenia przez błędzący reflektor, odnalezienie przez psy i patrolujących obóz strażników. Wiedział jednak, że za tą fasadą racjonalizmu kryje się tchórzostwo, a ukrywanie się przed Niemcami to jedno z mniej niebezpiecznych zadań, jakie wyznaczył sobie na tę noc.

Wziął głęboki oddech i pochylił się do przodu. Podniósł głowę, zacisnął zęby i bez ostrzeżenia pobiegł przed front baraku sto pięć. Stopami wzbijał niewielkie obłoczki kurzu. W pewnym momencie o mało się nie przewrócił. Nogą trafił na jakąś nierówność gruntu. Widocznie o tę przeszkodę potknął się też biegnący wcześniej mężczyzna. Błyskawicznie wyrzucił przed siebie drugą nogę jak łyżwiarz, odzyskał równowagę i pomknął dalej.

Dysząc ciężko, dał nura za narożnik budynku, przylgnął do ściany i skrył się w bezpiecznej ciemności. Potrzebował kilku sekund, by wrócić do normy. Powoli uspokajała się krew tętniąca mu w uszach niczym uderzenia bębna.

Czekał, aż Scott pokona ten dystans. Wytężył wzrok i słuch, zaczął obserwować drzwi prowadzące do baraku sto siedem. Patrzył i nasłuchiwał. W końcu poznał mowę Amerykanina. Wychylił się, żeby lepiej słyszeć, a słowa, które do niego dotarły, wcale go nie zaskoczyły. Jakiś człowiek powiedział szeptem w ciemności „Numer trzydzieści dziewięć...”. Potem rozległo się ciche stukanie – ktoś dwukrotnie uderzył w drewniane drzwi baraku. Tommy wyprostował się. W ciemności zauważył otwierane drzwi i pochyloną postać pokonującą schodki długim susem, żeby dostać się do środka.

Natychmiast zorientował się, dlaczego wybrano barak sto siedem. Drzwi wejściowe znajdowały się po zewnętrznej stronie, dobrze osłoniętej przed światłem błędzących reflektorów. Miejsce to było prawie niewidoczne, bo podwórze tworzyło tutaj kąt, a dodatkowe zabezpieczenie stwarzało ustawienia innych baraków. Budynek numer sto siedem nie znajdował się tak blisko drutów jak sto dziewięć, ale to dawało się wytłumaczyć. Ludzie zajmujący się planowaniem ucieczki nigdy nie wybierali budynku położonego najbliżej wolności, ponieważ tam najczęściej przeprowadzano rewizje. Tommy stwierdził, że brzeg lasu znajdował się zaledwie o siedemdziesiąt metrów od ogrodzenia z drutu kolczastego. Inne tunele miały przybliżoną długość. Za dodatkową zaletę takiego wyboru uznał to, że barak sto siedem znajdował się w części obozu położonej bliżej miasta. Uciekający jeniec, jeśli uda mu się dotrzeć do drzew, będzie mógł iść dalej przed siebie, zamiast za pomocą kompasu domowej roboty szukać właściwego kierunku w ciemnej gęstwinie bawarskiego lasu.

Hart przylgnął do ściany, czekając na Scotta. Zorientował się, dlaczego Lincoln się spóźnia: snop światła z reflektora przesuwiał się naprzód, a potem cofał, jakby chciał zajrzeć w głąb alejek oddzielających baraki.

Tommy usłyszał kolejny szept i dwukrotne uderzenie w drzwi, które szybko się otworzyły. Wydawało mu się, że tym razem do środka weszło dwóch ludzi przybyłych z innej części obozu.

Światło wycofało się w kierunku baraku sto jeden. W tej samej chwili Tommy usłyszał ciężkie kroki Scotta, który skorzystał z okazji, by przebiec przed frontem budynku. Lincoln również się potknął, ale po sekundzie już był przy Harcie, mrużąc „Jezu Chryste!”

– Wszystko w porządku?

– Jeszcze jestem żywy – odrzekł Scott, oddychając z wysiłkiem. – Chociaż było już cholernie blisko. Oświetlają teren przed barakami sto jeden i sto trzy. Sukinsyny. Ale wydaje mi się, że niczego nie zauważyli, to typowe szwabskie manewry. Hugh dobiegnie tu za chwilę, a wtedy szkopy mogą sobie świecić, gdzie im się podoba. Zauważyłeś coś?

– Tak – odparł cicho Tommy. – Ludzie wchodzą do baraku sto siedem. Podają szeptem numer, pukają dwa razy, a ktoś otwiera im drzwi.

– Numer?

– No właśnie. Ty będziesz miał numer czterdzieści dwa, ja czterdzieści jeden. To drobne kłamstewko, ale dzięki temu dostaniemy się do środka. A Hugh, jeżeli kiedykolwiek zdoła do nas dotrzeć, damy numer czterdzieści trzy.

– Może mu to zająć minutkę. Światło było blisko. No i coś tam jest, jakaś przeszkoda na ziemi...

– Ja też mało się nie wywaliłem.

– Miejmy nadzieję, że to zauważył.

Czekali w ciszy. Obserwowali, jak snop światła wydobywa z mroku teren, który udało się im przebyć, jak szuka czegoś w ciemności. Wyobrażali sobie, że Hugh stoi przygięty do ziemi i trzymając się blisko ściany czeka na swoją szansę. Czas wydawał się płynąć wolniej, niż to pewnie miało miejsce w rzeczywistości. Wreszcie światło oddaliło się.

– Teraz, Hugh – szepnął Tommy.

W ciemności usłyszał tupot butów krępego Kanadyjczyka, a potem ciężkie, głuche uderzenie o ziemię i zduszone przekleństwo. Zaległa cisza. Dziura w ziemi, na którą wcześniej natknęli się Tommy i Lincoln, teraz okazała się pułapką dla Renadaya.

Jednak Hugh nie poderwał się natychmiast. Tommy usłyszał głębokie, bolesne jęknięcie.

– Hugh? – wyszeptał.

Przez chwilę panowała niczym nie zmacona cisza, później usłyszeli głos z charakterystycznym, kanadyjskim akcentem.

– Moje cholerne kolano.

Tommy podkradł się do narożnika baraku. Kilkanaście metrów od niego Renaday leżał rozciągnięty na ziemi, trzymając się za kolano lewej nogi.

– Nie ruszaj się – syknął Tommy. – Pójdziemy po ciebie!

Scott stał już obok Harta, gotowy do pomocy, ale nagle snop światła przeciął ciemność nad ich głowami, zmuszając do rozplaszczenia się na ziemi. Wydobył z

mroku dach baraku sto pięć, a potem zaczął zbliżać się do nich powoli, pełznąć jak jaszczurka po ścianie.

– Nie ruszajcie się – wyszeptał Hugh.

Światło oddaliło się od Harta i Scotta, zaczęło krążyć wokół miejsca, gdzie leżał Hugh. Kanadyjczyk nie wydawał żadnych dźwięków – ukrył twarz w zimnym piachu podwórza. Promień reflektora znajdował się kilka centymetrów od jego nogi – jeżeli ją oświetli, wpadka będzie nie do uniknięcia. Wydawało się, że Hugh wyciąga ręce w stronę cienia, żeby okryć się nim jak kocem.

Światło zatrzymało się na moment, niemalże dotykając sylwetki leżącego na ziemi Renadaya. Po chwili, jakby drocząc się z nimi, odsunęło się o kilka metrów w kierunku baraku sto trzy.

Hugh leżał jak skamieniały. Powoli odwrócił głowę i spojrzał w ich kierunku.

– Zostawcie mnie – powiedział Hugh cichym, zdecydowanym głosem. – I tak nie mogę się poruszać. Idźcie dalej!

– Nie – zaproponował Tommy, starając się mówić jak najciszej. – Zabierzemy cię stamtąd, kiedy światło się przesunie.

Jasna smuga ponownie znieruchomiała kilkanaście metrów od Hugh.

– Do diabła, Tommy, zostawcie mnie! Dziś i tak nic nie zrobię! Kaput!

Scott dotknął ramienia Harta.

– On ma rację – powiedział. – Musimy iść dalej.

Tommy odwrócił się do niego gwałtownie.

– Jeżeli wpadnie w to światło, zastrzelą go! Nie zostawię go tam!

– Jeżeli go zobaczą, to miejsce za pół minuty zaroi się od szwabów! A wtedy rozpęta się piekło!

– Nie porzucę go! Kiedyś już raz kogoś zostawiłem, więcej tego nie zrobię!

– Jeżeli tam pójdziesz – syknął Scott – skończy się tym, że zabiją jego, ciebie i Bóg wie kogo jeszcze.

Rozgorączkowany Tommy odwrócił się do Renadaya.

– On jest moim przyjacielem! – wyszeptał z bólem.

– No więc zachowaj się jak jego przyjaciel! – odparł Lincoln. – Rób, co mówi!

Tommy szukał w ciemnościach sylwetki Hugh. Światło błąkało się niezdecydowanie, potem zatrzymało się, oświetliło krąg ziemi w odległości metra od stóp Renadaya. Tommy zauważył jednak coś, co go zaskoczyło. To samo wrażenie musiał odnieść Scott, ponieważ Hart poczuł zaciskające się na ramieniu palce Lincolna.

Hugh przekręcił się na brzuch i powoli, z wielkim trudem czołgał się przed siebie, oddalając się od baraku. Konsekwentnie, uparcie przesuwał się w kierunku placu apelowego, zostawiając przyjaciół, którzy mogliby mu pomóc, oraz jeńców zdążających do baraku sto siedem. Oddalał się również od rzucanego przez reflektor światła, ale to oznaczało jedynie chwilową ulgę, ponieważ zmierzał w stronę otwartego terenu położonego w samym centrum Stalagu Luft 13. Był to obszar neutralny, niegwarantujący jakiegokolwiek osłony ani kryjówki. Tommy domyślił się, że jeżeli Hugh dotrze do celu i zostanie złapany na placu, Niemcy nie zorientują się od razu, że coś się dzieje w pograżonych w ciemności barakach. Pozostawał tylko jeden problem. Ze środka boiska nie można wrócić w bezpieczne miejsce. Do świtu pozostało jeszcze dużo czasu i być może Hugh, czołgając się cały czas, zdoła zatoczyć pętlę i dotrzeć do baraku sto jeden. Mimo wszystko bardziej prawdopodobne wydawało się, że Kanadyjczyk zostanie na placu do rana, czekając, aż zostanie odkryty. W obydwu przypadkach mogło go to kosztować życie.

Po chwili Tommy już ledwie rozróżniał niknącą w mroku sylwetkę Hugh, który nieprzerwanie parł do przodu. Odwrócił się do Scotta, pokazując na drzwi prowadzące do baraku sto siedem.

– No dobra – powiedział. – Zostaliśmy we dwóch.

– Tak – odrzekł Lincoln. – Tylko my dwaj i ci, którzy siedzą w środku.

Bezszelestnie dotarli do schodków i zatrzymali się na moment: obu naszła ta sama myśl. Tommy obejrzał się tam, gdzie w ciemności czołgał się Hugh, ale nie mógł już dostrzec jego sylwetki. Wyciągnął rękę, zapukał do drzwi dwa razy i powiedział: „Czterdzieści jeden i czterdzieści dwa”.

Drzwi uchyliły się z cichym zgrzytem. Wskoczyli do środka, przeciskając się przez szparę.

Tommy usłyszał czyjś zaniepokojony szept:

– Hej, przecież wy nie...

Nieznany człowiek oddalił się, a Tommy i Lincoln patrzyli w głąb korytarza. To, co zobaczyli, wydawało się niesamowite. W korytarzu paliło się kilka świeczek, rozmieszczonych co jakieś trzy – cztery metry. Pod ścianami siedzieli rzędem jeńcy, trzymając kolana pod brodą, by zajmować jak najmniej miejsca. Z górą dwudziestu ludzi ubranych było w coś, co powinno uchodzić za cywilne ciuchy – taką przynajmniej mieli nadzieję. Były to mundury przefasonowane w obozowych punktach krawieckich i ufarbowane jakąś zmyślną mieszaniną atramentu i różnych barwników. Na skutek tych zabiegów przestały się kojarzyć z dobrze znanym kolorem khaki, czy oliwkowoszarą barwą uniformów amerykańskich. Wielu miało ze sobą zmajstrowane domowym sposobem walizki i teczki – podobnie jak człowiek, którego widzieli wymykającego się z baraku sto jeden. Część włożyła na głowę czapki, jakich używali robotnicy i zabrała pudełka przypominające skrzynki na narzędzia. Gdyby mieli więcej rekwizytów, mogliby uchodzić za kogoś innego, ale nie za ludzi, których chcieli udawać.

Hartowi i Scottowi otworzył drzwi mężczyzna w mundurze. On nie wychodzi tej nocy, domyślił się Tommy. Zauważył też stojących co kilka metrów jeńców w mundurach – oni kierowali ruchem. W korytarzu znajdowało się ze sześćdziesięciu ludzi, siedzących w milczeniu na podłodze. Z tej grupy zapewne nie więcej niż dwudziestu kilku miało wziąć udział w ucieczce.

– Do diabła, Hart! – syknął człowiek stojący przy drzwiach. – Ciebie nie ma na liście! Co tu robisz?

– Przyszedłem w poszukiwaniu prawdy – odrzekł zdecydowanym tonem Tommy.

Nie mówiąc nic więcej, przekroczył nogi ostatniego jeńca z kolejki i ruszył w głąb korytarza. Scott trzymał się tuż za nim. Mdłe światło świec rzucało na ścianę długie cienie. Ludzie, których mijali, zachowywali milczenie, lecz pilnie ich obserwowali. Wyglądało to tak, jakby Tommy i Lincoln wdarli się do siedziby mnichów odprawiających jakiś tajemniczy, nocny rytuał.

Przed sobą widzieli niewielki stożek światła, wydostający się z małej,

jednoosobowej toalety na końcu baraku. Wyszedł stamtąd jeniec dźwigający kubeł wypełniony ziemią i podał go stojącemu obok człowiekowi w mundurze. Wiadro wędrowało z rąk do rąk, aż zniknęło w jednej z sypialni; w taki sam sposób dawniej podawali sobie wodę strażacy, gasząc płomienie. Tommy zajrzał do pokoju, który właśnie mijali i zobaczył, że wiadro przez dziurę w suficie wciągają ręce jakiegoś nieznanego mężczyzny. Zrozumiał, że na górze, w niewielkiej przestrzeni pomiędzy sufitem a dachem ktoś rozrzuca wydobytą ziemię. Puste wiadro znów spuszczone do pokoju i tą samą drogą co poprzednio wróciło do wygódki.

Tommy podszedł do drzwi. Twarze znajdujących się tu ludzi wyrażały niepokój i napięcie, zniekształcało je migotliwe światło świec. Z dziury w podłodze toalety wyłonił się następny kubeł wypełniony ziemią.

Tunel rozpoczynał się pod samą toaletą. Jeńcom udało się podnieść całe urządzenie i przesunąć je o kilkadziesiąt centymetrów na bok, tworząc półmetrowy otwór. Znajdowała się w nim rura odprowadzająca nieczystości z zatkanej na górze toalety. Mieszkańcy baraku sto siedem zrujnowali własną ubikację, aby wykopać tunel. Tommy podziwiał pomysłowość tego planu, gdy z boku usłyszał ostry, gniewny głos.

– Hart, ty sukinsynu! Co tu robisz, do ciężkiej cholery?

Tommy odwrócił się. Przed nim stał major Clark.

– Szukam wyjaśnień, majorze – odparł chłodno.

– Każę was wezwać do raportu, poruczniku! – ciągnął Clark przyciszonym głosem, niezdolny ukryć złości. – A teraz spieprzajcie na korytarz i czekajcie, aż tutaj skończymy! To rozkaz!

Tommy potrząsnął głową.

– Nie dzisiaj, majorze – powiedział.

Clark przysunął się do niego.

– Ja was każę... – zaczął, ale zaraz przerwał mu Lincoln Scott, który wysunął się zza pleców Harta i dźgnięciem w pierś pohamował popędliwość niewysokiego majora.

– Co pan nam robi, majorze? Każe nas rozstrzelać? – zapytał.

– Tak! Przeszkadzacie w operacji wojskowej! Niewypełnienie rozkazu na polu walki! Za to grozi kara śmierci.

– No cóż – wtrącił Scott ze złym uśmiechem – mnie dosyć często spotykają takie oskarżenia.

Gdzieś z boku rozległ się zduszony śmiech. Zapewne była to reakcja na długotrwałe napięcie, jak i na słowa Lincolna.

– Nie ruszymy się stąd, dopóki nie dowiemy się prawdy! – oznajmił Tommy, przysuwając twarz do twarzy majora.

Clark wykrzywił się z wściekłości i odwrócił do grupy jeńców, stojących koło wejścia do tunelu.

– Aresztować tych ludzi! – syknął.

Wezwani zawahali się. Wtedy rozległ się kolejny głos rozweselonego człowieka.

– Do cholery, majorze – powiedział ze śmiechem – pan tego nie może zrobić! Wszyscy o tym wiemy. A to dlatego, że ci dwaj faceci są równie ważni jak każdy z nas. Różnica polega tylko na tym, że oni nic o tym nie wiedzieli. Ale chyba wcale nie są tacy głupi, jak się panu wydawało, co, majorze?

Powiedział to człowiek przykucnięty nad wjazdem do tunelu. Miał na sobie granatowy garnitur, w którym wyglądał jak obszarpany biznesmen, a jego uśmiech bez wątplenia kojarzył się z miastem Cleveland.

– Słuchaj, Hart – ciągnął swobodnie porucznik Fenelli – nie sądziłem, że zobaczymy się jeszcze przed powrotem do Stanów. No powiedz, co myślisz o mojej kreacji? Niezła, co? Czy nie sądzisz, że w kraju dziewczyny będą się ustawiały do mnie w kolejce?

Niedoszły medyk wskazał na swój garnitur. Major Clark spojrział na niego ze złością.

– Poruczniku Fenelli, ta sprawa pana nie dotyczy! – powiedział.

Fenelli pokręcił głową.

– Znowu nie ma pan racji, majorze – wtrącił. – Wie o tym każdy przebywający tutaj lotnik. Ta sprawa dotyczy nas wszystkich.

Z tunelu wyłoniło się kolejne wiadro z ziemią. Clark nie wiedział, czy ma się

zając ekspedycją piachu, czy dalej obrabiać Harta i Scotta. Popatrzył na nich, a potem na uśmiechniętego Fenellego. Ludziom wyznaczonym do tego zadania wskazał na kubeł; jeńcy ruszyli z ładunkiem, mijając Tommy'ego i Lincolna. Potem Clark nachylił się do wjazdu i zapytał siedzących tam ludzi:

– Ile jeszcze zostało?

Upłynęła niemal minuta, zanim pytanie przekazano do miejsca, gdzie kopano przejście, a po następnej minucie odpowiedź dotarła na górę.

– Ze dwa metry – oznajmił głos z tunelu. – To tyle, co wykopanie grobu.

– Pracujcie dalej – nachmurzył się major. – Pamiętajcie o harmonogramie!

Potem odwrócił się do Tommy'ego i Lincolna.

– Was tutaj nie potrzebujemy – oznajmił zimnym, spokojnym głosem. Najwyraźniej odzyskał rezon w czasie niezbędnym na przesłanie przez cały tunel pytania i uzyskanie odpowiedzi.

– Gdzie jest pułkownik MacNamara? – zapytał Tommy.

– A gdzie ma być? – odpowiedział pytaniem Clark. Potem dorzucił cierpko: – W swoim pokoju, gdzie naradza się z dwoma pozostałymi członkami trybunału.

Po chwili milczenia Tommy pytał dalej:

– I na pewno pisze obszerne wystąpienie, zgadza się? Aby tylko jak najbardziej opóźnić jutrzejszy apel, co?

Clark uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Zrobił to za niego Fenelli.

– Hart, wiedziałem, że jesteś dość sprytny, aby na to wpaść – powiedział ze śmiechem. – Mówiłem o tym majorowi, kiedy po raz pierwszy przyszedł mnie namawiać do wprowadzenia nieznaczących korekt do zeznań. Ale on w to nie wierzył.

– Zamknij się, Fenelli – rzucił Clark.

– Korekty? – zapytał Tommy.

Clark w milczeniu przysunął się do Harta; jego pełną napięcia twarz pokrywały widoczne w świetle świecy czerwone plamy. Major był wściekły.

– Oczywiście, zakończenie procesu stworzyło nam znakomitą okazję, więc postanowiliśmy ją wykorzystać. Ale to jedynie szansa, nic więcej. To jest odpowiedź

na wasze pytanie, do cholery. A teraz jazda stąd. Nie mamy zamiaru tracić czasu ani dla was, Hart, ani dla was, Scott.

– Nie wierzę panu – oświadczył Tommy. – Kto zabił Tradera Vica?

Clark pokazał palcem na Scotta.

– On to zrobił – stwierdził ostrym tonem. – Wszystkie dowody wskazują na niego. Od samego początku. Jutro potwierdzi to wyrok trybunału. To pewne jak w banku, poruczniku. A teraz z drogi.

Z otworu w podłodze wyłoniło się następne wiadro z ziemią; odebrał je któryś z jeńców i w milczeniu wyniósł na korytarz. Tommy miał niejasne wrażenie, że wielu ludzi stojących za jego plecami podchodziło jak najbliżej, żeby usłyszeć toczącą się rozmowę.

– Dlaczego Vic został zamordowany? – zapytał Tommy. – Chcę usłyszeć odpowiedź, majorze!

Nagle korytarz wypełnił się ludźmi; mężczyźni stojący u wejścia do tunelu zamilkli. Tommy nie usłyszał odpowiedzi.

Clark skrzyżował ręce na piersiach.

– Poruczniku, nie otrzyma pan ode mnie żadnych dalszych odpowiedzi – stwierdził. – Sprawy, które miał pan wyjaśnić, zostały rozwiązane w czasie procesu. Wszyscy doskonale o tym wiedzą. A teraz niech się pan usunie i pozwoli nam skończyć!

Major stał niewzruszony jak skała. Nie uznawał kompromisów. Tommy zaczął się zastanawiać, co dalej robić. Odniósł wrażenie, że znajduje się blisko wyjaśnienia tego, co zdarzyło się w obozie przez kilka ostatnich tygodni, lecz nie wiedział, jak dotrzeć do prawdy. Upór majora wydawał się coraz mocniejszy, a Tommy nie miał pojęcia, jak przełamać tę barierę. Rozmyślał gorączkowo, starał się zaplanować następny krok czy manewr; w głowie miał kompletną pustkę. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu przeszkodzić w próbie ucieczki. Nie miał pojęcia, do jakiej groźby się odwołać, jaką dźwignię nacisnąć, czym zaskoczyć przeciwnika, aby przełamać ten impas. Wiedział, że gdy na drugim końcu tunelu kopiący przebiją się na powierzchnię i wyjdą na wolność, razem z nimi przepadnie prawda.

Kiedy te wszystkie wątpliwości wkradły mu się do serca, wtrącił się Fenelli:

– Zrozum, Hart, major ci nie pomoże. On nienawidzi porucznika Scotta tak samo jak Bedford, prawdopodobnie z takich samych parszywych powodów. Pewnie chciałby zobaczyć, jak szwaby celują do niego. Do diabła, mam wrażenie, że najchętniej sam wydałby komendę otwarcia ognia...

– Zamknij się, Fenelli – powiedział Clark. – To rozkaz!

Tommy spojrział na człowieka, który chciał zostać lekarzem, a teraz wzruszeniem ramion dawał do zrozumienia, jak lekceważy majora.

– Chcesz znaleźć odpowiedź, Tommy? – zapytał Fenelli. – Musisz jej szukać głęboko pod ziemią.

Tommy poczuł nagły chłód, jakby w baraku powiało zimne powietrze.

– Nie rozumiem – powiedział niepewnie.

– Ależ rozumiesz doskonale – odparł Fenelli, śmiejąc się szyderczo do majora Clarka. – Pozwól, że ujmę to w taki sposób...

Wyciągnął z kieszeni kawałek białego papieru z zapisaną czarnym ołówkiem liczbą. Tommy popatrzył uważnie na medyka.

– Ja mam numer dwadzieścia osiem – ciągnął powoli Fenelli. – Aby go otrzymać, musiałem tylko odrobinę skorygować swoje zeznania. Może też troszkę nakłamać. Żeby utrudnić ci obronę. Naturalnie, oni nie spodziewali się tego numeru z Visserem. Byli zupełnie zaskoczeni. To było piękne. Posłuchaj dalej, Tommy. Faceci przede mną nie są takimi szmaciarzami jak ja, nie kupili sobie miejsca w kolejce. W większości to bardzo przyzwoici goście, Hart. Są wśród nich fałszerze, technicy, szczury tunelowe. Oni otrzymali niższe numery, kapujesz? Są wśród nich ludzie, którzy to wszystko zaplanowali, wykonali najcięższą robotę, wzięli na siebie największy ciężar, zajmowali się prawie wszystkim. Prawie wszystkim, choć nie w dosłownym znaczeniu. A jeśli tak, Tommy, to trzeba sobie zadać pytanie...

Fenelli nagle spowaźniał; patrzył teraz twardym, zdecydowanym wzrokiem. Równie twardo zabrzmiały jego słowa:

– Ja jestem zwykłym kłamczuchem i dostałem numer dwudziesty ósmy. W tej sytuacji gdzie, twoim zdaniem, można znaleźć ludzi gotowych zamordować

człowieka, aby zachować w tajemnicy istnienie tego tunelu? Czy nie sądzisz, że oni znajdują się na samej górze listy?

Tommy chciał zapytać: „Jak to?” I wtedy wszystko zrozumiał. Poczuł we wnętrzu bolesny, zimny skurcz wywołany strachem. Pot oblewał mu skronie i płynął pod pachami. Gardło miał suche jak wiór. Trzęsły mu się dłonie, a mięśnie ud nagle się napięły.

Scott musiał zauważyć ogarniającą Tommy’ego panikę, ponieważ zaproponował cicho:

– Ja pójdę. Ty nie możesz tam złązić. Poczekasz tutaj.

Hart zdecydowanie pokręcił głową.

– Tobie nie uwierzą, nawet jeżeli zdołasz tu wrócić z prawdziwą odpowiedzią. A mnie będą musieli uwierzyć.

Wtrącił się Fenelli.

– On ma rację, Scott. Ty masz stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Nie masz nic do stracenia, więc możesz kłamać. Istnieje natomiast spora szansa, że ci ludzie, którzy dziś są tutaj, a nie wychodzą za druty, uwierzą Tommy’emu. On jest jednym z nich. Siedzi w tym pudle niemal od początku, jest nie mniej biały niż oni. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda.

Scott był spięty, zeszywniały. Po chwili przytaknął niemo z widocznym wysiłkiem.

Tommy zrobił krok do przodu, ale na drodze stanął major Clark.

– Nie pozwalam... – zaczął.

– Ależ tak, pozwoli pan – przerwał mu zimnym tonem Scott. Nie musiał mówić nic więcej. Major spojrzał w oczy czarnemu lotnikowi i cofnął się.

– Zabezpieczaj tyły, Lincoln – rzucił Tommy. – To nie potrwa długo, mam nadzieję.

Nie czekał na przyzwolenie Scotta. Zdawał sobie sprawę, że gdyby się teraz choć na chwilkę zawahał, nie byłby w stanie zrobić tego, co zamierzał. Stanął na brzegu dziury prowadzącej w głąb tunelu. W głębi, ustawione na ręcznie wygrzebanych w ziemi półeczkach, paliły się świece oświetlające drogę do wąskiego szybu. W dół

zwieszał się przymocowany do toalety półcalowy niemiecki kabel telefoniczny, zdolny utrzymać ciężar człowieka. Pewnie ktoś ukradł go z ciężarówki. Tommy przysiadł na skraju wlotu do tunelu. Stojący na dole człowiek wyniósł na górę kolejne wiadro wypełnione ziemią i ustąpił Hartowi miejsca. Tommy chwycił kabel i zmagając się z przerażeniem trapiącym go od dzieciństwa, dobrze znanym z wielu koszmarnych snów, powoli opuścił się w ziejącą pod nogami zimną czeluść.

18. Koniec tunelu

Kiedy Tommy dotarł do dna szybu, ledwie mógł oddychać. Miał wrażenie, że z każdym kolejnym metrem w głąb ziemi jest coraz mniej powietrza. Stał wreszcie na twardym gruncie prawie siedem metrów pod powierzchnią. Z ust wydobywał mu się ostry, spazmatyczny, świszczący oddech. Czuł się tak, jakby jego pierś uciskał potężny kamień.

Na niewielkiej powierzchni, o wymiarach metr dwadzieścia na dwa metry stanowiącej coś w rodzaju przedpokoju prowadzącego do właściwego tunelu, pracowało dwóch ludzi. Twarze oświetlały im dwie świece umieszczone w pustych puszkach po konserwach; mdłe płomyki walczyły z głębokim cieniem, ogarniającym wykop. Czoła mieli spocone, twarze pobrudzone ziemią. Byli wyczerpani. Jeden nosił ubranie podobne do garnituru Fenellego i obsługiwał prowizoryczny miech, z furją pompując powietrze w głąb tunelu. Miech wydawał cichy, świszczący odgłos. Tommy domyślił się, że ten jeniec ma numer dwadzieścia siedem. Drugi miał na sobie jedynie szorty. Był niewysoki, silnie zbudowany i mocno umięśniony. Do niego należało przejmowanie kolejnych wiader z ziemią i dźwiganie ich w górę.

Nie przerywając pracy, pierwszy odezwał się mężczyzna w garniturze.

– Hart! Dobry Boże, a co ty tu robisz? – zapytał zaskoczony.

Tommy poznał pochodzącego z Nowego Jorku pilota myśliwskiego, który kiedyś pomógł mu na placu apelowym.

– Szukam odpowiedzi – sapnął Tommy, wskazując na tunel. – One są tam.

– Wchodzisz do środka? – zapytał nowojorczyk.

– Muszę poznać prawdę – powiedział Tommy, dławiąc się przy każdym słowie.

– Mówisz o prawdzie dotyczącej Tradera Vica?

Tommy potwierdził.

Jego rozmówca nadal pompował powietrze. Nie ukrywał zdziwienia.

– Jesteś pewny? Ja tego nie rozumiem. Co ma wspólnego tunel ze śmiercią Vica? Major Clark nigdy nie wspominał pracującym tu ludziom, że Vic miał z tym tunelem

coś wspólnego.

– Wszystko jest ukryte, wszystko wiąże się ze sobą – powiedział, krztusząc się Tommy. Musiał się zdobyć na nieprawdopodobny wysiłek, by przewyciężyć strach i wtłoczyć do płuc dość powietrza, żeby w ogóle mógł mówić. – Muszę się tam dostać i odkryć prawdę.

– Niech mnie diabli – odrzekł pilot, kiwając głową. Spocony od ciężkiej pracy, energicznie tłoczył powietrze miechem. – Posłuchaj, kolego. Może się okazać, że nie dowiesz się tego, o co ci chodzi, bo ludzie, do których się zwrócisz, nie będą chcieli gadać. Zwłaszcza wtedy, gdy tak niewiele dzieli ich od wolności.

– Muszę tam iść – powtórzył Tommy. – Nie mam wyboru.

Każde słowo raniło mu piersi niczym fala gorącego powietrza po potężnej eksplozji.

Nowojorczyk bez przerwy zajmował się miechem. Wzruszył ramionami.

– W porządku – powiedział. – Sytuacja wygląda tak: na całej długości tunelu znajduje się dwudziestu sześciu chłopaków. Jeden jeniec co trzy, cztery metry. Oni przekazują puste wiadra do przodka i po napełnieniu transportują je w drugą stronę. Każdy najpierw pełźnie do przodu, a później do tyłu, jak jakiś pokręcony zółw. Mamy bardzo napięty harmonogram, więc postaraj się iść jak najszybciej i załatwić to, o co ci chodzi. Będziesz się musiał przeciskać koło ludzi w całym tunelu. Jest tam lina, na której można się podciągnąć. Tylko, na Boga, nie uderz w pułap! Postaraj się w ogóle nie podnosić głowy. Usiłowaliśmy umocnić go drewnem ze skrzynek po paczkach z Czerwonego Krzyża, ale nadal jest cholernie niestabilny. Jeżeli walniesz głową, najpewniej zwali się na ciebie. A może i na innych. Staraj się również nie drapać ścian. Nie są dużo lepsze.

Tommy z uwagą słuchał słów pilota z Nowego Jorku. Wpatrywał się w głąb tunelu – w ciasną, przerażającą czeluść, o wymiarach wlotu mniej więcej sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów. Każdy jeniec miał świeczkę rozjaśniającą ciemność koło niego. Innego oświetlenia w tunelu nie było.

Nowojorczyk uśmiechnął się.

– Posłuchaj, Tommy – powiedział pogodnie. – Kiedy wrócę do domu, zarobię

pierwszy milion i będę potrzebował wyrafinowanego, bystrego adwokata po najlepszym uniwersytecie, zgłoszę się do ciebie. Możesz na to liczyć. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Pochylił się do przodu, popatrzył w głąb tunelu i zawołał cicho:

– Ktoś wchodzi! Zrobić przejście!

– Mam nadzieję, że bezpiecznie wrócisz do domu – wycharczał Tommy; gardło ścisnął mu strach, oddech tamował duszący pył.

– Zaryzykuję – odparł nowojorczyk. – To lepsze niż zmarnowanie w tej dziurze choćby jednej minuty.

Pochylił się i zaczął pompować powietrze z jeszcze większą energią.

Tommy przykucnął, oparł dłonie na kolanach. Zawahał się na moment, później po omacku odszukał linę, chwycił ją mocno i ruszył przed siebie, pełznąć na brzuchu jak niemowlę, tyle że brakowało mu dziecięcej ciekawości. Odczuwał jedynie głęboki, przejmujący strach. Myślał o tym, że prawda, za którą goni, znajduje się prawdopodobnie jakieś siedemdziesiąt metrów przed nim, na samym końcu chodnika, który każdy rozsądny człowiek na pierwszy rzut oka uznałby tylko za długi, ciemny i niebezpiecznie ciasny grób.

Hugh Renaday także się czołgał. Poruszał się powoli, z wysiłkiem. Zdołał pokonać prawie sto metrów i konsekwentnie zbliżał się do środka otwartego terenu – boiska i placu apelowego. Uznał, że teraz rozsądnie byłoby skręcić w kierunku baraku sto jeden. Gdyby dotarł w pobliże drzwi wejściowych, mógłby się poderwać, podbiec i skryć się w zbawczej ciemności nocy. Naturalnie, taki sprint mógł okazać się bardzo trudną próbą. Ból w kolanie był nie do zniesienia, promieniował na całą nogę.

Zanurzył na chwilę twarz w piaszczystej ziemi. Poczuł w ustach jej gorzką suchość. Spociał się, wyczerpany długim czołganiem, a gdy chwilę odpoczął, poczuł dojmujący chłód, przenikający całe ciało. Przypominał sobie czasy, kiedy był młodszy i walczył na tafli hokejowej do utraty tchu. Leżał nieraz na lodzie, a ostry chłód z wolna przenikał przez trykot i skarpetki, jakby natura usiłowała mu

przypomnieć, kto tu jest silniejszy. Teraz, z twarzą ukrytą w piaszczystej ziemi pomyślał, że ta noc udzieli mu identycznej lekcji.

Częściowo zdążył już pogodzić się z myślą, że tej nocy zostanie zastrzelony. Mogło to nastąpić w każdej chwili, za kilka minut, za godzinę lub dwie. Otepiałające poczucie desperacji walczyło z dziką, niepoddającą się kontroli wolą życia. Te dwa zmagające się ze sobą uczucia przyćmiewały wcześniejsze wydarzenia i pełna determinacji decyzję, żeby nie zrobić niczego, co zagroziłoby życiu jego przyjaciół. Był przekonany, że jeżeli ich nie wyda, nie ujawni również planowanej tej nocy ucieczki.

Otaczała go głęboka cisza, przerywana jedynie jego głośnym, niespokojnym oddechem. Przez chwilę robił wyrzuty niesprawnej nodze: jak mogłaś mi coś takiego zrobić? To przecież nie jest taka ciężka rana. Kiedyś kazałem ci robić rzeczy znacznie trudniejsze, gwałtowne zwroty, piruety, szybkie akcje na łodzi, a ty nigdy się nie skarżyłaś i nie zawiodłaś mnie. Dlaczego musiało się to stać akurat tej nocy? Obolałe kolano milczało. Hugh zastanawiał się, co się właściwie stało. Zerwał sobie więzadła? Nastąpiło przemieszczenie kości w stawie? Po chwili uznał, że teraz to nie ma znaczenia.

Powoli uniósł twarz i skrupulatnie zbadał wzrokiem okolicę. Nie zauważył wartowników na wieżach ani patrolujących obwód obozu żołnierzy z psami. Co prawda wcale z tego nie wynikało, że ich tam nie ma, tylko pewnie on ich nie widział. Ale jeśli tak było, to może i oni nie widzieli jego.

Obrócił się nieco i poczołgał się dalej, w stronę baraku sto jeden. Ułożył sobie plan, który dodawał mu energii: przepłynąć następne pięćdziesiąt metrów i poczekać. Przeleżeć bez ruchu godzinę, może nawet dwie. Dotrzeć do nadejścia ostatniej, najgłębszej części nocy i wówczas spróbować dostać się do środka. W ten sposób Tommy i Lincoln będą mieli dość czasu na zrealizowanie swoich zamierzeń. Miał nadzieję, że zapewni dość czasu również uczestnikom ucieczki.

Westchnął głęboko i posuwał się przed siebie powoli, bez przerw i wahań. Tej nocy wielu ludzi prawdopodobnie zrealizuje swoje marzenia, ale nie miał pojęcia, co jest najważniejsze. Wiedział tylko, że posuwa się do przodu po wąziutkiej grani.

Wtedy, nie wiadomo dlaczego, przypomniało mu się pewne wydarzenie z przeszłości: na lekcji biologii w szkole średniej nauczyciel powiedział zdziwionym uczniom, że ślimak potrafi pełzać po ostrzu brzytwy bez rozcięcia ciała. Profesor poparł swoją tezę w następujący sposób: umieścił oślizłego, brązowego ślimaka na ostrzu brzytwy i ku zaskoczeniu uczniów ślimak zachował się tak, jak przed chwilą mówił nauczyciel. Hugh odniósł wrażenie, że tej nocy on przypomina tego ślimaka.

Niespełna trzydzieści metrów na prawo od niego majaczył w ciemności płot z drutu kolczastego. Rozpłaszczony na ziemi Renaday postanowił mierzyć dystans w centymetrach i zdać się na pomoc nocy. Wtedy spod ogrodzenia usłyszał krótkie, ostre szczeknięcie, a po chwili basowe warczenie zwierzęcia. Hugh znieruchomiał, wciskając się, jak mógł najgłębiej w zimną, piaszczystą glebę.

Rozległo się metaliczne brzęknięcie – to Hundführer szarpnął łańcuch, na którym uwiązany był pies i zaczął do niego przemawiać.

– Prinz! Was ist das? Bei Fuss!

Warczenie zmieniło się w dobywający się ze zwierzęcia pełen wściekłości dźwięk. Pies wyrywał się z rąk wartownika.

Hugh trząśnięty na całym ciele, ale nie miał zbyt wiele czasu na kontemplowanie strachu.

Każdy Hundführer miał małą latarkę na baterie. Kanadyjczyk usłyszał cichy szczęk przełącznika i zobaczył stożek słabego światła, skaczący tuż obok niego. Starał się wcisnąć jeszcze głębiej w ziemię, nie zmieniając pozycji. Pies ponownie zaszczekał, a światło latarki przesunęło się po wyciągniętych rękach Hugh. Nie ośmielił się poruszyć.

W ciemności rozległ się okrzyk:

– Halt! Halt!

Pies zaczął wściekle ujadać i wyrywał się do przodu. Ostre dźwięki rozdarły nocną ciszę. Hugh słyszał, jak Hundführer repetuje karabin. Wartownicy na najbliższej wieży włączyli reflektor. Snop światła padł na leżącego na ziemi Kanadyjczyka.

Hugh zaczął się podnosić. W zranionej nodze czuł pulsujący ból. Bez ociągania

podniósł ręce nad głowę.

– Nicht schiessen! Nicht schiessen! – zawołał z rozpaczą, stojąc w kręgu jasnego światła. Odetchnął głęboko i powtórzył do siebie: – Nie strzelać...

Potem zamknął oczy, pomyślał o domu, o tym, jak wczesnym latem o brzasku kanadyjskie równiny zalewa purpurowoczerwona fala światła, jakby podniecona natura z radością witała nowy dzień. Przez ułamek sekundy czuł żal, że nigdy już tego nie zobaczy. Potem życzył Tommy'emu i Lincolnowi powodzenia – sądził, że jest to ostatnia myśl w jego życiu.

Zacisnął mocniej powieki przekonany, że nadchodzi jego ostatnia godzina. Usłyszał swój dziwnie daleki i wolny od strachu głos:

– Nicht schiessen!

Żałował, że nie udało mu się wybrać mniej samotnego, bardziej bohaterskiego i chwalebego miejsca śmierci. Stał z podniesionymi rękami i cierpliwie czekał, aż go zabiją.

Sztywny z przerażenia, wciśnięty w dziurę siedem metrów pod ziemią Tommy nie wiedział, czy jest mu gorąco, czy zimno. Drżał i posuwał się powoli przed siebie, a słony, gryzący pot zalewał mu oczy. Każdy metr drogi zabierał mu resztki sił i powietrza w płucach. Rzęził, wyobrażając sobie, że zaraz zawałą się ściany tunelu, grzebiąc go w dusznym, zasypnym ziemią grobie. Co jakiś czas słyszał złowieszczy trzask wątlej, drewnianej obudowy zabezpieczającej ściany i pułap wykopu, na kark i na głowę spadały mu strumyczki piachu.

Ciemność rozjaśniały jedynie płomyki świeczek trzymanyh przez mijanych po drodze jeńców. Obecność Tommy'ego w tunelu była dla nich zaskoczeniem, wszyscy jednak usuwali się na bok i robili mu przejście. Wstrzymywali nawet oddechy, gdy Hart przesuwiał się obok nich, bo zdawali sobie sprawę, że każdy dodatkowy ruch czy wstrząs grozi zawaleniem tunelu. Choć Tommy usłyszał kilka przekleństw, nikt mu nie przeszkadzał. W tunelu wszechobecny był strach i niebezpieczeństwo. Dla pracujących tam ludzi konsekwentnie posuwający się do przodu Hart stanowił dodatkowe zagrożenie szlaku wiodącego do wolności.

Rozpoznał kilku ludzi – dwaj mieszkali w tym samym baraku co on i powitali go nieokreślonym, raczej przyjaznym mruknięciem, trzeci kiedyś pożyczył od niego prawniczą książkę, zdecydowany na każdą lekturę, byle tylko przetrwać tydzień śnieżnej zimy. Z innym, uśmiechniętym studentem Uniwersytetu Princeton, Tommy odbył pewnego razu zabawną rozmowę na podwórzu; częstowali się nawzajem papierosami i erzacem kawy, a rozmówca Harta z całym zapalem, choć żartobliwie odsądzał od czci i wiary Harvard. Porozumieli się co do jednego – że faceci z Yale to wprawdzie co do jednego markieranci i podli tchórze, lecz najpewniej nawet oni walczą z Niemcami i Japończykami. Gość z Princeton wcisnął się w ścianę i szepnął zachęcająco: „Znajdź, czego szukasz, Tommy”. Pocieszony w ten sposób Hart pokonał kolejne dwa metry. Widział, jak następny jeńiec bierze wiadro wypełnione ziemią i przekazuje je do tyłu.

Mięśnie ramion i nóg miał zdrętwiałe z bólu. Odnosił wrażenie, jakby kark i plecy przypalano mu rozgrzanym do czerwoności żelazem. Pochylił głowę i wsłuchał się w pojękiwanie drewnianej obudowy wykopu. Pomyślał, że na świecie nie ma nic bardziej wyczerpującego niż strach. Nie mogą się z nim równać żaden wyścig, walka czy bitwa. Przerazenie zawsze porusza się szybciej, uderza mocniej i dłużej stawia opór.

Posuwał się do przodu, mijał kolejnych jeńców. Nie potrafił ocenić, czy ta wędrówka trwała minuty czy godziny. Prześladowała go myśl, że nigdy nie uda mu się wyjść z tego tunelu. To było jak męczący sen, z którego nigdy pewnie się nie ocknie.

Czołgał się przed siebie, łapczywie chwytając ustami powietrze.

Przez całą drogę liczył mijanych oficerów – wiedział, że teraz przeciska się obok numeru trzy. Podobny do bankiera jeńiec miał na nosie zawilgocone okulary w drucianej oprawce. Tommy domyślił się, że jest to główny fałszerz dokumentów. Usunął się Hartowi z drogi, chrząknął, lecz nie odezwał się ani słowem. Wreszcie usłyszał kopaczy pracujących na końcu tunelu. W niewielkiej niszy podobnej do tej, w której spotkał lotnika z Nowego Jorku, pracowali dwaj jeńcy. Ta część wykopu nie była oszalowana. Ludzie wydrapywali ziemię znad głowy, wrzucali ją do

pustych kubłów i przekazywali do tyłu. Tu nie musieli już konstruować skomplikowanego, zamaskowanego wylotu jak ten w baraku sto siedem. Wystarczyła niewielka dziura w ziemi, na tyle szeroka, żeby zmieścił się w niej uciekający człowiek.

Tommy czołgał się w kierunku odgłosów kopania. Tam chyba paliły się dwie świeczki, ponieważ widać było niewyraźne, migoczące cienie. Parł przed siebie, wciąż nie mając konkretnego planu – wiedział tylko, że musi dojść do konfrontacji. Odpowiedź na interesujące go pytania miał już w zasięgu ręki.

Był zdecydowany dotrzeć do końca tunelu i do końca sprawy. Zamknąć wszystko, co się wydarzyło. Ulegał panice i żądaniom zakłócającym jasność myślenia. Popędzany strachem i narastającą furią, pokonał ostatnie metry i dobrnął do miejsca, gdzie pracowali dwaj ludzie kopiący ostatnią nitkę tunelu.

W tym miejscu wykop nagle skręcał do góry. O ścianę szybu oparto drabinę skleconą z kawałków drewna. Stojący na jej szczycie człowiek odrąbywał kilofem ostatnie bryły ziemi. Drugi jeniec zbierał je do wiadra. Obaj byli prawie nadzy, a ich spocone, pobrudzone ziemią ciała połyskiwały w mdłym świetle świec. Wyglądali przerażająco, jak prehistoryczni jaskiniowcy. Z boku leżały dwie walizki i sterta odzieży, którą mieli na sobie włożyć po przebiciu się na zewnątrz. Był to ich ucieczkowy ekwipunek.

Przerwali pracę i spojrzeli na Tommy'ego. Nie widział twarzy jeńca z kilofem stojącego na drabinie, zapewne numer jeden na liście, ale mógł spojrzeć w oczy drugiemu.

– Hart! – wyszeptał drugi z listy.

Tommy uklęknął niczym człowiek modlący się w kościele do Chrystusa wiszącego na krzyżu. Rozpoznał go w słabym, migoczącym świetle.

– To ty go zabiłeś, prawda, Murphy? – zapytał szorstkim tonem. – Był twoim przyjacielem, współlokatorem, a ty go zamordowałeś!

Lotnik ze Springfield początkowo nie odpowiadał. Był kompletnie zaskoczony. Po chwili zdołał się opanować.

– Nie. Ja go nie zabiłem – odparł w końcu.

Wahał się dość długo, żeby Tommy zmieszał się jeszcze bardziej, i wtedy z dzikim krzykiem rzucił się na Harta, chwytając go za gardło brudnymi, silnymi rękami.

Stojący na drugim końcu tunelu major Clark popatrzył na zegarek, pokiwał głową i spojrzał na Lincolna Scotta.

– Mamy opóźnienie – powiedział. – Teraz każda chwila ma kolosalne znaczenie, poruczniku. Jeszcze parę minut i zagrożona będzie cała ucieczka.

Scott stał nad wlotem tunelu w rozkroku, jak policjant pilnujący drzwi. Obrzucił majora zimnym spojrzeniem.

– Nie rozumiem pana, majorze – odrzekł. – Jest pan gotów wypuścić na wolność morderców Vica, a mnie postawić przed niemieckim plutonem egzekucyjnym. Co z pana za człowiek?

Clark przyglądał mu się chłodnym, twardym wzrokiem.

– To pan jest zabójcą, Scott – powiedział. – Dowody od samego początku były oczywiste i niepodważalne. To nie ma nic wspólnego z dzisiejszą ucieczką.

– Pan kłamie – oświadczył Lincoln.

Clark pokiwał głową, uśmiechając się okrutnie i odpowiedział cichym, nieprzyjemnym głosem:

– Czyżby? Pan się myli. Nie wiem nic o żadnym spisku, którego celem jest wrobienie pana w to morderstwo. Nie wiem również nic o innej osobie biorącej udział w przestępstwie. Nie znam żadnych faktów, wspierających pańską żalostną opowiastkę. Wiem jedno: zamordowany został oficer, który nie ukrywał nienawiści do pana. A oficer ten oddał poprzednio znaczne usługi ekipom zajmującym się budową tuneli; dostarczał informacje, dokumenty dla fałszerzy podrabiających papiery, niemiecką walutę i inne ważne materiały. Władze niemieckie musiały być bardzo zainteresowane tym zabójstwem. Bardziej niż powinny. Z racji tego szczególnego zainteresowania ten tunel, dający nam największą szansę zorganizowania pomyślnej ucieczki części jeńców, był bardzo zagrożony, ponieważ Niemcy postanowili sami poszukać zabójcy i dowodów, pozwalających na

sformułowanie oskarżenia. Gdyby tak się stało, przewróciliby cały obóz do góry nogami i zapewne przy okazji wykryli tę próbę ucieczki. W tej sytuacji mogę panu przyznać rację tylko o tyle, poruczniku, że jako szef ochrony działań ucieczkowych byłem szczerze ucieszony, kiedy w krytycznym momencie pojawił się pan w poplamionym krwią ubraniu i umożliwił postawienie sobie zarzutów. Cieszy mnie również, że pański proces, wyrok skazujący oraz egzekucja stanowią tak wspianą rozrywkę dla szwabów.

– A o tych facetach z drugiego końca tunelu nic pan nie wie? – zapytał Scott, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

– Nie tylko nic nie wiem, ale też nie chcę wiedzieć. Oczywisty charakter pańskiej winy okazał się wielce pomocny – powiedział.

– A zatem dopuści pan do rozstrzelania niewinnego człowieka, byle tylko ochronić ten tunel?

– Naturalnie – odparł major, uśmiechając się szeroko. – Pan postąpiłby identycznie, gdyby był na moim miejscu. Zrobiłby to każdy dowódca. Scott, ludzi poświęca się cały czas. Pan zginie, aby ocalić dobro wyższego rzędu. Dlaczego nie potrafi pan tego pojąć?

Lincoln nie odpowiedział. Przez chwilę dziwił się, że nie czuje wściekłości ani oburzenia. Patrzył na majora z pogardą, chociaż dobrze rozumiał racje, na jakie Clark powołał się przed chwilą. Prawda z gruntu zła, straszliwa, ale mimo wszystko była to prawda o toczącej się wojnie. Scott nienawidził jej, lecz musiał zaakceptować.

Znowu spojrzął w głąb tunelu.

– Ciekawe, co go tam zatrzymało tak długo – zastanawiał się Fenelli. Przykucnął u wylotu wykopu i pilnie nasłuchiwał, czy nie dociera stamtąd jakiś inny odgłos niż jednostajne sapanie miechów.

Scott przełknął ślinę, usiłując zwilżyć wysuszone gardło. Dopuścił, żeby nieznoszący zamkniętych przestrzeni człowiek, jedyny, z którym się zaprzyjaźnił, walczył samotnie w ciemnościach, ponieważ on, Lincoln Scott, tak bardzo chciał żyć. Wszystkie te dumne słowa na temat woli złożenia w ofierze życia i zachowania

godności stały się zupełnie puste wobec faktu, że pozwolił Tommy'emu czołgać się w tunelu w pogoni za prawdą, która jest warunkiem uwolnienia Scotta. Tommy nie przemawiał tak znakomicie i odważnie jak oskarżyciel – bez słowa stłumił własne obawy i sam się poświęcił. Groziło mu wielkie niebezpieczeństwo i Lincoln nie powinien pozwolić Hartowi na tę samotną wyprawę. Teraz jednak mógł tylko stać na straży i cierpliwie czekać. No i mieć nadzieję.

Odwrócił się do Clarka.

– Tommy Hart nie zasługuje na śmierć, majorze – powiedziała, nie kryjąc pogardy.
– Jeżeli on nie wróci z tego tunelu, pan za to odpowie, a wówczas, może mi pan wierzyć, nie będzie jakichkolwiek wątpliwości i braku pewności co do następnego morderstwa, o które zostaną oskarżony.

Clark cofnął się, jak uderzony w twarz. Ogarnęła go wściekłość i strach. Nie potrafił zataić tych uczuć. Patrząc na Fenellego, wystękał:

– Słyszał pan tę groźbę, poruczniku, prawda?

– Nie słyszałem żadnej groźby, majorze – uśmiechnął się Fenelli. – Słyszałem jedynie obietnicę, a może było to zwykłe stwierdzenie faktu. Coś takiego jak oświadczenie, że jutro też wszędzie słońce. Na to można liczyć. Nie wydaje mi się, aby pan był w stanie znaleźć choćby najdrobniejszą różnicę między tymi stwierdzeniami. Wie pan, co jeszcze przyszło mi do głowy? Dla pana i pańskiej najbliższej przyszłości byłoby bardzo korzystne, gdyby Tommy jak najszybciej wrócił do nas zdrowy.

Clark milczał, spoglądając nerwowo w głąb tunelu. Po chwili odezwał się, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego:

– Czas się kończy.

Ku zaskoczeniu Hugh, *Hundführer* nie zastrzelił go od razu. Nie zrobili tego też wartownicy z wieży, skuleni za celownikami karabinu maszynowego.

Hugh Renaday stał bez ruchu, z podniesionymi rękami. Wyglądał jak zawieszony w kręgu przebijającego ciemności światła. Reflektor oślepił go; mrugał, starał się przeniknąć wzrokiem nocny mrok i zobaczyć nawołujących się gdzieś dalej

niemieckich żołnierzy. Pocieszyło go, że nie ogłoszono powszechnego alarmu. Nikt na razie do niego nie strzelił. Odgłos wystrzału postawiłby na nogi cały obóz.

Po pewnym czasie usłyszał zgrzyt otwieranej bramy i kroki dwóch ludzi. W rozjaśnionym kręgu pojawili się dwaj strażnicy w hełmach, z karabinami gotowymi do strzału. Wyglądali jak aktorzy grający w jakiejś sztuce teatralnej.

– Raus! Raus! – wrzasnął jeden z żołnierzy. – Schnell!

Drugi wartownik kazał Hugh opuścić ręce, cofnął się krok i pchnął go w plecy lufą karabinu, żeby szedł przed siebie.

– Wyszedłem na dwór pooddychać trochę tym wspaniałym, niemieckim, wiosennym powietrzem – oświadczył Renaday. – Nie bardzo rozumiem, z czego wy, chłopcy, robicie problem...

Wartownicy milczeli, tylko jeden energicznie uderzył go lufą w okolice krzyża. Hugh pochylił się do przodu z powodu nagłego bólu w kolanie. Zagryzł wargi, starał się poruszać jak najsprawniej, ale mocno kulał, ciągnąc za sobą zranioną nogę.

– Doprawdy – powiedział żywo – nie pojmuję, po co robicie tyle zamieszania...

– Raus – mruknął ponuro wartownik, poganiając Hugh kolbą.

Kanadyjczyk zgrzytnął zębami i chwiejnie ruszył przed siebie. Za jego plecami znikło światło reflektora, wyłączonego z głośnym stuknięciem. Upłynęło kilka sekund, zanim wzrok Renadaya przyzwyczaił się do ciemności. Wartownicy ciągle go popędzali. Przyszło mu na myśl, że szwaby zamierzają go rozwalić w odosobnionym miejscu, gdzie jego zwłok nie zobaczą pozostali jeńcy. Uznał to za wielce prawdopodobne, biorąc pod uwagę emocje wywołane wśród mieszkańców obozu toczącym się procesem.

Ból w pokiereszowanej nodze kazał mu zrezygnować z dalszych spekulacji. Hugh pogodził się z tym, co miało nastąpić, ale przy całym swoim stoicyzmie poczuł ulgę, kiedy przekonał się, że żołnierze prowadzą go do głównego budynku administracyjnego. W niskim, płaskim baraku paliło się słabe światło, jakby na powitanie gościa.

Gdy dotarli do schodków przed wejściem, wartownik pchnął Renadaya jeszcze mocniej. Hugh zachwiał się, z trudem utrzymując równowagę.

– Powściągnij swój entuzjazm, skurwysynu – mruknął, odzyskując równowagę. Niemiec dawał znać ręką, żeby Renaday szedł dalej.

Ktoś otworzył przed nim drzwi. Przy słabo oświetlonym wejściu Hugh rozpoznał charakterystyczną sylwetkę Fritza Numer Jeden. Niemiec patrzył na niego z niekłamanym zdziwieniem.

– Pan Renaday – wyszeptał. – Co pan tutaj robi? Ma pan ogromne szczęście, że pana nie zastrzelili!

– Dzięki, Fritz – odrzekł spokojnie Hugh, wchodząc do budynku. – I mam nadzieję, że tak zostanie. Że mnie nie rozwalą.

– To może być bardzo trudne do osiągnięcia – ostudził go Fritz. Wtedy w pokoju za biurkiem Renaday zauważył wściekłego kapitana Vissera. Właśnie sięgał po papierosa.

Tommy zablokował pierwszy cios, zasłaniając się wyciągniętą ręką i walnął Murphy'ego w głowę. Oficer ze Springfield jęknął i rzucił Harta na ścianę wykopu. Tommy poczuł, jak piasek wpada mu za koszulę, a palce Murphy'ego wbijają mu się w ciało. Zdołał wsunąć lewą rękę pod brodę napastnika, odepchnąć mu do tyłu głowę i z całej siły walnąć nim o przeciwległą ścianę.

Murphy wyrwał prawą rękę i trzasnął Tommy'ego w policzek, przecinając mu skórę. Z rany zaczęła spływać krew, mieszając się z potem i piaskiem. Zmagali się w ciasnym wykopie, wierzgali, popychali. Każdy starał się zdobyć przewagę nad tym drugim w miejscu, gdzie było to najtrudniejsze.

Tommy prawie zdążył zapomnieć o stojącym na drabinie trzecim mężczyźnie. Ten człowiek miał pierwszy numer na liście uciekinierów, a w rękach trzymał oskard. Murphy warknął, odpychając Tommy'ego, ale ten zdążył trafić go na tyle mocno w szczękę, że napastnik odskoczył jak oparzony. Walczyli w ciasnocie niczym kot i pies, wrzucone do jednego worka. Rzucali się na siebie, choć żaden nie potrafił osiągnąć przewagi w warunkach, jakie zgotowała im chytra natura. Odbijali się od ścian, wymierzali sobie kopniaki i uderzenia. Wokół nich jak węże pełzały cienie.

Łokiec przeciwnika trafił Tommy'ego w czoło. Ogarnęła go prawdziwa furia – kopnął potężnie Murphy'ego w goleń, a kolanem walnął w brzuch i pachwinę. Porucznik ze Springfield jęknął boleśnie i upadł, chwytając się za żołądek. Tommy kątem oka zauważył jakiś kształt przesuwany się w jego kierunku i w samą porę uchylił się przed ciosem kilofa, który śmignął mu koło ucha i głęboko wbił się w ziemię. Zrobił błyskawiczny zwrot i prawą ręką trafił drugiego napastnika w twarz. Rozległ się trzask pękającej drabiny. Hart zrozumiał, że decydując się na uderzenie kilofem z góry ten drugi postawił wszystko na jedną kartę; zdołał chwycić krótkie stylisko i gwałtownym pociągnięciem wyrwał ostrze ze ściany, wytrącając jednocześnie napastnika z równowagi. Ten przewrócił się raptownie, uderzając głową w ścianę wykopu.

Tommy cofnął się. Potrząsał trzymanym w rękach narzędziem i ciężko oddychał. Podniósł oskard do góry, gotowy zmiażdżyć leżącemu kark. Murphy chciał się rzucić na niego, ale nagle przerażony zatrzymał się i krzyknął: „Nie rób tego!”

Tommy powstrzymał się, odzyskując nad sobą kontrolę. Podniósł kilof ponownie, gdy drugi przeciwnik zaczął się podnosić z ziemi. Nieznajomy zasłonił ramieniem głowę przed ciosem.

– Nie ruszaj się! – syknął Hart, gotowy uderzyć w każdej chwili. – Niech nikt się nie rusza!

Murphy jak gdyby zbierał się do skoku, ale się rozmyślił.

– Morderca! – zawołał Tommy, lecz nie zdążył dokończyć, ponieważ drugi z napastników odezwał się cichym głosem, wyraźnie kontrastującym z zajadłą walką, jaka się tu przed chwilą rozegrała:

– Hart, już nic nie mów!

Tommy odwrócił się. Gdzie i kiedy słyszał ten głos, z lekkim południowym akcentem, miękko wymawiający słowa? Przed nim stał szef obozowego zespołu jazzowego Stalagu Luft 13. Patrzył na Harta i uśmiechał się, jakby coś go rozbawiło.

– Uparty z ciebie facet, Hart, bez dwóch zdań – powiedział, potrząsając głową. – Tropisz jak zażarty jankeski buldog. Ale w jednej sprawie nie masz racji: to nie Murphy zabił naszego wspólnego przyjaciela, tylko ja.

– Ty?! – szepnął zaskoczony Tommy.

Muzyk uśmiechnął się szeroko.

– Tak jest, właśnie ja. Dokładnie tak, jak to przedstawialiście ty i ten parszywy szwab Visser. Człowiek zabija kogoś w starym stylu nowoorleańskim – tu pokazał gestem, w jaki sposób wbił nóż w gardło Bedforda – a potem jakiś typek z gestapo odtwarza całą sytuację. Cholera jasna. I wiesz, co ci powiem, Hart? Zrobiłbym to jeszcze raz, choćby jutro, gdybym musiał. Teraz już wiesz. Chcesz jeszcze z nami powalczyć?

Tommy machnął kilofem, lecz nie odpowiedział. Jazzman nadal się uśmiechał.

– Mamy pewien problem, Tommy – powiedział cicho. – Potrzebuję tego narzędzia. Brakuje mi jednego czy dwóch uderzeń, żeby się przebić na powierzchnię. Do tego pogania nas harmonogram. Musimy się pospieszyć, jeżeli nie chcemy zmarnować tej możliwości. Dziś rano do Szwajcarii odchodzą trzy pociągi. Ci, którzy wsiądą do pierwszego, mają największą szansę dostać się do granicy i przekroczyć ją. Dlatego potrzebny mi ten kilof; muszę go dostać natychmiast. Przepraszam, że chciałem cię zabić. Dałeś nura w najwłaściwszym momencie. Ale teraz musisz mi go zwrócić.

Muzyk wyciągnął rękę, lecz Tommy się nie ruszył.

– Najpierw powiedz prawdę – zażądał.

– Mów ciszej, Hart – ostrzegł go rozmówca. – Jeżeli w lesie są wartownicy, mogą nas usłyszeć. Także tutaj, na dole. Głos się niesie. Pewnie pomyśleliby, że to gada ktoś z grobu, co zresztą nie jest dalekie od prawdy, zgadza się?

– Chcę poznać prawdę – nalegał Tommy.

Muzyk ponownie się uśmiechnął. Dał sygnał Murphy’emu, który zaczął się otrzępywać z pyłu.

– Ubieraj się – powiedział. – Zaraz ruszamy.

– Dlaczego? – zapytał Tommy.

– O co pytasz? Dlaczego chcemy stąd wyjść?

– Nie. Dlaczego zginął Vic?

Nowoorleańczyk wzruszył ramionami.

– Z dwóch powodów, Tommy, i to bardzo dobrych, jeśli się nad tym zastanowić. Po pierwsze, Trader Vic handlował informacjami z tymi wszawymi szkopami. Czasami, kiedy chciał dostać coś specjalnego, na przykład radio albo aparat fotograficzny, podawał szeptem jakiemuś strażnikowi pewną liczbę. Zazwyczaj był to Fritz Numer Jeden, a liczba oznaczała numer baraku, w którym chłopcy zaczęli kopać tunel. W kilka dni później zjawiały się szwaby, udając, że chodzi o rutynową rewizję. Odnajdywali wykop. Później my zaczęliśmy kopać w innym miejscu i zabawa zaczynała się od początku. Mam wrażenie, że Vic nigdy nie zdawał sobie sprawy, jaką szkodę wyrządza swoim postępowaniem. Niemcy niszczyli tunel, wrzucali kogoś na tydzień do karceru i tyle. Vic zwracał głównie uwagę na to, aby nikomu nic złego się nie stało. A zwłaszcza jemu samemu. Ale z powodu tej zabawy nikt nie mógł się stąd wyrwać. Może to zresztą nie było takie złe, niebawem się przekonamy. Cała sytuacja nieprawdopodobnie gryzła MacNamare i Clarka. Zaczęli kopać tunele głębsze, dłuższe, bardziej skomplikowane. Wyprawienie stąd choćby kilku jeńców uznali za punkt honoru. Porażka jako oficerów dowodzących, nie pozwoliłaby im po wojnie spojrzeć w oczy kumplom z West Point. Chyba rozumiesz, o czym mówię, Tommy. Oni nie wiedzieli dokładnie, czym zajmuje się Vic. Nikt nie miał pewności, ponieważ Vic zawsze trzymał karty przy orderach. Wydawało mu się, że wszystko idealnie obmyślił, napuszczając jednych na drugich. Czy nie tak się zachowywał? Tak czy owak uważał, że wszystko gra. I w gruncie rzeczy tak było. To był zręczny manipulator. Przynajmniej do czasu, gdy w tunelu zginęło dwóch chłopaków...

Jazzman przerwał, zaczerpnął tchu i mówił dalej.

– To byli moi przyjaciele. Jeden to najlepszy klarncista, jakiego w życiu słyszałem. W domu, w Nowym Orleanie ludzie oddaliby duszę za zagranie choćby jednej nuty tak dobrze jak on. Widzisz, tamtej nocy w tunelu miało nikogo nie być, nie o tak późnej porze. Ale MacNamara i Clark wydali polecenie, żeby kopać przez całą dobę. Kopano dwa tunele: ten i tamten. Ten drugi zawalił się na moich kumpli, kiedy cholerne szwaby zaczęły na górze jeździć ciężarówką. Gdyby nie Vic, nikt by nie wiedział, gdzie szukać.

– A zatem zemsta – pokiwał głową Tommy. – To pierwsza przyczyna. No i zdrada, jak przypuszczam.

– Trudno o lepsze powody – wtrącił Murphy. – To parszywy sukinsyn. Jego zachowanie było nie do przyjęcia. Należało unikać robienia z nim interesów, ponieważ potrafił wrócić do człowieka i żądać ceny wyższej niż uzgodniona. Takie rzeczy się zdarzały. Zabawna rzecz, ale Vic był znakomitym lotnikiem, wiesz o tym? Więcej niż znakomitym; prawdziwym asem, bardzo odważnym w powietrzu. Zasłużył na każdy medal, jaki mu dali. A na ziemi nie można było mu wierzyć nawet na jotę.

Tommy zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Nagle wszystko zaczęło się układać, szczegóły zazębiły się; jedno wynikało z drugiego.

– Idźmy dalej – ciągnął jazzman. – Vic załatwił mi nóż, o który prosiłem. Dał mi go, a ja zaskoczyłem Vica z tyłu, podczas gdy Murphy atakował od przodu. Początkowo chcieliśmy wszystko zwalić na któregoś ze strażników. Tak jak gdyby Vic zginął przy robieniu interesów. Wtedy pojawił się ten twój chłoptaş Scott i bardzo nam ułatwił sprawę. Dał się wrobić bez specjalnego trudu. No i dzięki temu Niemcy nie pchali nosa w nie swoje sprawy. Czy Lincoln Scott zdaje sobie sprawę z usługi, jaką nam oddał? Nie wydaje mi się zresztą, aby ta świadomość była dla niego pocieszająca.

– Dlaczego nie powiedzieliście prawdy? Dlaczego...

Jazzman podniósł rękę.

– Nie przemyślałeś wszystkiego jak należy, Tommy. Co mielibyśmy z tego ja i mój kumpel jankes, gdyby ktoś poznał prawdę? Po powrocie do domu stanęlibyśmy przed sądem, zgadza się? Tyle wysiłku włożonego w tę ucieczkę, a wszystko po to, żeby wrócić do Stanów i zostać oskarżonym o zamordowanie Vica? Moim zdaniem, to nie do przyjęcia. Nie po tylu kłopotach.

Tommy skinął głową. Zrozumiał, chociaż nowoorleańczyk tego jednoznacznie nie powiedział. Plan zakładał nieubłaganą konieczność: Lincoln Scott musiał zostać oskarżony, osądzony, skazany i stracony. Tylko dzięki temu ludzie w tunelu mogą zasmakować wolności.

– MacNamara i Clark nie chcieli poznać prawdy, zgadza się? – zapytał powoli.

– O, nie, nie chcieli – jazzman uśmiechnął się szeroko. – Wątpię, czy byliby gotowi jej wysłuchać, nawet gdybym przyznał się do winy. Nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Bo widzisz, Tommy, ta prawda dla wszystkich jest bardzo kłopotliwa. Trader Vic był bohaterem, armia zaś nie lubi zszarganych bohaterów. Natomiast oskarżenie Scotta, chociaż to czyste kłamstwo, wszystkim doskonale odpowiada. Oprócz Scotta, chciałem powiedzieć. Nie wiem tego na pewno, choć domyślam się, że MacNamara i Clark nie spodziewali się, że pewien spokojny chłopak z Harvardu narobi takiego bałaganu.

– Chyba faktycznie się nie spodziewali – zgodził się Tommy.

– No, niezgorzej namieszałeś. Powiedziałem ci wszystko. Daj mi ten kilof – dorzucił nowoorleańczyk głośnym szeptem, z nutą nacisku i groźby. – Albo pozwól nam przekopać się na powierzchnię, albo zabij mnie na miejscu; niezależnie od tego, co wybierzesz, odzyskam wolność, zanim wstanie słońce!

Tommy uśmiechnął się na myśl, co to za wspaniałe słowo – wolność. Siedem zwykłych liter, a jakie głębokie znaczenie kryje. Takie słowo powinno być wyjątkowe, długie, brzmieć triumfalnie, mieć w sobie potęgę i dumę. Przypomniawsobie, że tej nocy musi wyrównać rachunki.

– A zatem mamy impas – powiedział niespodziewanie.

– O co ci chodzi?

– O to, że nie oddam ci kilofa. Nie wiem, co zrobię. Może zacznę krzyczeć albo was zabiję, tak jak wy chcieliście zabić mnie, a potem sam się przekopię i wypuszczę ludzi z tunelu – blefował Hart.

– Tu nie chodzi jedynie o nas – rzucił ostrym tonem muzyk. – Tej nocy ma wyjść z obozu siedemdziesięciu pięciu ludzi. Nikt z nich nie zasługuje na odebranie mu szansy zakosztowania wolności. Pracowali długo i ciężko, narażali się na niebezpieczeństwo, żeby ją zdobyć. Nie wolno ci ich tego pozbawić. Być może to, co zrobiłem, nie jest dobre, ale jestem pewny, że nie jest też całkiem złe.

– Zabiłeś człowieka – przypomniał Tommy, przyglądając się bacznie nowoorleańczykowi.

– Tak, zrobiłem to. Takie rzeczy zdarzają się na wojnie. Może on zasłużył na śmierć, a może nie. Ja po prostu nie chcę za to odpowiadać. Nie zamierzam się wyrwać z tej piekielnej szwabskiej dziury tylko po to, aby stanąć przed amerykańskim plutonem egzekucyjnym.

– Masz rację – przyznał Tommy. – Więc jak zamierzasz rozwiązać tę sytuację? Bo ja się nie ruszę stąd, dopóki nie będę miał pewności, że Lincoln Scott uniknie rozstrzelania.

– Podaj mi kilof.

– Lincoln Scott musi zostać zwolniony.

– Nie ma czasu! – wtrącił Murphy. – Trzeba ruszać!

W ciasnym wykopie zaległa cisza. Jazzman chwilę myślał intensywnie, po czym uśmiechnął się.

– Chyba każdemu z nas tutaj należy się jakaś porcja ryzyka – powiedział, nie spiesząc się. – Jak myślisz, Tommy? Tej nocy warto zaryzykować. Jesteś na to gotowy?

– Jestem.

– No to chyba doszliśmy do porozumienia – powiedział muzyk ze śmiechem. Wyciągnął do Harta rękę, lecz ten nie puszczał kilofa. Nowoorleańczyk wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, Hart, że twarde z ciebie gość – powiedział. Podeszedł do otworu prowadzącego w głąb tunelu, wziął do ręki świeczkę i zaczął nią wymachiwać w powietrzu.

– Numer trzeci, słyszysz mnie? – szepnął najgłośniej, jak mógł.

Po chwilowej ciszy z ciemności odezwał się głos:

– Co się tam u was dzieje, do cholery?

Nawet Murphy uśmiechnął się, słysząc to pytanie.

– Rozmawiamy sobie trochę na temat prawdy – odpowiedział szeptem jazzman. – Słuchaj mnie bardzo uważnie, żebyś czegoś nie przekręcił. Lincoln Scott, ten czarny lotnik, nikogo nie zabił! A już na pewno nie Tradera Vica! Przysięgam na Boga, że nie. Zrozumiałeś?

– Scott jest niewinny? – odpowiedział pytaniem głos z tunelu.

– W stu procentach – potwierdził muzyk. – Teraz przekaż to dalej, tylko niczego nie pokręć, dobrze? Niech wszyscy dowiedzą się, jaka jest prawda. Także ten żaloszny dupek Clark, czekający u wejścia do tunelu.

Znowu zapadła cisza. Numer trzeci zapytał:

– Skoro Scott jest niewinny, to kto zabił Tradera Vica?

Jazzman uśmiechnął się, spojrzawszy na Tommy'ego i odpowiedział szeptem:

– Vica zabiła wojna. Przekaż tę wiadomość tak jak kubeł z ziemią, bo musimy się stąd zabierać w ciągu dziesięciu minut!

– Dobra, Scott jest niewinny. Zrozumiałem.

Tommy podczołgał się do wylotu tunelu; usłyszał, jak numer trzeci czołga się do tyłu i przekazuje numerowi czwartemu:

– Scott jest niewinny! Podaj dalej!

Te słowa, powtarzane przez następnych jeńców, rozbrzmiewały w ciasnej czeluści niczym echo, aż ucichły w nieprzeniknionej ciemności. Tommy zachwiał się, jakby nagle poczuł się wyczerpany. Nie miał pewności, czy tych kilka słów: Scott jest niewinny, zapewnia Lincolnowi wolność. Były to jednak najlepsze trzy wyrazy, jakie usłyszał tej nocy. Oddał oskard nowoorleańczykowi.

– Nie wiem nawet, jak się nazywasz – powiedział. Jazzman potrząsał przez chwilę narzędziem, jakby chciał zdzielić Harta.

– Nie chcę ci podać nazwiska – odrzekł z uśmiechem. – Masz w sobie potężną wiarę, Hart. Przyznaję. Nie jest to ściśle wiara religijna, ale jednak. No, a co do dalszej naszej dyskusji...

– Powiedziałbym, że jest to sprawa poufna, bo dotyczy stosunków obrońcy z klientem. Nie mam w tej kwestii pełnej jasności, ale jeśli ktoś mnie o to zapyta, tak mu odpowiem – stwierdził Hart, wzruszając ramionami.

Jazzman skinął głową.

– Tommy, powinienesz zostać muzykiem. Umiesz prowadzić melodię.

Hart uznał to za komplement i wskazał dłonią pułap.

– Teraz kolej na ciebie – powiedział.

– Dla ciebie to jeszcze nie koniec – uśmiechnął się nowoorleańczyk. – Nasze nieporozumienie spowodowało znaczne opóźnienie, Tommy. Najpierw ja wyświadczyłem przysługę tobie, podejmując ryzyko, teraz ty zrób coś dla mnie i także zaryzykuj. Nie tylko zresztą dla mnie: dla wszystkich chłopców, którzy czekają w tym parszywym tunelu i marzą o powrocie do domu. Pomożesz nam stąd wyjść.

19. Ucieczka

Visser gestem ręki kazał Renadayowi zająć miejsce na krześle stojącym przy jego biurku. Nie spuszczał oczu z Kanadyjczyka. Obserwował, jakie trudności sprawia mu każdy krok. Hugh ciężko opadł na krzesło; miał ściągniętą, zaczerwienioną z wysiłku twarz. Na czole kroplił się pot, a pod pachami bluzy tworzył ciemne plamy. Nie powiedział ani słowa. Visser powoli zapalił papierosa i odchylił się do tyłu.

– Zachowuję się nieuprzejmie – powiedział cicho Niemiec, wskazując na leżącą na stole paczkę papierosów. – Proszę, panie Renaday, niech się pan poczęstuje, jeżeli ma pan ochotę.

– Dziękuję, ale wolę swoje – odparł Hugh. Sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął zmiętą paczkę playersów. Visser milczał, kiedy Renaday wyjmował papierosa i zapalał go. Zaciągnął się mocno i poprawił na siedzeniu.

– Doskonale – powiedział Visser z uśmiechem. – Postępujemy jak ludzie cywilizowani mimo tak późnej pory.

Hugh nie odpowiedział.

– A teraz może odpowie mi pan, jako człowiek cywilizowany – ciągnął Niemiec spokojnym, równym głosem – co pan robił poza swoim miejscem zakwaterowania, panie Renaday? Czołgał się pan na brzuchu na skraju placu apelowego. To bardzo nieodpowiednia pozycja. Dlaczego pan to zrobił, poruczniku?

Hugh ponownie zaciągnął się dymem.

– No cóż – zaczął ostrożnie – jak już poinformowałem wartownika, który mnie aresztował, po prostu wyszedłem odetchnąć czystym powietrzem cudownej, niemieckiej nocy.

Visser uśmiechnął się, jakby docenił dowcip, ale jego uśmiech pozbawiony był wesołości. Hugh poczuł, że zaczyna go ogarniać strach.

– Oj, panie Renaday, podobnie jak wielu pańskich rodaków i waszych sojuszników robi pan sobie żarty z sytuacji, która, mogę pana zapewnić, jest bardzo niebezpieczna. Pytam pana jeszcze raz, dlaczego opuścił pan wyznaczone miejsce

pobytu po wygaszeniu świateł?

– To nie pański interes – odparł chłodno Kanadyjczyk.

Visser bez przerwy się uśmiechał, chociaż robił to z widocznym przymusem.

– Ależ poruczniku, mnie interesuje wszystko, co się dzieje w tym obozie. Dobrze pan o tym wie, a jednak unika pan odpowiedzi na takie proste pytanie: co pan robił poza wyznaczoną kwaterą? – Tym razem Visser podkreślił wagę swoich słów, uderzając palcem w blat biurka. – Proszę natychmiast udzielić mi odpowiedzi, poruczniku!

Hugh pokręcił głową na znak, że nic nie powie. Visser w milczeniu przyglądał mu się uważnym wzrokiem.

– Czy uważa pan, że nierozsądnie jest pytać o takie rzeczy? Poruczniku, nie wierzę, aby pogodził się pan z niebezpieczeństwem, na jakie się pan naraził.

Hugh ciągle milczał.

Uśmiech zniknął z twarzy Niemca. Wysunięta szczęka oznaczała gniew, spojrzenie zrobiło się twarde i nieprzychylnie. Szramy na twarzy Vissera zbieleły. Pokiwał głową, a później powoli, z przerażającym spokojem, sięgnął do pasa, odpiął kaburę i wyciągnął duży czarny pistolet. Podniósł go i położył przed Renadayem.

– Czy zna pan tę broń, poruczniku? – zapytał.

Hugh zaprzeczył.

– To jest mauzer, kaliber trzydzieści osiem. Potężna broń, panie Renaday. Ani trochę nie ustępuje rewolwerom Smith and Wesson, w jakie są uzbrojeni policjanci w Stanach. Jest też groźniejszy niż rewolwery Webbly-Vickers, stanowiące wyposażenie pilotów brytyjskich. To nie jest standardowa krótka broń dla oficerów w Trzeciej Rzeszy, panie poruczniku. Zazwyczaj ludzie tacy jak ja noszą półautomatyczne pistolety Luger. Także bardzo skuteczne, lecz wymagające dwóch rąk do zarepetowania i wystrzelenia. Ja, niestety, mam tylko jedną rękę. Muszę zatem korzystać z mauzera, który, trzeba przyznać, jest znacznie cięższy i bardziej toporny. Można się nim jednak posługiwać jedną ręką, co mi bardzo odpowiada. Na pewno doskonale pan rozumie, poruczniku, że jedna kula z takiej broni rozwali panu większą część twarzy, a nawet głowy i oczywiście mózg?

Hugh długo przyglądał się długiej lufie rewolweru. Visser odwrócił broń, kierując wylot lufy na Kanadyjczyka.

– No więc dobrze – stwierdził. – Może osiągniemy jakiś postęp. Pytam pana jeszcze raz, dlaczego opuścił pan swoją kwaterę.

– Poszedłem zwiedzać okolicę – odparł zimno Hugh.

Niemiec roześmiał się, choć wcale nie było mu wesoło i spojrzał na stojącego w kącie pokoju Fritza Numer Jeden.

– Pan Renaday usiłuje zgrywać wariata, kapralu. Może jednak w końcu to nie on będzie się śmiał ostatni. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że mam prawo zastrzelić go na miejscu, albo, jeżeli uznam, że lepiej nie robić bałaganu w biurze, kazać go wyprowadzić i rozstrzelać przed budynkiem. Złamał wyraźny przepis regulaminu obozowego, a karą za to jest śmierć! Jego życie wisi na włosku, kapralu, a mimo to bawi się z nami.

Fritz Numer Jeden nie odpowiadał – skinął tylko głową i stanął na baczność. Visser ponownie zwrócił się do Hugh.

– Czy gdybym wysłał oddział żołnierzy do zrewidowania wszystkich jeńców mieszkających w baraku sto jeden, znalazłbym tam pańskiego przyjaciela, porucznika Harta? A może porucznika Scotta? Czy pańska wyprawa dzisiejszej nocy ma związek z toczącym się procesem? – Visser przerwał, podnosząc rękę. – Nie musi pan odpowiadać na to pytanie, poruczniku, ponieważ ja znam już odpowiedź. Tak, to musi być powiązane. Ale w jaki sposób?

Hugh po raz kolejny potrząsnął głową.

– Nazywam się Hugh Renaday, oficer lotnictwa w stopniu porucznika, numer seryjny 472 kreska 6712. Wyznanie protestanckie. Obawiam się, że są to jedyne informacje, jakie jestem w stanie ujawnić teraz lub kiedy indziej, Herr Hauptmann.

Visser odrzucił do tyłu głowę i obrzucił Kanadyjczyka pełnym wściekłości wzrokiem. Odezwał się spokojnie, choć jego słowa brzmiały lodowato i groźnie.

– Zauważyłem, że pan kuleje, poruczniku. Czy pan się zranił?

Hugh pokręcił głową.

– Czuję się doskonale.

– Wobec tego skąd te trudności z chodzeniem?

– To zastarzała kontuzja, odniesiona podczas uprawiania sportu. Odnowiła się dzisiaj rano.

Visser uśmiechnął się.

– Proszę, poruczniku, niech pan wyprostuje nogę i położy ją na blacie biurka – polecił.

Hugh się nie poruszył.

– Niech pan podniesie nogę, poruczniku. Dzięki temu nie zastrzelę pana natychmiast; może pan zyskać kilka dodatkowych sekund na zastanowienie się, jak blisko jest pan śmierci.

Hugh odsunął krzesło i z wyraźnym wysiłkiem uniósł prawą nogę, kładąc ją na środku biurka. Przy zmianie pozycji poczuł silny ból, jakby ktoś przebił mu mięśnie uda. Na moment zamknął oczy.

Visser zawahał się, po czym chwycił Kanadyjczyka za uszkodzone kolano, wbił palce w staw i gwałtownie wykręcił obolałą nogę. Renaday z bólu niemal upadł na podłogę.

– To bardzo boli, prawda? – pytał Niemiec, nadal maltretując Kanadyjczyka.

Hugh nie odpowiedział. Mięśnie miał napięte jak postronki. Poczł oszołomienie, prawie stracił przytomność. Z trudem walczył o zachowanie zmysłów.

Visser puścił jego nogę.

– Mogę panu zadać ból, a dopiero potem zastrzelić, poruczniku. Ból będzie tak intensywny, że z wdzięcznością przyjmie pan kulę, która położy kres męczarni. Pytam po raz ostatni: co pan robił poza swoją kwaterą?

Hugh odetchnął głęboko. Usiłował ukoić fale bólu, przepływające przez ciało.

– Czekam na pańską odpowiedź, poruczniku. Proszę wziąć pod uwagę, że od niej zależy pańskie życie – ponaglił go ostrym tonem Visser.

Po raz drugi tej nocy Hugh Renaday zdał sobie sprawę, że jego życie wisi dosłownie na włosku. Jeszcze raz odetchnął i rzekł:

– Szukałem pana, Herr Hauptmann.

Visser wyglądał na zaskoczonego.

– Mnie? A dlaczego chciał się pan ze mną widzieć, poruczniku? – zapytał.

– Żeby napluć panu w gębę – odrzekł Hugh i splunął na Niemca, ale w jego wysuszonych ustach nie było dość śliny, więc tylko opryskał biurko.

Niemiec wzdrygnął się, potrząsnął głową i wytarł rękawem blat. Następnie wziął rewolwer i wycelował w głowę Hugh Renadaya. Na kilka sekund zastygł w tej pozycji. Odbezpieczył broń i przyłożył wylot lufy do czoła jeńca. Mimo silnego bólu, pulsującego w zranionej nodze Hugh poczuł przenikliwe zimno. Zamknął oczy i starał się myśleć tylko o tym, co go czeka za chwilę. Mijały sekundy, minęła minuta, a Hugh nie miał odwagi otworzyć oczu.

Visser uśmiechnął się i opuścił broń. Hugh poczuł odsuwającą się od głowy lufę pistoletu i powoli unióś powieki. Obserwował jak Niemiec bez pośpiechu, z rozmysłem chowa mauzera do kabury. Kanadyjczyk oddychał spazmatycznie, nie spuszczać wzroku z rewolweru. Miał nadzieję odczuć ulgę, lecz ciągle nie mógł się pozbyć paraliżującego strachu.

– Poruczniku, czy uważa się pan za szczęśliwca, że wciąż pan żyje?

Hugh przytaknął.

– To smutne – odparł ostro Visser i zwrócił się do Fritza Numer Jeden: – Kapralu, zwołajcie Feldfebla i polećcie mu sformować odpowiedni oddział. Tego jeńca należy stąd wyprowadzić i bezzwłocznie rozstrzelać.

– Scott jest niewinny.

– Scott jest niewinny.

To zdanie rozbrzmiewało w całym tunelu, powtarzane przez kolejnych jeńców. Nie zastanawiano się nad wiążącymi się z tym dziesiątkami innych pytań. Pozostawały niezauważone w ciasnym, niebezpiecznym podziemnym świecie, pełnym brudu i zatechłej duchoty. Jeńcy wiedzieli tylko, że jest to wiadomość równie istotna jak ostatnie uderzenia kilofa i że zawiera się w niej pewien rodzaj wolności o wielkiej wadze. Przekazywano ją z taką samą determinacją jak ta, którą wykazał Tommy w walce o prawdę. Żaden z ludzi w tunelu nie miał pojęcia, co się wydarzyło na końcu wykopu. Wszyscy jednak wiedzieli, że ludzie stojący między

perspektywą śmierci a ewentualnością ucieczki nie będą kłamać. Informację przekazywano coraz dalej z nabożną gorliwością, aż wreszcie dotarła do baraku sto siedem.

Lotnik z Nowego Jorku nachylił się, żeby dobrze zrozumieć to, co do niego mówiono. Słuchał pilnie razem z kolegą, który skorzystał z okazji i przerwał na chwilę wynoszenie na powierzchnię ciężkich wiader wypełnionych ziemią.

– Powtórz – wyszeptał nowojorczyk.

– Scott jest niewinny! – dobiegł go głos z tunelu. – Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

Jeniec obsługujący miechy i człowiek podający wiadra spojrzeli na siebie i roześmieli się. Pilot odwrócił się.

– Hej tam, uwaga! Wiadomość z przodka... – powiedział cicho.

Major Clark zbliżył się do dziury, odtrącając Scotta. Klęknął na brzegu wykopu, pochylając się jak najniżej.

– O co chodzi? Czy przebili się na powierzchnię? – zapytał.

W migoczących płomykach świec widać było zwrócone w górę twarze dwóch jeńców, stojących na dnie szybu. Pilot z Nowego Jorku wzruszył ramionami.

– Coś w tym guście – mruknął.

– Co to za wiadomość? – ponaglił go ostro Clark.

– Scott jest niewinny! – odpowiedział zapytany. Potwierdził to jeniec zajmujący się noszeniem wiader.

Clark wyprostował się bez słowa. Lincoln Scott usłyszał tę wiadomość, lecz nie od razu pojął jej znaczenie. Patrzył na majora, który jak gdyby chciał otrząsnąć się z wrażenia płynącego z tego prostego, a tak ważnego przekazu. Natomiast Fenelli w lot zrozumiał, o co chodzi. Zwrócił uwagę nie tylko na treść informacji, ale i sposób, w jaki została podana. Pochylił się nad otworem i zapytał szeptem:

– Czy to przekazano z samego przodka? Z miejsca, gdzie znajduje się Hart oraz numery pierwszy i drugi?

– Tak, to przeszło przez cały tunel. Podaj dalej! – ponaglił go nowojorczyk.

Fenelli uśmiechnął się.

– Nie zrobicie tego, poruczniku. Wiadomość zostanie tutaj – wtrącił szybko Clark. Fenelli otworzył szeroko usta.

– Co takiego? – zapytał.

Clark patrzył na medyka; zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał stojącego obok Lincolna Scotta.

– Nie wiemy, dlaczego i w jaki sposób przekazano nam tę wiadomość, czy Hart nie zdobył tego oświadczenia, wywierając presję. Nie pozwolę na rozpowszechnienie tej wiadomości, ponieważ nie znamy odpowiedzi na te pytania – tłumaczył.

Fenelli potrząsnął głową i popatrzył na Scotta. Lincoln przysunął się do majora i trącił go w pierś. Przez moment wydawało się, że poniesie go wściekłość i oburzenie. Zadrżał, ledwie panując nad chęcią poczęstowania Clarka lewym podbródkowym. Powstrzymał się jednak siłą woli i tylko zmierzył go zimnym, twardym wzrokiem.

– Co w tej wiadomości tak bardzo pana niepokoi, majorze? – zapytał.

Clark odskoczył. Scott stanął przy wejściu do tunelu.

– Albo prawda zostanie ujawniona, albo nikt nie wejdzie do środka – oznajmił.

Major chrząknął, starając się ocenić stopień determinacji czarnoskórego oficera.

– Nie mamy czasu – powiedział.

– Rzeczywiście, nie mamy – przytaknął Fenelli. Spojrzał w głąb korytarza i gestem przywołał jeńca stojącego w drzwiach toalety, noszącego ziemię.

– Słuchaj! – odezwał się głośno. – Otrzymaliśmy wiadomość z końca tunelu.

Jeniec kiwnął głową.

– Scott jest niewinny – powiedział Fenelli, uśmiechając się szeroko. – Taką informację dostaliśmy z przodka. Masz to przekazać dalej. Wszyscy ludzie w tym baraku muszą się dowiedzieć, że Scott jest niewinny! I niech się przygotują, bo kolejka ruszy lada moment.

Jeniec zawahał się, spojrzał na Scotta i uśmiechnął się. Później szeptem powtórzył wiadomość następnemu stojącemu w korytarzu, który podał ją dalej. Trzy ważne słowa dotarły do środka baraku; jeńcy pełniący funkcje pomocnicze i lotnicy

łoczący się w drzwiach sypialni zaczęli powtarzać je z ożywieniem.

Scott usunął się, odsłaniając wejście do tunelu. Zrozumiał już wagę krótkiego zdania, powtarzanego przez wszystkich w baraku sto siedem. Wiedział, że po wschodzie słońca ta informacja rozejdzie się po całym obozie, a jeżeli ludziom dopisze szczęście w ucieczce, będzie im towarzyszyła także na wolności. Jej znaczenia nie mogli zlekceważyć major Clark, pułkownik MacNamara, kapitan Townsend i ci wszyscy, którzy starali się postawić go naprzeciw plutonu egzekucyjnego. Te słowa ratowały życie oskarżonemu.

Lincoln odetchnął głęboko i spojrział na dziurę w podłodze. Teraz, kiedy z drugiego końca tunelu dotarła do nich prawda, z czeluści powinien wyłonić się Tommy Hart.

Jednak zamiast szczupłej sylwetki przyszłego prawnika z Vermont nadeszła kolejna informacja. Nicholas Fenelli popatrzył na Scotta rozjaśnionymi oczami i wyszeptał ochryple:

– Przebili się! Ruszamy!

Tommy Hart stał na szczycie drabiny, usiłując nie stracić równowagi. Wpatrywał się w szeroką na piętnaście centymetrów dziurę w warstwie ziemi nad szybem. Łapczywie chwycił napływające do tunelu świeże powietrze, upajające jak mocne wino. W prawej ręce trzymał kilof. Poniżej Murphy i jazzman z Nowego Orleanu pospiesznie ścierali pył z twarzy i zaczęli się przebierać.

Ten drugi – muzyk, morderca i król tuneli – zadał pytanie pełnym podniecenia głosem:

– Jak to pachnie, Hart?

– Słodko – odrzekł Tommy po chwili zastanowienia.

On także był cały obsypany ziemią. Przez ostatnie dziesięć minut zastępował dwóch kopaczy, którzy osłabli przed samą metą. Natomiast Tommy poczuł przypływ energii. Odrzucał bryły ziemi z prawdziwą furją, rąbał ją kilofem. Wreszcie pokazał się kawałek darni.

Teraz stał na szczycie drabiny i napawał się świeżym powietrzem. Czuł

narastające oszołomienie, jakby był wstawiony.

– Hart, schodź na dół! – syknął jazzman.

Tommy odetchnął jeszcze raz i z ociąganiem opuścił się na dno szybu. Popatrzył im w oczy. W mdłym płomyku świecy zauważył, że ich twarze zaróżowiły się z podniecenia. W tym momencie siła przyciągania wolności stała się tak potężna, że przyćmiewała wszystkie wątpliwości i obawy dotyczące wydarzeń w najbliższych godzinach.

– Hart, słuchaj, co robimy dalej. Przywiążę linę do ostatniego szczebla i poprowadzę ją do najbliższego drzewa. Ty usiądziesz na warcie przy tym drzewie. Każdy jeniec po wejściu na szczyt drabiny musi poczekać na sygnał, dwa krótkie szarpnięcia, oznaczający, że droga jest wolna. Postaraj się wypuszczać ludzi co dwie trzy minuty. Nie szybciej, ale też nie wolniej. W ten sposób nie zwrócimy na siebie uwagi i może zdążymy dostosować się do harmonogramu. Kiedy ludzie wyjdą na powierzchnię, będą wiedzieli, co robić. Jak wszyscy uciekną, wracaj do tunelu i czołgaj się z powrotem do obozu.

– Dlaczego nie mogę poczekać tutaj?

– Nie ma czasu, Hart. Ci ludzie zasługują na swoją szansę, a ty nie możesz stanąć im na drodze. I to dosłownie.

Tommy skinął głową. Oficer z Nowego Orleanu mówił sensownie. Jazzman wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Przy okazji rozejrzyj się za mną w dzielnicy francuskiej, Hart – powiedział.

Tommy spojrzał na jego rękę. Wyobraził sobie, jak to ramię zacisnęło się na gardle Tradera Vica. Pamiętał też, że przed kilkoma minutami ta sama ręka usiłowała pozbawić go życia. Ale w gorącym, pełnym brudu i strachu wykopie wszystko nagle uległo zmianie. Tommy uścisnął dłoń lotnika z Nowego Orleanu, który uśmiechnął się szeroko. W ciemności błysnęły białe zęby.

– Miałeś rację w jeszcze jednej sprawie, Hart – powiedział. – Jestem mańkutem.

– Jesteś zabójcą – powtórzył cicho Tommy.

– Wszyscy jesteśmy zabójcami – odrzekł muzyk.

Tommy pokręcił głową, ale jego rozmówca tylko się roześmiał.

– Tak, tak, jesteśmy, choćbyś mówił nie wiem co. Może przestaniemy być zabójcami w przyszłości, kiedy to wszystko się skończy, a my będziemy starzeć się w domu, przy kominku, opowiadając wojenne przygody. Ale teraz i tutaj jesteśmy mordercami. Ty, ja, Murphy, a także Scott, MacNamara, Clark i wszyscy inni. Włącznie z Vincentem Bedfordem. Może nawet on był ze wszystkich najgorszy, bo zabijał ludzi, choćby przez przypadek, tylko dlatego, żeby ułatwić sobie to parszywe życie. – Kiepski powód, aby umierać, prawda? – ciągnął dalej, patrząc na Tommy’ego i wciąż nie puszczając jego ręki. – Czy sądzisz, Tommy, że prawda o tych wszystkich sprawach wyjdzie kiedykolwiek na jaw?

Zanim Hart zdążył odpowiedzieć, jazzman pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się – powiedział. – Nie wydaje mi się, aby armia przychylnie odniosła się do pomysłu ujawnienia przed całym światem, że niektórzy jej wspaniali bohaterowie to zarazem najlepsi mordercy. Na pewno tego nie zrobi. Wojsko nie będzie się palić do rozpowszechniania tej historii.

Tommy przełknął ślinę.

– Powodzenia – powiedział. – Nowy Orlean. Zajrzę tam pewnego dnia.

– Postawię ci drinka – obiecał muzyk. – Co tam, Tommy, postawię ci tuzin drinków, jeżeli wrócimy cali do domu. Wypijemy za prawdę, która jakoś nigdy nie przynosi nikomu nic dobrego.

– Nie jestem pewien, czy masz rację – wtrącił Hart.

Jazzman roześmiał się, wzruszył ramionami i wszedł na drabinę ze zwojem cienkiej linki. Tommy obserwował, jak przywiązuje koniec sznura do najwyższego szczebla, a potem odrywa jeszcze kilka brył ziemi u wylotu tunelu. Zrzucił je na dół – Tommy zamknął oczy i odchylił się, żeby nie obsypał go piasek. Nowoorleańczyk znieruchomiał na moment, zdmuchnął ostatnią świecę i błyskawicznie przecisnął się przez dziurę w ziemi. Widoczna w słabym świetle księżycy sylwetka zaraz zniknęła.

Murphy tylko chrząknął – nie tracił czasu na uprzejmości wobec Tommy’ego. Podniósł się i ruszył do góry. Hart słyszał, jak przez zwały piasku w tunelu przedziera się numer trzeci, przypominający wielkiego kraba. Widział poruszające się nogi Murphy’ego, jak szukał oparcia, żeby wydzwignąć się do góry. Wtedy

zaczął się wspinać Tommy. Kiedy znalazł się na szczycie drabiny, chwycił linkę. Poczłł dwa szarpnięcia. Nie namyślając się przecisnął się przez dziurę i poszedł dalej. Poszycie lasu pokryte było mchem i igliwim. Poczłł powiew chłódnego powietrza, orzeźwiającego niczym prysznic po upalnym dniu. Doczłłgał się do pnia dużej sosny. Lina była przywiązana do drzewa, odległego od tunelu niewiele ponad dziesięć metrów. Tommy oparł się o sosnę. Zza drzew słyszał jakieś odgłosy, trzaski. Domyślił się, że to muzyk z Nowego Orleanu i Murphy przedzierają się przez gęstą zarośla w kierunku miasta. Hałas wydawał mu się potężny, podobny do grzmotu. Obawiał się, czy nie zwróci uwagi strażników i żołnierzy w obozie. Przyłgął do pnia sosny i czekał, aż las ucichnie.

Odetchnął głęboko i odwrócił się. Wylot tunelu znajdował się na samym skraju lasu. Ogrodzenie z drutu kolczastego było pięćdziesiąt metrów dalej, a najbliższa wieża strażnicza z karabinem maszynowym trzydzieści metrów za drutami. Strażnicy na pewno stali odwrócenii plecami do uciekających. Nawet Hundführer, patrolujący obwód obozu musi patrzeć w przeciwnym kierunku. Konstruktorzy tunelu bardzo skrupulatnie wymierzyli odległości, wykonali znakomitą robotę.

Kiedy Tommy zrozumiał, gdzie się znajduje, zakręciło mu się w głowie. Przekroczył linię drutów, wyszedł z zasięgu reflektorów i karabinów maszynowych. Podniósł głowę – przez baldachim spleciony z gałęzi widział ostatnie mrugające na niebie gwiazdy. Przez chwilę miał wrażenie, że jest zjednoczony z tą nieprzebytą przestrzenią, milionami kilometrów czarnego kosmosu.

Pomyślał: jestem wolny.

Niemal roześmiał się na tę konstatację. Przycisnął się do pnia, mocno objął tułów ramionami, jakby chciał stłumić podniecenie, grożące gwałtowną eksplozją. Przypomniał sobie o zadaniu, którego się podjął. Szybko rzucił okiem na zegarek – zorientował się, że czas do pojawienia się pierwszych blasków wstającego dnia jest zdecydowanie za krótki na wypuszczenie z tunelu siedemdziesięciu pięciu ludzi wyznaczonych do udziału w ucieczce, jeżeli będą wychodzili co trzy minuty. Rozejrzał się dookoła. Był sam. Dwukrotnie szarpnął linkę i po kilku sekundach z tunelu wyłoniła się niewyraźna sylwetka jeńca numer trzy.

Dwaj wartownicy, którzy doprowadzili Hugh z placu apelowego do baraku komendantury przysiedli na drewnianych schodkach, palili papierosy pochodzące ze skąpych niemieckich racji wojskowych i narzekali, że powinni najpierw obszukać Kanadyjczyka i zabrać mu playersy, a dopiero później odprowadzić do biura. Poderwali się i stanęli na baczność, gdy w drzwiach pojawił się Fritz Numer Jeden. Wyrzucili niezgaszone papierosy. Ogniki zakreśliły w ciemności czerwony łuk, a po chwili zbladły i zgasły.

Fritz upewnił się, że nie stoi za nim kapitan Visser, a potem zdecydowanym, ostrym głosem zwrócił się do szeregowców.

– Ty – wskazał na żołnierza stojącego po prawej stronie – wchodzisz do środka i pilnujesz zatrzymanego. Hauptmann Visser wydał rozkaz, żeby go rozstrzelać, więc twoim obowiązkiem będzie nie dopuścić do jego ucieczki!

Strażnik strzelił obcasami i zsalutował.

– Jawohl! – odpowiedział słuźbiście, chwycił karabin i wszedł do biura.

– Ty masz bardzo dokładnie wykonać następujący rozkaz – zwrócił się Fritz do drugiego wartownika. Mówił cicho i ostrożnie. – Hauptmann Visser wydał rozkaz egzekucji kanadyjskiego oficera. Pójdiesz prosto do koszar wartowników i odszukasz Feldfebla Voellera. On ma służbę dzisiejszej nocy. Powiadomisz go o rozkazie wydanym przez kapitana i zażadasz, aby niezwłocznie wyznaczył pluton egzekucyjny i przyszedł z nim tutaj jak najszybciej...

Szeregowiec potwierdził rozkaz skinieniem głowy. Fritz odetchnął głęboko. Czuł paskudną suchość w gardle, wiedział, że kroczy po ścieżce równie niebezpiecznej jak ta, którą wcześniej wybrał Hugh Renaday.

– W koszarach wartowników jest telefon polowy. Powiedz Voellerowi, że musi uzyskać potwierdzenie rozkazu od pułkownika von Reitera. To absolutnie niezbędne! Ma to zrobić natychmiast! Dzięki temu stawi się tutaj z plutonem egzekucyjnym, zanim jeńcy się obudzą! Wszystko musi być załatwione błyskawicznie, rozumiesz?

Żołnierz wyprostował się jak struna.

– Potwierdzenie rozkazu przez komendanta...

– Nawet gdyby trzeba go było obudzić... – przerwał mu Fritz.

– I powrót tutaj z plutonem egzekucyjnym. Rozkaz, panie kapralu!

Fritz Numer Jeden odesłał żołnierza machnięciem ręki. Ten zrobił przepisowy zwrot i ruszył biegiem w kierunku koszar wartowników. Fritz miał tylko nadzieję, że telefon polowy działa, bo miał paskudny zwyczaj psuć się w trzech przypadkach na cztery. Przełknął ślinę. Nie miał pojęcia, czy komendant von Reiter zaakceptuje rozkaz Vissera czy nie, ale jednego był pewny: tej nocy ktoś musi zginąć.

Usłyszał za plecami otwierające się drzwi. Zobaczył Hauptmanna Vissera opuszczającego biuro. Stał na baczność.

– Przekazałem pańskie rozkazy, Herr Hauptmann! Wysłałem żołnierza po Feldfebla Voellera i pluton egzekucyjny – zameldował.

Visser chrząknął, zasalutował w odpowiedzi, zszedł po schodkach i z uśmiechem spojrzął w niebo.

– Kanadyjski oficer miał słuszność – powiedział. – Mamy dziś piękną noc, prawda, kapralu?

– Tak jest, panie kapitanie – przytaknął Fritz.

– Podczas takiej nocy może się wiele wydarzyć – ciągnął Visser. – Kapralu, czy macie latarkę elektryczną?

– Tak jest.

– No to dajcie mi ją.

Fritz Numer Jeden wykonał polecenie.

Hauptmann patrzył jeszcze przez chwilę w ciemne niebo, potem opuścił głowę i spojrzął na teren obozu oraz połyskujące w oddali druty ogrodzenia.

– Chyba zrobię sobie niewielki spacer – powiedział – i zaczerpnę nieco świeżego powietrza, zgodnie z sugestią porucznika.

Zapalił latarkę, oświetlając drogę słabym promieniem.

– Dopilnujcie wykonania moich rozkazów – dorzucił i ruszył przed siebie szybkim, zdecydowanym krokiem. Szedł w stronę linii drzew widocznych za płotem obozowym.

Fritz Numer Jeden jeszcze kilka minut stał w ciemnościach przed barakiem

administracyjnym. Znalazł się w niezręcznym położeniu. Wiedział, że komendant, jego prawdziwy dobroczyńca, nie akceptuje pokątnych działań Vissera. Uznał za ironię losu szpiegowanie dwóch różnych wrogów.

Dał Hauptmannowi jeszcze kilka minut. Czekał do chwili, gdy słabe światło latarki skryło się w oddali. Wtedy poszedł za nim.

Tommy ekspediował kolejnych jeńców w równym, powolnym tempie określonym przez jazzmana z Nowego Orleanu, szarpiąc linę co dwie–trzy minuty. Lotnicy jeden po drugim przelazili przez dziurę w ziemi i czołgali się do drzewa, pod którym kulił się Tommy. Kilku zdziwiło się, widząc go żywego, inni po prostu znikali w lesie, mruknawszy coś niezrozumiale. Większość jednak żegnała Harta jakimś pocieszającym zdaniem czy choćby klepnięciem w plecy. Ludzie mówili mu szeptem: „Powodzenia” albo „Do zobaczenia na Times Square!” Facet z Princeton powiedział: „Dobra robota, harwardczyku. Musieli cię czegoś nauczyć w tej drugorzędnej szkółce...” i bezszelestnie zniknął w gęstwinie.

Co pewien czas ulegał frustracji. Nieraz wstrzymywał oddech, gdy widział wartownika z psem, patrolującego teren obozu. W pewnym momencie zapalono reflektor na wieży strażniczej, położonej najbliżej wylotu tunelu, ale obrócono go w inną stronę. Tommy kulił się pod sosną, starając się reagować na każdy odgłos; każdy dźwięk wydawał mu się oznaką wyspy. Mógł także zapowiadać śmierć – śmierć Harta albo któregoś z mężczyzn, zmierzających w kierunku miasta i stacji kolejowej, z której poranne pociągi miały ich zabrać jak najdalej od Stalagu Luft 13.

Tommy co kilka sekund sprawdzał czas. Ucieczka przebiegała zbyt wolno. Zbliżający się nieubłaganie poranek natychmiast przerwie całą akcję, podobnie jak odkrycie planu przez Niemców. Zdawał sobie jednak sprawę, że pośpiech jest równie niebezpieczny. Zacisnął zęby i dalej robił swoje.

Siedemnastu lotników przyczajonych w ciasnym tunelu zdążyło się wyrwać na wolność, kiedy Tommy zauważył jakieś błędzące, słabe światło, oddalone o mniej więcej trzydzieści metrów. Wędrowało skrajem lasu, a nie wzdłuż ogrodzenia obozu. Zatem nie była to latarka Hundführera, tylko coś innego. Co więcej, światełko

poruszało się wzdłuż linii prowadzącej do wyjścia z tunelu.

Tommy zastygł pod drzewem. Obserwował stożek światła, poruszający się na wszystkie strony, cichaczem penetrujący okolicę jak czujny pies, który wyczuł podejrzany zapach przyniesiony przez wiatr. Hart zrozumiał, że człowiek z latarką szuka czegoś na chybił trafił. Poruszał się niepewnie, jakby na coś polował, lecz sam nie wiedział na co. Tommy odsunął się, starał się prawie wetrzeć w pień drzewa. Po chwili zrozumiał jednak, że zabawa w chowanego nic mu nie da.

Światło wciąż się zbliżało. Hart poczuł coraz szybciej bijące serce.

To nie był strach zwykłego żołnierza. W duszy jest takie miejsce, gdzie człowieka opadają wszystkie upiory przerażenia i śmierci, które się przeciwko niemu przysięgły. Naruszenie tego obszaru u jednych wywołuje paraliż, u innych wyzwala objawy porażki i agonii. Tommy znalazł się niebezpiecznie blisko tego stanu; mięśnie miał napięte jak postronki, oddychał gwałtownie, spazmatycznie, obserwując przybliżające się wolno światółko. Niemożliwe, żeby Niemiec trzymający latarkę nie zauważył wylotu tunelu, a tym bardziej rozciągniętej na ziemi linki. Nie miał też najmniejszej szansy na błyskawiczne skrycie się pod ziemią. Gdyby teraz się poruszył, wywołałby alarm. Zrozumiał swoje położenie: praktycznie już został schwytany. Bardzo prawdopodobne, że będzie też martwy.

Wstrzymał oddech. W środku, na szczycie drabiny stał jeniec numer osiemnaście i niecierpliwie czekał na podwójne szarpnięcie linką. Sygnał do wyjścia na wolność. Starał się przypomnieć sobie, kim jest ten człowiek. Przecież przeciskał się obok niego w ciasnym tunelu – teraz miał wrażenie, że od tamtego momentu upłynęło wiele godzin. Czuł zapach potu przestraszonego oficera, jego oddech, nie potrafił jednak odtworzyć w pamięci twarzy. W każdym razie był on lotnikiem, tak samo jak Tommy, a teraz czekał tuż pod powierzchnią, zdenerwowany, napięty, podekscytowany, pewnie trochę zniecierpliwiony. Trzymał w rękach linę, czekał na swoją szansę, podobnie jak wszyscy ludzie w tunelu, dobrze wiedzący, że tuż obok czai się kapryśna, nieobliczalna śmierć.

Wędrujące światło zbliżyło się o kilka metrów. Tommy uznał, że tylko on może podjąć decyzję. Ta decyzja z każdą sekundą stawała się coraz bardziej

skryzalizowana. W gruncie rzeczy to nie on musiał postawić wszystko na jedną kartę, tylko ludzie, którzy zdecydowali się na ucieczkę z obozu, a Tommy jako jedyny miał tej nocy możliwość obronić ich marzenia i nadzieje. Popełnił głupi błąd, wierząc, że jedyną próbą, jaka go czekała, było zejście do tunelu i wyświetlenie do końca sprawy Lincolna Scotta i Vincenta Bedforda. Prawdziwa walka dopiero go czekała. Zwiastowało ją światełko, nieubłagane zbliżające się do wyjścia z tunelu. Tommy wstępował do lotnictwa jako człowiek młody, pełen patriotycznego zapału, ale kiedy zaczął walczyć, szybko zrozumiał, że na wojnie wiele rzeczy ma związek z odwagą, bardzo mało zaś z godnością i szlachetnością. Tę ostatnią opisują historycy w swoich dziełach, lecz to na razie odległa przyszłość. W praktyce żołnierz musi nieustannie dokonywać trudnych wyborów; Tommy miał nadzieję, że jego wątpliwości zbledną wobec niecierpiących zwłoki oczekiwań ludzi, ukrytych w ciasnym wykopie pod ziemią.

Tommy Hart, mól książkowy, mało przypominający wojownika, człowiek, który w gruncie rzeczy myślał wyłącznie o powrocie do domu, do ukochanej dziewczyny i dawnego życia, a także o zrobieniu kariery dzięki studiom i ciężkiej pracy, przełknął ślinę, zacisnął pięści i powoli ruszył w kierunku zbliżającego się światła. Posuwał się ukradkiem, jak komandos wyczulony na grożące mu niebezpieczeństwo. Czuł ucisk w gardle i przyspieszony rytm serca, ale zadanie, jakie sobie postawił, rysowało się w jego wyobraźni z nieoczekiwaną, wprost przerażającą jasnością.

Przypomniał sobie słowa muzyka z Nowego Orleanu: „Wszyscy jesteśmy mordercami”. Miał nadzieję, że jazzman się nie mylił.

Zamykał przeciwnikowi drogę, ledwie ośmielając się oddychać. Wlot do tunelu zostawił za plecami, usiłował nie dopuścić do niego intruza. Światło przed Tommym skakało w różne strony. Nie potrafił określić, czyja ręka trzyma latarkę, ale poczuł ulgę, gdy zorientował się, że temu człowiekowi nie towarzyszy pies.

Światło przybliżyło się jeszcze trochę; Tommy napiął wszystkie mięśnie i przycisnął się. Przygotowywał zasadzkę. Parę metrów od niego, tuż pod powierzchnią ziemi czekał jeniec numer osiemnaście. Nie wytrzymał już napięcia, związanego z oczekiwaniem na sygnał. Rozważał w duchu wszelkie możliwe przyczyny

przedłużającej się zwłoki, analizował ewentualne niebezpieczeństwa, porównując je z pragnieniem wydostania się na zewnątrz. Wiedział, jak mało mają czasu, a na powodzenie ucieczki mogli liczyć wyłącznie ludzie, którym uda się dotrzeć do stacji kolejowej przed ogłoszeniem alarmu w obozie. Numer osiemnasty spędził wiele godzin przy kopaniu tunelu, wielokrotnie też wyciągali go koledzy, kiedy dławił się piaskiem z powodu zawału. Był człowiekiem młodym i impulsywnym – uznał, że wyrwanie się na wolność jest ważniejsze niż samo życie. Nie mógł znieść myśli, że znalazł się tak blisko celu i nie wykona ostatniego ruchu. Niecierpliwość okazała się silniejsza od racjonalnych argumentów nakazujących rozwagę i wstrzeźliwość. Postanowił nie czekać na sygnał, tylko wyjść na powierzchnię.

Podniósł ręce do góry, precyzyjnie się przesuwał przez dziurę i wyskoczył na powierzchnię jak płwak pojawiający się na powierzchni wody. Przy okazji narobił hałasu, który dosłownie zmroził Tommy'ego.

Światło latarki przesunęło się w kierunku wykopu; Tommy usłyszał niemieckie: Mein Gott!

Visser zauważył na skraju oświetlonego kawałka terenu, jak spod ziemi wydostaje się ciemna sylwetka człowieka i umyka do lasu. Zaskoczony Hauptmann zrobił kilka szybkich kroków i zatrzymał się. Błyskawicznie włożył latarkę w usta, żeby uwolnić jedyną rękę i wydostać pistolet. Okazało się to szczęśliwym zrzędzeniem losu, ponieważ trzymając latarkę w zębach, nie mógł wszcząć alarmu. Visser z furią szarpnął zapięcie kabury i sięgnął po mauzera.

Prawie zdążył wyciągnąć broń, kiedy Tommy napadł na niego z impetem, celując w klatkę piersiową Niemca niczym obrońca, osłaniający na boisku zawodnika biegnącego z piłką. Siła uderzenia była tak duża, że obydwaj stracili oddech. Latarka potoczyła się do lasu, a tak niebezpieczne dla uciekających światło skryło się w gmatwaninie liści i gałęzi. Tommy nie zwracał na to uwagi. Rzucił się na Niemca i chwycił go za gardło.

Zwarli się ze sobą, upadli na ziemię. Impet, z jakim Tommy uderzył Vissera, rzucił walczących pomiędzy drzewa na skraju lasu, gdzie stali się niewidoczni dla wartowników na wieżach i dla żołnierzy patrolujących obwód obozu.

Początkowo Tommy nie orientował się, z kim walczy. Wiedział tylko, że ten mężczyzna jest wrogiem, wyposażonym w latarkę, pistolet i jeszcze jedną broń, być może najniebezpieczniejszą ze wszystkich – głos. Każda z tych rzeczy mogła bez trudu przynieść mu śmierć – Hart postanowił stawić czoło wszystkim tym zagrożeniom. Starał się znaleźć ukrytą w zaroślach latarkę, ale ta gdzieś się zapodziała, więc zacisnął pięści i zaczął zadawać ciosy, chcąc zneutralizować dwa pozostałe niebezpieczeństwa.

Visser przetoczył się na bok, unikając uderzeń Tommy’ego i zaczął stawiać opór. Był opanowanym, doskonale wyszkolonym i doświadczonym żołnierzem; natychmiast zdał sobie sprawę, jak wysoka jest stawka w tej grze. Bez sprzeciwu przyjął grad ciosów Tommy’ego i skoncentrował się na poszukiwaniu pistoletu. Wierzgał nogami – jednym kopnięciem boleśnie trafił Harta na wysokości pasa.

Mimo że w naturze Vissera nie leżało wzywanie pomocy, tym razem zamierzał to zrobić. Zawołał „Ratunku!” słabym głosem, bo nie odzyskał jeszcze tchu po nagłym, zaskakującym ataku Tommy’ego na początku walki. To słowo zawisło na chwilę nad zmagającymi się mężczyznami, po czym rozplynęło się w otaczającej ich ciemności. Visser wciągnął potężny haust nocnego powietrza i już, już miał zacząć głośno wzywać ratunku, kiedy dłoń Tommy’ego odnalazła jego usta.

Hart leżał tuż obok Vissera. Zdołał owinać go w pasie jedną nogą i wciągnąć głębiej w las. Jednocześnie zatykał mu lewą ręką usta, zaciskał palcami gardło i starał się go udusić. Przypomniawszy sobie o tej przeklętej broni i dopiero wtedy zrozumiał, że jego przeciwnik ma tylko jedną rękę.

– Visser! – wyszeptał ochryple.

Niemiec nie odpowiedział, chociaż Tommy był pewien, że rozpoznał jego głos. Bez słowa kopał, walczył i starał się dosięgnąć pistoletu. Zacisnął zęby, wbił je w miękką tkanę lewej dłoni Harta i przegryzł skórę.

Tommy poczuł dojmujący ból, gdy zęby przeciwnika rozrywały mu mięśnie i ścięgna, przebijając się do kości. Jęknął. Przed oczami miał oślepiającą, czerwoną płachtę. Mimo to nie zrezygnował – coraz głębiej wpychał poharataną rękę w gardło Vissera. Jednocześnie prawą dłonią starał się uchwycić go za nadgarstek. Wyczuł, że

Niemiec zdołał już prawie wyciągnąć broń z kabury i mobilizuje całą siłę do podniesienia jej i wystrzelenia.

Mimo podniecenia, potwornego bólu i krwi płynącej strumieniem z pogryzionej ręki, Tommy wiedział, że jeden strzał oddany w powietrze zabije go skuteczniej niż kula wystrzelona z lufy przystawionej do serca. Przestał zwracać uwagę na przeraźliwy ból w uszkodzonej dłoni i skoncentrował się na jedynej ręce Niemca, usiłującego odbezpieczyć pistolet i nacisnąć spust. Wówczas stało się coś dziwnego; dla Tommy'ego ta wojna – całe lata bitew, miliony zabitych, zmagania narodów i kultur – nagle sprowadziła się do tej walki jeden na jednego o to, kto chwyci pistolet. Nie zwracał uwagi na zęby Vissera, wgryzające mu się w rękę; chciał tylko wyrwać mu broń. Czuł, jak palce Niemca usiłują dosięgnąć spustu i z całej siły szarpnął go za rękę. Mauzer częściowo wysunął się już z czarnej skórzanej kabury. Jego znaczny ciężar i toporny kształt wydawały się przeważać szalę na korzyść Tommy'ego, ale potężnie zbudowany Niemiec skoncentrował całą siłę w jedynej ręce, jaka mu pozostała. Hart odniósł wrażenie, że przeciwnik stopniowo zaczyna brać górę.

Postanowił zaryzykować. Zamiast ciągnąć Vissera za rękę, niespodziewanie szarpnął w drugą stronę, wykręcając mu dłoń. Palce Niemca wciąż pozostawały na języku spustowym, ale jeden złamał się pod wpływem nagłego nacisku. Hitlerowiec jęknął z bólu, chociaż poraniona ręka Tommy'ego dławiła mu gardło.

Kilka sekund później mauzer wypadł na porośniętą mchem ziemię i momentalnie zniknął w ciemnościach.

Visser zorientował się, że stracił pistolet i ze zdwojoną siłą zaciskał zęby na lewej ręce Harta, starając się równocześnie unieruchomić jego prawe ramię. Tommy opasał Niemca nogami i wyglądali jak para kochanków, a różnica polegała na tym, że każdy chciał zamordować, a nie całować drugiego.

Tommy ignorował ciosy, nie zwracał uwagi na ból promieniujący z pogryzionej dłoni. Starał się wciągnąć hitlerowca głębiej w las. Nigdy go nie uczono, jak zabijać wrogów gołymi rękami, nigdy też o tym nie myślał. Jako dorastający chłopak bił się z rówieśnikami, ale to były zapasy albo zwykłe przepychanki ograniczające się do wymiany przekleństw i obelg. Takie starcia zazwyczaj kończyły się płaczem jednego

albo obu chłopców. Nigdy nie doświadczył natomiast tak pełnej napięcia walki – nawet w tunelu, kiedy walczył o ujawnienie prawdy. Nigdy nie miał do czynienia z walką tak zażartą jak Lincoln Scott na ringu, pod kontrolą sędziego.

Hart zdawał sobie sprawę, że tym razem sytuacja jest zupełnie inna. Ta walka musi skończyć się jednoznacznie. Niemiec zadawał ciosy, kopał, gryzł Tommy'ego w rękę, ale ten przestał już odczuwać ból. Nagle owładnął nim instynkt i jedno, jedyne pragnienie; zacisnął mocno zęby i zaczął odginać do tyłu głowę Niemca, używając jako dźwigni prawego kolana wbitego w krzyż przeciwnika.

Visser od razu zorientował się, czym mu to grozi i starał się wyrwać z uścisku. Zapiekleła nienawiść dodawała mu siły. Gdyby miał dwie ręce, walka szybko zakończyłaby się jego zwycięstwem. Przez chwilę szanse wygranej przechylały się to na jedną, to na drugą stronę. Żaden z przeciwników nie miał zamiaru dać za wygraną.

Visser jeszcze raz poderwał się do walki, gryzł, wierzgał i zadawał ciosy. Spadały one na Tommy'ego niczym grad. Hart zamknął oczy i mocniej pociągnął głowę Niemca. Wiedział, że gdyby teraz choć trochę popuścił, straciłby wszystko, razem z życiem.

Usłyszał okropny, przyprawiający o mdłości trzask.

Odgłos pękającego kręgosłupa Vissera był najbardziej paskudnym i irytującym dźwiękiem, jaki Tommy słyszał w życiu. Niemiec sapnął krótko, jak gdyby zaskoczony nadchodzącą śmiercią, i znieruchomiał w uścisku Harta. Dopiero po kilku sekundach Tommy pozwolił mu się osunąć na ziemię.

Wyciągnął dłoń z ust zabitego. Ból uderzył go ze zdwojoną siłą, był niemal nie do zniesienia. Tommy'emu zakręciło się w głowie; miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Odchylił się do tyłu, przyciskając do piersi poranioną, zakrwawioną rękę. Otaczająca go noc wydawała się cicha, niczym niezakłócona. Podniósł głowę i głęboko odetchnął, usiłując odzyskać panowanie nad zmysłami, doprowadzić się do porządku i przemyśleć zaistniałą sytuację.

Powoli zaczęły docierać do niego inne odgłosy. Przede wszystkim Visser wciąż jeszcze oddychał. Hart musiał dokończyć dzieła. Pierwszy raz prosił Boga, aby

Niemiec umarł, zanim on będzie musiał pozbawić ostatniego tchu człowieka nieprzytomnego, leżącego w agonii.

– Umrzyj, proszę – wyszeptał.

Hitlerowiec zadrżał i spełnił jego prośbę.

Tommy odczuł wielką ulgę, prawie roześmiał się na głos. Popatrzył na niebo upstrzone gwiazdami. Na wschodzie pojawiły się pierwsze przebłyski światła zwiastującego nowy dzień. Zaskakujące było dla niego stwierdzenie, że człowiek żyje, chociaż nie powinien żyć.

W uszkodzonej ręce wciąż pulsował okropny ból. Visser prawie odgryzł mu jeden, a może więcej palców. Mięśnie dłoni poszarpał zębami. Krew lała się na bluzę Tommy'ego, fale bólu paraliżowały całe ramię, nie mógł jasno myśleć.

Musiał zabandażować poranioną rękę; pochylił się nad zwłokami niemieckiego oficera, szybko znalazł jedwabną chusteczkę w kieszeni jego bluzy i owinał niesprawną dłoń, starając się powstrzymać krwawienie.

Spróbował ocenić sytuację. Ryzyko w dalszym ciągu było bardzo duże. Wyczerpanie i ból odbierały mu zdolność logicznego rozumowania. Przypomniawsobie o ludziach czekających w tunelu i opóźnieniu powstałym do założonego planu. Zdecydował więc wrócić do przerwanej zajęcia i dalej wypuszczać ludzi z tunelu. Uznał, że tak właśnie musi postąpić.

Początkowo nie potrafił zmusić obolałych mięśni do zareagowania. Kilka razy odetchnął głęboko, starał się stanąć na nogach, ale nie wystarczyło mu sił i opierając się o pień drzewa znowu osunął się na ziemię. Powiedział sobie w duchu, że nic złego się nie stanie, jeśli odpocznie jeszcze przez sekundę, ale gdy chciał zamknąć powieki, poczuł nagły przypływ strachu. Światło ukrytej w leśnej ściółce latarki nagle pojawiło się jak duch o kilka kroków od niego, zatoczyło krąg, jakby znowu zaczęło czegoś szukać i zanim Tommy zdążył rozejrzeć się za jakimś schronieniem, oświetliło mu twarz.

Śmierć jest bardzo sprytna i podstępna – pomyślał Hart. Kiedy człowiekowi wydaje się, że już ją oszukał, ona znowu rusza do ataku. Odchylił się do tyłu i

zdrową ręką zasłonił oczy przed światłem i strzałem, którego spodziewał się w każdej sekundzie.

Zaskoczony, usłyszał znajomy głos.

– Pan Hart! Mój Boże! Co pan tutaj robi?

Tommy uśmiechnął się i pokiwał głową – nie był w stanie udzielić odpowiedzi na rozsądne pytanie zadane przez Fritza Numer Jeden. Wykonał nieokreślony gest sprawną ręką. W tym samym momencie latarka strażnika oświetliła leżące na ziemi, nienaturalnie poskręcane zwłoki niemieckiego oficera, oddalonego o metr od Amerykanina.

– Mój Boże! – powtórzył Fritz.

Nie otwierając oczu, Tommy odrzucił głowę do tyłu. Nie miał dość sił, by stoczyć drugą walkę. Usłyszał jęk Fritza i powtórzone po niemiecku: „Mein Gott! Mein Gott!”, a później: „Ucieczka!” Wartownik szybko zorientował się, o co tu chodzi. Tommy jak przez mgłę zauważył, że Fritz Numer Jeden odpina kaburę i wyciąga pistolet, jednocześnie sięgając do kieszeni bluzy po gwizdek. Tommy miał ochotę krzykiem ostrzec jeńca numer dziewiętnaście, czekającego na szczycie drabiny w tunelu, ale nawet na to zabrakło mu siły.

Hart czekał na ogłoszenie alarmu, lecz nie dotarł do niego żaden dźwięk.

Powoli otworzył oczy i zobaczył Fritza stojącego nad zwłokami Vissera. W ustach trzymał gwizdek, a w ręce pistolet. Powoli odwrócił się i spojrzał na Tommy’ego.

– Oni pana rozstrzelają, Hart – powiedział szeptem. – Zabicie niemieckiego oficera podczas usiłowania ucieczki...

– Wiem o tym – przyznał Tommy. – Nie miałem wyboru.

Fritz znowu podniósł gwizdek, lecz po chwili namysłu odsunął go od ust. Promieniem latarki oświetlił dziurę w ziemi, którą Tommy starał się osłaniać, zauważył też przywiązaną do drzewa linę.

– Mój Boże! – powtórzył kolejny raz.

Tommy w dalszym ciągu milczał. Nie rozumiał, dlaczego wartownik nie woła o pomoc i nie wszczyna alarmu.

Fritz Numer Jeden robił wrażenie, jakby rozważał coś głęboko, oceniał szczegóły

i zastanawiał się nad ewentualnymi konsekwencjami. Potem pochylił się nad Tommym i powiedział z naciskiem:

– Niech pan powie ludziom w tunelu, że ucieczka jest zakończona! Kaput! Koniec! Niech natychmiast wracają do swoich baraków! Zaraz rozlegnie się alarm. Niech pan im to powie natychmiast, panie Hart. To pańska jedyna szansa!

Tommy wstrzymał oddech. Nie wiedział, do czego zmierza niemiecki podoficer, ale zorientował się, że jest to jakaś szansa. Postanowił z niej skorzystać. Podniósł się, nie mając pojęcia, skąd czerpie na to siłę, i poczołgał się po mchu do wylotu tunelu. Zauważył w nim patrzącego do góry uciekiniera numer dziewiętnaście.

– Szwaby! – szepnął dramatycznie Tommy. – Są wszędzie! Wszyscy muszą się wycofać! Koniec na dzisiaj!

– Cholera jasna! – sapnął numer dziewiętnasty. – Niech to szlag trafi!

Nie wahał się jednak i błyskawicznie zniknął w głębi wykopu, wpełzł do tunelu i zaczął się czołgać z powrotem. Tommy słyszał odgłosy rozmowy ludzi numer dziewiętnaście i dwadzieścia, choć nie rozróżniał słów. I tak domyślał się, o czym mówią.

Odwrócił się. Tuż obok niego stał Fritz Numer Jeden. Zgasił latarkę, ale wstający dzień rzucał dosyć światła przez korony drzew, aby zarys sylwetki wartownika stał się zauważalny. Fritz niecierpliwie ponaglał Tommy'ego, który szedł w jego kierunku.

– Ma pan jedną, jedyną szansę, panie Hart – powiedział kapral. – Niech pan podniesie zwłoki i idzie za mną. Niech pan o nic nie pyta, tylko się pospieszy!

Tommy pokręcił głową.

– Moja ręka – powiedział. – Nie sądzę, żebym miał dość siły...

– Wobec tego zginie pan tutaj – odrzekł beznamiętnie Fritz Numer Jeden. – Wybór należy do pana, panie Hart. Musi pan zdecydować się natychmiast. Ja nie mogę dotknąć ciała Hauptmanna. Albo pan je zabierze, albo umrze obok niego. Wydaje mi się jednak, że byłoby niewłaściwe, żeby taki człowiek jak on zabił pana, Hart.

Tommy odetchnął głęboko. W wyobraźni majaczyły mu obrazy rodzinnego domu,

szkoły, postać Lydii. Przypomniawszy sobie kapitana z zachodniego Teksasu, który mówił ze śmiechem: „Znajdź nam drogę do domu, Tommy, zgoda?” Widział również Phillipa Pryce’a, umiającego czerpać zadowolenie nawet z drobnych spraw. Przyszło mu do głowy, że tylko skończony tchórz odwraca się plecami do szansy uratowania życia, nawet jeśli jest to możliwość wyjątkowo znikoma. Rozumiał, że wyczerpał wszystkie rezerwy, a siły może mu dodać wyłącznie pragnienie zachowania życia. Pochylił się i z głośnym stęknieniem zarzucił na plecy zwłoki niemieckiego oficera. Ciało zabitego wydało obrzydliwy odgłos, przypominający chrzęst. Tommy przez moment miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Opanował się jednak i wstał, chwiejąc się pod ciężarem. Starał się utrzymać równowagę.

– A teraz szybko! – pogańiał Fritz Numer Jeden. – Musi pan zdążyć przed świtem, bo inaczej wszystko będzie stracone!

Tommy uśmiechnął się, słysząc archaiczną angielszczyznę Niemca. Musiał się pospieszyć, bo szare smugi na wschodniej części nieba stawały się coraz jaśniejsze. Zrobił krok do przodu, zatoczył się, odzyskał równowagę i powiedział słabym głosem:

– Ruszaj. Jestem gotowy.

Fritz Numer Jeden skinął głową i wszedł głębiej w las. Tommy człapał za nim. Ciężar martwego Vissera przytłaczał go do ziemi, jakby faszysta nawet po śmierci chciał zabić Tommy’ego Harta.

Gałęzie raniły mu twarz, wystające korzenie utrudniały marsz. Las wydawał się stawiać opór przy każdym kroku, opóźniał tempo, usiłował rzucić go na ziemię. Tommy parł do przodu, słaniając się pod ciężkim brzemieniem. Z trudem utrzymywał równowagę, stawiał kolejne kroki z nadzieją, że znajdzie w sobie dość siły do zrobienia jeszcze jednego ruchu.

Oddychał ciężko, spazmatycznie, chrapliwie. Pot zalewał mu oczy, lewa ręka dokuczała nieznośnie. Ból pulsował, przyplątywał gwałtownymi falami, promieniował na całe ciało. Tommy odnosił wrażenie, że nie ma już siły kiwnąć palcem, potrafił się jednak zmobilizować, żeby zrobić jeszcze jeden krok, pokonać następny metr czy dwa.

Nie miał pojęcia, jak długą drogę mają już za sobą. Fritz Numer Jeden odwrócił się do niego i ponaglił:

– Panie Hart, szybko! Już niedaleko!

Słyszając to, Tommy na nowo podjął walkę. Zwłoki Vissera, które taszczył na plecach nagle stały się jakimś nierzeczywistym ciężarem. Zupełnie jak gdyby dźwigał na barkach czarne, niszczące brzemie, uosobienie zła, które usiłowało pozbawić go życia.

Kiedy doszedł do wniosku, że nie będzie już w stanie posunąć się choćby o krok, Fritz Numer Jeden zatrzymał się nagle i klęknął, dając znać ręką, by Tommy zrobił to samo. Hart zachwiał się i także przyklęknął.

– Gdzie... – chciał zapytać, lecz strażnik nakazał mu milczenie.

– Cicho. Dookoła są wartownicy. Czy nie poznaje pan po zapachu, gdzie się znajdujemy? – szepnął.

Tommy zdrową ręką otarł spoconą twarz i wciągnął powietrze. Poczul woń ludzkich odchodów i śmierci. Popatrzył pytająco na Fritza.

– To rosyjski obóz pracy! – szepnął Niemiec i wyciągnął przed siebie rękę. – Niech pan zanieś zwłoki jak najdalej w tamtą stronę. Ale musi się pan zachowywać cicho, panie Hart. Wartownicy bez wahania otworzą ogień, jeśli usłyszą jakiś hałas. I niech pan wciśnie to w dłoń Hauptmanna.

Fritz Numer Jeden wyciągnął z kieszeni metalową klamrę rosyjskiego pasa wojskowego, którą wcześniej usiłował sprzedać Tommy'emu. Hart wziął ją od niego, odwrócił się i zarzucił na ramię ciało Vissera. Kiedy ruszył przed siebie, Fritz popatrzył w szkliste oczy zabitego Niemca.

– Gestapo! – mruknął pod nosem i splunął w twarz trupa. – Niech pan idzie, szybko!

Tommy na nowo podjął walkę z zagrządzającymi mu drogę drzewami. Smród stawał się coraz bardziej przenikliwy. Zauważył przed sobą małą przecinkę czy może niewielką polankę, położoną nie więcej niż dziesięć czy jedenaście metrów od kolczastego drutu i zaostzonych pali ogrodzenia rosyjskiego obozu pracy. To miejsce robiło wrażenie prowizorki; w końcu wszyscy ludzie, dla których obóz był

budowany, mieli nie dotrzeć do końca wojny. Nie było tu przedstawicieli Czerwonego Krzyża z Genewy, kontrolujących warunki, w jakich przetrzymywano rosyjskich jeńców.

Z prawej strony usłyszał szczekanie psa i ludzkie głosy. Dalej nie ośmielił się iść, pomyślał Tommy.

Zrzucił zwłoki Vissera na ziemię. Pochylił się nad zabitym, wcisnął mu między sztywniejące palce klamrę od rosyjskiego pasa i zrobił krok do tyłu. Zastanawiał się, czy istotnie nienawidził Hauptmanna tak bardzo, by go zamordować, ale natychmiast stwierdził, że to nie ma już najmniejszego znaczenia. Liczyło się wyłącznie to, że Visser był martwy, a on, Tommy Hart, nadal czepiał się życia ze wszystkich sił. Odwrócił oczy od twarzy zabitego i wrócił do Fritza Numer Jeden, starając się poruszać jak najciszej i jak najszybciej.

Niemiec skinął głową.

– Może ma pan jeszcze szansę, panie Hart – powiedział. – Ale wciąż trzeba się spieszyć.

Powrotna droga zajęła mniej czasu, chociaż Tommy miał wrażenie, że wpada w stan delirium, a lekki, świszczący w koronach drzew wiatr wykpiwa jego słabość. Otaczające cienie wydłużały się, przypominały mu dziesiątki świateł ze wszędobylskich reflektorów, które usiłowały wydobyć z mroku jego twarz, wykryć i w końcu zabić. Poraniona ręka dokuczała coraz bardziej, a promieniujący na całe ciało ból niemal oślepił Harta.

Nadeszła ta szczególna pora dnia, kiedy brzask zamienia się w kolejny dzień. Czarne cienie zaczęły szarzeć, pierwsze pasma błękitu przecinały nieboskłon, przeganiając gwiazdy, które Tommy tak bardzo lubił obserwować i czerpać z nich pocieszenie. W odległości kilku metrów od Harta pojawiło się wejście do tunelu.

Fritz Numer Jeden zatrzymał się za pniem drzewa. Chwycił Tommy'ego za ramię i wskazał na wylot tunelu.

– Panie Hart – powiedział z naciskiem – Hauptmann Visser zastrzeliłby mnie, gdyby się dowiedział, że to ja sprzedałem sztylet, którym zadźgano Tradera Vica. Ten sztylet, który pan mi oddał. Byłem pańskim dłużnikiem i dzisiejszej nocy

spłaciłem ten dług. Zgadza się?

Tommy przytaknął.

– A zatem, jak to wy mówicie, wyrównaliśmy rachunki? – nalegał strażnik.

– Wszystko gra – odparł Tommy.

Niemiec wyglądał na zaskoczonego.

– Co gra? – zapytał.

– To tylko takie powiedzenie, Fritz. Kiedy coś jest w porządku, mówimy „wszystko gra”... – Hart pomyślał, że chyba zwariował ze zmęczenia, skoro w takich warunkach daje się namówić na wykłady lingwistyczne.

Strażnik uśmiechnął się.

– „Wszystko gra”. To również sobie zapamiętam. Tej nocy wydarzyło się wiele rzeczy godnych zapamiętania.

Ponownie wyciągnął rękę w stronę dziury w ziemi.

– Panie Hart, policzę do sześćdziesięciu, a następnie zagwizdę na alarm – powiedział.

Tommy przytaknął. Rzucił się przed siebie, przecisnął przez dziurę i zniknął pod powierzchnią ziemi. Nie odwracał się, tylko skoczył w ciemną otchłań. Stopami odnalazł szczeble prowizorycznej drabiny i zszedł na dno szybu. Pod nogami miał znowu piasek, zraniona ręka bolała potwornie. Zapomniał o koszmarach z czasów dzieciństwa i nocnych strachach. Ruszył w głąb tunelu. Nie paliły się tam żadne światła, nie pozostawiono choćby jednej świecy, która oświetliłaby mu drogę. Harta otoczyła nieprzenikniona ciemność bez końca, kpiąca ze świtu, który rozjaśniał świat na powierzchni.

Czołgał się ranny, samotny, wyczerpany i niemal ślepy. Za sobą, w oddali usłyszał głos gwizdka Fritza Numer Jeden, wdzierający się do otaczającego Harta świata.

20. Opatrunek polowy

W baraku sto siedem panował chaos. Niedoszli ucieczkowicze zgromadzili się na korytarzu i w pośpiechu zdejmowali z siebie „wyjściowe” ubrania, zamieniając je na podniszczone mundury. Wielu przygotowało sobie na drogę dodatkowe racje żywnościowe. Teraz wypychali usta czekoladą i mięsem z konserw, obawiając się, że lada moment wpadną Niemcy i skonfiskują wszystko, co tak troskliwie gromadzili w ciągu minionych tygodni. Ludzie z personelu pomocniczego odbierali od nich ubrania, podrobione dokumenty, bilety, paszporty i książeczki pracy. Papiery te ukrywano w wydrążonych książkach lub skrytkach w ścianach. Członkowie brygady transportującej wiadra z ziemią zeszli ze stryszku przez dziurę w suficie i szybko ocierali brudne, spocone twarze. Ktoś pieczołowicie zatkał otwór deskami, aby Niemcy nie zdołali go wykryć. Przy drzwiach prowadzących z baraku na podwórze stał na czatach oficer; obserwował okolicę przez szparę w ścianie i jeżeli nie zauważył nic podejrzanego, wypuszczał jeńców pojedynczo lub parami.

Kiedy Tommy przekazał ostrzeżenie, w tunelu czekało dwudziestu dziewięciu jeńców. Sygnał alarmu przemieszczał się szybciej niż ludzie – wystarczyło przekazać wiadomość następnemu w szeregu, tak jak poprzednio przekazywano wiadomość o niewinności Scotta. W ślad za informacją o zakończeniu ucieczki zaczęli się wycofywać przyczajeni w tunelu ludzie. Poruszali się z desperacką, niemal szaleńczą energią. Jedni czołgali się tyłem, inni postanowili zawrócić w wąskim przejściu. Nawet kiedy opanowali pierwsze podniecenie, upłynął jakiś czas, zanim ruszyli z powrotem, pełni rozczarowania, niepokoju, obaw czy nawet wściekłości z powodu pecha, który pozbawił ich takiej szansy. W mrocznym korytarzu rozlegały się przekleństwa, odbijające się echem od ścian tunelu.

Lincoln Scott stał nad wylotem szybu w toalecie baraku sto siedem. Major Clark odsunął się o kilka kroków. Wydawał ostrym tonem rozkazy i starał się utrzymać dyscyplinę wśród ogromnie podnieconych oficerów. Scott odwrócił się, obserwując to zamieszanie. Potem pochylił się i pomógł wyjść na górę jeńcowi oznaczonemu

numerem czterdzieści siedem.

– Gdzie jest Hart? – zapytał. – Widziałeś Tommy’ego Harta?

Lotnik pokręcił przecząco głową.

– Musi być jeszcze tam, na przodku – odpowiedział.

Scott pomógł mu precyzyjnie się przez wąskie przejście i wydostać na korytarz. Tam jeniec natychmiast zaczął się rozbierać z odzieży przygotowanej do wyjścia poza obóz. Lincoln ciągle wpatrywał się w głąb tunelu. Chwycił za rękę człowieka numer czterdzieści sześć i z wielką siłą wyciągnął go na powierzchnię, zadając to samo pytanie:

– Widziałeś Harta? Słyszałeś go? Nic mu się nie stało?

Zapytany zaprzeczył.

– Scott, tam jest straszny burdel. Nic nie widać. Nie mam pojęcia, gdzie jest Hart.

Lincoln wyprowadził jeńca na korytarz, wrócił i chwycił linę zwieszającą się w głąb szybu.

– Co wy robicie, Scott? – zapytał major Clark.

– Pomagam – odparł Lincoln. Odepchnął się jak alpinista zamierzający pokonać strome zbocze i zanurzył się w wykopie. Natychmiast owiało go stęchłe powietrze z tunelu. Poczul się jak człowiek wkraczający do szpitalnego oddziału, gdzie w każdym rogu czai się groźna choroba, a nikt nie otworzył okien, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Pod ścianą leżały porzucone miechy potrącone przez któregoś z powracających. Numer czterdziesty piąty nie mógł poradzić sobie z walizką. Scott wziął ją od niego.

– Jezus Maria – wyszeptał jeniec, opierając się o ścianę. – Przez to cholerstwo o mało nie zawałem sobie pułapu na łeb. Dzięki. Tam w ogóle nie ma powietrza. Mam nadzieję, że nikt od tego nie umrze.

Scott podtrzymał osłabionego oficera i włożył w ręce linę pomagającą wydobyć się na powierzchnię. Numer czterdziesty piąty podziękował mu i zaczął się podciągać do góry. Gdy znalazł się ponad głową Lincolna, ten chwycił miech.

Usiadł na ziemi i pochylił się, tak jak wcześniej robił to kapitan z Nowego Jorku. Ze zwielokrotnioną przez podniecenie siłą zaczął wściekle pompować powietrze w

głęboko tunelu.

Upłynęło sporo czasu, zanim pojawił się następny jeńiec. Zakasłał i rozdziawił usta, chwytając łapczywie powietrze. Ręką wskazał na miech.

– Znakomicie – wyszeptał ochryple. – Tam w ogóle nie ma czym oddychać.

– Gdzie jest Hart? – zapytał Scott. Twarz błyszczała mu od potu, dając świadectwo wysiłku, jakiego wymagała jego praca.

– Nie wiem. Może idzie za mną? – odpowiedział jeńiec, kręcąc głową. – Nie mam pojęcia. Tam w środku nic nie widać, nie ma czym oddychać. Wszędzie pełno piachu i pyłu. Słyszysz tylko jak inni faceci bez przerwy cię poganiają: wyłaź, wyłaź, wyłaź. Słychać trzeszczące i pękające deski oszalowania pułapu. Mam nadzieję, że to wszystko się nie zawali. Czy szwabcy już tu są?

Scott zaprzeczył, zaciskając zęby.

– Jeszcze nie. Masz szansę wyjść, jeśli się pospieszysz.

Numer czterdziesty piąty westchnął, zbierając siły. Chwycił linę i podciągnął się do góry. U wylotu czekali na niego inni jeńcy. Wyciągali ręce, żeby mu pomóc.

Na dole Scott nadal pompował powietrze. Starał się pracować jak najszybciej. Miech trzeszczał i huczał, Lincoln stękał z wysiłku.

Ludzie wydostawali się z tunelu powoli, jeden po drugim. Byli brudni i przerażeni, z ulgą witali wyjście na powierzchnię.

– Tak musi wyglądać, kiedy człowiek umiera – powiedział jeden.

– Tam jest jak w jakimś przeklętym grobie – skomentował drugi.

Oddychali głęboko świeżym powietrzem, patrzyli na Scotta obsługującego miech i dziękowali mu.

Czas upływał niebezpiecznie szybko. Wciągał niedoszłych uczestników ucieczki jak powracająca fala, grożąca rzuceniem pływaka na głęboką wodę. Scott pomyślał, że pobyt w takim tunelu musi kojarzyć się tym ludziom z tonięciem. Każdego kolejnego jeńca pytał o to samo:

– Widziałeś Harta? Gdzie jest Hart?

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

Medyk Fenelli, numer dwudziesty ósmy, wyczołgał się z tunelu i położył się u

stóp Lincolna. Ręką wskazał na miech.

– Wspaniale, że zacząłeś znowu to robić – sapnął. – Gdyby nie to, w całym tunelu byłoby pełno nieprzytomnych ludzi.

– Gdzie jest Hart? – zapytał Scott.

Fenelli pokręcił głową.

– On był na samym końcu. Wyszedł poza druty i kierował ruchem. Nie wiem, gdzie jest teraz – odparł.

Scotta rozwścieczała myśl, że nie może nic zrobić. Jedyne, na co mógł się teraz zdobyć, to pompowanie powietrza w głąb tunelu, żeby ratować życie pozostałym lotnikom.

– Lepiej zabieraj się stąd – mruknął. – Tam na górze ci pomogą.

Fenelli chciał się podnieść, ale znowu upadł na ziemię. Uśmiechał się.

– Wiesz, mam kuzyna w marynarce – powiedział. – Na tych cholernych łodziach podwodnych. Namawiał mnie, żebym poszedł razem z nim, ale powiedziałem, że tylko głupol godzi się pływać pod powierzchnią oceanu, wstrzymując oddech i rozglądając się za Japońcami. Nigdy nie dałbym się namówić na coś takiego. No i popatrz teraz na mnie. Siedzę sześć metrów pod ziemią, udupiony w tym pudle. To w niczym nie przypomina latania.

Scott skinął głową, nie przerywając pracy. Uśmiechnął się.

– Chyba zostanę tu z tobą parę minut – oświadczył Fenelli i pochylił się, zaglądając w głąb ciemnego tunelu. Mniej więcej po minucie wyciągnął rękę i pomógł wydostać się jeńcowi numer dwadzieścia siedem. Był to kapitan z Nowego Jorku. On także upadł na ziemię, łapiąc powietrze otwartymi ustami, jak ryba wyciągnięta z wody.

– Chryste – powiedział. – Jezusie, Mario, Józefie. Co za pieprzone bagno. Kilka razy musiałem się przekopywać przez kupę piachu. Tam wszystko coraz bardziej się trzęsie.

– Gdzie Tommy?

Oficer pokręcił głową.

– Za mną w tunelu są jeszcze ludzie – powiedział, odzyskując oddech i podnosząc

się. – Jezu! Jak dobrze znowu stanąć na nogach. A teraz wynoszę się stąd. Chryste Panie!

Chwycił linę i zawisł na niej. Fenelli przytrzymał huśtające się ciało nowojorczyka, który zaczął się wspinać do bezpiecznego wyjścia na powierzchnię.

Kiedy tylko z tunelu wygramolił się uciekinier numer dziewiętnaście, major Clark pochylił się nad szybem i zawołał:

– Stało się! Właśnie ogłosili ten cholerny alarm!

Daleki dźwięk syreny lotniczej docierał nawet do Scotta i Fenellego.

– Gdzie jest Hart? – krzyknął Lincoln.

Numer dziewiętnasty pokręcił głową.

– Powinien iść zaraz za mną – powiedział. – Nie wiem, dokąd polazł.

– Co się stało? – pytał Fenelli, patrząc w głąb tunelu. Wsunął głowę do środka w nadziei, że usłyszy czołgającego się człowieka.

– Hej, wy tam, pospieszcie się! – krzyknął z góry major Clark. – Wynosimy się stąd!

Numer dziewiętnasty ciągle kręcił głową.

– Nie mam pojęcia – powiedział. – Stałem na szczycie drabiny, czekając na sygnał do ucieczki, rozumiecie, tak jak nas uczyli. Drugim końcem liny dawał sygnały Hart, a nie jak ustalono gość wyprzedzający cię w kolejce. No więc czekam i czekam, zastanawiam się, co się dzieje, bo upłynęło sporo czasu, a my mieliśmy wyłazić z tunelu co dwie–trzy minuty. I nagle słyszę dwóch walczących ze sobą facetów. To była ostra bójka. Z początku nie słyszałem żadnych głosów, tylko stękanie, ciężkie oddechy i zadawane ciosy. Potem zapadła cisza, a wreszcie usłyszałem jakieś nowe głosy. Nie wiem, skąd dochodziły. Nie zrozumiałem, co mówili, ale to bez znaczenia, ponieważ w dziurze pojawiła się twarz Harta. Powiedział, że wszędzie dookoła są szkopy i mam się zabierać z powrotem, bo lada chwila rozlegnie się alarm. Zeskoczyłem więc na dół i ruszyłem do tyłu, ale to ciągnęło się bez końca, bo chłopcy zaczęli panikować, mieli kłopoty z zawróceniem. Tam prawie nie ma czym oddychać, wszędzie pełno kurzu, nic nie widać, bo pogasły te cholerne świece. No, ale w końcu jestem tutaj.

– A gdzie jest Hart? – krzyknął Scott.

Numer dziewiętnasty wzruszył ramionami. Ciągle oddychał z trudem.

– Nie umiem ci powiedzieć. Myślałem, że tuż za mną. Ale nie.

Z góry doleciał tubalny głos majora Clarka:

– Pospieszcie się! Niemcy wpadną tu lada chwila! Musimy wszystko pozamykać!
Scott spojrział w jego kierunku.

– Hart nie wrócił! – odpowiedział ostrym tonem.

Clark chyba się zawahał.

– On powinien wyjść ostatni!

– Ale go nie ma!

– Musimy przywrócić porządek, zanim tu przyjdą!

– On nie wrócił! – ryknął Scott.

– Gdzie się podziewa, do cholery? – zapytał major.

Tommy nie umiał rozróżnić bólów, jakie przenikały jego ciało. Z powodu poranionej ręki czuł go w każdej części ciała. Po kolejnej udręce przychodziło wyczerpanie tak wielkie, że tracił nadzieję na pokonanie całego tunelu. Już dawno przekroczył granicę przerażenia – teraz myślał o śmierci. Dziwił się, że jeszcze pełźnie przed siebie. Nie miał pojęcia, skąd czerpie potrzebną do tego energię. Mięśnie osłabły ze zmęczenia. Mimo to parł do przodu.

Wnętrze tunelu było ciemniejsze od najczarniejszej nocy. Tommy czuł się bardzo samotny.

Strumyczki piasku spływały mu na głowę, kurz zatykał nozdrza. Wydawało się, że w zakamarkach ciasnego tunelu w ogóle nie ma powietrza. Słyszał tylko trzeszczenie desek podpierających pułap. Robiły wrażenie, jakby lada chwila miały runąć pod ciężarem ziemi. Tommy czołgał się naprzód ruchami pływaka. Odrzucał na bok piach zagradzający mu drogę. Walczył o każdy centymetr.

W głębi duszy nie miał nadziei na pokonanie całych siedemdziesięciu metrów, a już tym bardziej nie wierzył, że uda mu się to, zanim Niemcy wpadną do baraku sto siedem. Stało się jednak coś dziwnego – wyczerpanie, potworny ból i wysiłek, jaki

Tommy wkładał w poruszanie się w ciasnym wykopie spowodowały, że nie poddał się paraliżującemu uczuciu strachu. Te trzy elementy tak nim zawładnęły, że nie pozostało już miejsca dla tego najgroźniejszego przeciwnika. Nie dopuszczał do świadomości przegranej. Konsekwentnie parł przed siebie, pokonując centymetr po centymetrze.

Nie zatrzymywał się ani nie wahał mimo straszliwego wyczerpania. Nawet wówczas, gdy droga była częściowo zasypana, a wąski przelot robił się jeszcze ciaśniejszy, czołgał się przed siebie, przeciskając szczupłe ciało przez najmniejszą szparę. Czuł zawroty głowy. Z każdym kolejnym oddechem przekonywał się o coraz mniejszej ilości powietrza, które stawało się bardziej smrodliwe i niebezpieczne.

Nie miał pojęcia, jak długo pełźnie pod ziemią i jak daleko zaszedł. Zaczęło mu się wydawać, że w tym tunelu spędził całe życie. Jak gdyby nie istniało nic poza wykopem, nigdy nie było jasnego nieba, świeżego wiatru, gwiazd na nocnym firmamencie. W pewnej chwili omal się nie roześmiał. Przyszło mu do głowy, że inne rzeczy muszą być wyłącznie produktem wyobraźni: dom rodzinny, szkoła, ukochana dziewczyna, wojna, przyjaciele, obóz, druty. To nigdy nie istniało. Tommy po prostu zginął w Morzu Śródziemnym razem ze swoim kapitanem z Teksasu, a wszystko inne to tylko fantazja dotycząca przyszłości, którą zabrał ze sobą do grobu. Hart zacisnął zęby i pokonał kolejny metr. To wszystko nierealne. Tunel był piekłem, w którym siedział od niepamiętnych czasów i na zawsze w nim pozostanie. Stąd nie ma wyjścia. Nie ma powietrza ani światła. Tu skończył się czas.

Czuł ogarniające go delirium – i wtedy usłyszał jakiś głos. Skądś znał ten charakterystyczny dźwięk. Najpierw pomyślał, że to Phillip Pryce, a potem, że woła go stary kapitan z bombowca. Podczołgał się z szerokim, promiennym uśmiechem, bo to przecież głos Lydii, która woła go z podwórka. Był w domu w stanie Vermont, a ona chciała, aby wyszedł do niej o północy i pocałował na dobranoc. Odpowiedział jej cichym szeptem, jak to robi każdy zakochany chłopak.

– Jestem tutaj – powiedział.

Daleki głos rozległ się znowu; Tommy posunął się do przodu.

– Jestem tutaj – powtórzył głośniej. Nie miał siły krzyknąć, więc powiedział to

zwyczajnym tonem. Ruszył dalej. W podświadomości spodziewał się zobaczyć przed sobą pomocną rękę Lydii i usłyszeć jej przyzywający głos.

Rzeczywistość okazała się mniej przyjemna. Usłyszał tylko przerażający trzask.

Nawet nie miał czasu przestraszyć się, kiedy nagle załamał się nad nim pułap wykopu i przysypał go pryzmą piaszczystej ziemi.

– Usłyszałem go! – krzyknął Lincoln Scott. – On tam jest!

– Jezu! – zawołał Fenelli, odskakując od wylotu, gdy z tunelu wystrzeliła chmura pyłu. – Niech to szlag trafi!

– Co się dzieje? Gdzie Hart? – dopytywał z góry major Clark.

– Jest tam, w środku! – odrzekł Scott. – Słyszałem go!

– Tunel się zawalił! – wrzasnął Fenelli.

– Co z tym Hartem? – powtórzył major. – Musimy zamykać! Szwaby wypędzają wszystkich z baraków. Jeżeli nie zakamuflujemy tunelu, odnajdą go!

– Ja go usłyszałem! – wrzeszczał Scott. – Jest uwięziony!

Lincoln i Fenelli spojrzeli na Clarka. Głowa majora prawie puchła od intensywnego myślenia, w końcu jednak podjął decyzję.

– Dawać tu wiadro! – krzyknął do ludzi stojących w korytarzu. – Nikt nie wychodzi, dopóki nie wykopujemy Harta!

Pochylił się nad szybem.

– Uwaga, zrzućmy – ostrzegł i wrzucił do dziury kilof i łopatę, które z hukiem opadły na dno.

Scott zdążył się już wcisnąć do tunelu i czołgał się szybko przed siebie, przedzierając się przez osypiska ziemi. Kiedy dotarł do zawaliska, zaczął kopać jak oszalałe zwierzę, odrzucając piach za siebie. Fenelli wygarniał ziemię do przedsionka tunelu.

Scott nigdy się tak nie spieszył. Żadna konfrontacja czy atak wściekłości nie mogła się równać z pasją, z jaką atakował nieustępliwą, piaszczystą barykadę. Przypominało to walkę z duchem. Nie miał pojęcia, czy będzie musiał przekopać się przez metr czy trzydzieści metrów zawału, ale to nie sprawiało mu różnicy. Wyrывał

bryły ziemi, odrzucał je za siebie, szepcząc zaklęcie: „Nie umrzesz! Nie umrzesz...”. Zbliżał się do miejsca, z którego, jak mu się zdawało, usłyszał głos Tommy’ego.

Za jego plecami krzyczał Fenelli:

– Kop dalej, nie przerywaj! On się udusi za kilka minut! Kop, do ciężkiej cholery!

Kop!

Oficer stojący na warcie przy drzwiach korytarza baraku sto siedem poruszył się gwałtownie, wołając:

– Szkopy! Idą do nas!

Major Clark wyprostował się i odwrócił w kierunku czekającej na korytarzu brygady transportującej wiadra.

– Wszyscy na zewnątrz! – wydał komendę. – Na plac apelowy! Natychmiast!

– A co z tunelem? – zapytał ktoś.

– Pieprzyć go! – odparł Clark, ale w tej samej chwili powstrzymał ich, podnosząc rękę. Krzywy, pełen napięcia uśmiech przeleciał mu przez twarz. Spojrzał na otaczających go jeńców.

– Dobra! – powiedział zdecydowanym tonem. – Potrzeba nam kilku minut. Krótkiej zwłoki. Posłuchajcie: chcę, żebyście rozbili ten szwabski oddział, który idzie do nas. Tak jak na boisku baseballu! Walcie prosto w nich i zdrowo im przyłóżcie! Niech fruują w powietrzu! Tylko cały czas idźcie do przodu, nie zatrzymujcie się! Macie iść prosto na plac apelowy i ustawić się w przepisowym szyku. Rozumiecie, co mówię? Wyruszacie w starym, lotniczym szyku i przedzieracie się przez wroga! Tylko nie zatrzymujcie się! Nikt nie zostanie zastrzelony! Nikt nie trafi do aresztu! Macie opóźnić ich przyjdzie, jak długo się da. Kapujecie?

Jeńcy pokiwali głowami. Kilku uśmiechnęło się.

– No to jazda! Dajcie im do wiwatu! – zawołał Clark. – A kiedy dojdziecie do drzwi, chcę usłyszeć wasze głosy.

Oficerowie uśmiechali się, zaciskali pięści, napinali mięśnie. Człowiek pełniący wartę przy drzwiach zawołał:

– Przygotować się! – a po chwili dodał: – Naprzód!

– Jeńcy, naprzód! – krzyknął Clark.

Falanga amerykańskich lotników rzuciła się do przodu z dzikim wrzaskiem, wylewając się z korytarza baraku na podwórze.

– Dalej, naprzód! – zachęcał ich major.

Nie mógł osobiście obserwować starcia, ale usłyszał podniesione głosy, gdy jego ludzie zderzyli się z nadchodzącym oddziałem niemieckich żołnierzy, błyskawicznie wywołując zamieszanie na placu apelowym. Słyszał ostrzegawcze krzyki i odgłos uderzających o siebie z impetem ciał. Uznał to za bardzo satysfakcjonujący dźwięk.

Odwrócił się i zawołał do ludzi w tunelu:

– Niemcy będą tu lada chwila! Kopcie szybciej!

Lincoln usłyszał ostrzeżenie, lecz teraz nie miało ono dla niego żadnego znaczenia. Zagrożenie spowodowane przez zawał w wykopie było znacznie większe niż to, które nieśli ze sobą strażnicy zmierzający do baraku sto siedem. Scott walczył z piachem i ogarniającą go ciemnością. Rozbijał piaszczystą barykadę z furią zrodzoną z wściekłości kumulującej się przez długie lata.

Tommy Hart był zdziwiony. Powoli zbliżała się do niego śmierć.

Kiedy lawina ziemi spadła mu na głowę, skurczył ciało, dzięki czemu powstała maleńka nisza, zawierająca tylko tyle stęchłego powietrza, by wystarczyło na kilka drogocennych oddechów. Chociaż poprzednio uważał, że świata nie można widzieć w ciemniejszych barwach, teraz okazało się to możliwe.

Po raz pierwszy w ciągu tej nocy, a może nawet od wielu dni albo tygodni był spokojny, wyciszony, całkowicie rozluźniony. Ustąpiło ogromne napięcie, jakie przed chwilą odczuwał w każdym mięśniu i ścięgnie. Uśmiechnął się w duchu, ponieważ zmalął potworny ból w poharatanej ręce, jakby ktoś oblał rany wodą. Pomyślał, że to dziwny, choć sympatyczny prezent od śmierci w tych ostatnich chwilach życia.

Odetchnął głęboko; miał ochotę roześmiać się na cały głos. To doprawdy zaskakujące, że człowiek uważa oddychanie za coś oczywistego, naturalnego. Co chwilę wciąga powietrze do płuc, robi to może z dziesięć tysięcy razy na dzień. I

dopiero gdy pozostaje mu zaledwie kilka oddechów, zdaje sobie sprawę, jak ogromne znaczenie ma każdy z nich i jak cudownie, słodko smakuje.

Odetchnął jeszcze raz i zakasłał. Sterta piachu unieruchomiła mu głowę i ramiona, ale stopy miał wolne. Odepchnął się lekko, jakby wbrew sobie podejmował walkę w ostatnim przebłysku świadomości. Myślał o ludziach, którzy liczyli się w jego życiu. Widział ich przed sobą oczami wyobraźni. Pomyślał ze smutkiem, że za chwilę pozostaną już tylko w jego pamięci. Czy tak właśnie dzieje się podczas śmierci? Czy ona po prostu przechodzi z ciała do pamięci?

Znowu odczuł zaskoczenie – tym razem odgłosem przypominającym skrobanie. Nie mógł się mylić, choć dobrze wiedział, że jest zupełnie sam i nie mógł zrozumieć, dlaczego jakiś duch miałby wywoływać te ziemskie odgłosy. Ten szum był związany z życiem, a nie ze śmiercią. Tommy uznał to zjawisko za wyjątkowo dziwaczne.

Jednak to nie duch złapał go za poranioną rękę.

W nieprzeniknionych ciemnościach tunelu przed Hartem otwarła się szersza przestrzeń. Przez ten otwór słyszał jakieś słowa. Ktoś chrząknął i powiedział przez zaciśnięte zęby, najwyraźniej mobilizując wszystkie siły.

– Hart, do cholery, odezwij się! Mów do mnie! Nie umrzesz! Nie pozwolę ci umrzeć!

Jakaś potężna siła wyciągnęła go z przyzmy piasku, którą już uznał za swój grób.

Znów powrócił ból i wszystkie strachy. Uderzyły z taką siłą, że niemal oślepiły go do reszty. To dziwne, ale tym razem uznał to za korzystną odmianę. Widocznie śmierć postanowiła wypuścić go ze swego uścisku.

Ktoś powtarzał:

– Nie umrzesz, do jasnej cholery! Ja się na to nie godzę!

Tommy odpowiedział ochrypłym szeptem.

– Dziękuję.

Lincoln Scott chwycił go za ramiona, mocno wbijając palce w ciało i stękając głośno, wytaszczył ze sterty piachu, a później z ostatniego odcinka tunelu. Hart próbował mu pomóc, poczołgać się samemu, ale nie mógł nic zrobić. Nie miał ani odrobiny siły. Był słabszy niż małe dziecko. Pozwolił, by Scott holował go, szarpiąc

i okręcając, do wyjścia wykopu.

Z rękami złożonymi na piersiach major Clark stał przy wejściu do wygódki, nie wpuszczając niemieckiego porucznika ani towarzyszących mu uzbrojonych wartowników.

– Raus! – krzyknął niemiecki oficer, po czym powtórzył niezłą angielszczyzną z twardym akcentem: – Precz z drogi!

Mundur miał podarty, z kącika ust spływała strużka krwi. Żołnierze też zostali nieźle poturbowani, stali w pobrudzonych ziemią, zmiętych mundurach. Były to efekty ataku jeńców, którzy wypadli z baraku sto siedem.

– Nie ma mowy – odrzekł zdecydowanym tonem Clark. – Dopiero, jak wyjdą stamtąd moi ludzie.

Niemiec wybuchnął gniewnie:

– Wynosić się! Ucieczka jest verboten!

– Uciekać z obozów to nasz obowiązek! – parsknął Clark, dodając szyderczym tonem: – A poza tym nikt tu nie ucieka, ty parszywy kretynie. Oni akurat wracają. Kiedy stamtąd wyjdą, możesz sobie zająć ten cholerny tunel. I tak nic nie jest wart.

Oficer sięgnął do kabury i wyciągnął półautomatycznego lugera.

– Precz z drogi, majorze, bo zastrzelę pana na miejscu!

Zarepetował broń, aby pokazać, że nie ma ochoty na żarty.

Clark pokręcił głową.

– Nie ruszę się stąd. Jeśli mnie pan zastrzeli, poruczniku, to czeka pana szubienica. Ale to już pański wybór – powiedział.

Niemiec zawahał się, podniósł broń i przystawił ją do twarzy Amerykanina. Clark taksował go pełnym nienawiści wzrokiem.

– Halt!

Po usłyszeniu tego rozkazu, porucznik natychmiast się odwrócił. Widząc nadchodzącego komendanta von Reitera, żołnierze stanęli na baczność. Oberst miał zaczerwienioną z wściekłości twarz. Kolorem przypominała jedwabne lamówki jego munduru. Stąpał mocno po drewnianej, rezonującej podłodze.

– Majorze Clark – zaczął ostrym tonem – co to wszystko ma znaczyć? Ma pan niezwłocznie zająć miejsce w szyku!

Clark ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

– Tam, na dole, są ludzie. Kiedy wyjdą na powierzchnię, sam odprowadzę ich na plac apelowy.

Von Reiter zawahał się; nie zdążył nic odpowiedzieć, gdy spod ziemi rozległ się głos Fenellego:

– Udało mu się! Jasna cholera, majorze! Scott odkopał Harta! Wychodzą stamtąd!

– Czy z nim wszystko w porządku? – zapytał Clark medyka.

– Jeszcze żyje!

Fenelli nachylił się nad tunelem i pomógł Scottowi wytaszczyć Tommy'ego do przedsionka. Obaj mężczyźni zwalili się na ziemię wyczerpani. Fenelli klęknął obok Tommy'ego i położył jego głowę na swoich kolanach. Lincoln opierał się o ścianę wykopu, dyszał ciężko i łapczywie chwycił ustami powietrze. Medyk wyciągnął manierkę z wodą i spryskał twarz Harta.

– Jezus Maria – powiedział szeptem. – Tommy, jesteś największym farciarzem, jakiego znam.

Potem obejrzał poranioną rękę Harta i westchnął.

– A może największym pechowcem. Boże, co za rzeźnia. Jak to się stało, do cholery?

– Ugryzł mnie pies – odpowiedział słabym głosem Hart.

– To musiała być prawdziwa bestia – skomentował Fenelli i zapytał szeptem: – Co tam się działo, do diabła?

Tommy poruszył głową i odrzekł cicho:

– Wyszedłem na zewnątrz. Nie na długo, ale wyszedłem.

– A więc – rzekł medyk z Cleveland, uśmiechając się szeroko – doszedłeś dalej niż ja; to jest naprawdę coś.

Objął Harta ramieniem i pomógł mu wstać. Scott stęknął i również stanął na nogach. Potrzebowali jeszcze minuty czy dwóch, żeby podnieść Tommy'ego, ale chwycili go niemieccy żołnierze, pociągnęli i ze złością rzucili na podłogę w

korytarzu. Hart nie miał pojęcia, co nastąpiło później – upił się świeżym powietrzem. Był przekonany, że nie potrafi podnieść się o własnych siłach, a tym bardziej gdzieś iść, jeśli Niemcy tego zażądatają. Czuł tylko ogromny ból i taką samą wdzięczność.

Niedaleko majora Clarka stał Lincoln Scott, wyprostowany jak na warcie. Fenelli pochylił się nad Hartem i uniósł jego lewą rękę.

– To jedna krwawa miazga – powiedział, patrząc na von Reitera. – On potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Komendant pochylił się i obejrzał poharatana dłoń. Zatoczył się lekko, jak gdyby zaszokowany tym, co zobaczył. Zawahał się, a po chwili delikatnie odwinął chusteczkę, osłaniającą poszarpane ciało. Schował ją do kieszeni kurtki, nie zważając na krwawe plamy pokrywające biały jedwab. Skrzywił twarz, widząc rozległe obrażenia. Palec wskazujący był niemal całkowicie odgryziony, a pozostałe palce i cała dłoń poznaczone głębokimi cięciami i szramami. Podniósł głowę i zwrócił się do porucznika:

– Opatrunek polowy, natychmiast! – zakomenderował.

Podwładny zsalutował i dał znak jednemu ze strażników, nadal stojącemu na baczność. Żołnierz wydobyl z kieszonki przyszytej do wojskowego pasa owinięty w papier zwitek gazy nasyconej środkiem dezynfekcyjnym i podał go komendantowi, który z kolei przekazał opatrunek Fenellemu.

– Niech pan zrobi, co tylko możliwe, poruczniku – powiedział szorstkim tonem.

– To nie wystarczy, panie komendancie – odparł medyk. – On potrzebuje prawdziwych lekarstw i prawdziwego lekarza.

– Niech pan to mocno obwiąże. – Pułkownik wzruszył ramionami, wyprostował się i zwrócił się do majora Clarka.

– Ci ludzie pójdą do karceru – oznajmił, wskazując na Fenellego, Scotta i Harta.

– Hart potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej – zaprotestował Clark.

Von Reiter potrząsnął głową i powiedział:

– Zdaję sobie z tego sprawę, majorze. Przykro mi. Karcer.

Powtórzył rozkaz po niemiecku, zwracając się do oficera.

– Do karceru, schnell!

Odwrócił się i nie patrząc na amerykańskich jeńców ani na ich tunel, szybko opuścił barak.

Tommy usiłował się podnieść. Drżał na całym ciele. Niemiecki porucznik trącił go butem.

– Raus! – zakomenderował.

– W porządku, Tommy, podtrzymam cię – wtrącił Lincoln, odpychając Niemca. Pochylił się i pomógł koledze wstać. Tommy chwiał się na nogach.

– Możesz iść? – zapytał półgłosem czarnoskóry lotnik.

– W każdym razie spróbuję – odrzekł Hart, zaciskając zęby.

– Pomogę ci – zapewnił Lincoln. – Oprzyj się na mnie całym ciężarem.

Objął rannego mocno w pasie i przytrzymał. Uśmiechnął się.

– Tommy, pamiętasz, co ci mówiłem? – zapytał cicho. – Że żaden biały chłopak nie zginie, kiedy eskortuje go lotnik z Tuskegee.

Zrobili pierwszy, ostrożny krok, potem drugi. Fenelli wyprzedził ich i otworzył drzwi baraku.

Podtrzymywany przez Scotta, Tommy Hart powoli szedł przez plac apelowy. Otaczali ich ponurzy niemieccy żołnierze w hełmach, obserwowali wszyscy jeńcy przebywający w obozie. Popychani od czasu do czasu przez strażników karabinami, posuwali się bez słowa, mijali szeregi amerykańskich lotników, którzy, robiąc im miejsce, rozstępowali się w milczeniu.

Wyszli poza ogrodzenie z drutu kolczastego przez główną bramę, która otworzyła się przed nimi z trzaskiem i powoli ruszyli w kierunku karceru. Doszli do drzwi. Wtedy usłyszeli za sobą głośny, chóralny okrzyk, wzniesiony przez ustawionych w szyku jeńców. Ten potężny salut wypełniał powietrze, niósł się pod pogodne, rozjaśnione słońcem niebo, docierał do ponurego, betonowego bunkra, przenikał przez grube ściany i otwarte lufciki, rozbrzmiewał echem w ciasnych celach. Zagłuszył odgłos zatraskujących się za nimi drzwi. Brzmiał niczym cudowna muzyka, przypominająca dźwięk trąb starożytnej armii Jozuego, stojącej pod mocarnymi murami Jerycha.

21. Osiemdziesiąt cztery

Przez prawie dwa tygodnie Tommy Hart trzął się z zimna, leżąc samotnie w betonowej celi. Rany na ręce jątrzyły się coraz bardziej. Groźnie zainfekowane palce spuchły jak serdelki. Na skórze przedramienia pojawiły się żółtozielone smugi. Przez większość czasu Tommy leżał na zimnej, drewnianej podłodze, przyciskając nabrzmiałą rękę do piersi. Ból nie ustępował nawet na chwilę, a chory słabł z każdą upływającą minutą, był bliski stanu delirium. Koledzy zamknięci w sąsiednich celach słyszeli, jak długo w noc majaczył, rozmawiając z ludźmi, którzy od dawna nie żyli lub znajdowali się daleko stąd. Fenelli i Scott wrzeszczeli, usiłowali zwrócić na siebie uwagę Harta, przywołać go do rzeczywistości, wyrwać ze stanu urojeń i halucynacji, jakby to mogło go uzdrowić.

Hart słyszał jak przez mgłę, że koledzy dzień w dzień wymyślają Niemcom przynoszącym obozowy chleb i wodę, domagając się zabrania Tommy'ego do szpitala. Żołnierze odpowiedzialni za dostarczanie mizernych racji żywnościowych i opróżnianie kubłów z nieczystościami ignorowali te żądania z obojętnymi minami, udając, że nie rozumieją, o co chodzi.

Zainteresowanie okazał tylko jeden z nich. W połowie drugiego tygodnia, wkrótce po porannym apelu w karcerze pojawił się Fritz Numer Jeden. Rzucił okiem na straszliwie pokaleczoną dłoń Harta i przyprowadził z sąsiedniej celi Fenellego.

Medyk z Cleveland delikatnie poruszył palcami Tommy'ego. Za pomocą szmatki zmoczonej w czystej wodzie, oczyścił mu twarz i rany jak mógł najlepiej.

– Za kilka dni wywiąże się gangrena – poinformował Fritza wściekłym głosem. Wyprowadził kaprała na korytarz, żeby chory nie mógł ich usłyszeć. – Niezbędne są sulfamidy, penicylina i operacja, aby usunąć zainfekowaną tkankę. Na rany boskie, Fritz, powiedz komendantowi, że Tommy umrze, jeśli nie otrzyma pomocy. I to natychmiast.

– Porozmawiam z komendantem – obiecał Niemiec.

– To twój obowiązek – podkreślił Fenelli. – Twój i von Reitera. Możesz mi

wierzyć, są ludzie, którzy nie zapomną, co robicie z Tommym Hartem!

– Powiem o tym komendantowi – powtórzył Fritz Numer Jeden.

– Powiedz mu! Nie zwlekaj. Idź do niego natychmiast – błagał i zarazem rozkazywał Fenelli.

Upłynęło jeszcze kilka dni, lecz nic się nie zmieniło.

Z powodu bólu, majaczeń i zimna Tommy wkraczał do dziwnego, podziemnego świata. Czasami śnił, że ponownie znalazł się w tunelu, a po chwili budził się, krzycząc z przerażenia. Innym razem silny ból przenosił go do sfery wspomnień o domu rodzinnym. To one podnosiły go na duchu w czasie długich miesięcy spędzonych w Stalagu Luft 13. Tęsknił za tym stanem, bo wtedy mógł sobie wyobrazić niebo nad górami, widoczne z podwórka domu w stanie Vermont, czując jednocześnie ustępujący ból. Nareszcie mógł odetchnąć.

Szesnastego dnia pobytu w karczerze przestał jeść. Miał zbyt wysuszone gardło i opadł z sił. Mógł wysączyć tylko kilka łyków wody, ale nic więcej.

Koledzy nawoływali go, zachęcali do wspólnego śpiewania, starali się wszelkimi sposobami przywrócić do przytomności, ale to nic nie dawało. Tommy tracił siły na walkę z oszałamiającym bólem, który drażył ciało, przepalał je jak rozgrzany do czerwoności szpikulec. Leżał w celi brudny, pokryty potem i kurzem, obawiał się, że utraci kontrolę nad układem trawiennym. W jednym z nielicznych momentów, kiedy zdolność racjonalnego myślenia zwyciężała w walce z delirium, przyszło mu do głowy, że po tak wielu przejściach byłoby wyjątkową głupotą umrzeć od ugryzienia oficera gestapo.

Podczas takich rozmyślań usłyszał czyjeś głosy. Zignorował je, bo w tym czasie bez przerwy przeważnie słyszał głosy ludzi, którzy dawno temu zmarli. Pewnego razu słyszał nawet gniewny ton Vissera, lecz zbył tego ducha aroganckim szyderstwem.

Ale tym razem nie była to fantazja – drzwi celi otworzyły się. Tommy podniósł zamglone oczy – zobaczył na progu charakterystyczną sylwetkę Hugh Renadaya.

– Jasna cholera! – wybuchnął Kanadyjczyk, pochylając się nad niezdolnym ruszyć się z podłogi Hartem. Tommy uśmiechnął się mimo bólu.

– Hugh, myślałem, że ty...

– Że mnie dorwali? Niewiele brakowało. Ten skurwiel Visser skazał mnie na rozstrzelanie. Na całe szczęście w sprawę wmieszał się von Reiter i nie dopuścił do tego. Dlatego wciąż jestem żywy i radosny, przyjacielu.

– A co się dzieje z innymi?

– Z jakimi innymi?

– Z tymi, którzy uciekli...

Hugh uśmiechnął się.

– Tamtego ranka szkopy złapały w lesie dziesięciu chłopców, błakających się jak nowo narodzone dzieci. Następnym pięciu aresztowali na stacji, kiedy czekali na drugi pociąg. Zdaje się, że były jakieś problemy z podrobionymi biletami; gestapo nie miało najmniejszych kłopotów z wyłapaniem ich w tłumie. Ale ci trzej ludzie, którzy pierwsi wyszli z tunelu, nadal są na wolności. Ich bilety musiały być bardziej wiarygodne, no i zdążyli na pociąg, który wyruszył, zanim w obozie ogłoszono alarm. Krąży od cholery plotek, ale to nic pewnego.

– To świetnie – powiedział Tommy. – Mieli szczęście.

– Szczęście, mówisz? Kto to wie? No, a nasz Fritz Numer Jeden otrzymał medal i awans. Teraz jest sierżantem i nosi na szyi Żelazny Krzyż na wstążeczce. Paraduje po obozie dumny jak paw. Możesz to sobie wyobrazić.

Hugh pochylił się, mocno objął i podniósł Tommy'ego.

– No, mecenasie, ruszamy. Trzeba się stąd zbierać – powiedział.

– A Scott i Fenelli?

– Oni również wychodzą.

Hart uśmiechnął się.

– To wspaniale – powiedział słabym głosem. – Hugh, moja ręka...

Kanadyjczyk zacisnął zęby.

– Trzymaj się, chłopie. Zaraz otrzymasz pomoc – powiedział.

Na korytarzu w karczerze roiło się od niemieckich strażników z karabinami. Hugh prawie wyniósł Tommy'ego z celi. Zaraz podszedł Lincoln Scott i bez słowa podparł rannego z drugiej strony. Hart był wychudzony jak szkielet, nogi miał jak z gumy, a

kiedy próbował iść, każdy staw w jego ciele zachowywał się jak niedokręcony zawias.

Fenelli klął pod nosem, wyprowadzając ich na zalane słońcem podwórze. Kiedy znaleźli się na dworze, zmrużyli oczy nieprzyzwyczajone do jaskrawego światła i chciwie wdychali ciepłe powietrze. Przed budynkiem czekało jeszcze więcej Niemców, a także pułkownik MacNamara i major Clark, spacerujący niecierpliwym krokiem tam i z powrotem.

– Jak on się czuje? – zapytał MacNamara Fenellego.

– Jest strasznie poraniony – odparł medyk.

Pułkownik wskazał na barak administracyjny.

– Idziemy tam. Czeka na nas von Reiter – oznajmił.

Dziwna procesja z Tommym pośrodku wkroczyła do gabinetu pułkownika von Reitera. Komendant siedział za swoim, jak zawsze pedantycznie wysprzątanym biurkiem. Na widok wchodzących podniósł się z krzesła. Odruchowo wygładził mundur i strzelił obcasami, oddając lekki ukłon. Te jego wystudiowane, sztywne maniery.

Jeńcy, z wyjątkiem Harta, zasalutowali.

Von Reiter wskazał ręką krzesło, na którym Hugh Renaday i Lincoln Scott posadzili Tommy'ego. Niemiecki oficer odchrząknął i spojrzał na zdeformowaną rękę Harta.

– Kiepsko się pan czuje, poruczniku Hart? – zapytał.

Tommy roześmiał się mimo trawiącego go bólu.

– Bywało lepiej – odparł ochrypłym szeptem.

Do przodu wystąpił MacNamara, sztywny jak kij, z wyrazem furii na twarzy.

– Żądam, aby temu człowiekowi natychmiast udzielono pomocy! Jak pan może bez trudu zauważyć, jego obrażenia są bardzo poważne. Na mocy Konwencji Genewskiej ranny ma prawo do należytej opieki medycznej! Panie komendancie, ostrzegam pana, sytuacja jest doprawdy krytyczna! Nie będziemy tolerowali dalszej zwłoki...

Von Reiter podniósł rękę, zamykając Amerykaninowi usta.

– Porucznik Hart otrzyma możliwie najlepszą opiekę. Poczyłem konieczne przygotowania. Przykro mi z powodu opóźnienia, ale to są delikatne sprawy.

– Każda minuta zwłoki stwarza coraz większe zagrożenie dla życia tego oficera!

Von Reiter przytaknął.

– Tak, pułkowniku, widzę to. Jednak wydarzyło się wiele rzeczy, a my, nie rezygnując ze sprawnego działania, musimy znaleźć odpowiedzi na pewne pytania. Panie Hart, czy jest pan w stanie odpowiedzieć na kilka pytań? Wówczas mógłbym odesłać moim zwierzchnikom kompletne sprawozdanie.

Tommy usiłował wzruszyć ramionami.

– On nie musi odpowiadać na żadne pytania – rzucił ostro major Clark.

– Majorze, niech mi pan wyświadczy tę uprzejmość – westchnął von Reiter. – Jeszcze nie słyszał pan tych pytań.

Komendant w milczeniu przyglądał się gabinetowi i znajdującym się w nim ludziom. Potem ponownie zwrócił się do Tommy'ego.

– Poruczniku, czy pan wie, kto zamordował kapitana Vincenta Bedforda z Korpusu Lotniczego Armii Stanów Zjednoczonych? – zapytał.

Tommy uśmiechnął się i odpowiedział słabym głosem:

– Tak, wiem.

– Tym człowiekiem nie był Lincoln Scott?

Zanim Hart zdążył otworzyć usta, wtrącił się pułkownik MacNamara.

– Komendancie von Reiter! Jak pan doskonale wie, porucznik Scott został uznany za niewinnego tej zbrodni przez wszystkich członków trybunału wojskowego, rozpatrującego oskarżenie! Podczas gdy porucznik Scott był uwięziony w pańskim karczerze, sąd wojenny uznał, że nie ma dowodów wykazujących ponad wszelką wątpliwość jego winę i w konsekwencji uznano go za niewinnego! Wobec tego nie rozumiem...

– Przepraszam, panie pułkowniku, ale nie dokończyłem przesłuchania.

– Uniewinniony? – powtórzył Scott ze śmiechem. – Byłoby miło, gdyby ktoś i mnie o tym poinformował.

– Wszyscy w obozie o tym wiedzą – odrzekł MacNamara. – Ogłosiliśmy to na apelu w dzień po ucieczce.

Scott uśmiechnął się i ścisnął ramię Tommy’ego, jakby chciał mu pogratulować. MacNamara ucichł, von Reiter zaś spoglądał na nich w milczeniu, po czym wrócił do pytań.

– Poruczniku Hart, pozwolę sobie użyć innego sformułowania. Prowadzone przez pana dochodzenie pozwoliło zidentyfikować prawdziwego mordercę, zgadza się?

– Tak jest – potwierdził Tommy, starając się mówić dobitnie.

– Przewidywałem, że tak się stanie – uśmiechnął się von Reiter. – Odnosiłem wrażenie, że pewni ludzie nie doceniają pana, Hart. Ale naturalnie z naszego punktu widzenia nie ma to obecnie większego znaczenia. A wracając do tego morderstwa, poruczniku... osoba, która je popełniła, nie należała do Luftwaffe, prawda?

– Nie, sir.

– Nie był to również żołnierz jakiegokolwiek innej formacji zbrojnej Trzeciej Rzeszy, zgadza się?

– To prawda, panie komendancie – odrzekł Tommy.

– Innymi słowy, zabójca kapitana Bedforda był żołnierzem sił alianckich, uwięzionym w Stalagu Luft 13?

– Zgadza się.

– Czy zechce pan podpisać dokument, stwierdzający ten fakt?

– Owszem, jeżeli tylko nie będę musiał podać personaliów prawdziwego mordercy.

Von Reiter roześmiał się.

– Tę kwestię może pan, poruczniku, wyjaśnić ze swoimi przełożonymi później, w bardziej dogodnym momencie. Moi zwierzchnicy uznali, że cele Luftwaffe zostaną osiągnięte, jeżeli pan po prostu przysięgnie, że zabójca nie jest członkiem naszej formacji, co uwolni nas od wszelkiej odpowiedzialności za ewentualne uczestnictwo w tym ponurym wydarzeniu. Czy może pan to uczynić?

– Tak jest, panie komendancie.

Von Reiter wyglądał na zadowolonego.

– Pozwoliłem sobie przygotować odpowiedni dokument – powiedział. – Musi mi pan uwierzyć na słowo, że użyte w nim niemieckie sformułowania precyzyjnie odzwierciedlają to, co przed chwilą powiedziałem, a pan potwierdził. Jeżeli jednak pańscy przełożeni zechcą dostarczyć nam tłumacza...

W tym miejscu von Reiter uśmiechnął się chytrze do MacNamary.

– Nie wydaje mi się jednak, żeby byli skłonni to uczynić, ponieważ zależy im, abyśmy nie poznali nazwisk amerykańskich oficerów, mówiących płynnie po niemiecku.

– Wierzę panu na słowo – wyszeptał Tommy.

– Oczekiwałem tego – skwitował von Reiter. Wrócił na swoje miejsce za biurkiem, otworzył środkową szufladę i wyjął z niej arkusz papieru, pokryty pismem maszynowym. Na górze strony był wytłoczony duży czarny orzeł. Niemiec wskazał miejsce, gdzie pod wypisanym już nazwiskiem Tommy miał złożyć podpis. Podał mu wieczne pióro. Walcząc z bólem, nieustannie pulsującym w ramieniu i tułowiu, Hart pochylił się nad dokumentem i złożył podpis. To było bardzo męczące.

Von Reiter wziął do ręki oświadczenie, odczytał je po cichu, dmuchnął, by atrament szybciej wysechł i włożył pismo z powrotem do szuflady. Następnie warknął coś po niemiecku – na jego rozkaz drzwi otworzyły się; do pokoju wszedł Fritz Numer Jeden i zasalutował.

– Sierzancie! Proszę sprowadzić tu pana Bluchera. No i przynieść to, o czym wcześniej rozmawialiśmy.

Kiedy podobny do kreta Szwajcar wkraczał do gabinetu, komendant odwrócił się do Tommy'ego. Blucher miał na głowie ten sam czarny kapelusz typu homburg, a pod pachą tę samą podniszczoną brązową aktówkę co wówczas, gdy przejmował opiekę nad Phillipem Pryce'em. Niemiecki pułkownik uśmiechnął się jeszcze raz.

– Panie Hart, to jest pan Blucher ze Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Będzie panu towarzyszył w drodze do szpitala w swoim kraju. Obawiam się, że możliwości niemieckie w tej dziedzinie są zbyt skromne jak na pańskie obecne potrzeby – mówił, unosząc brwi. – Mam wrażenie, że panowie poznali się już wcześniej, prawda? I że niesłusznie wziął go pan za pracownika gestapo, naszej szacownej

tajnej policji państwowej? Zapewniam pana, że on tam nie pracuje. – Po krótkiej przerwie von Reiter dorzucił: – Pan Blucher przywiózł niewielki podarunek od pańskiego przyjaciela, panie Hart. Podpułkownik Phillip Pryce zdołał przekazać te rzeczy za pośrednictwem kuriera dyplomatycznego. Sądzę, że zdobył je w szpitalu w Genewie, w którym obecnie przebywa. Poruczniku Fenelli, czy zechce pan nam pomóc?

– Phillip! – wybuchnął Hugh Renaday. – Jakim cudem on się dowiedział...

Von Reiter wzruszył ramionami.

– Nie jesteśmy dzikimi bestiami, poruczniku. W każdym razie nie wszyscy. Poruczniku Fenelli, jeżeli można...

Medyk wystąpił do przodu, a Blucher wręczył mu niewielką paczkę opakowaną w brązowy papier i przewiązaną sznurkiem. Szybko rozerwał opakowanie i na widok zawartości zareagował płynącym z głębi serca podziękowaniem.

– Jezus Chryste! Bogu niech będą dzięki...

Odwrócił się, pokazując skarby, jakie przed chwilą odkrył: sulfamidy, środki dezynfekujące, sterylne opatrunki, kilka strzykawkę i bezcennych ampulek z penicyliną oraz podobną porcją morfiny.

– Najpierw penicylina! – zawyrokował i bez namysłu napełnił strzykawkę. – Jak najwięcej i jak najszybciej.

Odwinął rękaw Tommy'ego i oczyścił miejsce ukłucia na ramieniu. Wbił w ciało igłę, szepcząc do Harta:

– Walcz, Tommy, walcz ze wszystkich sił. Teraz naprawdę masz szansę.

Tommy odchylił się do tyłu. Przez chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że faktycznie ma szansę przeżyć.

Fenelli cały czas mówił, najprawdopodobniej do siebie, ale również do ludzi obecnych w gabinecie niemieckiego komendanta.

– ...A teraz trochę morfiny na podróż. Ona osłabi ból. To brzmi całkiem nieźle, prawda, Hart?

Von Reiter ponownie podniósł rękę.

– Poruczniku, proszę wstrzymać się z zaaplikowaniem morfiny.

Fenelli znieruchomiał z napełnioną do połowy strzykawką.

Von Reiter spojrział na Fritza Numer Jeden, który wniósł do pokoju skrzynkę domowej roboty. Komendant uśmiechnął się, lecz tym razem lodowato.

– Mam dla pana dwa upominki, panie Hart – powiedział. – Aby zapamiętał pan spędzony tutaj czas.

Sięgnął do kieszeni munduru i ostrożnie wyciągnął z niej chusteczkę do nosa, tę samą, którą Hart przewiązał poranioną rękę natychmiast po walce z Visserem.

– Jak sądzę, to należy do pana, panie Hart. Z pewnością jest to znacząca pamiątka, otrzymana od jakiejś panny w Stanach Zjednoczonych; przypuszczam, że ma wartość sentymentalną...

Niemiecki pułkownik rozprostował i wygładził jedwabną chusteczkę na blacie biurka. Szkarłatne plamy z czasem zmieniły kolor na kasztanowy.

– A zatem oddaję to, co należy do pana, poruczniku. Zwróciłem jednak uwagę na dziwny zbieg okoliczności: inicjały pańskiej przyjaciółki są identyczne z inicjałami mojego byłego zastępcy, Hauptmanna Heinricha Alberta Vissera, który poniósł bohaterską śmierć w służbie ojczyzny.

Tommy zobaczył monogram HAV, wyhaftowany ozdobnymi literami w rogu chustki. Spojrział na komendanta.

– Trzeba przyznać, że wojna stanowi ciąg najbardziej zawiłych i dziwacznych zbiegów okoliczności – powiedział z westchnieniem von Reiter, troskliwie złożył leżącą na stole chusteczkę i podał ją Tommy'emu.

– Panie Hart, wręczę panu jeszcze jeden prezent, a potem porucznik Fenelli może wstrzyknąć panu morfinę, która na pewno uśmierzy ból i ułatwi przejazd do Szwajcarii – ciągnął von Reiter, dając jednocześnie znak Fritzowi Numer Jeden, który postawił skrzynkę u stóp Tommy'ego.

– A cóż to jest, do diabła? – zapytał ostro pułkownik MacNamara. – Wygląda jak kupa jakichś czapek!

Von Reiter uśmiechnął się wrednie, zanim odpowiedział:

– Ma pan całkowitą rację, pułkowniku. To istotnie są czapki. Jedne zrobiono z wełny, inne z futra, a większość z materiału. Mają rozmaity kształt i rozmiar, różnią

się także fasonem. Ale łączy je jedno. Podobnie jak chusteczka, którą przed chwilą oddałem panu Hartowi, te czapki są poplamione krwią. Dlatego ludzie, którzy chcieliby ich jeszcze używać, powinni je najpierw oczyścić.

– Co to za czapki? – dopytywał się starszy oficer amerykański. – Co Hart ma z nimi wspólnego? I z tym, że są pokrwawione?

– To są czapki rosyjskich więźniów, pułkownika.

– Wciąż nie rozumiem... – ciągnął MacNamara.

Von Reiter przerwał mu chłodno:

– Osiemdziesiąt cztery czapki, pułkownika. Osiemdziesiąt cztery rosyjskie czapki. Komendant zwrócił się do Tommy'ego.

– Szesnastu ludzi stanęło przed plutonem egzekucyjnym z odkrytymi głowami, poruczniku Hart – powiedział. Wzruszył ramionami i ciągnął dalej: – Ogromnie mnie to zaskoczyło. Przewidywałem, że za zamordowanie z zimną krwią uhonorowanego wysokimi odznaczeniami niemieckiego oficera gestapo każe rozstrzelać cały obóz pracy. Zabić wszystkich Rosjan, którzy się tam znajdują. Jednakże ku mojemu niekłamanemu zdziwieniu w odwecie zlikwidowano tylko stu ludzi.

Von Reiter obszedł biurko i usiadł na krześle. Czekał przez chwilę, aż w gabinecie znowu zapadnie cisza. Wtedy dał znak Fenellemu, trzymającemu w ręce strzykawkę z morfiną.

– Niech pan jedzie z panem Blucherem, Hart. Niech pan opuści obóz i zabierze ze sobą wszystkie swoje tajemnice. Blucher zawiezie pana na dworzec, skąd uda się pan do Szwajcarii pociągiem. Tam czeka już na pana pański przyjaciel, podpułkownik Phillip Pryce, szpital i chirurdzy. I niech pan zapomni o tych stu rozstrzelanych, niech pan nigdy o nich nie myśli. Trzeba ich wymazać z pamięci. Niech się pan postara przeżyć, wrócić do Vermont, a potem żyć aż do późnej starości, bogaty i szczęśliwy. Kiedy zaś pewnego dnia wnuki będą pana wypytywać o wojnę, panie Hart, może pan im powiedzieć, że nic szczególnego się panu nie przydarzyło, a znaczną część tej wojny spędził pan na lekturze książek prawniczych w niemieckim obozie jenieckim noszącym nazwę Stalag Luft 13.

Tommy nie wiedział, co odpowiedzieć. Jak przez mgłę czuł igłę przebijającą skórę. Chwilę później po jego ciele zaczęła się rozchodzić słodka, wywołująca oszołomienie morfina. Miał wrażenie, że pije zimną wodę z najwspanialszego, najczystszeo górskiego potoku w ojczystym kraju.

Epilog: Kościół w pobliżu jeziora Michigan

Lydia Hart kończyła w łazience układać fryzurę. W pewnym momencie zawołała:

– Tommy, czy pomóc ci zawiązać krawat?

Zamilkła, czekając na odpowiedź; mąż mruknął, że to niepotrzebne – dokładnie tego się spodziewała. Uśmiechnęła się i przeczesła szczotką burzę srebrnych włosów opadających na ramiona.

– Czy zdążymy na czas? – zapytała po chwili.

– Mamy tyle czasu, ile tylko chcemy – odpowiedział cicho Tommy.

Hart siedział przy oknie w apartamencie hotelowym. Mógł obserwować w lustrze odbicie żony, a jeżeli się odwrócił, miał widok na brzeg jeziora Michigan. Było letnie przedpołudnie, promienie słońca odbijały się od powierzchni granatowej wody. Przez ostatni kwadrans uważnie obserwował żaglówki unoszące się na niewielkiej fali i najwyraźniej kręcące się tam i z powrotem bez żadnego celu. Hipnotyzowały go gracia i zwinność smukłych kadłubów pod łopoczącymi białymi żaglami. Zastanawiał się, dlaczego zawsze pociągały go raczej łódki dla wędkarzy i hałaśliwe motorówki. Ten wybór prawdopodobnie miał coś wspólnego ze skłonnością do godzenia się z losem, ale przecież miałyby zbyt wiele kłopotów z jednoczesnym operowaniem sterem i głównym żaglem jachtu przy silnym wietrze.

Tommy rzucił okiem na lewą dłoń. Brakowało mu palca wskazującego i połowy małego. Różowawa szrama przechodziła w zagłębienia, znaczące miejsca, gdzie brakowało tkanki. Tommy wiedział jednak, że ręka nie jest tak bardzo okaleczona, na jaką wygląda. Przez ponad pięćdziesiąt lat żona pytała go, czy nie potrzebuje pomocy przy wiązaniu krawata, a Tommy za każdym razem odpowiadał, że nie. Nauczył się robić węzły zarówno na krawatach, które nosił w biurze, jak i na linach swojej łódki. Rząd co miesiąc przysyłał mu niewielką rentę inwalidzką, a Hart z równą konsekwencją przekazywał te pieniądze na fundusz stypendialny Harvardu. Co prawda w ostatnim czasie zraniona podczas wojny ręka zaczęła sztywnieć na skutek artretyzmu, a nawet kilkakrotnie drętwiała, przysparzając mu bólu. Tommy

nie wspominał żonie o tak drobnych dolegliwościach.

– Czy sądzisz, że spotkamy tam kogoś znajomego? – zapytała Lydia.

Tommy niechętnie oderwał oczy od snujących się po jeziorze żaglówek i z namysłem przyglądał się żonie. Przyszło mu do głowy, że Lydia zupełnie nie zmieniła się od dnia ich ślubu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

– Nie – odrzekł. – Prawdopodobnie będzie pełno dygnitarzy. Może też jacyś prawnicy, których poznałem przed laty. Ale pewnie nikogo z bliższych znajomych.

– Nie przyjdzie żaden z jeńców ze stalagu?

– Nie sądzę. – Tommy uśmiechnął się i pokręcił głową.

Lydia odłożyła szczotkę do włosów i zastąpiła ją ołówkiem do poprawiania brwi. Przez chwilę robiła makijaż.

– Szkoda, że Hugh już nie żyje. Dotrzymałby ci kompanii – dodała.

– Ja również żałuję – odrzekł Tommy ze smutkiem.

Hugh Renaday zmarł przed dziesięciu laty. W tydzień po stwierdzeniu u niego przez lekarzy nieuleczalnego raka, na długo przed groźnym stadium choroby, spakował swój ulubiony sztucer, namiot, buty śnieżne, śpiwór oraz przenośny piecyk. Po napisaniu jednoznacznie tłumaczących jego motywy, pożegnalnych listów do żony, dzieci, wnuków oraz Tommy'ego załadował cały sprzęt do półciężarówki z napędem na cztery koła i wyruszył w lodowatą głuszę kanadyjskich Gór Skalistych. Miało to miejsce w styczniu, w środku zimy. Kiedy samochód nie mógł jechać dalej po zaśnieżonym, starym szlaku drwali, Hugh zostawił go i poszedł dalej piechotą. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa po wielu godzinach przedzierania się przez zaspy śnieżne w górach północnej części prowincji Alberta. Wtedy zatrzymał się, rozbił prowizoryczny obóz, ugotował sobie ostatni posiłek i cierpliwie czekał na nadejście nocy, a z nią silnego mrozu, który go zabije.

Tommy dowiedział się później od jednego z sąsiadów Renadaya z gór, że na Północy śmierć na skutek zamarznięcia nie jest uważana za okrutną. Człowiek przez chwilę czuje dreszcze, a potem pogrąża się w nieświadomości przypominającej głęboki, niosący odpoczynek sen. W pewnym momencie przestaje oddychać i wtedy opuszczają go wspomnienia gromadzone w ciągu całego życia. Był to skuteczny i

zdecydowany sposób rozstania się z życiem, godny człowieka, który przez długi czas był policjantem, a do tego człowiekiem zawsze dobrze zorganizowanym i konsekwentnym.

Hart nie lubił za wiele rozmyślać o śmierci Hugh, ale pewnego razu, gdy razem z Lydią wybrał się statkiem wycieczkowym na Alaskę i długo w noc obserwowali z żoną zorzę polarną, przyszło mu do głowy, że może to silne, kolorowe światło na czarnym niebie było ostatnią rzeczą, jaką na tym świecie oglądał Renaday. Wolał jednak wspominać przyjaciela, kiedy we dwóch łowili ryby niedaleko domu Hartów we Florida Keys, gdzie przenieśli się jako emeryci. Tommy wypatrzył w morzu ogromną barrakudę – bestię o kształcie torpedy, przyczajoną na płyciźnie, znieruchomiłą w przezroczystej wodzie podczas polowania na niczego niespodziewającą się mniejszą rybę. Hart łowił na spinning, wyposażony w przynętę z czerwonym światłem i drucianą prowadnicę. Hugh zarzucił przynętę metr od rozdziawionej paszczy barrakudy. Ryba rzuciła się na nią natychmiast. Po połknięciu haczyka machnęła koziółką i zaczęła się rzucać jak szalona, błyskając srebrzystym, silnym cielskiem. W końcu Hugh wyciągnął ją na brzeg. Na pamiątkowym zdjęciu, jakie szanujący się wędkarz ma obowiązek pokazać rodzinie, widać, jak Renaday przygląda się długim rzędom niemal przezroczystych, ostrych jak brzytwa zębów w potężnych szczękach barrakudy.

– Ta bestia już skończyła swój żywot – powiedział wtedy Tommy. – Ona mi przypomina niektórych szacownych kolegów z palestry.

Hugh Renaday pokręcił głową na znak, że nie zgadza się z tym porównaniem.

– Raczej kojarzy się z Visserem – powiedział. – Kapitanem Heinrichem Visserem. To jest ryba – Vissera.

Tommy popatrzył na okaleczoną rękę. Ryba – Visser – pomyślał.

Pewnie powtórzył głośno ostatnie słowa, ponieważ stojąca przed lustrem w łazience Lydia zapytała:

– A co to takiego?

– Nic, tak sobie pomyślałem – odparł Tommy. – Czy nie uważasz, że czerwony krawat jest zbyt jaskrawy na pogrzeb?

– Nie, pasuje w sam raz – zawyrokowała żona.

Hart domyślał się, że poranne zgromadzenie będzie mniej lub bardziej podobne do pogrzebu Phillipa Pryce'a, który odbył się w jednej z najwspanialszych katedr w Londynie dwanaście lat po zakończeniu wojny. Zmarłego zegnał tłum przyjaciół ze sfer wojskowych i prawniczych. Ludzie tłoczyli się w kościele, słuchając chłopięcego chóru śpiewającego łacińskie chorały. Tommy i Hugh żartowali później, że wielu prawników, przeciwko którym Phillip stawał w sądzie, stawiło się w katedrze, chcąc przekonać się na własne oczy, czy Pryce naprawdę opuścił ten świat.

Według Harta i Renadaya, Phillip odszedł z grona żyjących w sposób godny pozazdrosczenia.

W dniu, w którym zdołał na sali sądowej wypłatać konserwatywnego posła do parlamentu z wielce podejrzanego związku z dwa razy od niego młodszą kobietą, uprawiającą najstarszą profesję na świecie, Pryce pozwolił się zaprosić wieczorem na eleganckie przyjęcie dla uczczenia kolejnego sukcesu. Po kolacji zaszedł jeszcze do swojego klubu na ostatniego drinka. Zamówił lampkę stuletniego napoleona. Widząc zagłębnego w skórzanym fotelu adwokata z kieliszkiem w dłoni kamerdyner uznał, że gość po prostu przysnął. Po jakimś czasie stwierdzono, że Pryce zmarł na skutek zawału serca. Był uśmiechnięty, jakby śmierć zaskoczyła go, kusząc jakimś dobrze znanym, ulubionym widokiem. W dniu pogrzebu Phillipa wszyscy pracownicy jego kancelarii, od najstarszego do najmłodszego, przyszedli do katedry ze łzami w oczach.

W swej ostatniej woli Pryce wyraził życzenie, aby na jego ceremonii pogrzebowej przemówił Tommy Hart. Amerykanin spędził bezsenną noc w hotelu Strand, nerwowo wertując wersety Starego i Nowego Testamentu, lecz nie znalazł tam słów odpowiednich dla uczczenia pamięci przyjaciela. O świcie poderwał się z łóżka i pojechał taksówką do londyńskiego domu Phillipa na Grosvenor Square; służba wpuściła go do środka.

Na stoliku w skromnej sypialni Pryce'a zauważył stare, mocno zniszczone, pierwsze wydanie przeznaczonej dla dzieci książki Kennetha Grahame'a *O czym szumią wierzby*. Z dedykacji, wypisanej ręką Phillipa na pierwszej stronie, Tommy

zorientował się, że był to prezent dla Phillipa juniora. Dedykacja była krótka i nieskomplikowana:

Mój drogi chłopcze, niezależnie od tego, jak stary i mądry staje się człowiek, zawsze powinien pamiętać o radościach wieku dziecięcego. Niech o tym przypomni Ci ta książka w latach, które nadejdą. Od niezmiernie kochającego cię, oddanego ojca w dzień dziewiątej rocznicy Twoich urodzin...

Tommy zauważył, że w dwóch miejscach tekst jest podkreślony, a także wytarty, jakby dziecięce oczy wyczytały litery podczas raz po raz powtarzanej lektury. Pierwszy taki fragment znajdował się w rozdziale zatytułowanym *Kobziarz u bram świtu*:

Oto ostatni, najwspanialszy dar, jaki uprzejmy półbóg zechciał dobrotliwie przekazać tym, którym się objawił – dar zapomnienia. Niech dostojna zdolność pamiętania trwa i rozwija się, niech przesłoni uciechę i przyjemność, zaś wielki prześladowca – pamięć niech zniszczy szczątki małych zwierzątek wyzwolonych z wszelkich kłopotów, aby były szczęśliwe i pogodne jak dawniej...

Drugi z zaznaczonych fragmentów mieścił się w końcowym rozdziale, w którym wierny Kret, Szczur, Borsuk oraz nieokiełznany pan Ropuch stają ramię w ramię, rzucają się na przeważające siły łasic okupujących Ropuszy Dwór i zwyciężają agresorów dzięki odwadze i prawości.

Po południu tego dnia Tommy odłożył na bok Biblię, Szekspira, More'a, Keatsa, Shelleya, Byrona i innych sławnych poetów, których słowa tak często cytuje się przy uroczystych okazjach. Kiedy nadeszła właściwa pora, Hart podniósł się i odczytał szanownemu zgromadzeniu urywki z książki dla dzieci. Później uznał – a potwierdził to Hugh Renaday – że była to decyzja nieco zaskakująca i wzbudzająca oburzenie, ale zarazem taka, jaka najbardziej spodobałaby się Phillipowi.

- Jestem gotowa – powiedział Lydia, wychodząc w końcu z łazienki.
- Wyglądasz cudownie – skomentował z podziwem Tommy.
- Wolałabym pójść na wesele – odparła Lydia, potrząsając głową. – Albo na chrzciny.

Tommy podniósł się z krzesła; żona poprawiła mu krawat, chociaż wcale nie było to konieczne. Dar zapominania, powtórzył w duchu Tommy. Dzięki niemu wszyscy możemy być szczęśliwi i pogodni, tak jak dawniej.

Dzień był wspaniały, jasny i ciepły. Może nawet zbyt piękny jak na pogrzeb. Smugi wibrującego, letniego słońca przebijały się przez witrażowe okna katedry, rzucając na szarą, kamienną posadzkę duże czerwone, zielone i złote plamy.

Żałobnicy szczelnie wypełniali rzędy ławek. Sfery rządowe reprezentowali wiceprezydent kraju z małżonką, senatorowie z Illinois, grupa kongresmenów i dziesiątki dygnitarzy stanowych. Był też sędzia Sądu Najwyższego, przed którym Hart występował kiedyś jako obrońca. Mowy pochwalne wygłosili wybitni przedstawiciele środowiska oświatowego, a długie, pełne pasji kazanie oparte na cytatach z Pisma Świętego bardzo młody, chyba trochę zdenerwowany pastor z kościoła, w którym kiedyś działał ojciec Lincolna Scotta.

Trumnę stojącą u szczytu nawy udrapowano narodową flagą. Przed trumną umieszczono trzy powiększone fotografie. Ta z prawej przedstawiała Scotta jako starego człowieka, odzianego w powiewną togę akademicką, wygłaszającego przemówienie do absolwentów uniwersytetu. Zdjęcie po lewej pokazywało Lincolna idącego ramię w ramię z Martinem Lutherem Kingiem i Ralphem Abernathym na czele procesji ciągnącej ulicą nieznanego miasta w południowych stanach. Pośrodku znajdowała się fotografia największa ze wszystkich, prezentująca młodego Scotta wspinającego się na skrzydło mustanga przed bojową misją nad Niemcami. Tommy przyglądał się jej, myśląc, że człowiek, który robił to zdjęcie, najprawdopodobniej przez przypadek ujawnił dużo prawdy na temat Lincolna Scotta, zarejestrował jego energiczne ruchy i zdecydowane spojrzenie.

Tommy usiadł z żoną w połowie długości nawy kościelnej. Nie był w stanie skupić się i pilnie słuchać wzniosłych słów pochwalnych, jakie wygłaszali kolejni mówcy.

W uszach Harta brzmiał dźwięk lotniczych silników, wyjących na najwyższych obrotach, terkotanie karabinów maszynowych, dudnienie pocisków

przeciwlotniczych, wybuchających obok maszyny, stukot metalowych odłamków o korpus bombowca. Znowu poczuł suchość w gardle i pot pod pachami. Słyszał okrzyki mężczyzn ruszających do walki, jęki umierających. Wydawało mu się, że ten hałas wypełnia chłodne wnętrza katedry. Odetchnął głęboko i pokręcił głową, jakby chciał się otrząsnąć z opadających go wspomnień, tak jak pies strząsa z sierści wodę. „Pięćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, siedem metrów nad powierzchnią wody, cały świat strzela do ciebie. Jak to w ogóle można było przeżyć?” Nie umiał odpowiedzieć na pytanie, jakie sam sobie postawił, znał natomiast odpowiedź na kolejną kwestię: „Człowiek krwawi siedem metrów pod powierzchnią ziemi, nie wie jak wyjść z tej pułapki”. Jeszcze raz odetchnął głęboko. „Przeżyłem dzięki mężczyźnie, leżącemu w tej trumnie”.

Na znak księdza wszyscy wstali i odśpiewali pierwszą i trzecią zwrotkę hymnu *Naprzód, żołnierze Chrystusa*. Tommy słuchał mocnych głosów z lewej strony, gdzie w pierwszych ławkach siedziała wielka rodzina Lincolna Scotta, zgromadzona wokół starszej kobiety o kawowej barwie skóry.

Stojący za pulpitem pastor zamknął z hukiem modlitewnik i zaczął odczytywać wyjątki z Biblii. O tym, jak Dawid walczył z potężnym Goliatem, mając do dyspozycji jedynie pasterską procę, a jednak odniósł zwycięstwo.

Tommy odchylił się. Twarde deski ławki odgniały mu kości. Wyobraził sobie, że w tym przypominającym katakumby pomieszczeniu słuchają kazania MacNamara i Clark, którzy po wojnie otrzymali medale i awans za pokierowanie ucieczką ze Stalagu Luft 13. Tommy zawsze był zdania, że takie odznaczenie należało się jedynie wrednemu szczerowi, Clarkowi, który zadziwił Harta, rozkazując bezbronnym jeńcom z baraku sto siedem zaatakować zbliżających się Niemców, by dać Scottowi nieco więcej czasu na wydostanie Tommy’ego z zasypanego tunelu. Fenelli z Cleveland został kardiochirurgiem. Tommy spotkał się z nim pewnego razu w hotelu, w którym zorganizowano konferencję medyczną. Zauważył jego nazwisko na liście przemawiających. Wypili kilka drinków w holu, żartując pod wpływem alkoholu. Fenelli podziwiał sposób, w jaki szwajcarscy lekarze zoperowali rękę Harta. Tommy wyjaśnił mu, że Phillip Pryce zagroził rozstrzelaniem każdemu

lekarzowi, który ośmielił się spartolić zabieg, a Fenelli przyznał, że ta zapowiedź z pewnością skłoniła Szwajcarów do najwyższej troskliwości.

Lekarz z Cleveland pytał, czy Hart i Scott po wojnie podtrzymywali swą przyjaźń i zdziwił się, gdy Tommy zaprzeczył.

Później już nie spotkał Fenellego. Teraz miał nieśmiałą nadzieję, że odnajdzie jego twarz w tłumie uczestników żałobnej uroczystości. Tak się jednak nie stało. Przypuszczał również, że na pogrzeb przyjedzie ze Stuttgartu Fritz Numer Jeden, który bardzo dużo zawdzięczał Lincolnowi. Osiem miesięcy po wyjeździe Harta za granicę, kiedy jednostki piątej armii amerykańskiej generała Omara Bradleya wyzwoliły lotników ze Stalagu Luft 13, to właśnie Scott opowiedział oficerom prowadzącym przesłuchania o zdolnościach językowych oraz przedsiębiorczości byłego strażnika. Dzięki temu Fritz został pomocnikiem funkcjonariuszy amerykańskiej żandarmerii wojskowej, wyławiających gestapowców, ukrywających się wśród szeregowych żołnierzy. Później Fritz wykorzystał swoje talenty w powojennych Niemczech Zachodnich, awansując na dyrektora w firmie Porsche-Audi A.G.

Tommy dowiedział się o tym wszystkim z listów, które Fritz przysyłał mu na Boże Narodzenie. Pierwszy był tak zaadresowany: T. Hart, Słynny Prawnik, Uniwersytet Harvard, Harvard, Massachusetts. Zawsze pozostało dla niego tajemnicą, jakim cudem służbom pocztowym udało się dostarczyć tę przesyłkę na wydział prawa w Cambridge, gdzie mieści się uniwersytet, skąd następnie przekazano ją do firmy Tommy'ego w Bostonie. Następne listy nadchodziły przez wiele lat do kancelarii adwokackiej. Na załączonych do nich fotografiach widać było, jak dawny wartownik stopniowo, ale konsekwentnie powiększa swój obwód w pasie. Fritz fotografował się w towarzystwie żony, dzieci, wnuków oraz stadka psów. Tommy otrzymał też od niego jeden list pełen przygnębienia: była to krótka informacja, przesłana wkrótce po zjednoczeniu Niemiec, że komendant von Reiter zginął rozstrzelany na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Po upadku Trzeciej Rzeszy został zatrzymany przez Rosjan i nie przeżył pierwszego przesłuchania. Fritz dowiedział się o tym z ujawnionych dokumentów dawnej NRD.

Lydia trąciła męża, pokazując mu wydrukowany program uroczystości pogrzebowych. Tommy z opóźnieniem przyłączył się do chóru śpiewającego psalm: *Bo ci, którzy prowadzili nas w niewolę prosili nas o pieśni...*

Z trzech jeńców, którzy wyszli z tunelu i dostali się do pierwszego pociągu, dwaj zdołali wrócić do domu. Murphy, masarz ze Springfield gdzieś zniknął i został uznany za zmarłego.

Piętnaście lat po wojnie Tommy występował w Nowym Orleanie w sprawie o przestępstwo zagrożone karą śmierci. Uparł się, żeby jego kancelaria wzięła udział w tym procesie. Zdecydowana większość spraw, z jakimi miała do czynienia ta firma, dotyczyła lukratywnych sporów z dziedziny stosunków między przedsiębiorstwami, ale od czasu do czasu Hart po cichu podejmował się obrony w pozornie beznadziejnej sprawie kryminalnej w jakimś odległym zakątku kraju. Pracował wówczas przez wiele godzin i nie brał od klientów pieniędzy. Nie wymagał, żeby naśladowali go ani pracownicy, ani partnerzy w spółce, a mimo to wielu z nich postępowało podobnie. Zwycięstwo w takich sprawach zawsze przychodziło z dużym trudem, a Tommy miał powód, by to uczcić.

Tak się właśnie stało, gdy w Nowym Orleanie, dobrze po północy trafił do małego klubu jazzowego, gdzie grał wyjątkowo dobry trębacz. Muzyk zauważył Harta, siedzącego blisko estrady i pomylił nutę. Szybko naprawił błąd, uśmiechnął się i powiedział publiczności, że niekiedy nocą nachodzą go wspomnienia wojenne, a wówczas gra utwory bardziej refleksyjne. Po tych słowach wykonał solową wersję hymnu *Amazing Grace* i przeszedł do rytm-and-bluesa, wypełniając salę wibrującymi, budzącymi niepokój dźwiękami. Tommy był pewny, że trębacz później podejdzie porozmawiać z nim, ale on przysłał mu tylko butelkę najlepszego szampana i krótką notatkę: „Pewne sprawy lepiej pozostawić bez dalszego wyjaśnienia. Oto przyrzeczony drink. Cieszę się, że i ty wróciłeś do domu”. Kiedy Tommy zapytał kierownika, gdzie znajdzie muzyka, aby mu osobiście podziękować, usłyszał, że trębacz już wyszedł.

Według posiadanych przez Harta informacji, prawda na temat zabójstwa kapitana Vincenta Bedforda, procesu Lincolna Scotta oraz ucieczki ze Stalagu Luft 13 nigdy

nie została spisana do końca. Uznał, że trzeba się z tym pogodzić. Po powrocie do rodzinnego Vermontu spędził wiele godzin na rozmyślaniu o Bedfordzie, starając się znaleźć jakiś sposób pogodzenia się z jego śmiercią. Robił to dla siebie. Nie był przekonany, czy Vic zasłużył na śmierć, nawet jeżeli popełnił błąd, sprzedając informację, która doprowadziła do śmierci dwóch jeńców i stwarzała zagrożenie dla ucieczki planowanej przez innych oficerów. Z drugiej strony zabicie Bedforda wydawało mu się jedyną sprawiedliwą rzeczą, jaka wydarzyła się w bawarskim obozie. Po latach Tommy doszedł do przekonania, że spośród wszystkich jeńców handlarz używanych samochodów ze stanu Missisipi był człowiekiem o najbardziej skomplikowanym charakterze. Mógł być najodważniejszy, a zarazem najgłupszy, najgorszy i najsprytniejszy. Osobowość Vica składała się z samych sprzeczności. Tommy doszedł do wniosku, że właśnie te sprzeczności przyczyniły się do zgonu Bedforda w takim samym stopniu jak ceremonialny sztylet SS.

Hart spojrział na zegarek, który służył mu przez tyle lat. Tym razem nie chodziło o godzinę, tylko o wspomnienia, ukryte w trybach mechanizmu. Obserwując poruszającą się wskazówkę sekundową, pomyślał: Kiedyś wszyscy byliśmy bohaterami, nawet ci najgorsi. Zegarek nie odmierzał już czasu z dawną dokładnością, a zegarmistrze oglądali go ze zdziwieniem, dając do zrozumienia, że utrzymywanie takiego mechanizmu w dobrym stanie kosztuje znacznie więcej niż sam zegarek. Tommy jednak zawsze godził się na naprawę, ponieważ żaden z fachowców nie miał pojęcia, jaka jest rzeczywista wartość tego przedmiotu.

Lydia znowu trąciła męża i podniosła się.

Trumnę ze zwłokami Lincolna Scotta wieziono przez nawę katedry przy dźwiękach granego na organach hymnu *Jesu, Joy of Man's Desiring*. Najważniejsi dygnitarze ustawili się tuż za powiewającą flagą narodową. Za nimi poszli członkowie rodziny Lincolna Scotta. Poruszali się powoli, w tempie narzuconym przez drobną, siwowłosą, czarnoskórą wdowę. Emanowała ciepłością i spokojem, jakich człowiek nabiera z wiekiem.

Ludzie przyłączali się do procesji, kościelne ławki pustoszały. Tommy dołączył do tłumu żałobników, kiedy przyszła na niego kolej. Wziął Lydię pod rękę i

wspólnie ruszyli do wyjścia.

Na dworze mrugał przez chwilę, przyzwyczajając oczy do świecącego prosto w twarz słońca. W uszach rozbrzmiewał mu znowu dobrze znany, nosowy głos: „Tommy, znajdź nam drogę do domu, dobrze?” Odpowiedział w duchu – tak, myślę, że znalazłem drogę do domu dla tyłu z nas, dla ilu się dało.

Żona nagle mocno przycisnęła jego ramię. Rozejrzał się i zauważył, że rodzina Lincolna Scotta przystanęła obok nich na schodach prowadzących z katedry na dziedziniec. Otaczali wdowę, która odbierała kondolencje. Tommy skręcił i ustawił się z Lydią na końcu długiej kolejki żałobników.

Powoli przesuwali się do przodu, aż w końcu stanęli przed wdową. Tommy układał sobie w głowie jakąś stosowną formułkę, lecz ze zdumieniem stwierdził, że nic nie przychodzi mu do głowy. W salach sądowych wygłaszał setki dramatycznych, wyrafinowanych przemówień. Choć często improwizował, bez trudu znajdował odpowiednie słowa, tak jak w czterdziestym czwartym roku w Stalagu Luft 13. A teraz, stojąc przed żoną zmarłego, nie potrafił nic powiedzieć. Przyszła jego kolej, a on nie wiedział, co zrobić.

– Pani Scott – powiedział po prostu – głęboko pani współczuję z powodu tej straty.

Wdowa podniosła oczy, obserwowała go bacznie z dyskretnym zaciekawieniem, jakby uznała, że powinna rozpoznać tego człowieka, ale nie może sobie przypomnieć, kto to taki. Ujęła rękę Harta jedną dłonią i przykryła drugą. Tommy machinalnie zrobił to samo – przykrył jej dłoń lewą ręką.

– Poznałem pani męża wiele lat temu... – powiedział.

Wdowa niespodziewanie spuściła oczy na okaleczoną dłoń Tommy’ego. Popatrzyła mu w oczy, a kiedy go rozpoznała, jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Panie Hart – odezwała się melodyjnym głosem. – Czuję się bardzo zaszczycona, że pan przyjechał. Lincoln byłby ogromnie szczęśliwy.

– Żałuję – zaczął Tommy, po czym zamilkł i znowu otworzył usta: – Szkoda, że on i ja...

Znowu przerwał, widząc jej pełne radości spojrzenie.

– Czy pan wie, panie Hart, co on zawsze powtarzał swojej rodzinie?

– Nie – odrzekł cicho Tommy.

– Mawiał, że pan był największym przyjacielem, jakiego miał kiedykolwiek. Wie pan, nie najlepszym przyjacielem, bo to ja pewnie mieściłam się w tej kategorii: ale największym, panie Hart.

Wdowa nie puszczała rąk Tommy’ego. Odwróciła się do dzieci, wnuków i prawnuków, stojących na schodach kościoła. Tommy patrzył na ich pełne zaniepokojenia twarze. Jedne były poważne, inne, zwłaszcza te należące do młodych ludzi, świadczyły o pewnym zniecierpliwieniu, ich właściciele chcieliby już mieć to z głowy. Gdy pani Scott mówiła, uspokoili się wszyscy, nawet najmłodszy i najbardziej postrzelony.

– Zbliżcie się – powiedziała pani Scott głosem wskazującym na autorytet znacznie większy, niż mogłaby to sugerować jej drobna postać. – Oto ktoś, kogo wszyscy musicie poznać. Wszyscy. Pan Tommy Hart. Dzieci, to jest człowiek, który przyszedł z pomocą waszemu dziadkowi w niemieckim obozie jenieckim. Wszyscy słyszeliście tę historię wiele razy; ale teraz możecie zobaczyć tego, którego dziadek tak często wspominał.

Tommy poczuł, że słowa więzną mu w gardle.

– To wasz dziadek uratował mi życie podczas wojny – wykrztusił.

Starsza pani pokiwała tylko głową, jak nauczycielka napominająca ulubionego, chociaż niesforenego ucznia. W przeszłości była właśnie nauczycielką.

– Nie, panie Hart. Pan się myli. Lincoln zawsze powtarzał, że to pan go uratował – sprostowała z uśmiechem. – A teraz, dzieci, chodźcie tu szybko.

Pierwszy zbliżył się najstarszy syn Lincolna Scotta, ujął rękę Tommy’ego, którą wdowa wypuściła z uścisku i długo nią potrząsał, powtarzając „Dziękuję”. Później podchodzili dalsi członkowie rodziny, od najwyższego i najstarszego aż po małe dziecko, trzymane przez matkę na rękach. Przez schody wiodące do katedry przedefilowała cała rodzina Lincolna Scotta, a Tommy uściskał dłoń każdego z jej członków.

Od autora

Kiedy zbombardowano Pearl Harbor, mój ojciec studiował od trzech miesięcy na Uniwersytecie Princeton. Podobnie jak wielu ludzi ze swego pokolenia natychmiast zaciągnął się do wojska, a ponad rok później znalazł się jako nawigator na pokładzie bombowca B-25 Mitchell, lecącego nad Morzem Śródziemnym niedaleko brzegów Sycylii. Samolot noszący nazwę „Green Eyes” (Zielone Oczy) został zestrzelony w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku po zbombardowaniu niemieckiego konwoju z zaopatrzeniem dla dowodzonego przez Rommla Afrika Korps. Ojciec wraz z innymi członkami załogi został wyłowiony z morza przez Niemców. Początkowo spędzili kilka tygodni jako jeńcy włoscy w obozie w Chieti, a potem przetransportowano ich w zamkniętych ciężarówkach do Stalagu Luft 3, znajdującego się w Niemczech, w miejscowości Sagan (dzisiejszy Żagań – przyp. tłum.) niedaleko polskiej granicy. Tam spędził prawie resztę wojny. Na półce z książkami w jego domu, na poczesnym miejscu stało pierwsze wydanie klasycznej powieści przygodowej Davida Westheimera pod tytułem *Von Ryan's Express*, opowiadającej o ucieczce uwięzionych. Na pierwszej karcie widniała prosta i pełna serdeczności dedykacja, napisana ręką autora i zarazem byłego jeńca: „Drogi Nicku... Gdyby wszystko odbyło się w taki sposób...”

W naszym domu nie rozmawiano często o obozowych przeżyciach ojca. Nie mówiło się o głodzie, przygnębieniu, przejmującym zimnie, nieustającym strachu oraz wszechobecnej nudzie. Poznaliśmy tylko jeden szczegół z lat spędzonych przez ojca w więzieniu. Dotyczył tego, w jaki sposób udało mu się zdobyć za pośrednictwem organizacji YMCA książki potrzebne do nauki na uniwersytecie. Ojciec przestudiował je, dublując przedmioty, z którymi musiałby się zetknąć, gdyby pozostał w Princeton. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych przekonał władze uczelni do wyrażenia zgody na złożenie w ciągu sześciu tygodni egzaminów przewidzianych na dwa lata, dzięki czemu skończył studia w tym samym czasie, co koledzy z jego roku. To znaczące osiągnięcie nabrało w naszym domu znaczenia

mitycznego. Przesłanie było jasne: w każdej, nawet najtrudniejszej, sytuacji człowiek może odnaleźć swoją szansę.

Właśnie ta szansa, wykorzystana przez mojego ojca w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku stała się dla mnie inspiracją do napisania niniejszej książki. Chcę jednak wyjaśnić, że postacie, nakreślona sytuacja i intryga przedstawiona w powieści pozostają wytworem mojej wyobraźni. Przez ostatnie półtora roku poświęciłem dużo czasu na wypytywanie ojca o jego przeżycia, precyzowałem szczegóły i sprawdzałem prawdopodobieństwo wydarzeń. Świat mojego Stalagu Luft 13 jest mieszaniną wrażeń z kilku obozów. Wydarzenia opisane w książce, chociaż oparte na prawdziwych przeżyciach jeńców wojennych, są całkowicie wymyślone. Postacie oficerów alianckich i niemieckich, występujących na kartach powieści nie są związane bezpośrednio z realnymi ludźmi, żyjącymi bądź zmarłymi. Wszelkie podobieństwo do osób istniejących w rzeczywistości jest niezamierzone.

Podczas wojny Niemcy zestrzelili i wzięli do niewoli prawdopodobnie trzydziestu dwóch lotników wyszkolonych w Tuskegee. Z moich ustaleń wynika, że żaden z nich nie doświadczył ostracyzmu i rasizmu, z jakim zetknął się powieściowy Lincoln Scott. Z najgorszymi uprzedzeniami spotkali się po powrocie do Stanów. W znakomitej książce, noszącej tytuł *Black Wings*, autor opowiada o tym, jak ci wyjątkowi ludzie przełamywali bariery rasowe w korpusie lotniczym. Poświęcono im niewielką ekspozycję w waszyngtońskim Muzeum Lotnictwa i Kosmosu – z pewnością na nią zasłużyli. Jednym z ironicznych aspektów postawy rasistowskiej jest to, że czarnoskórzy piloci z Tuskegee musieli sprostać tak wygórowanym wymaganiom w czasie szkolenia, że później należeli do najlepszych lotników w całym korpusie lotniczym. Ludzie z Tuskegee wykonali ponad tysiąc pięćset lotów bojowych w Europie, a najbardziej zdumiewające jest to, że nie stracili żadnego z bombowców, które eskortowali podczas nalotów na przeciwnika. Żadnego. Ale musieli za to zapłacić – aby ustanowić tak wyjątkowy rekord, ponad sześćdziesięciu z nich złożyło w ofierze życie.

Istnieje niemało wspaniałych dzieł na temat doświadczeń ludzi zamkniętych w

obozach jenieckich. Książka Lewisa Carlsona *We Were Each Other's Prisoners* jest fascynującym zbiorem ustnych opowieści. Arthur Durand opisał całą historię Stalagu Luft 3. *Sitting It Out* Davida Westheimera to szczegółowy pamiętnik z lat spędzonych w obozie (z tej godnej szacunku książki zaczerpnąłem nieco ryzykowny tekst piosenki *Koty na dachu*).

Pewnego razu rozmawiałem z ojcem o strachu i pożywieniu. Te dwie rzeczy mają ze sobą więcej wspólnego, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. W pewnym momencie on powiedział coś takiego: „Wiesz, pobyt w tym obozie był prawdopodobnie jedną z najważniejszych rzeczy, jakie mi się kiedykolwiek przydarzyły. To chyba odmieniło moje życie”. Zważywszy, jak wiele ojciec osiągnął w trakcie długich lat życia, zaryzykowałbym twierdzenie, że wszelkie zmiany, jakie nastąpiły w nim w rezultacie wojennych przeżyć, wyszły mu na dobre. Ale to samo można zapewne powiedzieć o wszystkich mężczyznach i kobietach z jego generacji.

Niekiedy myślę, że żyjemy w świecie obsesyjnie wpatrzonym w przyszłość. Nie zadajemy sobie trudu, żeby spojrzeć za siebie. Tymczasem niektóre z najlepszych historii biorą początek w naszej przeszłości. Przypuszczam też, że opowieści te, nawet najbardziej brutalne czy szorstkie, potrafią nam wiele powiedzieć o celu, do którego zmierzamy.